

**MARIA FAGYAS**

**Porucznik diabła**

**(Przełożyła Natalia Billi)**

***MARIA FAGYAS***

***Porucznik diabła***

**(Przełożyła Natalia Billi)**

## LISTA AWANSÓW

*1 listopada 1909 roku*

### CESARSKA I KRÓLEWSKA ARMIA AUSTRO-WĘGIERSKA

Niżej wymienieni porucznicy, absolwenci Akademii Wojennej rocznik 1905, otrzymują poza kolejnością awans na kapitanów i zostają odkomenderowani do KORPUSU OFICERÓW SZTABU GENERALNEGO:

l o k a t a	p r z y d z i a ł
1. AHRENS, Robert Stefan Eger	2 pułk piechoty,
2. EINTHOFEN, Ludwik Aleksander Budapeszt	30 pułk piechoty,
3. SCHÖNHALS, Karl-Heinz Mostar	13 brygada górską,

4. GERSTEN, Johann Paul von piechoty, Braszow	31	brygada
5. WIDDER, Franz August Graz	3	pułk piechoty,
6. HOHENSTEIN, książę Rudolf Edward Wiener Neustadt	5	pułk dragonów,
7. DUGONICZ, Tytus Milan Wiener Neustadt	5	pułk dragonów,
8. MADER, Richard Emmerich Kraków	8	pułk ułanów,
9. LANDSBERG-LÖVY, baron Otto Ernst Enns	4	pułk dragonów,
10. HRASKO, Wacław Jan Sarajewo	5	pułk piechoty,
11. TRAUTMANSDORF, Georg Hermann Nagykanizsa	28	pułk piechoty,
12. MOLL, Karl Günter krajowej, Wiedeń	13	dywizja obrony
13. MESSEMER, Gustav Johann piechoty, Győr	65	brygada
14. OBLONSY, Zygmunt Aleksander Bruck	3	pułk ułanów,
15. HODOSSY, Zoltan Geza Kecskemét	13	pułk huzarów,

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Po południu, 17 listopada, w ostatnim dniu swego życia, kapitan Richard Mader wyszedł z biura Ministerstwa Wojny godzinę wcześniej niż zazwyczaj. Chciał w ten sposób zyskać nieco czasu na przebranie się i odpoczynek przed rendez-vous z Anną Gabriel. Obiecała przyjść do niego o szóstej. Cieszył się, że ją ujrzy ponownie, a jednocześnie nie mógł się uwolnić od jakiegoś dziwnego niepokoju. Coś go korciło cały dzień, aby przez posłańca odwołać to spotkanie, ale bał się, że list może wpaść w ręce męża.

Obdarzony umiarkowanym temperamentem Richard Mader na ogół nie dawał się ponosić emocjom. Był przystojny i szarmancki, toteż cieszył się powodzeniem u kobiet, a rzetelnością charakteru zjednywał sobie zaufanie u mężczyzn; natomiast jako żołnierz odznaczał się ową spokojną odwagą, która cechuje w chwilach próby tylko prawdziwych bohaterów. Życie oszczędziło mu chorób i rozterek, a nie poskapiło sukcesów.

W trzydziestym roku życia mianowano go kapitanem *der Kaiserlichen und Königlichen* - Cesarskiej i Królewskiej Armii Austro-Węgierskiej, po czym wcielono do Korpusu Sztabu Generalnego, co było niezwykle osiągnięciem dla syna drobnego wiedeńskiego urzędnika.

Nie przeżył wielkich rozczarowań ni udręk duchowych, które jakże często łamią ludzi z charakterem.

Jego życie miłosne układało się pomyślnie bez zbyt wielu komplikacji. W ciągu minionych lat kochał się na przemian w ładnych pannach, mężatkach i artystkach, a nawet raz jako sztubak w prostytutce. Nadawał swym uczuciom romantyczne definicje miłości, chociaż były to jedynie młodzieńcze pożądania, ciekawość lub co najwyżej cielece zadurzenie.

Panny z dobrych domów ścisnął za rękę lub prowadził na długie spacerunki, lub delikatnie całował ukradkiem w mroku, gdy przyzwoitka wyszła na krótko z pokoju. Z mężatkami lub artystkami nawiązywał czułe, choć przeważnie krótkotrwałe romanse. Nigdy nie angażował się uczuciowo i był zawsze dostatecznie przezorny, by zerwać natychmiast romans, gdy tylko partnerka ujawniła matrymonialne zamiary.

Regulamin wojskowy wymagał trzydziestu tysięcy koron małżeńskiej kaucji od porucznika, a sześćdziesięciu tysięcy od kapitana Sztabu Generalnego. Tacy jak Mader, niezamożni oficerowie, mieli do wyboru trzy wyjścia: wystąpić z wojska, poślubić bogatą pannę albo pozostać w kawalerskim stanie. Kapitan Mader wybrał, przynajmniej na razie, trzecie wyjście. Cenił sobie własną niezależność oraz prosty i uregulowany tryb życia. Nie istniało dlań nic przyjemniejszego nad cichy wieczór w domu po wyjściu kochanki, z którą spędził udane popołudnie. Tym razem, po raz pierwszy w jego dorosłym życiu, w perspektywie miłosnego sam na sam nie kryła się, jak dotąd bywało, zapowiedź rozkosznych emocji, tylko dręczący brak pewności i lęk.

Z ministerstwa do Hainburgerstrasse, gdzie mieszkał, szło się dobre pół godziny. Mógł wziąć dorożkę z postoju przy Michaelerplatz, ale poniechał tego w nadziei, że spacer uspokoi mu nerwy.

W kwaciarni na Schubertring kupił chryzantemy. Poprosił najpierw o ulubione kwiaty Anny, bladoczerwone róże, ale kwaciarnia róż nie miała. W listopadzie trudno było o inne kwiaty niż chryzantemy. Cały Wiedeń był ich tak pełen, iż zdawać się mogło, że inne kwiaty nie istnieją. Zazwyczaj w Dzień Zaduszny istna rzeka chryzantem płynęła w stronę cmentarzy. Toteż sam widok tych kwiatów, choćby najpiękniejszych, niezmiennie kojarzył się ze śmiercią.

Zmrok zapadał teraz wcześniej i nim Mader dotarł do Hainburgerstrasse, zapalono już gazowe latarnie. Lubił tę ulicę, głównie za jej podmiejski charakter. Dwupiętrowe zaledwie kamienice miały tu prostokątne podwórza ze staroświeckimi studniami, które przywodziły na pamięć nie tak znów odległą przeszłość, kiedy w Wiedniu żyło się bez kanalizacji i bieżącej wody.

Mader zajmował dwupokojowe mieszkanie na pierwszym piętrze kamienicy, pod numerem pięćdziesiąt sześć. Było nader skromnie umeblowane, ponieważ zaledwie przed paroma miesiącami przeniósł się on z Krakowa do Wiednia, a że był bardzo zajęty, zdołał zaopatrzyć się tylko w najniezbędniejsze sprzęty. Wprawdzie matka ofiarowała mu się z pomocą, ale grzecznie, lecz stanowczo odmówił. Chciał, żeby mieszkanie było odbiciem jego własnego gustu: przestronne, nie zagracone i nowoczesne. Kazał wykleić ściany tapetami, w gabinecie bladozielonymi, a w sypialni szarymi o delikat-

nym secesyjnym deseniu, za które sporo nawet zapłacił, ale za to były nadzwyczaj dekoracyjne. Nabywanie czegoś do mieszkania sprawiało mu tyle radości, że specjalnie robił zakupy stopniowo. Z mądrością raczej rzadką u młodych lubił przeciągać w czasie własne przyjemności.

- Śmierdzą jak świece pogrzebowe - zauważył Józef Boka, ordynans Madera, kiedy mu kapitan kazał wstawić kwiaty do wazonu.

Boka był krępy młody chłopak z węgierskiej puszczy, prawie analfabeta, ale bystrym i obrotnym, jak tylko potrafi być wieśniak, który przez pierwsze osiemnaście lat życia nauczył się przechytrzać naturę, a przez następne osiem - austro-węgierskie władze wojskowe. Szybki, schludny, powściągliwy i lojalny stanowił bez wątpienia ideał ordynansa. Zanim pojawił się u Madera, służył już u trzech oficerów, z których jeden, czeski hrabia, zrobił z niego wzór doskonałości, jakim był obecnie. Bliznę nad lewym okiem miał Boka od prawidła, którym weń cisnął raz hrabia, gdy mu nie wyglansował butów do konnej jazdy tak, jak on sobie życzył.

Chociaż nie mówili o tym ani nie pokazywali tego po sobie, kapitan i Boka darzyli się wzajem życzliwą sympatią, co wcale nie przeszkadzało ordynansowi ciągnąć drobnych zysków przy robieniu zakupów dla kapitana. Mader zresztą podejrzewał, że tak jest, ale przymykał na to oczy. Tylko oficerowie musieli być moralnie bez skazy, poborowych to nie dotyczyło.



Kwadrans po piątej Mader dał ordynansowi pięć koron i wysłał go po funt szynki, pieczywo, ciasto i dwie butelki wina marki Gumpoldskirchner do sklepu z delikatesami na Stubenring.

„Znowu ta pani Gabriel” - pomyślał Boka zbiegając po schodach na ulicę, bo wtedy zazwyczaj kupował szynkę i wino, kiedy zaś miała przyjść czarnowłosa i nerwowa żona generała, to szampan i pasztet z gęsich wątróbek, a jeżeli młodzianka tancereczka z Theater an der Wien - czekoladowy tort i likier. Istniała między Boka i Maderem cicha umowa, że ordynans nie będzie zwracał uwagi na miłostki kapitana. Jeżeli Mader przyjmował u siebie damę, Boka w ogóle się nie pokazywał, ale nie omieszkwał się jej przyjrzeć ukradkiem przez okienko swej izdebki, które wychodziło na klatkę schodową. Męska solidarność i wrodzona obyczajność powstrzymywały Bokę od komentowania bodaj słowem owych wizyt w obecności kogokolwiek, nawet samego kapitana.

Tego popołudnia Boka zauważył, że Mader jest lekko zdenerwowany. Zazwyczaj przed taką wizytą kapitan był mocno ożywiony, zwłaszcza gdy miał się spotkać z panią Gabriel. Była typem kobiety, z którą Boka chętnie by zgrzeszył, a zważywszy wszystko, co słyszał o jej miłostkach, nie było to znów takim nieczystym pragnieniem. Owa córka majora kawalerii nie stroniła bowiem od romansów i z prostymi żołnierzami. Krążyły uparte pogłoski, że właśnie z powodu nieposkromionego temperamentu Anny ojciec jej zmuszony był wystąpić z czynnej służby w stosunkowo jeszcze młodym wieku.

Anna Gabriel była drobna, szczupła, o niemodnej chłopięcej figurze, niemal pozbawiona biustu. Skórę miała barwy kości słoniowej, oczy w kształcie migdałów, czarne jak węgiel i usta nazbyt duże przy tak wąskim owalu twarzy. Najbardziej pociągające w niej były: dziecinna wesołość i ujmująca serdeczność, którym niewielu potrafiło się oprzeć. Kiedy Mader kształcił się w Akademii Wojennej, jej ojciec, major baron Johann von Campanini, był tam głównym instruktorem konnej jazdy. Dwudziestoletnia Anna wyglądała na wątłego i nieśmiałego podlotka. Imponująca liczba uczniów jej ojca, między innymi Mader, doświadczyła na sobie, jak bardzo złudne to były pozory. W łóżku Anna nie była wcale ani taka wątła, ani nieśmiała.

Mimo takiej reputacji można się było jednak spodziewać, że wcześniej czy później któryś z młodszych oficerów ulegnie urokom Anny i poprosi ją o rękę. Porucznik Friedrich Gabriel, niebywale inteligentny i obiecujący absolwent Akademii Wojennej, okazał w tym względzie dostateczną siłę uczuć i zdecydowanie. Oczywiście małżeństwo z Anną kładło natychmiastowy kres jego wojskowej karierze. Jako mąż Anny von Campanini nie mógł marzyć o wcieleniu do Korpusu Sztabu Generalnego, choćby nawet zgromadził wymagane regulaminem trzydzieści tysięcy koron małżeńskiej kaucji. W najlepszym razie osadzono by go w jakiejś podrzędnej jednostce w Galicji albo w Dalmacji. Porucznik Gabriel zdobył się dla Anny na najwyższe poświęcenie. Wystąpił z wojska, a że posiadane umiejętności nie kwalifikowały go do zajęcia bardziej lukratywnego i zaszczytnego, przyjął posadę urzędnika na poczcie. Uznano to za wielce uwłaczające i

żałowano go powszechnie. Był już drugim z kolei oficerem, który zaprzepścił karierę przez córkę instruktora jazdy konnej.

Wbrew wszelkim przewidywaniom małżeństwo okazało się udane. Tak przynajmniej uznali zgodnie znajomi, którzy w dalszym ciągu utrzymywali z nimi stosunki towarzyskie.

Po ślubie Anny i Gabriela, Mader stracił ich z oczu. Raptem, po czterech latach, pewnego październikowego popołudnia, spotkał Annę w sklepie Demela przed ladą z ciastkami. Stamtąd poszli razem do mieszkania Madera i do łóżka.

W ciągu listopada Anna odwiedziła go dwukrotnie. Zachowała dawną perfekcję w pieszczotach, ale stały się one bardziej wyczerpujące. Objawiała nienasycenie, które początkowo schlebiało Maderowi, lecz później zaczęło go niepokoić. Bolała go świadomość, że nie jest już równym jej partnerem. Odkrycie to było dla niego gorzkim ciosem, zwłaszcza że nie pierwszy już raz zawodził damy jako kochanek.

Przez wrzesień prowadził subtelny flirt z żoną generała. Pewnego dnia, ku najwyższemu zdumieniu Madera, generałowa przyjęła rzucone żartem zaproszenie do obejrzenia w jego mieszkaniu tapet w modnym stylu *Art Nouveau*. Było nadzwyczaj gorąco i duszno jak na tę porę roku, ona zaś przyszła ubrana w zapiętą wysoko pod szyją suknię z białej koronki, ozdobioną czarną aksamitką, i mocno pachniała konwalia. Mader nienawidził mocnych perfum, wolał naturalny zapach suszonej w słońcu bielizny lub świeżo wymytego

mydłem kobiecego ciała. Powietrze w pokoju było ciężkie, a obecność tej kobiety wypełniała każdy kąt.

- Jak to miło, że mnie pani odwiedziła - szepnął, jako że nic bardziej oryginalnego nie przyszło mu do głowy.

Odpiął jej prawą, sięgającą łokcia, skórzaną rękawiczkę i złożył pocałunek na wilgotnym, zaróżowionym przegubie dłoni. Odwijając rękawiczkę powtórzył pocałunek na lewej ręce. Jak dotąd był to zawsze niezawodny gest, symboliczny wstęp do każdej gry miłosnej. W tym właśnie momencie ogarnął go niepokój. Powinien był już czuć dreszcz podniecenia, skurcz w krtani i lędźwiach, znak, iż gotów jest do miłosnego aktu. Nie tak dawno sam widok łydki dziewczęcia wsiadającego do omnibusu wprawiał go w podniecenie. Teraz oto znalazł się sam na sam z ponętną kobietą, która najwyraźniej przyszła do jego mieszkania w miłosnych celach, a czuł się zimny i martwy niczym głaz.

Stali na środku pokoju. Trzymał nadal w ręce jej dłoń. Dama uśmiechała się do niego wyczekująco. Miała mocne, zdrowe zęby, niewielkie szczeliny między siekaczami i bardzo ostrymi kłami nadawały jej ładnej twarzy jakby trochę wilczego wyrazu. Włosy miała kruczoczarne, a nad górną wargą delikatny meszek. - Z powodu orientalnej obfitości kształtów, upodobania do jaskrawych kolorów i świecącej biżuterii nazywano ją w kołach towarzyskich „odaliską”. Ojciec jej był bankierem żydowskiego pochodzenia, który na katolicyzm przeszedł z chwilą, kiedy trzy jego córki dorosły do zamążpójścia. Jedna została żoną ministra, druga zakonnicą. Trzecia zaś, Lili Wencel, była właśnie gościem Madera.

- Proszę usiąść. - Mader wypuścił z uścisku jej rękę i podsunął krzesło.

Wyraz jej twarzy najdobitniej wskazywał, iż gotowa jest zrezygnować z wszelkich towarzyskich ceregieli. Tymczasem Mader zajął się gorliwie odkorkowywaniem butelki, trzymanej uprzednio na lodzie; nalał szampana i podsunął pasztet z gęsich wątróbek. Łapczywie wypita dwa kieliszki wina, ale odmówiła skosztowania pasztetu.

- Co za straszny upał! - Poruszała nerwowo wachlarzykiem z tej samej co sukni koronki, zawieszonym u ręki na złotym łańcuszku.

- Może otworzyć okno?

- Lepiej nie! - zawołała, kiedy się podniósł. - Będzie jeszcze gorzej. Nie powinnam była wkładać tej sukni. Wy mężczyźni nawet nie wiecie, jacy jesteście szczęśliwi!

Zaczęła mocować się z haftkami spinającymi wysoki kołnierz sukni.

- Moim zdaniem projektanci mody wyraźnie nienawidzą kobiet. Dlatego tak wszystko usztywniają. Na pewno otarłam sobie skórę. Czy to będzie szokujące, jeśli poproszę, by mi pan rozpiął suknię? Oczywiście na szyi - dodała z uśmiechem.

Posłusznie obszedł krzesło i wsunął rękę pod węzeł włosów, szukając górnej haftki. Czuł rozgrzaną skórę pod palcami. Lili Wencel podniosła się i stanęła przed Maderem. Powoli i starannie odpinał jedną haftkę po drugiej, aż do pasa. Mocno opięta suknia rozchyliła się niczym łupina owocu.

Lili zadrżała pod dotykiem jego dłoni i zaczęła niespokojnie dyszeć. Madera zaniepokoiło jej podniecenie, którego sam nie odczuwał zupełnie. Ale nie była to wina pani Wencel.

Skóra jej obnażonych pleców, gładkich jak aksamit, wydzielala ciepły, zwierzęcy zapach. Sięgnął rękami pod cienką jedwabną koszulę i ujął w dłonie jej piersi jędrne i duże. Czuł, jak sutki twardejmu pod palcami.

Zawsze go podniecał ów magiczny czar odkrywania żywego, ciepłego ciała kobiety ukrytego pod tyłoma warstwami przepisane modą stroju: długą spódnicą, zapiętą wysoko bluzką, gorsetem i stanikiem. Tym razem przy Lili Wencel nie odczuwał w ogóle żadnego pożądanja.

Speszyło go to. Miał lat trzydzieści, lecz nadal prześcigał w biegach, pływaniu i w siodle każdego kolegę z grona oficerów, jego umysł pracował z precyzją i szybkością dobrze naoliwionego karabinu maszynowego. Nie mógł więc w żaden sposób doszukać się powodu, dla którego w kwiecie wieku miałby zostać impotentem.

Przestraszył się tego słowa. Pociągnął ku sobie Lili tak gwałtownie, że aż krzyknęła, i przycisnął wargi do jej ust. Odwzajemniła się wsuwając mu język między zęby. Stali tak objęci dłujszą chwilę, Lili dyszała zwierzęco, on zaś czuł, jak zimny pot spływa mu po plecach. Nagle Mader pojął aż nazbyt jasno, że jeśli nie zaprzestanie miłosnej gry, popołudnie skończy się dla niego upokorzeniem i wstydem.

Uwolnił usta, wypuścił ją z objęć i cofnął się. Stała dalej zastygłe w geście poddania się, z rozchylonymi wargami i przymkniętymi oczyma. Nagle spojrzała na Madera zaskoczona. - Co się stało? - spytała ochryplym szeptem.

Nie zważając na pytanie, nalał jej szampana i podał. Patrzyła na kieliszek jak zahipnotyzowana. Jej oczy o ciężkich powiekach zamglone były od pragnienia, którego wino nie było w stanie ugasić.

- Co się stało? - zapytała ponownie. - Nie podobam się panu? Sądziłam, że jest inaczej.

- Ależ pani mi się podoba! Nawet bardzo. Zawsze jest pani dla mnie taka miła. Obydwoje państwo, zresztą.

Zmarszczyła czoło.

- Obydwoje?

- Pani i generał. Jestem za to ogromnie wdzięczny. Zaczęła rozumieć.

- Niech pan nie będzie śmieszny - powiedziała szorstko. - Pan go nie znosi. Tak sarno jak reszta podwładnych. Myślicie, że o tym nie wiem?

Miała rację. Generał Wencel był najmniej lubianym ze wszystkich szefów prokuratury wojskowej.

- Pani się myli - odrzekł niepewnie Mader. - Bardzo szanuję generała.

- Dlatego mnie pan tu zwabił? Aby mi to powiedzieć?

Mówiła coraz to głośniej i piskliwiej.

Dziwne, ale było jej z tym gniewem do twarzy. Wyglądała niezwykle pociągająco. Policzki jej się zaróżowiły, oczy płonęły, rozpięta suknia odsłaniała ramiona i szyję przezrzystej bieli mlecznego szkła.

Mader stwierdził w duchu, iż jest powabna i godna pożądaniam, ale nic mu to nie pomogło. Reagował tylko mózg, a nie zmysły.

- Generał jest świetnym oficerem. Jednym z najlepszych - wymamrotał pełen wstydu.

Odstawiła nietknięty kieliszek. Połowa szampana wylała się na obrus.

- Go za wzruszający stosunek! Bardzo by się ucieszył, gdybym mu to powtórzyła. Mam to zrobić?

- Decyzja należy do pani - odpowiedział wzruszając ramionami.

- Impertynent! - Rozejrzała się szukając rękawiczek. Kiedy wciągała jedną, uświadomiła sobie, że ma odpiętą z tyłu suknię. - Proszę mi zapiąć suknię, do licha!

Spełnił polecenie, a że zrobił to niezręcznie, rzuciła mu przez ramię wzgardliwe spojrzenie.

- Na drugi raz nie omieszkam przyprowadzić ze sobą pokojówki.

Wysoki kołnierzyk sukni był nadal nie dopięty, kiedy z pośpiechem opuszczała mieszkanie Madera.

Zszedł z nią na dół i zaproponował, że ją odwiezie do domu, ale gdy sprowadził dorożkę, oświadczyła, iż woli jechać sama. Kiedy od



strony Stubenringu ucichł już stukot końskich kopyt, Mader powrócił do domu przegrany i zasmucony.

Zegar na wieży kościelnej przy Landstrasser Hauptstrasse wybił pół do szóstej. Zostało jeszcze pół godziny do przyjścia Anny Gabriel.

„Pigułki” - przemknęło Maderowi przez głowę, ale zaraz poniechał tej myśli. Nie były to w istocie pigułki, ale sądząc z dotyku, kapsułki z opłatka, starannie zaklejone czerwoną bibułą. Nadeszły dziś rano pocztą na adres biurowy. W kopercie była jeszcze odbita na hektografie ulotka o treści aż nadto śmiałej nawet jak na epokę, w której podobne wyroby reklamowano otwarcie w gazetach. Richard Mader nie był pruderyjny, a jednak zaszokowało go słowo *coitus* wydrukowane wyraźnie czarno na białym.

„Zażyć obie kapsułki popijając szklanką zimnej wody na pół godziny przez czasem, kiedy spodziewany jest coitus” - brzmiał tekst. A poniżej głosił: „Skutek nadspodziewany!” Reszta ulotki zachwalała pseudonaukowym żargonem silnie działający na system nerwowy składnik, który gwarantował wzmożenie u mężczyzny słabnącej potencji. Pod tekstem widniał podpis: „Charles Francis, farmaceuta”.

Z początku Mader był zły, a jednocześnie zawstydzony. Podejrzewał, że mu ktoś chce zrobić kawał. Nieco później tego samego ranka dowiedział się, że jego koledzy, dwaj kapitanowie: księżę Rudolf Hohenstein i Hans von Gersten, także dostali przesyłki od Charlesa Francisa. Z wyraźną uciechą odczytali na głos ulotkę w męskiej toalecie. Powiedzieli Maderowi, że czwarty z kolei oficer z tego piętra

też otrzymał podobne kapsułki. Wiadomość ta uspokoiła Madera. Nie był to w takim razie żaden kawał, ale sposób reklamowania patentowego leku. Księżę wrzucił kopertę z kapsułkami do klozetu i spuścił wodę. Wyraźnie nie był ciekaw „nadspodziewanego skutku”, jaki obiecywano.

Mader był ciekaw, czy Anna przyjdzie punktualnie. Postanowił skończyć zaczęty poprzedniego wieczora list do pewnej panny nazwiskiem Ingrid Fiala. Była ona dziewczęciem, które Mader pewnie by poślubił, gdyby nie służył w armii. Jasnowłosa, niebieskooka, z filuternie zadartym noskiem i o anielskim usposobieniu, byłaby cudowną matką dla małych Maderów, którym nie dane było przyjść na świat dlatego tylko, że ich niedoszły ojciec był oficerem Korpusu Sztabu Generalnego Cesarskiej i Królewskiej Armii Austro-Węgierskiej.

Mader zdawał sobie w pełni sprawę, że armia jest czymś więcej niż tradycją, religią, nacją czy też braterskim związkiem. Była obcym ciałem wszczepionym w organizm monarchii, karmiącym się życiodajnymi sokami narodu, ale wiodącym niezależnie swój byt. Korpus Sztabu Generalnego był zaś jego centralnym ośrodkiem. Ten, kto wszedł do Sztabu, przestawał być panem swego losu. Mader nie mógł poślubić legalnie Ingrid Fiala, gdyż była wodewilową artystką, filarem Tria Leonardo, którzy nie nazywali się wcale Leonardo, nie byli trojaczkami, tylko do niedawna zupełnie obcymi sobie ludźmi, występującymi teraz razem w rewii we Frankfurcie. Oczywiście Sztab

nie wzbraniał swemu oficerowi sypiać z Ingrid Fiala, pod warunkiem, że nie skończy się to skandalem.

*Najmilszy Aniele - brzmiał nagłówek listu. - Trzy tygodnie temu malarze skończyli tapetować mieszkanie. Wypadło przepięknie. Nie mogą wprost doczekać się chwili, kiedy je obejrzysz. Pamiętam, że niezbyt Ci się podobał wzór tapet do sypialni, ale teraz na pewno wpadniesz w zachwyt. Wyglądają ładniej na dużej przestrzeni niż na małej próbce. Kupiłem też biurko, które nam się tak podobało w sklepie u Horna. Przywieźli mi je w zeszłym tygodniu i teraz pokój jest prawie umeblowany.*

Mader zapalił świecę na biurku i znów zasiadł do listu.

*Zeszłego wieczora - pisał - byłem na koncercie Lili Lehmann, ale wyszedłem zaraz po przerwie. Żadna to przyjemność słuchać pięknej muzyki samemu. Nie potrafię już dłużej obejść się bez Ciebie. Obiecałaś przyjechać zaraz, jak się skończy kontrakt we Frankfurcie, zatem nie później niż pierwszego grudnia. Nie zgodzę się na żadną zwłokę. Jesteś mi, najdroższa, potrzebna bardziej niż...*

Zegar na wieży wybił kwadrans na szóstą. Mader odłożył pióro i wstał. Obydwa razy Anna zjawiała się punktualnie. Gdyby poświęcił piętnaście minut na wstępne: „Wyglądasz uroczo! Może zdejmiesz płaszcz? Co nowego w ministerstwie? Słyszałaś najnowsze plotki?... Sądziś, że dojdzie w przyszłym roku do wojny między Anglią a Niemcami?... Czy choroba carycy jest groźna?...” wtedy dopiero kwadrans po szóstej Anna rozpięłaby bluzkę i zrzuciła spódnicę na podłogę. W ulotce zaś napisane było: „...na pół godziny przed czasem,

kiedy spodziewany jest *coitus...*” Jeżeli więc ma zamiar wypróbować te diabelne kapsułki, musi zażyć je teraz, bez dalszej zwłoki. W najgorszym razie zawierają miąłki cukier. Niewykluczone, że ten jakiś

Charles Francis liczy na psychologiczny efekt swego „pobudzającego” środka. Jeśli komuś nic nie dolega, tylko brak mu zaufania do siebie, ten cudowny lek jest równie dobry jak każdy inny.

Koperta od rana tkwiła w kieszeni płaszcza. Wyciągnął z niej płaskie pudełko, zgodnie z nakazem ostrożnie przedarł opakowanie z czerwonej bibuły i wysypał kapsułki na dłoń.

Boka zapalił już gazowe lampy w pokoju, ale w korytarzu i kuchni panowały ciemności. Mader musiał po omacku iść do kredensu po szklankę, a potem do zlewu po wodę. Położył kapsułki na języku i popił je natychmiast. Zamierzał właśnie zapalić lampę w korytarzu, kiedy przypomniał sobie o ulotce pozostawionej w pokoju. Wrócił po nią i razem z kopertą, czerwoną bibułą i pudełeczkiem wrzucił do ognia w wielkim, kaflowym piecu.

Wyciągnął z kieszeni spodni złoty zegarek, który dostał od ojca po ukończeniu Akademii Wojennej. Była już za dziesięć szósta. Postanowił wsunąć nie dokończony list pod blok papieru. Nie dlatego, że Anna mogła go zobaczyć. Dziwne to może, ale chodziło mu o coś całkiem innego. Czuł, że byłoby nie w porządku, gdyby list stał się świadkiem tego, co się zdarzy między nimi w tym pokoju. Ingrid go kochała, Anna zaś nie. I w tym właśnie kryło się sedno sprawy.

Podszedł do biurka, ale kiedy sięgnął po list, zakręciło mu się mocno w głowie. Zaraz potem poczuł w piersi wielki ciężar. Zaczęło

mu braknąć tchu. „Jak bym tonął” - przemknęła mu przez głowę myśl. Chciał krzyknąć: „Boka!”, ale nie mógł wydusić głosu z gardła. Ustało na moment bicie serca. Ucisk w piersiach wzrósł do granic wytrzymałości. Samo serce jakby zaczęło rosnąć wypełniając całe wnętrze. Ostry ból drążył kiszki, a ciałem wstrząsały drgawki, jak gdyby poruszał nim za pomocą sznurków jakiś niespełna rozumu kukiełkarz.

- Boka! - Tym razem dobył głosu, ale odpowiedzi nie było.

- Na pomoc! Na pomoc! - krzyczał przerażony, gdyż ból podpłynął mu do gardła i palił w ustach.

- Wody...! - Rzucił się w stronę kuchni. Chciał ugasić ów ogień, bo cóż innego mogłoby z tak morderczym bólem trawić całe jego ciało.

- Boże! Umieram! - W przeblysku świadomości pojął, iż w kapsułkach była trucizna.

Nie dotarł do kuchni, runął w ciemnym korytarzu, gdzie wił się z bólu, rzeził głośno i przeraźliwie, ilekroć zdołał chwycić w płuca powietrze. Nadaremno próbował się podnieść. W śmiertelnej męce rył paznokciami podłogę. Drzazgi wbijały mu się pod paznokcie, ale nie czuł tego, gdyż ból przenikający wnętrzości był znacznie silniejszy. Nim stracił przytomność, krzyknął raz jeszcze, po czym tętno zaczęło powoli zanikać, oddech przechodził w coraz to cichszy, przerywany świst. Jeszcze parę sekund trwał spazm, a po całkowitym paraliżu ciała przyszła łagodna śmierć.

Szeregowiec Boka wchodził właśnie na schody, kiedy posłyszał krzyk. Donośny, przeraźliwy, jaki wydać mogła kobieta lub zwierzę. Nie miał czasu, by się nad tym zastanawiać, jako że już był spóźniony. W sklepie u Wolfa było mnóstwo klientów, poza tym spotkał po drodze krajana ze wsi, też oficerskiego ordynansa, z którym sobie miło pogawędził. Słyszając, że zegar bije trzeci kwadrans na szóstą, pożegnał się i spieszenie wrócił do domu.

Biegł po schodach na górę, przeskakując po parę stopni. Miał trochę kłopotu z wsadzeniem klucza do zamka, tak był obładowany paczkami. Wszedł przez ciemny korytarz do kuchni i położył je na stole. W mieszkaniu panowała cisza, z czego wywnioskował, że spodziewany gość jeszcze się nie zjawił. Chciał spytać kapitana, jak ma podać szynkę, więc zajrzał do gabinetu. W powietrzu unosił się dziwnie gorzki zapach, którego tu przedtem nigdy nie było. Nie znalazł kapitana ani w gabinecie, ani w sypialni, ani w pokoju kąpielowym. W obydwu pokojach paliły się lampy, na biurku świeca. Zdziwiony Boka rozejrzał się dokoła i nagle przypomniał mu się zwierzęcy krzyk, który usłyszał wchodząc na schody. Zanim jeszcze dotarł do przedpokoju, już czuł, że coś straszliwego przydarzyło się kapitanowi.

Znalazł go w kącie koło drzwi do kuchni. Leżał skulony dotykając brodą kolan. Tylko ręce miał odrzucone na bok, jakby wczepione w podłogę, a spod okaleczonych paznokci sączyła się krew.

- Jezu Chryste! Kapitanie! Co się stało?

Boka padł na kolana i próbował podnieść ów ludzki zewłok. Twarz Madera była sina, ale jeszcze ciepła. Próbował doszukać się

pulsu. Przyłożył ucho do piersi Madera, ale nie potrafił stwierdzić, czy kołatanie, które słyszał, to bicie własnego serca czy serca kapitana. Boka był silnym mężczyzną, toteż bez trudu wziął Madera na rękę. Położył go na łóżku i przykrył kołdrą. Następnie wybiegł frontowymi drzwiami i popędził przez ulicę do jednego z domów, na którego bramie wisiała tabliczka z nazwiskiem lekarza.

Wpadł do poczekalni, gdzie siedziało już dwóch pacjentów. Po chwili zamieszania sekretarce udało się wyłowić jakieś fakty z łamanej niemczyzny Boki i zaraz wezwała lekarza. Był to starszy pan o posiwiałej brodzie, zaczerwienionych ze zmęczenia oczach, osadzonych pod sklepieniem wysoko i pomarszczonym czołem. Nie tracąc czasu na włożenie płaszcza podanego mu przez sekretarkę, wrzucił kilka narzędzi do czarnej torby i ruszył za zdenerwowanym Boka. Na sekundę zatrzymał się w progu poczekalni.

- Proszę dać znać do komisariatu! - zawołał do sekretarki, a po chwili zastanowienia dodał: - I zawiadomić komendę wojskową.

Przebiegł na drugą stronę ulicy starając się nadażyć za Boka. Przed domem zastali gromadkę ludzi, przeważnie lokatorów, stłoczonych wokół żony dozorczy. Widać zobaczyła, jak Boka wybiegał z domu i nieomylnym instynktem domowego stróża odgadła, że coś niezwyklego musiało się wydarzyć w mieszkaniu kapitana. Zagrodziła ordynansowi drogę i jako zastępczyni właściciela domu zażądała stanowczo, by Boka powiedział jej, co się stało.

W tym samym momencie od strony Ringu nadchodziła Anna Gabriel w ciemnozielonym wełnianym kostiumie o modnej krótkiej

spódnicy. Miała kapelusz z szerokim rondem, bardzo strojny i dobrany kolorem do kostiumu. Mimo czterech szpilek wbitych w kok, ledwo się trzymał na głowie targany nagłym powiewem wiatru, który przemknął ulicą. Była trochę zdyszana i w bardzo dobrym nastroju. Miała zaróżowione policzki i nuciła najnowszą piosenkę Leo Falla. Spozobregła Bokę i starszego pana w białym fartuchu, otoczonych gromadą kobiet, więc zatrzymała się raptownie.

Boka także ją dostrzegł. Zamierzał właśnie wejść do domu i bezceremonialnie odepchnął dozorczynię. Nie potrafił sobie później uzmysłować, dlaczego zatrzymał się na progu i zawołał do Anny Gabriel:

- Do domu! Precz stąd, do diabła! Zawracać!

Po czym wszedł szybko do środka, a za nim ruszył lekarz.

Anna stanęła jak wryta (pod pręgiem wrogich i badawczych spojrzeń). Trwało to chwilę, po czym tłum gapiów ruszył w górę po schodach zatrzymując się pod drzwiami Madera.

Szaleńczo zapagnęła pójść za nimi. Całą siłą woli zawróciła jednak i ruszyła w swoją stronę. Szła już mniej rytmicznym krokiem. Czuła, że coś straszliwego przydarzyło się Maderowi, a ostrzeżenie szeregowca Boki ocaliło ją być może od podobnego nieszczęścia. Stała już nad brzegiem przepaści, a on ją ostrzegł w ostatniej chwili, nim ziemia usunęła jej się spod nóg. Na pobliskim postoju wzięła dorożkę, podała woźnicy adres i kazała się wieźć szybko do domu.



Doktor Bruck ledwie spojrział w stronę łóżka, na twarz wśród poduszek, a już stwierdził, że jego pomoc jest zbyteczna. Pochylił się nad ciałem, uniósł kołdrę i poczuł odór ekskrementów pomieszany z wonią gorzkich migdałów. Strużka krwi wyciekła z kącika ust plamiąc odpięty kołnierz munduru. Doktor Bruck wiedział, jak paskudną sprawą bywa gwałtowna śmierć.

- Cyjanek - mruknął do siebie.

Boka stanął w nogach łóżka i trzymał się kurczowo mosiężnej poręczy, a twarz miał równie bladą, jak kostki zaciśniętych rąk.

- Wyszedłem tylko na pół godziny - tłumaczył. - Zostawiłem go w najlepszym zdrowiu.

- Wierzę - pokiwał głową doktor. - Cyjanek działa bardzo szybko, czasem wystarczy minuta. Boka nagle wybuchnął.

- Do licha! Co pan tak stoi?! Niech pan coś robi!

Doktor był cywilem, a więc kimś niższym od kogokolwiek w mundurze, nawet od ordynansa. Na cywila można krzyknąć, chyba że jest kimś ważniejszym i potężniejszym od szeregowca, ale w tym wypadku tak nie było.

Doktor utkwiał zmęczone oczy w twarzy Boki. Dojrzał w niej rozpacz i ból, toteż wybaczył mu brak manier.

- Nic tu już nie mogę poradzić. - Skierował wzrok na zmarłego.

- Lepiej wezwij księdza. Kapitan był, jak mi się zdaje, katolikiem.

Boka stał dalej nieruchomo, więc doktor Bruck dodał:

- Przychodzi czas, młodzieńcze, kiedy trzeba pozostawić zmarłego, a pomyśleć o żywych. W tym wypadku o rodzinie.

- Zostanie pan tu z nim? - spytał Boka. Normalnie mówiłby „kapitan”, ale teraz celowo pominął to słowo, skoro nie ma Madera na świecie. Teraz był już tylko „on”. Nie z braku szacunku, ale dlatego że nie potrafił skojarzyć skulonego pod kołdrą ciała o sonej i wykrzywionej bólem twarzy z człowiekiem, którego widział żywym przed niespełną godziną.

- Zostanę - obiecał doktor i usiadł w fotelu przy łóżku. Miał sześćdziesiąt dziewięć lat, ale pod koniec dnia czuł się zawsze jak stuletni starzec.

Boka zbierał się właśnie do wyjścia, kiedy zjawił się inspektor policji - porucznik Horn w towarzystwie dwóch mężczyzn. Poinformowany przez sekretarkę lekarza, że ofiarą wypadku, bo tak to określiła, jest kapitan ze Sztabu Generalnego, porucznik zawiadomił już Ministerstwo Wojny, żandarmerię oraz tutejszą komendę wojskową. Na ogół nie znosił, gdy się mieszało do sprawy, ale i tak nie sposób było ich pominąć, chociaż uważał w duchu, że gdyby policji pozostawiono wolną rękę, pracowałyby znacznie skuteczniej.

Na pierwszy rzut oka wyglądało to na samobójstwo: trucizna o szybkim działaniu, nie dokończony list na biurku i ordynans wysłany zawczasu po zakupy. Świeca, przy której zmarły pisał list, nadal paliła się jasnym płomieniem. W wazonie tkwił bukiet chryzantem, a na kuchennym stole leżało kilka nietkniętych pakietów ze sklepu z delikatesami.

- Jaka szkoda! - stwierdził doktor. - Taki przystojny młody mężczyzna. Widziałem go parę razy na ulicy. Zawsze w rannych

godzinach. Zaczynam wizyty domowe zazwyczaj kwadrans po ósmej. On też wychodził wtedy, pewnie do pracy.

- W Ministerstwie Wojny - wyjaśnił porucznik policji.

- Zgadza się. Wiem od ordynansa, że był w Sztapie Generalnym.

Czemu on to zrobił, poruczniku?

- Co zrobił?

- Odebrał sobie życie! Pewnie z powodu kobiety. Jacyż niemądrzy są ci młodzi! Rozstawać się z czymś tak bezcennym i niepowtarzalnym dla tak pospolitego towaru, którego w bród na rynku.

Porucznik nie odpowiedział. Poszedł do gabinetu, by przejrzeć nie dokończony list. Przeczytał go dwukrotnie, po czym z wolna odłożył na biurko. Jeden z detektywów przeglądał zawartość kosza na śmiecie, drugi zaś w kuchni grzebał w wiadrze na odpadki. Porucznik wyciągnął szufladę. Znalazł porządnie ułożone koperty i papier listowy, fotografie w pudełkach i albumach, pióra, ołówki, znaczki, paczkę tytoniu, bibułki i maszynkę do robienia papierosów, teczkę rachunków z napisem „zapłacone”, kwity, parę pakietów z listami, przewiązanych złotym sznurkiem, oraz służbowy rewolwer kapitana.

- Czemu się nie zastrzelił? - spytał doktor. - Po co wybrał taką bolesną śmierć?

Ostatniego namaszczenia udzielił zmarłemu ojciec Jelinek, wysoki, krzepki kapelan z kościoła przy Landstrasser Hauptstrasse. Ministranta zapewne ściągnięto pospiesznie z jakiegoś boiska, gdzie

grał w piłkę, bo miał jeszcze buty oblepione świeżym błotem, a gil cały czas zwiślał mu ze spierzchniętego nosa.

Boka klęczał przy łóżku wpatrzony w wiszącą na ścianie ręcznie malowaną kopię „Świętej Rodziny” Michała Anioła. Kapitan Mader nabył ten obraz we Florencji, w drodze powrotnej z Rzymu do kraju po zawodach hippicznych. Mówił Boce, jak zwiedzając Galerię Uffici natknął się na młodego malarza zajętego kopiowaniem oryginału. Kapitan zaproponował kupno jego dzieła i był ogromnie przejęty, że artysta zgodził się rozstać z obrazem. Boka pamiętał, z jaką radością rozwijał Mader płótno po powrocie do domu. Wyglądało, że bardziej jest dumny z obrazu niż z nagrody, którą zdobył na zawodach. Wtedy Boka nie mógł zupełnie zrozumieć kapitana, ale teraz wspomnienie owej chwili napełniło jego oczy łzami.

- O której kapitan wysłał was do sklepu? - spytał porucznik policji Bokę.

Kapelan i ministrant już wyszli. Porucznik Horn usiadł na kanapie, szeregowiec Boka stanął naprzeciw niego. Doktor Bruck zaś zajął na powrót miejsce przy łóżku, skąd się taktownie usunął na czas, kiedy ojciec Jelinek udzielał ostatniego namaszczenia.

- Kwadrans po piątej. Już to mówiłem - odrzekł Boka.

- O której wróciliście?

- Pół godziny później. Pamiętam, że jak byłem blisko domu, słyszałem, jak zegar na wieży bije za kwadrans szóstą.

- Coście tam robili tyle czasu, skoro sklep jest zaledwie dziesięć minut drogi od domu?

- W sklepie było dużo ludzi. Można być nawet pierwszym przy ladzie, a jak zjawi się dama i zażąda kawioru albo jakiś pan zechce skrzynkę szampana, to ich zawsze najpierw obsłużą, a taki jak ja musi czekać.

Boka mówił z węgierskim akcentem i miał ograniczony zasób słów. W jego rodzimym języku nie było w ogóle rodzajów gramatycznych, więc o wszystkim mówił w rodzaju męskim: „on” o szynce, którą kupił w sklepie, o ekspedientce, która mu ją sprzedała, o ulicy, jaką wracał do domu, i o godzinie, którą wybił zegar na kościele. Nie odmieniał też w niemieckim czasowników, tylko używał bezokolicznika czasu teraźniejszego bez Względu na to, czy chodziło o niedawną przeszłość, wydarzenia sprzed wieku, teraźniejszość lub przyszłość. Był natomiast wybitnym lingwistą, gdy kłął po niemiecku. Robił to z idealną poprawnością i nie miał sobie równych nawet wśród rdzennie austriackich sierżantów piechoty albo instruktorów jazdy konnej w kawalerii. Doktor, w przeciwieństwie do porucznika Horna, z trudem go rozumiał. Ucho wiedeńskiego policjanta było wyczulone na wszelkie akcenty i gramatyczne dziwolągi tego wielonarodowościowego miasta, obarczonego czy też obdarowanego przez los dwoma milionami mieszkańców.

- Dlaczego kapitan wysłał was po zakupy? - spytał porucznik.

Boka wzruszył ramionami.

- W domu nie było nic do jedzenia, proszę pana. - Spodziewał się czyjejs wizyty?

- Być może. - Ilekroć Boka czuł, że znalazł się na niebezpiecznym gruncie, udawał tępego wieśniaka, a twarz jego przypominała martwą pysk śniętej ryby.

- Spodziewał się, czy nie?

- Nie wiem, proszę pana. - Boka pogardzał wszystkimi cywilami, nie wyłączając policjantów, ale za to starannie unikał zatargów z tymi ostatnimi.

- Nic wam nie mówił?

- A jakże - potwierdził skwapliwie Boka. - Co powiedział?

- Żeby kupić funt szynki, tuzin bułeczek i dwie butelki wina. „To mi właśnie mówił, poruczniku.

- Nie wydało się wam, że to za dużo, jak na kolację dla jednej osoby?

- Nie. Kapitan dużo jadł. Poza tym... - zerknął przez otwarte drzwi na leżący w łóżku martwy kształt, a gardło ścisnęło mu się z żalu.

- Ja też jadłem to samo. Tak było ustanowione przez niego.

Doleciał ich z korytarza odgłos kroków i głośna rozmowa. Prawie jednocześnie zjawili się w mieszkaniu Madera: prokurator sądu wojkowego, kapitan Kunze, oraz doktor Ruppert, lekarz pułkowy. Kiedy kapitan czekał w gabinecie, doktor Ruppert, drobny, podobny do czujnego gryzonia, nerwowy mężczyzna z pincenez, dokonywał obdukcji zwłok. Wymienił na początku spieszny uścisk dłoni z doktorem Bruckiem, którego potem wyraźnie ignorował.

- Trzeba będzie, niestety, poczekać na wyniki sekcji, nim będziemy mogli ustalić przyczynę zgonu - oświadczył doktor Ruppert. - Mógł to być atak epilepsji, udar mózgu, skrzep, atak serca albo zatrucie pokarmem, słowem - wszystko.

Za jego plecami odezwał się słabym, zmęczonym głosem doktor Bruck:

- Nonsens. To zatrucie cyjankiem.

Doktor Ruppert obrócił się gwałtownie i utkwiał stanowcze spojrzenie w cywilnym lekarzu.

- Lepiej nie wyciągać pochopnych wniosków - powiedział.

- To zatrucie cyjankiem - powtórzył doktor Bruck cichym głosem, w którym kryła się stanowczość i głębokie przekonanie.

- Sądzi pan, że to było samobójstwo? - spytał Ruppert.

- Nie moją rzeczą jest o tym decydować. Kapitan Kunze przysłuchiwał się tej wymianie zdań lekko zasepiony. Był to szczupły mężczyzna o twarzy, jaką mógłby mieć Hamlet, gdyby nie zginął od zatrutej szpady i dożył średniego wieku. Martwiło go połączenie słów: samobójstwo i cyjanek. Wiedział, że władze wojskowe wołałyby udar mózgu albo atak serca. Gdyby jakiś oficer, zwłaszcza członek Korpusu Sztabu Generalnego, naprawdę chciał pozbawić się życia, to już raczej palnąłby sobie celnie w skroń, pozostawiając cywilom tak prostackie metody jak ług, trucizna na szczury, brzytwa, skok z wysokiego piętra lub pod koła lokomotywy. Kapitan wyciągnął rękę do doktora Brucka.

- Dziękuję panu za przybycie z natychmiastową pomocą. Sprawą honorarium zajmie się kancelaria dyrektora departamentu skarbu.

- To najzupełniej zbyteczne - pokręcił głową doktor. - Nie miałem zaszczytu poznać osobiście kapitana Madera... za jego życia, ale byliśmy sąsiadami. Uważałem za swój obowiązek przyjść z pomocą sąsiadowi, skoro była potrzeba. Jaka szkoda, że tak niewiele mogłem dla niego zrobić.

Policjant zameldował, że nadjechał ambulans. Ciało Richarda Madera, zasłonięte szczelnie grubym kocem i ułożone na noszach, powieziono do kostnicy Szpitala Wojskowego, aby przeprowadzić sekcję. Kapitan Kunze polecił porucznikowi Hornowi skontaktować się z szefem policji Brezovskym oraz inspektorem policji i zarazem oficerem łącznikowym z żandarmerią doktorem Weinbergiem i złożyć im obu dokładny raport. Bokę odesłano do kuchni, gdzie miał oczekiwać dalszych rozkazów.

- Teraz, skoro już jesteśmy *entre nous* - rzekł kapitan Kunze do doktora Rupperta po odejściu policji - czuję się w obowiązku poinformować pana, że Mader nie popełnił samobójstwa.

Wziął do ręki nie dokończony list do Ingrid Fiala.

- Mader pisał go tuż przed zaśląbnięciem. Nie brzmi to dla mnie jak pożegnalna epistoła. Jeżeli ktoś zażył albo zamierza zażyć truciznę, nie pisze do jakiejś tam panny o tapetach i koncercie Lilii Lehmann. Tak czy owak, samobójstwo jest tu wykluczone.

Doktor Ruppert poprawił pincenez.



- Może to nieszczęśliwy wypadek - rozważał głośno. - Czemu by nie? Ktoś chce wziąć aspirynę, sięga po niewłaściwy słoik i połyka truciznę na szczury. Nie byłbym jednak skłonny akceptować wersji otrucia. Nie wątpię, że internista w rodzaju doktora Brucka, o tak zawężonej praktyce, potrafi rozpoznać zapalenie gardła czy ślepej кишки, ale nie może stwierdzić, że to było otrucie. Wykluczone! Takie pobieżne oględziny nie wystarczą. Proponuję więc poczekać na wynik sekcji i od tego uzależnić dochodzenie.

Kapitan Kunze nie odpowiedział. Nie pierwszy raz obserwował Rupperta w akcji i miał go za bardzo kiepskiego lekarza i zarozumiałego głupca. Szczególnie teraz, pośród całej tej grozy: fetoru gwałtownej śmierci, młodego ciała powalonego niczym monstrualny owad, raziła go małość Rupperta i oburzał sposób, w jaki potraktował doktora Brucka, tego łagodnego puchacza, bardzo semickiego i ogromnie mądrego zarazem. Co więcej, cała ta sprawa mierzyła go i miał nadzieję, że mu jej nie przydzielą.

Anna i Friedrich Gabrielowie mieszkali na trzecim piętrze starego domu bez windy za Burgtheater. Wspinanie się po wąskich, stromych i wyszczerbionych schodach było równie męczące jak wdrapywanie się na alpejski szczyt, toteż kiedy Anna dotarła do frontowych drzwi, była jak zwykle bliska utraty tchu. Miała nadzieję, że Fritza, bo tak nazywała męża, nie

ma jeszcze w domu, ale przestała się łudzić, kiedy weszła do przedpokoju i dostrzegła światło w saloniku.

- Co się stało? - spytał. - Myślałem, że jesteś u doktora Lorenza.

Tego ranka oznajmiła mu bowiem, że wróci do domu później, gdyż dentysta może ją przyjąć dopiero przed szóstą.

- Wezwano go do jakiegoś nagiego wypadku. Asystentka odprawiła pacjentów i zamknęła gabinet - kłamała szybko i gładko. Nie musiała się mieć na baczności przed Fritzem, bo nigdy nie wypytywał o szczegóły. Nie z głupoty czy łatwowierności, ale dlatego, że jej ufał bez zastrzeżeń.

- Co robiłaś całe popołudnie? - zapytał Annę.

Mieli zwyczaj zdawać sobie nawzajem relację z godzin, które spędzali osobno. Fritz Gabriel pracował na poczcie przy Mariahilferstrasse, w pobliżu Dworca Zachodniego. Bardzo ruchliwy był to urząd, odwiedzany przez najdziwniejsze typy, toteż zazwyczaj opowiadał Annie o zdarzeniach, które, jak sądził, mogły ją rozbawić. Lubiała słuchać męża, ale nie mogła uwolnić się od podejrzeń, iż stara się ją przekonać, jak go ta praca na poczcie cieszy i że mu wcale nie żal służby w wojsku, której się wyrzekł dla żony.

Obiad jadali zawsze w domu. Na kolację zaś były przeważnie resztki z obiadu, wędlna lub mięso na zimno i herbata. Anna miała tylko dochodzącą na parę godzin służącą, toteż codziennie przed południem zajęta była sprzątaniami, zakupami i gotowaniem, ale od drugiej do siódmej wieczorem była wolna. Relacje jej z tych godzin nie były, oczywiście, tak szczegółowe i prawdziwe jak Fritza. Niczym ocenzone w policyjnym państwie gazeta zawierały przymusowe luki w treści.

Z gronem dawnych kolegów Gabriela z wojska utrzymywali nikłe kontakty, Obracali się teraz w towarzystwie pisarzy, dziennikarzy i muzyków, którzy Fritza lubili, Annę zaś adorowali. Narzuciła sobie surową zasadę nie romansowania z mężczyznami, którzy w najmniejszym nawet stopniu związani byli z ich obecnym gronem znajomych.

- Nie odpowiedziałas mi jeszcze, co robiłaś cały dzień - przypomniał jej mąż.

Była wyraźnie zdenerwowana, co się prawie nigdy nie zdarzało. Wspólnie spędzane wieczory stanowiły najmiłszą i dającą wytchnienie porę dnia. Tym razem wyczuwał w niej jakiś zastanawiający niepokój.

- Nic szczególnego - wzruszyła ramionami. - Wpadłam na krótko do mamy. Mówiła mi, że podagra ojca znów daje znać o sobie. Widziałem też przelotnie cesarza, jak wyjeżdżał z Mariahilferstrasse na Ring. Widocznie powracał z Schönbrunn. Był dosyć blady, ale może mi się tylko tak zdawało, bo jechał w zamkniętym powozie.

Opowiadała to w sposób jakiś nieskładny i chaotyczny.

„Coś się musiało przydarzyć” - pomyślał i dziwił się, dlaczego mu o tym nie mówi. Postanowił jednak udawać, że nie dostrzega jej nastroju.

- Uśmieliśmy się dziś bardzo na poczcie - odezwał się Friedrich, kiedy cisza w pokoju zaczęła już być męcząca. - Przyszedł jakiś człowiek i poprosił o tysiąc dziesięciohalerzowych znaczków. Sądząc z odzieży musiał to być stolarz albo murarz, toteż spytałem go, po co mu aż tyle. Nie zgadniesz, co odpowiedział. Otóż, słyszał, że ma podrożyć

opłata za listy do dwunastu halerzy, więc chce zrobić zapas dziesięciohalerzowych znaczków, żeby je potem sprzedawać z zyskiem. Niewiarygodne, co?

Skwitowała to prędko i skwapliwie śmiechem, starała się bowiem za wszelką cenę ukryć dręczące ją przerażenie. Nie dlatego, że się coś nagłego przydarzyło Maderowi, ale że o mały włos i ją też mogło to samo spotkać. Gdyby zjawiła się tam o parę minut wcześniej, w chwili wypadku, bo musiał to być z pewnością wypadek, byłaby już w jego mieszkaniu i zapewne w łóżku. Lata całe udawało jej się przeżywać miłosne przygody nie narażając na szwank swego małżeństwa. Nie było to nawet takie trudne, zważywszy, iż Fritz tak jej wzruszająco ufał. Nabrała więc śmiałości i przestała być ostrożna, zapominając o tym, że wystarczy jakieś niebaczne słowo albo nieoczekiwane spotkanie z mężem, żeby zniweczyć bezpowrotnie jej małżeńskie szczęście.

- Kocham cię, Fritz - powiedziała.

Spojrzał na nią zdziwiony. Nie byli z natury wylewni. Traktowali nawzajem swe uczucia jako sprawę najzupełniej oczywistą, której nie trzeba było manifestować słowami. Całowali się na powitanie oraz pożegnanie i często sypiali ze sobą. Poza tym byli także dobrymi przyjaciółmi.

- Wiem o tym - odpowiedział siląc się na naturalny ton, choć targał nim niepokój. To nagłe wyznanie uczuć uderzyło go w równym stopniu, co uprzednio zdenerwowanie Anny. Podeszedł do pieca i zaczął grzebać w palenisku, ale Anna nie zmieniła tematu.

- Kocham cię bardziej niż własne życie - dodała. - Pamiętaj o tym zawsze. Bez względu na cokolwiek.

Wysoki i szczupły książę Hohenstein miał twarz hiszpańskiego granda z płócien El Greco. W ruchach przypominał rasowego konia. Kiedy podchodził do krzesła, miało się wrażenie, że je raczej przeskoczy, niż na nim usiądzie. Był ogromnie uprzejmy, bezpośredni i nadzwyczaj inteligentny. Miał wybitne zdolności do matematyki, ale tradycja rodzinna wymagała, by drugi według starszeństwa syn poświęcił się bezwzględnie wojskowej, a nie uniwersyteckiej karierze. Należy więc poczytać armii za zasługę, że poznano się na nim i dano mu zajęcie w Sztabie Generalnym.

- Czy wtedy, w toalecie, widziałeś Madera po raz ostatni? - zapytał Kunze księcia.

Choć nie znali się przedtem, mówił do niego per „ty”, co było zasadą wśród oficerów tej samej rangi, podobnie jak wśród zwierzchników, gdy zwracali się do podwładnych, z wyjątkiem tych sytuacji, które wymagały bardziej oficjalnego tonu.

Siedzieli obaj w kancelarii kapitana, mieszczącej się w budynku sądu wojskowego przy Hernalser Gürtel. Tego ranka powiadomiono kapitana Kunze, iż zostaje odkomenderowany do prowadzenia śledztwa w sprawie Richarda Madera.

Hohenstein zastanowił się chwilę.

- Widziałem go jeszcze raz około piątej po południu. Minąłem się z nim na korytarzu. Nasz wydział - wydział szyfrów - sąsiaduje z

wydziałem telegrafu, gdzie pracował Mader. Zniosłem im telegram i spotkałem Madera. Miał już na sobie płaszcz, czako i rękawiczki. Wychodził nieco wcześniej, więc spytałem, czy może wybiera się na węgry. Uśmiechnął się i odrzekł, że spieszy do domu, bo spodziewa się odwiedzin.

- Kobiety czy mężczyzny?

- Tego nie mówił. Nie pamiętam dokładnie, ale chyba powiedział tylko „odwiedziny”, nie mówiąc czyich.

- Czy prócz kapitana von Gerstena znasz kogoś, kto dostał reklamówkę Charlesa Francisa?

- Nie znam. Ale to wcale nie znaczy, że nikt więcej jej nie otrzymał. Pracujemy razem z Gerstenem i znajdowaliśmy się obaj w pokoju, gdy roznoszono pocztę. To był tylko przypadek, że Mader wszedł do toalety, kiedy obaj z Gerstenem pozbywaliśmy się tego paskudztwa.

- Wielka to szkoda - zauważył Kunze. - Dlaczego kopertę razem z zawartością wrzuciłeś do klozetu zamiast do kosza na śmiecie? Mam nadzieję, Rudolf - dodał spiesznie - że nie zrozumiesz źle mego pytania. Po prostu muszę się dowiedzieć, jak ta przeklęta rzecz wyglądała.

- Była to zwykła koperta z ulotką i pudełeczkiem, w którym znajdowały się dwie kapsułki zawierające rzekomo pobudzającą substancję. Uznaliśmy z Gerstenem, że nadawca jest jakimś szarlatanem i lepiej będzie, jak wrzucimy „to” do klozetu.

- Oczywiście, nie wiemy jeszcze, czy śmierć Madera może mieć jakiś związek z ową substancją - ciągnął Kunze. - Z tego, co o nim

mówią, wnoszę, iż był za inteligentny, aby się dać nabrać na taki nędzny kawał.

- Bardzo zacny był to chłop i świetny kolega. Będzie go nam w Korpusie ogromnie brakować.

Kunze odprowadził Hohensteina do drzwi, po czym znów zasiadł przy biurku. Otworzył cienką teczkę z dokumentami i zaczął studiować sześć kartek zapisanych odręcznym pismem. Zawierały życiorys kapitana Madera oraz wszelkie dane, jakie udało się spieszenie zgromadzić: zaświadczenie o stanie zdrowia za ostatni rok, wykaz kwalifikacji zawodowych, charakterystyka przebiegu służby, a także poufna informacja o trybie życia Madera. Wystawiona na ostatniej stronie opinia służbowa była tej treści, że rodzice mieliby prawo pękać z dumy, a prowadzący śledztwo doznać rozczarowania. Siadu podejrzeń o jakąkolwiek źle widzianą działalność czy przynależność, o seksualne albo psychiczne odchylenia, konflikty lub okazywaną wrogość. *Un chevalier sans peur et sans reproche*. Komu mogło więc zależeć na zgładzeniu tego osobnika niemal idealnie nieszkodliwego i łagodnego, że dziw brał, jak taki człowiek mógł zostać członkiem Sztabu Generalnego.

Późnym rankiem policjant przyprowadził do kancelarii Kunzego na przesłuchanie panią Czepa, żonę stróża domu, w którym mieszkał Mader. Wymizierowana, z zapadniętymi ustami przypominała z postury i koloru miotłę na długim kiju - symbol tej profesji.

Jakiś czas rozwodziła się nad różnymi, mało istotnymi sprawami. Kunze słuchał sennie, gdy nagle orzeźwiła go rzucona przez nią uwaga.

- Ordynans Boka już nadchodził z doktorem Bruckiem, kiedy raptem zjawiała się ta młoda damulka. Jak ją Boka zobaczył, to zbieła na twarzy i krzyknął do niej, żeby sobie szła precz.

- Co to znaczy „zbieła na twarzy”?

- To co mówię. - Wzruszyła ramionami. - Biały był jak płótno. - Przeczekała chwilę, a potem zniżyła głos do szeptu. - Wyglądało na to, że nie chciał, żeby tam była, jak przyjdzie policja. Może ona coś wiedziała, a on się bał, że wygada?

Pani Czepa miała skrytą urazę do Boki. Krótco po wprowadzeniu się Madera posprzeczała się z Boka o śmieci, które dozorca miał obowiązek odbierać od lokatorów. Boka, nieodrodny syn węgierskiej puszczy, rzucił parę cierpkich uwag pod adresem Austriaków, w ogóle, a szczególnie ich niechęci do pracy fizycznej, pani Czepa z kolei zakwestionowała legalność małżeństwa jego rodziców. Szczęściem nadszedł w porę kapitan Mader, co zapobiegło grubszej awanturze i rękoczynom. Od tej pory była z ordynansem na wrogiej stopie.

- Więc była to młoda dama - rzekł kapitan. - Czy to znaczy, że wyglądała na szanującą się osobę?

- Na dziwkę nie wyglądała, jeśli panu kapitanowi b to chodzi.

- Co ją mogło, waszym zdaniem, łączyć z ordynansem?



- Po mojemu znali się jak łyse konie. Kiedy do niej krzyknął, to się jakby trochę zdziwiła, ale szybko zawróciła i uciekła.

- Była już tam kiedyś?

- Widziałam ją raz jeden. Na schodach. Wychodziła z mieszkania kapitana Madera.

- Kapitan był wtedy w domu?

- Nie wiem. Chyba tak. Było około siódmej wieczorem, a on przeważnie wracał o szóstej.

„Jeżeli Mader był w domu, jasne, że to jego zamierzała odwiedzić” - wywnioskował Kunze.

Tego samego jeszcze dnia policja i władze wojskowe otrzymały wyniki sekcji zwłok kapitana Madera. Przyczyną śmierci było zatrucie cyjankiem potasu. Chociaż badania nie dobiegły jeszcze końca, stwierdzono już, że taką dawkę cyjanku można byłoby uśmiercić ponad dziesięć osób.

Kunze odprawił panią Czepa i poprosił dyżurnego sierżanta, by sprawdził, czy doktor Marx Bruck ma telefon. Sierżant niebawem podał mu numer. Kapitan jednak musiał odczekać parę minut, zanim posłyszał w słuchawce skrzeczący głos staruszka. Zapytał doktora, czy przypomina sobie ową tajemniczą damę, która uciekła, kiedy ją Boka ostrzegł.

- Niestety, nie pamiętam - odrzekł doktor. - Ze słów ordynansa zrozumiałem tylko, że kapitan jest w krytycznym stanie i że należy się spieszyć. Nie mogliśmy z początku przebić się przez tłum zebrany przed domem. Słyszałem, że ordynans coś krzyknął, ale sądziłem, że na

ludzi, aby się rozstąpili. Przykro mi, ale nic więcej sobie nie przypominam.

- Proszę się nie kłopotać, doktorze. Jeśli tam była owa kobieta, to ją odnajdziemy. Raz jeszcze dziękuję za pańską pomoc. Pragnę też powiadomić - dodał - że diagnoza pana była słuszna. Kapitan Mader istotnie zmarł od zatrucia cyjankiem potasu.

- Nie miałem ani krzty wątpliwości - zaśmiał się doktor.

- Wiem. Uważałem jednak za słuszne powiadomić o tym pana.

Kunze żałował, iż nie może powiadomić o tym także doktora Rupperta, chociaż na nic by się to zdało. Ludzie tego co on pokroju nie przejmują się własnymi potknięciami i nie myląc kroku idą dalej z głową do góry i butnym spojrzeniem, gotowi zmiażdżyć każdego, kto się ośmieli rzucić im prawdę w oczy.

Kapitan Kunze polecił wezwać Bokę na przesłuchanie. Kiedy czekał, aż go przyprowadzą, uczył w głębi prawego oka szarpiący ból, który niczym żarłoczne zwierzątko drążyć zaczął czaszkę. Mdlilo go przy tym, choć od rana nie miał nic w ustach. Ostatnio coraz częściej nawiedzały go podobne ataki migreny, toteż zastanawiał się nad ich przyczyną. Wiódł przyjemne i uregulowane życie, w którym było wszystko, co składa się na pojęcie tak zwanego potocznie „szczęścia”: dobre zdrowie, zadowolenie z pracy i pogodna atmosfera w domu.

Emil Kunze wstąpił do służby czynnej stosunkowo późno. Możliwość tę stworzył mu generał Hartmann, stary znajomy, a właściwie przyjaciel, chociaż charakter ich stosunków nie upoważniał

do nazywania go w ten sposób. Nastąpiło to wkrótce po manewrach w 1902 roku, w których Kunze brał udział jako podporucznik rezerwy. Matka kapitana była przez piętnaście lat gospodynią u Hartmannów, on sam zaś wychowywał się w ich bezpretensjonalnej i wygodnej willi położonej w olbrzymim, ale zaniedbanym ogrodzie.

Wilhelmina Kunze, córka nauczyciela, była szczupłą, nawet niebrzydką istotą, o ascetycznym i pozbawionym ziemskiego powabu wyglądzie średniowiecznej świętej. Otrzymała staranne wykształcenie i miała nieskazitelne maniery damy. Zastanawiano się często, czemu wybrała służbę w domu innej kobiety, zamiast wyjść za mąż i być panią u siebie.

Kiedy mając dwadzieścia pięć lat urodziła syna, Emila, była przez krótki czas żoną sierżanta z wiedeńskiego pułku Deutschmeister, Herberta Kunze, który wkrótce po ślubie ulotnił się z jej życia równie cicho, jak się w nim pojawił.

- Tylko mi nie próbuj go szukać - powiedziała do syna, kiedy jako młodzieniec zapytał ją o tajemniczego sierżanta. - Był przyzwoitym człowiekiem i dobrym żołnierzem. Niech ci to wystarczy. Nazwisko, którym cię obdarzył, jest godne szacunku. Jeżeli w przyszłości zgłosi się ktoś do ciebie z żądaniami w imieniu sierżanta Herberta Kunze, to pokaż mu drzwi. Nie jesteś nic winien sierżantowi! Ani pieniędzy, ani uczucia. Żebyś o tym zawsze pamiętał!

Był to dość dziwny sposób mówienia chłopcu o jego domniemanym ojcu, ale Emil Kunze był przyzwyczajony do dziwactw matki. Nauczył się też szanować jej zamiłowanie do tajemniczości.

Pracowała ciężko na każdy grosz, bo w przeciwieństwie do innych służących miała na wychowaniu dorastającego syna. Pozycję w gospodarstwie też miała nietypową, jako że nie była właściwie ani służącą, ani członkiem rodziny. Sama zresztą taki układ narzuciła. To właśnie pani domu, jak na ironię, bardzo się ze swą gospodynią liczyła, a nawet trochę się jej bała, nie zaś odwrotnie.

Kunze podejrzewał, że matka musiała posiadać jakiś dodatkowy fundusz, z którego łożyła na jego wykształcenie, ubranie, opiekę lekarską i dwa razy do roku na fotografie robione w drogim atelier. Na siebie nie wydawała ani grosza. W niedzielne popołudnia, kiedy miała wychodne, zabierała go na długie spacery do lasu albo nad Dunaj, a na urodziny Emila i na urodziny cesarza do wesołego miasteczka na Praterze. Dwa razy w roku, kiedy fotografie były gotowe, prosiła panią Hartmann o dodatkowe wolne popołudnie, ubierała się nadzwyczaj starannie i wyjeżdżała do miasta. Wracała po paru godzinach i przez najbliższe dni była jeszcze bardziej milcząca niż kiedykolwiek. Zwyczaj dwukrotnego znikania w ciągu roku praktykowała do samej śmierci. Do tego czasu Emil ukończył prawo i otrzymał posadę w wielce szacownej kancelarii adwokackiej Tellera i Bauera. Nalegał, by matka porzuciła służbę, ale Wilhelmina Kunze dalej prowadziła dom u Hartmannów. Dopiero atak serca położył kres jej trudom i życiu. Ku swemu wielkiemu zdumieniu Kunze dowiedział się, że miała odłożone dziesięć tysięcy florenów. „To dla mego ukochanego syna, Emila - napisała w testamencie - by mu wynagrodzić nieszczęśliwe dzieciństwo bez ojca”.

Nieraz żałował, że nie może jej powiedzieć, jak bardzo się myliła. Nie czuł się wcale nieszczęśliwy i nigdy nie pragnął być kimś innym niż Emilem Kunze, synem pani Wilhelminy. Generał Hartmann, jego żona, córka i dwaj synowie traktowali go jak członka rodziny. Poza tym gdzieś na świecie istniał człowiek, który go spłodził i czuwał nad nim z daleka. Przyjęcie go do pracy u Tellera i Bauera, podobnie jak odkomenderowanie do Korpusu Sądowniczego, było niewątpliwie przejawem tej ojcowskiej troski. Ów nieznany ojciec wydawał się Emilowi stroniącym od śmiertelnych bogiem z Olimpu. W latach młodości często ogarniało Emila przemożne pragnienie, by, jak Faeton, odszukać swego Heliosa. Jednej rzeczy był tylko pewny: sztabowy sierżant Herbert Kunze, którego zobaczyć nie było mu nigdy dane, nie był owym Heliose.

Chociaż Emil Kunze pozostał kawalerem, szczęśliwym trafem dane mu było doznawać wszelkich dobrodziejstw małżeństwa bez jego ciężarów. Kobieta, z którą mieszkał, Róża von Siebert, była uosobieniem wszelkich zalet żony. Kochała go czule i niezmiennie, była lojalna, taktowna i wyrozumiała. Uważał siebie za mężczyznę o przeciętnym wyglądzie, nieźle zakonserwowanym jak na swoje trzydzieści osiem lat, o twarzy, która z racji bladości bardziej przystoi duchownemu niż żołnierzowi. Wiedział, że jego ciemne blond włosy zrzedły oraz lekko posiwiały na skroniach, oczy zaś są matowe i bure jak wody Dunaju, który bywa modry tylko w piosenkach. Nigdy naprawdę nie dbał o to, jakie wrażenie sprawia na ludziach. Był miłym, dobrze ułożonym, choć trochę zamkniętym w sobie chłopcem, niegdys

tolerowanym łaskawie w domu obcych ludzi, a teraz dojrzałym już mężczyzną.

Różę poznał trzy lata temu. Wynajął wówczas dwa pokoje w jej wysokim, przeładowanym luksusowymi drobiazgami mieszkaniu przy Zaunergasse i tak się zaczęła ich znajomość. Cały rok minął, nim udało się Róży zwabić go do łóżka. Chociaż z lokatora przeistoczył się w kochanka, dalej uparcie przestrzegał warunków umowy: płacił wysokie komorne za dwa pokoje i także połowę wydatków na dom i służbę. W zamian wymagał absolutnego poszanowania swej osobistej niezależności. Nie wolno było Róży przychodzić do niego bez zaproszenia, domagać się, by uczestniczył w jej przyjęciach lub poznawał jej przyjaciół. Z początku próbowała kwestionować jego żądania, ale kiedy zagroził, że się wyprowadzi, przystała na wszystko.

Już na samym początku ich romansu jasno przedstawił sprawę, iż będą mogli się pobrać dopiero wtedy, kiedy go mianują pułkownikiem, na co trzeba było czekać co najmniej dwadzieścia lat. Róża była wdową po ministrze i żyła z państwowej renty. Oficerowie cka armii, chociaż otoczeni splendorem i prestiżem, otrzymywali bardzo skromne gaże. Ponadto, regulamin wymagał złożenia wysokiej kaucji małżeńskiej, której oboje zgromadzić nie byli w stanie. Dopiero od rangi pułkownika wzwyż oficerowie otrzymywali dostatecznie wysokie uposażenie, tak że mogli się żenić bez konieczności składania finansowego zabezpieczenia, pod warunkiem jednak, że oblubienica miała nieskazitelną opinię. Róża przewidująco uczyniła swego szwagra właścicielem mieszkania, toteż nie było żadnego dowodu jej zażyłości z

lokatorem. Taki wybieg stosowano powszechnie w całej monarchii. Śmieszyło Kunzego, że wojskowy kodeks honorowy nie bronił oficerowi żyć w grzechu, ale miał za złe, gdy ten chciał go potem zalegalizować. Była to jedna z owych dziwacznych sprzeczności, z powodu których armia wydawała się niekiedy jakby dużym, ale zapóźnionym w rozwoju dzieckiem.

- Kim była ta kobieta? - kapitan Kunze po raz piąty pytał o to Boką podczas przesłuchania.

Po raz piąty Boka odpowiedział:

- Jaka kobieta, proszę pana?

- Do licha, Boka! Dobrze wiecie, o kogo mi chodzi!

Na to Boka zaczął się rozwodzić nad tym, jak znalazł kapitana Madera na podłodze w korytarzu, zaniósł do sypialni, pobiegł po pomoc i wrócił z lekarzem. Relacja ta nie zawierała żadnych nowych szczegółów, a w dodatku Boka mówił tak cudaczną niemczyzną, iż trudno go było pojąć. Kapitan aż się dziwił, jak Mader mógł w ogóle porozumieć się ze swym ordynansem. W końcu, straciwszy cierpliwość wezwał pewnego Węgra, porucznika Szabó, jednego z kandydatów na prokuratora wojskowego, by wypytał Bokę w ich ojczystym języku.

O ile z zachowania się i usposobienia Kunze był bardziej sadownikiem niż wojskowym, to porucznik Szabó był żołnierzem w każdym calu. Niski, przysadzisty, z masą niesfornych kędziorów - wyglądał jak puli, zajadły owczarek z węgierskiej puszczy. Głos też miał podobny: wyszcze kiwał pytania tak ostro i donośnie, że Kunzemu aż

świdrowało w mózgu. W jakimś momencie przeląkł się nawet, że porucznik ukąsi ofiarę.

Boka wytrzymał ten zaporowy ogień pytań ponad godzinę, co mu należy poczytać za zasługę. Na początku odszczeniwał odpowiedzi piskliwym, świdrującym głosem, który potem stracił na sile i wartkości, aż w końcu przemienił się w szept.

Dokładnie w siedemdziesiąt dwie minuty po zjawieniu się porucznika Szabó Boka wyjawiał nazwisko: pani Friedrichowa Gabriel.

Po raz pierwszy nazwisko Richarda Madera pojawiło się w wiedeńskiej prasie 19 listopada 1909 roku. Czołowy dziennik poranny wydrukował w dziale wiadomości miejskich następującą wzmiankę:

*„Siedemnastego listopada wieczorem ordynans natknął się na zwłoki kapitana Richarda Madera, jednego ze znakomitszych młodych oficerów Sztabu Generalnego. Wobec faktu, iż kapitan Mader odznaczał się pod każdym względem świetnym zdrowiem, policja wszczęła śledztwo mające na celu wyjaśnienie okoliczności jego nagłego zgonu”.*

Zaraz poniżej następowała wiadomość o wypadku na Kärtnerstrasse. Konie Paula Homera, dorożkarza, poniosły z niewiadomej przyczyny wywołując panikę, w czasie której siedemdziesięcioletni właściciel trafiki odniósł lekkie obrażenia. Dzięki wysiłkom oficera policji, Michaela Rosnera, udało się konie ujarzmić.

Chociaż obu informacjom poświęcono tyle samo



miejsca, reporterzy zbiegli się pod biuro szefa policji, Brezovsky'ego nie po to, aby wywiedzieć się o stan zdrowia rannego właściciela trafiki. Za parę koron wciśniętych do ręki ubranym po cywilnemu i oczekującym na rozkazy policjantom dowiedzieli się o zwołanej pospiesznie naradzie, która się właśnie odbywała za grubo obitymi drzwiami gabinetu samego szefa, a udział w niej brali: generał Kutschera z wiedeńskiego garnizonu, kapitan Emil Kunze - prokurator wojskowy, inspektor policji i zarazem oficer łącznikowy z żandarmerią - Weinberger oraz szef prokuratury wojskowej - generał Wencel. Tematem narady była śmierć kapitana Madera.

Policja odrzuciła możliwość samobójstwa i skupiła wysiłki na odszukaniu sprawcy. Badano wszelkie poszlaki wiodące do jego wykrycia i wyjaśnienia motywów zabójstwa. Mógł to być członek antymonarchistycznej organizacji, jakiś Serb, Chorwat czy Węgier, zazdrosny mąż lub pominięty w awansie urażony kolega - oficer albo rywal. Mógł to nie być wcale „on”, lecz „ona”, na przykład jakaś porzucona kobieta. Plotki oraz domysły były jednak tak mętne i sprzeczne, że nawet reporterzy żadnej sensacji prasy brukowej nie mieli odwagi ich drukować.

O dziesiątej trzydzieści rano ciemnowłosa młoda kobieta w eleganckim zielonym kostiumie szła pod eskortą agenta po szerokich schodach, przez nie kończące się korytarze i zatłoczone poczekalnie aż do kancelarii szefa policji. Chociaż twarz miała zasłoniętą gęstą woalką przyczepioną do frywolnie ozdobionego kapelusza, jeden z reporterów zdołał ją rozpoznać. Była to Anna Gabriel.

Reporter należał do koła cyganerii artystycznej, w którym obracali się Gabrielowie, i był zaskoczony obecnością pani Gabriel na przesłuchaniu w Prezydium Policji. Przebił się przy użyciu łokci przez tłum kolegów i dopędził ją tuż pod drzwiami.

- Pani Gabriel? Na miłość boską, czego oni od pani chcą?!

Zatrzymała się i popatrzyła na niego z całkowitą obojętnością. Za gęstą woalką oczy jej wydawały się jeszcze większe i mroczniejsze niż zazwyczaj. Była wyraźnie speszona i zalękniona.

- Ta pani jest tu nie po to, żeby prowadzić rozmowy, panie Swoboda - rzekł detektyw stając między nimi. Uprzejma z pozoru uwaga wypowiedziana była tonem dalekim od grzeczności. Reporter cofnął się, oni zaś zniknęli za grubo obitymi drzwiami.

W trakcie długoletniej służby w armii generał Wencel często spotykał się z baronem von Campanini zarówno urzędowo, jak i na towarzyskim gruncie. Obserwował, jak Anna z pucołowatej dziewczynki wyrastała na niepokojąco powabną kobietę. Wiedział o jej przedmażeńskich przygodach i jako przedstawiciel sądownictwa wojskowego miał swój udział w wymuszonym na jej ojcu wycofaniu się z czynnej służby.

Teraz oto Anna von Campanini, ta sama, która przed laty kaląła dobre imię austro-węgierskich oficerów swoim niechlubnym prowadzeniem, stanęła przed nim jako świadek, być może nawet jako podejrzana w sprawie wyjątkowo ohydneho morderstwa.

Generał Karl Wencel miał dziś zły dzień. Wrzód żołądka znów dawał znać o sobie, podrażniony niewątpliwie najnowszą eskapadą

kochanki generała, podrzędnej aktoreczki z Theater an der Wien. Kiedy rzekomo miała bawić u chorej babki w Grazu, widziano ją z pewnym włoskim hrabią w Monte Carlo. Na widok jeszcze jednej nieposkromionej niewiasty poczuł tępy ból w głębi żołądka, a także mękę zazdrości i doznanego zawodu. Sama już zazdrość była wystarczającą aż nadto udręką. Najbardziej jednak poruszony był brakiem poczucia lojalności wśród młodego pokolenia. Miał pięćdziesiąt sześć lat i daleko mu było do starości, a jednak w kobietach i mężczyznach, którzy nie przekroczyli jeszcze trzydziestki, dostrzegał niepokojącą i niepojętą wrogość. Młodzież nowego stulecia, nie wyłączając jego kochanki, sprawiała wrażenie chciwej, niewdzięcznej i zepsutej. Nie doceniała zupełnie tego, co pokolenie generała dla niej stworzyło: pokojowej, dostatniej monarchii, w której każdy, kto chciał pracować, miał równą szansę. Niższe warstwy społeczne brały udział w bezsensownych i hałaśliwych ulicznych demonstracjach oraz strajkach organizowanych przez Partię Socjalistyczną, a wyższe sfery trwoniły czas na bzdurnych wybrykach, pojedynkach, swawoli i rozpuście. Mówiło się wiele o grożącej wojnie. Jak większość wojskowych czuł, że jest nieunikniona. Co więcej, pragnął jej, bo wierzył, że jest oczyszczającą siłą, która uwolni monarchię od plugastwa i bezhołowia, przywracając dawny ład i czystość moralną.

Nie tylko kochanka przysparzała mu zmartwień, lecz także własna żona, w której nastawieniu dostrzegał wyraźne zmiany.

Przez dwadzieścia lat ich małżeństwa Lili Wencel zawsze troszczyła się o jego karierę, nie stawiała wymagań i cierpliwie znosiła

jego małżeńskie zdrady. Odziedziczyła po ojcu nie tylko majątek, ale też ojcowskie walory umysłu i ów dystans do świata i ludzi, który być może jest tylko pychą bogaczy. Zrobiła się raptem nerwowa i kapryśna. Z początku kładł to na karb pogody, niezwykle! fali upałów we wrześniu, ale wkrótce nastąpiły chłody, a jej zmienność nastrojów trwała nadal. Chcąc nie chcąc złożył to na karb klimakterium i potraktował jako dodatkowe zmartwienie.

Po przeprowadzeniu wstępnych formalności, takich jak dokładne sprawdzenie personaliów, kapitan Kunze rozpoczął przesłuchanie.

- Pani Gabriel, proszę nam powiedzieć, co robiła pani pod domem numer pięćdziesiąt sześć na Hainburgerstrasse, siedemnastego listopada o szóstej wieczorem?

Mąż Anny przeczytał wiadomość o śmierci Madera w porannym dzienniku. Leżała jeszcze w łóżku, kiedy przyszedł z wiadomością, wstrząśnięty i blady. Obaj z Maderem byli z tego samego rocznika Akademii Wojennej, a potem służyli razem jako oficerowie polowi w 15 pułku piechoty w Braszowie. Chociaż kontakty z Maderem urwały się po wystąpieniu Gabriela ze służby, nagła śmierć dawnego kolegi zasmuciła Fritza głęboko. Poczł także wyrzuty sumienia. Mader był jednym z nielicznych, którzy mu złożyli serdeczne życzenia z okazji ślubu. Gabriel nigdy mu nawet nie podziękował, gdyż wyrzucił notes z adresami kolegów z wojska, tym samym jakby wymazując ich z pamięci. Nagle zdał sobie sprawę z niewłaściwości swego postępk. Mader

wyciągnął do niego rękę, a on zlekceważył ten gest. Nie sposób już tego naprawić, skoro Mader nie żyje.

- Co robiłam na Hainburgerstrasse? - powtórzyła Anna pytanie. Do momentu, kiedy ją tu wprowadzono, nie wiedziała, czego może chcieć od niej policja. Gdy rozpoznała generała Wencla i dostrzegła dwóch innych mężczyzn w mundurach, którzy patrzyli na nią z powagą, chłodno i nieufnie, domyśliła się, że przesłuchanie ma związek ze śmiercią Madera. Nie miała pojęcia, czy wiedzą o ich romansie, czuła jednak, że musi być ostrożna i nie dać się wciągnąć w pułapkę.

- Przechodziłam tamtędy.

- Zna pani szeregowca Bokę?

Zmarszczyła brwi. Nazwisko wydało się jej znajome. Nagle przypomniała sobie ordynansa kapitana Madera. To on właśnie krzyknął do niej sprzed domu. Pamięć Anny pograżyła się nawet głębiej jeszcze w odmęty przeszłości. Wiele lat temu często widywała owego żołnierza koło szkoły jezdzieckiej, gdzie wykładał jej ojciec. Widocznie służył wówczas u jakiegoś oficera, bo nie zdarzyło się jej widzieć go w stajniach.

- Nie znam szeregowca Boki - odpowiedziała z lekkim oburzeniem. Córka majora kawalerii nie musi przecież pamiętać jakiegoś szeregowca dlatego tylko, że kręcił się w pobliżu szkoły.

- Dlaczego pani zawróciła, gdy krzyknął, by nie wchodzić do mieszkania kapitana Madera?

- Nie wiem, o co panu chodzi? Skąd pan przypuszcza, że zamierzałam pójść do jego mieszkania?

- Czy nie odwiedziła go pani szóstego i ponownie dwunastego listopada?

Patrzyła na kapitana Kunze skamieniała ze zdziwienia. Pewnie ten przekłety ordynans wszystko wypaplał. Może nawet sam Mader?

„Boże, nie dopuść - myślała - by się Fritz o tym dowiedział”.

- A jeśli nawet odwiedzałam, to co z tego? - spytała buńczucznie. Głupio byłoby teraz zaprzeczać, skoro prowadzący śledztwo znał, jak widać, wszystkie fakty. Ale to jeszcze nie powód, by upadać na duchu. Przecież nie ma nic wspólnego z morderstwem Richarda Madera. Musiało to być na pewno morderstwo, gdyż inaczej nie robiono by tyle szumu wokół tej sprawy. Jeśli przekona ich, że nie ma z tym absolutnie nic wspólnego, to ją puszczą wolno. Zastanawiała się parę sekund, jak dalece ma być z nimi szczerą.

- Tak, odwiedzałam go - odrzekła wreszcie -

w dniach, które pan wymienił. Za każdym razem, kiedy wychodziłam, był zdrow i cały. Przedwczoraj nawet go nie widziałam. Pan to właśnie stwierdził, prawda? - Czekala na reakcję z jego strony, ale bez skutku. - Jakież więc sens miało sprowadzać mnie tutaj i wypytywać o fakty, które nie mają żadnego związku z tą sprawą.

- To my już o tym zadecydujemy, pani Gabriel - odrzekł szorstko generał Wencel. - Co nam pani powie o kapitanie Mollu?

Poprzedniego wieczora kapitan Karl Moll, też świeżo wcielony do Sztabu Generalnego, powiadomił władze o otrzymaniu przesyłki od

Charlesa Francisa. Nie zniszczył jej, tylko wraz z reklamowym prospektem i kapsułkami dostarczył do kwatery zwierznika.

- A co się z nim stało? - spytała. Nie mogła umiejscowić tego nazwiska.

- W kwietniu i maju bieżącego 1909 roku widywano panią często wchodzącą i wychodzącą z jego mieszkania przy Singerstrasse.

Teraz już go sobie przypominała. To jeden z tych banalnych mężczyzn, których twarzy nawet się nie pamięta, choć sypiała z takimi już po wyjściu za Gabriela. Nigdy jej na kapitanie Mollu specjalnie nie zależało, toteż natychmiast o nim zapomniała, gdy tylko ich romans się skończył. Kiedy nagle padło jego nazwisko, przestraszyła się, nie mogąc doszukać się w tym żadnego związku.

- Czy on też nie żyje? - zapytała, nie pojmując nawet, co ją skłoniło, by zadać takie pytanie. Musiało jednak pasować do ustalonego przez tych pięciu odpychających mężczyzn łańcucha założeń, ponieważ nagle porzucili sztuczną obojętność i wymienili między sobą znaczące spojrzenia.

- Nie, ocalał. Podobnie jak księżę Hohenstein - odparł Wencel.

Jeszcze jedno nieoczekiwane nazwisko. „Co oni chcą ze mną zrobić?” - zastanawiała się Anna. Najpierw Moll, a teraz księżę. Czyżby zamierzali rozkopywać jej przeszłość niczym starożytne miasto zagrzebane pod wielowiekową warstwą piasku i wyciągać na światło dzienne każdą obtłuczoną amforę, potrzaskaną mozaikę czy zapomniane bóstwo i opatrywać to wszystkim numerami?

Siedziała wyprostowana z uniesioną do góry brodą, jak dziecko, kiedy je spotka niezasłużona kara. W głowie miała chaos, mocno ścisnęła dłonie, by opanować ich drżenie. W pokoju panowała cisza. Generał Wencel oczekiwał wyraźnie odpowiedzi, której Anna nie kwapiła się udzielić.

Prokurator Kunze przerwał milczenie.

- Kiedy widziała pani po raz ostatni kapitana von Gerstena?

Trzecie nazwisko. Tym razem była całkowicie zbита z tropu.

- Nie sądzę, abym znała kapitana von Gerstena.

- Był jednym z uczniów ojca pani w Akademii Wojennej, z rocznika 1905.

Znów wymienili ze sobą spojrzenia.

- Ale księcia Hohensteina pani zna?

- Przedstawiono mi go kiedyś - przytaknęła szybko.

- Miała z nim pani romans, tak jak z kapitanem Maderem, Mollem i von Gerstenem?

- Z Gerstenem, nie! Przecież mówiłam, że go wcale nie znam!

- Ale przyznaje się pani do pozostałych? - wtrącił generał Wencel.

„Nie ma co tak triumfować” - pomyślała. Przyznanie się do trzech kochanków nie było żadnym przejęzyczeniem się z jej strony. Zrobiła to z rozmysłem. Nadal nie wiedziała, co ma na celu to przesłuchanie, ale jedno było pewne, że spenetrowali jej życie prywatne i w jakiś sposób odkryli romanse, które miała nadzieję zataić przed mężem. Nie mogą jej ukarać za to, że sypiała z mężczyznami, bo w



takim razie musieliby wtrącić do więzienia ponad połowę mieszkańek Wiednia. Mogą natomiast poinformować Fritza Gabriela, a to byłby już koniec wszystkiego. Musi z nimi wejść w układ, kupić ich milczenie mówiąc im wszystko, o czym chcieliby wiedzieć.

- Tak, przyznaję się do pozostałych. - Westchnęła głęboko. - Doprawdy, nie wiem, czego panowie ode mnie chcecie. Proszę powiedzieć, o co chodzi, a nuż mogłabym pomóc. Jest mi dosyć trudno...

- Czy pani mąż jest bardzo zazdrosny? - przerwał jej generał Wencel.

- Nie sędzę. - Serce zaczęło jej bić mocno. - Skądże! Dlaczego pan o to pyta?

Generał zignorował jej pytanie.

- Chce pani przez to powiedzieć, że nie ma jej za złe tych... - tu Wencel chrząknął i ciągnął dalej: - miłostek z dawnymi kolegami z Akademii Wojennej, którzy służyli z nim w tym samym pułku? To musi być imbecylem albo nie mieć ani krzty honoru!

Anna poczuła się dotknięta do żywego.

- Proszę nie mieszać w to mego męża! - zawołała. - To wspaniały człowiek! O surowych moralnych zasadach.

- I mimo tych moralnych zasad toleruje rozpustę żony? - wtrącił się szef policji Brezovsky, który do tej pory siedział nieruchomo z rękami założonymi na brzuchu, wodząc tylko oczami od twarzy do twarzy albo kręcąc nerwowo młynka kciukami, w czym przypominał

Annie okrutnie złego kota, który kręci końcem ogona to w tę, to w tamtą stronę.

- Wcale tego nie toleruje - odparła bliska płaczu. - To znaczy...  
Na pewno by nie tolerował, gdyby wiedział, ale...

Głos się jej załamał, nie mogła mówić dalej i nagle zamilkła z lęku przed tymi pięcioma surowymi mężczyznami i przed tym, co zrobią z jej małżeństwem. Spojrzała na twarz generała Wencła. Znała go osobiście, a także jego żonę. Wiedziała, że ma opinię podstarzałego donżuana. Pamiętała go jeszcze z dzieciństwa. Bywał ze swą elegancką i bogatą żoną, Lili, u matki Anny na towarzyskich spotkaniach. Miał zwyczaj brać Annę na kolana i żartować. Raz nawet przyniósł jej pudełko czekoladek.

- Trudno to pewnie pojąć - zwróciła się cichym głosem do generała, starając się zapomnieć, że w pokoju są jeszcze inni ludzie - lecz kocham mego męża nade wszystko w świecie. Ale nie potrafię być mu wierna. Może to się wydać dziwne. Nieraz nawet myślałam, czy nie pójść z tym do lekarza. Tylko do którego?

- Zdaje sobie pani sprawę z poświęcenia, jakie mąż dla pani zrobił? Kiedy zawiadomił dowódcę o zamiarze poślubienia pani, kazano mu wybierać: albo pani, albo kariera wojskowa. Wybrał panią. Czy jest pani tego świadoma? - spytał generał.

- Tak. Zawsze byłam.

- A jednak nie powstrzymało to pani od oszukiwania męża? - Wencel wysunął oskarżycielskim gestem palec w jej stronę.

Nie potrafiła znaleźć słów, by wytłumaczyć owemu zgromadzeniu surowych sędziów, że miłość do męża i pozamałżeńskie przygody to dwie zupełnie odrębne sprawy. Zdawała sobie sprawę, że zgodnie z przyjętą moralnością powinna poczuwać się do winy za własną rozwiązłość, lecz jednocześnie miała wrażenie, iż składa się jakby z dwóch istot: idealnej żony Friedricha Gabriela oraz ladacznicy uprawiającej wolną miłość, i że nie powinno się jednej z nich czynić odpowiedzialną za postęпки drugiej. A jednak postawili ją, żonę, przed sądem i każą odpowiadać za czyny tamtej, ladacznicy.

- Czekam na pani odpowiedź - upomniał ją generał Wencel.

Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem, co mam panu odpowiedzieć. - Nie miało sensu spierać się z nimi. Była rozpustnicą, którą on pragnął ukamienować, i zabrakło Chrystusa, który by ją ocalił. Pozostała jej więc skrucha jako jedyny ratunek, toteż była gotowa uciec się do niej, ale tylko przez wzgląd na dobro męża. - Wiem, że popełniłam straszliwy błąd...

- Niech pani używa liczby mnogiej - zażartował szef policji, na co generał Wencel zareagował kwaśnym uśmiechem, a na twarzach trzech pozostałych osób malowała się dalej kamienna powaga.

- Zgoda. Popełniłam straszliwe błędy - mówiła z nutą zjadliwości w głosie - których nie sposób już teraz naprawić. Jedyne, co mogę zrobić, to zmienić tryb życia i błagać Boga, aby mój mąż nigdy się o tym wszystkim nie dowiedział. Generale - raz jeszcze zwróciła się do Wencela - niech pan ratuje moje małżeństwo! Nie zna pan mego

męża. Jest najłagodniejszym i najwyrozumialszym człowiekiem na świecie, ale jeśli się dowie, że go oszukiwałam, to gotów jeszcze...

- Zabić panią, co? - przerwał ostro generał. Szorstkość jego tonu przeraziła ją.

- Chyba nie. Oczywiście, że nie. Ale... Wencel podniósł się i podszedł do Anny.

- Ale gotów pozabijać pani kochanków! Czy to właśnie chciała pani powiedzieć?

Cofnęła się.

- Skądże znowu! Proszę mnie nie pomawiać o takie słowa. Taka nedorzecznosc nie przyszlaby mi nawet do glowy!

- Moze jednak dowiedzial sie o pani zdradach i w porywie gniewu i rozgoryczenia postanowil zemscic sie na męzczyznach, z którymi go pani zdradzala?! - Krzyk generała sprawił, że zerwała się na równe nogi i szukała schronienia za oparciem krzesła.

Wreszcie uświadomiła sobie, do czego zmierza trybunał, i było to dla niej wstrząsem. Ktoś zamordował Madera i próbował zgładzić kapitana Molla i księcia. Niesamowitym zbiegiem okoliczności wszyscy oni byli jej kochankami. Z tej przyczyny Fritz wydał się im najbardziej podejrzany. Czy tylko wydał się? Matko Boża! To nie może być prawdą. Gdyby rzeczywiście dowiedział się o Maderze i innych, to przecież by poznała, zauważyłaby w nim jakąś zmianę. Gorączkowo próbowała odtworzyć w pamięci miniony ranek. Szczegół po szczególe. Jak był wstrząśnięty, kiedy się zjawił z wiadomością w sypialni. Gdyby miał zamiar wypróbować żonę albo zastawić na nią pułapkę, to zacho-

wywałby się całkiem inaczej. Byłby ją obserwował, czekając, aż się sama czymś zdradzi. Przecież on zupełnie nie zwracał uwagi na to, co ona mówi, był wyraźnie i szczerze wstrząśnięty nagłą śmiercią kolegi. Z drugiej znów strony, dwa dni wcześniej, kiedy wróciła z Hamburgerstrasse, dość stanowczo domagał się, by mu powiedziała, jak spędziła popołudnie. Zawsze ją o to pytał, ale siedemnastego listopada był jakby szczególnie dociekliwy.

Generał przechylił się poza oparcie krzesła. Czują jego oddech, gorący, cuchnący tytoniem i źle strawionym jedzeniem.

- Czyż nie tak było, pani Gabriel? - spytał szeptem.

- Nie! Pan się myli! Fritz nie zabił Madera ani kogokolwiek innego. Nie byłby do tego zdolny. Jestem jego żoną od czterech lat i nie przypominam sobie, żeby się kiedykolwiek rozgniewał. W życiu nie widziałam tak zrównoważonego człowieka. Nie ma w ogóle wrogów. Nic też nie wie o kapitanie Maderze. O innych też.

Spoglądała im po kolei w twarze. Przez moment popatrzyła w oczy kapitanowi Kunze. Zdawało się, że jej współczuje, a nawet dostrzega pewną otuchę. Wzięła głęboki oddech i głośno, kierując słowa w stronę kapitana Kunze, powiedziała:

- Gdyby nawet mąż mój się o nich dowiedział, to poczułby się straszliwie dotknięty, ale nigdy, żadnemu z nich, nie zrobiłby krzywdy.

Była rozczarowana widząc, że Kunze już na nią nie patrzy, tylko uważnie wpatruje się w zielone sukno konferencyjnego stołu, jakby sprawdzał, czy nie ma w nim dziur po molach. Generał Wencel zasiadł ponownie w krześle i przerzucał papiery w teczce.

- Ufam, że jest tak, jak pani mówi - wymamrotał. - Naprawdę ufam. Ze względu na dobro was obojga.

- Ja także - dodał generał Kutschera, zaś szef policji skinął tylko potakująco głową.

O pierwszej po południu panowie z komisji udali się do sali restauracyjnej hotelu Bristol, gdzie zarezerwowano dla nich stół w narożniku. Generał Kutschera oraz inspektor Weinberger poprosili o półmisek zimnych, mięs, zaś kapitan Kunze i szef policji Brezovsky wybrali kuropatwę po myśliwsku. Generał Wencel natomiast, jako że był na lekkiej diecie z powodu owrzodzenia żołądka, zamówił porcję cielęciny z ryżem. Do posiłku pili Gumpoldskirchner, lekkie austriackie wino z rocznika 1905. Kunze mieszał je z wodą sodową, natomiast generał Wencel ograniczył się do butelki Vichy. Posiłek skończył się serami i owocami. Generał Kutschera wypił jeszcze podwójnego Courvoisiera, którego też zaproponował wszystkim, ale odmówili ze względu na czekające ich pracowite popołudnie.

Kiedy ponownie spotkali się o trzeciej, uradzili zgodnie, że to inspektor Weinberger przesłuchiwać będzie Friedricha Gabriela. Propozycja ta wyszła od szefa policji Brezovsky'ego, ale był to właściwie pomysł kapitana Kunze. W drodze powrotnej do Prezydium spędził on parę minut na osobności z Brezovskym przekonując go, iż rozsądniej będzie powstrzymać generała Wencla od występowania w roli oskarżyciela i anioła karzącego za grzechy. Sam Kunze nie bardzo

się kwapił do przesłuchiwania męża Anny. Nie znał tego człowieka w ogóle, a wiedział o nim tylko tyle, że zamiast obiecującej kariery w wojsku wybrał miłość do nimfomanki. Musiał być, zdaniem Kunzego, albo chory, albo bezgranicznie naiwny. W jednym i drugim przypadku zasługiwał raczej na litość niż na potępienie. Istniała minimalna szansa, iż jest domniemanym Charlesem Francisem, a jeśli nawet nim był, to sam fakt, że się porwał na zgładzenie aż tylu ludzi, czynił tego rogakza istnym bohaterem tragedii. Człowiek takiego pokroju z pewnością załamałby się pod gradem słów generała, kapitan zaś nie miał najmniejszej ochoty być świadkiem takiego widowiska. Metoda generała polegała na odarcie człowieka z wszelkiej godności jeszcze na długo przed wymierzeniem mu kary. W trakcie swej służby w wojsku Kunze bywał od czasu do czasu świadkiem degradacji któregoś z towarzyszy broni. Za każdym razem odnosił wrażenie, jakby jego własna godność także została poniżona.

Friedrich Gabriel nie miał najmniejszego pojęcia, w jakim celu wezwano go do Prezydium Policji. Pozew nakazywał natychmiastowe zgłoszenie się po „otrzymaniu niniejszego pisma”. Zjawił się tam krótko po pierwszej, gdy komisja właśnie udała się do hotelu Bristol, toteż powiedziano mu, by zaczekał. Kiedy zaproponował, że pójdzie do domu i wróci po obiedzie, dyżurujący funkcjonariusz poinformował go szorstko, że nie wolno mu opuszczać gmachu. Zgłodniały i oburzony, ale nadal bez cienia niepokoju, nie miał innego wyboru, jak czekać do trzeciej po południu.

Przed paroma tygodniami jacyś nieznani sprawcy próbowali włamać się nocą do budynku poczty. Policja wszczęła śledztwo, które do niczego nie doprowadziło. Kiedy Friedrich Gabriel wkroczył do kancelarii szefa policji Brezovsky'ego i rozpoznał z miejsca generała Wencla i Kutscherę, doszedł do wniosku, że obecność osób w mundurach oznacza, iż celem tego tajemniczego włamania musiały być zapewne jakieś wojskowe dokumenty.

Podczas najbliższych trzydziestu minut inspektor Weinberger zdołał pognębić Friedricha Gabriela jako człowieka, męża, obywatela, a nawet jako urzędnika państwowego. Pierwsze jego pytanie dotyczyło prawdziwych motywów kryjących się za jego rezygnacją ze służby w wojsku. Następnie przeszedł do kwestii finansowych i zaczął wypytywać, ile Gabriel zarabia i wydaje, czy ma lub miał jakieś pilne długi. Mąż Anny czuł, jak stopniowo krew uderza mu do głowy. Trwając dalej w przypuszczeniu, iż przedmiotem śledztwa jest włamanie, gubił się w domysłach, czemu traktują go nie jako świadka, lecz podejrzanego.

- Proszę mi powiedzieć, o co chodzi, inspektorze - zażądał wreszcie. - Czego ode mnie chcecie? Pytajcie mnie wprost, a ja na wszystko odpowiem.

Inspektor zrobił głęboki wdech.

- Zgoda, panie Gabriel. Zapytam pana wprost. Czy przesłał pan niezwiązemu kapitanowi Maderowi prospekt reklamowy podpisany nazwiskiem Charles Francis wraz z kopertą zawierającą dwie kapsułki, z których każda mieściła w sobie gram cyjanku potasu?



Przez parę sekund Gabriel wpatrywał się nieruchomo w inspektora, po czym zamrugał powiekami, jakby oślepiony nagłym błyskiem światła.

- Że co ja takiego zrobiłem? - spytał cicho, z niedowierzaniem.

- Czy posłał pan Richardowi Maderowi śmiertelną dawkę cyjanku w liście zaadresowanym do jego biura w Ministerstwie Wojny?

Wreszcie treść tego pytania dotarła do świadomości Gabriela.

- Do diabła! Nic podobnego! - odparł. Głos miał spokojny, bez jakichkolwiek tonów urażonej niewinności. - Co was skłania, panowie, do wypowiedzania takiego absurdu? Po co miałbym to robić? Co mógłbym mieć za złe temu biedakowi? Do licha!

- Czyż nie był kochankiem pana żony? - przesłuchanie nie przebiegało tak, jak tego oczekiwał inspektor Weinberger, Gabriel był albo najlepszym aktorem w Monarchii Austro-Węgierskiej, albo nic nie podejrzewającą niewinną ofiarą splotu okoliczności. Inspektor był aż nadto doświadczonym policjantem, toteż zdawał sobie sprawę, iż druga ewentualność jest bardziej prawdopodobna. Pragnął zakończyć przesłuchanie i puścić wolno tego człowieka, nim wyrządzi mu się niepowetowaną krzywdę. Na nieszczęście armia domagała się głowy winowajcy. Wykryto krwawy spisek, skierowany przeciwko czterem wybitnym członkom Korpusu Sztabu Generalnego. Jeden z nich nie żył, trzem udało się uniknąć śmierci. Do obecnej chwili motyw zbrodni stanowił nadal zagadkę. Pozostawały jedynie domysły, że to zamach polityczny, afera szpiegowska lub osobista zemsta. Mogły też wchodzić w grę: szantaż, zdrada stanu, homoseksualne powiązania lub pieniądze,

co z kolei narażałoby armię na kompromitację, podejrzewania i dyshonor. Gdyby jednak mordercą okazał się zazdrosny mąż, sława armii pozostałaby nieskalana. Nikt nie wymagał, by młodzi, przystojni oficerowie prowadzili żywot mnichów. Jeśli kapitanowie Mader, Moll, czy Hohenstein przyprawili rogi jakiemuś urzędnikowi pocztowemu, to chwala im za to, a rogowi hańba.

- Nie! Mader nie był kochankiem mej żony! - zawołał pobladły Gabriel. - Jeżeli uważacie, panowie, iż ranga i stanowisko uprawnia was do obrzucania błotem mej żony, to jesteście w wielkim błędzie. Nie żyjemy w warunkach wojskowej dyktatury, lecz w konstytucyjnej monarchii. Będę więc bronił naszego dobrego imienia i walczył z każdym, kto ośmieli się je oczerniać, nawet z wami, moi panowie! Psia-krew!

Generał Wencel patrzył na Fritza Gabriela z kamienną twarzą. Generał Kutschera, ważka, choć milcząca osobistość, siedział z przymkniętymi oczyma i rozmyślał nad czymś głęboko lub drzemał. Brezovsky okazywał lekkie znużenie słuchając już nie po raz pierwszy podobnej tyrady. Kapitan Kunze kręcił się niespokojnie na krześle. Spodziewał się, że Gabriel jest mięczakiem albo głupcem, ale okazało się, że ani jednym, ani drugim. Był zdecydowanie ufnym i pełnym honoru człowiekiem, obarczonym swoistą skazą wzroku, która sprawiała, iż patrząc na ładacznice widział świętą. Teraz czekał go niezwykle bolesny zabieg korygowania tej wizji.

Inspektor Weinberger westchnął smutno. Wstał i podał Gabrielowi jeden z leżących na stole, wypisanych starannym charakterem pisma policyjnych raportów.

- Proszę to przeczytać, młodzieńcze - rozkazał.

Kunze nie mógł znieść takiego widoku. Z miejsca, gdzie siedział, widział przez okno Ring i park. Zapatrzył się na płynące po jesiennym niebie szare chmury. Mżył deszcz, a nagie gałęzie drzew błyszcząły, jakby powleczone woskiem. Bezdomny pies z podkulonym ogonem przemykał pod murem parku, a kapitan Kunze wodził za nim oczyma, dopóki nie zniknął mu z pola widzenia, po to tylko, aby nie patrzeć na mężczyznę czytającego policyjny raport o niemoralnym prowadzeniu się własnej żony.

- Co pan o tym sądzi? - przerwał ciszę przenikliwy głos generała Wencla.

Nikt nie miał wątpliwości, że protokół ujawnił przed Gabrielem zrelacjonowane koszmarną niemczyzną fakty dotyczące Anny, których nie znał i nawet się nie domyślał. Sprawiał wrażenie człowieka albo przygniecionego straszliwym ciosem, albo pijanego w sztok. Pozostawił pytanie generała bez odpowiedzi, najwyraźniej w ogóle nie dotarło ono do jego świadomości. Inspektor poczekał jeszcze chwilę.

- Pytam, co pan o tym sądzi? - Głos inspektora był cichy, ale na Gabriela podziałał niczym huk wystrzału. Potrząsnął głową i spojrzął na inspektora z dziką wściekłością. Twarz mu aż poczerwieniała od gniewu.

- Po co by to robiła? Skąd wiadomo, że to prawda? Tylko dlatego, że macie to spisane na papierze? Może to tylko podstęp z waszej strony? Dlaczego chcecie, bym uwierzył, że ona...? O co wam chodzi? Powiedzcie, a zrobię wszystko, co w mej mocy, żeby wam pomóc. Jedno mogę stwierdzić od razu: to nie ja wysłałem truciznę Maderowi. Nie traćcie więc na mnie czasu i nie dopuście, by sprawca wymknął się wam z rąk.

- Kapitan Moll, książę Hohenstein oraz kapitan von Gersten też otrzymali przesyłki z trucizną. Pierwsi dwaj byli kochankami pana żony. Gersten, o ile nam wiadomo, nim nie był. Oto zeznania. Niech pan to przeczyta. - Tu inspektor podsunął mu następny arkusz. Gabriel jednak nie sięgnął po dokument, lecz pokręcił przecząco głową.

- Możecie mnie fałszywie oskarżać, ale nie zmusicie, bym czytał coś tak ohydneho.

Weinberger odłożył papier wzruszając ramionami.

- Proszę wprowadzić panią Gabriel - zwrócił się do kancelisty, który podniósł się i wyszedł z pokoju.

- Niech pan spocznie - rzekł inspektor do Gabriela wskazując mu krzesło, a sam usiadł za stołem w fotelu wypełniając go ogromną masą swego ciała. Kunze poczuł, jak go ogarnia fala dokuczliwych mdłości, których doznawał, ilekroć miał być świadkiem egzekucji skazanego.

Kancelista wprowadził do pokoju Annę Gabriel. Kunze ze zdumieniem stwierdził, że wyglądała teraz jeszcze bardziej młodzieńczo i wiotko niż rano, chociaż zazwyczaj wielogodzinne

przesłuchanie postarzało jakby ludzi. Jej zielony kostium był wymięty; włosy, przedtem upięte w zgrabny węzeł, mocno potargane. Na widok męża, przystanęła na moment, uniosła rękę, by poprawić opadający kosmyk, na jej twarzy pojawił się nikły uśmiech.

- Już ci powiedziano? - spytała patrząc mu prosto w oczy.

- Co mianowicie?

Stał wyprostowany i nieruchomy. W dobrze odprasowanym szarym garniturze, Anna dbała ogromnie o jego ubranie, w śnieżnobiałej koszuli ze sztywnym kołnierzykiem i mankietami przypominał manekin z witryny sklepowej.

- O mnie i Maderze - powiedziała i zamilkła biorąc głęboki oddech. - O innych także - dodała. Popatrzył na nią obojętnie. - Więc to prawda - stwierdził, już nie pytając.

Skinęła tylko głową.

- Wszystko?

- Tak.

Kunze obserwował już ich nie z obojętnością prokuratora, ale z normalną ludzką ciekawością.

- Teraz co dalej? - zwrócił się Gabriel do Weinbergera.

- Będziemy zmuszeni zatrzymać tu pana na jakiś czas - odpowiedział inspektor. - Ale proszę się tym nie przejmować. Skoro to nie pan wysłał truciznę, to nie ma się czego obawiać. Może pan być pewny, że znajdziemy sprawcę. Mamy zdalnych i wytrwałych ludzi. Rzadko popełniają błędy. A ja tu jestem po to, by w tej sprawie nie zdarzyła się żadna pomyłka.

- Dziękuję - odpowiedział machinalnie Gabriel.

- Mogłabym pomówić z mężem na osobności? - Anna zwróciła się do Weinbergera. - Tylko parę minut.

Inspektor zaczął się zastanawiać, gdy raptem odezwał się Gabriel, nie czekając, aż inspektor poweźmie decyzję.

- Wolałbym z nią nie rozmawiać - powiedział. Po raz pierwszy widać było, iż Anna jest bliska załamania. Położyła drżącą rękę na ramieniu męża, ten zaś zerknął przelotnie na jej dłoń, po czym znalazł coś bardziej godnego uwagi w odległym końcu pokoju.

- Wiem, co czujesz. Ale pozwól mi się wytłumaczyć. Wysłuchaj mnie, proszę. - A zwracając się do komisji rzekła: - Dajcie mi побыć z nim kilka chwil.

- To zupełnie zbyteczne - powiedział Gabriel kręcąc przecząco głową. - Za pozwoleniem, inspektorze, jeżeli nie ma pan do mnie pytań, to wolałbym, byście mnie już zamknęli - mówił zwięźle i precyzyjnie, jak na byłego oficera przystało, zwracając się wyłącznie do Weinbergera, jakby nikogo innego nie było w pokoju.

- Jak pan sobie życzy - odrzekł inspektor, po czym spytał członków komisji o zgodę, a następnie polecił kanceliście, by zaprowadził Friedricha Gabriela do specjalnej celi, przeznaczonej dla znaczniejszych rangą aresztantów.

- Można mu przesłać pościel i kolację z domu - oświadczył. - Nie ma potrzeby, żeby cierpiał tu pan niewygody - powiedział do Gabriela. - Jednak światło musi palić się całą noc, jak panu wiadomo, gdyż tego wymaga regulamin.

Gabriel skłonił się sztywno Weinbergerowi, pozostałym zaś członkom komisji skinął tylko głową. Zaraz potem podszedł do niego kancelista i ruszyli w stronę wyjścia. Gabriel był już przy drzwiach, kiedy Anna zagroziła mu drogę.

- Kocham cię - szepnęła. - Nikogo nie kochałam prócz ciebie. Nie zapomnij o tym. Nigdy.

Wyciągnął rękę, ale tylko po to, by usunąć Annę z drogi. Patrzyła, jak wychodzi z pokoju, podążając za kancelistą.

- Pani może już odejść - powiedział do Anny szef policji, Brezovsky. - Chyba, że ma nam pani coś do zakomunikowania, o czym jeszcze tu nie mówiliśmy.

- Nie mam - odpowiedziała. Znowś sprawiała wrażenie opanowanej, niemal beztroskiej istoty. - Mówił pan, że mogę przesłać pościel mężowi - zwróciła się do Weinbergera. - Jestem pewna, że wypiłby teraz filiżankę kawy. Czy mogłabym zamówić ją dla niego w pobliskiej kawiarni? A może też kolację i śniadanie, na wypadek gdyby go nie zwolniono do jutra rana? Nie jest to chyba wbrew przepisom, prawda?

- Oczywiście, że nie, proszę pani.

- Dobrze. Więc już sobie pójdę. Żegnam panów. Do widzenia.

- Do widzenia - powiedział inspektor. Reszta komisji wymamrotała tylko słowa pożegnania. Jedynie kapitan Kunze podniósł się z krzesła, kiedy Anna wychodziła z pokoju.

Komisja postanowiła zebrać się ponownie następnego dnia o ósmej, ale dochodziła już prawie dziesiąta, kiedy zjawili się ostatni jej członkowie: generałowie Wencel i Kutschera. Czwartego dnia po śmierci Madera wyszły na jaw nowe i ważne fakty, wydobyte przez żandarmerię na światło dzienne.

Prócz kapitanów: Madera, Molla, von Gerstena i księcia Hohensteina, jeszcze czterech innych oficerów otrzymało reklamowe prospekty od Charlesa Francisa, razem z kapsułkami zawierającymi cyjanek. Bezzwłocznie odpowiedzieli na wezwanie rozesłane po wszystkich garnizonach. Trzech z nich zwróciło koperty w całości, czwarty, który zniszczył od razu przesyłkę, zawiadomił tylko władze, że takową otrzymał. Jeden z tych oficerów stacjonował w Galicji, drugi w Budapeszcie, a dwaj pozostali przebywali na urlopie. Wszystkie przesyłki będące w posiadaniu władz nosiły stempel wiedeńskiego urzędu pocztowego numer 59 mieszczącego się przy Mittelgasse, wąskiej uliczce w pobliżu Dworca Zachodniego.

- Wystarczająco mocny dowód, by powiesić Friedricha Gabriela - stwierdził generał Wencel. - Pracuje on przecież na tej poczcie.

Znamienny ten fakt, choć nie wykluczone, że był to przypadek, nie uszedł uwadze komisji, gdy oglądano kopertę zaadresowaną do kapitana Molla.

- Moim zdaniem, wystarczająco mocny dowód, by zwolnić Gabriela - zauważył inspektor Weinberger. - Jeżeli w ogóle można go o coś oskarżać, w co wątpię. Gdyby nawet rozesłał te prospekty, to nie nadawałyby ich z urzędu pocztowego, w którym pracuje. Ten człowiek



nie ma nic wspólnego z tymi przekłętymi przesyłkami. Założmy, że istotnie wiedział o romansie żony z Maderem, Mollem i Hohensteinem. Ale jest przecież jeszcze pięciu innych adresatów. Czy z nimi też romansowała? Mimo że jeden przebywa w Galicji, a drugi w Budapeszcie?

- W tym się kryje sedno sprawy - zaśmiał się generał Wencel. - Całkiem możliwe, że romansowała. Wszystkich bowiem łączy jedna okoliczność: są absolwentami Akademii Wojennej z rocznika 1905, tego samego co Gabriel. Baron von Campanini, ojciec pani Gabriel, uczył ich wszystkich konnej jazdy. To był jego ostatni rok służby w wojsku. Wycofał się następnego lata, wiadomo zaś, że jego córka utrzymywała intymne stosunki z kilkoma uczniami swego ojca. Friedrich Gabriel ożenił się z nią mimo wszystko, co nie świadczy chwalebnie o jego charakterze. Moim zdaniem, inspektorze, jest to człowiek wyzuty z wszelkiej moralności. Widocznie musiał dostrzec to w sobie, bo inaczej nie wystąpiłby z armii. Zapewne uświadomił sobie, że korpus oficerski to miejsce nie dla niego.

Korpus oficerski! Symbol honoru. Wierności. Odwagi. Samym zaś sercem tego obwarowanego zasadami organizmu był Sztab Generalny, Święte Przymierze Wojowników, najwyższe Bractwo Rycerzy i areopag bogów Olimpu. Tego, kto się tej chwały wyrzekł, traktowano jak dezertera, tchórza, wyrzutka albo przestępcę. W sprawie Madera armia miała tylko jeden cel: odnaleźć sprawcę pośród gorszej warstwy społeczeństwa, to jest pośród cywilów. Zarówno zmarły, jak i

niedoszłe ofiary byli oficerami i nie sposób było tego ukryć, ale po to, by ocalić nieskazitelną sławę armii, morderca musiał być cywilem.

Późnym rankiem kapitan Kunze dyktował swemu pomocnikowi, porucznikowi Heinrichowi, zestaw faktów zebranych przez policję, żandarmerię i komendę wojskową wiedeńskiego garnizonu. Raport brzmiał, jak następuje:

1. Wszyscy (w liczbie osiem) adresaci reklamowego prospektu Charlesa Francisa byli absolwentami Akademii Wojennej z rocznika 1905, siedmiu z nich to kapitanowie świeżo promowani i jednocześnie wcieleni do Korpusu Sztabu Generalnego, ósmy zaś to porucznik stacjonujący obecnie w Galicji. Każdy z nich otrzymał przesyłkę na swój adres, który zamieszczony jest w Wojskowym Biuletynie Sztabowym. Wszystkie przesyłki miały identyczny format i zawartość: w grubej, szarej, biurowej kopercie znajdował się prospekt reklamowy o wymiarach 23X15 centymetrów oraz pudełeczko z dwiema kapsułkami ręcznie napełnionymi i zapieczętowanymi. Adresy wydrukowane były techniką hektograficzną z wyjątkiem nazwiska adresata, odręcznie wykaligrafowanego stalówką i fioletowym tuszem używanym przy sporządzaniu wykresów i map wojskowych. Przesyłki nie przekraczały wagi listu poleconego pierwszej klasy, toteż zaopatrzone je w dziesięciohalerzowe znaczki.

2. Tekst reklamowanego prospektu brzmi, jak następuje:

POUFNE

CHARLES FRANCIS, Skrytka Poczтовая Nr 430

Data stempla pocztowego

SZÓSTA DZIELNICA

WIEDEN

Szanowny Panie!

Przedwczesne słabnięcie potencji męskiej jest jedną z udręk naszego nowego stulecia. Wykrycie przyczyny i wynalezienie odpowiedniego leku jest najpilniejszym zadaniem współczesnej medycyny.

W wyniku paroletnich badań naukowych wyprodukowano właśnie pobudzający, a nieszkodliwy dla organizmu ludzkiego lek, który zdolny jest wzmóc skutecznie potencję płciową.

Pozwalamy sobie załączyć próbkę niniejszego leku.

Aprobata ze strony pana będzie dla nas najlepszą reklamą.

**SPOSÓB UŻYCIA:** Po otwarciu pudełka należy ostrożnie przedrzeć opakowanie nie uszkadzając kapsułek. Zażyć obie kapsułki zapijając szklanką zimnej wody na pół godziny przed Czasem, kiedy spodziewany jest coitus.

**UWAGA:** Trzymanie kapsułek w stanie otwartym osłabia skuteczność działania leku. **SKUTKI NADSPODZIEWANE!!!**

Zamówienia prosimy kierować pod adresem wydrukowanym powyżej. Lek zostanie przesłany za zaliczeniem pocztowym.

Jednocześnie gwarantujemy panu całkowitą dyskrecję z naszej strony i pełne poszanowanie dla pańskiej osobistej tajemnicy.

W oczekiwaniu na łaskawe zamówienia od pana, pozostaję z poważaniem - Charles Francis - Farmaceuta.

- Skutki nadspodziewane! - tu porucznik Heinrich chrząknął i dodał: - Slogan nowego stulecia. Kapitan Kunze dyktował dalej:

3. Policja sprawdziła, że skrytka pocztowa numer 430 znajduje się istotnie w szóstej dzielnicy. Jednakże od lat należy ona do katolickiej parafii przy Barnabitenstrasse.

4. Każda kapsułka zawiera gram cyjanku potasu, ilość dziesięciokrotnie przewyższającą śmiertelną dawkę. Cyjanek potasu nie ma zastosowania leczniczego, używany jest głównie przy wywoływaniu zdjęć. W monarchii mogą go nabywać jedynie osoby posiadające zezwolenie, a sklepy apteczne mają obowiązek rejestrować każdorazową sprzedaż cyjanku.

5. Policja przesłuchała na tę okoliczność wszystkich aptekarzy na obszarze miasta stołecznego Wiednia, a także na terenie kraju, lecz, jak dotąd, bez rezultatu.

6. Komenda wojskowa nie wyklucza, iż mógł to być zamach o charakterze politycznym. Zmarły oraz niedoszłe ofiary to wysoce uzdolnieni młodzi oficerowie. Nie wykluczone, iż za zbrodnią kryją się wrogie siły, które usiłują odciąć ck armię od dopływu świeżej krwi. Na

tym etapie śledztwa żadne przypuszczenie nie wydaje się nazbyt absurdalne.

7. Ministerstwo Wojny ofiarowało dwa tysiące koron nagrody za informację wskazującą przypuszczalne miejsce pobytu Charlesa Francisa.

Kapitana Richarda Madera pochowano z wszelkimi wojskowymi honorami. Cały Korpus Sztabu Generalnego wraz z szefem sztabu, Franzem Conradem von Hötendorfem, brał udział w pogrzebie. Cesarza reprezentował arcyksiążę Józef Ferdynand. Kilka wozów pogrzebowych ledwo mogło pomieścić wszystkie wieńce i wiązanki kwiatów. Rodzice Madera, dwoje drobnych staruszków o skamieniałych z bólu twarzach, spoglądali na stopy kwiecista pustym, obojętnym wzrokiem.

Ingrid Fiala przyjechała z Frankfurtu o dzień wcześniej. Szef policji Brezovsky przesłał jej bilet w obie strony i poinstruował tajnego agenta, by nie odstępował jej podczas podróży i umieścił pannę Fiala w jakimś prywatnym domu na cały czas jej pobytu w

Wiedniu, Zabroniono jej rozmawiać z kimkolwiek, zwłaszcza z reporterami, i wychodzić z mieszkania bez policyjnej eskorty. Zaraz po przyjeździe poddano ją dokładnemu przesłuchaniu, ale nie zdołała wnieść nic nowego do posiadanych już faktów. Okazała się miłą, ale banalną dziewczyną, zdruzgotaną nieszczęściem, które ją spotkało. Szef Brezovsky doszedł do wniosku, że wydał na próżno pieniądze podatników, kupując jej bilet w obie strony.

Tuż przed pogrzebem, daremnie oczekując zjawienia się eskorty, postanowiła w końcu zlekceważyć nakaz policji i wymknęła się z domu tylnym wyjściem. Do kościoła przyszła już nieco spóźniona, toteż usiadła w ostatnim rzędzie ławek między służącymi, pensjonarkami i emerytowanymi urzędnikami, ową nieproszoną czeredą, którą zawsze spotkać można na pogrzebach wybitnych osobistości i ofiar morderstwa.

Ingrid była nazbyt przybita własnym nieszczęściem, żeby zwrócić uwagę na damę w wytwornym, obszytym sobolami stroju, z twarzą przysłoniętą gęstą woalką, która precyzyjnie się do ławki i usiadła tuż obok. Była to Lili Wencel, nieświadoma istnienia Ingrid Fiala. Tak oto kochanka zmarłego siedziała obok jego narzeczonej, a usta ich szeptały tę samą modlitwę. Po nabożeństwie żona generała Wencela wymknęła się bocznym wyjściem i wsiadła do oczekującego ją fiakra, Ingrid podeszła nieśmiało do pani Mader, by jej wyrazić słowa współczucia, ale cofnęła się uderzona wyrazem bezbrzeżnego bólu wypisanym na twarzy staruszki.

Anna Gabriel nie wzięła udziału w pogrzebie. Przez cztery dni, które minęły od śmierci Madera, rzadko o nim myślała. Jeśli nawet parę razy wspomniała go, to nie ze współczuciem, ale z dziwną zawiścią, jaką niekiedy odczuwa uczeń wobec kolegi, który przebrnął pierwszy przez egzamin.

Friedricha Gabriela ciągle jeszcze trzymano w Prezydium Policji. Anna próbowała kilkakrotnie uzyskać z nim widzenie. Inspektor Weinberger osobiście wydał konieczne pozwolenie, a nawet wstawił

się u Gabriela za Anną, ale ten kategorycznie odmówił widzenia się z żoną. Raz usiłowała zagadnąć męża na korytarzu, gdy prowadzono go pod eskortą do umywalni, ale minął ją bez słowa.

Leżała teraz wyciągnięta na łóżku, które z nim niegdyś w szczęśliwych dniach dzieliła, i starała się wyobrazić sobie przyszłość bez Fritza, Nie miała oczywiście zamiaru rezygnować z miłosnych przygód. Weszły jej w nałóg; kiedyś próbowała się z tej słabości wyleczyć, ale nawet przez wzgląd na męża nie potrafiła się opanować. Bez niego nie ma prawie szans na przezwycięzenie tego nałogu. Rodzeństwa nie miała, zaś kontakty z rodzicami nie były ani bliskie, ani serdeczne. Chociaż z nastaniem nowego stulecia zaszły ogromne zmiany społeczne umożliwiające kobietom pracę zawodową i niezależność, Anna nie miała ani wykształcenia, ani zawodu, a mówiąc szczerze również ochoty, żeby pracować ciężko w sklepie lub biurze. Dlatego też wołała zadawać się z mężczyznami. Postanowiła, że od tej pory ona będzie ich wodzić za nos i brać odwet za dawne czasy. Być może nawet uczyni z tego proceder i zostanie sławną kokotą, Damą Kameliową w wiedeńskim stylu.

Sięgnęła po poduszkę z tej strony łóżka, gdzie sypiał Fritz i przytuliła się do niej czule.

- Nie rzucaj mnie na pastwę losu, mój ty ukochany - szeptała. - Błagam, daj mi jeszcze jedną szansę. Zacznijmy wszystko od nowa. Zapomnijmy o tym, co się stało. Ja się poprawię, zobaczysz. Obiecuję ci to. Nie pożałujesz.

Nagle wypuściła poduszkę z rąk. Dźwięk własnego głosu przywiódł ją na powrót do rzeczywistości. A rzeczywistością było puste łóżko, Fritz w areszcie policyjnym, małżeństwo w gruzach i niemożność naprawienia tego wszystkiego. Wstała, podeszła zdecydowanym krokiem do ozdobnego kredensu, gdzie przechowywali trunki. Między domowymi nalewkami stała elegancka butelka francuskiego koniaku Napoleon, prawie pełna, którą trzymali na specjalne okazje. Anna uznała obecną sytuację za aż nadto specjalną i poniosła butelkę do łóżka. Opróżniła niemal do dna, nim poczuła się wystarczająco pijana. Potem powlokła się do nocnej szafki Fritza, wydostała z szuflady jego stary służbowy rewolwer i strzeliła sobie prosto w serce.

Pomiędzy dwudziestym a dwudziestym piątym listopada policja wiedeńska przesłuchiwała trzech dalszych osobników podejrzanych w sprawie Charlesa Francisa.

Jednym z nich był Serb, znany od dawna ze swej antymonarchistycznej działalności. Kiedy w jego mieszkaniu znaleziono hektograf oraz fioletowy tusz identyczny jak ten, którego użyto w reklamowym prospekcie, Serba osadzono w areszcie.

Drugim był pewien eks-kapral zdegradowany i pozbawiony honorów przez sąd wojskowy, w którym zasiadał książę Hohenstein. Podejrzany przedstawił jednak niepodważalne alibi i trzeba go było zwolnić.



Trzecim, i to poważnie podejrzanym, był murarz. Chwalił się swej gospodyni, że porozsyłał kapsułki z cyjankiem, gdyż nienawidzi wszystkich przeklętych oficerów, od poruczników do naczelnego wodza, z cesarzem włącznie. Niestety triumf policji trwał krótko i znów trzeba było przyznać się do pomyłki. Murarz ów nie był w stanie napisać ulotki choćby z tej prostej przyczyny, że był analfabetą. Badania lekarskie wykazały, że jest w dodatku nie zrównoważony psychicznie, toteż prosto z Prezydium Policji powieziono go na oddział psychiatryczny Szpitala Miejskiego.

Wieczorem, dnia dwudziestego pierwszego listopada kapitan Kunze jadał obiad w domu, w stylizowanej na gotyk jadalni Róży. Wysokie okna, rudobrązowe portiery i olbrzymie srebrne kandelabry sprawiały wrażenie, iż posiłek odbywa się w żałobnej kaplicy.

Często, kiedy Kunze przynosił do domu pracę z kancelarii albo po prostu pragnął samotności, jadał podany mu na tacy obiad w swoim gabinecie. Róża szanowała jego życzenia i jeżeli nie miała innych planów na wieczór, to kładła się spać. Jej miłość do lokatora była tak przemożna, że sama już świadomość przebywania z nim pod tym jednym dachem sprawiała, iż usypiała głębokim, spokojnym snem.

Róża była tęgą, wysoką, mocno zbudowaną kobietą. Miała ciemnoblonde włosy, lekko przetykane siwizną, a pod oczami nieco zmarszczek od śmiechu i trochę tych, które złości i podejrzliwość. Była wielką pięknoscią za młodu i teraz, w wieku lat trzydziestu siedmiu miała nadal ładną twarz i całkiem kształtną figurę. Chociaż nie odznaczała się intelektem, wcale nie była głupia. Posiadała nieco

rubaszne poczucie humoru, jednak nie lubiła żartów na temat własnej osoby. Nie tolerowała najlżejszej nawet krytyki pod swoim adresem i zmieniała przyjaciół równie często jak śmiałe w stylu kapelusze. Kucharka służyła już u niej dobrych kilka lat, ale żadna służąca nie utrzymała się dłużej niż parę miesięcy. Wiedeńskie biura pośrednictwa pracy stanowczo odmawiały posyłania do niej dziewcząt, odkąd jedna ze służących Róży zabiła się wyskakując z kuchennego okna. Zarówno pani domu jak i kucharka uparcie twierdziły, że dziewczyna była ofiarą nieszczęśliwej miłości, co zresztą potwierdziła policja, ale przekonanie, że to Róża von Siebert doprowadziła ową pokojówkę do samobójstwa, pozostawiło trwałe piętno. Kunze wiedział, że to nieprawda, chociaż był w pełni świadomy przykrych stron charakteru Róży. Akceptował ją taką, jaką była: szorstką, porywczą, żywą, dowcipną, wierną, mocną fizycznie, mówiącą ochryplym głosem i rubaszenie niczym wieśniak.

Właśnie kończyli obiad, gdy wezwano kapitana do telefonu. Inspektor Weinberger powiadomił go o samobójstwie Anny Gabriel. Służąca znalazła ją nieżywą w parę godzin po śmierci, wyciągniętą na łóżku. Miała szeroko otwarte oczy, jedną ręką trzymała butelkę koniaku, a w drugiej ciągle jeszcze ścisnęła rewolwer.

- Wolałbym wierzyć, że to Charles Francis uśmiercił Annę Gabriel, tak jak Madera - powiedział Weinberger - ale tak nie jest. Myśmy ją zabili, biedaczkę. Chcieliśmy znaleźć podejrzanego, którego akceptowałaby armia, nie troszcząc się o to, ile niewinnych osób ucierpi w tym procesie.

Gorzkie samooskarżenie wypowiedziane przez inspektora wcale nie zaskoczyło Kunzego. Wiedział bowiem, że Weinberger jest człowiekiem szczególnie wrażliwym i dobrodusznym jak na policjanta.

- Domyślam się, że pan też nie uważa Gabriela za winnego - rzekł Kunze. - Trzeba wypuścić go na wolność.

- Dobrze, ale za parę dni - zaprotestował Weinberger. - Chcę, żeby wpiery ochłonął po śmierci żony. Wziąłem na siebie obowiązek powiadomienia go o tym jak najogólniej. O ile w ogóle można jak najogólniej powiadomić męża o tym, że jego żona wpakowała sobie kulę w serce. To była dziwka, ale na pewno go kochała. Boję się, że on kocha ją nadal, chociaż tak się puszczała. Rzeczy nie są tak białe lub czarne, jak to generał próbował nam wmówić.

Kiedy Weinberger odwiesił słuchawkę, Kunze przeprosił Różę i wycofał się do swego gabinetu. Od samego początku, kiedy mu przydzielono tę sprawę, nurtowało go pewne podejrzenie. Powstrzymywał się jednak z wypowiedziami na ten temat, wiedział bowiem, że rozgniewałby tym niebywale generała. Samobójstwo Anny zmieniło jednak istotę sprawy. Kunze tak samo jak Weinberger poczuwał się do winy i postanowił nie dopuścić, by na ołtarzu wojskowego prestiżu złożono jeszcze jedną ofiarę.

Plan otrucia grupy osób musiał być dziełem osoby inteligentnej i ogromnie zdyscyplinowanej wewnętrznie. Jeśli człowiek ów był szaleńcem, to w tym szaleństwie kryła się niesamowita metoda. Zdobycie cyjanku, napisanie reklamowego prospektu, odbicie go na hektografie, dobranie odpowiedniego opakowania do kapsułek, by wraz

z kopertą dały się łatwo wsunąć w otwór skrzynki pocztowej, precyzyjne wyliczenie wagi przesyłki, by nie wymagała dodatkowej opłaty pocztowej i nie zwróciła tym samym uwagi urzędnika na poczcie, wszystko to było serią starannie przemyślanych i doskonale wykonanych czynności.

Kluczem do tajemnicy pozostawał motyw, jakim kierował się morderca. Jeżeli chciał zadać miażdżący cios Sztabowi Generalnemu, to czemu wybrał świeżo mianowanych sztabowców zamiast niezastąpionych starszych oficerów. Z jakiegokolwiek by strony patrzeć na kwestię motywu, nieodmiennie nasuwało się podejrzenie, iż chodzi tu o korzyść osobistą.

Kunze spał niespokojnie, zbudził się przedwcześnie i przez dwie godziny coraz to spoglądał na zegar, aż nadeszła pora wyjścia z domu. Udał się wprost do Prezydium Policji, do inspektora Weinbergera, wyprzedzając jego samego o parę minut.

- Potrzebny mi jest najlepszy specjalista grafolog - rzekł. - Mam pewne podejrzenie, ale chciałbym się wpierw upewnić, zanim podejmę jakąkolwiek akcję. Prosiłbym, aby traktować tę sprawę jako ściśle poufną, gdyż nie chciałbym w żadnym wypadku skrzywdzić niewinnych ludzi.

- Podejrzewa pan jakąś konkretną osobę?

- Ściśle mówiąc: nie. Podejrzewam grupę osób.

- Wojskowych - stwierdził Weinberger, już nawet nie pytając. Kiedy kapitan Kunze potaknął, dodał: - Czułem, że wcześniej czy później dojdzie pan do takiego wniosku.

- Wynika to z czystej logiki. Rozpatrzyliśmy już wszystkie rodzaje motywów z wyjątkiem jednego: kto zyskałby na śmierci ośmiu z najwyższą lokatą absolwentów tego samego rocznika Akademii Wojennej. Odpowiedź brzmi: absolwenci z dalszą lokatą. Było ich początkowo dziewięćdziesięciu czterech. Dwóch nie żyje, Gabriel wystąpił z armii, pozostaje więc dziewięćdziesięciu jeden. Po ukończeniu Akademii wszystkich absolwentów, już w randze poruczników, wcielono do poszczególnych jednostek na terenie całej monarchii dla odbycia czteroletniej służby w różnych rodzajach broni. Pierwszego listopada piętnastu z nich, mających najwyższą lokatę, promowano na kapitanów i wcielono do Korpusu Oficerów Sztabu Generalnego, pozostali zaś muszą czekać na awans zgodnie z zasadą starszeństwa. Jeżeli nie wybuchnie wojna, będą mieli dość monotonną służbę i przejdą w stan spoczynku jako pułkownicy, jeżeli w ogóle zdołają taką rangę osiągnąć. Żaden z nich nie zostanie nigdy generałem.

- Tu Kunze zamilkł na chwilę, by набраć oddechu. - Śmierć Madera otworzyła oficerowi szesnastemu na liście lokat wejście do Sztabu Generalnego. Jeżeli umrze następny spośród tych ośmiu, kwalifikacje na awans do Sztabu Generalnego uzyskuje numer siedemnaście, jeżeli następny po nim, to awansuje numer osiemnaście, i tak dalej, i tak dalej...

- Rozumiem - powiedział Weinberger. - Podejrzewa pan numer szesnaście i tych, co idą następni w kolejności.

- Tak jest. Z tym, że numer szesnaście miał szczęście lub nieszczęście przechodzić trzydziestego października operację ślepej

kiszki w szpitalu wojskowym w Brunn. Czternastego listopada, kiedy rozesłano przesyłki Charlesa Francisa, przebywał tam jeszcze na rekonwalescencji.

- Założmy jednak, że mógł on pozostawić przesyłki u współnika, nim jeszcze udał się do szpitala?

- Jest to mało prawdopodobne, gdyż do pierwszego listopada miał on wszelkie powody, by oczekiwać awansu. Było regułą do tej pory, że pierwszych trzydziestu z listy absolwentów każdego rocznika Akademii Wojennej wcielano zawsze do Korpusu Sztabu Generalnego po odbyciu przez nich obowiązkowej służby w jednostkach. Tego roku jednakże generał Conrad von Hötzendorf niespodziewanie zreformował ów system i wybrał z rocznika 1905 tylko piętnastu absolwentów z najwyższą lokatą. Nie wiadomo, czym się kierował. Może chciał podnieść poziom Korpusu Oficerów Liniowych zasilając go ludźmi o wyższych kwalifikacjach lub też zapragnął zmniejszyć liczbę sztabowców. W każdym razie jego decyzja była bolesnym ciosem dla piętnastu ludzi, którzy od czterech lat traktowali zgniłozielony mundur jako rzecz im należną.

- Zgodnie z pana teorią Charlesem Francisem mógłby być numer siedemnaście?

- Możliwe, chociaż ten stacjonuje od września w Zagrzebiu i od tej pory nie opuszczał swej jednostki.

- Jak widzę, zasięgnął pan już trochę informacji.

- Nie są jeszcze wystarczające. O numerze osiemnaście wiem tylko tyle, że stacjonuje w Linzu. Dziewiętnasty stanowi za to dość

ciekawym problemem: otrzymał przesyłkę z trucizną, chociaż nie był promowany. Fakt, że przebywa w Galicji, oczyszcza go w pewnym stopniu z podejrzeń. To samo dotyczy numeru dwadzieścia, który przebywa w garnizonie krakowskim. Oczywiście, obaj mogli mieć wspólnika, który nadał te przesyłki pocztą.

- Koncentruje się pan zatem na tych czterech?

- Mógłbym też wziąć pod uwagę następnych, dla całkowitej pewności - odrzekł Kunze - ale obecnie ci czterej: siedemnasty, osiemnasty, dziewiętnasty i dwudziesty to moi główni podejrzani.

- Muszę pana ostrzec, kapitanie - zaśmiał się Weinberger - że próby szukania Charlesa Francisa wśród kolegów oficerów nie przysporzą panu popularności.

- Wiem - powiedział Kunze wzruszając ramionami - ale nie mam innego wyboru.

- Przyślę panu Johanna Pobudę. To najlepszy specjalista od grafologii, z jakim pracowałem. Ostatnio pomógł nam rozwikłać niezwykle przemyślną aferę szpiegowską.

Mimo usilnych starań inspektora dopiero o drugiej po południu Johann Pobuda spotkał się z kapitanem przed koszarami na Getreidemarkt, gdzie mieściła się Akademia Wojenna. Ekspert od grafologii był eleganckim, drobnej postury panem, w nieokreślonym wieku, o porcelanowej cerze i nienagannej sylwetce manekina sklepowego. Miał na sobie wytworne palto podbite futrem, a w ręce coś w rodzaju skórzanego sakwojaza, jakie noszą domowe akuszerki, gdy spieszą do porodu.

Razem weszli do gmachu i udali się wprost do archiwum. Kustosz, stary emerytowany pułkownik, drzemał sobie błogo w kancelarii. Ocknął się prędko, gdy mu oznajmiono o przyjściu Kunzega.

- Chciałbym zerknąć na dysertacje absolwentów z rocznika 1905  
- rzekł do niego kapitan.

- Proszę przyjść pojutrze - wymamrotał opryskliwie zaspany pułkownik, zły, że mu przerwano popołudniową sjętę.

- Nie mogę czekać tak długo - rzekł stanowczo Kunze. - Muszę je obejrzeć natychmiast.

- Zawsze ten przekłety pośpiech! - gderał starzec. - Wam, młodym, wydaje się, że jestem czarodziejem. Jeżeli nawet odszukam te cholerne dysertacje, to ktoś musi mi pomóc je wyciągnąć!

- Proszę tylko wskazać, gdzie się znajdują, a resztę pozostawić już mnie - odparł Kunze, nie chcąc robić niepotrzebnego zamieszania. - Przejrzemy je, a potem odłożymy na miejsce.

Propozycja zadowoliła staruszkę. Nawet nie spytał kapitana, po co chce oglądać te dysertacje, co bardzo było Kunzemu na rękę. Mruczając coś do siebie o niecierpliwości młodych pułkownik zaprowadził przybyłych do pomieszczenia, gdzie oprawione w skórę dysertacje, pisane w pocie czoła przez liczne roczniki absolwentów Akademii Wojennej, zapełniały półki, a następnie poczłapał do swej kancelarii, by kontynuować przerwana drzemkę. Kunze bez trudu odszukał prace dyplomowe rocznika 1905. Wydostał z teczki dwie koperty z pismem Charlesa Francisa i wręczył je Pobudzie.



- Oczekuję z pana strony rzeczy omal niemożliwej - rzekł kapitan. - Pokażę panu pewną ilość manuskryptów w nadziei, że odnajdzie pan rękę, która wypisała te oto adresy. Kłopot w tym, że nadawca pisał je nie odręcznym pismem, ale stereotypową kaligrafią używaną w wojsku przy wykresach i oznaczaniu map.

Pobuda rzucił Kunzemu lekko kpiące spojrzenie, - Do odręcznego pisma nie byłbym panu wcale potrzebny, prawda? - Wziął do ręki kopertę z nazwiskiem kapitana Molla i oglądał chwilę, potem wyjął z futerału lupę i ustawił nad literami. - Tajemniczy Charles Francis... - wymamrotał. Był wiernym czytelnikiem „Neue Freie Presse” i domyślał się, że zlecona mu ekspertyza wiąże się ze sprawą otrucia.

- Tak jest - potwierdził Kunze. Wyciągnął na chybił trafił siedem prac z półki i położył je na stole przed Pobudą. - Zaczniemy od tych - rzekł i otworzył każdy egzemplarz na stronie, gdzie nie było najmniejszego śladu tożsamości autora.

Johann Pobudą ściągnął irchową rękawiczkę z lewej dłoni, bo z prawej zdjął już wcześniej witając się z kapitanem, i począł oglądać starannie pracę jedną po drugiej.

- Wszystkie pisane w nerwowym napięciu - powiedział - przez ludzi młodych, mówiąc ściśle, dwudziestoparoletnich indywidualistów.

Kunze nie był tym olśniony. Każdy przeciętny czytelnik prasy mógłby poczynić podobne obserwacje.

- Czy jest wśród nich może nadawca przesyłek? - spytał. W jakiś sposób irytowało go iście staropanieńskie krygowanie się Pobudy. Nie

widział jeszcze ani mężczyzny, ani nawet kobiety, których paznokcie byłyby tak wypolerowane do perłowego blasku.

- Nie ma - odpowiedział z całą stanowczością Pobudą.

Ton jego głosu uspokoił kapitana. Z siedmiu przedstawionych mu dysertacji trzy napisane zostały przez świeżo promowanych oficerów, cztery zaś przez absolwentów znajdujących się na końcu listy lokat. Kunze wręczył ekspertowi następny stos prac. Znow wybrał autorów znajdujących się poza wszelkim podejrzeniem. Pobudą przeglądał stronicę z głęboką uwagą.

- Tutaj widzę lekkie podobieństwo - wymruczał wskazując na jeden z otwartych rękopisów. Przyłożył obie koperty do stronicy przesuwając lupą tam i z powrotem. - Nie - stwierdził na koniec. - To nie on. Jego „R” wprowadziło mnie przez chwilę w błąd, ale na tym kończy się podobieństwo.

Kunze wybrał egzemplarze prac autorów znajdujących się pod numerami: szesnaście, siedemnaście, osiemnaście, dziewiętnaście oraz dwadzieścia na liście lokat.

- A ci? - spytał.

Pobudą uśmiechnął się chytrze.

- Czy to nadal próby mych umiejętności, czy też zdecydował się pan przystąpić do meritum sprawy?

- Byłem zdecydowany od samego początku - odparł Kunze.

- Chce pan, bym uwierzył, że macie dwudziestu podejrzanych?

- Jest ich dziewięćdziesięciu jeden. Wprawdzie wyeliminował pan piętnastu, to jednak mamy jeszcze sporo pracy przed sobą.

Była to oczywiście nieprawda, ale Kunze wolał trzymać grafologa w niepewności.

Pobudą zatrzymał się chwilę nad pismem autora numer szesnaście, owego porucznika, któremu operowano ślepą kizkę. Numer siedemnaście nie przedstawiał najwyraźniej żadnego problemu, ponieważ grafolog przeciągnął lupą tylko raz jeden nad tekstem.

- Na pewno nie ten - wymamrotał.

Numer dziewiętnaście, porucznik Josef von Hedry, stacjonował w Gródku w Galicji i był jedynym z niepromowanych poruczników, który otrzymał przesyłkę z trucizną. Pobudą spędził dziesięć minut nad jego pismem.

- Być może zabiorę ten egzemplarz ze sobą dla sfotografowania pisma. Powiększona fotografia pokazuje więcej niż najlepsza nawet lupa czy mikroskop. W tym rękopisie „L” oraz „I” wyglądają podejrzanie,

ale w żadnym wypadku nie twierdzą, że to właśnie ów człowiek.

Następna była dysertacja oficera osiemnastego na liście lokat, który stacjonował obecnie w Linzu. Pobuda trwał pochylony nad jego pismem dłuższy czas, jego mlecznobiała cera nieco nabiegła krwią.

- To właśnie ten! - wykrzyknął ochryple. Kunze chwycił egzemplarz i odczytał nazwisko na okładce: Porucznik Peter Dorfrichter.

- To on - powtórzył Pobuda z głębokim przekonaniem. - Muszę się najpierw absolutnie upewnić, toteż chciałbym wziąć ze sobą

dysertację i obie koperty do domu. Jutro z rana będzie pan miał odpowiedź.

Kunze zastanawiał się chwilę.

- Zgoda. Będę jednak musiał prosić pana o zachowanie tej sprawy w ścisłej tajemnicy.

Po pokonaniu ostatniej przeszkody, jaką było uzyskanie zgody pułkownika-archiwisty na wyciągnięcie z półek i wyniesienie z budynku dysertacji, Kunze pożegnał się z Pobuda. Tego samego jeszcze wieczora, zanim poszedł do domu, przyniesiono mu z kancelarii ważną wiadomość. Jeszcze dwaj świeżo promowani kapitanowie wcieleni do Sztabu Generalnego otrzymali od Charlesa Francisa przesyłki, które niezwłocznie przekazali do swego dowództwa. Obaj znaleźli te przesyłki wśród listów, które nadeszły do nich, gdy przebywali na urlopie.

W ten sposób liczba adresatów Charlesa Francisa wzrosła do dziesięciu.

Nazajutrz Johann Pobuda zameldował kapitanowi o wynikach nocnej pracy nad rękopisem Dorfrichtera: dokładne i naukową metodą przeprowadzone badanie

potwierdziło, że pracę dyplomową oraz adresy na kopercie napisała ta sama ręka.

Kunze zdążył już do tego czasu zgromadzić informacje o przebiegu służby wojskowej i prywatnym życiu porucznika Dorfrichtera. Postać, jaka się z nich wyłaniała, nie pokrywała się zupełnie z wyobrażeniem o cynicznym trucieliu. Jako oficer cieszył się

Dorfrichter nieskazitelną opinią. Od czasu, gdy w maju 1909 roku przeniesiono go do 14 pułku piechoty, stacjonował w Linzu, o dobre pięć godzin jazdy koleją z Wiednia. Ożenił się przed dwoma laty i teraz żona jego spodziewała się pierwszego dziecka. W opinii służbowej podano, że jest wzorowym, lojalnym i zrównoważonym oficerem, pracowitym i godnym zaufania.

Tego samego ranka Kunze zasięgnął rady jeszcze dwóch grafologów. Ku jego zdumieniu nie potwierdzili oni ekspertyzy Johanna Pobudy. Wprawdzie jeden z nich dopatrywał się szczególnego podobieństwa między pismem na kopercie a dysertacją, drugi natomiast wynalazł podobieństwa, które dałoby się wyodrębnić w dziesiątkach innych dysertacji. Na pytanie, czy rękopis i adres na kopercie mogła napisać ta sama osoba, nie udzielili jednoznacznej odpowiedzi.

Ich raporty były ciosem dla Kunzego. Długo je studiował, po czym przejrzał raz jeszcze opinię Pobudy. Wydała mu się najdokładniejsza i najbardziej przekonująca; gdy tymczasem opinie dwóch pozostałych ekspertów były miejscami niejasne i dopuszczały zbyt szeroki margines błędu. Kapitan zdawał sobie sprawę, że śledztwo znalazło się już na tym etapie, kiedy nie wolno lekceważyć najbardziej mglistego nawet podejrzenia. Pod wpływem nagle podjętej decyzji wrzucił sprzeczne ze sobą raporty dwóch ostatnich ekspertów do szuflady biurka i poprosił o umożliwienie mu odbycia pilnej rozmowy z generałem Wenclem w jego gabinecie.

W godzinę później rozmawiał z nim poprzez olbrzymie biurko zastawione oprawionymi w ramki fotografiami arcyksięcia z jego odręcznymi dedykacjami.

- Uprzejmie proszę pana generała, by wyraził zgodę na przesłuchanie dziesięciu absolwentów Akademii Wojennej z rocznika 1905, począwszy od numeru szesnastego do dwudziestego piątego listy lokat w związku ze sprawą Charlesa Francisa. Nadto proszę, aby porucznik Peter Dorfrichter, numer osiemnasty, był przesłuchiwany w pierwszej kolejności.

Wencel zareagował tak, jak gdyby Kunze poprosił go o pozwolenie wysadzenia w powietrze gmachu sądu wojskowego.

- Pan dobrze wie, u licha, że na to nie pozwolę! - ryknął. - Jak pan śmie proponować coś tak absurdalnego! Sądziłem dotąd, że jest pan rozsądnym człowiekiem! - Wielkie, niebieskie oczy pod krzaczastymi, ale starannie zaczesanymi brwiami ciskały w kapitana błyskawicami gniewu, ale wprawne ucho Kunzego potrafiło odróżnić udawane oburzenie od prawdziwego, toteż nie wycofał swego żądania. Artykuł wstępny porannego wydania dziennika socjalistów „Arbeiterzeitung” oskarżył właśnie policję o nieudolność, władze wojskowe o przetrzymywanie informacji, a żandarmerię o to, że osłania przestępcę. Kunze przyniósł ze sobą ten dziennik i wręczył generałowi. Wencel ujął gazetę ostrożnie dwoma palcami, jakby pochodziła z miejsca nawiedzzonego zarazą.

- Pan się chyba nie zgadza z tymi przeklętymi socjalistami? A może pan też do nich należy? Wcale bym się nie dziwił.

Kunze nie był produktem Akademii Wojskowej, toteż nie był uważany za swego przez ludzi takich jak generał. Mało się jednak tym przejmował. Od dzieciństwa przywykł, że go traktowano niemal jak wyrzutka albo co najmniej jak kogoś obcego, i nauczył się z tym żyć. Nie zważając na drwiny, przedstawił generałowi raport Pobudy.

- Odnoszę wrażenie, panie generale, iż porucznik Dorfrichter jest tu najbardziej podejrzany. Musimy jednak działać w tej kwestii z niesłychaną ostrożnością. Należy zorganizować przesłuchanie w taki sposób, by nikt, nawet sam delikwent, nie domyślił się, iż jest obiektem naszych podejrzeń. Bo jeśli się z nich oczyści, nie wyrządzi mu się w ten sposób żadnej krzywdy. Niestety, trzeba będzie zawiadomić o wszystkim jego dowódcę, bo tego nie da się uniknąć.

Z ciężkim sercem udzielił generał Wencel swej zgody. Zdecydowano, że komisja w osobach inspektora Weinbergera, kapitana Kunze i generała Wencla pojedzie koleją do Linzu nazajutrz rano. W podróży towarzyszyć im będzie dwóch agentów policji państwowej.

Kiedy generał Wencel wrócił do domu, zastał tam spory rozgardiasz. Były tu madame Charlotte, *friseuse*, oraz zatrudniona na stałe Berta, drobna kobiecina, która zajmowała się garderobą, to ją zwięzając, to poszerzając w zależności od stanu tuszy pani generałowej.

- Co tu się dzieje? - spytał, zerkając przez drzwi do buduaru żony.

Lili Wencel stała przed trzyskrzydłowym lustrem, Berta zaś upinała na niej nową, wspaniałą kreację z domu mody Wortha. Nosiło

się wtedy suknie bez guzików i haftek, czemu hołdowała cesarzowa Elżbieta, gdyż wysmukłały kobietą kibić o parę centymetrów. Miało to jednak tę wadę, iż zmuszało panie do poskramiania apetytu, co dla cesarzowej nie było żadnym wyrzeczeniem, gdyż nie przywiązywała wagi do jedzenia. Natomiast dla Lili Wencel stanowiło średniowieczną torturę.

- Czy pamiętasz, że jesteśmy zaproszeni do Auffenbergów na kolację? Oparzyłaś mnie, głupia! - krzyknęła na madame Charlotte, która usiłowała skrócić korbówkami niesforny lok z tyłu głowy pani Wencel.

Pół godziny później zjawiała się w gabinecie męża.

- Jak wyglądam? - spytała.

- Wspaniale - powiedział całkiem machinalnie generał, po czym spojrzał na żonę i stwierdził, iż tak jest istotnie, więc wyszukał w pamięci bardziej odpowiednie słowo i dodał: - Wyglądasz porywająco!

Odkąd zaczęło się śledztwo w sprawie Madera, niewiele czasu spędzał w towarzystwie żony. Był więc teraz zaskoczony widząc, że odzyskała dawną pogodę ducha. Zniknęło przygnębienie, apatia i obrażona, odpychająca mina.

- Więc ten nieszczęsny skurczybyk był impotentem? - rzekła.

Wencel spojrzał na nią zdumiony. Sprawa o otrucie cyjankiem tak mu stale zaprzętała głowę, że od razu uświadomił sobie, iż chodzi o Madera.

- Z czego to wnioskujesz?

- Bo inaczej nie zażyłyby tych pigułek z cyjankiem, prawda?



- Kapsułek - poprawił ją pedantyczny generał.

- Mniejsza o to. Ale je zażył. To znaczy, że potrzebny mu był jakiś afrodyzjak.

Lili Wencel uważała się za osobę nowoczesną, toteż często wybuchały między nimi kłótnie z powodu jej śmiałych wypowiedzi, między innymi na tematy seksualne, i generał zarzucał jej, że jest sprośna, bezwstydna i trywialna.

Podniósł się, chociaż wiedział, że mają jeszcze co najmniej kwadrans do wyjścia.

- Idziemy już? - spytał.

- Jeszcze nie. Nie mam ochoty zastać Idy przy nakładaniu na twarz wojennych barw - odrzekła Lili Wencel czyniąc aluzję do gospodyni przyjęcia, Idy Auffenberg.

Generał Wencel usiadł posłusznie z powrotem na krześle.

- W gazecie napisali, że Mader miał romans z Anną Gabriel.

- Tak, miał.

- To by się zgadzało. Był impotentem i musiał mieć kobietę w rodzaju Anny, aby zbudziła w nim mężczyznę. Ale i ona nie potrafiła dokonać tej sztuki. Dlatego zażył te pigułki, przepraszam, kapsułki.

- Możliwe, że był impotentem. Co z tego? - Nużył go już ten temat.

- Jakież to śmieszne! Tacy z was błędni rycerze. Wielcy kochankowie. Wspaniali goje! Jak wy olśniewacie, czarujecie i uwodzicie na wszystkie strony! Ale jak przychodzi do rzeczy, to

gaśnicie jak zmokłe fajerwerki! - wykrzykiwała donośnym, piskliwym głosem, tak mu dobrze znanym i wstrętnym.

Spoglądał na nią mocno zakłopotany. Za cichą zgodą obojga nie rozmawiali nigdy o dzielącej ich różnicy pochodzenia. Obydwoje zaliczali się do żarliwych katolików, a niedzielna msza w kościele garnizonowym była jedną z niewielu czynności, w której pospołu uczestniczyli. Zaniepokoiła go więc nagła zjadliwość w jej głosie. Nie wiedział, czy było to wymierzone pod jego adresem, czy Richarda Madera. Ponownie wstał z krzesła.

- Chodźmy już - powiedział lodowatym tonem sędziego, przyprawiającym wielu skazanych o dreszcz strachu. - Wolę być za wcześnie niż za późno. Poza tym muszę jutro wstać o świcie, żeby pojechać do Linzu na posiedzenie komisji. Niech to diabli!

Umyślnie nie powiedział jej, że podróż dotyczy sprawy Madera. Znow miałaaby okazję, by wrócić do rozmowy o zmarłym kapitanie i jego impotencji.

Linz spowijała gęsta jesienna mgła. Temperatura spadła do trzech stopni poniżej zera i robiło się coraz zimniej. Nagie drzewa i krzewy chwiały się niczym szkielety na wietrze, zbyt apatycznym, by rozpędzić opary. Dunaj jeszcze nie zamarzał, a jego ziemistoszara toń była odbiciem smutnego nieba. W taki dzień lato wydaje się wytworem fantazji pijanego poety. Bo czyż słońce może kiedykolwiek wychynąć spod grubej warstwy chmur ścielących się jak okiem sięgnąć niczym rozpostarty baldachim?

Mimo wszystkich środków ostrożności podróż komisji nie pozostała długo tajemnicą. Z pociągu, którym przyjechali do Linzu, wysypała się też gromada reporterów. Gnali za fiakrami wiozącymi członków komisji od stacji do miasta, jak głodne wróble polujące na końskie łajno.

Pułkownik von Instadt, który powitał komisję w swej kancelarii w dowództwie pułku, zareagował na oskarżenie wysunięte pod adresem porucznika Dorfrichtera tak samo, jak wtedy, gdy się o tym dowiedział, to znaczy nie dawał temu wiary.

- Nie, panowie - powiedział. - Po pierwsze, nie mogę uwierzyć, by którykolwiek oficer tej armii mógł popełnić tak potworną zbrodnię. Po drugie, to nieprawdopodobne, by Peter Dorfrichter był w to wmieszany. Mówicie o urażonej ambicji, zawiści i psychopatii. Ależ to absolutnie sprzeczne z charakterem Dorfrichtera! Tak się właśnie składa, że znam tego człowieka bardzo dobrze. Kiedy pułk mój brał udział w aneksji Bośni i Hercegowiny, Dorfrichtera przydzielono na oficera łącznikowego do 15 brygady. Byłem wówczas, z powodu incydentu, nad którym nie chcę się teraz rozwodzić, czasowo zwolniony z dowodzenia. Wielu mych kolegów oficerów uznało, że padłem ofiarą niepomysłnego zbiegu okoliczności, ale tylko jeden Dorfrichter miał odwagę wysłać raport do Ministerstwa Wojny w tej sprawie. Postąpił wbrew regulaminowi i, o czym dobrze wiedział, ryzykował całą swą karierę. Gdyby był psychopata, jak wy to utrzymujecie, nie walczyłby w mej sprawie ściągając na siebie niechęć ministerstwa. Po trzecie, jest wyjątkowo utalentowanym człowiekiem i mógłby sobie z łatwością

znaleźć miejsce w świecie cywilów, ale on woli zawód wojskowego. Jest oficerem najbardziej czytany i wykształconym wśród mych podwładnych. Mówi i pisze w sześciu językach: niemieckim, francuskim, angielskim, włoskim, węgierskim i czeskim. Moim zdaniem to wielki błąd i strata dla armii, że go nie wcielono do Korpusu Sztabu Generalnego.

- Ufam całym sercem, że słuszność jest po pana stronie, drogi pułkowniku - odrzekł generał Wencel. - Musimy jednak kontynuować śledztwo. Ale będziemy postępować z największym, jak tylko można, taktem i ostrożnością, by nikt, nawet sam Dorfrichter, nie domyślił się, że go podejrzewamy. Nie chcemy bowiem naznaczać piętnem niewinnego człowieka. Przesłuchanie powinno przebiegać bez urzędowej celebry, w duchu koleżeńskej atmosfery, a wezwani oficerowie mają zgłaszać się na przesłuchanie w porządku alfabetycznym.

Inspektor Weinberger poszedł na obiad z szefem miejscowej policji, generał Wencel wraz z kapitanem Kunze zostali zaproszeni przez pułkownika von Instadta do oficerskiej kantyny, ale Kunze wymówił się od wspólnego obiadu pod pretekstem czekającej go pracy. Chciał bowiem przed odjazdem do Wiednia rozejrzeć się po mieście. Postanowił zjeść obiad w hotelu Herrenhaus, co nie było złym wyborem, gdyż karmiono tu o wiele lepiej niż w kantynie.

Wzniesiony w drugiej połowie osiemnastego stulecia, za panowania cesarzowej Marii Teresy, budynek ten był niegdyś prywatną rezydencją, toteż hotel cechowały urok i zaciszna atmosfera dworku.

Posiadał on obszerną wozownię, wyłożoną drewnem sień, jadalnię o niskim suficie, z szerokimi krzesłami odpowiednimi dla krynolin oraz pokryty kamiennymi płytami dziedziniec ocieniony koroną rozłożystego starego dębu. Starsi i pełni godności kelnerzy byli jakby specjalnie dobrani do wnętrza. Obsługiwali gości powoli, ale to nie wadziło nikomu. Widać uważali, że ucztowanie, podobnie jak miłosne igraszki, powinno odbywać się w skupieniu, niespiesznie i z całkowitym oddaniem.

Kapitan Kunze mógł nawet wybrać sobie miejsce, gdyż w ten listopadowy ponury dzień gości było niewielu. Zajął stolik w wykuszu i dość długo studiował menu, bo nie mógł się zdecydować, czy zamówić zającą, czy pieczeń po wiedeńsku. W końcu poradził się głównego kelnera, który polecił mu gotowaną wołowinę. Była wysmienita, chuda i soczysta, toteż Kunze wyraził swe zadowolenie człowiekowi, który pochylał się nad jego stolikiem niczym anioł z szopki w miejscowym kościele franciszkanów.

- A tak przy okazji... - ton głosu Kunzega był lekki i obojętny - prosił mnie przyjaciel, bym odszukał tu w mieście porucznika Dorfrichtera. Znacie go może przypadkiem?

Na ułamek sekundy łagodna twarz kelnera stężała. Tylko jurysta o takim jak Kunze doświadczeniu potrafił dostrzec równie przelotną zmianę.

- Nie cieszymy się popularnością wśród oficerów piechoty. Wolą oni hotel Zur Post – odpowiedział kelner. - Jedynie panowie z 2 pułku dragonów są nam przychylni.

- Rozumiem. Słyszeliście jednak chyba o poruczniku?

- Niestety, proszę pana - odrzekł chłodnym tonem szykując się do odejścia.

- Ale wiadomo wam, że jest oficerem piechoty? - nalegał kapitan.

- Domyśliłem się tego. Nie znam go, więc musi być na pewno z piechoty. Znam praktycznie wszystkich oficerów kawalerii w okolicy. Jeśli wolno mi radzić, to proszę spytać tutejszego portiera. Chociaż wątpię, czy potrafi powiedzieć coś więcej.

Po obiedzie Kunze zatrzymał się przy kontuarze w hallu. Nie ujawniał swej tożsamości przed portierem, który i tak już słyszał o kapitanie i przyjeździe komisji z Wiednia. Kunze wiedział, że na prowincji podawane z ust do ust wiadomości rozchodzą się szybciej niż po drutach telegrafu w wielkim mieście, szczególnie jeśli je przejął hotelowy portier.

- Porucznik Dorfrichter? - zdziwił się portier robiąc niepotrzebnie bezradną minę. - Nie pamiętam, by taki oficer kiedykolwiek stawał w naszym hotelu.

Kunze nie poruszał już więcej tej kwestii, ale zapamiętał sobie reakcję tych dwóch osób.

Spośród dziewięćdziesięciu jeden absolwentów rocznika 1905, dziewięciu stacjonowało w 14 pułku piechoty z kwaterą główną w Innsbrucku. Trzech spośród owych dziewięciu, w tym także i Dorfrichter, służyło w Linzu. Aby ukryć cel przesłuchania, nie tylko

tych trzech, ale jeszcze dwudziestu innych oficerów z okolicy przesłuchiwać miano w siedzibie ich dowódcy.

Na Dorfrichtera wypadła kolej w późnych godzinach rannych, na drugi dzień po przyjeździe komisji. W tym czasie była już ona w posiadaniu dość sensacyjnych faktów zebranych przez wiedeńskich agentów policji przy współpracy tutejszych kolegów. Odkryto, że księgarnia Kirchhammera w pobliżu komendy garnizonu sprzedaje identyczny papier listowy i koperty, jakich użył Charles Francis, a pewna papiernicza firma, której właścicielem był niejaki Karl Ploy, wyrabia między innymi tekturowe pudełeczka, w jakich przesłano kapsułki z cyjankiem.

Peter Dorfrichter był trzecim z kolei oficerem, którego miano przesłuchiwać. Podobnie jak innym, polecono mu zameldować się w kancelarii pułkownika von Instadta. Celowo zmuszono go do godzinnego czekania w przedpokoju. Inspektor Weinberger wpadł bowiem na pomysł, by podenerwować w ten sposób porucznika.

Generał Wencel z obojętnością odniósł się do tego taktycznego posunięcia, ale przystał na to, gdyż Kunze zasugerował, że może to przyspieszyć bieg sprawy. Pułkownik von Instadt był także obecny, ale tylko jako obserwator.

Długie oczekiwanie w korytarza najwyraźniej nie wyprowadziło z równowagi porucznika Dorfrichtera. Kiedy go wezwano, wszedł do pokoju równym krokiem, stuknął obcasami, skłonił się elegancko i zameldował jak należy swemu pułkownikowi. Członkowie komisji

wstali z krzeseł, podając mu rękę na przywitanie. Zauważyli, że dłoń miał chłodną, lecz suchą, a uścisk nie był mocny.

Peter Dorfrichter był dość wysoki, smukły, trzymał się idealnie prosto, ruchy jego miały grację baletowego tancerza, bez śladu zniewieściałości. Był przy tym bardzo przystojny. W twarzy jego zachowało się trochę chłopięco niewinnej urody. Miał ciemnobrązowe włosy, jasną, czystą cerę, starannie przystrzyżone wąsy nad pełnymi wargami oraz inteligentne oczy myśliwskiego psa, które przypominały Kunzemu irlandzkiego setera, wiernego towarzysza lat młodości. Generał Wencel wskazał Dorfrichterowi krzesło.

- Prowadzimy śledztwo w bardzo nieprzyjemnej sprawie - zaczął. - Będziemy musieli więc zadać panu kilka proceduralnych pytań. Proszę na nie odpowiedzieć najdokładniej, jak tylko można.

- Uczynię, co pan generał sobie życzy - odpowiedział Dorfrichter.

Głos miał zdumiewająco chłopięcy, jak na trzydziestoletniego mężczyznę. Jego ton zrobił dziwne wrażenie na kapitanie. Zirytował go podobnie jak swobodne i niefrasobliwe zachowanie porucznika. Kunze poczuł do niego ogromną niechęć, ale natychmiast zganił siebie za to. Jako prawnik starał się zawsze trzymać zasady, że każdy jest dopóty niewinny, dopóki nie udowodni mu się winy, a teraz dopuścił do tego, by podejrzany zirytował go tylko dlatego, że nie chciał nawet wyglądać na winnego.

- Gdzie pan był trzynastego listopada między jedenastą wieczorem a ósmą rano następnego dnia? - spytał Wencel.



Dorfrichter zmarszczył brwi. Wyraźnie się nad tym zastanawiał.

- U siebie w mieszkaniu, tutaj w Linzu. - Puknął się w czoło, jakby nagle coś sobie przypomniał. - Ależ nie! Pomyliłem się. Pytał pan generał o trzynasty, prawda? O północy wsiadłem do wiedeńskiego pociągu i przyjechałem na Dworzec Zachodni o szóstej trzydzieści rano.

Na twarzy generała wyraz urzędowej troski przemienił się w irytację. Ta odpowiedź nie pasowała do powziętej przez Wencla z góry opinii, że komisja przesłuchuje niewłaściwego człowieka. Rzucił Kunzemu gniewne spojrzenie, jakby winiąc go za docieklivość, która doprowadziła do ujawnienia nowej poszlaki. Pstryknął energicznie palcami na znak, że to kapitan ma teraz prowadzić przesłuchanie, skrzyżował ręce, rozparł się w krześle, odchylił do tyłu przybierając minę surowej, lecz pełnej rezerwy osoby.

- Co pan robił po przyjeździe do Wiednia? - spytał Kunze. Choć szala przechyliła się teraz na jego stronę, to jednak nie potrafił przemóc w sobie niewytłumaczonej awersji do tego człowieka. Cień uśmiechu na ustach Dorfrichtera wyprowadził kapitana z równowagi.

- Pojechałem najbliższym omnibusem do miasta i poszedłem prosto do mieszkania teściowej przy Hahngasse.

- Ale prosząc jedenastego listopada o urlop powiedział pan, że chce odwiedzić rodziców w Salzburgu?

Kunze spędził większą część wczorajszego popołudnia na studiowaniu akt pułku. Zanim jeszcze przyjechali do Linzu, zebrał wszelkie dane dotyczące osoby Dorfrichtera: noty z Akademii Wojennej, wyniki badań lekarskich, charakterystykę rejestrów

personalnych armii oraz przebieg służby z listy kwalifikacyjnej. Ukazywały one Dorfrichtera jako wysoce utalentowanego, pilnego, ale też tradycyjnego oficera. Stojący przed kapitanem żywy człowiek nie pasował zupełnie do tego obrazu. Porucznik bowiem był tylko i wyłącznie wcieleniem konwencjonalności.

- Tak jest, panie kapitanie - odpowiedział. Wyglądało na to, że pochlebiało mu zainteresowanie kapitana jego poczynaniami. - Taki był mój pierwotny zamiar. Ale żona, która przebywa u swej matki w Wiedniu, napisała do mnie, że nie czuje się na siłach odbyć sama podróży do domu. Jest w... poważnym stanie.

- W ciąży? - spytał generał Wencel. Ton jego głosu był na powrót życzliwy, prawie ciepły, jakby; chciał tym podkreślić, że człowiek, którego żona spodziewa się dziecka, nie może być truciakiem.

- Tak jest, panie generale.

- Kiedy ma się dziecko urodzić?

- Pod koniec tego miesiąca, panie generale.

Zapadła na chwilę cisza. Kunze znowu zapytał:

- Poruczniku, czy wiadomo panu coś o sprawie, w której komisja prowadzi właśnie śledztwo?

- Oczywiście. Tyle co każdemu, kto czyta prasę.

- Zatem wiadome jest panu z pewnością, że dziesięć przesyłek z trucizną wrzucono do skrzynki pocztowej w pobliżu urzędu pocztowego numer pięćdziesiąt dziewięć w dzielnicy Mariahilf. Skrzynkę opróżniono pomiędzy siódmą a siódmą pięćdziesiąt, a listy

zaś ostemplowano o ósmej rano. Powiedział nam pan, że przybył do Wiednia właśnie o szóstej trzydzieści rano, czternastego listopada. Jedna ze skrzynek pocztowych należąca do tegoż urzędu pocztowego stoi przed budynkiem numer sto dwadzieścia osiem przy Mariahilferstrasse o trzy minuty drogi od Dworca Zachodniego. Najbliższy omnibus odjeżdżał o szóstej czterdzieści dwie, miał pan więc dwanaście minut czasu, by dojść do budynku numer sto dwadzieścia osiem przy Mariahilferstrasse, wrzucić listy i zdążyć na omnibus. Co pan na to?

Dorfrichter słuchał z uprzejmą uwagą, nie spuszczać oczu z twarzy Kunzego. Lekki, jakby przepraszający uśmiech błąkał mu się po twarzy.

- Nie wiem, jakiej odpowiedzi spodziewa się pan ode mnie, panie kapitanie.

- Tylko faktów.

- Faktem jest więc, panie kapitanie, że nie udałem się pod budynek numer sto dwadzieścia osiem przy Mariahilferstrasse, nie wrzucałem do skrzynki żadnych listów ani też nie oddalałem się od przystanku omnibusu.

- W takim razie co pan robił po wyjściu ze stacji?

- Zszedłem po schodach na ulicę, udałem się do najbliższej latarni, po czym wsiadłem do omnibusu.

- Do pobliskiej latarni? Po co? - W momencie, gdy padło to pytanie, Kunze zrozumiał, że nie powinien był go zadawać.

- Miałem ze sobą psa, panie kapitanie.

Ktoś parsknął śmiechem. Kapitan obejrzał się i spostrzegł, że to Weinberger.

- Nikt przy zdrowych zmysłach nie zabiera ze sobą psa, jeśli chce wrzucić do skrzynki pocztowej plik listów z trucizną - mruknął ze złością pułkownik von Instadt.

Kunze zignorował jego uwagę.

- Jak długo przebywał pan w Wiedniu, poruczniku?

- Zaledwie dwa dni. Wróciłem szesnastego listopada i nazajutrz zameldowałem się do służby.

- Jednak nie poinformował pan dyżurnego oficera, że zamierza spędzić swój urlop w Wiedniu, zamiast w Salzburgu?

- Zgadza się, panie kapitanie.

- Czy można wiedzieć, dlaczego pan tego nie zrobił?

- To jest garnizon, kapitanie Kunze, a nie obóz karny - wtrącił się pułkownik von Instadt. - Tak długo jak moi oficerowie wywiązują się ze swych obowiązków ku memu zadowoleniu, ich prywatne życie mnie nie interesuje. Pod warunkiem, że zachowują się jak dżentelmeni.

Dorfrichter skwitował wstawiennictwo swego dowódcy ciepłym i pełnym szacunku spojrzeniem. Kunze poczuł, że go znów zalewa fala irytacji.

- Dziękuję panu - skinął głową pułkownikowi i zwrócił się do Dorfrichtera. - O ile pamiętam, stwierdził pan, iż prosił o urlop i otrzymał go trzynastego listopada. Zgodnie z notatką w aktach pułkowych przebywał pan na urlopie od dwunastego do siedemnastego Listopada. Porucznik zastanawiał się chwilę.

- Zgadza się, panie kapitanie. Przepraszam. Pomyliłem daty.

- To znaczy, że wyjechał pan do Wiednia dwunastego?

- Nie. Wyjechałem trzynastego, a przyjechałem czternastego, jak już mówiłem.

- Co pan robił dwunastego listopada?

- Nic szczególnego. Obijałem się po domu.

- To znaczy, że spędził pan w domu cały dzień?

- Praktycznie cały. Wyjawszy spacer z psem. Wyprowadzałem go trzy razy.

- Słuchaj, Dorfrichter - odezwał się nagle generał Wencel. - Przyjmij do wiadomości, że twój charakter pisma porównywano z pismem na kopertach tego Charlesa Francisa i ekspert stwierdził, że są identyczne!

Generał był wyraźnie rozzłoszczony, ale czy na Dorfrichtera, czy na Kunzego, trudno było odgadnąć.

Dorfrichter szeroko otworzył oczy. Po raz pierwszy wyraźnie się zaniepokoił.

- Czy mam rozumieć, że podejrzewacie mnie, panowie, o chęć pozbawienia życia dziesięciu moich kolegów oficerów? Że otrułem Richarda Madera? Pan chyba tego nie traktuje poważnie. Ktoś, kto powiedział, że to ja te listy pisałem, musi być niespełna rozumu.

- Ale przebywał pan w Wiedniu, kiedy te listy wysłano?

- Podobnie jak dwa miliony innych ludzi. Nie, panie kapitanie! Słowo honoru, że nie mam nic wspólnego ze sprawą Charlesa Francisa!

Generał Wencel podniósł się, za jego przykładem poszła reszta. Obrócił się w stronę Kunzego dając tym znak, że następny krok należy do niego.

- Proponuję, panie generale, jeśli pan pozwoli, byśmy poprosili porucznika Dorfrichtera o pozwolenie na złożenie mu wizyty w domu.

- Dobrze - powiedział z westchnieniem generał. - Skoro posunęliśmy się tak daleko, możemy pójść jeszcze dalej.

Peter Dorfrichter odpowiedział nie czekając na bezpośrednie pytanie:

- Zgadzam się, panie generale.

Kapitan Emil Kunze poczuł się rozczarowany. Spojrzał na młodszego od siebie o osiem lat oficera, na jego chłopcę, urażoną twarz i przyszła mu ochota, by przeprosić go i puścić wolno, a tym samym położyć kres tej odrażającej sprawie. Pokusa była ogromna, ale jednocześnie oczyma wyobraźni widział już wstępne artykuły gazet, konferencje ze wścibskimi dziennikarzami, biurokratami oraz policją i zrozumiał, że skoro lawina śledztwa ruszyła, nie sposób było ją powstrzymać, nie wywołując tym samym skandalu.

- Zrozumcie, Dorfrichter - słyszał, jak generał mówił tonem, który znów brzmiał po przyjacielsku - wierzymy panu, bo chcemy wierzyć. Istnieją jednak pewne niefortunne fakty, które mogłyby w niektórych ludziach budzić podejrzenia. Sprawa Charlesa Francisa rzuciła głęboki cień na Korpus Oficerski w czasie, kiedy od reputacji tegoż Korpusu zależeć może ocalenie monarchii. Wiemy wszyscy, że wojna jest nieunikniona. Może wybuchnąć jutro lub za dziesięć lat, ale

tak czy inaczej stopień lojalności i szacunku żołnierzy do swych dowódców będzie decydował o zwycięstwie lub klęsce. - Umilkł na chwilę dla nabrania oddechu. - Jeżeli jest pan winny, Dorfrichter, to obowiązkiem pana jest samemu wydać na siebie wyrok i wykonać go, nie czekając, aż to zrobi sąd wojskowy. Czy pan mnie rozumie? Porucznik stanął na baczność.

- Rozumiem, panie generale - powiedział donośnym i czystym głosem.

Generał westchnął głęboko.

- Chce pan pójść do domu pierwszy? - Wyjął zegarek i spojrzął na godzinę. - Jest jedenasta czterdzieści osiem. Chcemy dać panu czas - tu zawahał się chwilę - na zrobienie tego, no uzna pan za konieczne.

- Na przykład czego, panie generale? - spytał Dorfrichter.

- Do diabła! - przez moment Wencel jakby szukał słów. - Na przykład... żeby uprzedzić domowników, psiakość!

Dorfrichter uśmiechnął się po raz trzeci w czasie tego przesłuchania, tym razem nieomal złośliwie.

- Wolałbym pójść razem z panami. Nie uważam za konieczne uprzedzać domowników. Żona moja jest bardzo schludną panią domu. Na pewno mieszkanie będzie w idealnym porządku.

Raz jeszcze stało się oczywiste, że zachowanie Dorfrichtera zarazem zmieszało i rozzłościło generała Wencla.

- Do licha, Dorfrichter! - wykrzyknął. - Zbyt wiele jest poszlak przeciwko panu! Masz chłopie aż nadto powodów do zmartwienia. Na twoim miejscu nie byłbym taki cholernie beztroski.

Twarz młodego oficera stężała.

- Za pozwoleniem, panie generale. Nie mam o co się martwić i jestem pewny, że gdyby pan generał był na moim miejscu, postępowałby nie inaczej.

Spojrzał Wenclowi prosto w oczy. Generał pierwszy spuścił wzrok.

- W porządku! - Chciał coś powiedzieć, ale się wstrzymał. Odchrząknął, wyciągnął chusteczkę do nosa i zaczął przecierać nią okulary, których używał do czytania. W pokoju zapadła cisza podobna do owej chwili spokoju pomiędzy pierwszym grzotem letniej burzy a wybuchem samej nawałnicy.

- Czy mógłbym coś zaproponować, panie generale? - przerwał ciszę głos kapitana Kunze. - Poprośmy porucznika Dorfrichtera, żeby zaczekał tutaj, a tymczasem grupa mająca dokonać inspekcji pójdzie do jego mieszkania. Sądzę, że...

- Ale po co to wszystko? - najwyraźniej Dorfrichter po raz pierwszy zaczął tracić spokój. Głosem zirytowanym przerwał zwierzchnikowi: - Dlaczego nie wolno mi być przy tym! Żona może się przecież zdenerwować, gdy nieznani jej ludzie zaczną przetrząsać dom do góry nogami. Byłoby to zupełnie niewskazane w jej obecnym stanie.

- Przepraszam, panie poruczniku - odezwał się inspektor Weinberger, który do tej pory przysłuchiwał się wszystkiemu w milczeniu. - Cały garnizon w Linzu, łącznie z pana żoną, na pewno wie o śledztwie. Paru kolegów pana już przesłuchiwano, a także odwiedzano ich domy.



- Odwiedzano, ale nie rewidowano! - wybuchnął Dorfrichter.

- To prawda. Jednak wątpię, czy pani Dorfrichter spostrzeże różnicę. Władze wojskowe czynią to z największą, jeśli nawet nie przesadną, jak sądzą niektórzy, dyskrecją. Proszę już im pozostawić to, jak się mają zachować wobec pana żony.

- Może pan jeszcze cofnąć swoją zgodę, poruczniku - podkreślił generał Wencel. Z wyraźną dezaprobatą przyjął ingerencję inspektora, który był wszakże cywilem. - Nic panu za to nie grozi.

- Dziękuję, panie generale - odparł Dorfrichter opanowanym już głosem i skłonił się sztywno. - Nie cofam swej zgody! - Tu spojrzał na kapitana Kunze. - Gdzie pan życzy sobie, abym zczekał na wynik rewizji?

- Wyszukaj sobie jakąś robotę w pobliżu - odpowiedział pułkownik von Instadt. - Udawaj zajętego, psiakrew! Nie chcę, aby jakiś wścibiński reporter pomyślał pochopnie, że któryś z moich oficerów jest istotnie podejrzany o to przekłete morderstwo.

Marianna Dorfrichter istotnie spodziewała się dziecka. Nim zaszła w ciążę, była tak wiotka i smukła, że mąż mógł ją objąć w pasie obiema rękami. Teraz czuła się ociężała i niezgrabna, i za nic nie chciała pokazywać się ludziom, a na spacer wychodziła dopiero po zapadnięciu zmroku. Wkładała luźną, lodenową pelerynę, ale nie chciała, aby jej mąż towarzyszył, lecz tylko służąca i pies, Troll. Przestała nawet odwiedzać najbliższych znajomych, bo zdawało jej się, że każdy, kto na nią spojrzy, zaraz sobie wyobrazi ją z mężem nagich w

łóżku, spełniających akt, którego rezultatem był obecny jej stan. Gdyby pokazała się gdziekolwiek z mężem, to jakby umyślnie wystawiła swą osobę na niezdrawą ciekawość przechodniów.

Leżała wyciągnięta na kanapce w sypialni, kiedy służąca Alojzka, wiejska dziewczyna o ptasim mózdzku i posturze japońskiego zapaśnika, przybiegła z nowiną, że pięciu wojskowych panów chce się widzieć z panią Dorfrichter.

- Coś się musiało przydarzyć panu porucznikowi - dodała i zaczęła szlochać. - Jakaś straszna rzecz. Kiedy koń zrzucił majora Dallmayra, tylko trzech oficerów przyszło powiedzieć jego żonie, że major nie żyje.

Marianna wstała z trudem i podeszła do toaletki. Wyjęła szczotkę oraz grzebień z szuflady i poprawiła potarganą fryzurę.

- Poproś tych panów, by usiedli. Zaraz do nich wyjdę - powiedziała spokojnie. - Przestań robić z siebie widowisko.

- Dobrze, proszę pani - odrzekła dziewczyna urażonym tonem i wybiegła z sypialni.

Marianna Dorfrichter odłożyła szczotkę i spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Jej twarz o subtelnych rysach rodem z włoskiego gotyku zupełnie się nie zmieniła: nie była obrzmiała ani upstrzona wątrobianymi plamami pojawiającymi się w czasie ciąży. Figura prezentowała się za to potwornie, toteż nieprzyjemnie było Mariannie pokazywać się nieznanym ludziom. Będąc żoną oficera dobrze wiedziała, iż nie można sprzeciwiać się władzy wojskowej, wstała więc,

narzuciła na ramiona włóczkowy szal i weszła do salonu, aby powitać przybyłych.

Było ich pięciu, ale tylko trzech uznała za dżentelmenów: generała Wencla, kapitana Kunze i majora Schultza, prokuratora wcielonego do tutejszego pułku. Dwaj kaprale, którzy przyszli z nimi, mieli dokonać rewizji pod okiem kapitana Kunze.

- Proszę nam wybaczyć, że panią trudzimy - powiedział Wencel po wstępnej prezentacji. Poprosiła ich, by usiedli, gdy tymczasem dwaj kaprale stali dalej w drzwiach. - Jestem pewny, że słyszała lub czytała pani o tak zwanej sprawie listów Charlesa Francisa.

- Oczywiście - potwierdziła Marianna.

- Niestety, pewne poszlaki wskazują, iż owe listy powstały w tutejszym pułku. Musimy przesłuchać właściwie niemal wszystkich niższych oficerów w komendzie. Mąż pani, podobnie jak reszta oficerów, udzielił nam pozwolenia na przeszukanie tego mieszkania. Pozwolę sobie zapewnić panią, że jest to tylko zwykła formalność. Nasi ludzie zachowują wszelką ostrożność, by niczego nie uszkodzić, i każdą rzecz odłożą na swoje miejsce.

Wysłuchiwała wszystkiego w milczeniu, potem zapytała, czy panowie nie napiliby się sherry.

- Z największą przyjemnością. - Wencel odpowiedział za wszystkich.

Marianna Dorfrichter posłała Alojzkę do jadalni po karafkę, która stała na kredensie. Nakazała jej także poczęstować w kuchni

kaprali winem lub piwem według ich uznania. Spojrzeli pytająco na majora Schultza, a kiedy skinął im głową, także przyjęli poczęstunek.

- Czy możemy już zaczynać? - spytał Kunze, kiedy najwyraźniej pokrzepieni poczęstunkiem kaprale powrócili z kuchni.

- Proszę bardzo - odrzekła Marianna i naciągnęła szal na wyduży brzech.

Generał Wencel i major Schultz siedzieli dalej na delikatnych krzeselkach ustawionych po bokach kanapy z tego samego garnituru mebli, a tymczasem kapitan Kunze poszedł za kapralami wyznaczonymi do przeprowadzenia rewizji. Zaczęli od salonu; przeszukali go szybko i sprawnie. Pokój był zgrabnie, ale bez specjalnej finezji zastawiony garniturem mebli w stylu imitującym Adamów, dość wymyślnymi, ale niezbyt wygodnymi, z ciemnego mahoni i bladezielonymi obiciami. Była tam także serwantka z figurkami, wypielęgnowane kwiaty w doniczkach, a na postumencie stała mała kopia Wenus kapitolńskiej z odtłuczonym palcem u jednej ręki. Tkany fabrycznie francuski dywan o kwiecistym barokowym desenie pokrywał wywoskowany i lśniący parkiet, a na oknach wisiały wykrochmalone firanki. Pokoju tego używali Dorfrichterowie tylko do przyjmowania gości.

- Ma pani uroczy dom, madame - zauważył generał Wencel. Wyczuł zdenerwowanie Marianny, choć z całych sił usiłowała panować nad sobą. Starał się wytworzyć atmosferę przyjacielskiej wizyty, żeby nie odczuła, że jest przez nich przesłuchiwana. - Kiedy czekaliśmy na

panią, powiedziałem do majora Schultza, że poznać od razu, iż w tym domu mieszka dwoje szczęśliwych ludzi. Nieprawdaż, majorze?

- Naturalnie, panie generale - potwierdził Schultz nie przypominając sobie wcale takiej uwagi.

Przyjęła komplement z bladym uśmiechem.

Kapitan Kunze wraz z dwoma kapralami przenieśli się do jadalni. Sprawiała wrażenie przytulnej, choć byle jak umeblowanej sprzętami dobranymi ze względu na ich użyteczność, a nie na styl czy urodę. Bogato rzeźbiony kredens nosił cechy gotyku, długi stół pośrodku pokoju był ciężkim blatem na czterech solidnych nogach. Otaczało go sześć krzeseł obitych skórą, a cztery dodatkowe stały pod ścianą, po dwa z każdej strony biblioteczki. Marianna słyszała, jak otwierają oszklone drzwi biblioteczki, i domyśliła się, że na pewno zabrali się do przeglądania książek z najwyższych półek, gdzie stały słowniki, grube tomy o taktyce, strategii i sztuce artyleryjskiej, nad którymi Peter ślęczał codziennie do późna w nocy.

- Czy mąż wymieniał kiedykolwiek w obecności pani nazwisko Richarda Madera? Zanim, oczywiście, zdarzyła się ta tragedia? - spytał Wencel.

- Doprawdy, nie przypominam sobie. Być może. Wspominał mi o paru kolegach z Akademii Wojennej, ale ponieważ ich nie znam, to nazwiska niewiele mi mówią.

- A po śmierci Madera?

- Powiedział mi, że zamówił żałobny wieniec. Było to w dniu, kiedy gazety po raz pierwszy napisały o jego śmierci.

- Jak pani mąż przyjął tę wiadomość?

- Zamówił żałobny wieniec.

- Naturalnie... Ale czy robił wrażenie przygnębitego albo zaskoczonego?

- Raczej przygnębitego. Żał mu było Madera, że umarł tak młodo. Powiedział mi, że był najlepszym z kolegów w Akademii i że się nigdy nie wywyższał. Tak właśnie powiedział mój mąż.

Plotła machinalnie, nastawiając tymczasem uszu na każdy szmer dochodzący z jadalni. Jeden z kaprali dalej przeglądał książki, a drugi buszował pośród talerzy. Usiłowała przypomnieć sobie, czy Alojzka odkurzała ostatnio szkło oraz naczynia i było jej wstyd z powodu poszczerbionych filiżanek, które dawno powinna usunąć razem z pękniętymi talerzami i obtłuczoną wazą na zupe. Będąc jeszcze w Wiedniu miała zamiar kupić nowe, ale kiedy wróciła do Linzu, ciąża jej stała się tak widoczna, że Marianna przestała wychodzić z domu.

O wpół do drugiej generał Wencel i major Schultz wyszli na obiad, ale kapitan i obaj kaprale zostali i zaczęli przeszukiwać sypialnię. Marianna bardzo żałowała, że nie może być przy tym, wobec tego siedziała dumnie wyprostowana na kanapie, jakby pozowała do portretu. Wzięła do ręki ilustrowane pismo i udawała, że czyta. Tymczasem Alojzka coraz to przybiegała z kuchni ze skargami, jakby ta niespodziewana wizyta miała jedynie na celu przeszkadzanie jej w pracy. Głośno lamentowała nad bałaganem, który wszędzie pozostawiają wbrew zapewnieniom generała Wencela, że odłożą

wszystko na swoje miejsce. W końcu Marianna straciła cierpliwość i nakazała dziewczynie nie pokazywać się więcej w salonie.

Słyszała, jak w sypialni wyciągają szuflady i otwierają szafę. Przeglądali jej garderobę, więc się zawstydziała, że zobaczą poplamioną galaretką spódnice, którą zapomniała dać do pralni, koszule Petera z wystrzępionymi mankietami, połatane prześcieradła i używane ubranka po dzieciach jej siostry, a także pakiet listów Petera z intymnymi miłosnymi wyznaniem, które pisał do niej podczas zeszłorocznych manewrów.

Skrzypnęły drzwiczki od nocnej szafki, ktoś wyciągał stojący tam nocnik, co ją przeraziło.

„Mój Boże - pomyślała - czy nie będzie końca tym upokorzeniom? Czyż nie mają już żadnego szacunku dla intymności małżeńskiego życia? Zaraz pewnie zaczną rozgrzebywać pościelone łóżka, ściągać prześcieradła i oglądać plamy po spermie...”

Rewidujący przenieśli się do kuchni. Alojzka z twarzą czerwoną i gniewną przysłała prosić o klucz do spiżarni. Marianna zawstydziała się, że trzyma spiżarnię zamkniętą, ale tak postępowały wszystkie dobre gospodynie, więc nie uważała za stosowne łamać przyjętych zwyczajów. W dziesięć minut później służąca przyniosła klucz z powrotem.

- Stłukli trzy jajka - powiedziała triumfująco - i słoik z piklami. Pozwoliłam psu zlizać jajka, ale pikli jeść nie chciał. Mam je obmyć i włożyć z powrotem do słoika?

- Wyrzuć je! - nakazała kryjąc twarz w dłoniach. Ogarnęła ją mordercza wściekłość i nie chciała dać tego poznać po sobie.

Czuła, że pewien szczęśliwy etap w jej życiu już się skończył. Kochała to mieszkanie, po dwóch latach małżeństwa stało się ono dla niej pierwszym prawdziwym domem. Ale teraz, kiedy ręce i oczy trzech obcych ludzi przejrzały każdy zakamarek, straciła do niego serce na zawsze.

Koło trzeciej po południu kapitan Kunze ze swymi ludźmi zakończył inspekcję. „Dorfrichter miał rację” - pomyślał Kunze. Nie znaleźli zagraconych kredensów, kurzu pod dywanem, brudnych naczyń i zżartych przez mole ubrań. Ale nie znaleźli też papieru listowego ani kopert, jakie wysyłał Charles Francis, fioletowego tuszu, cyjanku ani hektografu. Jediną rzeczą, która mogła mieć związek z otruciem, była paczuszka kapsułek z opłatka w podręcznej apteczce.

- Czy pani wie, do czego były potrzebne mężowi te kapsułki? - spytał kapitan Kunze.

Siedziała dalej skulona na kanapie i robiła wrażenie przerażonej i zmieszanej. Słyszała, jak parę minut temu Alojzka wybiegła z domu i na pewno zdążyła już rozgłosić w całym sąsiedztwie o tej upokarzającej urzędowej wizycie. Marianna nie wierzyła już, że inspekcja była tylko czczą formalnością i że przeprowadzano ją w podobny sposób w domach innych niższych oficerów.

- Kapsułki? - powtórzyła. Domyśliła się, że mają jakiś związek z tym, czego ci ludzie szukają. Przypomniała też sobie przeczytaną w gazecie wiadomość, że śmierć kapitana Madera przypisywano jakimś pigułkom z trucizną, które dostał pocztą. Dlaczego i w jaki sposób Peter miał być w to wmieszany, pozostawało dla niej głęboką tajemnicą.



Starła się rozpaczliwie wymyślić jakąś najmniej obciążającą odpowiedź.

- Zdaje mi się, że brał jakieś lekarstwo. Przechodził ostatnio silne przeziębienie. Z powikłaniami.

- Nie widziała pani, jak napełniał te kapsułki?

- Nie.

- Mógłbym je zabrać ze sobą?

Chciała odpowiedzieć: „Wynoście się stąd, do diabła! Ty i ci dwaj gamonie śmierdzący pomadą do włosów i końskim nawozem!” Była jednak żoną oficera, toteż potaknęła uprzejmie głową, a nawet zmusiła się do uśmiechu mówiąc:

- Bardzo proszę, panie kapitanie.

Bohaterski ten uśmiech nie uszedł uwadze Kunzego. Zdawał sobie sprawę, ile ją to musiało kosztować.

Kiedy badał akta personalne Dorfrichtera, dowiedział się również nieco o Mariannie. Ojciec porucznika był właścicielem dobrze prosperującej firmy eksportowej, a Marianny - urzędnikiem bankowym w Wiedniu, stojącym o parę stopni niżej w hierarchii społecznej. Zamiłowany alpinista, zabił się spadając ze skały w Alpach Tyrolskich, gdy Marianna miała dziesięć lat. Pozostawiona bez środków do życia wdowa zajęła się prowadzeniem sklepu z naczyniami kuchennymi w pobliskim sąsiedztwie zamieszkałym przez drobnomieszczańską sferę, a z czasem odkupiła ów sklep od sparaliżowanego właściciela. Marianna, najmłodsza z trzech córek, miała dwanaście lat, kiedy pojawiły się u niej lekkie objawy gruźlicy, i osiemnaście, kiedy lekarze stwierdzili, że

jest całkowicie wyleczona. Sześć lat przeleżała w łóżku na wznak w sanatoriach lub w domu, stale przy otwartym oknie, i nie wolno jej było uprawiać sportów ani chodzić do szkoły.

Fakt, że się z nią Dorfrichter ożenił, potwierdzał niezbicie, iż porucznik nie był człowiekiem o wybujałych ambicjach. Tacy żenią się zazwyczaj z córkami generałów lub ludzi majątnych, skromni bowiem porucznicy piechoty rzadko bywają bogaci. Marianna była jednakże wyjątkowo piękna, emanująca pełną wdzięku elegancją. Musiała też być niebywale pojętna, skoro w ciągu zaledwie dwóch lat małżeństwa przedzierzgnęła się we wzorową żonę oficera.

- Zdaje się, że wróciła pani niedawno z Wiednia? - zaczął rozmowę Kunze pakując pudełeczko z kapsułkami w ligninę. Robił to wolno i dość niezgrabnie. Dopiero później przyszło Mariannie do głowy, że być może robił to celowo.

- Jakiś czas temu. Co najmniej dwa tygodnie.

- Często jeździ pani do Wiednia?

- Dość często. Mieszka tam moja matka. Jesteśmy wiedeńczykami. To znaczy moja rodzina.

- Szkoda, że podróżowanie stało się teraz tak uciążliwe. Jakby wszyscy naraz musieli dokądś jechać. Pociąg, którym wczoraj przyjechaliśmy, był okropnie zatłoczony. Chyba trudno było pani teraz samej podróżować? - zauważył swobodnie, jakby trochę zamyślony. Nie powiedział wprost „w takim stanie”, ale Marianna pojęła, co miał na myśli, i zaczerwieniła się.

- Nie byłam sama. Peter, to znaczy mój mąż, przyjechał po mnie do Wiednia.

- Pani go o to prosiła, czy to był tylko elegancki gest z jego strony?

Uśmiechnęła się tym razem.

- Myślę, że był to elegancki gest. Nie wiedziałam nawet, że mi dano urlop.

- Czy zaskoczył tym panią?

- Przyznaję, że tak. Przyjechał wcześniej rano, koło siódmej. Spałam jeszcze, ale mnie nie budził. Dopiero, kiedy pies zaczął drapać do drzwi, przebudziłam się.

- To było czternastego listopada?

Spojrzała na niego zaniepokojona. Nagle zaświtała jej myśl, że jest przesłuchiwana.

- Tak - rzekła cichym głosem - czternastego.

Kiedy kapitan Kunze wyszedł z kapralami, przeczekala jeszcze parę minut, potem narzuciła na siebie pelerynę, podreptała do sąsiedniego domu, gdzie był telefon, i zadzwoniła do męża. Czekala długo, a potem telefonistka w centrali poinformowała ją, że nie mogą jednak nigdzie znaleźć porucznika.

Powróciła do domu, gdzie panował straszliwy nieład. Mimo starań kapitana Kunze mieszkanie wyglądało jak splądrowane. Rozrzucona pościel na łóżkach, bielizna była jak powpychana do szuflad, pootwierane drzwi, a przed toaletką rozsypany puder. Marianna położyła się na łóżku i w ubraniu wsunęła się pod kołdrę. Miała ochotę

porządnie się wyplakać, ale łzy nie napływały. Zapadła w sen. Obudziło ją skrzypnięcie drzwi w sypialni. Spojrzała i dostrzegła męża stojącego na progu.

- Peter! - wyskoczyła z łóżka, podbiegła do niego i przytuliła się mocno, jakby był bezpieczną skałą wśród szalejącego żywiołu wody. - Czego oni od nas chcą? Przewrócili dom do góry nogami, zaglądali do każdego kąta i szukali bez końca. Gdzie byłeś? Telefonowałam nawet do ciebie, ale mi powiedzieli, że nie mogą cię znaleźć.

Uwolnił się łagodnie z jej objęć.

- Uspokój się, kochanie - głos miał jak zawsze opanowany. - Pamiętaj, że nie wolno się tak przejmować. To może ci zaszkodzić.

- Ale o co tu chodzi, Peter?

- Nas to nie dotyczy. Popołniono morderstwo, a poszlaki wskazują na Linz, stąd właśnie śledztwo. Wygląda na to, że sprawcą jest, niestety, ktoś z tutejszego pułku. Musimy więc pogodzić się z pewnymi utrudnieniami, dopóki nie znajdą tego człowieka albo sprawa w ogóle pójdzie w zapomnienie.

- Zadawali mi masę pytań.

- Jakiego rodzaju? - Głos jego jakby się trochę ożywił.

- Różnego: czyś na przykład pojechał do Wiednia z własnej woli, czy dlatego, że pisałam ci, byś przyjechał.

- Oczywiście, że pisałaś. Spojrzała na niego przestraszona.

- Wcale nie!

- Pisałaś, że nie czujesz się dobrze. Pamiętasz? - Ton głosu miał stanowczy i trochę poirytowany, co ją speszyło.

- Naprawdę pisałam?

- Oczywiście, gdzieś mam jeszcze ten list.

- Pisałam do ciebie parę razy. Ale nie pamiętam, abym...

- Dlatego pojechałam do Wiednia zamiast do Salzburga - odpowiedział krótko. - Nie mogłam pozwolić, byś jechała sama. - Przerwał na chwilę. - Co im powiedziałaś?

- Powiedziałam im... to znaczy kapitanowi, że cię wcale nie prosiłam, abys przyjechał. Wybacz, Peter, ale tak mi się wydawało. I nadal tak myślę. - Posmutniała nagle. - Czy to źle, że im tak powiedziałam?

- Cóż, stało się i nie ma na to rady - rzekł i wzruszył ramionami.

- Może im powiedziec, że się omyliłam? - To by jeszcze pogorszyło sprawę. Dziwnie głuchy ton jego głosu zaniepokoił ją.

- Peter, czuję, że coś jest nie w porządku. Nie patrz na mnie teraz. Chcę ci coś powiedziec. Jeżeli z jakiegoś powodu jesteś zamieszany w tę sprawę, to zróbmy z tym wszystkim koniec. Jestem gotowa umrzeć razem z tobą. Nie boję się śmierci! - Nie mogła znieść dłużej wyrazu potępienia w jego oczach i odwróciła wzrok. - Najpierw zastrzel mnie, a potem...

- Siebie? - Uśmiechnął się boleśnie. - Po raz drugi dzisiaj otrzymuję taką propozycję, z tą jednak różnicą, że za pierwszym razem nikt mi nie proponował, że umrze razem ze mną. Nic z tego, moja droga! Nie zastrzelę ani ciebie, ani Trolla, ani siebie.

- Trolla?

- Chyba nie chcesz pozostawić *go* na pastwę losu? O ileż lepiej zabrzmiałyby w gazetach, gdyby pies też zginął w zbiorowym samobójstwie.

- Jesteś okropny!

- Tylko rozsądny. Nie wpadam w panikę. Nawiasem mówiąc, czy powtórzyłaś może kapitanowi naszą rozmowę, kiedyśmy czytali we dwoje listę awansów na pierwszego listopada?

- Jaką listę awansów?

- Nie pamiętasz? Pokazałem ją tobie, a ty powiedziałaś, że znasz kapitana von Gerstena, który był niegdyś tobą oczarowany, i gdybyś go wtedy ośmieliła, zostałabyś może żoną sztabowca, a nie zwykłego oficera liniowego.

- Wcale tak nie mówiłam!

- Właśnie, że mówiłaś!

- Żartowałam tylko.

- Wiem. Ale jeśli cię o to spytają, to milcz na ten temat. Nie pokazywałem ci żadnej listy awansów, nigdy o niej nie mówiliśmy i nawet nie wiesz, czy ją czytałem.

- Czy to aż takie ważne?

- Nie za bardzo. Ale oni mają tę nieszczęsną sprawę w swoich rękach i robią wszystko, by ją rozwikłać i zadowolić opinię publiczną i prasę. Gotowi są skazać niewinnego człowieka poświęcając go dla dobra stosunków między armią a cywilami. Tak się właśnie składa, że nie dałem zrobić z siebie ofiarnego kozła.

Poczuła się nieco lepiej, ale nie odzyskała zupełnego spokoju.

- Powiedziała im, że kupiłeś wieniec na grób Madera. Nie będą ci tego mieli za złe, prawda?

- Oczywiście, że nie. Był moim kolegą. Sympatyczny chłop i dobry oficer. Żaden geniusz, ale dosyć inteligentny i można z nim było ciekawie pogadać. Wszyscy go lubili. Poza tym - tu przerwał na moment - miałem szczególny powód, aby serdecznie polubić Madera. Kiedyś ocalił mi życie.

- Naprawdę? - Spojrzała na niego zdumiona. - Nigdy mi o tym nie wspominałeś.

- Istotnie.

- W jaki sposób ocalił ci życie?

- To długa historia. Opowiem ci kiedy indziej. Zjedźmy teraz kolację.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Ledwie dokonano przesłuchania Dorfrichtera w Linzu, a już nazajutrz przyszła do wiedeńskiego Prezydium Policji niska, tęga kobieta lat około czterdziestu, w towarzystwie nobliwego pana w dobrze zaprasowanym, choć już nieco znoszonym garniturze, i poprosiła o rozmowę z szefem Brezovskym. Przybyłych zaprowadzono do kancelarii kapitana Kubelika, pierwszego zastępcy szefa. Nobliwy jegomość przedstawił się jako inspektor poczty Blosch.

- Fräulein Anna Posselt pracuje w urzędzie pocztowym numer pięćdziesiąt dziewięć - powiedział Kubelikowi. - Jest w posiadaniu ważnej, jak sądzę, informacji związanej ze sprawą Charlesa Francisa.

Poproszony o podanie szczegółów, odpowiedział, że panna Posselt będzie rozmawiać tylko z samym szefem. Kapitan Kubelik zaczął jednak powątpiewać, czy panna Posselt potrafi w ogóle mówić, ponieważ w trakcie rozmowy nie wydała z siebie jednego nawet dźwięku. Była to krępa niewiasta; twarz miała jak księżyc w pełni, a włosy i oczy smolistoczarne. W długim do kostek zimowym palcie wyglądała jak wyrzeźbiona z kawałka drewna i obciążona u dołu ołowiem kukła, którą bawią się dzieci.

Po krótkim oczekiwaniu pannę Posselt i jej towarzysza zaprowadzono do szefa policji Brezovsky'ego, który był dla nich uprzejmy, ale ku rozczarowaniu

Bloscha nie za bardzo skłonny wysłuchiwać rewelacji panny Posselt. W ciągu minionych paru dni zasypywany był lawiną informacji



i donosów preparowanych głównie przez wariatów i mitomanów. Brezovsky był od samego początku przekonany, że sprawcą jest ktoś ze sfer wojskowych. Generał Wencel przebywał właśnie z komisją w Linzu, gdzie przesłuchiwał pewnego porucznika, którego aresztowanie było, według pogłosek, sprawą przesądzoną. Niemniej polecił wezwać urzędowego stenografa, by spisał oświadczenie urzędniczki z poczty.

- To bardzo godna zaufania pracownica - zapewnił inspektor Blosch, jakby czytając w myślach szefa policji. - Ponad dwadzieścia lat w służbie poczty. Panno Posselt - zwrócił się do kobiety - proszę opowiedzieć panu o polskim Żydzie i listach.

Urzędniczka westchnęła głęboko.

- Było to czternastego listopada, parę minut przed ósmą rano. Koło mego okienka, gdzie przyjmuję listy polecone i sprzedaję znaczki, stało już paru interesantów, ów Żyd zaś był drugi w kolejności i wyciągał szyję, by zobaczyć, co mi zabiera tyle czasu, chociaż naprawdę pracowałam bardzo szybko. Kiedy przyszła jego kolej, dał mi plik listów. Okazało się, że były to zwykłe listy ofrankowane dziesięciohalerzowym znaczkiem, więc mu powiedziałam, żeby je wrzucił do skrzynki. On mi na to, że już ją opróżniono, co było prawdą, bo dwaj koledzy właśnie sortowali pocztę. Chciał, żebym podrzuciła im te listy, to prędzej pójdą. Bardzo nalegał, był nawet nachalny. Spytałam, po co ten pośpiech, a on na to, że jakiś porucznik przysłał go z tymi listami aż z Galicji i bardzo mu zależy na pośpiechu. Chciałam się go pozbyć, więc kazałam mu pójść za kontuar i położyć listy na stole, co też zrobił.

Relacjonowała to wydarzenie z całkowitą obojętnością, nudnym, jednostajnym tonem, bez najmniejszego przestanku.

- Nie wspomniała pani o adresie - odpowiedział jej Blosch.

- Słusznie - dodała i trochę się ożywiła. - Kiedy ten Żyd wsunął listy przez okienko, zerknęłam na jeden z adresów. List był do jakiegoś kapitana, bez podania ulicy, tylko od razu: Korpus Sztabu Generalnego, Ministerstwo Wojny, Wiedeń.

Brezovsky patrzył na nią w zamyśleniu.

- Dlaczego przeczytała pani adres?

Błada twarz panny Posselt oblała się rumieńcem.

- Właściwie to nie czytałam, tylko tak sobie zerknęłam, bo ten człowiek robił tyle zamieszania. Zastanowiło mnie, czemu ten porucznik nie wysłał listów osobiście. Po co fatygował człowieka z Galicji aż do Wiednia, kiedy wystarczyło dolepić pięciahalerzowe znaczki. Wydało mi się to dziwne. I nadal się wydaje.

- Powiedziała pani, że był to polski Żyd. Po czym pani to poznała?

- Po wyglądzie. Miał chałat, gęstą rudą brodę i mówił z polskim akcentem. Niejednego już takiego widziałam w życiu.

- Kiedy mi panna Posselt powiedziała o tych listach - wtrącił Blosch - natychmiast uświadomiłem sobie, że może to mieć związek ze sprawą Charlesa Francisa i nalegałem, by się natychmiast zgłosiła bezpośrednio do pana. Moim zdaniem, pomaganie policji to przecież nasz obywatelski obowiązek.

- Doceniamy to - rzekł Brezovsky i pomyślał w duchu: „Bo wiesz, bratku, że ministerstwo ustanowiło dwa tysiące koron nagrody”.

Brezovsky poprosił oboje o podpisanie się pod zeznaniem, a potem nakazał agentom odwiedzić wszystkich kapitanów z Korpusu Sztabu Generalnego i spytać, czy nie otrzymali listów nadanych czternastego listopada, a wysianych przez ich kolegę stacjonującego w Galicji. Jeden z ludzi udał się do zapieczetowanego mieszkania kapitana Madera i przejrzał dokładnie wszystkie jego papiery. Brezovsky nadal trwał w przekonaniu, iż poszlaka, która wskazuje na Dorfrichtera, jest najbardziej obiecująca, ale że nowe doniesienie też wskazywało na armię, zdecydował się sprawdzić jego wiarygodność.

Agent wysłany do mieszkania Madera wrócił z kopertą noszącą stempel pocztowy z czternastego listopada z urzędu numer pięćdziesiąt dziewięć. Samego listu nie było, ale nazwisko i adres nadawcy widniał na odwrocie koperty. Nie bez znaczenia była tutaj tożsamość nadawcy, porucznika Josefa von Hedry, też absolwenta Akademii Wojskowej, dziesiętnastego na liście lokat rocznika 1905, na której to liście Dorfrichter zajmował miejsce osiemnaste. Nazwisko Hedry'ego padło już raz podczas przesłuchiwania jednego z odbiorców przesyłki Charlesa Francisa. Fakt, że wśród dziesięciu adresatów, był jedynym nie promowanym do rangi kapitana, nie uszedł uwadze, ale nie przydano temu wielkiego znaczenia. Hedry stacjonował w odległym Gródku w Galicji i zgodnie z tym, co powiedział o nim dowódca podczas zamiejscowej rozmowy telefonicznej, nie był w Wiedniu już od przeszło pół roku. Niemniej, istniała koperta zaadresowana do

nieżyjącego już Madera z identycznym, jak na fatalnych listach Charlesa Francisa stemplem urzędu pocztowego numer pięćdziesiąt dziewięć, tą samą datą i godziną nadania.

Szef policji Brezovsky natychmiast powiadomił o tym telefonicznie generała Wencla w Linzu. W trakcie narady członkowie komisji zdecydowali, że kapitan Kunze wymknie się cicho z miasta i pojedzie pierwszym pociągiem do Gródka.

Porucznik Josef von Hedry pędził na koniu główną aleją pałacowego parku Schönbrunn w pogoni za lisem. Ale dlaczego jest sam? Gdzie się podziała reszta towarzystwa? Chwilę później nie siedział już w siodle, ale spacerował z budapesztańską artystką, z którą miał romans minionego lata. Próbował właśnie przypomnieć sobie jej nazwisko, kiedy raptem poczuł na twarzy chłusnięcie lodowato zimnej wody. Zakaszłał, nie mógł złapać tchu i zaczął się krztusić. Zdawało mu się, że tonie, więc zamachał rękami i natrafił na coś miękkiego i ciepłego. Nagle uświadomił sobie, skąd się wzięła woda. Był w Gródku, a wodą oblała go Rusinka Natasza, otyła prostytutka.

- Idź do czorta, ty głupia krowo! Co ci przyszło do głowy?

Spojrzał gniewnie na jej naburmuszoną twarz. Polskie dziwki były wprost koszarne, ale Rusinki jeszcze gorsze. Trzeba było wpierw upić się w sztok, żeby iść do łóżka, ale nawet wtedy akt ten pozostawiał okropny niesmak. Było to brudne i nędzne stworzenie, zresztą jak wszystko w Galicji. To nieprawda, co głosiło Pismo Świète, że piekło to morze ognia i siarki. Piekłem była nieurodzajna prowincja z tumanami wirującego kurzu, z wszechobecnym smrodem gnoju latem i

przejmującym do szpiku kości wiatrem, mgłami i błotem po kolana począwszy już od września. Miało to piekło jedną tylko zbawienną stronę: w nadciągającej wojnie, a Hedry modlił się, by przyszła jak najszybciej, Galicja stanie się niechybnie terenem walk i zniknie bez śladu, starta z powierzchni ziemi.

- Bo mi kazał! - zawołała Natasza. - Mówił: budzić równo o szóstej, żeby nie wiem co było. A jeśli nie pomoże, to oblać wodą. Niech już wstaje! Bo się spóźni na Vergatterung!

Nazywał ją dla wygody Nataszą, bo gdyby używał jej prawdziwego imienia, stworzyłoby to pewną zażyłość, niweczącą konieczny dystans, jaki oficer musiał zachowywać wobec ludności cywilnej, zwłaszcza w Galicji.

Usiadł z trudem. Miał uczucie, jakby mu ktoś rozplątał głowę siekierą. Bardzo niewiele pamiętał z wydarzeń minionego wieczora: obiad w restauracji u Jabłońskiego w gronie kolegów huzarów, a potem pijatyka w gabinecie nocnego baru Parisienne, nędznego, zapchlonego lokaliku. Wtedy to dołączyło do nich trzech ułanów, co się na ogół rzadko zdarzało, bo huzarzy i ułani trzymali się zazwyczaj z dala od siebie. Tylko najgłębsza nuda i beznadziejność łączyły ich niekiedy razem. W gruncie rzeczy ułani nie byli jeszcze wcale takim najgorszym towarzystwem. Większość z nich pochodziła z polskiej arystokracji, a Galicja stanowiła część ich ojczyzny. Najgorsze było jednak to, że kontakty towarzyskie z nimi polegały głównie na zakładaniu się, kto więcej wypije, a czasem kończyły się pojedynkiem. Prawo zabraniało

surowo pojedynków, ale ponieważ rozpraszały one nudę, dowódcy przymykali na nie oczy, pod warunkiem, że nie kończyły się śmiercią.

Hedry rozejrzał się po brudnej izdebce i poczuł raptem, że go oblażyły chyba wszystkie insekty Galicji. Wskoczył z łóżka i zaczął się ubierać z szybkością, jakiej nie spodziewałby się po sobie jeszcze parę minut temu. Odnalazł portfel ze znacznie cieńszym plikiem banknotów. Nie sposób było już ustalić, ile z brakujących pieniędzy wydał wczoraj wieczorem, a ile przywłaszczyła sobie Natasza. Wyciągnął dziesięciokoronowy banknot i wręczył jej tak, jak się podaje kość bezdomnemu psu, trzymając ją w obu palcach, by nie dotknąć brudnego pyska.

Dziesięć koron musiało być zdumiewająco szczodłą zapłatą za wyświadczone usługi, gdyż szeroki uśmiech rozlał się na twarzy dziewczyny. Chwyciła nagle w potężne jak u siłacza ramiona smukłego porucznika i przycisnęła go mocno do pulchnego ciała. Niespodziewany ten gest sprawił, że Hedry stracił równowagę i przez moment miał wrażenie, że upadł w dzieżę z ciastem. Poczul fetor tłustych włosów, potu, woń niemytego ciała, i fala mdłości podpłynęła mu do gardła. Odepchnął brutalnie od siebie tę górę sadła, aż się dziewczyna zatoczyła i padła na łóżko, gdzie znieruchomiała rozwalona bezwstydnie na kupie zmiętoszonej i brudnej pościeli.

- Nie waż się mnie dotykać! - krzyknął przypinając pas z szablą.  
- Nie ciągnij mnie też więcej do tego chlewu, kiedy jestem pijany, bo zatłukę cię na śmierć, gdy wytrzeźwieję!

Ze złością wciągnął na siebie płaszcz. Czuł odrazę do wszystkich. Oburzało go do głębi, że marnuje najlepsze lata w tej przez Boga zapomnianej mieścinie. Jak długo jeszcze potrafi to znieść, nim się ostatecznie załamie? Mógł go uratować jedynie szybki wybuch wojny.

Zaczynało już świtać, choć było jeszcze ciemno i pusto na ulicach, czasem tylko tu i ówdzie jakaś kobieta zamiatała trotuar przed domem. Każda z nich nieruchomiała przez chwilę na widok pięknego profilu oficera ze sterczącymi butnie wąsami, gdy mijał je brzęcząc ostrogami, a rozpięty płaszcz niczym rama obrazu ukazywał czerwień spodni i stalowy błękit bluzy. Opatulone po czubek nosa z powodu listopadowego chłodu kobiety wyglądały jak ruchome worki kartofli. Nawet nie spojrzął w ich stronę.

Gródek, jak sam to zauważył, miał tylko dwa rodzaje mieszkańców: ospałych, cuchnących chłopów i rzeszę cherlawych, ubranych na czarno, usłużnych Żydów. Stanowczo wolał tych ostatnich. Gdyby nie ich uczynność i zapobiegliwość, byłoby tu jeszcze gorzej. To dzięki nim życie w miasteczku stawało się znośne.

Potrafili w magiczny sposób zdobyć kwatere, francuski szampan, dostarczyć żywność i proszku na insekty oraz ułatwić pożyczkę. Zdumiewali go ci ludzie, którzy żyjąc w równie skrajnej nędzy jak chłopci, okazywali wrodzone zrozumienie dla podstawowych potrzeb całkowicie obcej im kultury. Kiedyś był zdeklarowanym antysemitą, ale tutaj w Gródku polubił Żydów. Co więcej, był od nich zależny.

Przed zameldowaniem się w koszarach zamierzał pójść do domu, aby wziąć gorącą kąpiel i przebrać się. Mieszkał po drugiej stronie miasteczka, ale dla otrzeźwienia umysłu postanowił pójść na piechotę.

Po paru minutach poczuł się znacznie lepiej, przynajmniej fizycznie, bo nic nie było w stanie poprawić jego nastroju. Odkąd stwierdził, że nie ma jego nazwiska na liście promocji z dnia 1 listopada, popadł w beznadziejną rozpacz. Miał dziewiętnastą lokatę na liście absolwentów Akademii Wojennej z rocznika 1905. Przed rokiem trzydziestu oficerów z najwyższą lokatą z rocznika 1904, po odbyciu obowiązkowej, trwającej cztery lata służby liniowej, wcielono do Korpusu Sztabu Generalnego. Tym razem dla jakichś dziwnych powodów - a mógł to być równie dobrze kaprys nowego szefa Franza Conrada von Hötzendorfa, promowano tylko pierwszych piętnastu.

Sam fakt może by go tak nie rozgoryczył, gdyż nie miał zbyt wygórowanych ambicji i zawsze czuł się znacznie szczęśliwszy w otoczeniu żołnierzy niż za biurkiem. Kawaleria, którą ukochał, była mu domem, ojczyzną, przeszłością i przyszłością. Mierziła go sama Galicja.

Rząd próbował za wszelką cenę spoić różnorodną narodowościowo ludność monarchii w jedną całość i dlatego umieszczał węgierskie pułki w Galicji, Austriaków w Sarajewie, Słoweńców w Salzburgu, Bośniaków w Budapeszcie, Rusinów w Grazu, a Czechów w Debreczynie. Miało to sprzyjać braterskiemu porozumieniu narodów, ale w rzeczywistości budziło w tych ludziach



tęsknotę za domem i nienawiść do każdej piędzi obcej ziemi i jej mieszkańców, z wyjątkiem może młodych niewiast. Sama świadomość, iż bierze udział jakby w krucjacie, nie była w stanie zmniejszyć rozpaczki porucznika von Hedry'ego. Na domiar złego stracił również Lebovitza.

Lebovitz zaliczał się chyba do najlepszych totumfackich Żydów, z jakimi stykał się dotąd von Hedry. Był to wąty, w nieokreślonym wieku człowiek, bystry nad wyraz i wprost niestrudzony. Los zetknął ich ze sobą w chwili, kiedy von Hedry wysiadł z pociągu kursującego na trasie Wiedeń-Gródek-Tarnopol i nie mógł znaleźć tragarza, który by się zajął jego bagażem, ani fiakra, by się dostać do miasta. Lebovitz jechał tym samym pociągiem, trzecią klasą, wracał bowiem z pobliskiego miasta, gdzie brał udział w pogrzebie. Widząc, w jak trudnym położeniu znalazł się młody oficer, natychmiast przejął inicjatywę. W mgnieniu oka znalazł fiakra dla porucznika i furmankę na jego *bagaż*, pokój w najlepszym hotelu miasta, proszek na insekty gwarantujący nieprzerwany sen, następnego zaś dnia mieszkanie z łazienką i osobnym wejściem oraz dostarczył listy polecające do najlepszych burdeli Tarnopola i Przemyśla.

Ten ideał bez skazy postanowił jednak opuścić rodziną Galicję i wyemigrować do Ameryki, co było zaskoczeniem dla porucznika von Hedry, a dla Lebovitza i licznej gromady jego pobratymców ukoronowaniem żmudnych przygotowań. Dwudziestu trzech mężczyzn, niektórzy nawet z rodzinami, związało swój los z młodym rabinem, który zorganizował ów wspólny wyjazd. Większość miała krewnych w

Stanach Zjednoczonych, toteż ich zdaniem nie ryzykowali wiele. Lebovitz natomiast nie miał tam nikogo, za to był jednym z pierwszych, którzy postanowili wyjechać. Kiedy Hedry próbował odwieść go od tego zamiaru strasząc opowieściami o masakrach dokonywanych przez Indian i rzeźmieszków z Dzikiego Zachodu, Lebovitz tylko się śmiał.

- Panie poruczniku, dla takiego jak ja biedaka, który musiał zarabiać na życie obsługując panów wojskowych, Indianie wydają się cherubinami. - I dodał szybko: - Oczywiście mam na myśli ułanów, a nie huzarów. Ułani to polscy panowie i nie darzą nas, Żydów, miłością. Węgierscy panowie są znacznie lepsi. Nigdy nas nie biją, kiedy są trzeźwi.

Lebovitz odjechał przed dziesięcioma dniami. Choć w wyznaczyl bratanka na swoje miejsce, von Hedry ciągle czuł się jak osierocone dziecko. Bratanek był chuderlawym, wiecznie zakatarzonym młodzieńcem i w ciągu dziesięciu dni ani razu nie zmienił koszuli, nie wyczyścił sobie butów ani też nie użył chusteczki.

Kiedy Hedry dotarł do domu, spostrzegł ku swemu przerażeniu, że będzie musiał na czas nieokreślony zrezygnować z kąpieli. Czekał już bowiem na niego kapral z rozkazem zameldowania się natychmiast u dowódcy. Ideges, koń porucznika, czekał w podwórzu już osiodłany i nakryty derką. Porucznikowi wydawało się, że w oczach zwierzęcia maluje się taki sam wyraz obrzydzenia. *Idegés* znaczy po węgiersku „narowisty” i koń ten w całej pełni na takie miano zasługiwał. Wszystko, co się rusza: człowiek, armata, automobil lub Żyd w czarnym chałacie, sprawiało, że stawał dęba lub ponosił, dopóki nie

poczuł, jak lędźwie porucznika von Hedry ściskają mu boki. Zmieniał się wówczas w baranka, chociaż porucznik nie karał go nigdy ani szorstko się z nim obchodził. Hedry posiadał, jak się zdaje, większy dar nawiązywania kontaktu ze zwierzętami niż z ludźmi.

Zaczęło mżyć, a mrok przemienił się w zamgloną szarość, nim dotarli do koszar. Kancelaria dowódcy mieściła się na parterze ponurego piętrowego budynku w pobliżu bramy. Stojący na warcie starszy sierżant natychmiast powiadomił dowódcę o przybyciu Hedry'ego.

Hrabia Peterfy był wysokim i wyniosłym mężczyzną o najbardziej prostych plecach i najbardziej orlim nosie w całej austro-węgierskiej monarchii. Spojrzenie jego stalowych oczu budziło dreszcz grozy wśród najodważniejszych huzarów. Von Hedry przypuszczał, że czeka go jakaś straszliwa reprimenda za brewerie, których się dopuścił minionej nocy, i poczuł się niemal zawiedziony, kiedy w stalowoniebieskich oczach dostrzegł ojcowską łagodność. „Jezu Chryste - pomyślał. - Pewnie umarł ktoś z rodziny. Może mama? Boże, spraw, by to nie była ona. Nie pisałem już do matki od sześciu tygodni”.

Potem zauważył, że pułkownik nie jest sam. Jakiś nieznany mu kapitan podniósł się z krzesła stojącego za biurkiem. Naszywki wskazywały, że jest prokuratorem wojskowym, a kiedy przedstawiono ich sobie, porucznik dowiedział się, że przybyły nazywa się Emil Kunze.

- Sąd wojskowy garnizonu wiedeńskiego wyznaczył kapitana do prowadzenia śledztwa w pewnej sprawie kryminalnej. Zada ci on parę pytań. Odpowiedz na nie, jak potrafisz najlepiej - pouczył von Hedry'ego pułkownik. - Gdybyś uznał, że potrzebna ci jest pomoc z mej strony, nie wahaj się o nią prosić. Powiedziałem kapitanowi, że jesteś jednym z mych najlepszych oficerów i że mogę ręczyć za twą prawdomówność.

„Jakie to dziwne - pomyślał Kunze - austriacki pułkownik w Linzu i węgierski pułkownik w Gródku zareagowali w identyczny sposób, kiedy na jednego z ich podwładnych padło podejrzenie, iż popełnił czyn niegodny oficera. Czy podobieństwo reakcji należy traktować jako korzystny objaw? Byłżeby to dowód, że monarchia jest mimo wszystko monolitem, a nie mozaiką różnorodnych nacji, że nie jest skazana na powolną śmierć przez rozkład lub erupcję ras żyjących obok siebie? Jest że to znak, że armia stanowi siłę, która spaja monarchię i pozwoli jej przetrwać, jeśli nie po wieczne czasy, to przynajmniej przez następne sto lat?”

Kunze wyciągnął kopertę z teczki i podał von Hedry'emu.

Hedry spojrział na nią zdumiony.

- Tak, proszę pana. To jest mój list do nieżyjącego kapitana Madera.

- W jakim celu pisał pan do niego?

- Byliśmy przyjaciółmi. Kiedy przeczytałem w gazecie, że go promowano, posłałem mu gratulacje.

- Mimo faktu, że pana samego pominięto w awansie?

Krew napłynęła porucznikowi do twarzy.

- Nie wiem, co ma jedno do drugiego.

Kunze przymknął na moment powieki. Nigdy nie potrafił spać w pociągu, a podróż do Gródka była długa i męcząca.

- Wyjeżdżał pan z Gródka po trzynastym listopada, poruczniku?

- Nie, panie kapitanie.

- W takim razie jak to jest możliwe, że pana list do kapitana Madera nadano w Wiedniu rankiem czternastego listopada?

- Znajomy mój, Żyd-faktor, nadał go przejeżdżając przez Wiedeń w drodze do Ameryki.

Kunze uniósł brwi.

- Żyd-faktor?

- To taka swoista miejscowa instytucja, panie kapitanie - wyjaśnił pułkownik. - Nie mogę powiedzieć, by Gródek był rajem, zwłaszcza dla młodych oficerów. Trudno tu nawet o przyzwoitą kwaterę. Od tego właśnie są faktorzy. Jacy to niebywale operatywni ludzie! To musi mieć coś wspólnego z ich religią. Są nawet lepsi od Mojżesza, gdyż potrafią dobyć ze skały nie tylko zimną, ale i gorącą wodę.

Kunze skwitował żart uprzejmym uśmiechem i znów zwrócił się do porucznika.

- Dlaczego zlecił pan temu człowiekowi nadanie listu? Czemu nie wysłał go pan pocztą z Gródka?

- Sądziłem, że w ten sposób szybciej dotrze do adresata. Mówiąc ogólnie poczta nie funkcjonuje tutaj zbyt sprawnie.

- Czy dał mu pan do wysłania tylko ten jeden list?

- Nie. Dostał ich trzy albo cztery. Wszystkie adresowane do znajomych w Wiedniu.

- Ile ich było dokładnie? Trzy czy cztery? Hedry zastanawiał się chwilę.

- Trzy.

- Do znajomych w wojsku?

- Nie, panie kapitanie. Do cywilów.

- Chce pan przez to powiedzieć, że adresatami nie byli pańscy koledzy?

- Nie. Z wyjątkiem kapitana Madera. Reszta to były... damy.

- Wszystkie trzy?

- Tak, panie kapitanie.

Kapitan Kunze poprosił o podanie ich nazwisk, które zanotował.

- Nazwisko tego... - zawahał się na moment - pańskiego faktora?

- Lebovitz.

- Imię?

- Imienia nie znam. Przez cały czas zwracałem się do niego po nazwisku. Ale mogę się dowiedzieć od bratanka, który go zastępuje, w pewnym sensie. Zapytam go, jeśli pan sobie życzy.

- Byłoby to bardzo pomocne - odpowiedział Kunze.

Chociaż prowadzili rozmowę tonem spokojnym i swobodnym, porucznik czuł się w dalszym ciągu zakłopotany i skwapliwie odpowiadał na każde pytanie.

- Czy to prawda, że dziewiętnastego listopada otrzymał pan ulotkę podpisaną przez niejakiego Charlesa Francisa i natychmiast oddał ją pan dowódcy?

- Tak jest, panie kapitanie.

- W ogóle nie otwierał pan koperty?

- Nie.

- Dlaczego?

Hedry zaczerwienił się, co sprawiło, że ogorzała od słońca twarz przybrała kolor jesiennych liści.

- Nie otwierałem, ponieważ wszystkim oficerom w garnizonie rozkazano zwrócić przesyłkę, jeśli takową otrzymają. - Po raz pierwszy podczas przesłuchania twarz i głos Hedry'ego zdradzały irytację.

Kapitan Kunze popatrzył na niego długo i przenikliwie. Zdumiewał go ten młody człowiek. Przed wyjazdem do Gródka przestudiował jego personalia. Von Hedry pochodził z bardzo starej i bogatej rodziny. Fakt, że nie tylko dostał się do Akademii Wojennej, ale że ją ukończył, wskazywał na dużo większe uzdolnienia od tych, jakie wykazywał przeciętny oficer kawalerii. W danej chwili miał jednak przed sobą mocno skacowanego młodzieńca o czerwonych z przepicia oczach, który z trudem opanowywał ziewanie. W odpowiednio wyważonym i pozornie pełnym szacunku tonie odpowiedzi wyczuł Kunze nutę igraszy pańskiej pobłażliwości. Kapitan ponownie zdumiał się w podziwie dla magnetycznej siły armii, która sprawiała, że ludzie o tak wielkich fizycznych i umysłowych walorach poświęcili się służbie

wojskowej otrzymując w zamian jedynie nudę, mało ciekawe towarzystwo tępych kolegów i przymus ślepego posłuszeństwa.

- Jakie są pana plany na przyszłość, poruczniku? - zapytał.

Młodzieniec zmarszczył czoło. Pytanie takie wydało mu się pozbawione sensu.

- Czy mogę wiedzieć, o jaką dziedzinę mego życia chodzi?

- Zamierza pan pozostać w wojsku?

- Oczywiście, proszę pana. - Porucznik już nie robił wrażenia sennego. Westchnął głęboko i dodał: - Mimo rozczarowania, że nie wcielono mnie do Korpusu Sztabu Generalnego. - Jego głos, choć spokojny, był silnie przepojony wzdargą, tak jakby księżę karciał dworskiego błazna. Nagle Kunze zrozumiał, dlaczego Charles Francis umieścił nazwisko porucznika na liście swych potencjalnych ofiar. Nie wykluczone bowiem, że von Hedry używał podobnego tonu właśnie wobec owego Francisa.

- Przypomina pan sobie porucznika Dorfrichtera? Był pana kolegą w Akademii Wojennej.

Porucznik pokręcił głową, jak człowiek, który próbuje wytrząsnąć wodę z uszu. Zmiana tematu nastąpiła zbyt szybko jak na niego.

- Nie rozumiem pana - powiedział do Kunzego z jakąś okrutną butą w głosie.

- Porucznika Dorfrichtera - powtórzył Kunze nazwisko powoli i wyraźnie. - Czy przypomina go pan sobie?

- Tak, proszę pana.



- Jakie łączyły was stosunki? Hedry lekko wzruszył ramionami.

- Był moim kolegą z tego samego rocznika.

- Byliście ze sobą w przyjaźni?

- Nie - padła natychmiast odpowiedź. - Dorfrichter nie należy do ludzi, z którymi można się łatwo zaprzyjaźnić. Ja też nie - dodał z przepraszającym uśmiechem.

- Kłóciliście się może? Był on następnym na liście lokat. Zatem współzawodniczyliście ze sobą.

- Współzawodniczyli ze sobą wszyscy, bo tak jest właśnie w Akademii Wojennej. Żadnego koleżeństwa. Idzie się do sukcesu po trupach ludzi, których ma się przed sobą. Panu jest to zapewne wiadome. Tak w każdym razie bywało, gdy ja tam uczęszczałem. Być może, obecnie mają tam bardziej wzniosłych duchowo słuchaczy, w co jednak wątpię.

Kunze przyznał mu w duchu rację.

- Musi pan jednak mieć jakieś własne zdanie o Dorfrichterze? - zapytał podstępnie kapitan.

- No cóż... - zastanawiał się Hedry - był inteligentny i zdolny. Znacznie bardziej od tych sklasyfikowanych wyżej od niego. Jego słabą stroną były nerwy. Tracił głowę w obliczu presji. Na egzaminach nie wypadał tak dobrze, jak powinien. W dodatku strasznie bał się koni! - Natychmiast się poprawił. - Złe się wyraziłem. To nie był strach, to była właściwie niechęć. Dorfrichter nie był zbyt sprawny fizycznie. Pech chciał, że major von Campanini uparł się, że zrobi z niego sportowca. Zawsze przydzielał mu najbardziej narowiste konie. Niejeden raz

zrzucały Dorfrichtera. Czasami nawet żał mi było tego biedaka - uśmiechnął się, dodając - i konia też.

- Uważany jest pan za najlepszego jeźdźca w monarchii, poruczniku - powiedział Kunze.

Von Hedry wzruszył ramionami.

- Nie wiedziałem o tym. Chciałbym jednak zaznaczyć, że to żadna sztuka, jeśli się weźmie pod uwagę, że właściwie wychowałem się w siodle. Dorfrichter zaś nie miał nigdy takiej sposobności.

Kunze podniósł się.

- Dziękuję, poruczniku. To byłoby na razie wszystko. Będę wdzięczny za podanie mi imienia i adresu tego Lebovitza. A także nazwisk ludzi, którzy z nim razem udali się w podróż.

- Na kiedy będzie to panu potrzebne? - spytał von Hedry.

Kunze nie taił swego zdumienia. - Natychmiast - odrzekł poważnym tonem.

Porucznik von Hedry skłonił się swym przełożonym, stuknął obcasami i wymaszerował z pokoju. Gdy znalazł się na dziedzińcu, rozkazał pierwszemu z brzegu huzarowi próżnującemu na ganku, by mu przyprowadził konia. Jednym sprawnym ruchem gibkiego ciała wskoczył na siodło i pogalopował w stronę miejscowego getta.

W parę godzin później, do pensjonatu w wiedeńskiej dzielnicy Leopoldstadt, gdzie grupa emigrantów z Gródka czekała na pozwolenie opuszczenia kraju, dotarło do Mojżesza Lebovitza wezwanie do stawienia się natychmiast w Prezydium Policji. Przyszło ono w najbardziej nieodpowiednim momencie, kiedy emigranci pokonali już

wszystkie przeszkody udaremniające im wyjazd i mieli opuścić kraj jeszcze tego samego wieczora.

Chociaż Lebovitz w czasie dwutygodniowego pobytu w Wiedniu nie spotkał się z najmniejszym przejawem wrogości, uznał jednak, że bezpieczniej będzie wziąć ze sobą adwokata. Był nim stale mieszkający w Wiedniu kolega ze szkolnej ławy młodego rabina, ich przewodnika podróży. Nie wyglądał wcale na Żyda, co jednak nie zmyliło Lebovitz, chociaż wielkie miasto przekształciło adwokata w eleganckiego i wielce uprzejmego jegomościa.

Szef policji Brezovsky przyjął ich natychmiast. Wypowiedział parę serdecznych słów, aby uspokoić zdenerwowanego Lebovitz, po czym zapytał, co go łączy z porucznikiem von Hedry. Lebovitz osłupiał, gdyż zupełnie nie spodziewał się takiego pytania. Czuł, jak pod grubym chałatem oblewa go zimny pot, czepił się więc nerwowo szponiastymi palcami miękkiej poręczy krzesła. Pomyślał, że porucznika obrabowano lub zabito i jego właśnie podejrzewają o tę zbrodnię. Przeżył już w dzieciństwie i młodości parę pogromów, ale nie zdołały go one tak przestraszyć, jak pozornie serdeczne zachowanie się szefa policji. Lebovitz pojmował istotę pogromów, ale nie rozumiał szefa i jego motywów. Przyznał się do tego, że wyświadczał porucznikowi liczne przysługi, za co otrzymał drobne wynagrodzenie, i że nic więcej nie ma do powiedzenia. Zresztą pan porucznik zawsze mawiał, że jest z niego zadowolony.

- Ile listów dał wam porucznik do wysłania z Wiednia?

Lebovitz otworzył szeroko oczy. Złakł się, że były w nich może jakieś ważne wiadomości lub pieniądze.

- Było ich cztery, herr Brezovsky - wyjąkał.

- Na pewno nie było ich więcej?

- Na pewno. Policzyłem je, kiedy porucznik mi dał, a potem drugi raz na poczcie.

- Wrzuciliście je do skrzynki pocztowej?

- Nie, proszę pana. Chciałem mieć pewność, że nie zginą, więc je położyłem na ladzie, gdzie sortują pocztę. Jeśli zginęły, proszę mnie o to nie winić - dodał podniesionym głosem.

- Czy porucznik mówił wam, by je nadać w ten sposób?

- Nie. To ja chciałem mieć pewność, że nie zginą i że je szybciej doręczą. Zawsze staram się jak najlepiej służyć moim panom.

- Czytaliście adresy? Lebovitz zaprzeczył.

- Dlaczego nie? - zdziwił się Brezovsky.

- Nie umiem czytać niemieckiego pisma. Czytam tylko po hebrajska A panowie nie adresują listów w tym języku.

- W zasadzie nie - odrzekł Brezovsky zaciskając wargi.

Przesłuchanie trwało godzinę. Szef policji zawiadomił Lebovitz, że musi pozostać w Prezydium do czasu, aż go przesłucha kapitan Kunze, który miał nazajutrz powrócić z Gródka.

- Ależ, szanowny panie! Ja mam dziś wieczorem jechać do Hamburga! - zawołał Lebovitz. Poszperał w kieszeni i wyjął starannie złożony papier, na którym młody rabin wypisał trasę podróży. - Przesiadamy się w Pradze oraz Lipsku i mamy być w Hamburgu jutro

rano. Odplywamy stamtąd na pokładzie „Kriemhilde” dwudziestego dziewiątego rano. Jeżeli będę musiał zostać w Wiedniu, to spóźnię się na statek.

- To pojedziecie do Ameryki następnym, panie Lebovitz - odrzekł mu na to Brezovsky.

Nikt jeszcze w Galicji nie zwracał się do Lebovitz per „pan”. Ten niezwykle zaszczyt jeszcze spotęgował jego niepokój.

- Ale ja nie mogę ryzykować takiej długiej podróży w pojedynkę - odparł Lebovitz. - Nie dałbym rady pojechać sam nawet do Wiednia. Urodziłem się w Gródku i tam spędziłem całe życie. Tylko raz byłem w Przemyślu i dwa razy w Krakowie. Nie mogę odłączyć się od grupy.

Brezovsky wstał i zwrócił się do adwokata: - Niestety, będziemy zmuszeni zatrzymać pana Lebovitz, bo może okazać się bardzo ważnym świadkiem. Byłaby wielka szkoda, gdyby go zabrakło, dlatego też nie mogę ryzykować.

Kiedy Lebovitz jęczał z rozpacz, szef policji poklepał go uspokajająco po plecach tym samym protekcyjnym gestem.

- Dopilnuję, aby się nim należycie zajęli - zapewnił adwokata. - Może pan załatwić, by mu przynoszono jedzenie z koszernej restauracji. Nie będziemy go trzymać ani godziny dłużej, niż to będzie konieczne. Chcę jeszcze raz podkreślić, że jest on świadkiem, a nie podejrzanym.

Szef policji i adwokat uścisnęli sobie ręce, Mojżesza Lebovitz zaś wyprowadzono z kancelarii. Tego samego wieczora, tak jak to było zaplanowane, grupa emigrantów z Gródka odjechała do Hamburga.

W trzy dni później puszczono na wolność Lebovitza, którego kapitan Kunze nawet nie przesłuchiwał. Wyglądało na to, że policja najwyraźniej zapomniała o Lebovitzu, bowiem pewne nowe wydarzenia w sprawie Charlesa Francisa zaprzętnęły całkowicie jej uwagę. Gdyby się adwokat o niego nie dowiadywał, być może nawet trzymano by Lebovitza w małej, niewygodnej celi jeszcze parę dni. Zakłopotany adwokat tłumaczył mu potem, że dużo gorzej jest być w Prezydium Policji gościem niż podejrzanym.

Po uwolnieniu, Lebovitz zapłacił adwokatowi należne honorarium, potem odebrał paszport i bilety, które dla niego zostawił młody rabin, i udał się na Dworzec Północny. Kilka godzin przesiedział w kącie poczekalni trzeciej klasy czekając na pociąg do Pragi. Kiedy pociąg nadjechał, Lebovitz wybiegł na peron. Był to pociąg pospieszny z wielką ilością pasażerskich, sypialnych i towarowych wagonów. Lebovitz szedł wzdłuż pociągu spoglądając na twarze ludzi za świeżo wymyтыми szybami. Nie znalazł nikogo ze swych ziomków, a wszystkie twarze nawet w wagonach trzeciej klasy były mu przerażająco obce. Kiedy rozległ się gwizdek oznajmiający odjazd, Lebovitz ciągle leszcze stał bez ruchu na peronie, patrząc, jak wyładowany ludźmi, drzewem i żelazem pociąg zaczyna nabierać rozpędu i znika mu sprzed oczu hen w dali.

Wrócił do miasta, wstąpił do biura podróży, które organizowało wyjazd całej grupy, aby oddać niewykorzystane bilety. Zwrócono mu pieniądze tylko za bilet do Hamburga. Agent powiedział, że należało

powziąć decyzję, zanim jeszcze statek odpłynął, na co Lebovitz wziął bilet okrętowy z kontuaru i spokojnie podarł go na kawałki.

Wieczorem wsiadł do pociągu jadącego z Wiednia do Gródka. Nawet wytarte do cna ławki drewniane miały w sobie coś swojskiego. Staruszka w odległym kącie mieszkała na tej samej co on ulicy, a dwaj mężczyźni pochodzili z pobliskich Winnik. Gdy mijali przedmieścia Wiednia, zaczął padać śnieg. Ostry wiatr bił w pokryte już szronem szyby. Lebovitz wyciągnął nogi i położył głowę na oparciu ławki. Po raz pierwszy od wielu dni poczuł się spokojny i wolny od lęku. Sam się dziwił, skąd mu przyszedł do głowy taki szalony pomysł, żeby jechać aż do Ameryki.

Kapitan Kunze powrócił z Gródka do Wiednia dwudziestego ósmego listopada po długiej bezsennej nocy spędzonej w pociągu. Prosto z dworca poszedł do swej kancelarii i zatelefonował do generała Wencla, który nadal jeszcze przebywał w Linzu.

- Jestem przekonany, panie generale - rzekł - iż porucznik von Hedry nie ma nic wspólnego ze zbrodniczym spiskiem Charlesa Francisa. Owe, dokładnie cztery, listy nadał pewien Żyd, totumfacki porucznika. Po przesłuchaniu von Hedry'ego poleciłem memu asystentowi, by złożył wizytę adresatom tych listów, mianowicie trzem damom, które potwierdziły zeznanie porucznika. Czwarty Ust adresowany był do Madera. Nie mam powodu wątpić, że zawierał to, co mi powiedział von Hedry: gratulacje z powodu awansu.

Generał Wencel wysłuchał relacji w milczeniu.

- Inspektor Weinberger uważa - rzekł w końcu - iż powinien pan tu przyjechać jak najprędzej. Wyszły na jaw pewne interesujące fakty, ale nie chciałbym niczego robić na własną rękę. Pan rozpełtał całe to zamieszanie, więc niech je pan doprowadzi do końca.

Kunze wydał dostatecznie głośne westchnienie, które zapewne generał dosłyszał w słuchawce. Kręciło mu się w głowie ze zmęczenia. Tak się łudził, że wróci wreszcie do domu, położy się do łóżka i zaśnie. Wiedział jednak, że nie sposób było kwestionować rozkazu.

- Dobrze, panie generale. Przyjadę niezwłocznie - odpowiedział nie pytając nawet, czego owe interesujące fakty dotyczą.

Tego właśnie ranka aptekarz z Linzu, Ritzberger, zbudził się wcześniej niż zwykle. Czuł się wypoczęty i mimo swych pięćdziesięciu trzech lat nadal pełen wigoru. Miał pół godziny do wstania i zapragnął pofiglować sobie z młodą żoną, która jeszcze spała. Już wyciągnął rękę, by zbudzić małżonkę, gdy nagle przypomniał sobie pewne zdarzenie sprzed dwóch tygodni. Zrezygnował z małżeńskich rozkoszy, wyskoczył z łóżka, ubrał się szybko i ruszył do mieszkania szefa policji w Linzu wyrывая go skutecznie z beczynności.

Otóż Ritzbergerowi przypomniało się nagle, że pewnego późnego wieczora zjawił się u niego w aptecce pewien szeregowiec z 40 pułku piechoty i poprosił o sporą nawet, o ile go pamięć nie myli, dozę cyjanku potasu, który rzekomo potrzebny był jego oficerowi do wywołania fotografii. Aptekarz odpowiedział, że nie ma cyjanku na składzie, a gdyby nawet miał, to nie mógłby go sprzedać bez



pozwolenia. Poradził żołnierzowi wystarać się o nie w Miejskim Wydziale Zdrowia i nabyć go w garnizonowej aptece, jedynej w Linzu, w której trzymali na składzie cyjanek. Żołnierz podziękował za radę i wyszedł. Ritzberger już go nigdy więcej nie widział.

Kapitan Kunze wsiadł do pociągu odjeżdżającego o jedenastej. Dał konduktorowi dwie korony napiwku, za co otrzymał osobny przedział, gdzie mógł się zdrzemnąć, i przybył do Linzu nieco wypoczęty. Ze stacji pojechał fiakrem do dowództwa pułku, gdzie czekali już na niego generał Wencel oraz inspektor Weinberger.

Posiedzenie zaczęło się niepomyślnie. Oświadczenie Ritzbergera, które jeszcze z samego rana wydawało się mocnym dowodem obciążającym porucznika Dorfrichtera, okazało się niewypałem, gdy Ritzberger skonfrontowany po południu z ordynansem Dorfrichtera oświadczył, że szeregowiec ten w niczym nie przypomina człowieka, który prosił go o cyjanek potasu. Ordynansowi pozwolono odejść, ale Ritzberger nadal się wahał.

- Przyszło mi na myśl - powiedział - że ten ordynans porucznika Dorfrichtera jest mi też skądś znany. Musiałem widzieć go w aptece niejedyn raz. Jestem pewny, że go niedawno obsługiwałem.

- Pamięta pan, co wtedy kupował? - spytał Kunze.

- Wyleciało mi z głowy. Na pewno coś bez recepty, bo inaczej bym zapamiętał. - Zastanawiał się głęboko i nagle twarz mu się rozjaśniła. - Kapsułki z opłatka! I to kilka tuzinów! - zawołał.

Z opisu były bardzo podobne do tych, które użył Charles Francis. Generał Wencel ponuro udzielił zezwolenia na wezwanie porucznika Dorfrichtera do dowództwa pułku na ponowne przesłuchanie.

Podczas drugiego przesłuchania Dorfrichter był również beztrojski i swobodny, jak za pierwszym razem.

Istotnie posłał ordynansa do apteki po kapsułki. Pies, Troll, miał robaki, ale nie chciał łykać lekarstwa, które przepisał weterynarz, toteż Dorfrichter musiał podawać psu lekarstwo w kapsułkach i wkrótce pies wyleczył się z robaków całkowicie. Weterynarz z 14 pułku potwierdził oświadczenie Dorfrichtera i komisja nie miała innego wyjścia, jak podziękować porucznikowi za współpracę i puścić go wolno.

Cały wieczór przesłuchiowano ordynansów z całego pułku, szukając bez skutku tego, który chciał kupić cyjanek, toteż następnie rozciągnięto poszukiwania na cały garnizon. Generał Wencel oraz inspektor Weinberger wrócili do Wiednia, Kunze natomiast pozostał w Linzu. Spędził rano dwudziestego dziewiątego na ponownym studiowaniu wszystkich dokumentów. W południe przyjął zaproszenie pułkownika von Instadt na obiad w oficerskiej kantine. Przy stole wyczuwał u pułkownika, jak i u reszty oficerów, niechęć skrytą pod cienką warstwą gościnności. Ale nie zrażał się tym. Odkąd przybył do Linzu, na każdym kroku spotykał się z niechęcią, jaką w całym garnizonie budziło to śledztwo. Nie dawał tego poznać po sobie i starał się robić wrażenie, że przyjemność mu sprawia nie tylko jedzenie, ale przede wszystkim towarzystwo przy stole.

Rozmowa toczyła się wokół najświeższych osiągnięć w dziedzinie aeronautyki. Młody porucznik, wysłany uprzednio przez Wojskowy Komitet Aeronautyczny do Francji, by obserwować start Bleriota do historycznego lotu nad kanałem La Manche, żarliwie zapewniał, że było to największe przeżycie, jakiego doświadczył.

- Nie sądzę jednak, by aeroplany mogły odegrać jakąś znaczącą rolę w prowadzeniu wojny - stwierdził pułkownik. - Gdyby nie były tak piekielnie hałaśliwe, można by je użyć do lotów zwiadowczych.

Ale przecież będzie je słychać, zanim jeszcze dotrą na teren obserwacji. Kawaleria jest pod tym względem niedościgniona.

Mimo siedmiu lat spędzonych w wojsku, ciągle jeszcze zdumiewała Kunzego ograniczona mentalność wojskowych. Nic dla nich poza domeną sztuki wojennej nie istniało. Postęp nie miał znaczenia, jeśli jego celem nie było zniszczenie. Każda pozytywna cecha musiała mieć swój negatywny odpowiednik, toteż wynik końcowy zawsze równał się zeru.

- Podobno Brytyjczycy prowadzą doświadczenia z karabinami maszynowymi umieszczonymi na aeroplanach - oznajmił tenże sam porucznik.

- Słyszałem już o tym, ale nie bardzo w to wierzę. Jeden aeroplan bodzie drugi, walczą niczym dwaj średniowieczni rycerze w turnieju. Bzdura! Poza tym aeroplany są kosztowne. Żaden kraj nie mógłby pozwolić sobie na taki wydatek.

- Można by ich używać do bombardowania z powietrza.

- Nigdy! Przynajmniej dopóki wojskiem dowodzić będą oficerowie. Nieprzyjaciel może się od nas różnić pod każdym względem, z wyjątkiem jednego: jego naczelne dowództwo to też ludzie honoru i szlacheckiego rodu. Wojna jest przeklętym piekłem, ale pewne zasady datujące się z bardziej rycerskich epok nadal obowiązują. Bomba rzucona na skład amunicji może chybić celu i pozabijać bezbronnych cywilów. Żaden dowódca, nieważne po której stoi stronie, nie będzie chciał wziąć na siebie odpowiedzialności za taki akt barbarzyństwa.

Kunze nie chciał sprzeczać się z pułkownikiem przypominając mu, że Niemcy czynią imponujące postępy w doświadczeniach z bombardowaniem z aeroplanów. Nie przybył przecież na obiad po to, by dyskutować o aeroplanach.

Rozmowa przeszła z aeronautyki na Francję i jej armię.

- Słyszałem też - rzekł młody porucznik - że francuski Sztab Generalny wprowadza zmianę umundurowania. Skasowane mają być błyszczące kirysy i czerwone spodnie piechoty, stanowią bowiem doskonały cel dla nowoczesnych, dalekosiężnych dział polowych. Większość uważa jednak, iż jednolite brunatne mundury obedrą brać żołnierską z blasku i obniżą morale oddziałów.

W rozmowie o Francuzach zahaczono o głośną ostatnio na łamach prasy sprawę sierżanta Faraco z garnizonu w Verdun. Usiłował on zgładzić osiemdziesięciu kolegów wsypując im truciznę do jedzenia we wspólnej jadalni za to, że był jednemu z nich dłużny dwieście pięćdziesiąt franków. Kapitan Kunze uznał, że jest to doskonała

sposobność, by poruszyć sprawę ulotek Charlesa Francisa. Wydobył pudełeczko z kieszeni i podał je pułkownikowi von Instadt.

- Kapsułki z cyjankiem rozesłano w takich oto pudełeczkach. Widać, jak chytrze człowiek ów obmyślił całą tę zbrodnię. Gdyby były o parę milimetrów grubsze, nie dałoby się już kopert wepchnąć przez otwór skrzynki do listów.

Cienkie tekturowe pudełeczko ozdobione zielono-białym ornamentem z liści przechodziło z rąk do rąk, aż dotarło do jasnowłosego porucznika na dalekim końcu stołu. Patrzył na *nie* dłuższą chwilę, potem szybko, jakby go parzyło w dłoń, podał je następnemu koledze.

- Czy widział pan już kiedy takie pudełko? - spytał Kunze.

Oficer spojrział na niego, oszołomiony. Nastąpiła długa chwila ciszy, - Dostałem właśnie stalówki w podobnym, jako urodzinowy prezent - odpowiedział niskim, stłumionym z wrażenia głosem.

- Stalówki na urodzinowy prezent?

- To był taki żart. Pewnego razu pożyczyłem stalówkę od kolegi i bardzo mi się spodobała jej ostrze. Następnego dnia wypadały moje urodziny, więc przysłał mi ich aż tuzin.

- Jak się ten pana kolega nazywa?

- Wołałbym nie odpowiadać na to pytanie - odrzekł porucznik grzecznym, ale stanowczym tonem.

- Dlaczego nie?

- Gdyż w całym garnizonie żyjemy w atmosferze podejrzeń, panie kapitanie. Nie chciałbym przysparzać jakichkolwiek kłopotów koledze.

Zapadła śmiertelna cisza. Kunze obserwował twarze, które niczym kamienne oblicza posągów miały martwe oczy i uszy, głuche na wszelkie racje.

- Coś ci zaproponuję, Dielmann - przerwał ciszę pułkownik von Instadt, a w jego nosowym, arystokratycznym tonie kryła się nuta zniecierpliwienia. - Po obiedzie wyjawisz na osobności kapitanowi nazwisko swego kolegi. Problem nie jest aż tak ważny, by tracić na niego czas.

Nie ulegało wątpliwości, że z pewną dozą sarkazmu przyznał jednak zwycięstwo Kunzemu, z czego ten ostatni zdawał sobie sprawę, ale też wiedział, że prowadząc skutecznie śledztwo musi zachowywać się jak kot w wąskiej uliczce: odbierać kopniaki jako coś normalnego i ocierać się o sterty cuchnących śmieci.

- A teraz proszę o nazwisko - powiedział Kunze do porucznika Dielmanna w szatni, kiedy młody oficer przypinał pas z szablą.

- Czy muszę? - spytał młodzieniec z nieszczęśliwą miną, ale kiedy jego dręczyciel skinął stanowczo głową, odpowiedział z westchnieniem: - No, dobrze. To był porucznik Peter Dorfrichter.

Wcale tym Kunzego nie zaskoczył, gdyż kapitan był już przygotowany na taką odpowiedź, czułby się nawet bardzo rozczarowany, gdyby usłyszał inne nazwisko.

- Muszę jednak zobaczyć to pudełko, poruczniku.

- Niewykluczone, że już wyrzuciłem.

- Proszę je odszukać! Pomoże pan w ten sposób śledztwu, a także porucznikowi Dorfrichterowi.

- Żałuję, że mi w ogóle przysłał te przekłete stalówki - jęknął Dielmann, - Dobrze! Pójdę do domu i spróbuję znaleźć to pudełko.

Mieszkał niedaleko dowództwa pułku. Pudełko ze stalówkami znalazło się w górnej szufladzie komody, a kartka z życzeniami urodzinowymi w stosie listów pod przyciskiem. Kunze włożył obie rzeczy do kieszeni, razem ze zbiorową fotografią grupy oficerów, między innymi Dielmanna i Dorfrichtera, na wycieczce do pobliskiego lasu.

Pudełko okazało się takie samo, jak użyte przez Charlesa Francisa. Od tutejszej policji Kunze dowiedział się, że można takie nabyć tylko w składzie towarów mieszanych Mollera przy Beethovenstrasse niedaleko dworca.

Małżeństwo Mollerów zajmowało wraz z czterema córkami niewielkie pomieszczenie za sklepem. Jeśli któraś z córek nie spała lub nie była zajęta gotowaniem, sprzątaniami albo rozmową, zazwyczaj obsługiwała klientów.

- Czy nie sprzedawał pan większej ilości takich pudełek pewnemu oficerowi na początku listopada? - spytał kapitan Kunze pokazując Mollerowi pudełko Dielmanna.

Ani właściciel sklepu, ani jego żona nie pamiętali takiej sprzedaży.

- Zazwyczaj nie ma na nie większego popytu aż do Bożego Narodzenia - odpowiedział Moller – kiedy to używa się ich do pakowania małych prezentów. Pierwszego listopada przysłano mi całą skrzynkę i na pewno starczy tego do następnej jesieni.

Przesłuchano wszystkie cztery córki i okazało się, że większą ilość pudełeczek sprzedawała na raz pewnemu oficerowi najmłodsza z nich, piegowaty czternastoletni podłotek. Zapamiętała tego klienta doskonale. Był to porucznik z wąsami, więcej niż średniego wzrostu, który kupił pudełeczka, by trzymać w nich rozmaite guziki. Zdumiała się, po co oficerowi potrzebne jest dwanaście rodzajów guzików. Pokazała mu najprzód większe pudełka, ale mu nie odpowiadały i już chciał odejść, kiedy dziewczyna przypomniała sobie o najświeższej dostawie. Spojrzał na pudełeczka, powiedział, że są w sam raz, i kupił ich cały tuzin. Nie życzył sobie, by mu ja pakowała w torebkę i od razu wsadził do kieszeni płaszcza. Nie było w tym nic nadzwyczajnego. Wiedziała jednak, że oficerowie noszą czasem paczuszki owinięte w biały papier ze złotym sznurkiem, ale wtedy wiadomo było, że są tam słodycze, perfumy albo biżuteria.

Nie wyjawiała jednak, dlaczego zapamiętała sobie tego właśnie klienta. Po raz pierwszy bowiem usłyszała wtedy, że ma piękne ręce. Wymnowała właśnie pudełka ze skrzynki i układała na ladzie, kiedy powiedział jej ten komplement. Do tej pory nigdy nie zwracała uwagi na swoje dłonie, ale od tamtego dnia zaczęła używać kremu i sypiać w rękawiczkach, dumnie znosząc docinki sióstr.



Kunze pokazał dziewczynie fotografię z wycieczki i ta natychmiast rozpoznała w poruczniku Dorfrichterze oficera, który kupił od niej owe pudełeczka.

Kapitan Kunze prosto ze sklepu udał się do swego pokoju w hotelu Herrenhof i zatelefonował do generała Wencla w Wiedniu.

Dzień trzydziesty listopada nie przyniósł zmiany pogody. Ze wzgórza Römer, gdzie mieszkał porucznik Dorfrichter, widać było ledwie zarysy pobliskich budynków. Reszta miasta pokryta była co najmniej na odległość dwóch kilometrów białą czapą mgły.

Dorfrichter czytał właśnie gazetę przy śniadaniu. Znów na pierwszej stronie pojawiła się relacja o sprawie Charlesa Francisa. Podobnie jak poprzednia, zawierała jedynie domysły. Władze wojskowe bowiem nadal nie chciały udzielać prasie jakichkolwiek istotnych informacji.

Poprzedniego dnia baron von Mühlwert, członek Parlamentu, zwrócił się z pytaniem do Ministerstwa Wojny, dlaczego sprawę tę otacza się w ogóle tajemnicą, czy prawda nigdy nie będzie ujawniona przed opinią publiczną, i czy możliwe jest, że sprawca został już aresztowany, osądzony przez trybunał wojskowy i być może nawet stracony.

- Co nowego w gazecie? - spytała Marianna. Wstała razem z mężem, chociaż nalegał, by jeszcze trochę poleżała. Od dnia wizyty kapitana Kunze coraz to wybuchała płaczem z najbliższego nawet powodu.

- Niewiele - odrzekł Dorfrichter. - Zachorował król Leopold. Chce wydziedziczyć swą córkę, Luizę. Jakoś nie ma szczęścia do córek. Jedna wychodzi za mąż wbrew jego woli, a druga ucieka z awanturnikiem.

- Co jeszcze piszą?

- Król Danii przyjeżdża do Wiednia. Caryca nadal choruje. Ciekaw jestem, o czym będą pisać gazety, gdy runą monarchie. Tu, jest coś ciekawego! Armię serbską wyposażono ostatnio w dziewięćdziesiąt tysięcy wielostrzałowych karabinów, dziesięć baterii haubic, sto pięćdziesiąt karabinów maszynowych, sto dwadzieścia milionów naboji i w pasy dla dwustu tysięcy ludzi. Zaprzeczają oficjalnie, że król Piotr przebywa z wizytą u cara, co oznacza, że bawi właśnie w Petersburgu i jest powiadomiony przez najwyższe dowództwo rosyjskie o przygotowywanej przez nich kampanii przeciw naszej monarchii. - Rzucił gazetę na ziemię i dodał: - A my się tu rozwodzimy nad głupstwami i marnujemy czas uważając, że pokój będzie trwał wiecznie!

- Co ze sprawą Charlesa Francisa? - spytała Marianna. - Czy znaleźli już tego człowieka?

- Jakiego człowieka?

- Tego, co wysłał truciznę. Dorfrichter wstał.

- Nie. Jeśli chcesz znać moje zdanie, to nigdy go nie znajdą. Ale dopóki co, złamię życie jeszcze paru osobom.

- Między innymi nam - powiedziała i oczy napęłniły jej się łzami.

- To niemożliwe - roześmiał się. - Nam nie dadzą rady. Mogą skrzywdzić najwyżej słabeuszy i tchórzów, ale nie nas.

- Ja jestem słabeusz i tchórz - powiedziała z westchnieniem.

- Jesteś w dziewiątym miesiącu ciąży. Po porodzie będziesz się śmiała z całej tej sprawy. Na razie jednak zostaw to wszystko mnie. Potrafię być silny za nas dwoje.

Jak zwykle udał się do koszar. Jego kompania przechodziła pod okiem starszego sierżanta ćwiczenia w walce na bagnety, którą Dorfrichter uważał za przestarzałą, a nawet wręcz za szkodliwą, mimo że najwyższe dowództwo przypisywało jej zasadnicze znaczenie. Jako zwolennik siły rażenia ogniem Dorfrichter często i głośno bronił swego stanowiska nawet w obecności zwierzchników. Nie było tajemnicą dla całego pułku, że spełniał swe obowiązki oficera liniowego sumiennie, ale bez wielkiego zapału. Był natomiast w. swoim żywiole podczas ćwiczeń, zwłaszcza kiedy pozwolono mu działać na własną rękę. Podczas minionych manewrów przydzielono go do sztabu arcyksięcia Ferdynanda. To, że arcyksiężę spisał się nad podziw sprawnie, przypisano obecności Dorfrichtera.

Kompania porucznika składała się z ludzi pochodzących z Górnej Austrii, krzepkich góralskich synów. Paru z nich pochodziło z Salzburga, rodzinnego miasta Dorfrichtera, albo z otaczających je gór. Znał rodziny niektórych, z pozostałymi też był w dobrych stosunkach, a wszyscy szanowali go i byli mu oddani. Dowódcy zdawali sobie sprawę, że gdyby Dorfrichter powiódł swych ludzi do bitwy, to wszyscy podążyliby za nim ślepo i ofiarnie.

O godzinie jedenastej otrzymał rozkaz, by zameldować się w kancelarii majora Schultza w dowództwie pułku. Tym razem nie kazano mu czekać, ale od razu poproszono do środka. Zastał tam komisję w pełnym składzie: generała Wencla oraz inspektora Weinbergera, którzy przybyli wczesnym rankiem z Wiednia, i kapitana Kunze. Major Schultz, szef prokuratury wojskowej garnizonu w Linzu, też był obecny. Protokółować miał młody porucznik i on jeden podniósł się na widok wchodzącego Dorfrichtera, inni zaś pozostali na swych miejscach, ale Dorfrichterowi tym razem krzesła nie podsunęto.

Kapitan Kunze rozpoczął przesłuchanie bez żadnych słów wstępu. Od razu wziął do ręki jedno z trzech leżących na stole pudełeczek z biało-zielonym wzorem z liści.

- Widział pan już kiedykolwiek to pudełko? - spytał wpatrując się badawczo w twarz młodzieńca. Był lekko zawiedziony nie widząc żadnych oznak niepokoju u Dorfrichtera, który tak doskonale panował nad sobą, że budziło to aż w kapitanie niechęć i przerażenie.

Dorfrichter podszedł bliżej i przyjrzał się dokładnie pudełku.

- Oczywiście, proszę pana - przytaknął. - W takim samym pudełku posłałem porucznikowi Dielmannowi tuzin stalówek.

- Kupił pan je specjalnie w tym celu?

- Nie. Miałem parę takich w domu.

- Ile?

- Nie wiem. Trudno spamiętać wszystkie rzeczy, które gromadzi się w gospodarstwie.

- Robił pan kiedykolwiek zakupy w sklepie Mollera przy Beethovenstrasse?

Dorfrichter wzruszył lekko ramionami.

- Być może, chociaż nie przypominam sobie tego sklepu. Beethovenstrasse? - zamyślił się. - To bardzo blisko dworca. Całkiem możliwe, że coś tam kupowałem. Zdaje się, że linijkę. W jednym z sąsiednich sklepików.

- Nie linijkę, lecz tuzin takich pudełeczek. Dorfrichter pokręcił przecząco głową. Robił wrażenie zdumionego.

- Musiało to być bardzo dawno temu, bo zupełnie tego nie pamiętam.

- Wcale nie tak dawno - odrzekł Kunze. - Zaraz po pierwszym listopada.

Kunze szepnął coś do młodego porucznika, który wstał, wyszedł z kancelarii i powrócił z najmłodszą córką Mollerów.

Była ubrana w brązową wełnianą spódnicę i taftową bluzkę z bufiastymi rękawami. Na czubku jej głowy tkwił dziwaczny kapelusz obsyty futrem, a właściwie ogonem kuny. Kiedy stanęła przed gronem szacownych mężczyzn, wargi jej drgnęły, a twarz oblała się rumieńcem. Przeczuywała, że prędzej czy później i tak odkryją, iż tylko udaje dorosłą.

Kapitan Kunze wstał, podszedł do niej i wskazał na Dorfrichtera.

- Panno Moller, proszę łaskawie spojrzeć na porucznika i powiedzieć, czy panna go już kiedyś widziała?

Cisza zapadła w pokoju. Dorfrichter stał wyprostowany i uśmiechając się patrzył dziewczynie prosto w oczy. On jeden spośród zgromadzonych w pokoju ludzi miał wesołą minę. Dziewczyna przyglądała mu się bacznie od stóp do głów zatrzymując wzrok dłużej na włosach, kołnierzu a nawet na butach. Widocznie bardzo poważnie wzięła do serca polecenie Kunzego. Długą chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią.

- Tak - wyjąkała wreszcie.

- Proszę mówić głośno - rozkazał generał Wencel. - Nie słyszę, co mówisz.

- Tak - powtórzyła głośno.

- Chcesz powiedzieć, że widziałaś już przedtem tego porucznika? - spytał Kunze.

- Tak. - Dziewczyna skinęła głową. Nie patrzyła już więcej na Dorfrichtera, jakby celowo unikając jego wzroku, i uparcie wpatrywała się w podłogę.

- Gdzie go widziałaś?

- W naszym sklepie.

- Opowiedz nam dokładnie, co zaszło, kiedy porucznik zjawił się w waszym sklepie? Co do ciebie mówił?

- Więc wszedł... - zaczęła patrząc uparcie we wzorzysty parkiet podłogi, jakby tam szukając natchnienia - ... i zapytał, czy mamy na składzie pudełeczka wielkości pudełek od zapatek. Pokazałam mu takie, ale powiedział, że są za duże, więc wyostałam inne, które nam

niedawno dostarczono, a on orzekł, że są w sam raz i że je kupi. Wziął tuzin. - I dodała z westchnieniem: - To było wszystko, co mówił.

- O nie, to nie było wszystko! - pogroził jej palcem Dorfrichter uśmiechając się. - Nie pamiętasz? Powiedziałem też, że masz piękne ręce.

Otworzyła usta i spojrzała na urodziwą twarz porucznika, który wyraźnie stroił sobie żarty, potem na swoje ręce w białych rękawiczkach. Speszona oblała się rumieńcem nie zdając sobie jednak sprawy, że innych też to zaskoczyło i wprawiło w zakłopotanie.

- Czy porucznik tak właśnie do ciebie powiedział? - spytał po dłuższej chwili Kunze, na co dziewczyna skinęła tylko potakująco głową, bo tak była zmieszana, że nie mogła wydobyć z siebie słowa.

- Kupiłem też pudełko marcepanów - przypomniał jej Dorfrichter. - Były w kształcie owoców; lub kwadratów, ja zaś wybrałem jagody.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Sprzedałaś marcepany porucznikowi? - spytał Wencel.

- Nie wiem. Może - odrzekła znów wzruszając ramionami. - Czy w sklepie ojca też sprzedaje się słodczy?

- Oczywiście! Klienci ubierają nimi choinki. Mamy nawet takie w kształcie zwierząt: niedźwiedzie, lwy i tygrysy. - Ożywiła się nagle, jakby obudziła się w niej żyłka handlowa. - Wyglądają prześlicznie na drzewku, a przy tym są bardzo praktyczne, bo można je potem zjeść.

Komisja nie wykazała jednak żadnego zainteresowania zwierzątkami z marcepana i zwolniła świadka. Dziewczyna dygnęła

przed nimi, potem przed Dorfrichterem i wybiegła z kancelarii jak kotka, która przewróciła kałamarz z atramentem i woli uciec zawczasu, nim ktokolwiek dostrzeże płamę na dywanie.

- Z tego wnoszę, poruczniku, że przyznaje się pan do kupna tych oto pudełek w sklepie Mollera - rzekł kapitan Kunze.

- Nie tych, proszę pana. Podobnych - poprawił go Dorfrichter.

- Do diabła, Dorfrichter! - wybuchnął generał. - Parę minut temu twierdził pan, że nigdy nie był w tym sklepie i nie kupował pudełek. Co pan sobie myśli? Że siedzimy tu dla zabawy?

- Za pozwoleniem, panie generale. Ja tylko powiedziałem, że nie przypominam sobie takiego zakupu.

- Ale teraz pan sobie przypomniał?

- Bo zobaczyłem tę dziewczynę.

- Jak pan wytłumaczy ten zanik pamięci i to nagłe przypomnienie?

- Była to tak błaha sprawa, że wprost wypadła mi z pamięci. Odkąd zamieszkaliśmy w Linzu, bardzo często robiłem zakupy. Moja żona w obecnym stanie nie ma ochoty wychodzić z domu, toteż sam musiałem kupować bieliznę pościelową, materiały i garnki. Nie jestem w stanie spamiętać, co i gdzie kupowałem, panie generale.

- W porządku - odrzekł kapitan Kunze. - Kupił pan tuzin pudełek. Gdzie one są?

- Posłałem jedno porucznikowi Dielmannowi.

- A pozostałe jedenaście?

- Powinny być gdzieś w domu.



- Przeszukaliśmy mieszkanie pana dokładnie i nigdzie ich nie widzieliśmy.

Dorfrichter zmarszczył czoło i zacisnął wargi. Uniósł rękę, jakby miał zamiar podrapać się w głowę, ale zaraz poniechał tego gestu.

- Pan ma rację, kapitanie. - Skinął głową. - Nie ma ich w domu, ponieważ je spaliłem.

Pięć par oczu wpatrywało się nieruchomo w Dorfrichtera. Zapadła na chwilę cisza, po czym głos generała Wencla, zbyt nikły jak na jego tuszę i wzrost, przeciął ostro milczenie:

- A to dlaczego?

- Robiłem z nich pudełko na przybory do szycia dla żony. Miały służyć jako ruchome przegródki na różnego rodzaju guziki i napastrki. Spartaczyłem pierwszą robotę. W końcu kupiłem większe pudełka i udało mi się je dopasować do kwadratowego koszyka, którego żona zawsze używa. Wszystkie popsute pudełka spaliłem,

- Przeszukaliśmy pana mieszkanie dokładnie - odrzekł Kunze - ale nie pamiętam, abyśmy się natknęli na koszyk z przyborami do szycia.

- Na pewno tam jest. Żona trzyma go zwykle na nocnym stoliku.

Generał Wencel podniósł się, co sprawiło, że reszta osób też powstała. Zrobił parę kroków i stanął twarzą w twarz z Dorfrichterem.

- Mamy więc uwierzyć, że pan istotnie zapomniał o tych pudełkach do momentu skonfrontowania z Mollerówną? Mimo że zmarnował pan rzekomo tyle czasu lepiąc je i dopasowując? Jest pan

inteligentnym człowiekiem i należało wymyślić coś bardziej sensownego, skoro chciał nas pan wyprowadzić w pole.

- Na pewno bym wymyślił, gdybym kłamał, panie generale. Niestety, mówię prawdę, a prawda nie zawsze brzmi przekonująco.

- Dlaczego nie powiedział pan od razu o przyborach do szycia, kiedy tylko kapitan Kunze spytał pana o te pudełka?

- Wypadło mi to z pamięci. Wykonałem już masę prac w domu. Porobiłem półki, skrzynki na kwiaty, wymalowałem ściany i zawiesiłem firanki. Są to zajęcia, które nie przystoją oficerowi, ale nie jestem zamożny. Sądziłem, że nie przyniesie to ujmy armii, jeśli wykonywać je będę w domowym zaciszu.

- Nie odbiegajmy od meritum sprawy - wtrącił kapitan Kunze rozżłoszczony, że generał przejął w swe ręce prowadzenie śledztwa.

- Staram się, jak mogę, związać koniec z końcem - mówił dalej Dorfrichter zwracając się do Wencła i jakby ignorując słowa kapitana. - Nie ożeniłem się bogato, nasze rodziny wyzbyły się dosłownie ostatniego grosza, żeby zebrać trzydzieści tysięcy koron kaucji małżeńskiej, bym mógł pozostać w armii. Być członkiem oficerskiego korpusu znaczyło dla mnie więcej niż własne życie. Dla tego przywileju gotów jestem wyrzec się ulubionych zajęć, wygod i odpoczynku. I wymagam takich samych wyrzeczeń od żony. Nie wiem, czy pan zdaje sobie sprawę, jakie to przykre nie móc zapewnić żonie choćby minimum dostatku?

- Wystarczy, Dorfrichter! - wybuchnął Wencel i dodał jadowitym tonem: - Nie obchodzi nas w najmniejszym stopniu, ile

zrobiliście półek czy skrzynek na kwiaty, bo nie jest to żadne wykroczenie. Tu chodzi o to, że ciąży na panu podejrzenie o usiłowanie otrucia dziesięciu oficerów i spowodowanie śmierci jednego z nich!

Krew odpłynęła z twarzy Dorfrichtera.

- Za pozwoleniem, panie generale. Powiedział pan, że ciąży na mnie takie podejrzenie? Wencel wbił wzrok w Dorfrichtera.

- Tak właśnie powiedziałem! Jesteśmy co do tego zgodni, nieprawdaż, panowie? - dodał zwracając się do komisji. Jego wzrok wędrował od twarzy do twarzy oczekując potwierdzenia.

- Mogę coś zaproponować, panie generale? - spytał inspektor Weinberger. - Obejrzymy ten koszyk z przyborami do szycia, który porucznik, jak sam powiada, zrobił własnoręcznie dla żony.

Wencel uznał to za dobry pomysł. Zlecono wykonanie tego młodemu porucznikowi, któremu Dorfrichter wręczył kartkę do żony, prosząc ją, by wydała koszyk do szycia. Dorfrichterowi zaś polecono, by zaczekał w sąsiednim pokoju, który był czasowo pusty, gdyż urzędujący w nim kapitan z personelu majora Schultza był tego dnia nieobecny. Zostawił on górną szufladę biurka wysuniętą do połowy, z całą jej zawartością leżącą na wierzchu. Między pakietem kopert, papierem listowym i formularzami tkwił w futerale błyszczący i naładowany służbowy pistolet.

Kancelaria znajdowała się na parterze i każdy, kto idąc chodnikiem, mijał pozbawione zasłon okno, mógł dostrzec porucznika Dorfrichtera, który siedział sztywno, z założonymi rękami tuż obok biurka. Nagle wstał i zaczął przechadzać się po pokoju. Przechodzący

żołnierz widział, jak porucznik stanął przy biurku i dokładnie zasunął otwartą szufladę.

Wysłaniec powrócił niebawem z przyborami do szycia; był to wiklinowy koszyk z pokrywką, w środku miał dziewięć przegródek zrobionych z dziewięciu pudełek i wcale nie zdradzał swego przeznaczenia, toteż nic dziwnego, że go Kunze przeoczył.

- Sprytnie zrobione - zauważył inspektor Weinberger. W jego domu w Hietzing, gdzie mieszkał z żoną i trzema córkami, panował w każdym pokoju nieopisany rozgardiasz. Żona trzymała guziki w sztyldkretowym pudełku, którego nie można było znaleźć, gdy było potrzebne.

- Szczerze mówiąc, nie rozumiem, jakie znaczenie może mieć ten koszyk dla naszej sprawy? - odezwał się generał Wencel

Zaczynało go już niecierpliwić całe to dochodzenie. Teraz, kiedy nie sposób było uniknąć kompromitacji dla armii, uznał, że im szybciej postawi się podejrzanego w stan oskarżenia, tym lepiej. Wprawdzie wywoła to znowu niebываły szum na łamach prasy, ale z czasem wrzawa ucichnie. Poza tym bardzo mu było spieszno do Wiednia. Telefonował już do swej kochanki i dowiedział się od służącej, którą poufnie opłacał, że jej pani wcale nie nocuje w domu.

- Pora, byśmy już powzięli decyzję, panowie - powiedział do zebranych. - Osobiście uważam, że jest winny, jak amen w pacierzu.

Generał pragnął teraz nade wszystko, by inni potwierdzili jego osąd nie rozwodząc się zbytnio nad sprawą. Chciał już zakończyć posiedzenie, toteż uznał niewzruszony spokój Dorfrichtera za afront,

jego zaś usprawiedliwienie, że nie ożenił się bogato, za rozmyślną aluzję. Wencel nie był jedynym generałem, który poślubił bogatą Żydówkę, ale za to był najbardziej chyba wrażliwy na tym punkcie. Najbliższa i najniewinniejsza uwaga potrafiła tknąć go do żywego i przemienić w nieprzejednanego wroga. W obecnej chwili uznał za wygodne skierować cały swój gniew na Dorfrichtera.

- Mamy trzy mocne fakty świadczące przeciw niemu - podsumował śledztwo Kunze. - Pierwszy: był w Wiedniu w tym samym czasie i w niewielkiej odległości od miejsca, skąd wysłano listy z cyjankiem. Drugi: śmierć adresatów niezmiernie pomogłaby mu w karierze. Trzeci: kupił tuzin pudełeczek podobnych do tych, które użył Charles Francis. Mamy też opinie ekspertów grafologii, jeden z nich indentyfikuje w całej pełni pismo Dorfrichtera z pismem na ulotkach, drugi stwierdza zaledwie duże podobieństwo, trzeci zaś jest tylko w połowie przekonany co do identyczności charakteru pisma. Nie mamy jednak dotąd dowodu, że Dorfrichter był kiedykolwiek w posiadaniu cyjanku potasu, że kiedykolwiek nabył lub posiadał albo pożyczał hektograf, nie znaleziono też w jego mieszkaniu papieru listowego i kopert podobnych do tych, które użył Charles Francis, jak również tuszu fioletowego, czerwonej bibułki do pakowania ani kleju. Nikt go też nie widział przy skrzynce pocztowej na Mariahilferstrasse, mimo że był w mundurze i prowadził na smyczy psa, co zapewne rzuciłoby się w oczy o tak wczesnej porze ludziom spieszącym do pracy. - Tu kapitan Kunze westchnął głęboko. - Mimo to, mając jednak na względzie

powyższe istotne dowody, uważam za wskazane osadzenie podejrzanego w areszcie.

- Co pan na to? - zwrócił się generał do inspektora Weinbergera.

- Jako policjant jestem przekonany o jego winie, jako człowiek mam jednak pewne wątpliwości.

- A pan, majorze? - pytanie było jedynie taktownym gestem wobec majora Schultza, ponieważ uczestniczył on w posiedzeniu tylko jako obserwator reprezentujący miejscowe sądownictwo wojskowe.

- Czy wobec sprzecznych ze sobą wniosków mogę uprzejmie prosić o pozwolenie wstrzymania się od głosu?

- Jest pan może w przyjacielskich stosunkach z oskarżonym? - spytał generał Wencel. Wysoki i piskliwy ton jego głosu zdradzał niezadowolenie.

- Niezupełnie, panie generale, ale stykałem się z nim na towarzyskim gruncie. W tym garnizonie istnieją między oficerami bardzo mocne związki koleżeńskie.

- Wielce to chwalebne - mruknął niezbyt przekonywająco generał Wencel. - Udzielam pozwolenia.

Następnie utkwiał w kapitanie Kunze swe błękitne oczy ocienione gęstymi siwiejącymi już brwiami.

- Wyniknie z tego na pewno straszliwy skandal, ale niech pan posunie się jeszcze dalej i aresztuje tego człowieka, bo o to właśnie panu od początku chodziło, nieprawdaż? - Jego oburzony ton wskazywał na to, że Wencel jakby winił kapitana o pozytywne wyniki śledztwa.

Kunze nie zareagował na docinki i odrzekł tylko:

- Jestem tu po to, by wypełniać rozkazy, panie generale.

Wencel podniósł się spiesźnie.

- Uznajmy więc sesję za zamkniętą, panowie - rzekł do zebranych.

Kunze wszedł w asyście oficera do przyległego pokoju, gdzie czekał Dorfrichter, i zakomunikował mu o decyzji komisji. Porucznik wysłuchał wszystkiego z powagą i w całkowitym milczeniu. Poproszono go, by zdał szablę i pistolet, jeśli ma przy sobie. Powiedział, że nie ma, ale go nie rewidowano. Był nadal oficerem i jego słowo traktowano jako wystarczający dowód.

Pod eskortą kapitana Kunze i młodego porucznika odwieziono Dorfrichtera fiakrem do koszarowego aresztu, ponurego budynku o grubych murach, który znajdował się na dalekim końcu strzeżonego podwórza wybrukowanego kocimi łbami. Były tam trzy cele przeznaczone dla oficerów i Dorfrichtera umieszczono w jednej z nich.

Podczas jazdy fiakrem siedział nieruchomy i milczący. Teraz, kiedy Kunze miał wychodzić z celi, zaniepokoił się.

- Moja żona, kapitanie! Czy będzie mogła mnie odwiedzić? Co jej powiecie? Muszę z nią mówić! - Słowa wylatywały z jego ust jak kamyki rzucone o mur.

- Niestety, nie będzie jej wolno widywać się z panem. Nikomu zresztą, z wyjątkiem nas.

- Jest w dziewiątym miesiącu ciąży! To może ją zabić. Panie kapitanie, jestem mężczyzną i mam dość siły, żeby znieść to wszystko, co się może zdarzyć. Ale ona nie da rady.

Kunze poczuł, jak złość, którą przedtem odczuwał, ustępuje miejsca litości. To nagle *i* niczym nie dające się wytłumaczyć współczucie dla tego człowieka zaniepokoiło kapitana bardziej niż poprzednio żywiona niechęć. Postanowił mieć się na baczności w kontaktach z Dorfrichterem i nie poddawać się nieodpartemu urokowi porucznika.

Byli w celi sami. Na zewnątrz, za ciężkimi dębowymi drzwiami czuwał profos.

- Nie jestem wprawdzie upoważniony do udzielania informacji - odezwał się Kunze możliwie jak najbardziej obojętnym tonem - ale jest w tej chwili właśnie w pańskim domu pułkownik von Instadt z małżonką. Postanowił on osobiście przekazać żonie wiadomość o osadzeniu pana w areszcie, pani pułkownikowa zaopiekuje się nią aż do przyjścia na świat dziecka, toteż nie będzie porzucona na pastwę losu.

- Dzięki Bogu, że istnieją jeszcze dobrzy ludzie na tym świecie!  
- Bładość znikła z twarzy Dorfrichtera. - Wiem, że nie wolno przekazywać stąd żadnych wiadomości, ale jeśli będzie się pan widział z moją żoną, proszę jej powiedzieć, że naprawdę nic złego nie może mi się stać, dopóki ona będzie przy mnie.

Kunze nie dał poznać po sobie, że słyszał te słowa. Kiedy wyszedł z celi, ciężkie drzwi zamknęły się za nim z hukiem.



## ROZDZIAŁ TRZECI

Generał Wencel oraz inspektor Weinberger wrócili popołudniowym pociągiem do Wiednia, kapitan Kunze natomiast pozostał w Linzu do wieczora, aby dopilnować przekazania do sądu wojkowego w Wiedniu wszelkich dokumentów oraz ich kopii z dowództwa pułku w Linzu oraz w Innsbrucku. Szedł już właśnie na dworzec, kiedy zatrzymał go na korytarzu dyżurny sierżant.

- Co będzie z psem, panie kapitanie?

- Z jakim psem?

- Trollem porucznika Dorfrichtera. Generał Wencel przyprowadził go tutaj. Jest u mnie w pokoju już od południa. Dałem mu wody, dwie parówki, ale nie chce ani jeść, ani pić.

Przed paroma dniami komisja uzgodniła, że Klinika Weterynaryjna Uniwersytetu w Wiedniu zbada, czy pies ma robaki, i ustali, czy istotnie przyjmuje tylko lekarstwo podawane w kapsułkach.

- Jakiej rasy jest pies? - spytał Kunze.

- Nie wiem, panie kapitanie. Wygląda, jakby był po trosze z każdej. Jego matka widać nie miała żadnych przesądów w tym względzie.

Sierżant zaprowadził Kunzego do pokoju, gdzie w kącie leżał sporych rozmiarów pies z kagańcem na pysku, mieszaniec wszystkich istniejących w Austrii ras, w efekcie ładne zwierzę, ale w danym momencie bardzo nieszczęśliwe.

- Porucznik Dorfrichter mówił, że ćwiczy Trolła na psa obronnego - wyjaśnił sierżant. - Używał dziwnych metod. Nigdy psa nie bił, nie krzyczał, tylko mówił do niego jak do dziecka. Nie widziałem jeszcze, aby kto tak kochał psa. Raz nawet pod zarzutem niesubordynacji i odmowy wykonania bezpośredniego rozkazu skazał jednego z ordynansów na sześć dni paki, za to, że uderzył Trolła szpicrutą. Gdyby któryś inny z oficerów tak postąpił, byłoby niemało sarkania w kompanii.

- Porucznik Dorfrichter jest chyba bardzo lubiany?

- Oczywiście, panie kapitanie. Jest naprawdę świetnym oficerem.

Kunze wyczuł lekki ton wyrzutu w głosie sierżanta. - Co zrobimy z psem, panie kapitanie? Troll zastrzygł uszami i obserwował obu mężczyzn spod oka.

- Ktoś go musi zawieźć do Wiednia.

- Trzeba to zrobić jutro, panie kapitanie, bo dziś kancelaria jest już nieczynna. Nie ma komu wypisać dokumentów podróży dla tego, który będzie eskortował psa. Zamknę więc go tu na noc. Najwyżej napaskudzi.

- Wezmę go ze sobą - rzekł niespodziewanie dla siebie samego Kunze. Nie miał do czynienia z psami od czasów dzieciństwa, kiedy to posiadał irlandzkiego setera. Podróżowanie z tak wielkim zwierzęciem jak Troll mogło przysporzyć niemało kłopotów.

- Sądzicie, że dam sobie z nim radę? - spytał Kunze sierżanta.

- Nie wiem, panie kapitanie. Dwaj żołnierze, którzy go tu przyprowadzili, sporo się z nim namordowali. Dlatego właśnie jest w kagańcu. Nie sądzę, by mu się to podobało. Porucznik nigdy nie nakładał mu kagańca.

- Dobrze, zobaczymy - odpowiedział Kunze.

Sierżant zahaczył smycz o obrozę i próbował zmusić psa, by się podniósł. Troll warczał i leżał dalej zwinięty w kącie.

- Zdejmijmy mu kaganiec - zaproponował Kunze.

- Może pana ugryźć.

Kunze zdjął jednak psu kaganiec. Cały czas przemawiał do Trolla cichym głosem. W pewnej chwili skierował się ku drzwiom ciągnąc za samą smycz. Pies wstał i poszedł za kapitanem.

Pociąg był przeładowany, toteż konduktor otworzył dla Kunzego zarezerwowany przedział.

- Widziałem już tego psa - powiedział. - Jechał z jakimś porucznikiem parę tygodni temu. Pociąg był wtedy tak nabity, że z trudem znalazłem siedzące miejsce dla tego porucznika. Wiele ludzi nie życzy sobie obecności psa w przedziale. Szczególnie, jak jest to takie olbrzymie zwierzę.

Konduktor życzył Kunzemu dobrej nocy i odszedł. Kapitan uniósł do góry poręczę i wyciągnął się na ławce, ale nie mógł zasnąć. Zastanowiła go uwaga konduktora. Jeśli Dorfrichter naprawdę pojechał do Wiednia, żeby nadać pocztą przesyłki, to dlaczego zabrał ze sobą psa, który tak się rzuca w oczy. Człowiek, który planuje zbrodnię, stara

się zazwyczaj, by go nie zauważono. A może Dorfrichter jest naprawdę niewinny, mimo tylu obciążających go faktów?

Pies zaczął się niepokoić. Dosyć chętnie wszedł do pociągu, ale ilekroć jakiś wojskowy przechodził korytarzem, czekał krótko i przejmująco. „Biedaczysko - pomyślał Kunze. - Tęskni za swoim panem”. Zaczął przemawiać do psa, a ten usadowił się u jego stóp i położył ogromny kudłaty łeb na kolanach patrząc mu ufnie w oczy. Coraz bardziej przypominał Kunzemu irlandzkiego setera z czasów dzieciństwa w domu Hartmannów i przywiódł na myśl zjawy pozornie umarłej przeszłości.

Z najwcześniejszego dzieciństwa Kunze zapamiętał kilka domów, w których jego matka służyła jako gospodyni i gdzie był otaczany albo przesadną troskliwością, albo zaledwie tolerowany, ale nigdzie nie traktowano go jako członka rodziny. Kiedy miał dziesięć lat, matka zaczęła prowadzić gospodarstwo u Hartmannów i Kunze pamiętał, że od tamtej pory wychowywał się już pospołu, i to na równych prawach, z trojgiem dzieci gospodarzy: Paulą, swoją rówieśnicą, młodszym o rok Martinem i o trzy lata starszym Rudolfem. Bawili i uczyli się razem rozstając tylko na czas obiadu. Pani Kunze nalegała bowiem, by syn jadał z nią osobno w pokoju, gdy tymczasem trójka Hartmannów spożywała obiad z rodzicami i guwernantką.

Od pierwszego dnia Emil Kunze zaczął darzyć nieśmiałym uwielbieniem Rudolfa, który traktował go z wyniosłą łaskawością trzynastolatka. Nie tylko Emil, ale również reszta domowników,

podobnie jak sąsiedzi, dali się zawojować Rudolfowi. Był rostry jak na swój wiek, silny, urodziwy, inteligentny i stanowczy. Każde słowo pochwały z ust Rudolfa przejmowało Emila najwyższym szczęściem, a każda nagana wprawiała go w skrajną rozpacz. Rudolf był zawsze motorem wszystkich dziecinnych psot takich, jak wyprawy po jabłka do ogrodów sąsiadów albo wpuszczenie oswojonej wydry do sadzawki ze złotymi rybkami. Kiedy Rudolf, idąc śladami swych przodków, wstąpił do Akademii Wojennej w Wiener Neustadt, wszyscy przepowiadali mu wspaniałą karierę.

Od dnia kiedy Rudolf wstąpił do Akademii, nie brał już udziału w zabawach z dziećmi. Wyglądał bardzo urodziwie i poważnie w mundurze kadeta. Grał w tenisa z dorosłymi, widziano go, jak o zmierzchu, po skończonych meczach, odprowadzał do domu dwa razy starsze od siebie damy. Ku wielkiemu zmartwieniu Emila przestał się praktycznie nim interesować, czasem tylko droczył się z chłopcem dla żartów. Lecz kiedyś, pewnego późnego popołudnia, gdy Emil znosił leżaki z ogrodu, poszedł za nim do szopy, zaryglował drzwi i właściwym sobie wyniosłym tonem nakazał Emilowi zdjąć ubranie. Chłopiec jak zahipnotyzowany spełnił polecenie. Tego, co wówczas przeżył, nie potrafił do tej pory wyrugować z pamięci. Tak go poraził sam gwałt, którego się na nim dopuścił Rudolf, że nie stawiał żadnego oporu. Od tego czasu Rudolf, chociaż przestał być dla Emila bożyszczem, zaczął mieć nad nim większą władzę.

Incydent w szopie powtórzył się jeszcze kilka razy tego lata. Mimo ich tajemnych spotkań, Rudolf nigdy nie zmienił swego stosunku

do Emila. Dalej go lekcewał, zachowując się wobec niego nonszalancko, ilekroć dochodziło między nimi do rozmowy, co zresztą nie zdarzało się często.

Kiedy zimą Rudolf dostał ataku ślepej kiszki, zawieziono go do Szpitala Wojskowego w Wiedniu na operację, która przebiegła pomyślnie.

W dniu, gdy Rudolf miał opuścić szpital, pani Hartmann czuła się niedysponowana i podobnie jak wszystkie kobiety jej sfery spędzała co miesiąc dwa dni w łóżku. Poleciała więc pani Kunze, by się zajęła przywiezieniem Rudolfa do domu. Emil prosił, by mu pozwolono towarzyszyć matce. Po przybyciu do szpitala poszli od razu pustym korytarzem do pokoju Rudolfa, nie napotykając nikogo po drodze. Zastali w pokoju otwarte okno i czyjąś postać leżącą na łóżku i przykrytą prześcieradłem, spod którego wystawały stopy.

Byli pewni, że to Rudolf, toteż pani Kunze odgarnęła prześcieradło z jego twarzy.

Nie krzyknęła, bo to nie leżało w jej naturze. Zakryła prześcieradłem twarz zmarłego chłopca, przeżegnała się, zmówiła krótką modlitwę i wyszła na poszukiwanie lekarza.

Emil pozostał przy zmarłym. Z początku strasznie był tym przerażony, ale po chwili spłynęło na niego wyraźne uczucie ulgi i wyzwolenia. Zaraz jednak obudziło się w nim jakieś poczucie winy. Nosił potem je w sobie całe tygodnie, miesiące a nawet lata, z czasem przerodziło się w ból dokuczliwy jak migrena.

Po śmierci Rudolfa istotą najbliższą sercu Emila stał się irlandzki seter. Pies odwzajemnił w pełni te uczucia, bawił się wprawdzie z innymi dziećmi i witał dorosłych merdaniem ogona, ale był przywiązany wyłącznie do Emila.

Zdechł ze starości, kiedy Emil miał lat dziewiętnaście. Strasznie pusty i obcy wydał mu się wówczas dom rodzinny, mimo że nadal mieszkała tam matka.

Było już po północy, kiedy Kunze dotarł do Wiednia. Z dworca pojechał na Zaunergasse taksówką. Był to Panhard, model z 1907 roku, wybity pluszem w kolorze czerwonego wina, kupiony zaledwie przed paroma miesiącami. Szofer nie był więc zachwycony obecnością Trolla w samochodzie.

- Czy pies nie linieje? - spytał zaniepokojony właściciel.

- Jak dotąd nie było żadnych skarg - odpowiedział zgodnie z prawdą kapitan Kunze.

Zawiadomił wcześniej Różę o godzinie przyjazdu, toteż wszyscy domownicy czekali na jego przybycie. Nie był w domu przeszło tydzień. Kucharka upiekła już kurę, a czekoladowy suflet dochodził właśnie w piecyku. Kiedy Róża posłyszała zgrzyt obracanego w zamku klucza, pobiegła do frontowego wejścia, by pomóc Kunzemu rozebrać się z palta i wziąć od niego szablę i teczkę.

- Tak mi ciebie brakowało, mój kochany - powiedziała obejmując go ciepłymi pachnącymi ramionami. Nagle dostrzegła Trolla. - A to co? - spytała.

- Pies - odpowiedział Kunze, któremu droczenie się z Różą sprawiało czasem przyjemność.

- Czy przyuczony do porządku?

- Tak sędzę. Trenowany był na psa obronnego. - Odpiął Trolla ze smyczy. - Odbyliśmy przyjemny spacer przed domem. Jeśli nie zachoruje na woreczek żółciowy, twoim dywanom nie grozi żadne niebezpieczeństwo.

Kunze poszedł do swego gabinetu, a za nim podążyli kobieta i pies. Róża zadzwoniła na pokojówkę, by podała kapitanowi kolację. Odpiął wysoki, ciasno opinający szyję kołnierz kurtki i usiadł przy biedermeierowskim owalnym stole, gdzie zawsze jadał posiłki, ilekroć był sam. Troll wyciągnął się na autentycznym bucharskim dywanie Róży. Rzuciła w jego stronę bolesne spojrzenie.

- Czy pies przypadkiem nie linieje?

- Już druga osoba zadaje mi dzisiaj to samo pytanie - stwierdził Kunze uśmiechając się kwaśno. - Prawdę mówiąc nie wiem.

- Skąd go masz?

- To długa historia. - I opowiedział Róży o wszystkim w paru słowach. Najwyraźniej odetchnęła z ulgą.

- Tak mnie przestraszyłeś. Myślałam, że chcesz go zatrzymać w domu. - Ucieszona, że to jej nie grozi, dodała jeszcze śmiało: - Może się przespać w korytarzu.

- Tam mu będzie za zimno - stwierdził Kunze. - Psy lubią sypiać w chłodnym pomieszczeniu.

Ni stąd, ni zowąd Kunze rozzłościł się.



- Skąd wiesz? - spytał. - Przecież nigdy nie byłaś psem.

- Mniejsza o to. Każę kucharce wyszukać jakiś stary koc i zrobi mu się posłanie w kącie.

Przyniesiono koc, ale Troll wolał spać zwinięty w nogach kapitana na jego łóżku. Rano sprawa linienia Trolla wyjaśniła się. Liniął, i to straszliwie.

Po drodze do sądu wojskowego Kunze zaprowadził Trolla do Kliniki Weterynaryjnej Uniwersytetu. Wyjaśnił zarządzającemu kliniką profesorowi, jakim badaniom ma być poddany pies, i dopilnował, by umieszczono Trolla w przestronnej budzie oraz obdarował szpitalnego dozorcę sutym napiwkem prosząc, by zaopiekował się psem należycie.

Poranne dzienniki zamieściły na pierwszych stronach pełną domysłów, ale bardzo ubogą w fakty, relację o aresztowaniu Dorfrichtera. Ministerstwo Wojny opublikowało bowiem jedynie krótkie oświadczenie, toteż reporterzy musieli oprzeć się na własnej wyobraźni. W jednych artykułach opisywano Dorfrichtera jako potwora, w innych jako ofiarnego kozła. Wszyscy jednogłośnie ubolewali nad tym, że władze wojskowe utrzymują całą tę sprawę w tajemnicy.

Po drodze do sądu Kunze widział, jak przed kioskami, gdzie sprzedawano gazety, ustawiają się długie kolejki. W kawiarniach goście ociągali się ze śniadaniem czekając na dodatkowe doniesienia w południowej prasie. Krążyły pogłoski, że Dorfrichter jest szpiegiem, anarchistą, sadystą i członkiem spisku antymonarchistycznego. Żadna

jeszcze sprawa o morderstwo nie spowodowała takiego poruszenia w stolicy.

Późnym popołudniem kapitan Kunze otrzymał rozkaz stawienia się w pałacu Schönbrunn o szóstej rano następnego dnia na audiencji u cesarza Franciszka Józefa. Pismo wręczył mu major z wojskowej kancelarii cesarza.

- Jego Cesarska Wysokość wzięła łaskawie pod uwagę możliwość, że ma pan zwyczaj wstawać bardzo późno, dlatego nie prosi pana o stawienie się o wcześniejszej porze - powiedział major bez cienia uśmiechu na twarzy okolonej ciemną brodą, przystrzyżoną w podobny sposób jak broda cesarza. Kunze ciekaw był, którą to godzinę ranną uważa się za wczesną w Schönbrunnie. W rozkazie nadmieniono, że ma się stawić „w galowym mundurze z odznaczeniami”. Był w stanie spełnić tylko pierwsze zalecenie. Wstał na długo przed świtem, wdział galowy mundur mając nadzieję, że cesarz nie będzie przykro zaskoczony widokiem jego piersi pozbawionej odznaczeń.

Taksówka, którą Kunze zamówił poprzedniego wieczora, czekała już na niego przed domem. Postanowił pojechać do Schönbrunnu autem, mimo że istniała zawsze groźba, iż pęknie opona, popsuje się silnik lub szofer zapomni napełnić bak paliwem, gdy tymczasem konie, choć wolniejsze, były niezawodne. Jednak Kunze wolał jechać samochodem. Noce stawały się bowiem coraz chłodniejsze i nie chciał przyjechać do Schönbrunnu z czerwonym nosem, zziębnięty do szpiku kości.

Jazda przez Mariahilferstrasse dłużyła się niepomieranie. Ulicą ciągnęły w większości chłopskie furmanki, które wiozły żywność i paszę do stolicy, stwarzając w gęstej mgle zagrożenie dla ruchu na ulicach oświetlonych jedynie jasnożółtymi plamami gazowych latarni pośród głębokiego mroku wczesnego poranka.

O piątej dwadzieścia taksówka wjechała przez majestatyczną bramę do pałacowego parku. Dyżurny porucznik skierował szofera do bocznego skrzydła, skąd prowadziły schody do apartamentów cesarza.

Kunze przyjechał czterdzieści minut za wcześnie, toteż jeden z adiutantów zaprowadził go do małej salki obok kancelarii, gdzie na kruchych krzeselkach w stylu rococo, obitych adamaszkiem w kolorze czerwieni cesarskiej, siedział już pewien lekarz z Korpusu Medycznego i jakiś cywil we fraku i w białym krawacie. Zgodnie z ustaloną kolejnością, mieli oni być przyjęci na audiencji przed Kunzem.

Doktor powiadomił kapitana z konieczności szeptem, że go wezwano z Mostaru do Wiednia, by przedłożył bezpośrednio cesarzowi raport na temat niepokojącego wzrostu chorób wenerycznych wśród oddziałów okupujących Bośnię. Cywil był dyrektorem szkoły z Pragi i miał przedstawić swą opinię na temat osiągnięć w nauczaniu języka niemieckiego w czeskich szkołach. Przybyli oni na poranną audiencję w galowych strojach, chociaż celem jej były ściśle urzędowe sprawy. Doktora wezwano w pierwszej kolejności. Kiedy wrócił, oczy błyszcząły mu, jakby był świadkiem zstąpienia Mesjasza z nieba. Chociaż w istocie „Mesjasz” ograniczył się tylko do pytań o procent zachorowań na syfilis wśród zawodowych wojskowych, nie zmniejsz-

szyło to jednak zachwytu lekarza. Po nim dopuszczono przed „Oblicze Majestatu” dyrektora szkoły. Wrócił po paru minutach. Jego sztywno wykrochmalony kołnierzyk frakowej koszuli oklapł, a twarz mokra była od potu, nie zwracał jednak na to uwagi i patrzył rozpromieniony na Kunzego jak chłopiec, który niespodziewanie otrzymał dobre stopnie na świadectwie. - Najjaśniejszy pan był dla mnie bardzo łaskawy - oznajmił wychodząc z sali przyjąć.

Adiutant zaanonsował z kolei kapitana Kunze pozostawiając drzwi do gabinetu cesarza otwarte. Był to pokój znany każdemu Austriakowi bądź z relacji, bądź z fotografii, niebywale prosto i skromnie urządzone jak na siedzibę najwyższej władzy. Na biurku, prócz przyborów do pisania i stosu dokumentów, stało kilka oprawionych w proste ramki fotografii członków rodziny cesarza. Plik dokumentów na stoliku czekał na podpis monarchy. Kunze zastanawiał się, czy starzec ten naprawdę wierzy, że cała organizacja państwa nie ulega rozkładowi dlatego, że bada on osobiście każdą drobinę wydalaną z wnętrzości cesarskiej biurokracji. Jak na siedemdziesięciodziewięcioletniego mężczyznę pamięć miał doskonałą i nie zapominał o najmniejszym szczególe, czy była to zmiana szamerunku na mundurze dragonów, czy reforma ustawy językowej na Węgrzech. Przeciwny istocie władzy konstytucyjnej, skrupulatnie przestrzegał zasad tejże konstytucji, z chwilą kiedy sam ją nadał swemu ludowi. Przypominał sumiennego strażnika strzegącego powierzonego mu obszaru z wysokości wieży ułożonej z państwowych dokumentów i not przed rabusiami, ogniem i wandalami.

Wyprężony jak struna kapitan Kunze zasalutował, zamknęły się drzwi i oto znalazł się sam na sam z władcą.

Franciszek Józef wstał tego ranka jak zwykle o wpół do czwartej i czekał, aż mu przygotują kąpiel W jego prywatnym apartamencie, pełnym drogocennych mebli, gobelinów i dywanów brakowało urządzenia, które pojawiło się już w licznych mieszczańskich domach Wiednia, nie było mianowicie łazienki. Toteż co rano dwóch krzepkich służących przynosiło ciepłą wodę i napełniało nią drewnianą wannę, a osobnik zwany Badwascherl, czyli kąpielowy, podawał cesarzowi gąbkę. Kąpielowy był człowiekiem w podeszłym już wieku i bardzo był do swej funkcji przywiązany, a że nawet najpotężniejszy i największy władca nie potrafi się lękać, gdy jest nagi, toteż kąpielowy przychodził każdego ranka do pracy lekko podchmielony i raczył cesarza chaotycznymi tyradami o słabości monarchii i powtarzał mu wyrzekania poddanych. Franciszek Józef, który w normalnych okolicznościach nigdy by nie zniósł najmniejszego objawu *Ièse-majesté* wśród swego otoczenia, słuchał jak urzeczony paplaniny tego człowieka, ku niemałemu zdumieniu całego dworu. Tłumaczono to sobie sprytnie faktem, że kąpielowy reprezentuje sobą warstwy społeczne, z którymi cesarz nigdy nie ma styczności oraz że stanowi on źródło informacji o rzeczach pomijanych w gazetach, piętrzących się na biurku cesarza.

Tego ranka przywłókł się do pracy kompletnie pijany, bo rozgrzewał się w nocy aż podwójną porcją alkoholu, gdy mu w kaflowym wielkim piecu wygasł ogień. Przyboczny cesarza, świadom

w pełni faktu, że cesarz nigdy nie zgodzi się na zmianę kąpielowego, zabrał się energicznie do trzeźwienia staruszka. Pochłonęło to więcej czasu, niż sądził i pora kąpieli się opóźniła, co lekko rozdrażniło monarchę.

Stał jeszcze w wannie, kiedy Kitterl zaanonsował pułkownika Bardolffa, adiutanta arcyksięcia Franciszka Ferdynanda, przybyłego z pilną wiadomością. Fakt, że poseł następcy tronu zjawił się o tak wczesnej porze, nie wróżyło nic dobrego dla cesarza na progu dnia, który i tak rozpoczął się niezbyt fortunnie.

Od samego początku śledztwa w sprawie Charlesa Francisa, arcyksiążę nalegał, aby zaoszczędzono armii całego ambarasu. Kiedy jednak okazało się, że podejrzanym jest oficer, zapragnął, by całą sprawę zatuszowano. Wbrew jego życzeniom aresztowano jednak Dorfrichtera. Wówczas to Franciszek Ferdynand uznał, że powinien interweniować w tej sprawie, i wysłał pułkownika Bardolffa do Schönbrunnu z prośbą o audiencję. Cesarz zgodził się, aczkolwiek niechętnie, przyjąć arcyksięcia w późniejszych godzinach. Nie powiedział jednak adiutantowi, że wówczas będzie już miał za sobą rozmowę z prokuratorem wojskowym wyznaczonym do prowadzenia tej sprawy i podjętą samodzielnie decyzję.

Franciszek Józef wyszedł zza biurka, przyjął honory i wyciągnął rękę. Uścisk jego dłoni był mocny i żołnierski. Kunze widział już raz cesarza podczas manewrów w 1902 roku, ale tym razem po raz pierwszy stał z nim twarzą w twarz. Cesarz postarzał się nieco od tego czasu, lecz niewiele: plecy mu się trochę zaokrągliły, zrzedły włosy,

uwydlatniły kręgi pod oczyma, ale błękitne oczy pod ciężkimi habsburskimi powiekami pozostały nadal bystre i czujne, chociaż o szóstej rano miał już za sobą trzy audyencje i przeszło godzinę urzędowania.

Cesarz przystąpił natychmiast do sedna sprawy.

- Wiadomo mi - rzekł - iż kieruje pan śledztwem przeciwko porucznikowi Dorfrichterowi, podejrzanemu o jedno morderstwo i usiłowanie dokonania dziewięciu następnych.

- Tak jest, Wasza Cesarska Mość - potwierdził Kunze i patrząc na stroskanego monarchę usiłował zanalizować własne doznania. Powinien odczuwać wzruszenie i entuzjazm, a jednak tak nie było. Czuł dla swego cesarza litość raczej niż admirację. W swej praktyce prawniczej widywał nieraz takie same zatroskane twarze i poryte brzdami czoła prostych ludzi, podobnie jak cesarska twarz naznaczone smutkiem, rozczarowaniem i beznadziejnością. „Nie ma nic majestatycznego w starości monarchów” - pomyślał Kunze.

- Przyjąłem wczoraj pułkownika von Instadt - powiedział cesarz.

- Wyrażał się z wielkim uznaniem o poruczniku Dorfrichterze. Nie sądzi, aby był zdolny do popełnienia zbrodni. Jaki jest pana pogląd? Czy ma pan jako sadownik dostateczną podstawę do formalnego oskarżenia?

Franciszek Józef czekał w głębokim skupieniu na odpowiedź kapitana. Sprawa winy lub niewinności jakiegoś człowieka stawała się w tym momencie najważniejszym problemem kraju i domagała się niepodzielnej uwagi ze strony monarchy. Znów dało znać o sobie

poczucie obowiązku właściwe cesarzowi, który będąc obdarzony umysłem dość przeciętnym, brał na siebie trud rozwiązania problemu, który nawet mądrość bogów mógł wystawić na ciężką próbę. Dopiero teraz pojął Kunze, po co go tu wezwano: widać cesarz postanowił, że sam zdecyduje, czy podjęcie śledztwa jest słuszne, czy nie. Zdawał sobie sprawę, jaką szkodę może to śledztwo wyrządzić morale armii, gdyż był nie tylko jej Naczelnym Dowódcą, ale także sumieniem i opiekunem czterdziestu trzech milionów poddanych. Ponadto był już stary i wiedział, że nie wolno mu lekkomyślnie popełniać błędów. „Mogą je robić młodzi - pomyślał ze wzruszeniem. - Dla nich to rzecz prosta, bo potrafią w winie, miłości, w głębokim i mocnym śnie znaleźć przed nimi schronienie, gdy tymczasem starcy, którzy leżą w samotnych łóżach trapieni bezsennością, nawiedzani są przez widma popełnionych błędów, które złorzeczą im i grożą niczym tłum żądny samosądu”.

Kapitan wahał się. Wiedział, jakiej odpowiedzi oczekuje od niego w głębi serca cesarz, wiedział też, jakiej odpowiedzi udzieli cesarzowi. Zwykle „nie” przyniosłoby wolność Dorfrichterowi i pogrzebało jego sprawę na wieki pod stosem oświadczeń pod przysięgą, zeznań, odpisów i protokołów. Prasa, a przede wszystkim lewicowe dzienniki, wysunęłyby parę kłopotliwych kwestii, ale każdy następny poćwiartowany trup znaleziony w wiklinowym koszu lub ucieczka jakiejś księżniczki z cygańskim grajkiem zepchnęłyby sprawę Charlesa Francisa z pierwszych stron gazet w całkowitą niepamięć. Wiedział o



tym cesarz i gdyby nie był tym, kim jest, zadowoliliby się zupełnie oświadczeniem pułkownika von Instadta.

Myśli Kunzego zwróciły się ku Peterowi Dorfrichterowi, urodziwemu młodzieńcowi, którego uśmiech był jakby wtopiony w rysy twarzy. Obraz tej postaci natychmiast obudził w kapitanie na nowo żywiołową niechęć, jaką odczuwał w Linzu. Było to przelotne doznanie, zbyt nagłe i zbyt irracjonalne, by dało się w całej rozciągłości wytłumaczyć.

Kunze zdał pokrótce cesarzowi sprawozdanie z przebiegu śledztwa przytaczając dowody zarówno przeciw, jak i na korzyść podejrzanego. Przedstawił go jako zdolnego i sprawnego oficera, lecz także jako człowieka do tego stopnia bezwzględnego, że mógł z zimną krwią taki morderczy czyn popełnić.

- Niestety, Wasza Wysokość - powiedział Kunze - moim skromnym zdaniem fakty w tej sprawie zdecydowanie upoważniają mnie do formalnego oskarżenia porucznika Dorfrichtera.

Cesarz zastanawiał się nad owymi faktami parę minut.

- Wobec tego, kapitanie - powiedział na koniec - kontynuujcie swą pracę i dopilnujcie, by sprawiedliwości stało się zadość. - Westchnął ciężko i twarz jego zrobiła się pusta od tych wszystkich słów, jak gdyby umysł jego odciął się od wszelkich przygnębiających realiów teraźniejszości i schronił się w bezmyślowej próżni, aby odpocząć i wzmocnić się przed dalszymi obowiązkami dnia. Cesarz pokiwał głową i rzekł: - Ciekawe, do czego to jeszcze dojdzie na świecie.

Nie była to wypowiedź monarchy, lecz wyrzekanie starca, który nie nadaża za młodą generacją. Niewielki budzik, który służył cesarzowi do odmierzania czasu przeznaczanego na każdą audiencję, zaczął przeraźliwie dzwonić na biurku. Franciszek Józef podziękował kapitanowi, życzył mu powodzenia i skinął ręką na znak, że audiencja jest już skończona.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Porucznik Dorfrichter przebywał w pułkowym więzieniu już od dwóch dni i nikt nie odezwał się do niego słowem. Śniadanie, obiad i kolację przynosił mu na tacy strażnik i po skończonym posiłku zabierał puste naczynia. Z początku Dorfrichter próbował parę razy nawiązać rozmowę ze strażnikiem, ale ten na wszelkie zapytania reagował upartym milczeniem. Jedzenie najwyraźniej pochodziło z restauracji i jak przypuszczał, zamówione było przez żonę. Żadnych innych przejawów troski o swój los nie doświadczył.

Całkowita izolacja nie była dla niego zaskoczeniem. Znał zasady wojskowej procedury karnej ułożone w roku 1768 za panowania cesarzowej Marii Teresy, nakazujące, by oficera podejrzanego o zbrodnię po aresztowaniu przekazywano prowadzącemu śledztwo prokuratorowi wojskowemu, który był jednocześnie oskarżycielem i obrońcą, a później członkiem trybunału sędziowskiego. Aż do wyroku więzień mógł komunikować się wyłącznie z prokuratorem, a w wypadku Dorfrichtera z kapitanem Emilem Kunze.

O czwartej nad ranem trzeciego dnia po aresztowaniu profos obudził Dorfrichtera i polecił, aby porucznik się ubrał. Wydano mu czystą bieliznę, a zabrany poprzedniego wieczora mundur odesłano świeżo wyprasowany, buty zaś wyczyszczono do idealnego połysku. Kiedy się ubrał, zaprowadzono go do kancelarii profosa i przekazano trzem zupełnie nieznanym Dorfrichterowi oficerom, z których jeden był w randze kapitana, pozostali dwaj porucznikami.

Byli oni ze stacjonującego w Wiedniu 51 pułku piechoty. Jedyne kapitan przemówił do Dorfrichtera. Przedstawił mu się, po czym dokonał prezentacji swoich dwóch podwładnych. Następnie poinformował aresztowanego, że mają go w trzech eskortować do stolicy. Poprosił Dorfrichtera o nie utrudnianie im zadania dodając, że są uzbrojeni i mają rozkaz strzelania, gdyby eskortowany próbował ucieczki. Była to dla wszystkich przygnębiająca podróż. Minione dwa dni pozwoliły Dorfrichterowi oswoić się z otaczającą go pustką, toteż kiedy jego niezdarne próby nawiązania rozmowy nie odniosły skutku, poniechał ich wzruszając ramionami. Eskortujący go oficerowie wyglądali też na zmieszanych. Aresztant był mimo wszystko ich kolegą i przykreść im sprawiało traktowanie go w tak nieuprzejmy sposób. Unikając wzroku Dorfrichtera, ograniczyli rozmowę między sobą do minimum.

Pojechali landem na prawie pustą o tej porze stację. Kiedy nadjechał pociąg, wsiedli do ostatniego wagonu, gdzie mieli zarezerwowany przedział. Widziało ich parę osób, ale jedynie oko bacznego obserwatora mogłoby dostrzec, że tylko trzech oficerów miało przy sobie obowiązującą broń boczną, gdy tymczasem czwarty był bez broni i trzymał ręce głęboko w kieszeniach płaszcza.

Po godzinie jazdy Dorfrichter przerwał dokuczliwe milczenie.

- Panowie, wiem, że macie rozkaz unikania wszelkich prób komunikowania się ze mną - powiedział do kapitana. - Jesteście jednak zapewne ostatnimi postronnymi osobami, z którymi mam szansę rozmawiać i...

- Proszę nam darować, poruczniku – usiłował przerwać mu kapitan. - Nas to doprawdy nie dotyczy...

- Nie obchodzi was, co? To właśnie chciał pan powiedzieć. Ale myli się pan! Bezpodstawne uwięzienie niewinnej osoby powinno obchodzić wszystkich mieszkańców tego kraju! Bo taka rzecz może się każdemu przydarzyć, nawet i panu.

- Proszę nam darować, poruczniku. Taki mamy rozkaz - odrzekł podniesionym głosem kapitan.

- Z całym szacunkiem nie zastosuję się do tego rozkazu.

Kapitan kręcił się niespokojnie. Jako człowiek łagodnego usposobienia był zażenowany agresywnością więźnia.

- Niech mnie pan nie zmusza do tego, bym zastosował ostrzejsze środki - ostrzegł Dorfrichtera, co jednak nie zabrzmiało zbyt groźnie.

- Może mi pan najwyżej zakneblować usta, bo tylko w ten sposób można mnie uciszyć. Jestem niewinny. Prokurator Kunze zgromadził przeciwko mnie kilka przypadkowych faktów, spreparował je tu i ówdzie i złożył do kupy. Niech mnie stawia przed sądem woj-skowym, ale nie zdoła mnie skazać, chyba że przedstawi fałszywych świadków, którzy...

- Oskarżać człowieka o krzywoprzysięstwo? - Kapitan poczerwieniał na twarzy. - To już podła bezczelność, Dorfrichter!

- Powiedziałem: „chyba że...”, bo inaczej nie mógłby dowieść, że miałem dostęp do cyjanku albo wysłałem te listy, lub że je pisałem. Nie może dowieść tego, co się nigdy nie wydarzyło.

- Na Boga, Dorfrichter! Szkoda słów. Nie jesteśmy pana sędziami. Przypuśćmy nawet, że pan nas przekona. Przecież to nie będzie miało znaczenia, jeśli chodzi o wynik sprawy.

- To już zależy od pana, kapitanie, i panów poruczników. Trzech kolegów przekonanych o mej niewinności, to jednak coś znaczy, jak na początek. Niech pan nie zapomina, kapitanie, że jestem w wielkiej opresji. Ważny jest dla mnie każdy przejaw dobrej woli, który uda mi się pozyskać.

Kapitan jąknął i odwrócił głowę. Dwaj młodzi oficerowie wpatrywali się w przesuwający się za oknem krajobraz zachowując kamienną obojętność. Nie padło już żadne słowo do momentu, aż pociąg wtoczył się na Dworzec Zachodni w Wiedniu.

Wiść o przyjeździe Dorfrichtera rozniosła się już po mieście. Grupę reporterów zgromadzoną na dworcu otoczył wkrótce ciekawy i podniecony tłum. Ludzie rozpychali się, by zobaczyć antybohatera dnia. Nagroda, jak to zawsze bywa w podobnych wypadkach, nie była warta tak długiego wystawiania na pełnym przeciągu peronie, szamotaniny, a nawet kuksańców i portfeli skradzionych w ścisku. Czekający zobaczyli jedynie bladego, młodego oficera prowadzonego spieszenie do oczekującego ich fiakra. Wszystko rozegrało się w tak szybkim tempie, że jeden z fotografów prasowych wziął pomyłkowo jednego z eskortujących oficerów za Dorfrichtera. Jego fotografia ukazała się potem pod nagłówkiem: „Potwór w oficerskim mundurze”, co wywołało szereg protestów, sprostowań i przeprosin, a także kpin ze strony konkurencyjnych gazet.

W więzieniu wojskowym znajdowało się osiem cel przeznaczonych dla oficerów. Były małe, ale widne, w każdej stało wąskie łóżko, stół, dwa krzesła i szafa. Zakratowane okno wychodziło na brukowane podwórze, ciężkie zaś drzwi miały wizjer, przez który strażnik mógł obserwować każdy ruch więźnia. Kiedy dokonano już rejestracji, porucznik zwrócił się z prośbą o papier i pióro, by skreślić Ust do żony, ale mu odmówiono. Następnie zażądał czegoś do czytania, ale mu powiedziano, że czytanie jest też zabronione regulaminem, podobnie jak odwiedziny i wymiana korespondencji. Profos Tuttman, który był obecny w kancelarii, odniósł wrażenie, iż Dorfrichter lada moment straci panowanie nad sobą i rzuci się na naczelnika. Nieraz był świadkiem podobnych scen i wiedział, co wróży zamglony wzrok, drgający puls na skroniach i zaciśnięte pięści. Po wielu latach służby profos Tuttman nabrał przekonania, że celem tych wszystkich zakazów było doprowadzenie więźnia do jawnego sprzeciwu, co w konsekwencji pociągało za sobą dalsze zaostrzenia sankcji. Tym razem jednak więzień zdołał się opanować. Stuknął obcasami, skłonił się sztywno i przeprosił naczelnika za to, że go zaprzętał zbyt wieloma żądaniami, z czego Tuttman wywnioskował, że mają do czynienia z niezwykle przebiegłym osobnikiem.

Dorfrichter nie wiedział, że jego rodzice wraz z siostrą przyjechali do Wiednia poprzedniego wieczora i siedzą teraz w przyległej kancelarii czekając na rozmowę z naczelnikiem.

Dorfrichter senior, importer szkła mieszkający w Salzburgu, był krępy, niskiego wzrostu mężczyzną zadziornym i czupurnym jak kogut. W pełnej twarzy pani Dorfrichter, tęgiej i smutnej kobiety, można było dostrzec nikłe podobieństwo do rysów twarzy jej urodziwego syna. Siostra odziedziczyła po ojcu rumianą cerę i przysadzistą sylwetkę. Jej biust przywołał na myśl dwie tenisowe piłki zatknięte dla żartu pod obszyty koronką stanik sukni.

Rodzinę Dorfrichterów wprowadzono do kancelarii naczelnika więzienia, gdy porucznik znajdował się już w celi. W dość bezładnej, ale bardzo dramatycznej przemowie ojciec dał natychmiast upust swemu oburzeniu z powodu aresztowania syna. Nadmienił, ile to wyrzeczeń kosztowało go wykierowanie go na oficera. Inny ojciec na jego miejscu na pewno zatrzymałby syna, by mu pomagał w sklepie. Córkę także poświęcił dla armii godząc się, by poślubiła ubogiego kapitana dragonów. Sama kaucja małżeńska kosztowała majątek, nie licząc już wielkiej sumy, którą wypłacił synowi, gdy ten żenił się z panną o bardzo skromnym posagu. Mimo tak ogromnych kosztów, poczytywał sobie za zaszczyt, że ma syna i zięcia w służbie najjaśniejszego pana. Jest to wprost niesłychane, by potomka tak oddanego i patriotycznie nastawionego obywatela podejrzewać o najpotworniejszą zbrodnię stulecia. Domagał się, by porucznika natychmiast uwolniono albo przynajmniej pozwolono ojcu pomówić osobiście z synem.

Kiedy mu uprzejmie, lecz kategorycznie odmówiono, rozplakał się. Rozplakała się też żona, tylko córka pozostała niewzruszona i pełna chłodnej rezerwy. Naczelnik, dobry i cierpliwy z natury człowiek, po



tylu latach przepracowanych w więzieniu uodpornił się już na widok cudzych łez i odprawił Dorfrichterów obietnicą, że uczyni pobyt ich syna w tego rodzaju zakładzie możliwie jak najbardziej znośnym.

Przez następne trzy dni Dorfrichter pozostawał w całkowitej izolacji. Podobnie jak w Linzu przynoszono mu trzy razy dziennie posiłki z pobliskiej restauracji. Pierwszego dnia nie tknął w ogóle jedzenia. Z trudem wytrzymywał beczynność i własną niedolę, więc zapewne doszedł do wniosku, że bezsensiem byłoby dodawać jeszcze do tego męki spowodowane głodem. Drugiego dnia chętnie zjadł wszystko i narzucił sobie pewien reżim, by urozmaicić straszliwą monotonię pustych dni. Oficerów nie obowiązywał więzienny rozkład godzin, toteż Dorfrichter wstawał nieco później, niespiesznie zjadał śniadanie, a potem gimnastykował się pół godziny. Strażnik, który obserwował przez wizjer nieporadne ruchy Dorfrichtera, stwierdził, jako wprawny gimnastyk, że porucznik ćwiczy zapewne od niedawna. Potem Dorfrichter mył się przy pomocy gąbki, a następnie zjawiał się fryzjer, aby go ogolić. Resztę ranka aresztant spędzał stojąc przy oknie i mówiąc coś do siebie. Tak się przynajmniej wydawało strażnikom. Zdołali podsłuchać parę słów. Były to nazwy miejscowości: Ulm, Friedland, Wagram, Borodino, Lipsk. Kapitan Kunze, gdy mu o tym doniesiono, wywnioskował słusznie, że Dorfrichter wylicza najważniejsze bitwy z czasów wojen napoleońskich, najwyraźniej po to, by utrzymać swój umysł równie sprawny jak ciało.

Trzeciego grudnia, tego samego dnia, kiedy Dorfrichtera przeniesiono do Wiednia, kapitan Kunze otrzymał z kancelarii

Naczelnego Wodza nakaz upoważniający go do złożenia oficjalnej wizyty w mieszkaniu pani Josephine Gruber przy Hahngasse 32, teściowej Dorfrichtera.

Była to już druga z kolei rewizja: pierwszą przeprowadzono tuż po aresztowaniu porucznika. Dorfrichter, ilekroć przyjeżdżał do Wiednia, zawsze zatrzymywał się w domu Gruberów. Policja miała nadzieję znaleźć hektograf, na którym odbito ulotki, przybory do pisania i być może jakieś resztki cyjanku ukryte w mieszkaniu, ale niczego takiego nie znaleziono i ludzie przeprowadzający rewizję wyszli z mieszkania pani Gruber z pustymi rękami.

Tym razem rewizja była tylko pretekstem. Kunze wiedział, że Marianna Dorfrichter przyjechała z Linzu i chciał z nią porozmawiać, zanim będzie ją można przewieźć do sądu na przesłuchanie. Kapitanowi Kunze towarzyszył inspektor Weinberger oraz dwóch detektywów, ponieważ mieszkanie było terenem cywilnym.

Drzwi otworzyła im młoda wiejska dziewczyna. Pani Gruber przebywała w tym czasie w sklepie na parterze, toteż musieli zaczekać w korytarzu, aż ją dziewczyna przyprowadzi. Pani Gruber weszła dysząc ciężko i nie posiadała się z oburzenia. Krótkonoga, o pulchnych kształtach i z okazałym biustem wydała się Kunzemu podobna do bijącej skrzydłami kapitołińskiej gęsi, syczącej obrończyni zagrożonego Rzymu.

Wprowadziła przybyłych przez wąski korytarz do jadalni, która służyła też jako salonik i gabinet, a podczas zjazdów rodzinnych jako pokój gościnny. Pośród pożytecznych rupieci wyróżniały się jako

wytwór elegancji i kultury: oszklona serwantka z paroma sztukami dziedzicznego srebra i miśnieńskiej porcelany oraz półka na książki z dziełami zebranymi Lessinga, Goethego, Schillera, Grillparzera i Szekspira.

W jadalni zastali cztery młode niewiasty, córki pani Gruber. Marianna z wystającym brzuchem przykrytym fałdami sukni spoczywała w przesadnie wyłożonym poduszkami fotelu przy oknie, siostry zaś rozsiadły się wokół stołu. Nie poruszyły się z miejsc, kiedy weszli, odwróciły jedynie starannie uczesane głowy i ledwie skinęły przybyłym. Kunzemu scena ta przypomniła płótno Vermeera nazwane oczywiście „Wizyta”. Siostry zebrały się najwidoczniej, by współczuć Mariannie, pocieszyć ją i wesprzeć rodzinną solidarnością.

Dwaj detektywi rozpoczęli systematyczne przetrząsanie mieszkania. Polecono im szukać listów i notatek Dorfrichtera, a także korespondencji dotyczącej jego osoby. Pani Gruber dreptała za nimi krok w krok, jakby bojąc się, że mogą jej ukraść rodzinne srebra. Córki siedziały sztywno i w milczeniu, ignorując wyraźnie obecność tych ludzi.

Dla Marianny, która była najmłodsza i najpiękniejsza, podobnie jak dla trzech pozostałych córek pani Gruber, małżeństwo stanowiło istotny awans na społecznej drabinie. Pani Gruber twardo trzymała się zasady, że dziewictwo jest najcenniejszym skarbem dziewczyny, wartym sprzedania tylko za najwyższą cenę. Alma, najstarsza, poślubiła wytwórcę sprzętów kuchennych z Grazu; Tilda - architektka z Baden, a Liesil - właściciela domu towarowego z Klagenfurtu. Mężowie ich

mieli dwie cechy wspólne: byli bogaci i znacznie starsi od żon. Jedynie Marianna wyszła za mąż z miłości. Została żoną oficera i weszła tym samym do eleganckiego świata, przynajmniej we własnym mniemaniu.

Dorfrichtera poznała na krótko przed ukończeniem przez niego Akademii Wojennej. W czasie choroby nękającej ją przez sześć lat większość czasu przepędziła w samotności snując marzenia, czytając i obserwując smugi dymów unoszących się z kominów sąsiednich domostw. Wyobrażała sobie chwilę, kiedy stanie się dorosła i wejdzie w świat. Myślała o mężczyźnie, który wyrwie ją z zagraconego mieszkania przy Hahngasse i wyzwoli z przymusu ciągłego mierzenia temperatury oraz przesadnej matczynej troskliwości. Ledwie tylko spostrzegła Petera, wiedziała już, że to on nim będzie.

Wprawdzie wyleczyła się całkowicie z gruźlicy, ale nie z samotności wieku dojrzewania. Pragnęła poznawać nowych ludzi, jednak czuła się bezpieczna tylko u boku męża. Był pomostem łączącym jej wyimaginowany świat marzeń z rzeczywistością. Teraz, gdy go zabrakło, znów znalazła się w mieszkaniu przy Hahngasse niczym w niewoli. Tylko żarliwa lojalność matki i siostr pomogła Mariannie przeżyć minione dni. Siostry już raz przyszły jej z pomocą w ciężkiej chwili, gdy Dorfrichter nie mógł zgromadzić trzydziestu tysięcy koron kaucji małżeńskiej i ofiarowały aż dwadzieścia. Brakujące dziesięć dołożyła, i to bardzo niechętnie, rodzina Dorfrichtera, przeciwna temu małżeństwu.

Starzy Dorfrichterowie bowiem mieli nadzieję na świetniejszą partię dla syna.

Każda teściowa o mniej stanowczym charakterze zmieniałaby dawno swój stosunek do zięcia, który okazał się tak złą inwestycją. Ale nie pani Gruber, która nadal wielbiła Petera. Marianna z uznaniem patrzyła, jak matka traktuje tego okropnego kapitana, i zapragnęła za jej przykładem wyrazić swoje oburzenie, ale za każdym razem, gdy chciała coś powiedzieć, czuła skurcz w gardle.

- Skoro tu jesteśmy, chciałbym zadać pani kilka pytań - słyszała, jak kapitan mówi do matki.

Pani Gruber wzruszyła ramionami.

- Niech pan zaczyna, panie kapitanie, czekam.

- O której godzinie zjawił się tu Dorfrichter, kiedy rankiem czternastego listopada przyjechał z Linzu?

- Już mnie o to pytano - parsknęła wzgardliwie pani Gruber. - Raz zrobili to detektywi, a drugi raz osobiście pan inspektor. Niech się pan od nich dowie.

- Pytam o to panią - odrzekł Kunze cichym głosem, w którym kryła się żelazna stanowczość.

- Odpowiedź jest ciągle ta sama: punktualnie o siódmej. Wiem o tym, ponieważ, kiedy służąca wpuszczała zięcia do domu, dzwonił budzik - odpowiedziała pani Gruber już mniej wojowniczym tonem.

- Przypomina pani sobie, co mówił i co robił zięć tego ranka?

- Kiedy usłyszałam jego głos, narzuciłam szlafrok i poszłam się przywitać. Miał ze sobą psa i maleńką walizkę. Nie spodziewałam się jego przyjazdu, toteż bardzo się zdziwiłam widząc go tutaj. Powiedziałam, że Marianna jeszcze śpi w czerwonej sypialni, którą tak

nazywamy z powodu czerwonych portier. Prosił, żeby jej nie budzić. Potem bawił się z dziećmi.

- Jakimi dziećmi?

- Mojej córki Tildy. - Tu wskazała ręką na perkatonosą blondynkę w biało-czarnej taftowej bluzce. - U córki w domu był remont, więc dzieci przebywały wtedy u mnie. Mieszkają w Badenie pod Wiedniem.

- W co się z nimi bawił? W jakąś grę?

- Trudno to nazwać grą. Ilekroć przyjeżdża, zawsze przywozi im prezenty. Ołowianych żołnierzy, armatki czy coś w tym rodzaju. Właśnie rozkładał je na podłodze, kiedy musiałam wyjść z domu, żeby otworzyć sklep.

- Kiedy się zbudziłam, wciąż jeszcze bawił się z dziećmi - wtrąciła Marianna. Zdjęła z siebie narzutkę, podniosła się z fotela i zwróciła twarz w stronę Kunzego. Policzki jej płonęły, nie mogła opanować drżenia warg, ale przemogła się, aby przemówić w obronie męża. Od pierwszego spotkania uznała kapitana za złego ducha, który uparł się, by zniszczyć im życie, toteż okazywała mu swą niechęć z żarliwością, której się po sobie nie spodziewała. Musiała jakoś wytłumaczyć przyczynę tragedii, która zrujnowała jej małżeństwo, a że nie miała odwagi winić za to armii, więc całą swą gorzką urazę skupiła na osobie kapitana Kunze.

- Słyszałam śmiech dzieci i głos mego męża - mówiła. - Zastałam go bawiącego się z nimi na podłodze. Malcy, sześćoletni chłopiec i czteroletnia dziewczynka, leżeli na brzuchach i manewrowali

ołowianymi żołnierzami, mąż mój zaś mówił im o taktyce otaczania wroga. Wszyscy troje byli bardzo pochłonięci zabawą... - nagle głos jej załamał i przez moment wydawało się, że zemdleje. Matka podbiegła do niej i otoczyła ramieniem.

- Na miłość boską, Marianno! Opanuj się!

- Zostaw mnie w spokoju - powiedziała uwalniając się z troskliwych objęć. Wzrok miała utkwiony w kapitana, który patrzył na nią zdumiony niespodziewanym wybuchem gniewu. Przedstawiała sobą iście groteskowy widok. Miało się wrażenie, iż z rozdętego jej brzucha niczym kwiat z cebulki wyrasta na szczyptych ramionach smukła szyja i maleńka głowa. „Widać jest bardzo blisko rozwiązania” - pomyślał Kunze.

- Czy uważa pan za możliwe, że mógłby się śmiać i bawić z dziećmi człowiek, który przedtem skazał dziesięć osób na śmierć? Bo przecież te przesyłki były wyrokami śmierci. To, że tylko w jednym wypadku wyrok się dokonał, przypisać należy zbiegowi okoliczności. Trzeba być szaleńcem albo potworem w ludzkim ciele, by się na coś takiego porwać. Mąż mój to dobry i łagodny człowiek. Nie znajdziecie śladu dowodu przeciw niemu, bo taki nie istnieje. Peter nie ma nic wspólnego z tą ohydą, za którą chcecie go powiesić!

Znajdujące się w pokoju osoby rozmaicie zareagowały na wybuch Marianny. Pani Gruber sprawiała wrażenie, jakby miała zaraz wydrapać oczy Kunzemu, siostry pochlipywały, natomiast kapitan ogromnie się zirytował. Z jakichś niewytłumaczonych powodów odczuwał niechęć do Marianny Dorfrichter, która mu się wydała

odrażająca, zapewne z powodu ciąży. Był kawalerem i uważał brzemienną kobietę za pozbawioną uroku, zdeformowaną, a nawet potworną istotę.

- Nie wiemy niewinnych ludzi, proszę pani - odrzekł jej zimno.

Niebawem rewizja dobiegła końca. Tak jak przepowiedziała Marianna, nie dostarczyła żadnego dowodu. Dla złagodzenia sytuacji, inspektor Weinberger przeprosił panie za zakłócenie spokoju, co zostało przyjęte wymownym milczeniem. Kunze był już w drzwiach, gdy go nagle zatrzymała Marianna.

- Panie kapitanie - powiedziała starając się, by głos jej nie brzmiał gniewnie lub obraźliwie. - Jak się miewa mąż? Jak on to znosi?

- Nie widziałem go od czasu mego pobytu w Linzu. Zdaje mi się, że wszystko jest w porządku. Możliwe, że się z nim zobaczę pod koniec tygodnia. - Przypomniał sobie słowa Dorfrichtera, które miał powtórzyć żonie, ale zdecydował, że tego nie zrobi.

Marianna westchnęła i rzekła:

- Proszę mu powtórzyć, że bardzo za nim tęsknię. I że w niego wierzę. Niech się o mnie nie martwi. Wszystko będzie dobrze. - Kunze milczał, więc podeszła do niego tak blisko, że się niemal dotykali ramionami. - Powie mu pan? Czy może to też jest wbrew regulaminowi?

Kunze potaknął głową.

- Jest. Mimo to... powtórzę.



Profos Tuttman rozkazał strażnikowi otworzyć drzwi celi. Było dziesięć po dziesiątej. Porucznik Dorfrichter odbył już poranną gimnastykę i całkowicie ubrany wyglądał przez okno mruczając swą tajemniczą litanie. Kiedy otworzyły się drzwi, odwrócił się i ujrzał przed sobą profosa.

- Sierżant Tuttman melduje się posłusznie na rozkaz - wyrecytował profos. Dorfrichter, choć więzień, nadal był oficerem i tylko wyrok udowadniający mu winę mógł pozbawić go rangi. - Mam rozkaz eskortować pana do kancelarii prokuratora, kapitana Kunze.

- Nareszcie! - Porucznik wyraźnie się uradował. Był jednak bardzo mizerny i blade.

Więzienie wojskowe miało bezpośrednie połączenie z budynkiem sądu wojskowego. Jeżeli więźniem był oficer, przepisy nakazywały, by kroczył przy nim profos, a w tyle żołnierz z nasadzonym na karabin bagnetem.

Kancelaria kapitana Kunze znajdowała się na drugim piętrze. Był to surowy w swej prostocie pokój z wysokim sufitem i dwoma oknami wychodzącymi na ulicę. Pod ścianami stały półki pełne książek, był tam też wielki kaflowy piec oraz biurka kapitana i jego współpracowników. Prawo wojskowe wymagało, aby przedstawiciele sądu garnizonowego byli także obecni podczas przesłuchiwania oskarżonego i świadków. Do tej sprawy przydzielono kapitanowi poruczników Stoklasę i Heinricha, ten ostatni miał również pełnić obowiązki protokolanta.

Po oddaniu regulaminowych honorów, kiedy profos i strażnik wyszli już z kancelarii, Kunze zwrócił się do Dorfrichtera:

- Zanim rozpoczniemy nasze rozmowy, chcę, aby pan przyjął do wiadomości, że prowadzę to śledztwo z całkowitą bezstronnością. Nie jestem też do pana uprzedzony. Chcę jedynie odkryć prawdę.

- To brzmi szlachetnie, panie kapitanie - odpowiedział Dorfrichter. - Rad bym w to wierzyć!

Mając dobre mniemanie o Dorfrichterze Kunze najeżył się. Widać porucznik nie jest taki rozsądny, za jakiego Kunze go uważał. Bo czy ktoś z odrobiną oleju w głowie będzie się narażał osobie, która trzyma w rękach jego los? Co innego odwaga, a co innego brawura. Kunze zastanawiał się, czy aby Dorfrichter nie doszedł do wniosku, że jego sprawa wygląda beznadziejnie. Buta jest często niezbitym dowodem winy. Człowiek, który wie, że czeka go wyrok śmierci, nie boi się być zuchwałym. I tak nie ma nic do stracenia.

- Niech pan będzie rozsądny, Dorfrichter. Nieraz się jeszcze spotkamy w ciągu najbliższych tygodni. Ułatwiłoby nam obu życie, gdybyśmy te spotkania odbywali w spokojnej atmosferze. Jeślibym świadczące przeciw panu poszlaki przyjął za dobrą monetę, mógłbym już uznać pana winnym, ale nie chcę tego robić.

- Dlaczego nie? - odciął się Dorfrichter niegrzecznie.

- Powiedziałem już, dlaczego. Nie chcę opierać się na poszlakach. Musi być albo bezsprzeczny dowód, albo pana przyznanie się do winy.

- Wolałby pan przyznanie się do winy? Prawda?... - Po chwili dodał uprzejmie: - Panie kapitanie?

- Niekoniecznie.

- Ale bez tego nie mógłby mnie pan skazać na śmierć. Takie jest prawo. Czyż tak? Jeśli sprawcy nie przyłapie się na *flagrante delicto*, może być on skazany na śmierć tylko w wypadku, gdy przyzna się do winy. Nieprawdaż?

Kunze postanowił, że nie da się wyprowadzić z równowagi.

- Przypominam panu, poruczniku, że jestem tu po to, aby panu zadawać pytania - odpowiedział tonem znużonego nauczyciela.

- Powinniśmy jednak rozumieć się nawzajem. Muszę wiedzieć, do czego pan zmierza, jaka jest pana strategia, po to, by się przygotować do obrony.

- Poruczniku Dorfrichter! Mam tu przed sobą oświadczenie psychiatry. Stwierdza, że posiada pan niezwykle wysoki iloraz inteligencji. Bliski geniuszowi. Proszę więc nie mówić głupstw. Bo inaczej zacznę wątpić w treść tego oświadczenia.

- Panie kapitanie, pozwoli pan, że przedstawię swój punkt widzenia. Prowadzimy rodzaj pojedynku - ciągnął uparcie Dorfrichter. - Pan oskarża mnie o zamordowanie kolegi, ja zaś oskarżam pana o chęć zamordowania mnie.

- Tak pan uważa? - spytał ostro Kunze.

- Jeśli pana oskarżenie okaże się prawdziwe - dowodził dalej porucznik - to jak na ironię moje też. Przez udowodnienie mi, że jestem

mordercą, pan też się nim stanie. W takim razie nie będzie większej różnicy między nami, prawda?

Kunze obrzucił go na wpół ironicznym i na wpół rozgniewanym spojrzeniem zastanawiając się przy tym, co też Stoklaska i Heinrich sądzą o tej debacie. Obydwaj jednak objawiali całkowitą obojętność: Heinrich notował każde słowo, Stoklaska zaś spoglądał przez okno na dach domu przy Hernalser Gürtel.

- Wracajmy do rzeczy, Dorfrichter - rzekł Kunze. - Raport psychiatry podkreśla, że jest pan człowiekiem nie tylko nadzwyczajnych zalet, ale także niezwykłych ambicji.

- To zazwyczaj idzie ze sobą w parze, nieprawdaż? - porucznik uśmiechnął się i coraz bardziej wyglądało, że się tym wszystkim ogromnie bawi.

- Jaka była pana pierwsza reakcja po przeczytaniu listy promocji z pierwszego listopada, kiedy to stwierdził pan, że go nie wcielono do Sztabu Generalnego? Czuł się pan zawiedziony?

Dorfrichter zastanowił się chwilę.

- Nie, proszę pana. Nie byłem zawiedziony, tylko... wściekły. Pomyślałem o dwóch latach Akademii Wojennej, poprzedzającym je egzaminie ogólnym, o wkuwaniu i poceniu się przed egzaminem końcowym i ogarnęło mnie jeszcze większe oburzenie, kiedy zdałem sobie sprawę, że to wszystko na nic, i że będą mnie już tylko przydzielać do kolejnych garnizonów w parszywych, śmierdzących i zabitych deskami miasteczkach, bym starał się zrobić żołnierzy z gromady zakutych łbów i wykonywać czynności, które każdy tępy i

uparty sierżant mógłby wykonać. Byłem wściekły na głupotę systemu, który marnuje talent i wiedzę z taką rozrzutnością.

- Postanowił więc pan coś z tym wszystkim zrobić?

- Nie, panie kapitanie. Wypiłem kieliszek wina.

Na większość ludzi działa ono pobudzająco, a mnie uspokaja. Potem jeszcze jeden kieliszek. Następnie zacząłem się zastanawiać. Wojna jest nieunikniona. Musi wybuchnąć. Za rok lub za pięć lat. Szef Sztabu jej pragnie, następca tronu też, tylko cesarz jest przeciwny. Ale ma on siedemdziesiąt dziewięć lat. Jak długo jeszcze pożyje? Kiedy już wojna wybuchnie, tacy jak ja ludzie staną się potrzebni. Decyzję z roku 1909 zrewidują w imię zdrowego rozsądku. Toteż stwierdziłem, że jedyne, co mogę zrobić, to zdławić w sobie gniew, wykonywać swe obowiązki i czekać, aż wybije moja godzina. - Skąd pan ma pewność, że będzie wojna?

- Bo to kwestia w rodzaju: „być albo nie być”. Istnieje taka urocza, młoda księżniczka. Nazywa się Hegemonia. Czterej książęta: Rosja, Niemcy, Francja i nasze Austro-Węgry są w niej zakochani. Ona natomiast nie darzy żadnego z nich miłością, bo jest sadystyczną dziwką. Nie obchodzi jej zwykła cielesna miłość, bo odczuwa rozkosz tylko na widok lejącej się krwi. Jeśli któryś z książąt chce zdobyć jej względy, musi ofiarować jej w darze głowy swych rywali. Żeby sprawy jeszcze bardziej skomplikować, należy wspomnieć, że istnieje także Wielka Brytania oraz Imperium Otomańskie. Ale Turek cierpi na złośliwą anemię, Anglię zaś pociągają zarówno książęta, jak i

księżniczki. Jest więc całkiem możliwe, że oba państwa nie wezmą udziału w rozgrywkach.

- Pana rozumowanie jest błędne. Jeśli dojdzie do wojny, będziemy walczyć po stronie Niemiec. I Włoch. Przypuśćmy, że nasza strona wygra. W rezultacie wzmocni to znacznie Niemcy. Włochy także. Ale co my na tym zyskamy?

- O to właśnie chodzi. Dlatego mówię panu, że ludzie mego pokroju są potrzebni. Niemcy mają wiele zalet, więcej wojska, lepsze uzbrojenie i bardziej jednolitą narodowościowo ludność. My zaś mamy tęgie głowy. Nasza Akademia Wojenna jest najlepsza na świecie. Wiem to z własnego doświadczenia. Na Boga, kapitanie! Czytał pan Blocha: „Czy wojna jest nieunikniona?” - Tu porucznik westchnął głęboko. - Przewiduje on, że po pierwszym ataku, w którym zginą miliony ludzi, wojna stanie na martwym punkcie i żadna z armii nie będzie w stanie dobrać się do drugiej. Wszyscy zaryją się w okopach jak krety, a łopata będzie równie niezbędna jak karabin.

- Tak, czytałem - potaknął głową Kunze. - Niewykluczone, że Bloch ma rację.

- Otóż to. I tak się właśnie stanie, jeśli się nie ockniemy. Pojawiły się ostatnio dwa wynalazki, które zmieniają oblicze świata: silnik spalinowy i telegraf bez drutu. Mogłyby się stać w naszych rękach potężną bronią, gdybyśmy potrafili przenosić je do miejsc, gdzie mogą być przydatne. Tymczasem jednak niemieckie i francuskie regulaminy, podobnie jak nasze, uważają dalej atak na bagnety za broń ofensywną. Nadal upierają się przy używaniu kawalerii dla rozpoznania

i koni jako środka transportu. Naszym jedynym ratunkiem jest zrewidować te poglądy i odrzucić wszelkie przestarzałe koncepcje narzucone nam zarówno przez naszych sojuszników, jak i wrogów, i pójść własną drogą. Francuski Sztab Generalny jest politycznie zmurzały. Niemcy są tępi. Ich szefa sztabu, generała von Moltke, relegowano z Akademii Wojennej, która jest szkółką dla dzieci w porównaniu z naszą. Mianowano go szefem sztabu dlatego, że jest pupilkim Kajzera i nosi znakomite nazwisko. Kajzer nie dopuści nikogo z iskrą talentu do swego sztabu; wszystkie ważne stanowiska w armii obsadził książętami i papierowymi żołnierzami, którzy nie mają najmniejszego pojęcia, czym jest wojna. Jeśli będziemy trzymali się Niemiec - to przepadniemy. Jeśli pójdziemy własną drogą, staniemy się światowym mocarstwem. Będzie to jednak nieosiągalne, dopóki ludzie tacy jak ja będą marnować czas na ćwiczebnym polu, ucząc rekrutów pucować do połysku guziki i czyścić latryny. Już samym idiotyzmem jest fakt, że tkwię w tym pokoju broniąc się przed tym nieprawdopodobnym oskarżeniem.

Kunze siedział bez ruchu nie spuszczać oczu z Dorfrichtera, z jego twarzy o zapadniętych policzkach i obwiedzionych sinymi kręgami oczu. Nie był w stanie przywrócić jej barwy wewnętrzny ogień, który sprawiał, że wypowiedane słowa przypominały lawę płynącą z czeluści wrzącego wulkanu. Więzienna bladość, ledwie tygodniowa, zdawała się pokrywać twarz jakby maską.

- Rad jestem, że przypomniał pan sobie wreszcie cel tego spotkania - wtrącił Kunze. - Istotnie, cięży na panu posądzenie o

morderstwo. Moim obowiązkiem jest przypomnieć panu, że wszystko, co pan do tej pory powiedział, pogłębia jeszcze owo oskarżenie.

Dorfrichter roześmiał się.

- Na Boga, kapitanie! Niech pan nie marnuje na mnie swej prawniczej sofistyki. Niech pan zachowa trochę względów dla moich zalet umysłu. Proszę mnie nie traktować jak surowego rekruta z zapadłej wiochy.

- Bynajmniej tak pana nie traktuję. Poza tym żywię szacunek dla pana inteligencji. Okazuje się jednak, że jest pan fanatykiem. Sama ambicja nie mogłaby pchnąć takiego jak pan człowieka do popełnienia zbrodni. Co innego ambicja sprzęgnięta z fanatyzmem...

Dorfrichter zerwał się z krzesła.

- Czy mógłbym zapalić papierosa, panie kapitanie? - spytał.

- Udzielam pozwolenia.

Kunze wyciągnął srebrną papierośnicę, podarunek od Róży, otworzył ją i wyciągnął w stronę Dorfrichtera. Heinrich podał ognia. Dorfrichter podziękował za papierosa i zaciągnął się głęboko dymem, najwyraźniej rozluźniony wewnątrz.

- Być może jestem fanatykiem, ale nie mam nic wspólnego z tymi zasranymi ulotkami - odpowiedział.

Kunze pominął milczeniem owo wulgarnie określenie.

- Żona przekazuje panu serdeczne pozdrowienia - powiedział do porucznika.

Twarz Dorfrichtera pobladła, przybierając chorobliwie zielony odcień. Ręka, która trzymała papierosa, opadła na bok.



- Widział się pan z nią, kapitanie? - spytał Dorfrichter stłumionym głosem.

- Tak. Jakieś pięć dni temu.

- Jak się czuje?

- Dobrze i... wierzy w pana. Prosi, by się o nią nie martwić.

Bardzo za panem tęskni.

- Czy dziecko już przyszło na świat?

- Kiedy ją widziałem, jeszcze nie.

- To było pięć dni temu.

- Gdyby się urodziło, zawiadomiono by mnie o tym.

- Dlaczego Marianna nie może mnie odwiedzić? - Zna pan przecież regulamin.

- Ale czy nie można by zrobić wyjątku? Czy godzi się tak nikczemnie traktować oficera? Co pan spodziewa się przez to osiągnąć? Ze się załamie? To się pan bardzo myli. Pozostanę nieugięty. Bez względu na to, jakie średniowieczne metody będzie pan stosował, wyjdę stąd jako człowiek wolny. Obiecuję to panu, panie kapitanie.

Kunze przyglądał mu się chłodno. Wzmianka o żonie sprawiła, że Dorfrichter stracił panowanie nad sobą. Po raz pierwszy drżała mu ręka, gdy trzymał papierosa. Był to nadal istny popis nieugiętości, ale ton głosu zdradzał objawy paniki raczej niż siłę przekonania. Najbardziej dokuczała mu w areszcie rozłąka z żoną. Słuszne czy niesłuszne oskarżenie o morderstwo było faktem, z którym potrafił walczyć, ale nie mógł w niczym pomóc żonie, oddzielony od niej murem. Mogła zachorować, pokochać innego mężczyznę lub po prostu

zniechęcić się do niego, a on nie miał już na nią żadnego wpływu. W zmaganiach z Kunzem był niepokonany, można go było jednak osiągnąć przez osobę żony. Była niczym ów liść, który spadł Zygfydowi na plecy, gdy się kąpał w krwi smoka. Kunze wyciągnął zegarek i zerknął na tarczę.

- Możemy już skończyć na dzisiaj - powiedział. - Nie osiągnęliśmy wiele, ale mamy jeszcze czas.

Porucznik Stoklaska wysłał posłańca po profosa Tuttmana, a gdy przybył, odbyła się ceremonia salutowania i wymiana przepisowych formułek.

- Porucznik Dorfrichter może już odejść. Profosie Tuttman, proszę odprowadzić więźnia do jego celi.

Jeszcze raz salutowanie, jeszcze raz stuknięcie obcasów, dźwięk ciężkich kroków dobiegający z korytarza i na koniec łoskot zamykanych ciężkich dębowych drzwi, z wymalowaną na nich cyfrą 6.

Po latach, wracając wspomnieniami do tej sceny, Kunze często się zastanawiał, czy taka rzecz mogłaby się wydarzyć w innym niż Austria kraju. Niemożliwością było wyobrazić sobie na przykład pruskiego prokuratora i oficera oskarżonego o głośną zbrodnię prowadzących zgoła prywatną rozmowę, która chwilami zakrawała na farsę. Sama niemczyzna, której używali Prusacy, zupełnie się do tego celu nie nadawała. Nieodzowne tu były pewne zasadnicze czynniki nierozzerwalnie związane z Wiedniem. Liberalizm i humanizm nadal żywe były w stolicy, a każdy Austriak nosił w głębi duszy iskrę rewolucji z 1848 r., będąc jednocześnie bezgranicznie oddany

cesarzowi, który tę rewolucję zdławił. Arcyksiężęta byli promowani na podporuczników w wieku czternastu lat, ale syn robotnika mógł też zostać oficerem, a nawet generałem. Armia stanowiła rodzaj państwa w państwie i była niczym olbrzymi embrion tkwiący w łonie matki-ojczyzny, krew jej krwi, ciało jej ciała. *Gemütlichkeit* przenikało każdy człon armii i czyniło życie w jej szeregach, jeśli nie zawsze przyjemnym, to co najmniej znośnym.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Kancelaria doktora Paula Goldschmiedta znajdowała się w środku miasta przy Kohlmarkt, wąskiej uliczce, która prowadziła do potężnego zespołu budynków - Cesarskiego Burgu. Mieściła się we wzniesionym w ostatniej dekadzie dziewiętnastego wieku luksusowym domu, z marmurową podłogą w hallu od frontu i wybitą marokańską skórą windą o lustrzanych ścianach, umieszczoną w ozdobnej klatce z żelaznych prętów. Doktor Goldschmiedt wynajmował dwa mieszkania na pierwszym piętrze: w jednym urządził kancelarię, w drugim zamieszkał wraz z żoną i czterema służącymi. Konie i powozy: lando, kareta i dwie eleganckie dwukółki, jak również i auto firmy Daimler, trzymał w pobliskich stajniach przy bocznej uliczce. Szofer, najęty przez doktora, kosztował sto pięćdziesiąt koron miesięcznie.

Sama pani Gruber wpadła na pomysł, by się zwrócić do doktora Goldschmiedta, ponieważ był to nie tylko najbardziej wzięty, ale także najkosztowniejszy adwokat w Wiedniu. Z początku rodzina nawet słyszeć nie chciała o tej propozycji. Jeden z krewnych w rodzinie Gruberów był prawnikiem i na niego w pierwszej chwili padł wybór, ale pani Gruber stanowczo się temu sprzeciwiła. Sprawa Dorfrichtera stała się *cause célèbre* i były już z tej przyczyny dwie interpelacje w Parlamencie atakujące procedurę stosowaną w śledztwie przez władze wojskowe. Nazwisko Petera Dorfrichtera pojawiała się dzień po dniu w gazetach, mówiono o nim na herbatkach, w klubach, w kawiarniach i na ulicach. Pani Gruber w końcu przekonała rodzinę, że taki człowiek jak

doktor Goldschmiedt, który zdobył rozgłos wygrywając głośne i sensacyjne procesy, nie oprze się pokusie przysporzenia sobie sławy, jaką przyniosłaby mu rola obrońcy w procesie Dorfrichtera.

Wiedziona nieomylnym wyczuciem dramatyzmu sytuacji pani Gruber postanowiła wysłać do Goldschmiedta Mariannę. Córka gwałtownie zaprotestowała. Od pierwszego grudnia, kiedy po aresztowaniu Petera matka przywiozła ją do Wiednia, Marianna nie opuściła mieszkania Gruberów. Unikala nawet wystawiania w oknie, ponieważ obcy ludzie, reporterzy lub ubrani po cywilnemu policjanci wąłęsali się stale po ulicy.

- Nie pójdę, mamó! Nie zobaczę się z doktorem Goldschmiedtem! W moim stanie? Prędeż odbiorę sobie życie - mówiła wśród łkań.

Pani Gruber pozostała niewzruszona na widok łez córki.

- Twoim stanie? Zachowujesz się, jakbyś była jedyną brzemienną kobietą na świecie. Kiedy nosiłam ciebie, brałam udział z twoim ojcem i siostrami w słynnym ludowym festynie urządzonym przez księżniczkę Paulinę Metternich. Urodziłaś się w pięć dni później. Nikt nie uważał tego za niewłaściwe. Twój mąż siedzi zamknięty w ponurej celi więziennej, gdzie nie widzi nawet skrawka nieba, a ty nie chcesz ruszyć palcem, by mu pomóc.

Pani Gruber napisała do doktora Goldschmiedta - bowiem tak się właśnie zwracano do posiadaczy stopnia akademickiego z prawa, a jego kancelaria odpisała, że doktor przyjmie panią Dorfrichter następnego popołudnia. Żeby się upewnić, że Marianna nie zmieni

decyzji, pani Gruber odprowadziła ją pod same drzwi kancelarii. Obie były ubrane na czarno, matka z powodu wieku, córka zaś, by ukryć nieco swój stan.

Poczekalnia firmy adwokackiej Goldschmiedta prezentowała się imponująco. Ciemny brąz był tu dominującym kolorem, zaś obrazy na ścianach przedstawiały smutne pejzaże. Z korytarza były wejścia do poszczególnych kancelarii, skąd dochodziła wrzawa pracy mimo zamkniętych drzwi. Po korytarzu kręcili się jacyś ludzie, zawsze na palcach, zawsze rozmawiając szeptem, jakby knuli jakiś tajny spisek.

Doktor Goldschmiedt, który przyjął samą Mariannę - pani Gruber bowiem została w poczekalni - był mężczyzną średniego wzrostu, łysiejącym, raczej krępy niż tęgim, z małymi ciemnymi oczami o bardzo intensywnym blasku. Ubrany był dość staromodnie, miał natomiast czerwony goździk w klapie, a na starannie wypielęgnowanych rękach prostą złotą obrączkę i gruby sygnet ze szmaragdem. Marianna podejrzewała, że jego krótko przycięte wąsy i rzadniejące włosy były umiejętnie przyczernione. Miał niewiele ponad pięćdziesiąt lat i poruszał się z pozornie młodzieńczą werwą podstarzałej primadonny, grającej rolę pierwszej naiwnej. Podobnie też jak u leciwych wielkich artystek było w jego wyglądzie coś teatralnego i władczego zarazem.

Marianna wyciągnęła ku niemu rękę, którą on uniósł do ust.

- Czym mogę pani służyć, moja droga? - Ton jego głosu był dobroduszny, nieco ojcowski, a przenikliwe spojrzenie przesunęło się badawczo po jej figurze, co speszyło Mariannę. Zarumieniła się i czuła,

że jest cała mokra od potu. Była bliska płaczu i gardziła sobą za słabość i brak opanowania.

- Doktorze Goldschmiedt, czy podejmie się pan obrony mego męża? - spytała i uczuła, jak piekące łzy zalewają jej oczy.

Ujął ją za łokieć i poprowadził do fotela.

- Proszę usiąść, moje dziecko. - Zajął krzesło naprzeciwko niej.

- Domyśliłem się, w jakim celu chce się pani widzieć ze mną, toteż zapoznałem się ogólnie ze sprawą. Ale niestety...

- On tego nie zrobił! - przerwała mu nagle. - Jest niewinny.

- Być może, ale to jest mniej ważne w tej chwili. Zasadniczy problem to wydostać go ze szponów władz wojskowych i doprowadzić do tego, by go sądził trybunał cywilny.

- Bardzo proszę, panie Goldschmiedt, niech mu pan pomoże. Jestem pewna, że potrafi pan to zrobić!

Łzy wyschły i znów była opanowana. Przyglądał się jej uporczywie, coraz bardziej świadom urody Marianny. Dostrzegał w tej urodzie rys doskonałości, która objawia się tylko znawcy. Niejeden mężczyzna minąłby Mariannę na ulicy obojętnie, szczególnie teraz, gdy miała figurę zeszeconą ciężą. Ale dla niego nawet jej brzemiennosc była pociągająca. Seks pasjonował Paula Goldschmiedta na różnoraki i rozległy sposób. Był urodzonym poszukiwaczem i stać go było na wszystko, co najlepsze, łącznie z tym, co uważano za nowatorskie lub unikalne. Był wzorowym mężem i ojcem, a przygód miłosnych zazwyczaj szukał za granicą, gdzie co najwyżej mógł być narażony na stratę pieniędzy. Na własnym terenie ograniczał się do związków

miłosnych ze znanymi aktorkami czy też kosztownymi kokotami, chociaż nie doznawał z tej racji aż tylu emocji, co w czasie jazdy po Kärtnerstrasse własnym Daimlerem. Miał wystarczająco dużo rozsądku, że gdy zauważył u siebie osłabienie seksualnych pożądań, uznał to za objaw zbliżającej się starości, i pogodził się z faktem, że może go zafrapować już tylko zgoła coś nadzwyczajnego. Ta młoda kobieta z twarzą Flory Botticellego i sterzącym brzuchem pociągała go jak żadna inna od czasu zeszłorocznej przygody z czarnoskórą Sudanką w Paryżu.

- Droga pani Dorfrichter - pokręcił przecząco głową - nie chciałbym za nic wzbudzać w pani fałszywych nadziei.

- Nie pozwalają mi zobaczyć się z mężem, a nawet pisać do niego. Poszłam do wojskowego więzienia na Hernalser Gürtel, bo przeczytałam w gazecie, że go tam właśnie trzymają, i chciałam podać trochę odzieży, bieliznę i skarpetki. Ale nie przyjęli paczki. Powiedziano mi, że musi nosić odzież urzędową. To okropne! Na pewno sądzi, że się o niego nie troszczę i że go opuściłam!

- Na pewno tak nie myśli.

- Nie wiem nawet, czy jeszcze żyje.

Doktor Goldschmiedt poklepał ją łagodnie po ramieniu.

- Oczywiście, że żyje. To nie średniowiecze, moja droga, ale dwudziesty wiek.

Dotknięcie jego delikatnej i pulchnej dłoni w jakiś sposób wpłynęło na nią uspokajająco. Poczowała do niego dziwną sympatię,



zapewne z powodu wieku, jak sądziła. Tyle lat miałby właśnie jej ojciec, gdyby żył.

Chociaż doktor Goldschmiedt nie był wcale z wyglądu podobny do jej ojca, siedząc przy nim po raz pierwszy w ciągu tych strasznych tygodni czuła się bezpieczna.

- Poprowadzi pan tę sprawę? - spytała. Matka nakazała Mariannie omówić także kwestię honorarium. Sprawy finansowe trzeba ustalać na samym początku, żeby uniknąć później nieporozumień. Czuła się bardzo zakłopotana i zastanawiała się, jak przystąpić do omówienia tej kwestii.

- Nie jesteśmy bogaci - wystękała - ale my, to znaczy cała rodzina, wiemy, jak cenny jest pana czas i jesteśmy gotowi...

- Nie o to chodzi, moje dziecko - ton jego głosu był energiczny, prawie szorstki. - Jeśli wezmę tę sprawę, jeśli ją wezmę - podkreślił bardzo wyraźnie - to dlatego, że uważam za swoją społeczną powinność walczyć przede wszystkim o obalenie przestarzałego i niehumanitarnego prawa, a potem dopiero o człowieka, który jest tego prawa ofiarą.

Wydał się Mariannie stanowczym i szczerym człowiekiem. Uczucie wdzięczności ogarnęło ją ciepłą falą.

Doktor Paul Goldschmiedt uważany był ogólnie za cynicznego rozpustnika. Potrafił też, jeśli tego chciał, być idealistą i dobrym samarytaninem. Natura ludzka bywa niesłychanie bogata w swej różnorodności, a sam doktor Goldschmiedt był tego najlepszym dowodem. Umysł miał wybitny, dużą wiedzę i przenikliwość, a ponadto

odznaczał się dobrym gustem. Był z zamiłowania botanikiem i w swych dobrach nad jeziorem Wörthersee hodował w oranżerii rozmaite egzotyczne, zamorskie rośliny. Jego biblioteka zawierała poza pierwszymi wydaniem dzieł z zakresu historii, filozofii, antropologii i psychiatrii także największy i najcenniejszy w Austrii, a może nawet w całej monarchii, zbiór pornografii. Najbardziej wyróżniającą się cechą jego charakteru była nienasycona ciekawość. Rzucił się w wir życia, które niby przepastna dżungla stanowiło dla niego teren poszukiwań, eksperymentów i wypraw, teren, którego każdy skrawek trzeba zbadać, przeanalizować i wciągnąć na mapę. Nie będąc wszakże nuworyszem, fortunę Goldschmiedtów bowiem zbili jego pradziadowie, a każde następne pokolenie przyczyniało się już tylko do jej pomnożenia, wykazywał Paul nadmierną skłonność do robienia wszystkiego na pokaz, a także zamiłowanie do luksusu godne wschodniego władcy. Szczycił się tym, że pochodzi w prostej

linii od Izaaka Abrabanela, ostatniego wielkiego żydowskiego humanisty i męża stanu piętnastowiecznej Hiszpanii, będąc jednocześnie urzeczony duchowo barokowym splendorem katolickiego kościoła. Nigdy nie przeszedł na katolicyzm, ale widywano go często podczas mszy w różnych katedrach za granicą. Kiedy mówił do Marianny o potrzebie naprawienia sto pięćdziesiąt lat trwającej niesprawiedliwości, wyrażał tym naprawdę swe najgłębsze przekonanie.

- Proszę mi dać parę dni, moja droga - rzekł do niej. - Rozejrzę się w sytuacji i dam pani znać o wyniku. Tymczasem niech się pani nie

poddaje rozpaczy. Jesteś na to zbyt młoda, moje dziecko, by ulegać smutkowi. Troski w twoim wieku to element dorastania. Kształtują twój charakter, ale wspomnienie o nich ulotni się szybciej, niż myślisz. Oszczędzaj swe siły. Będą ci teraz w tym stanie potrzebne. A troski pozostaw mnie.

Chociaż wspomniał o jej stanie, wcale to nie speszyło Marianny. Straszliwy ciężar, który uciskał jej serce i przygniatał do ziemi, nagle wydał się mniej dokuczliwy. Podziękowała mu za rozmowę. Doktor Goldschmiedt uśmiechnął się do niej serdecznie, a zmarszczki śmiechu niczym promienie ukazały się na jego nieładnej twarzy.

Była to kłopotliwa i niepotrzebnie zajmująca czas, chociaż nakazana prawem czynność. Najprzód wezwano świadka, którego personalia spisał odręcznie porucznik Heinrich. Następnie kapitan Kunze odebrał przysięgę, a potem rozpoczął przesłuchanie. Zaraz po odejściu świadka wprowadzono porucznika Dorfrichtera. Odczytano mu zeznanie świadka i bardzo dokładnie notowano wszelkie reakcje oskarżonego. Jeśli pojawiła się rozbieżność między zeznaniami oskarżonego a wersją podaną przez świadka, świadka wzywano ponownie i przedstawiano mu wersję podaną przez oskarżonego.

Alojzka Prechtel, w swej odświętnej kwiecistej chłopcę, widocznej spod ciężkiego lodenowego palta, w zielonym pilśniowym kapeluszu z żółtym piórem i w wysokich, zapinanych na guziki bucikach siedziała na brzeżku krzesła przeznaczonego dla świadków. Czuła się bardzo ważna, płonęła chęcią zemsty, a jednak miała się na

baczności. Jej chlebodawczyni wyjechała z Linzu nie mówiąc na jak długo. Fakt, że nagle stała się obiektem zainteresowań, stanowił dla niej pewną pociechę: nieznajomi zaczepiali ją na ulicy i wypytywali o osobiste życie Dorfrichtera, reporterzy przeprowadzali z nią wywiady, nawet ojciec Kolb z Kościoła Minorytów zaprosił ją po mszy do zakrystii.

Teraz oto wezwano ją do Wiednia, by złożyła zeznania pod przysięgą. Nigdy jeszcze nie była w stolicy. Szczęściem miała krewnego w Wiedniu, który wyszedł po nią na stację i zaprowadził prosto pod drzwi kancelarii kapitana Kunze, dokąd musiała już wejść sama.

- Panno Prechtel - rzekł do niej Kunze, kiedy już potwierdzono jej tożsamość, adres i okres pracy u Dorfrichterów. - Proszę teraz cofnąć się pamięcią do dnia trzynastego listopada. Późnym wieczorem porucznik Dorfrichter wyjechał do Wiednia. Czy panna była w mieszkaniu Dorfrichterów tego dnia?

- A gdzie bym mogła być? Przecież tam mieszkam. Nie jestem taka, co to chodzi się wałęsać, dlatego, że pani nie ma w domu.

- Wcale tego nie miałem na myśli - odpowiedział cierpliwie kapitan. - Wiemy, że porucznik był na urlopie od dwunastego. Czy przebywał wówczas w domu, a jeśli tak, to co porabiał?

- Był w domu, ale nie wiem, co porabiał, bo siedział w swoim pokoju. Zamknął się na klucz.

Kunze przypomniał sobie rozkład ich mieszkania.

- W swoim pokoju, to znaczy gdzie? Co panna przez to rozumie, że był w swoim pokoju?! Jest tam salon, jadalnia i sypialnia.

- W sypialni oczywiście. Tam stoi jego biurko.

- I nie dał pannie wejść do środka przez cały dzień?

- Nie!

- Czy to było coś niezwykłego, czy się już przedtem zdarzało?

- Nie. Nigdy przedtem się nie zdarzało. To mnie właśnie zaskoczyło, bo to było takie dziwne, ale teraz wiem, dlaczego on się tam zamknął. Pisał listy do tych oficerów i sypał truciznę do kapsułek!

Trzej mężczyźni spojrzeli na nią ze zdumieniem.

- Skąd pannie to wiadomo? - spytał ostro Kunze.

- Każdy o tym wie. - Wzruszyła ramionami. - Było o tym w gazetach.

- Ale czy widziała panna te listy i kapsułki? Albo czy natrafiła na pył lub proszek, który wyglądał jak trucizna?

- Wszelki pył to dla mnie trucizna. Każdy wtedy myśli, że nie posprzątałam porządnie,

- A co z tymi listami i kapsułkami?

- Być może je widziałam. Ale nie pamiętam.

- Czy porucznik zamknął się na klucz w swoim pokoju także dwunastego listopada? - spytał Kunze.

- Prócz tego, kiedy wychodził z psem na spacer.

- A kto wychodził z psem trzynastego?

- Porucznik, oczywiście. I tak mam dość własnej roboty, żeby się jeszcze uganiać z psem!

- Więc porucznik wyprowadzał psa dwunastego i trzynastego.

To znaczy, że nie siedział zamknięty w swoim pokoju cały czas.

- Nie. Ale kiedy wychodził, zamykał pokój i zabierał klucz ze sobą.

- Więc nie mogła się panna dostać do sypialni ani dwunastego, ani trzynastego?

- Dopiero następnego dnia rano. Porucznik był już wtedy w Wiedniu.

Kunze oparł się o tył krzesła i przez chwilę wpatrywał się w pustą przestrzeń przed sobą.

- Dziękuję, panno Prechtel, to nam na razie wystarczy.

Alojzka podniosła się z ociąganiem. Minęło już początkowe zdenerwowanie oraz ucisk, który ją dławił w gardle przez pierwsze parę minut przesłuchania, i właśnie zaczęła nabierać śmiałości.

- Wymówiłam służbę trzeciego listopada - powiedziała nagle do trzech powściągliwych i milczących oficerów, którzy widać nie doceniali jej znaczenia jako świadka oskarżenia. - Chciałam odejść natychmiast. Właśnie z powodu pana porucznika. Powiedział do mnie „idiotka”. Pani Dorfrichter prosiła, żebym o tym zapomniała i nie odchodziła. Mówiła, że pan porucznik jest bardzo zdenerwowany, bo nie dostał awansu, którego się spodziewał.

Chciała ich przekupić tą wiadomością w nadziei, że przedłużą przesłuchanie. Kunze połknął przynętę.

- Jakiego awansu? - spytał.

- Na kapitana oczywiście. Obydwoje bardzo na to czekali i liczyli, że się przeniosą do Wiednia. Raptem przestali zupełnie o tym mówić. Kiedy zapytałam panią o tę sprawę, odpowiedziała, żebym pilnowała własnego nosa. Pan chodził zdenerwowany po całym mieszkaniu, kłął na wszystkich i trząsał drzwiami.

- Kiedy panna zauważyła zmianę w jego zachowaniu? - zagadnął Kunze.

Alojzka rozparła się w krzesło swym potężnym zadkiem, podobnym z kształtu do gruszki.

- Po pierwszym listopada.

Narobiła im smaku tą informacją i miała nadzieję, że będą ją dalej wypytywać i nakłaniać do mówienia.

- Czy pani Dorfrichter była rozczarowana tym, że nie przeniosą się do Wiednia?

- Trudno powiedzieć. Już przedtem bywała podenerwowana. Nie czuła się za dobrze. Poza tym złościło ją to, że się robi gruba. Martwiła się, że przestanie się jemu, to znaczy porucznikowi, podobać z powodu tej ciąży. - Tu Alojzka zachichotała. - Pani Dorfrichter to jest zazdrosna, jak nie wiem co. Stale go tylko wypytywała: gdzie był, z kim się widział i tak dalej...

- Czy dawał jej powody do zazdrości?

- Skądże znowu! On wielbił ziemię, po której stąpała. Niejeden raz musiałam trzymać kolację w piecu przez godzinę, zanim wzięli się do jedzenia. Nie mógł się powstrzymać, aż zjedzą, panowie rozumieją, co mam na myśli. To mnie gniewało niemożliwie. Niepodobna było

przyrządzić czegoś takiego jak suflet, bo wiedziałam, że kiedy oni wygrzebią się z łóżka, to suflet opadnie i będzie płaski jak naleśnik. Oczywiście to było osiem albo dziewięć tygodni temu. Potem to ona była za blisko swego czasu na takie rzeczy. Poza tym doktor kazał mu trzymać się od żony z daleka, ponieważ pani nie jest mocnego zdrowia.

Po tej ostatniej informacji Kunze nakazał Alojzce odejść tak stanowczym tonem, że już nie śmiała dłużej zwlekać. Natychmiast po wyjściu służącej polecił przyprowadzić Dorfrichtera.

Minęły już dwa dni od ich ostatniego spotkania. Porucznik był jakby znacznie spokojniejszy i odprężony. Kunze domyślił się, z jakim to żarliwym zapałem oddawać się musiał narzuconej sobie dyscyplinie, na którą składała się gimnastyka, kąpiel przy pomocy gąbki i nie kończące się monologi. Do tego doszła jeszcze nowa forma rozrywki: przechadzka po Ringu. Tak to przynajmniej określił osłupiały profos Tuttman. Dorfrichter spacerował po celi i co parę kroków wykrzykiwał niczym konduktor tramwaju nazwę mijanego przystanku. Zatrzymywał się na chwilę jakby czekając, aż przetoczy się ruch, a potem wędrował dalej, do następnego skrzyżowania. Pierwszego dnia przebył dystans od Opery do Weisskirchnerstrasse. Nazajutrz zawędrował aż do kinematografu Urania.

Dorfrichterowi odczytano zeznania Alojzki, a w pierwszym rzędzie fragment dotyczący tego, co porucznik porabiał w dniu dwunastym i trzynastym listopada. Wysłuchał tego z kamienną twarzą nie odzywając się ani słowem.

- Ma pan jakieś uwagi? - spytał Kunze.



Dorfrichter wzruszył ramionami.

- Czego się pan spodziewa? Wyznania, że zamknąłem się po to, aby wydrukować ulotki i napełnić kapsułki trucizną?

- A nie robił pan tego?

- Nie! Pracowałem i nie chciałem, aby mi Alojzka przeszkadzała. Pisałem rozprawę o zaletach haubicy kaliber osiemnaście, jak dotąd całkowicie niedocenianej przez nasze wyższe dowództwo. Miałem porozkładane wszędzie materiały; gdybym więc zostawił otwarte drzwi, służąca nie omieszkałaby wtargnąć, zebrać papiery w jeden plik, tylko po to, by mi dowieść, że posprzątała w pokoju. - Zamilkł na chwilę zakłopotany. - Przepraszam pana. Zabrzmiało to jak tyrada jakiejś pani domu. Nigdy się nie spodziewałem, że będę zmuszony omawiać modus *operandi* Alojzki z kolegami oficerami.

- Powiedział pan, że pracował nad rozprawą dwunastego i trzynastego listopada. Wiedział pan już wtedy, że nie będzie wcielony do Sztabu Generalnego. Co pan chciał przez to osiągnąć? Obydwoj wiemy, jak to jest w wojsku, Dorfrichter. Czy naprawdę spodziewał się pan, że rozprawą swoją skłoni pan wyższe dowództwo do zrewidowania ich wojennych planów?

- Nie rozumiem, do czego pan zmierza, kapitanie.

- Więc powiem panu, do licha! - Kunze uniósł głos, bo zaczęła go już irytować ta rozmowa. - Postanowił pan przebić mur, który wyrósł między panem a sztabem. Mógł pan to osiągnąć tylko przez usunięcie trzech ludzi, którzy znajdowali się na liście przed panem.

Innego wyjścia nie było! Nie miał pan ochoty pozostać oficerem polowym, awansując stopniowo do rangi pułkownika, przejść potem na emeryturę i doczekać śmierci w spokoju i względnym dostatku. Chciał pan...

Dorfrichter przerwał mu wybuchając ostrym, złośliwym śmiechem.

- Widzę, że jest pan obdarzony twórczą wyobraźnią. Nie może pan znaleźć przeciw mnie dowodu, więc go pan wymyśla. Muszę być winny, bo pisałem rozprawę na temat użyteczności osiemnastocentymetrowej haubicy. Jestem owym niecnym Charlesem Francisem, ponieważ mam podobny charakter pisma, byłem w Wiedniu tego dnia, gdy wysłano przesyłki i kupiłem dwa tuziny pudełek w jednym sklepie. Nie może mnie pan jednak skazać, dopóki nie znajdzie się jakiś poważny dowód przeciw mnie. Sąd wojskowy będzie składał się z siedmiu oficerów, którzy będą dysponować ośmioma głosami, pan zaś będzie tylko rozporządzał jednym. Mam pełne zaufanie do tych kolegów, bez względu na to, kim będą. Na pewno uznają mnie za niewinnego, wbrew naciskom, jakie pan będzie na nich wywierał.

- Niepotrzebne mi już będą dalsze dowody. Do tego czasu pan z pewnością przyzna się do winy - odrzekł Kunze chłodnym, spokojnym tonem.

Jego spokój najwyraźniej podrażnił Dorfrichtera.

- Więc liczy pan właśnie na moje przyznanie się do winy? - spytał rozniewany. - Więc chyba lepiej będzie, jak powiem już teraz: nie zrobiłem tego! Wyjdę stąd oczyszczony z wszelkich zarzutów, a

pański awans na majora odwlecze się do czasu, aż dożyje pan odpowiedniego wieku.

Wstał i zrobił parę nerwowych kroków. Kunze obserwował go w zamyśleniu i nie mógł stłumić uczucia podziwu dla psychicznej wytrzymałości tego człowieka. Dwa tygodnie minęły już od momentu aresztowania i Dorfrichter zamiast upaść na duchu, czuł się swobodniejszy i pewniejszy swego dalszego losu. Bez względu na to, czy był winny, czy nie, wierzył, iż wyjdzie z tego pojedynku zwycięsko. Determinacja emanowała z jego urodziwej twarzy, z zaciśniętych pięści i sprężystości, z jaką stawiał kroki.

- Co panowie o nim sądzą? - spytał Kunze Stoklaskę i Heinricha, kiedy Dorfrichter pod eskortą opuścił salę. Na ogół nie miał zwyczaju rozmawiać z podwładnymi o oskarżonych. Istniejące od stu pięćdziesięciu lat prawo czyniło Kunzego sędzią, prokuratorem i obrońcą w jednej osobie i, czy to było słuszne, czy nie, na nim wyłącznie spoczywał ciężar moralnej odpowiedzialności za podjęte decyzje. Tym razem jednak odstąpił od zasady. Obaj porucznicy wywnioskowali, że zrobił to dlatego, że czuł się zbity z tropu.

- Patrząc na niego sądziłbym, że nie potrafi skrzywdzić nawet muchy - odpowiedział porucznik Stoklaska. - Jednak jest przeciw niemu cholernie dużo dowodów. Nie chciałbym za żadne skarby być na twoim miejscu, Emilu.

Kiedy byli we własnym gronie, rezygnowali z wszelkich formalności.

- Nie istnieje przecież żaden dowód, że miał do czynienia z cyjankiem, a bez tego sprawa upada - podkreślił Heinrich.

- Wiem o tym - potaknął głową Kunze. - Ciekaw jednak jestem, jakie on zrobił na was wrażenie.

- Jest to diabelnie dobry oficer, niestety. Znakomity. Ja bym go puścił wolno, mniejsza o to, czy jest winny, czy nie. Żadna to korzyść z tego, że będzie gnić w więzieniu, jak przyjdzie wojna. Nie stać nas na to, aby się taki człowiek jak Dorfrichter zmarnował.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Generał Wencel wraz z żoną wydawali proszoną kolację w swoim domu w Hietzing. Po raz pierwszy od chwili wstąpienia do armii zaproszony też został kapitan Kunze. Wypisane połączanymi, tłoczonymi literami zaproszenie było niebywałym wprost zaszczytem w Wiedniu, równym dopuszczeniu do najwyższych kół towarzyskich Londynu.

Kunze wciągał właśnie nowe lakierowane buty, nieco za ciasne, choć robione na miarę, kiedy do pokoju wtargnęła Róża nie omieszkając przedtem zapukać symbolicznie do drzwi.

- Paul umiera - powiedziała tonem może trochę nazbyt wesołym jak na treść wiadomości.

- Jaki Paul?

- Mój wuj, Paul - wyjaśniła odpowiednio żałobnym tonem, gdyż umierający był jej ukochanym krewnym. - Miał atak apopleksji. Doktor uważa, że jego dni są policzone. Biedaczek. Ma zaledwie sześćdziesiąt dwa lata. Za wcześnie, żeby żegnać się z tym światem.

Kunzemu udało się w końcu wcisnąć buty na nogi. Wstał, podszedł do szafy i zdjął z wieszaka bluzę.

- W przyszłym roku to mnie już weźmiesz na przyjęcie do Wencłów - powiedziała Róża.

Ręka kapitana znieruchomiła na górnym guziku.

- Niewykluczone, że mnie w przyszłym roku nie zaproszą.

Wyraz jej twarzy wskazywał, że spodziewała się innej odpowiedzi.

- Ale jak zaproszą, to ja też pójde. - Przysunęła się blisko i pocałowała złotą plecionkę na jego ramieniu. Kunze cofnął się rozszłoszczony. Czuł, że w ich wieku takie dziecinne objawianie uczuć jest żenujące i niewłaściwe. Wiedział także, iż Róża czeka na odpowiedź z jego strony, ale postanowił nie spełnić jej oczekiwania.

- Ostatnio, kiedy widziałam wuja Paula, powiedział mi, że sporządził nowy testament i zapisał mi dom i trochę akcji - powiedziała to jednym tchem, z wzrokiem utkwionym w twarzy Kunzego. - Jeśli umrze, będziemy mogli się pobrać.

- Ale on jeszcze żyje, prawda? - odpowiedział Kunze bardziej szorstko, niż nawet zamierzał. - Może jeszcze wyzdrowieć i żyć szczęśliwie długie lata.

- Czy nie wolno mi pomarzyć? - spytała. Usta jej zaczęły drżeć, a w oczach pojawiły się łzy.

- Mówiłaś mi zawsze, że go kochasz. Jak możesz pragnąć jego śmierci?

- Bo ciebie kocham bardziej niż jego. Niż kogokolwiek w ogóle. W dodatku, co to za życie dla kobiety, cały czas kryć się ze wszystkim przed ludźmi i nie móc nigdy powiedzieć: „To mój mąż! Należymy do siebie”. A ja tymczasem mówię o tobie: „mój lokator”, ty zaś o mnie: „moja gospodyni”. Byłoby to w porządku, gdyby łączyła nas tylko umowa o najem mieszkania.

Kunze nagle się zawstydził. Miał przed sobą kobietę, która okazywała mu tyle czułości i zrozumienia, a nade wszystko stworzyła mu przytulny dom nie żądając niczego w zamian. Kiedy był chory - pielęgnowała go, kiedy czuł się osamotniony - dotrzymywała mu towarzystwa, kiedy pragnął samotności - nie pokazywała mu się na oczy, kiedy łaknął miłości - brała go do swego łóżka. Bez niej byłby zgorzkniałym samotnikiem, przeżywającym przelotne, błahe miłości, powracającym wieczorem do pustego domu, gdzie jedynym weselszym dźwiękiem byłaby muzyka z tuby gramofonu. Podszedł do niej i ogarnął ją mocnym i, jak mu się zdawało, miłosnym uściskiem.

- Nie bądź dzieckiem. Oczywiście, że chcę się z tobą ożenić. Wiesz o tym dobrze, że nic mnie nie obchodzą inne kobiety. - Odsunął ją lekko od siebie. - Teraz przestań już płakać w mój galowy mundur. Każda łza plami ten przekłety materiał.

Śmiała się wycierając twarz chusteczką. - Jaka szkoda, że nie mogę pójść z tobą wieczorem - westchnęła rzewnie. - Mam nową suknię, której jeszcze nie widziałeś. Z białej koronki z aksamitną plisą na dole. Prześliczna! Na pewno się zachwycisz!

Był to jeden z jej dobrych dni. Włosy miała świeżo umyte, puszyste i lśniące, choć już gdzieniegdzie srebrzące się na skroniach, a cerę jasnorożową jak dziewczęta z płócien Renoira. Była ubrana w aksamitną domową suknię z trenem, który ledwie dotykał podłogi, ozdobioną z przodu falbaną na całej długości. Przypomniał sobie bujność jej kształtnego ciała zamkniętego w ciasnym koronkowym

gorsecie i nagle uświadomił sobie, że już od wielu tygodni nie trzymał jej w ramionach.

Przyjęcia u Wenclów skupiały przeważnie sfery wojskowe i tylko niewielką garstkę cywilów. Zieleń mundurów Sztabu Generalnego dominowała jako kolor, stawiało się też w całości tak zwane „stronictwo wojny” ze swym przywódcą, generałem Conradem von Hötendorfem, wystrojonym, drobnej postury mężczyzną, nerwowym i ruchliwym niczym foksterier, ale potrafiącym kąsać równie mocno jak buldog. Ludzie ci zaczęli codziennie czytanie gazet od biuletynu dworskiego w nadziei, że znajdą tam wzmiankę o tym, iż lekarz zalecił cesarzowi Franciszkowi Józefowi pozostawać w łóżku, co byłoby dowodem, że cesarskie zdrowie zaczyna nareszcie szwankować. Nic bardziej nie mogłoby ich uradować jak wieść o ataku apopleksji lub serca u cesarza. Gdyby mieszkali w Serbii lub Turcji i służyli w armii o znacznie niższym morale, dawno by już uknuli spisek, by zgładzić monarchę, ale chociaż gorąco pragnęli pozbyć się Franciszka Józefa, żadne radykalne wyjście nawet nie przyszłoby im do głowy. Zżymali się i dręczyli, a wybitni dostojnicy składali częste wizyty w Belwederze, wiedeńskiej rezydencji następcy tronu, Franciszka Ferdynanda, albo w jego wiejskiej rezydencji w Konopiszczu, w Czechach. Generał Conrad von Hötendorf posunął się nawet tak daleko, że uderzył pięścią w biurko cesarza w czasie sprzeczki. Rozgniewał starca, ale nie zdołał zmusić go do zrobienia choćby jednego kroku bliżej ku wojnie. Jedyłą koncesją, jaką udało mu



się, jako szefowi sztabu, wyjednać u cesarza, była całkowita reorganizacja i modernizacja armii. Generał dokonał cudów podczas trzyletniej swej działalności, ale był jak chłopczyk, który wprawdzie dostał wymarzoną zabawkę na Boże Narodzenie, jednak nie wolno mu było się nią bawić.

Emil Kunze nie brylował na przyjęciach. Był raczej obserwatorem niż uczestnikiem i bardzo go frapowały małe komedie i dramaty rozgrywające się wokół spraw dotyczących armii, nawiązywane lub odnawiane znajomości, zamierzone lub nieświadome afronty, czyjeś kariery popierane lub hamowane, zrywane romanse oraz niewinne żarty, które kończyły się pojedynkiem i czyjąś całkowicie niepotrzebną śmiercią.

Jak to było w zwyczaju, zaproszono też pewną ilość młodszych oficerów, zwłaszcza kawalerzystów, miłych chłopców, którzy zamiast raczyć się trunkami, obtańcowywali z oddaniem przez cały wieczór żony i córki wojskowych, bez względu na urodę tych dam, tuszę lub wycucie rytmu. Najwspanialej prezentowali się huzarzy, chociaż ich strój galowy nie należał do wygodnych. Dragoni i ułani paradowali w wąskich czarnych spodniach i lekkich, miękkich butach; natomiast galowy mundur huzarów składał się z opiętych czerwonych spodni, szamerowanej bogato złotem niebieskoszarej kurtki i lakierowanych butów. Po przetańczonej w nich nocy przejmujący ból wwierał się w nogi. Noszenie ostróg było ściśle wymagane, a ich dyskretne brzęczenie towarzyszyło uparcie zmysłowemu tonom muzyki. Ostrogi darły i niszczyły często ze szczeniem obręby sukien i trenów.

Tego wieczoru damy były na ogół piękniejsze i lepiej ubrane, niż to się zdarza na większości uroczystych okazji celebrowanych w kręgach wojskowych, kiedy to suknie są dziełem skromnych domowych szwaczek, przekazywanych w rodzinach z pokolenia na pokolenie, które przed takim towarzyskim spotkaniem starają się, jak mogą, żeby przerobić stare babcine adamaszkowe portiery na kopie kreacji od Poireta lub Wortha. Tym razem panie miały na sobie suknie pochodzące z najlepszych salonów mody i najprawdziwsze klejnoty. Naszyjniki zdobiące szyje niektórych dam przewyższały nieraz ceną roczne gaże ich mężów.

Suknia Liii Wencel w stylu *empire*, który był ostatnim krzykiem mody, uszyta została z bladezielonego błyszczącego jedwabiu pokrytego złocistożółtym tiulem. Tego wieczoru pani Wencel miała na sobie słynne szmaragdy i wyglądała zachwycająco. Tylko jeden garnitur biżuterii zaćmiewał blaskiem klejnoty gospodyni: brylanty pani doktorowej Goldschmiedt.

Goldschmiedtowie stanowili jedną z nielicznych zaproszonych na przyjęcie par małżeńskich spoza sfer wojskowych. Pani Goldschmiedt była daleką kuzynką Lili Wencel, ale więzy pokrewieństwa nie miały tu w ogóle żadnego znaczenia, gdyż i bez tego doktora Goldschmiedta przyjmowano chętnie w najwyższych towarzyskich sferach. Był członkiem Jockey Clubu, plotki zaś uparcie głosiły, że ma wkrótce otrzymać z rąk cesarza tytuł barona.

Już na samym początku przyjęcia Goldschmiedt wypatrzył kapitana Kunze spośród galaktyki mundurów. Jego znajomość z

kapitanem datowała się z czasów, kiedy Kunze pracował w szacownej firmie adwokackiej Tellera i Bauera.

- Co za miła niespodzianka zobaczyć pana, kapitanie - rzekł Goldschmiedt z promiennym uśmiechem. - Gdybym wiedział, że się tu spotkamy, oszczędziłbym sobie trudu pisania listu. Znajdzie go pan jutro w porannej poczcie. - Kunze nie zapytał, w jakiej sprawie jest ten list, więc doktor Goldschmiedt dodał: - Chciałbym pomówić z panem na temat porucznika Dorfrichtera. Dostałem pełnomocnictwo od jego rodziny do reprezentowania go jako adwokat.

Kunze był zaskoczony tą wiadomością.

- Niestety, nie mogę wiele zrobić dla pana, doktorze - odpowiedział. - Jak panu wiadomo, jest on przedmiotem prawa wojkowego, które wyklucza udział cywilnego obrońcy sądowego.

- W takim razie przeniesienie jego sprawy z wojkowego do cywilnego sądu zależy tylko od Ministerstwa Wojny, prawda?

, - Niezupełnie. Właściwie zależy od Korony.

- Ale gdyby minister von Schönaich poparł wniosek? Jak panu wiadomo, opinia publiczna jest przeciwko tajności śledztwa.

- Naprawdę?

- Nie czyta pan gazet, kapitanie?

- Opinia publiczna występuje też przeciwko przycinaniu drzew przed budynkiem Opery i zarządzeniu nakazującym prowadzenie psów w kagańcach i na smyczy. Mimo to drzewa są przycinane, a psy chodzą w kagańcach.

- Były już dwie interpelacje w Parlamencie w zeszłym tygodniu. Nazywają was Nie-święte Przymierze, gdyż jedna osoba reprezentuje sędziego śledczego, prokuratora oraz obrońcę, a sprawę Dorfrichtera zaczynają już określać jako proces austriackiego Dreyfusa.

- Jeśli chodzi o Nie-święte Przymierze, doktorze Goldschmiedt, to w każdej z mych funkcji kieruję się prawdą i sprawiedliwością w takiej właśnie kolejności - odrzekł Kunze. Czuł, że zabrzmiało to zbyt pompatycznie, ale nie potrafił się opanować. Ludzie typu Paula Goldschmiedta zawsze zmuszali go do wypowiedzania słów, których później żałował.

- Niech mnie pan źle nie zrozumie, kapitanie. Nie miałem na myśli krytyki pana osoby, ale jest pan wszak istotą ludzką. A człowiek bywa omylny.

- Nie przypuszcza pan chyba, że ograniczamy się tylko do osoby porucznika Dorfrichtera. Bo tak nie jest. Prowadzimy śledztwo zakrojone na szerszą skalę. Do tej pory ponad połowę ludzi z oddziałów stacjonujących w Linzu przepytano w związku z próbą zakupu cyjanku w aptece Ritzbergera. Inna jeszcze poszlaka wyłoniła się w Baden. Jakiś jasnowłosy młodzieniec kupił dużą ilość kapsułek z opłatka i zachowywał się dosyć podejrzanie. Ponad dziesięć osób, które mogły mieć związek z tą sprawą, pozostaje pod ścisłą obserwacją. Ilekroć podejrzanym okazuje się cywil, nawiązujemy współpracę z policją. Być może zna pan inspektora Weinbergera. Jest naszym łącznikiem.

- Bardzo to wszystko chwalebne, panie kapitanie. Ale tymczasem Dorfrichter dalej siedzi zamknięty niczym wściekły pies.

- Przebywa w wygodnej, ciepłej celi i cieszy się dobrym zdrowiem. Najwybitniejsi przedstawiciele naszego Korpusu Medycznego dbają o jego dobre samopoczucie. Jedzenie dostarcza mu rodzina, wydałem też specjalny rozkaz, by mu podawano na gorąco potrawy, które podaje się na gorąco, a na zimno te, które mają być na zimno. Wprawdzie nie dostaje żadnej prasy i nie wolno mu kontaktować się ze światem zewnętrznym, ale tylko do pewnego czasu.

- Jednak światło nigdy w jego celi nie gaśnie i jest obserwowany dzień i noc - dodał sarkastycznie doktor Goldschmiedt.

- To prawda. Muszę jednak coś panu powiedzieć. Jest całkiem możliwe, że przekazanie go jurysdykcji cywilnej przyniesie więcej szkody niż pożytku. Wojskowe ustawy pozwalają na orzeczenie wyroku śmierci tylko w wypadku, gdy oskarżony przyzna się całkowicie do winy albo jeśli mu się tę winę bezwzględnie dowiedzie. Sąd cywilny może jednak powziąć przekonanie o winie oskarżonego i skazać go na śmierć. W ten sposób próbując wyrwać go z mych szponów, może go pan zaprowadzić prosto pod szubienicę, doktorze Goldschmiedt.

- Czy mam rozumieć, kapitanie, że nie poprze pan mej apelacji do Ministerstwa Wojny?

Kunze poczuł, jak fala gniewu chwyta go za gardło. Wcale by się nie zdziwił, gdyby mu z ust buchnął płomień prosto w twarz doktora Goldschmiedta.

- Nie poprę - odrzekł opanowując wściekłość. - Moim zdaniem obecna procedura jest najkorzystniejsza zarówno dla oskarżonego, jak i dla opinii publicznej.

Następnie odbyli, czyniąc zadość przyjętym formom, krótką pogawędkę, po czym unikali się nawzajem starannie przez resztę wieczora. W istocie Kunze był bardziej zaniepokojony własną reakcją na propozycję Goldschmiedta niż samą propozycją.

Chcąc oderwać swe myśli od osoby doktora Goldschmiedta, przeszedł do głównej sali, gdzie zwinięto już dywan i przysunięto do ściany meble, by zrobić miejsce dla tancerzy. Orkiestra Cyganów węgierskich z Grand Hotelu grała właśnie walca. Był to uroczy widok. Wirowały w tańcu kolorowe suknie, klejnoty rzucały błyski w świetle żyrandoli, głowy kłoniły się w takt muzyki jak łan kwitnących maków, czerń fraków wraz z bielą koszul wtapiała się w kolorową mozaikę szamerowanych złotem bluz, pod ścianami siedziały przyzwoitki o obfitych biustach wypływających ze zbyt ciasnych gorsetów, gdy tymczasem resztę ich anatomii kryły litościwe sute fałdy sukien.

Lili Wencel tańczyła z kapitanem Sztabu Generalnego o nazwisku Dugonicz. Kunze znał go. Był on jednym z adresatów Charlesa Francisa. Kiedy tylko młody dragon natknął się na kapitana, ucałował ręce gospodyni i podszedł od razu do Kunzego.

- Jak się ma nasz przyjaciel Dorfrichter? - spytał, a w użytym przez niego słowie „przyjaciel” nie wyczuwało się przyjaźni.

Średniego wzrostu, tak szczupły, jakby się składał z samych tylko mięśni, śniady, o orlej twarzy, z wyglądu przypominał Cygana,

choć nikt nie śmiałyby wziąć go za takiego. Syn niezmiernie bogatego ziemianina, potomek serbskich wodzów, osiadłych na południu Węgier, miał w sobie ów ostentacyjny spokój ludzi niezmiernie majątnych.

- Miał się całkiem dobrze, kiedy go ostatnio widziałem - odrzekł Kunze. Nie znosił prowadzenia rozmów na temat śledztwa poza obrębem sądu, zarówno z prawnych, jak i etycznych powodów. Tym razem jednak ton głosu kapitana Dugonicza pobudził jego ciekawość. - Wygląda na to, że pan za nim nie przepada.

- Nienawidzę tego drania - odpowiedział mu Dugonicz. - Ale nie dlatego, że próbował mnie zgładzić.

- To jeszcze nie zostało dowiedzione.

- Uważam to za fakt. Tego można się było po nim spodziewać. Dwa lata to kawał czasu, gdy się ma dwadzieścia pięć lub sześć lat. Jak się ma lat czterdzieści lub pięćdziesiąt, to się tego tak nie czuje, ale gdy się jest młodym, okres dwu lat wydaje się równie długi jak stulecie. Dorfrichter siadywał obok mnie w ławce, Hohenstein w lewym rzędzie, a Mader w tyle za mną. Niech mnie pan uważa, jeśli chce, za snoba, ale z całej duszy nienawidzę parweniuszy i karierowiczów. Los tak zrządził, że z racji pochodzenia i majątku miałem ogromną przewagę nad kolegami wywodzącymi się z drobnomieszczańskich środowisk. Ale czy ktoś, kto nie ma majątku, tytułu i pochodzenia takiego jak Hohenstein lub ja, musi koniecznie być ostatnim draniem? Ani Mader, ani Gersten takimi nie byli, ale Dorfrichter tak! Aż go rozpierała ambicja, żeby być pierwszym. Nie wygrał, gdyż był nazbyt gorliwy. Przed egzaminami chodził tak napięty, że kiedy się do niego coś

powiedziało, zamiast odpowiedzieć, wybałuszał tylko bezmyślnie oczy. Gdyby go nawet kłuć szpilką, to by tego nie poczuł. Umysł ma, co prawda, wybitny, ale nauczyciele nie lubią takiego ucznia, który nad nimi zawsze góruje. Usposobił też do siebie wrogo paru kolegów. Wiadomo każdemu, że w Akademii Wojennej nie ma prawdziwego koleżeństwa. Człowiek człowiekowi jest wilkiem. Trzeba przejść trzy rodzaje eliminacji, zanim się zostanie przyjętym i więcej niż połowa słuchaczy odpada przed promocją. Ale żeby się było nie wiem jak wściekle ambitnym, trzeba jednak poskromić swą gorliwość i jeśli się nie powiedzie, umieć przegrać z honorem. Ale nawet w takich razach Dorfrichter gotów był iść po trupach.

- Co pan przez to rozumie?

- Chodzi mi o pewnego kolegę, który go wyprzedzał o jedno miejsce na liście lokat. Pod koniec pierwszego roku Dorfrichter znalazł się na dwunastym, a ów kolega, Hoffer, na jedenastym. Latem 1904 roku zostaliśmy we trzech przydzieleni do dowództwa 14 pułku piechoty w Innsbrucku. Nie jest to zbyt zachwycający garnizon, chyba że się jest alpinistą, toteż wiele się tam piło i grało w karty. Hoffer był namiętym, ale zdecydowanie kiepskim graczem i na ogół przegrywał. Dorfrichter pił umiarkowanie i rzadko kiedy siadał do kart. Pewnego wieczora zasiadł do partii *chemin de fer* na miejsce kolegi, który musiał wcześniej wyjść i tak się złożyło, że złapał Hoffera na oszustwie, w każdym razie tak to Dorfrichter określił. Trudno stwierdzić, jak się rzecz miała naprawdę, gdyż wszyscy z wyjątkiem Dorfrichtera byliśmy pijani. Gra szła o jakąś drobną stawkę, toteż sprawa nie była znów aż



tak śmiertelnie poważna. Poza tym graliśmy we własnym gronie i można było bez trudu przyjąć wyjaśnienie Hofferera, że wziął pomyłkowo dwójkę kier za trójkę i zawołał siedem. Dysponował damą, czwórką oraz ową zakwestionowaną dwójką kier i rzucił karty na stół nie pokazawszy ich partnerom. Dorfrichter zebrał te karty i odwrócił. „Twoja siódemka to zaledwie szóstka” - rzekł. Jak już mówiłem, Hoffer był solidnie wstawiony i pozwolił sobie na parę nieprzyjemnych uwag. Sprawa oparła się o pułkowy sąd honorowy. Dorfrichter dalej twierdził, że Hoffer oszukiwał. Przy okazji wyszło na jaw parę nieprzyjemnych faktów o Hofferze: jego długach, sprawie o ojcostwo, romansie z prostytutką. Po rozprawie Hoffer zastrzelił się, a Dorfrichter zaczął drugi rok w Akademii Wojennej jako jedenasty na liście lokat. Po pogrzebie Hofferera poszedłem do kwatery Dorfrichtera i powiedziałem, co sędzę o nim jako oficerze, koledze i człowieku. Szczerze mówiąc chciałem, żeby mnie uderzył albo wyzwiał na pojedynek, to bym go mógł rozwalić, lecz on ani myślał dać mi satysfakcji. Począł, aż skończy mówić, i odrzekł: „Zapamiętam to sobie”. Kiedy tylko posłyszałem jego nazwisko kojarzone z przesyłkami Charlesa Francisa, chciałem donieść o tym wydarzeniu, ale zaraz pomyślałem sobie, że być może Dorfrichter jest niewinny i w takim wypadku postąpiłbym równie nikczemnie, jak on wobec nieszczęśliwego Hofferera. Ale kiedy natknąłem się tu na pana, postanowiłem dać panu możliwość wyciągnięcia z tej sprawy takiego wniosku, jaki się panu podoba.

- Zaczął drugi rok jako numer jedenasty. Co sprawiło, że spadł na niższą pozycję?

- Kilku wykładowców go nie cierpiało. Poza tym nie był fizycznie tak silny, jak reszta. Ćwiczenia w terenie wyczerpywały go mocno. Bardzo kiepsko jeździł konno. Na początku walił się z siodła na każdej jeździe. Sądzę, że chyba nigdy nie opanował strachu przed końmi. Stary Campanini uważał, że Dorfrichter swą nieudolnością kompromituje go jako instruktora jazdy i brał odwet przydzielając mu najbardziej narowiste konie. Postanowił, że albo Dorfrichter nauczy się jeździć, albo pogruchocze wszystkie kości

- Znał pan kogoś jeszcze, kto był w złych stosunkach z Dorfrichterem?

- Nie. Zresztą, mniejsza z tym. Akademia Wojenna to nie armia. Tam nie ma czasu na koleżeństwo, bo jest tylko nieustanne współzawodnictwo. Nie było lepszego kolegi w całej grupie nad Madera i niewielu było tak lubianych powszechnie jak on.

Właśnie miano podawać kolację i gospodyni podeszła do nich zapraszając do stołu. Kunzemu wydało się, że generałowa Wencel darzy specjalnymi względami kapitana Dugonicza. Zatańczyła kotyliona z honorowym gościem, generałem Conradem, ale przedtem, ilekroć tylko błysnęły jej szmaragdy, to zawsze na tle zgniłozielonej bluzy Dugonicza.

Kolacja była wyśmienita. Od roku Liii Wencel wyraźnie dzierżyła prym wśród rywalizujących z nią pań domu, przyjęła bowiem na służbę kucharkę nieżyjącego Johanna Straussa. Ta niska i tęgawa niewiasta, Węgierka z pochodzenia, obdarzona iskrą icense wiedeńskiego smaku, była równie utalentowana w swej dziedzinie, jak nieżyjący jej

pan w muzycznym kunszcie. Goście zasiedli do kolacji o północy, pochłonawszy sześć dań, do których podano rozmaite gatunki wina począwszy od miejscowego Gumpoldskirchnera, a skończywszy na wyjątkowo dobrym roczniku Veuve Clicquot. Wstali od stołu o drugiej nad ranem, objedzeni, lekko i przyjemnie podchmieleni albo mocno pijani.

Pod koniec kolacji Lili Wencel trąciła kieliszek i oblała szampanem przód sukni. Plama była duża, toteż postanowiła pójść na górę, żeby się przebrać. Weszła do ubieralni i zastała tam swoją pokojówkę pogrążoną w twardym śnie. Dziewczyna miała nakazane czekać na swą panią, aż się skończy przyjęcie, żeby jej pomóc przy rozbieraniu. Lili zbudziła dziewczynę i kazała się jej z miejsca wynosić. Pokojówka odeszła spiesźnie, jakby bojąc się, że pani może się jeszcze rozmyślić.

Kapitan Dugonicz, chociaż był poinformowany przez panią Wencel o rozkładzie mieszkania, dwa razy otwierał niewłaściwe drzwi, zanim trafił do jej ubieralni. Lili Wencel stała przed wysokim, sięgającym podłogi lustrem w samej halce, z odsłoniętym powabnie biustem o mlecznej bieli, zamknięta od samych piersi po biodra jedwabnym, usztywnionym fiszbinami gorsetem. Dugonicz zamknął za sobą drzwi i nie spuszczać z niej oczu szukał dłonią klucza. Nie znalazł go, więc się obejrzał i dostrzegł, że drzwi w ogóle nie mają zamka.

- Czy nie dałoby się ich jakoś zaniknąć? Psuje mi szyki świadomość, że mąż może wejść w każdej chwili.

- Nie ma obawy - zaśmiała się. – Wynaleźliśmy tajemną receptę na szczęśliwe małżeństwo. Szanujemy nawzajem nasze prywatne życie. Karl jest zbyt dobrze wychowany, by wtargnąć tutaj bez zaproszenia.

- Czy pani go tu czasem zaprasza?

- Tak, niekiedy. Muszę pozwolić mu, by dowiódł samemu sobie, że nie poślubił mnie dla majątku. Pomaga mu to zachować szacunek dla własnej osoby.

- Niezły z pani psycholog, prawda?

- Bynajmniej. Jestem po prostu rozsądna. Nauczyłam się już, że mężczyzna bez szacunku dla siebie może być niebezpieczny. Szacunek ów niczym łańcuch powstrzymuje dzikie zwierzęta od skakania sobie do gardła.

Dugonicz pociągnął panią Wencel ku sobie, objął ją i przycisnął usta do jej szyi w miejscu, gdzie lekko bił puls, prawą zaś ręką błędził po jej ciele.

- Za nic w świecie nie chciałbym być pani mężem - rzekł.

- Byłoby to w ogóle niemożliwe. Pan nigdy by się ze mną nie ożenił.

- Dlaczego nie? Jestem majątny, dobrze urodzony i przystojny...

Próbował rozluźnić mocno ściągnięte sznurówki gorsetu. Lili odrzuciła głowę do tyłu, oczy jej pod ciężkimi, iście wschodnimi powiekami zaszyły mgłą. Oddychała ciężko.

- Nigdy nie poślubiłabym mężczyzny, w którym mogłabym się zakochać.

Ręka Dugonicza znieruchomiła. Słowo „zakochać się” podziało na niego jak strumień zimnej wody. Bał się panicznie wszelkich uczuciowych związków.

- Nie sądzi pani, że okropnie ryzykujemy? - zapytał. - Czy nie lepiej byłoby spotkać się w mieście? Mam mieszkanie przy Himmelfortgasse...

- Nie - odrzekła odpinając guziki jego bluzy. - Teraz!

Przywarła do niego z taką siłą, że aż się zachwiało pociągając ją za sobą na obity satyną szezlong. Szalejący w niej płomień żądzы stopił jego opór i zniewolił go bez reszty. Przez moment widniał w lustrze odbicie ich sprzęgniętych ze sobą ciał, jej odsłoniętych pośladków na tle czerwieni opuszczonych spodni wplątanych między falbany żółtawej halki, co sprawiło, że parsknął śmiechem. „Zabawne, gdyby nas tu ktoś teraz zobaczył” - pomyślał. Niespodziewany wybuch śmiechu ochłodził jej zapał, zerknęła podejrzliwie spod oka, ale zaraz potem przymknęła powieki i pogrzyła się na powrót w miłosnej rozkoszy.

- Zawsze się tak pani bawi, ilekroć porzuca gości? - spytał ją później.

Włożyła już na siebie błękitną suknię z szyfonu i szamotała się z opornymi haftkami na plecach. Obróciła się nagle, tak że Dugonicz w pierwszej chwili sądził, że go chce spoliczkować.

- Nie - odrzekła. - Nie zawsze udaje mi się znaleźć partnera.

- Wśród tylu młodych byczków? Jestem pewny, że każdy z nich dałby sobie za to odrąbać palec.

- Palec? Być może. Ale potem zaraz poprosiłby mnie, bym się wstawiła za nim a generała. To, co mówiłam panu o szacunku dla samego siebie, dotyczy także i kobiet. Jeśli mam być przyłapana na gorącym uczynku, to razem z partnerem, który tyle ryzykuje co ja.

Teraz Dugonicz zrozumiał, czemu nie było zamka w drzwiach. Roześmiał się.

- Ależ z pani dziwka! - rzekł i nagle poczuł w sobie przejmujący chłód.

Kapitan Kunze spędził rano ślęcząc nad aktami personalnymi adresatów przesyłek Charlesa Francisa, usiłując znaleźć jakiś wspólny im mianownik, który by wyjaśnił, czemu wybrano na ofiary tych właśnie dziesięciu oficerów. Rozmowa z kapitanem Dugoniczem nasunęła Kunzemu pomysł, by każdego z nich wypytać o stosunki łączące go z oskarżonym.

- Dziwne - podkreślił zwracając się do porucznika Stoklaski - że dziesięciu z nich to doskonali jeźdźcy, uprawiający z powodzeniem także inne rodzaje sportu. Ich sprawność fizyczna jest specjalnie podkreślana w opiniach służbowych. Kapitan Moll jest tu jedynym wyjątkiem. Miał dostateczny z jazdy u majora von Campanini, tak samo jak Dorfrichter.

- Może oskarżony czuł do Molla jakąś osobistą urazę?

Kunze pokiwał głową.

- Trzeba się będzie wywiedzieć nie tylko o to, ale o wiele innych jeszcze rzeczy - dodał z ciężkim westchnieniem.

Wprowadzono na przesłuchanie Dorfrichtera. Wydawało się, że jakby nieco przybrał na wadze. Zniknęły kręgi pod oczyma i wyraz znużenia wokół ust. Nie był już też taki błydy jak przedtem, zapewne dzięki codziennym „spacerom” w celi przy otwartym oknie. Nadeszły chłody, a tymczasem Dorfrichter trzymał otwarte okno, dopóki temperatura w celi nie spadła do zera. Tłumaczył, że woli mieć zapalenie płuc, niż się udusić. Na zapytanie, jak się czuje, odpowiadał, że się nudzi, ale na ogół na nic nie narzeka.

- Jak układały się stosunki między panem a kapitanem Karlem Mollem? - zaczął Kunze.

Jeśli spodziewał się usłyszeć jakąś rewelację, to bardzo się rozczarował. Dorfrichter zamiast odpowiedzi spojrział na niego jakby nie rozumiejąc, o co chodzi.

- Kapitan Moll? Nie wydaje mi się, żebym znalazł takiego.

- Niech będzie. W takim razie porucznik Moll. Był w tej samej co pan klasie w Akademii Wojskowej.

Dorfrichter potarł czoło w zamyśleniu.

- Ach, to o tego Molla chodzi. Słabo go sobie przypominam. Poza tym nasza ostatnia klasa przed promocją liczyła około stu osób. Nie sądzę, bym mógł wyliczyć od ręki więcej niż dziesięciu.

- Powiedział pan: dziesięciu. Dlaczego?

- Dlaczego powiedziałem: dziesięciu? - uśmiechnął się złośliwie Dorfrichter przedrzeźniając Kunzego. - Tyle bowiem przesyłek nadałem pocztą. Wygadałem się, przyznaję. Jeszcze jeden dowód mej winy.

- Dostyc tych żartów. Niech pan odpowiada na pytania.

- Prawie go nie znam. Nie mogę nawet przypomnieć sobie, jak wyglądał. Nie sądzę, bym go choć raz widział po skończeniu Akademii.

Późnym popołudniem kapitan Karl Moll siedział na tym samym krześle naprzeciwko biurka Kunzego. Był obecnie przydzielony do Departamentu Kolejowego Sztabu Generalnego i z wyglądu przypominał człowieka, którego głównym zadaniem jest pilnować, aby pociągi kursowały zgodnie z rozkładom. Miał gładko wygoloną twarz i czaszkę. Mówił z lekkim nalotem pruskiego akcentu i używał określeń prawie niespotykanych w austriackiej gwarze wojskowej. Pruskość emanowała też z jego zachowania. Był sztywny, niezwykle poprawny i brakowało mu wdzięku i wesołości tak typowych dla wiedeńczyków.

- Moje stosunki z porucznikiem Dorfrichterem nie układały się najlepiej - stwierdził. - Nie lubiliśmy się, niestety.

- Czy był po temu jakiś powód? Istniał może jakiś konflikt?

- To nie był konflikt, ale ściśle mówiąc kłótnia. Otóż...

- O co wam poszło? - przerwał mu Kunze zupełnie nie interesujący się semantyką.

- Przeważnie o problemy wojskowe. Czy mogę najprzód powiedzieć parę słów o sobie? Ojciec mój za młodu wyemigrował z Niemiec do Austrii. Urodziłem się tutaj, natomiast reszta rodziny Mollów mieszka nadal we Wrocławiu. Moi dwaj stryjowie i sześciu kuzynów są oficerami w pruskiej armii. To zawodowi żołnierze. Od nich nauczyłem się, co to znaczy dyscyplina. Nasza armia austro-



węgierska jest niestety sama w sobie zbyt *gemütlich*. Dorfrichter nie chciał przyznać mi w tym racji.

Skłonność Molla do długich i zawiłych wywodów zaczynała działać Kunzemu na nerwy.

- Czy to znaczy, że spieraliście się o czysto abstrakcyjne sprawy i nie było między wami żadnego osobistego zatargu?

- Oczywiście, że nie - odparł Moll zdumiony brakiem spostrzegawczości u kapitana Kunze. - Mieliśmy także odrębne zdanie co do użyteczności szybkostrzelnych dział polowych.

- Proszę się dobrze zastanowić - nalegał Kunze. - Pamięta pan może jakieś wydarzenie o bardziej osobistym charakterze?

- Niestety, nie przypominam sobie niczego.

- Utrzymywał pan jakieś kontakty z Dorfrichterem bezpośrednio po ukończeniu Akademii Wojennej lub później?

- Żadnych. Chociaż jest jedna rzecz. Właśnie sobie przypomniałem. Pan użył określenia „bezpośrednio”. Otóż w 1907 roku przydzielono mnie do 28 pułku piechoty, stacjonującego w Kecskemét, na Węgrzech. Wynająłem tam dwa pokoje od pani nazwiskiem Varga. Parę miesięcy przedtem mieszkał tam właśnie Dorfrichter, zanim go przeniesiono do 13 brygady do Sarajewa.

- I co dalej?

- W zeszłym roku natknąłem się nagle na Dorfrichtera. Opowiedziałem mu o wszystkim i dodałem: „Jaki świat jest mały, prawda?” Na to Dorfrichter zaczerwienił się i czym prędzej oddalił. Byłem tym dość zdziwiony. I nadal jestem.

- Czy ta gospodyni coś mówiła na jego temat?

Moll zamyślił się głęboko, marszcząc czoło i ściągając wargi. Kunze zaczął się raptem zastanawiać, jak mogła kobieta tak powabna jak Anna Gabriel sypiać z mężczyzną tak wypranym z wdzięku, jak kapitan Moll. Kunze często o niej myślał i nie mógł dotąd uwolnić się od przeświadczenia, że jest częściowo odpowiedzialny za jej tragiczny koniec. Należał do tej kategorii ludzi, którzy starają się utrzymywać swe sumienie w takim samym ładzie i czystości jak szuflady biurka, toteż uważał nawet cząstkową swą winę za niezatartą plamę.

- Przypominam sobie - powiedział w końcu Moll - że pani Varga raz mi mówiła o jakimś romansie Dorfrichtera z pewną aktorką z Kecskemét. Mam nadzieję, że się nie mylę co do osoby. Pan zna te ma-łomiasteczkowe garnizony. Cóż innego może robić nieżonaty mężczyzna, niż sypiać z kim popadnie i upijać się. Krążyło po miasteczku masę pieprzonych historyjek i o innych oficerach.

- Kim była ta aktorka? Pan ją znał?

- Nie. Wyjechała z miasteczka razem z Dorfrichterem. Z powodu jej zniknięcia wybuchł tam nawet jakiś skandal.

- Czy pan wie, jak się nazywała?

- Niestety, nie. Ale mogę listownie spytać o to moją gospodynię. Okropnie się ucieszy, jeśli będzie mogła udzielić informacji. Odkąd skasowano urząd miejskiego herolda, ona go zastępuje z własnej i nie-przymuszonej woli.

Kunze odpowiedział, że będzie mu bardzo wdzięczny za informację, i kapitan Moll niebawem odszedł. Kiedy tylko podejrzenie

padło na Dorfrichtera, z miejsca zbadano jego przeszłość, specjalnie zaś przebieg służby w poszczególnych garnizonach, ale niczego istotnego nie wniosło to do sprawy. Był powszechnie lubiany, chwalony przez zwierzchników jako doskonały oficer i szanowany przez żołnierzy. Jego życie miłosne, jak się mogli o tym przekonać prowadzący śledztwo, było najzupełniej normalne: niewinne flirty, romanse z mężatkami o swobodniejszych obyczajach lub odwiedziny w godnych najwyższego polecenia burdelach, a od chwili ślubu z Marianną Gruber małżeńskie szczęście w domowym zaciszu.

Dorfrichtera ściągnięto po raz drugi na przesłuchanie po południu. Policzki miał zaczerwienione, a nos i uszy niemal fioletowe z zimna. Był właśnie w środku „spaceru”, kiedy przyszedł po niego profos Tuttman.

- Którego dnia zaziębi się pan na śmierć - zauważył Kunze.

Dorfrichter parsknął śmiechem.

- Pozostawiając, co gorsza, w pana rękach nierozwikłaną do końca sprawę. Proszę się jednak nie martwić. Chcę żyć i wyjść stąd w pełni zrehabilitowany, czy to się będzie panu podobało, czy nie.

Sztubacka buta w głosie Dorfrichtera dziwnie zirytowała Kunzego.

- Niech pan nie będzie osłem, Dorfrichter. Czy pan naprawdę sądzi, że skazałbym niewinnego człowieka? Nie prosiłem o tę przeklętą robotę i niech się panu nie zdaje, że znajduję w tym jakąkolwiek przyjemność. Zaprześćmy więc dowcipów i żartów i postarajmy się

wreszcie jakoś tę niemiłą sprawę zakończyć. Dorfrichter wyprostował się w krześle.

- Przepraszam pana - rzekł. Kunze wodził palcem po aktach, które sobie wcześniej przygotował. Był nadal wzburzony, znacznie głębiej, niżby należało po takim incydencie. Dorfrichter przerwał ciszę.

- Czy mogę zadać panu pytanie? - A kiedy Kunze skinął potakująco głową, zapytał: - Czy są jakieś wiadomości o mojej żonie? Jak się miewa? Czy dziecko już się urodziło?

- Nie ma. Dziecko jeszcze się nie urodziło, ale żona czuje się dobrze. Wynajęła adwokata, żeby zrobił, co się da, dla pana.

- Dziękuję panu - rzekł chłodno Dorfrichter. Jeśli nawet odczuł ulgę, to nie okazał tego po sobie. - Pozwoli pan, że zadam jeszcze jedno pytanie?

- Proszę bardzo.

- Czy wiadomo panu, co się stało z moim psem?

- Troll jest w Wiedniu, w Klinice Weterynaryjnej.

- Dlaczego? - zaniepokoił się całkiem szczerze Dorfrichter. - Co oni tam z nim robią?

- Podobno kupił pan wafłowe kapsułki, bo pies nie chciał inaczej przyjmować lekarstwa? Chcieliśmy to sprawdzić.

- Oczywiście, że to prawda. Gdybym wiedział, że będą z tego powodu robić na nim doświadczenia, nigdy bym o tym nie wspomniał - rzekł poirytowany.

- Nie zrobią mu krzywdy. Mogę za to ręczyć. Jest pod dobrą opieką.

- Skąd pan wie?

- Osobiście go odwiozłem do Kliniki i dopilnowałem, aby był należycie traktowany. Przywiozłem go z Linzu, trzymałem przez noc we własnym mieszkaniu. Pies sam ułożył się do snu na jedwabnej kołdrze na mym łóżku, jeśli to pana ciekawi.

Zazwyczaj śmiertelnie poważny porucznik Stoklaska pierwszy parsknął śmiechem, a po chwili dołączył się porucznik Heinrich.

Dorfrichter uśmiechnął się głupio i powiedział:

- Przepraszam pana.

- Skoro już mowa o zwierzętach - zaczął Kunze - to czy prócz psów lubi pan także konie?

- Czemu mnie pan o to pyta?

- Widziałem pana świadectwo sprawności, a także stopnie z Akademii Wojennej. Baron von Campanini nie miał wysokiego mniemania o pana umiejętnościach jeździeckich.

Dorfrichter pominął to milczeniem. Po małej chwili zapytał:

- Czy to ma coś wspólnego z przesyłkami Charlesa Francisa?

- Bynajmniej. Pytałem tak, z ciekawości.

- Jeździectwo! - Dorfrichter wymówił to słowo tak, jakby było przekleństwem. - Trzeba naprawdę przejść piekło, zanim się człowiek dostanie do tej przekłętej Akademii. Najprzód potrzebne są listy polecające od dowódcy. Ryzykuje się życiem i zdrowiem, żeby je dostać. Jedno potknięcie i wszystko przepadło. A jeśli dobrze pójdzie, wtedy można przystąpić do ogólnego egzaminu, który odbywa się w styczniu i który jedna trzecia kandydatów zazwyczaj oblewa. W lutym jest

egzamin wstępny, a potem w październiku osiemnaście dni napięcia i trudu. Wieczorem aż trudno zasnąć ze zdenerwowania, a rano przed pójściem do koszar dostaje człowiek mdłości. Następnie stu pięćdziesięciu kandydatów stara się za wszelką cenę przebrnąć przez ostatni etap egzaminów wstępnych, a potem zostaje jeszcze dwa lata do promocji. Człowiek uczy się takich przedmiotów jak geografia, nauka o broni, administracja Sztabu Generalnego, historia wojen i strategii, taktyka, organizacja armii, terenoznawstwo, przyroda, budowa fortyfikacji i prowadzenie wojny pozycyjnej, historia kultury, prawo państwowe i międzynarodowe, język francuski i rosyjski oraz na koniec jazda konna. A w trakcie nauki odbywa się wyprawy w teren i uczy topografii. W terenie żyje się w warunkach wojennych, żadnych posiłków od wschodu do zachodu słońca i albo uciążliwy marsz, albo jazda w siodle. Od tego albo stopy tak puchną, że człowiek musi spać w butach, albo tyłek zamienia się w krwisty befsztyk. Po dwóch latach takiej męki, a właściwie trzech, włączywszy w to egzaminy, kończy się nauka i człowiek ma głowę jak encyklopedia. Potrafi wyrecytować jak z nut wszystkie bitwy z wojen punickich, paplać o metodzie rozwinięcia w linię kawalerii przez Wellingtona w bitwie pod Waterloo, albo o różnicy w stosowaniu *habeas corpus cum causa* przez Kodeks Napoleona i prawo angielskie, lub koniugować nieregularne francuskie czasowniki. Ale cała ta wiedza nic człowiekowi nie pomoże, jeśli baron von Campanini nie jest zadowolony ze sposobu, w jaki człowiek unosi zadek podczas skoków na koniu przez rów. Nie będzie koni w przyszłej wojnie. Z początku może tak, gdyż pierwsze ofensywy odbędą się pod

dowództwem zgrzybiałych starców, którzy nadal żyją w dziewiętnastym wieku. Niemniej, zły stopień od barona von Campanini sprawia, że się spada z jedenastej na osiemnastą lokatę...

Kunze czekał spokojnie, aż Dorfrichterowi zabraknie oddechu. Cierpliwości nauczył się już za młodu, gdy był synem służącej.

- Sądziłem, że ukończył pan pierwszy rok Akademii jako dwunasty na liście.

- Tak. - Dorfrichter milczał chwilę. - Gdyż ten, co był przede mną na liście, popełnił samobójstwo.

- Z jakiej przyczyny?

- Nie mam pojęcia. Nie on jeden zresztą. Jakiś ułan powiesił się w trakcie pierwszego roku. Dowódca był oburzony, uważał bowiem, że taki rodzaj śmierci nie przystoi oficerowi. Była też próba samobójstwa, jeśli mnie pamięć nie myli. Pewien oficer podciął sobie żyły. Jeszcze jeden przykład *mauvais goût!* Uratowano go, ale musiał potem wystąpić z armii. Był też taki, co zmarł z wysiłku podczas ćwiczeń w terenie. Tak, liczyła się bowiem tylko sprawność fizyczna. Forsowne marsze po czterdzieści kilometrów dziennie. Człowiek mógł być geniuszem taktyki, ale obrywał złą notę, jeśli nie potrafił maszerować w nogę. Ten, kto taki program wymyślił, nie wiedział, że wynaleziono już silnik spalinowy.

Kunze podejrzewał, że to ciepło z dobrze rozpalonego kaflowego pieca i miotające Dorfrichterem oburzenie wywołały tak silny rumieniec na twarzy porucznika. Siedział na krześle, cały podany do przodu i tak napięty, jakby się gotował do skoku przez biurko, żeby

dopaść człowieka, który siedział naprzeciw. Kunze uświadomił sobie nagle, że ich role zamieniły się po raz pierwszy od czasu, gdy spotkali się w Wiedniu: Dorfrichter oskarżał, Kunzemu zaś przypadła rola obrońcy. Było to jedynie przelotne doznanie, lecz Kunze zdał sobie sprawę, że musi przełamać czar, jaki na niego rzucał Dorfrichter, bo inaczej przegra walkę. Ale zaraz spytał siebie: „Jaką walkę? O co tu właściwie chodzi? O awans na majora, o życie tego człowieka czy o coś znacznie ważniejszego? Nagrodę tak szczytną, że nawet nie ma ona nazwy”.

- Czy wie pan, że prawie wszyscy adresaci Charlesa Francisa mieli świetne stopnie z jazdy u Campaniniego? - powiedział Kunze.

Dorfrichter najwyraźniej odprężył się wewnątrz.

- Nie. Skąd mam to wiedzieć? Szczerze mówiąc, nie rozumiem, o co panu chodzi. Domyślam się, że chciał mnie pan spieszyć tym pytaniem, żebym się zaplątał w zeznaniach. Rad bym jednak wiedzieć, do czego pan zmierza. Przypuszcza pan, że chciałem zabić dziesięciu ludzi, ponieważ trzymali się, do cholery, w siodle dłużej, niż ja bym potrafił?

- Moll też nie potrafił.

- Znowu ten Moll. Zdaje się, że ma pan fioła na punkcie tego sukinsyna.

- Dlaczego nazywa go pan sukinsynem? Dzisiaj rano jeszcze twierdził pan, że ledwie go sobie przypomina.

- Zapomniałem o tym cholernym skurczybyku, ale pan mi o nim przypomniał! Dużo nad tym myślałem. Wiele spraw, które wypadły mi



z pamięci, wraca teraz do mnie na nowo. Owszem, istniały między nami drobne tarcia. Był to największy głupek w klasie.

- Ale na liście lokat miał dwunaste miejsce.

- Możliwe. Takich jak on było paru. Fotograficzna pamięć i ni krzty rozumu. Bez podręcznika musztry nie umiałby wyprowadzić szwadronu nawet z koszarowej latryny.

- A kapitan Dugonicz?

- Jego też pan ma na liście?

- Mniejsza z tym. Czy o nim pan też zapomniał?

- Tam, do licha! Oczywiście, że nie! - wyjaśnił Dorfrichter z uśmiechem. - Któż by zapomniał Tytusa Dugonicza! To był dopiero jeździec! Istny Atylla, wódz Hunów, chociaż to tylko przeklęty Serb. Potrafił okiełznać nawet najbardziej narowistego konia i babę.

- W jakich byliście stosunkach?

- W żadnych. Nie należeliśmy do tej samej koterii. To tylko teoria, że w Korpusie Oficerskim panuje równość, w rzeczywistości jest inaczej. Jak kto lubił się płaszczyć, bywał zapraszany przez Dugonicza na różne eskapady, które kończyły się pijackimi burdami i tłuczeniem luster, po czym co najmniej dwóch policjantów zabierano do szpitala ku zazdrości całej wiedeńskiej policji, bo w rezultacie czekała ich hojna nagroda za milczenie a na dodatek jeszcze dłuższy odpoczynek. Dugonicz wyraźnie stronił od kolegów z Akademii, przyjaźnił się natomiast z huzarami i dragonami, którzy stacjonowali w Wiedniu. Z takimi, którzy mieli tyle samo pieniędzy co on, pili tego jak on i lubili

się łajdaczyć. Tacy tylko mieli wstęp do jego mieszkania przy Herrengasse. Jestem pewien, że te zasady obowiązują tam do tej pory.

- Czy pan czasem nie przesadza? - spytał Kunze. - Skoro był człowiekiem wyzutym z moralności, po co w takim razie tak się starał dostać do Akademii Wojennej i do Sztabu Generalnego?

- Stać go było na to. Nie w sensie finansowym. Miał po prostu tęgi umysł, ale używał go tyle, ile należało, żeby przebrnąć przez życie. Mówił mi, że go znudziła służba liniowa, dlatego postarał się o przyjęcie do Akademii. Ale kiedy się tam dostał, to już osiadł na laurach.

- Czy pan go lubił?

- Właściwie nie. Chociaż trudno powiedzieć, żebym go nie cierpiał.

- Czy porucznik Hoffer był jego bliskim kolegą? Dorfrichter zmarszczył czoło.

- Hoffer? Czy to ten, co się zastrzelił w Innsbrucku? Możliwe, że się kolegowali. Naprawdę nie wiem. Jak już panu mówiłem, nie miałem wiele do czynienia z Dugoniczem.

Kunze postanowił teraz zastawić na Dorfrichtera pułapkę.

- Czy miał pan jakąś styczność z kapitanem Ahrensem?

Tak się bowiem złożyło, że Ahrens nie był adresatem Charlesa Francisa.

Tym razem widać było, że Dorfrichter jest zaskoczony pytaniem. Wyraźnie nie wiedział, jak ma się ustosunkować do tego nazwiska. Kunzemu wydało się, że niemal słyszy, jak pracuje mózg Dorfrichtera. Był zapewne przygotowany tylko na nazwiska adresatów

Charlesa Francisa, przemyślał, jak na nie zareaguje, być może nawet wykuł na pamięć odpowiedzi, gdy stał przed oknem swej celi mrużąc coś pod nosem. Widać ułożył sobie logicznie i jasno, że jego strategią obrony będzie dążenie, by przechrzyć pytającego, i nie dać się zaskoczyć. Jednak zagadnięty o Ahrensa zawahał się, w każdym razie tylko na ułamek sekundy. Tak przynajmniej Kunze zinterpretował reakcję Dorfrichtera.

- Ahrens był prymusem - stwierdził po chwili Dorfrichter. - To niesłychanie inteligentny i bardzo bezwzględny człowiek. Pewnego dnia z pewnością zostanie szefem sztabu albo zginie z ręki podwładnego. O ile wiem, już go wcielono do Departamentu Kolei, chociaż powinien pracować w wywiadzie. - Dorfrichter rozgadał się i mówił z coraz większą ochotą. - Był bardzo nie lubiany, zwłaszcza przez wykładowców. Utrudniali mu życie na wszystkie sposoby, ale nie potrafili go złamać.

- Jak mu szła konna jazda?

- Dobrze. Niech pan nie sądzi, że stary Campanini przeoczyłby najmniejszy błąd.

- Pan chyba lubił tego Ahrensa, co?

Dopiero w tym momencie Dorfrichter jakby się całkowicie rozluźnił.

- Niech pan sobie myśli, co chce - rzekł wzruszając ramionami. - Ale mówiąc szczerze, nienawidziłem jego brawury.

- Czemu nie posłał mu pan tych kapsulek? Dorfrichter obrzucił Kunzego szybkim i badawczym spojrzeniem.

- Co pan powiedział?

- Dlaczego nie umieścił go pan na swej liście. Skoro był na niej Mader, Gersten, księżę Hohenstein i siedmiu innych kolegów, dlaczego miałyby zabraknąć Ahrensa?

- Więc było ich naprawdę dziesięciu. Dziękuję za informację.

- Tak jest, dziesięciu. Ciekawe, dlaczego nie jedenastu.

Dorfrichter rozparł się w krześle, najwyraźniej rozbawiony.

- Jak panu wiadomo, byłem osiemnasty na liście lokat. Wystarczyło wyeliminować tylko trzech przede mną, żeby być piętnastym i znaleźć się wśród promowanych. Po co aż dziesięciu, kiedy wystarczyło skromnie poprzestać na tej trójce. Po co miałbym się porywać aż na tak masową zbrodnię?

- Przyznaje się pan zatem do wysłania tych prospektów! - wtrącił zniechęca Kunze.

Dorfrichter poderwał się gwałtownie z krzesła.

- Skądże znowu! Do licha! - powiedział ze złością. - Chciałem tylko zobaczyć, co pan powie, i usłyszałem dokładnie to, czego się spodziewałem. - Odetchnął głęboko i usiadł ponownie na krześle. - Czy mógłbym z kolei pana o coś zapytać? - W głosie Dorfrichtera czuło się znużenie. - Dlaczego pan tak się wziął na mnie? Czemu nie dręczy pan tych, co mieli szesnaste, siedemnaste, dziewiętnaste, dwudzieste do dwudziestego piątego włącznie miejsca. To właśnie oni skorzystaliby na wyeliminowaniu dziesięciu tych, co byli przed nimi.

- Rozważaliśmy tę możliwość i doszliśmy do wniosku, że są poza wszelkim podejrzeniem.

- Naprawdę rozważaliście? Skoro mylicie się co do mnie, równie dobrze możecie się mylić wobec tamtych osób. Zechciejcie, proszę, tylko dobrze się nad tym zastanowić, a na pewno dostrzeżecie motywy, których panu brakuje.

- Twardy z pana orzech do zgryzienia, poruczniku - powiedział Kunze znużony sporem. - Może byśmy więc skończyli na dzisiaj, dobrze?

Było jeszcze dość widno, kiedy Kunze wyszedł z budynku sądu, ale dopiero kiedy znalazł się na ulicy, dostrzegł śnieg, pierwszy tej zimy. Widać padało dłużyj czas, bo chodniki skryły się całkiem pod białym dywanem. Jakiś malec, ubrany w paltko o wiele na niego za duże, wybiegł z domu ciągnąc za sobą sanki, chociaż na saneczkowanie było tego śniegu stanowczo za mało. Emil Kunze próbował przypomnieć sobie, jak to było, gdy sam miał lat pięć lub sześć. Nosił zawsze ubrania szyte na miarę, nigdy nie przebywał sam na ulicy, ani też nigdy nie miał sanek. Wspomnienie domu, gdzie matka służyła jako gospodyni, przemknęło mu przed oczyma mgliście i fragmentarycznie: jakieś wysokie pokoje, zawsze spuszczone portiery, niesamowity, bo spotęgowany echem brzęk ostróg dochodzący z długiego wąskiego korytarza, pokój, który dzielił z matką, tak mały, że kiedy się przechodziło od stołu do toaletki, trzeba było przelaźić przez łóżko, olbrzymia kuchnia z lśniącą czarną płytą, ktoś blady i obojętny leżący pod pierzyną wśród sterty puchowych poduszek; ciągłe pouczenia: „bądź cicho, Emilu” lub „nie podnoś głosu”, albo „stąpaj na palcach, bo

panią strasznie boli głowa”. Była do zabawy wycięta laubzegą łąmigłówka, klocki, książki z obrazkami, kalejdoskop i magiczna latarnia, ale nie miał sanek. „Jaki cichutki chłopczyk! Czy to krewny? Skądże znowu! To Emil, syn gospodyni”.

Na tym właśnie polega życie! Każdy wiek ma swoje pragnienia, ale nie da się owych niespełnionych pragnień zgromadzić i dać im przetrwać do pomyślniejszych czasów. Blakną i umierają niczym ścięte kwiaty. „Ach te sanki!” - pomyślał z rozrzewnieniem Kunze.

Powietrze było rześkie, a kiedy znalazł się na Ringu, napadało już śniegu tak grubo, że nie słychać było stukotu kopyt końskich o bruk. Mógł skrócić sobie drogę do domu idąc krętymi uliczkami między Gürtel a Ringiem, ale raptem zapragnął oddalić się od skupiska szarych kamienic, gdzie mu brakło powietrza i otwartego nieba.

Próbował wyrugować z pamięci osobę Dorfrichtera, ale porucznik ciągle powracał do niego w myślach i złościł go swym rozbrajającym uśmiechem. Kunze uznał już dawno, że Dorfrichter jest winny, ale minęło dwa tygodnie od aresztowania go, a Kunze nadal nie dysponował żadnym dowodem przeciw niemu. Zaczynał podejrzewać, że jakiś błąd musi tkwić w jego metodzie śledztwa. W poprzednich procesach, kiedy nie dysponował żadnym bezpośrednim dowodem, kierował się w czasie śledztwa metodą dyssekcji: rozpracowywał szczegółowo podejrzanego, wydobywał na wierzch każdy szczegół, po czym koncentrował się na ustaleniu motywów i zbadaniu, czy podejrzany był istotnie zdolny do popełnienia przestępstwa. W połączonej roli sędziego śledczego, oskarżyciela oraz obrońcy pierwszą

rzeczą było przekonać się, czy dany osobnik jest winny, a następnie przekonać o tym zespół sędziowski. W sprawie Dorfrichtera pierwszy etap miał już poza sobą i teraz powinien był przystąpić do drugiego. Jednakże pozostało wiele nie rozstrzygniętych do tej pory kwestii, nie wyłonił się też ani jeden świadek, który by stwierdził, że widział Dorfrichtera z psem w pobliżu skrzynki na listy przy Mariahilferstrasse. Nikt z pasażerów jadących z Dorfrichterem z Linzu do Wiednia w załoczonem przedziale nie poczuł zapachu cyjanku, który mimo, że był zamknięty w kapsułkach, powinien był wydzielać mocny zapach gorzkich migdałów. Nie znaleziono też ani u porucznika, ani w mieszkaniu jego teściowej najdrobniejszego przedmiotu używanego do pisania czy też powielania ulotek.

Kiedy Kunze był już niedaleko Hofburgu, dzwony kościoła Wotywnego wybiły właśnie trzecią. Wiedziony nagłym impulsem Kunze ruszył ku bramie. Jeśli mu szczęście dopisze, złapie jeszcze Gerstena w biurze i od razu go o wszystko wypyta. Byli starymi znajomymi, toteż Kunze mógł poniechać wszystkich urzędowych formalności, żeby się osobiście z nim widzieć. Hans von Gersten był siostrzeńcem generała Hartmanna. W dzieciństwie spędzał więcej czasu w domu wuja niż własnym. Pochodził z rodziny wojskowych, a ojciec jego, pułkownik von Gersten, nadal pozostawał w czynnej służbie. Kunze nie mógł się nigdy nadziwić, że z takiego krnąbrnego i trudnego chłopca wyrósł idealny oficer: zawsze na miejscu, pilny, obowiązkowy, inteligentny. Był też najlepszym strzelcem w armii i podczas Olimpiady w 1908 roku zdobył dla Austrii srebrny medal.

Pracował obecnie w wydziale depesz. Kiedy mu zaanonsowano przybycie Kunzego, pospieszył na jego spotkanie i powitał go serdecznie, choć isticie niedźwiedzim uściskiem. Był o głowę wyższy od Kunzego. Tusza i duży brzuch przy jego długiej szyi i wąskich ramionach czyniły go podobnym do kangurzycy.

- Co za miła niespodzianka! - powiedział do kapitana prowadzącego do swej kancelarii, - Słyszałem, że ci przydzielono sprawę Dorfrichtera. Próbowałem porozumieć się z tobą telefonicznie, ale w centrali tak długo łączyli, że zrezygnowałem.

- Właśnie przychodzę do ciebie w sprawie Dorfrichtera - rzekł Kunze.

- Czyś ją już rozwikłał do końca? Niewiele piszą o tym w gazetach.

- Mam jedynie dość mocne dowody poszlakowe i nic więcej. Zastanawia mnie, dlaczego ów Charles

Francis wybrał dziesięciu spośród piętnastu, a właściwie szesnastu oficerów, bo dołączył też von Hedry'ego, którego nie było na liście promowanych, oraz dlaczego oszczędził pozostałych sześciu?

- Postaram się zgadnąć, jeśli mi podasz ich nazwiska.

- Ahrens, Schönhals, Widder, Trautmannsdorf, Messemer i Einthofen.

- Stronnictwo wojny! - wykrzyknął Gersten. - Działają w porozumieniu z nim lub on z nimi, wychodząc z założenia, że im wcześniej uderzymy na Bałkany, tym lepiej. - Zastanowił się marszcząc czoło. - Z drugiej znów strony nie tylko oni podzielają ten pogląd. Moll,



na przykład, oraz von Hedry też. Musiał mieć widocznie jakieś inne jeszcze powody.

- Według ciebie, jakie? - spytał Kunze.

- Żona - rzucił Gersten bez wahania. - Nic innego nie przychodzi mi do głowy. Ale pamiętaj, Emilu, że są to tylko domysły. Sam mówiłeś, że nie masz absolutnej pewności, że Dorfrichter jest winny.

- Daję ci słowo, Hans, że cokolwiek powiesz, zostanie między nami.

- Mariannę Gruber poznałem przez jej szwagra, przedsiębiorcę budowlanego, który wykonywał jakieś prace dla mego ojca - wyznał Gersten. - Zrobiła na mnie dość duże wrażenie i próbowałem ją uwieść, ale niestety bez powodzenia. Działo się to w Wiedniu, kiedy byłem na drugim roku Akademii Wojennej. Jakieś stowarzyszenie kupieckie urządzało właśnie bal. Chociaż nie przepadam za tańcami, z własnej woli zaproponowałem Mariannie, że się z nią tam wybiorę, oczywiście z jej matką w roli przyzwoitki. Z jakiejś przyczyny nie mogłem pójść, więc poprosiłem Dorfrichtera, aby mnie zastąpił, a ten przekłety dureń zakochał się w Mariannie bez pamięci jeszcze tego samego wieczora. Zupełnie stracił głowę, choć był to niezwykle opanowany i zimny typ. Emablował w tym czasie bratanicę Moltkego. Była wprawdzie znacznie starsza od niego i wyglądała niczym Walkiria, ale koneksje z szefem sztabu armii niemieckiej bardzo by mu pomogły w karierze. Pozwolił jednak, by mu taka sposobność przeszła mimo nosa i to z powodu Marianny Gruber. Nie wiedziałem, że jest aż tak zadurzony, i dalej ugaśniałem się za nią, dopóki sama mi nie powiedziała, że się z nim

zaręczyła. Próbowałem wtedy przemówić mu do rozumu, dla jego własnego dobra, bo mnie przecież wcale na tej dziewczynie nie zależało. Powiedział, bym się nie wtrącał w jego sprawy, i zaczął mnie unikać. - Gersten zamilkł na chwilę, jakby chciał zebrać myśli. - Kiedy Dorfrichter został odkomenderowany do Kecskemét, znów się natknąłem na Mariannę Gruber. Z tego, co mi powiedziała, wywnioskowałem, że Dorfrichter ją zwodzi. Widocznie uświadomił sobie, że małżeństwo z Marianną zniweczy jego szansę, i starał się z tego wyplątać. Słyszałem, że miał dziewczynę w każdym garnizonie. Widać było, że Marianna mocno to wszystko przeżywa, ja zaś pragnąłem ją trochę pocieszyć. Oczywiście nigdy nie traktowałem tej sprawy poważnie. Nie wyobrażałem sobie, bym mógł oświadczyć memu ojcu, że chcę poślubić Mariannę Gruber, córkę właścicielki sklepu z naczyniami kuchennymi na Hahngasse. Niebawem Marianna zaczęła mnie traktować znacznie łaskawiej. Pozwalała odprowadzać się z kościoła do domu, a nawet zbaczać do parku po drodze. Widać Dorfrichter jakoś się o tym dowiedział, gdyż niespodziewanie znów zjawił się w Wiedniu. W dwa tygodnie później byli już po ślubie. Obie rodziny jakoś zdołały wspólnie uciąć trzydzieści tysięcy koron na kaucję małżeńską. Wkrótce przeniesiono go do Bośni, ale nie mógł jej zabrać ze sobą, dopóki nie znalazł odpowiedniego mieszkania. Zeszłego roku, o tej mniej więcej porze, kupowałem coś u Sirka, kiedy do sklepu weszła Marianna. Zaraz się wycofała na mój widok. Pewnie sądziła, że Peterowi będzie przykro, jeśli nas ktoś zobaczy razem. Nadal była bardzo piękna.

- I dalej jest. Chociaż teraz spodziewa się dziecka. - Wiem o tym z gazet. Biedaczka. Napisałem do niej, kiedy aresztowano Petera, ale nie odpowiedziała na mój list.

- Jak ci się wydaje, dlaczego wyszła za niego? Z miłości czy dla towarzyskiej pozycji.

- Jestem pewny, że była w nim zakochana do szaleństwa i równie zazdrosna. Kiedy przez jakiś czas nie widywali się ze sobą, najmniejsza plotka o jego miłostkach doprowadzała ją do wściekłości. Nigdy mi się do tego nie przyznała, była na to zbyt dumna, ale mówiła o tym jej siostra, Tilda, żona owego przedsiębiorcy budowlanego. Niegdyś dość często się z nią widywałem. Nie jest tak ładna jak Marianna, ale...

- Znacznie przystępniejsza?

- Nie powiedziałbym tego. Poślubiła człowieka, który dość tego popija i jest dwa razy od niej starszy, ale w oczach mamy Gruber był dobrą partią. Przynajmniej biedna Marianna wyszła za mąż z miłości, chociaż teraz z pewnością tego żałuje.

- Nie sądzę. Jest bardzo lojalna. Trwa przy nim, ale jak długo, to czas pokaże.

- Pewnie do smutnego końca. Gdyby strażnikami w więzieniu były kobiety, to co innego. Jednak w tym wypadku może być pewna jego wierności, co ma, o ile znam Mariannę, zasadnicze znaczenie.

Kunze rozmawiał jeszcze chwilę z Gerstenem wspominając przyjaciół i zdarzenia z dawnych czasów. Spośród wszystkich dzieci z kręgu rodziny Hartmannów pani Kunze najbardziej lubiła Hansa von

Gerstena, podobnie jak Emil, mimo że był od Hansa starszy o osiem lat. Mały Hans zawsze zwracał się do Emila po radę, obronę lub pomoc w lekcjach. Dzieci Hartmannów były zbyt rozhukane i zajęte wyłącznie zabawą. Spokojny Emil stanowił więc dla Hansa mocną i pewną ostoję. Teraz, kiedy tak stali naprzeciw siebie, Gersten czuł wobec Emila Kunze to samo pełne szacunku przywiązanie, zupełnie jak w dzieciństwie. Kunze wcale się nie zmienił. Minione lata nie odcisnęły piętna na jego twarzy ani na charakterze. „Urodzony sędzia” - pomyślał o nim Hans Gersten, gdyż nie znał człowieka, który byłby równie odporny na nastroje i przesady społeczności, w której żył.

Śnieg sypał grubymi płatkami, kiedy Kunze wyszedł z bramy na Michaelerplatz. Ilekroć był w tych stronach, zawsze zbaczał i szedł przez Josefsplatz. Zanim wstąpił do armii, zwiedził Rzym, Wenecję, Florencję, był w Paryżu, a nawet w Londynie, ale żaden cud architektury nie mógł się w jego oczach równać z doskonałością tego placu. Dlatego darzył to miejsce szczególnie ciepłym uczuciem. Staął pod arkadami i przyglądał się pomnikowi. Zarysy posągu złagodniały w gęsto padającym śniegu i Józef II wydawał się kimś ponadczasowym i bardzo samotnym na swym piedestale.

Kunze pomyślał chwilę o głupcach, którzy tak gorąco pragną wybuchu wojny. Pamiętał jeszcze z dawnych lat opowieści prababki Hartmannów o grozie wojen napoleońskich, zniszczeniach, tułaczce i straszliwych niebezpieczeństwach, które niósł ze sobą najazd wroga. Jaką można mieć pewność, że nowa wojna nie skończy się tym, iż Kozacy splądrują Hofburg, konie Serbów będą się pały w miejskim

parku, a czarnogórcy *komitajis* będą strzelać z za węgła wzdłuż Ringu. Czy ludzie będą mogli dalej myśleć o przyszłości swych dzieci i wnuków z ufnością zrodzoną w czasie nudnych lat pokoju?

Ledwie zdążył wrócić do domu, zadzwonił do niego doktor Goldschmiedt. Od dwóch miesięcy kapitan miał zainstalowany w gabinecie telefon i ciągle nie był pewny, czy to dobrze, że może być osiągalny dla każdego, kto zapłaci parę halerzy za rozmowę. Uważał to za idealne urządzenie dla biura, bo życie w nowym stuleciu stawało się coraz bardziej złożone, ale czy telefon nadawał się do prywatnego mieszkania - to całkiem inna sprawa.

- Przepraszam pana, że niepokoję pana w domowym zaciszu - odezwał się doktor Goldschmiedt - sądziłem jednak, że zaciekawi pana wiadomość, że pani Dorfrichter urodziła dziecko. Chłopca. Waży cztery kilo.

„Jak na starego, zblazowanego rozpuśnika ma w głosie za dużo emocji” - pomyślał Kunze.

- Kiedy nastąpił poród?

- Dziś o szóstej po południu. Biedaczka wiele się nacierpiła. Bóle zaczęły się już poprzedniego wieczora. Około trzeciej nad ranem wezwałem doktora Haina. Uratował życie jej i dziecku. Akuszerka uśmierciłaby ich oboje.

- Skąd pan wiedział, że zaczął się poród? Przez moment w słuchawce zapanowała cisza.

- Wymusiłem na pani Gruber obietnicę, że mnie zawiadomi, kiedy się to zacznie. Doprawdy chciałem, by pani Dorfrichter odbyła

poród w klinice, ale odmówiła. Zbyttno się lęka obcych ludzi. Więc jak tylko otrzymałem wiadomość, natychmiast pospieszyłem do Gruberów.

- Co za poczucie obowiązku i chęć służenia bliźnim! Ma szczęście pani Dorfrichter, że pan jest jej adwokatem - odparł Kunze nie mogąc powstrzymać się od sarkazmu.

Opowiedział Róży przy obiedzie o narodzinach dziecka Dorfrichterów. Popatrzyła na Kunzega i oczy jej napełniły się łzami.

- Proszę cię, tylko się nie rozplącz - rzekł do niej rozzłoszczony.  
- Jak to wszyscy ogromnie współczują temu człowiekowi. Ciągłe tylko apele i łzawe artykuły. Jutro będzie tego istny zalew. „Ojciec dziecka więziony przez okrutnego prokuratora”, „Cierpienie osamotnionej żony”. Cały naród będzie nad tym bolał, ale nikt, psiakrew, nie westchnie nad Richardem Maderem, który umarł jak pies, zwinięty w kłębek z bólu, dławiąc się własną krwią.

- Nie płaczę nad Dorfrichterem - odpowiedziała ostrym tonem. - Ani też nad jego żoną.

- Więc nad kim?

Kunze nie pamiętał, by go kiedykolwiek obrzuciła równie zimnym i gniewnym spojrzeniem.

- Nad nami! Bo my nigdy nie będziemy mieli dziecka.

Przez moment nie wiedział, co jej na to odpowiedzieć. Przez myśl mu nawet nie przeszło, że Róża miałaby ochotę założyć rodzinę. Uważał, że to stanowczo za późno dla kobiety rodzić dziecko w wieku trzydziestu siedmiu lat. Róża była jednak wyraźnie innego zdania, co

zaniepokoiło Kunzego. Miał niepełną nadzieję, że jest to u niej tylko jakiś przelotny i niemądry kaprys.

- Nie jesteśmy małżeństwem. Naprawdę miałabyś ochotę urodzić małego bękarta? - spytał.

- Nie wahałabym się, gdybyś ty chciał być przy mnie.

- No już dobrze. Zapamiętam to sobie. Ale nim przystąpimy do tego aktu, mam jedną ważną misję do spełnienia.

- Dokąd idziesz?

- Zanieść radosną wieść szczęśliwemu ojcu.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Wisząca u sufitu lampa z białym emaliowanym kloszem i dwudziestopięciowatową żarówką oświetlała celę Dorfrichtera mdłym i ponurym światłem. Więzień leżał wyciągnięty na wąskim łóżku pod ciężkim kocem, w odpiętej przy szyi nocnej koszuli, z głową ułożoną na mizernej poduszce obleczonej w szorstką lnianą poszewkę. Nie spał jeszcze. Usiadł, kiedy postyszał zgrzyt klucza w zamku. Strażnik otworzył drzwi i wpuścił do celi Kunzego.

- Za pozwoleniem, panie kapitanie, czy nie lepiej, gdybym tu został z panem? - spytał strażnik.

- To zbyteczne - odparł Kunze.

- Mam stać przy wizjerze, panie kapitanie?

- Wracajcie do dyżurki. Zadzwoń, jeśli będziecie mi potrzebni.

W celi Dorfrichtera, prócz pewnych udogodnień, był także zainstalowany dzwonek, toteż można było w razie potrzeby wezwać strażnika. Takich cel, zarezerwowanych dla oficerów, istniało osiem. Jedną zajmował Dorfrichter, w drugiej przebywał jakiś porucznik oskarżony o sprzeniewierzenie kasy pułkowej, reszta zaś stała pusta.

Kunze dostrzegł, jak Dorfrichterowi poszarzała twarz.

- Nie żyje! - powiedział głucho.

- Gratuluję! Ma pan syna - obwieścił Kunze. Nowina jakoś nie zrobiła wrażenia na poruczniku.

Nawet się nie poruszył. Wodził tylko wzrokiem za kapitanem Kunze.



- Ale ona nie żyje, prawda?

- Skądże znowu! Czuje się doskonale. Poród był ciężki, ale matka i syn mają się znakomicie.

Dorfrichter westchnął głęboko.

- Dziękuję panu za wiadomość - wymamrotał po chwili i chciał wstać z łóżka.

- Niech pan leży - powstrzymał go Kunze. - Nigdy bym tu się nie zjawił o tak późnej porze, ale pomyślałem, że ma pan prawo wiedzieć, że został ojcem.

- To bardzo uprzejmie z pana strony. Proszę usiąść. Kunze usiadł na krześle po drugiej stronie stołu.

Porucznik siedział oparty o wezłowie łóżka. Z potarganymi włosami wyglądał o dziesięć lat młodziej i po raz pierwszy, odkąd zaczęło się śledztwo, zadowolenie z siebie i buta zniknęły z jego twarzy.

- Musiała się bardzo nacierpieć. Kunze potaknął głową.

- Dziecko waży cztery kilogramy.

- Dosyć dużo jak na noworodka, prawda? „Ciągle jeszcze bardziej troszczy się o matkę niż o dziecko” - pomyślał Kunze wzruszając ramionami i odpowiedział: - Niestety, nie znam się na tym. Jestem przecież kawalerem.

Dorfrichter jakby nie zwrócił uwagi na odpowiedź Kunzego.

- Jest taka wątpliwość. Powinniśmy byli poczekać z założeniem rodziny. - Tragizm sytuacji przygnębiał go. - Jaka przyszłość czeka mego syna? W szkole powszechnej miałem kolegę, którego ojciec

siedział w więzieniu, zdaje się, że za kradzież. Nikt się do tego chłopca nie odzywał, obrzucano go tylko najgorszymi wyzwiskami. Dzieci potrafią być okrutne. Czy taki sam los czeka mego syna? Szkoda, że nie umarł. Byłoby dla niego znacznie lepiej. Dla matki też - zamilkł i popatrzył na Kunzega z zakłopotanym uśmiechem. - Przepraszam. To przekłete więzienie zrobiło ze mnie płacziwą babę. - Przez chwilę skrzywił jak dawniej ironicznie wargi - Nie wiem, czy wolno mi, świeżo upieczonemu ojcu, prosić o pozwolenie dla żony na odwiedzenie mnie z dzieckiem.

- Wie pan nadto dobrze, iż nie mogę zmienić zasad regulaminu.

- A czy regulamin nie zabrania prokuratorowi odwiedzać podejrzanego w jego celi o nocnej porze i to samemu? - spytał rozżłoszczony Dorfrichter.

Spodziewał się, że wystraszy tym Kunzega tak, że ten spieszenie opuści celę, ale się zawiódł. Kunze nie ruszył się z miejsca i spokojnie przyglądał się Dorfrichterowi.

- Ale z pana drań, Dorfrichter! W głębi ducha jestem przekonany, że jest pan w gniewie zdolny do najgorszego. Gdyby to było możliwe, nakarmiłby mnie pan teraz porcją cyjanku i patrzył, jak umieram. Mimo to, nadal staram się, jak mogę, uczynić pana pobyt w więzieniu znośnym. Nie udzielię jednak pozwolenia żonie na odwiedzenie, dopóki nie przyzna się pan do winy. To moje ostatnie słowo. - Podniósł się z krzesła, gotowy do wyjścia. - Nawiasem mówiąc, wiadomość o dziecku przekazał mi doktor Goldschmiedt.

Przebywał w mieszkaniu pana teściowej podczas porodu. Kiedy nastąpiły komplikacje, wezwał profesora Haina.

Dorfrichter otworzył szeroko oczy.

- Jakiego profesora?

- Haina, położnika. Jest znakomity i bardzo kosztowny. Ale nie potrzebuje się pan martwić, skoro taki człowiek jak doktor Goldschmiedt opiekuje się pana żoną.

- Co to za jeden? - spytał Dorfrichter. - Nie znam go i nic o nim nie wiem.

Kunze ruszył ku drzwiom.

- Starszawy jegomość i bardzo bogaty. Niektórzy mówią, że lowelas. Ale przy tym znakomity prawnik.

- Przepraszam pana za wszystko - odezwał się Dorfrichter. - Straciłem głowę. Jestem panu bardzo wdzięczny za przyście. Naprawdę!

Kunze nacisnął dzwonek wzywając strażnika. Kiedy otworzyły się drzwi, wyszedł z celi nie powiedziawszy nawet „dobranoc” więźniowi

Emil Kunze rzadko miewał sny.

Ten, który mu się przyśnił w nocy, po wizycie w celi u Dorfrichtera, był niezmiernie wyrazisty, podobnie jak postaci w nim występujące. Śniło się Kunzemu, że jest w ogrodzie, pośród tłumu mężczyzn w mundurach i nagle jakiś szkolny jeszcze kolega, może sam Rudolf Hartmann, przemienia się w Dorfrichtera. Raptem znajduje się

w jakimś pokoju. Dorfrichter leży na łóżku, tak jak podczas ostatniej ich rozmowy, w rozpiętej u szyi koszuli i naraz pokój zamienia się w sypialnię Richarda Madera. Mówią ze sobą po rosyjsku, co cieszy Kunzega, bo nie spodziewał się, że potrafi mówić w tym języku. Wtem Dorfrichter wyciąga do niego rękę w cudownie prostym geście przyjaźni i przygarnia Kunzega do siebie tak, że głowy ich spoczywają na jednej poduszce. Kunze obejmuje ramionami Dorfrichtera i czuje, jak mu mrowie przechodzi po ciele i nagle robi mu się tak gorąco, jakby leżał w upalnym letnim słońcu, po czym obezwładniająca rozkosz przenika jego łądzwie i zmusza go do krzyku. Zbudził się od własnego głosu. Usiadł na łóżku rozdygotany i wyczerpany.

Zapalił światło na nocnym stoliku. Powoli, falami bólu, niepokój opuścił jego ciało. Wkrótce nic już nie pozostało prócz wspomnienia doznanej rozkoszy, a potem lodowatego skurczu przerażenia.

- Bądź przeklęty, Dorfrichter! - krzyknął w pustkę próbując bez skutku przegnać zjawę precz z pokoju, ale twarz młodzieńca o lekko uśmiechniętych ustach, okolona jedwabistymi, ciemnobrązowymi włosami, tkwiła mu uparcie przed oczyma.

Kunze uczył, jak nowa fala podniecenia wzbiera w jego ciele.

- Niech cię piekło pochłonie! - zaklął ponownie nie wiedząc właściwie, czy to się odnosi do niego samego, czy do Dorfrichtera.

Ostro i wyraźnie stanęły mu w pamięci obrazy z dalekiej przeszłości; jakby rzucone z magicznej latarni na ekran pamięci: szopa w ogrodzie Hartmannów, blada ręka Rudolfa ryglująca drzwi, jego

smukła, naga sylwetka rysująca się na tle przymkniętego okienka, nocne zabawy w szkolnym internacie i pierwszy stosunek z kobietą, gdy miał lat osiemnaście. Do tej pory odczuwał niesmak i wstręt na wspomnienie upstrzonego zapewne przez pluskwy prześcieradła, na którym leżeli. Twarz tej dziewczyny, prostytutki, zatarł czas, ale czarne kropki na prześcieradle widział teraz równie wyraźnie, jak podczas tamtej pamiętnej nocy.

Nigdy więcej nie zobaczy się już z Dorfrichterem, przysiągł sobie, i poprosi, by go uwolniono od tej sprawy, której prowadzenia nie powinien był się w ogóle podejmować. Niech ktoś inny zмага się dalej z tym łotrem i zetrze ów triumfujący i pewien siebie uśmiezek z jego twarzy. Nie ma wątpliwości, że Dorfrichter jest winny. Pewnego dnia i tak prawda wyjdzie na jaw: pojawi się nagle jakiś świadek, który sprzedał Dorfrichterowi cyjanek lub widział, jak wrzucał koperty do skrzynki. Powieszą go w końcu lub, jeśli mu szczęście dopisze, stanie pod szarym murem z zawiązanymi oczyma przerażony i tragiczny.

Nagle Kunzemu zrobiło się wstyd. Zdał sobie sprawę, że pierwszy raz od czasów szkolnych pławi się w marzeniach o dowiedzeniu komuś winy i o zemście. Wtedy też się tego wstydził, ale wówczas był młody i uczył się dopiero trzymać na wodzy uczucia i panować nad odruchami. I oto nagle, w pełni dojrzałości, mając lat trzydzieści osiem, zbudziwszy się z dręczącego snu, uprzytomnił sobie fakt, że pewne, nie dające się okiełznać pragnienia zaczynają dominować w jego duszy.

Było już prawie widno, kiedy zasnął. O siódmej zbudził go dzwonek budzika, co się prawie nie zdarzało. Przeważnie budził się na długo przed czasem.

Tego samego ranka znalazł na swoim biurku list od kapitana Molla z propozycją zjedzenia wspólnie obiadu w jadalni hotelu Bristol.

Dawna węgierska gospodyni kapitana Molla doskonale spisała się jako detektyw. Aktorka, o którą chodziło, nazywała się Klara Brassay i występowała w Kecskemét od stycznia do końca września 1907 roku. Krytycy nie odmawiali jej talentu, a publiczność tłumnie zjawiała się na każdym jej występie. Położone w samym sercu węgierskiej puszczy Kecskemét było garnizonowym miastem, toteż każda młoda gwiazda wywoływała gorące podniecenie wśród młodych oficerów i zaciętą rywalizację o jej względy. Klara Brassay z kolei darzyła swymi względami nie oficerów, lecz pewnego starszawego budapeszteńskiego bankiera nazwiskiem Sandor Hodossy.

- Sandor Hodossy? - wtrącił Kunze. - Nie jest on czasem spokrewniony z kapitanem Zoltanem Hodossy?

Moll przerzucił dziesięciostronicowy list od pani Varga.

- Tak jest. - Wskazał na odpowiedni fragment. - Pisze ona tutaj, że syn Hodossy'ego służył także w 13 pułku huzarów stacjonującym w Kecskemét. Dlaczego pan pyta?

- Bo kapitan Zoltan Hodossy też otrzymał przesyłkę od Charlesa Francisa. Był promowany na kapitana i wcielony do Sztabu Generalnego pierwszego listopada, podobnie jak pan.

- Naturalnie! Przypominam go sobie. Zoli! Tak go nazywano zdrobniale w Akademii Wojennej. Był trzynasty na liście. O jedno miejsce za mną. Dosyć sympatyczny chłop. Oczywiście, jak na Węgry.

- O czym jeszcze pisze pana dawna gospodyni?

- Mani tu coś ciekawego dla pana: „...Przez dłuższy czas nikt nie miał dostępu do Klary, z wyjątkiem Hodossy’ego, seniora. Przywożono ją do teatru wielką limuzyną i odwożono po przedstawieniu. Nagle, pod koniec lata, zaczęła jeździć taksówką i pokazywać się wszędzie z porucznikiem Dorfrichterem. Kiedy go przeniesiono do Bośni, Klara znikła. Nawet nie zadała sobie trudu, by złożyć w teatrze wymówienie. Pozostawała w kontakcie tylko z garderobianą, która dostała od niej dwa listy. Jeden pisany na firmowym papierze Grand Hotelu z Wiednia i następny, w którym podała pensjonat pani Kralik jako swój adres. Potem przestała pisać, co garderobiana kładła na karb młodzieńczej niefrasobliwości, dopóki nie otrzymała zwrotu swego listu z dopiskiem: adresatka nie żyje”.

Tu pani Varga dodała parę własnych uwag o przyczynie śmierci Klary, ale Kunze zupełnie je zignorował. Po powrocie do kancelarii wysłał telegram do kapitana Zoltana Hodossy kierującego w dowództwie 61 brygady w Budapeszcie planowaniem manewrów dla pionierów i piechoty. Prosił go o ustalenie terminu spotkania. Następnie wysłał do Grand Hotelu porucznika Stoklasę, który wrócił niebawem z informacją, że Klara Brassay zatrzymała się w ich hotelu we wrześniu 1907 roku, ale niczego szczególnego o niej nie przypominają sobie

prócz tego, że była spokojnym gościem. Podała pensjonat pani Kralik jako swe następne miejsce pobytu.

Kunze i Stoklaska odnaleźli ów pensjonat na jednej z nędznych uliczek Ottakringu, w typowo robotniczej dzielnicy Wiednia.

Drzwi otworzyła im dziewczyna podobna do nieudolnie skleconego stracha na wróble, na którego nawet one nie dałyby się nabrać. Spojrzała na obu oficerów szklanym, bezmyślnym wzrokiem ludzi niedorozwiniętych umysłowo. Wpuściła ich niechętnie do środka i poprosiła, by poczekać w wilgotnym i zagraconym korytarzu, aż przyprowadzi właścicielkę.

Pani Kralik była potężną, tęgą niewiastą, czuć było od niej pot i zapach hiacyntów. Miała na głowie istną strzechę tłustych, kruczoczarnych włosów i Kunze pomyślał, że musiała zużyć na nie całe pudło czernidła. Wprowadziła gości do brudnego salonu, gdzie był dymiący kaflowy piec, nie posłane łóżko i okna popstrzone przez muchy.

- Tak, pamiętam tę dziewczynę - odpowiedziała Kunzemu. Mówiła ostrożnie, ważąc i cedząc każde wypowiedziane słowo. - Wprowadziła się tutaj w środę, a w następny wtorek już nie żyła.

- Chorowała może?

- Nie mam pojęcia - odrzekła, wzruszając ramionami. - Znała zaledwie parę słów po niemiecku.

- Jak się tu znalazła?

- Przez moją znajomą, pokojówkę z Grand Hotelu, gdzie się Klara Brassay na początku zatrzymała. Widocznie zabrakło jej pieniędzy i rozglądała się za tańszym pomieszczeniem. W. chwili



śmierci miała przy sobie w portmonetce pięć koron i parę halerzy. Była mi winna piętnaście koron. Ten młodzian za nią zapłacił.

- Jaki młodzian?

- Taki jeden, który się zajął pogrzebem.

- Jak wyglądał?

- Na eleganckiego pana. Był też bardzo przystojny.

- Oficer?

- Nie, cywil.

- Był jej przyjacielem?

- Nie wiem. Zjawił się tylko dwa razy. Nigdy nie siedział długo.

Za drugim razem widocznie się pokłócili, bo strasznie płakała, kiedy wyszedł i trzasnął drzwiami.

- O co się pokłócili?

- Nie mam pojęcia. Nie podsłuchuję lokatorów. Zresztą kłócili się po węgiersku, więc nie rozumiałam. Mówiłam już panom, że ona nie znała niemieckiego.

- Czy ten młodzian był Węgrem?

- Nie. Wiedeńczykiem. Tak jak ja. Ale umiał po węgiersku.

- Wspomniała pani, że zajął się pogrzebem.

- To było tak. Po kłótni dziewczyna zamknęła się w pokoju. Na drugi dzień zaczęłam się zastanawiać, co ona takiego je, bo nie pozwalałam lokatorom gotować w pokojach. Musi być taki nakaz, bo inaczej pensjonat pójdzie z dymem. Zapukałam do drzwi i spytałam, czy jej czegoś nie trzeba. Milczała, więc pomyślałam, że czuje się źle i nie chce, żeby jej przeszkadzano. Na trzeci dzień też nie było jej

słysząc, więc zapukałam, a kiedy dalej się nie odzywała, zaczęłam się denerwować. Otworzyłam drzwi zapasowym kluczem. Nie podobał mi się jej wygląd, więc wezwałam lekarza. A ten stwierdził, że dziewczyna nie żyje już od dwudziestu czterech godzin.

- Pamięta pani nazwisko lekarza?

- Tak, ale na nic się to zda, bo doktor Schnorr zmarł w zeszłym roku.

- Mimo to zapiszę jego nazwisko. A teraz wracając do tego młodzieńca. Czy wie pani, jak się nazywał?

- Nie. Ale kiedy się wprowadziła, wysyłałam raz dla niej list, który był adresowany na nazwisko Kornblume do odebrania na poste restante w Głównym Urzędzie Pocztowym. Skorzystałam ze sposobności i napisałam na ten sam adres donosząc, że umarła. Znalazłam także w jej rzeczach jakieś dokumenty, z których dowiedziałam się, że jej ojciec jest kalwińskim pastorem w jednym z węgierskich miasteczek. Do niego też napisałam. Nie było odpowiedzi, toteż pomyślałam, że albo nie jest jej ojcem, albo wcale się nie interesuje. Ale w tydzień później ktoś zadzwonił do drzwi i na progu stał właśnie jej ojciec w całej okazałości. Chociaż prawdę mówiąc okazały nie był, a nawet zbyt cherlawy jak na duchownego.

- A co z tym młodzianem?

- Zjawił się po dwóch dniach, jak napisałam pod tamten adres. Domyśliłam się, że był jej przyjacielem. Ale ona leżała już wtedy w kostnicy. Kazał mi spakować jej rzeczy i zwrócić rodzinie; zapłacił, co mi była winna, i poszedł załatwić pogrzeb. Pochował ją i nie

zawiadomił o tym nikogo. Byłam tym urażona, bo chciałam być na pogrzebie. Przecież tak każe chrześcijański obyczaj. Kiedy przyjechał jej ojciec, to nie umiałam powiedzieć, gdzie ma szukać jej grobu. Znalazł go jednak przez Urząd Ewidencji, Biedactwo, spoczywa na Cmentarzu Głównym.

Kunze wyjął fotografię porucznika Dorfrichtera, ubranego w galowy mundur z szablą u boku i w czako.

- Zna pani tego mężczyznę? Spojrzała na fotografię i wykrzyknęła:

- To on!

- Absztyfikant Klary Brassay?

- Nie. Porucznik, który otruł tych oficerów. Nazywa się Dorfrichter. Pisały o nim wszystkie gazety.

Kunze wręczył jej następne zdjęcie. Było to powiększenie rodzinnej fotografii Dorfrichterów, zrobionej przed sześcioma laty, na której byli rodzice, siostra Petera i on sam z odkrytą głową i w ciemnym garniturze.

- A ten? - spytał Kunze panią Kralik. Przyjrzała się dokładnie i zawołała:

- Jezus, Maria! To on!

- Dorfrichter?

- Nie, ten młodzian. - Sięgnęła po zdjęcie porucznika w mundurze i przystawiła je do rodzinnej fotografii. - Boże, to ten sam człowiek! - Obróciła się do kapitana. - Ten mundur i czako tak mnie

zmyliły. - Twarz jej poczerwieniała z emocji. - Więc to był on! Ten morderca! - Zamilkła na chwilę. - Jestem pewna, że ją też zgładził.

- Dlaczego pani tak uważa? - spytał Kunze.

- Bo nikt nie widział dziewczyny żywej po jego wyjściu. - Nagle otworzyła usta, oczy jej znieruchomiały, jakby ją naszła jakaś wizja. - Coś sobie właśnie przypomniałam. - Banieczka śliny pojawiła się w kąciuku jej ust. - Miałam w tym czasie jeszcze jedną lokatorkę, która pracowała w lunaparku na Praterze, gdzie wróżyła z rąk. Klara skarżyła się tej kobiecie, że nie może spać i dowiadywała się, gdzie można kupić proszki nasenne. W parę dni później kobieta zdobyła dla niej adres aptekarza, ale Klara wytłumaczyła, że dostała już pigułki na sen od swego przyjaciela.

- Kto pani o tym powiedział?

- Ta wróżka, kiedy znalazłyśmy Klarę nieżywą. Chciałam donieść o tym policji, ale na świadectwie zgonu było napisane, że to atak serca, więc sądziłam, że nie ma sensu mieszać się w jakąś sprawę o morderstwo. Nie jest dobrze dla pensjonatu nawet, jeśli ktoś w nim umrze.

Kunze skwitował jej słowa milczeniem.

- Kiedy dokładnie zamieszkała tu Klara Brassay?

- W roku 1907, jesienią, nawet wczesną, ponieważ skarżyła się, że jest jej zimno, a my nigdy nie ogrzewamy pokoiów przed piętnastym października, chyba, że lokator za to specjalnie dopłaci. Ale ona nie myślała płacić.

Kunze poprosił panią Kralik, by mu pokazała pokój, gdzie zmarła Klara Brassay. Była to maleńka klitka na samym końcu korytarza z niewielkim okienkiem wychodzącym na przewód wentylacyjny.

- W sam raz miejsce dla artystki na finałowe wyjście - zauważył porucznik Stoklaska.

Tego popołudnia Kunze otrzymał potwierdzenie z Urzędu Ewidencji, że Klara Brassay została istotnie pochowana na Cmentarzu Głównym, w dniu czwartym października 1907 roku.

- W trzy dni później, siódmego października, Dorfrichter wziął ślub z Marianną Gruber - powiedział Stoklaska. - Być może podejrzenia pani Kralik, co do tego, że zgładził jej lokatorkę, nie są wcale takie nie-dorzeczne.

Następnego dnia inspektor Weinberger odszukał ową Węgierkę, chiromantkę, która potwierdziła zeznania pani Kralik, ale wtedy właśnie. Kunze wyjeżdżał do Budapesztu, żeby się spotkać z kapitanem Zoltanem Hodossy.

W jakiś sposób rad był z tego zwrotu wydarzeń, dzięki któremu znalazł się w pociągu zdążającym z Wiednia do Budapesztu. Nie widział się z Dorfrichterem od dnia, gdy mu zaniósł nowinę o narodzinach syna, a potem starał się zgodnie z postanowieniem nie widywać go w ogóle przez jakiś czas. Czuł jednak, że musi wyświetlić nękającą go od chwili owego snu kwestię: czy uczucie do Dorfrichtera było jedynie fascynacją, jaką odczuwa myśliwy do tropionej ofiary, czy też jest to pełna udręki i mało chwalebna słabość.

Kiedy pociąg wtoczył się na stację, na peronie czekał już na Kunzego kapitan Hodossy. Barczysty i krępy, był w każdym calu kawalerzystą, mimo że miał na sobie ciemnozielony mundur sztabowca. Chociaż był uprzejmy i spokojny, poruszał się w tłumie tak, jakby każdy cal ziemi, po której stąpał, był jego własnością.

Zawiózł Kunzego do hotelu Pannonia własnym sportowym Daimlerem, którego wartość Kunze ocenił na co najmniej dwadzieścia tysięcy koron. Chociaż się do tej pory nie znali, to jako członkowie Korpusu Oficerskiego, równi sobie rangą, z miejsca nawiązali swobodny i serdeczny kontakt, jedno z błogosławieństw wojskowego życia.

- Zapewne chcesz mnie wypytać w związku ze sprawę Dorfrichtera - rzekł Hodossy, gdy mu Kunze wyjaśnił powód swego przybycia. - Czytałem w gazetach, że powierzono ci dochodzenie, czego nie zazdroszczę, bo to jakaś diabelnie zawikłana afera.

Jechali bulwarem Vaczi. Jak na grudzień było wyjątkowo słonecznie, choć zimno. Śnieg spadł poprzedniego dnia, chodniki były już uprzątnięte, ale jezdnie nadal pokryte grubą warstwą, gdziegdzie zbrukana śladami kół lub odchodami koni. Było tu więcej sań, a mniej aut niż w Wiedniu. Konie płoszyły się często, gdy mijał je Daimler, a ludzie przechodzący ulicą pierzchali w popłochu, ilekroć Hodossy naciskał klakson.

- Jakie stosunki panowały między tobą a Dorfrichterem?

- W Akademii był, moim zdaniem, jednym z najzdolniejszych kolegów, chociaż nie przedstawaliśmy ze sobą zbyt wiele. W rok później, kiedy odbywałem służbę jako adiutant batalionu w 3 pułku

huzarów w Kecskemét, Dorfrichtera przeniesiono tam właśnie do 24 pułku piechoty. Ucieszyłem się na jego widok, gdyż był znacznie ciekawszym towarzyszem niż moi koledzy, tamtejsi oficerowie liniowi. Zadzierzgnęliśmy bliższą znajomość, często wozilem go ze sobą do Budapesztu, a nawet wprowadziłem go do Szkoły.

- Do jakiej Szkoły?

- Naturalnie! Skąd ty, wiedeńczyk, możesz coś wiedzieć o Szkole Hodossy'ego? - parsknął śmiechem. - Nie jest to w gruncie rzeczy żadna szkoła, lecz klub, tylko że bez siedziby i składek członkowskich. Kaprys, lub ściślej mówiąc, mania mego ojca. Założył go w czasach młodości i z chwilą jego śmierci klub też istnieć przestanie. Ideą życia mego rodzica jest edukowanie złotych młodzieńców miasta na dżentelmenów. Jest właścicielem banku i posiada dziesięcioakrowy majątek w pobliżu Kecskemét, a wszystko to ma o tyle znaczenie, że bez tego ojciec nie mógłby być współczesnym Petroniuszem.

Zoltan Hodossy mówił o ojcu żartobliwym raczej tonem, bez cienia sarkazmu. Być może nie podzielał poglądów starszego pana, ale niewątpliwie bardzo go lubił. Kunze wołał na razie nie wymieniać nazwiska Klary Brassay.

- Ojciec twój musi być niezwykłą postacią.

- Oczywiście. Nie ma dwóch osób, które byłyby o nim jednakowego zdania. Niektórzy uważają go za nadętego starego egotystę, ale całkiem niesłusznie. Bo on tak naprawdę to nie bierze poważnie ani siebie, ani swoich dziwactw. Jego zdaniem życie traci na

wartości, kiedy przestajemy traktować żarty poważnie, a rzeczy poważne żartobliwie. W każdym razie poznasz go i jego Szkołę dziś wieczorem. Spotykają się dziś na tradycyjnej wtorkowej kolacji. Prosił mnie, bym cię przyprowadził. Oczywiście, jeśli nie masz innych planów na wieczór.

- Żadnych. I bardzo dziękuję za zaproszenie.

- Wspaniale. Kolacja odbędzie się w hotelu Vadàszkürt. Przyjdę po ciebie o dziewiątej. Impreza jest ściśle prywatna, bo ojciec nie był pewien, czyś przywiózł ze sobą galowy mundur.

Sandor Hodossy był budzącym lęk siwowłosym starcem, wyższym od syna, o istic rzymskim szlachetnym profilu i rysich oczach cygańskiego koniokrada. Trzymał się bardzo prosto i swoją postawą sprawiał, że inni zwracając się do niego stawali na baczność, maksymalnie skupieni psychicznie. Trudno byłoby określić, ile ma lat, a to z powodu jego niebywałej żywotności. Dopiero późnym wieczorem Kunze dostrzegł, jak Hodossy senior opadł na chwilę z sił ujawniając swe siedemdziesiąt ileś lat, ale się natychmiast opanował, energicznie potrząsając siwą głową.

Goście, nienagannie ubrani, o świetnych manierach, weseli i inteligentni, mieli tyle lat, co jego syn lub nawet mniej; Kunze zaś i Hodossy byli jedynymi oficerami w tym zgromadzeniu pisarzy, aktorów, profesorów uniwersytetu, malarzy, muzyków i synów bogatych kupieckich rodzin. Ze względu na Kunzega wszyscy mówili po niemiecku.



Ze swych poprzednich podróży na Węgry Kunze powracał zawsze do domu z objawami niestrawności. Tego wieczora nie musiał się niczego obawiać. Jedzenie, które stanowiło konglomerat francuskiej i węgierskiej kuchni, nie było nazbyt tłuste ani zbytnio ostre, do tego pito szampan z najlepszych roczników.

O jedenastej kapitan Hodossy zniknął wraz z paroma młodzieńcami. Powrócili wnet w doborowym towarzystwie ślicznych, młodych aktorek i tancerek, które występowały tego wieczora w miejscowych teatrach i kabaretach. Żadna nie miała więcej niż dwadzieścia pięć lat, a wszystkie były elegancko ubrane i o znakomitych manierach. Blondynkę, której towarzyszył kapitan Hodossy, posadzono naprzeciwko jego ojca. Było to oczywiste dla Kunzego, że dziewczyna jest utrzymanką seniora, który wysłał syna, by ją tu przyprowadził, ponieważ ojciec, jako gospodarz, nie chciał opuszczać przyjęcia.

Kolacja skończyła się około drugiej nad ranem, ale nikt nie był pijany, mimo wielkiej ilości wypitych trunków. Hodossy senior dowiedział, jak bardzo wyrafinowanym jest gospodarzem. Mimo wszystko Kunze nie mógł pozbyć się uczucia, że uczestniczy w obrzędowej uczcie, wydanej przez orientalnego bogacza.

Nazajutrz kapitan Kunze pojechał fiakrem do dowództwa brygady, gdzie czekał na niego kapitan Hodossy. „Ci przekłęci Węgrzy - pomyślał Kunze - potrafią wypić truciznę na szczury przyprawioną cykuta i nawet tego nie poczują”.

Rozsiedli się w kancelarii kapitana Hodossy.

- Wracając do osoby Dorfrichtera. Nadmieniałem ci wczoraj o tym, że go przyjęto do Szkoły mego ojca. Miałeś możliwość zobaczyć, jak ta Szkoła wygląda. Jest to grono młodzieńców nastawionych na używanie życia, ile się tylko da, nie popadając przy tym w wulgarność.

- Czy nazwisko Klara Brassay coś ci mówi, Zoltanie? - spytał Kunze.

- Naturalnie! - wykrzyknął Hodossy. - Był czas, że omal nie została moją macochą.

- Jaka ona była?

- Zanim odpowiem na to pytanie, lepiej będzie, jak dowiesz się pewnej rzeczy o moim ojcu. Prócz Szkoły ma on jeszcze jedno hobby. Prawdopodobnie jest to czystej wody powołanie: przepoczwarzają początkujące kurewki w kurtyzany, czyli wyszukuje tancereczkę lub aktoreczkę i kształtuje ją na Damę Kameliową, najchętniej bez trawiących ją suchot! Zazwyczaj bierze taką na swe utrzymanie na rok lub dwa, uczy, jak jeść, konwersować, ubierać się i rozbierać, jedzie z nią w podróż, a kiedy nabierze dostatecznego poloru, wypuszcza ją na wolność, tak po prostu, jak ptaka z klatki. Czasami musi nawet potrząsnąć trochę klatką, bo ptakowi nie bardzo się chce wyfrunąć. Zazwyczaj nie odlatuje daleko i wnet widzi się ją uwieszoną u ramienia innego, bogatego mężczyzny. Ojciec jest strasznie dobry i jeśli już odkryje u swej protegowanej jakiś szczególny talent, pomaga jej rozwinąć go, otwiera drzwi do kariery, wyszukuje widowiska, gdzie mogłaby rozbłysnąć i zdobyć sławę. Klara Brassay była jedną z takich dziewcząt. Nie odznaczała się wielką urodą, ale była dowcipna, wesoła

i utalentowana. Ojciec wypatrzył ją tutaj w Kecskemét, gdzie pojawiła się z trupą aktorów. Nie sędzę, by go kochała, ale zdawała sobie sprawę, jak wiele może jej pomóc w karierze. Jestem pewien, że była mu wierna, co nie przychodziło jej łatwo, bo uganiali się za nią wszyscy nieżonaci oficerowie w garnizonie, żonaci zresztą też, nie mówiąc już o cywilach. Posyłali jej naręcza kwiatów i nakazywali cygańskiej orkiestrze grywać co wieczór serenady pod oknami Klary. Na wszelkie sposoby starali się ściągnąć na siebie jej uwagę. Jeden pijany porucznik piechoty, na przykład, stanął przed domem, gdzie mieszkała i siusiając wypisał „kocham cię Kl...” w śniegu pod jej oknem. Wieść głosi, że kiedy mu zabrakło tego osobliwego atramentu, wrócił do domu, zbudził ordynansa i nakazał mu surowo dokończyć napis. Ordynans jednak nie kwapił się do tego. „Co, nie potrafisz susiać?” - krzyknął na niego porucznik. „Susiać to potrafię, ale pisać nie, panie poruczniku” - odpowiedział żołnierz. Oczywiście nie mogę ręczyć za autentyczność tej opowieści.

- *Si non e vero ben trovato* - odrzekł Kunze z uśmiechem.

- W każdym razie daje to pojęcie, do jakiej rozpaczliwej nudy może doprowadzić skądinąd normalnych ludzi życie w takim małym garnizonie. Przynajmniej raz na tydzień woziłem Klarę do Budapesztu, żeby mogła dalej kształcić się pod kierunkiem mego ojca, a jeśli Dorfrichter miał czas, to jechał z nami. Nie wiadomo kiedy i jak Klara zakochała się w Peterze. Pewnie dojrzała już do miłości, on zaś pojawił się we właściwym momencie.

Jest w nim jakiś wdzięk, który trochę irytuje, ale jednocześnie pociąga. To raczej niebezpieczny typ - dodał. - Otóż...

- Niebezpieczny? - przerwał mu Kunze.

- Może się myłę, ale zawsze takie odnosiłem wrażenie i to na długo, zanim jego nazwisko zaczęto łączyć z tymi cholernymi kapsułkami. - Hodossy przerwał na chwilę, żeby zapalić papierosa. - Nie zależało mu zupełnie na Klarze, a jednak bardzo się starał ją oczarować. Podejrzewam, że schlebiało jego ambicji, że ją odbiera ojcu i garnizonowi. Był to głośny romans. Widywano ich co wieczór na kolacji w hotelu Beretäs. Mój ojciec przeżywał to głęboko. Myślę, że była jedyną spośród tych młodych istot, którą traktował poważnie. Gdyby się nie pojawił Dorfrichter, to by ją z pewnością poślubił. I nie zrobiłby źle. Była bardzo przyzwoitym stworzeniem. Na przykład zwróciła memu ojcu wszystkie darowane jej prezenty, chociaż wcale tego nie wymagał. W tym czasie Dorfrichter wiedział już, że go przeniosą, ale nie zawiadomił o tym Klary. Wyjechał z miasta nie pożegnawszy się z nią. Z początku nie mogła uwierzyć, że wyjechał. Po tygodniu ona też zniknęła z Kecskemét. Krążyły plotki, że pojechała za nim do Bośni.

- To prawda. Pojechała za nim, ale nie do Bośni.

Do Wiednia.

- W każdym razie dowiedziałem się później, że umarła.

- Czy próbowałeś może nawiązać z nią kontakt po jej wyjeździe?

- Nigdy. Niezręczne by to było ze względu na mojego ojca. Sądziłem, że im szybciej o niej zapomni, tym lepiej.

- Nie przyszło ci nigdy do głowy, że Dorfrichter jest, być może, odpowiedzialny za jej śmierć?

Zoltan Hodossy był wyraźnie zaskoczony.

- Skądże! A czy jest?

- Nie wiemy. Co o tym sądzisz?

- Zwariowała na jego punkcie. Niewykluczone, że stało się to dla niego bardzo kłopotliwe. Był już prawie zaręczony z dziewczyną, z którą na jakiś czas jakby zerwał, ale potem się z nią ożenił.

- Już na trzeci dzień po śmierci Klary! Jej pogrzeb odbył się czwartego, a ślub Dorfrichtera siódmego października.

- Tam do licha! Nie musiał chyba zabijać, żeby się jej pozbyć. Nie była z tych kobiet, które chwytają się szantażu.

- Co sądzisz o tych przesyłkach z cyjankiem? Uważamy, że nadawcą ich był Dorfrichter. Czy miał jakiś powód, żeby i ciebie zgładzić?

- Moim zdaniem żadnego.

- Dlaczego więc wybór padł na ciebie, a nie na Ahrensa?

- Być może pozostawił to przypadkowi. Wrzucił piętnaście kartek z nazwiskami do kapelusza i wyciągnął dziesięć. Przypadkiem widziałem, jak Dorfrichter robił coś takiego na wyścigach. Ja studiowałem program gonitw całymimi godzinami, a on zamykał oczy i wybierał konia z listy na chybił trafił. Ja przegrywałem, on wygrywał.

- Byłeś z nim w przyjaznych stosunkach? Czy sądzisz, że to on może być Charlesem Francisem?

- Trudno powiedzieć. Jest to człowiek bardzo ambitny. Pewnie marzył o szybkiej karierze. Od śmierci Napoleona minęło dopiero niecałe sto lat. Wielu młodych oficerów sądzi, że skoro Napoleon mógł zajść aż tak daleko, to oni też. Wyobraźmy sobie jednak, że taki właśnie Napoleon rodzi się w Austrii i w roku 1898 wstępuje do armii Franciszka Józefa. Byłby zaledwie porucznikiem w wieku, kiedy Napoleon dowodził już kampanią we Włoszech, kapitanem, gdy tamten koronował się na cesarza, a przy sporej dozie szczęścia majorem, kiedy Napoleon, poślubiwszy córkę Habsburga, rządził już Europą. Nie wiem, co taki Napoleon zrobiłby na miejscu Dorfrichtera. Porastałby spokojnie w sadło albo wytrułby ludzi, którzy mu zablokowali drogę do kariery.

- Czy Dorfrichter może być Charlesem Francisem? - spytał ponownie Kunze.

Kapitan Hodossy zastanawiał się chwilę.

- Przypuszczam, że tak. Ale będzie ci diabelnie trudno to udowodnić.

Po Budapeszcie Wiedeń wydał się Kunzemu, jeszcze dobitniej niż zwykle, miastem bardziej wyjątkowym niż inne. Kiedy zjawił się w domu późnym popołudniem, kucharka oznajmiła mu, że pani domu wyjechała do Grazu na pogrzeb wuja Paula.

Kapitan zasiadł właśnie do obiadu, kiedy zatelefonowała Róża.

- Umarł przedwczoraj! Jutro będzie pogrzeb! - wykrzyknęła. Międzymiastowe rozmowy przez telefon były dla niej ciągle tajemniczą nowością i nigdy nie wierzyła, że słyhać ją na drugim końcu drutu. - Adwokat powiedział, że sprawa z testamentem potrwa tylko parę tygodni, bo nie spodziewa się żadnych komplikacji. Pewnie będę musiała jednak zostać tutaj do czasu, aż się sytuacja wyjaśni.

„Nawet nie poczekała, aż *rigor mortis* się ustali, tylko zaraz rozmawiała już z adwokatem” - pomyślał Kunze i zganił się w duchu za złośliwość.

- Uważaj na siebie - powiedział do Róży, uświadamiając sobie z zawstyżeniem, że wcale za nią nie tęskni. Czuł się zmęczony i był rad, że może w samotności zjeść obiad i wypić butelkę burgunda. Tej nocy spał mocno i bez snów.

Po raz pierwszy, odkąd Kunze sięgał pamięcią, butna i wyzywająca mina zniknęła z twarzy Dorfrichtera. Widać nadal uprawiał swe spacerki, bo miał poczerwieniałą od zimna cerę człowieka, który przebywał na powietrzu. Po zwyczajowej ceremonii salutowania i po odprawieniu straży, usiadł na podanym krześle i westchnął.

- Te przekłete korytarze - powiedział. - I schody! Przeszedłem już dzisiaj w kółko cały Ring, razem z molo. Od Opery do Opery. Jestem wyczerpany. - Zapalił papierosa, którym go Kunze poczęstował. - Miał pan jakieś wiadomości o mojej żonie? - Wydychał z wolna dym. - I o dziecku?

- Żadnych. Nie było mnie tutaj. Jeździłem do Budapesztu, żeby się zobaczyć z pana przyjacielem, kapitanem Zoltanem Hodossy.

Kunze bacznie przyglądał się więźniowi. Poza paroma wojskowymi nikt nie wiedział, że i Hodossy dostał ulotkę Charlesa Francisa. Był ostatnim, który otrzymał ową przesyłkę, i kiedy ją wręczył swemu dowódcy, nakazano mu, by nie mówił o tym nikomu.

Wymienienie nazwiska Hodossy'ego powinno było zaskoczyć Dorfrichtera, chyba że istotnie był on Charlesem Francisem.

Na twarzy Dorfrichtera nie było jednak żadnej reakcji. Rzucił tylko Kunzemu pytające spojrzenie, puste i bez żadnego wyrazu. Zaciągnął się parę razy papierosem, a potem go zgasił.

- Oczekuje pan, że spytam, dlaczego widział się pan z Hodossym - stwierdził ostrym tonem.

- Proszę, jeśli pan ma ochotę.

- W takim razie nie zapytam. Po co miałbym ułatwić panu sprawę. - Drwiący uśmiezek powrócił na jego twarz. - Będzie pan musiał dobrze się nagłowić nad następnym pytaniem, gdyż nie będzie miał pan z mej strony najmniejszego punktu zaczepienia.

- Niech się pan nie martwi, dam sobie radę - skwitował krótko Kunze. - Pan i kapitan Hodossy byliście chyba przyjaciółmi?

- Bardzo dobrymi. I nadal jesteśmy, mam nadzieję. To przyzwoity człowiek. Zwłaszcza jak na Węgra.

Kunze przypomniał sobie, że to samo mówił o Hodossym porucznik Moll. - Czyżby nie lubił pan Węgrów?



- Nie mam nic przeciwko nim z wyjątkiem tego ich czerwono-biało-zielonego patriotyzmu. Nie wiem, jak dalece można im będzie zaufać, kiedy dojdzie do wojny. Nie polegałbym na nich, gdy będą wymuszać pewne przywileje obiecując swe poparcie. Bóg jeden wie, jacy są krnąbrni nawet w czasie pokoju.

- Mówi pan tak, jakby wojna była nieunikniona - podkreślił Kunze. - Czy źle nam się żyje, tak jak jest? Wojna zaś może przynieść więcej strat niż zysków.

- Zależy, kto będzie dowodził. Zgrzybiali arcyksiążęta czy młodzi dowódcy o nowoczesnych, śmiałych koncepcjach.

- Tacy jak pan?

- Czemu nie, panie kapitanie.

- Zapewne każe pan z miejsca nas, niepoprawnych pacyfistów, rozstrzelać.

- Oczywiście - rzekł Dorfrichter z uśmiechem.

- Na szczęście, pokój jeszcze trwa, a pan nie jest u władzy - odrzekł mu na to Kunze. Ledwie panował nad sobą, tak się zirytował. Ogarnęła go bezsilna złość. Czuł nienawiść do tego człowieka, a jeszcze większą do siebie. - Wróćmy do Hodossy'ego. Mówił pan, że byliście w przyjaźni. Z jego ojcem też?

- Z tym nadętym starym durniem?

- Jednak korzystał pan z jego gościnności.

- Bardzo krótko. Przysłowie mówi: „Na bezrybiu i rak ryba”. Co ma robić człowiek, skoro musi stacjonować w takiej dziurze jak Kecskemét. Wprost nie sposób nawiązać jakichś bliższych stosunków z

którymkolwiek z mieszkańców. Pełni są gulaszu, cygańskiej muzyki i szowinizmu. Co wieczór zbierają się w hotelu Beretäs, gdzie każą Cyganom przygrywać nad uchem, jak gdyby byli głusi, i ronią łzy do wina. A kiedy ich spytać, co ich w tej pieśni tak wzrusza, to powiedzą, że słowa: „*A csizmámban nincsen kireg mert megette a patkány - féreg!*”

- Przepraszam, nie zrozumiałem.

- Dosłownie to brzmi: „Wyściółki też w butach nie mam, bo ją zżarł zawoszony szczur!” - Parsknął śmiechem. - Najważniejszym wydarzeniem roku jest nowa kasjerka w kawiarni. Uwieść ją pierwszemu - to dopiero powód do dumy. To jakby otrzymać order za wybitne zasługi. Potem dziewczyna przechodzi już z łóżka do łóżka! Pewna blondynka nazwiskiem Piroška pobiła nawet rekord. Zaraziła tryprem aż jedenastu mężczyzn. Nie ma nic w tym przeklętym mieście lepszego do roboty, niż pić i łądaczyć się.

- Mają tam jakiś teatr? - spytał Kunze.

- Jest jakaś buda w rodzaju teatru. Ale te przedstawienia! Ci sami aktorzy i dekoracje, bez względu na to, czy wystawiają „Wesołą wdówkę”, czy „Króla Lira”.

- Poznał pan tam może aktorkę nazwiskiem Klara Brassay?

Dorfrichter skinął potakująco głową. Najwyraźniej spodziewał się takiego pytania.

- Jakie łączyły ją z panem stosunki?

- Dokładnie takie, o jakich powiedział panu Hodossy. Miałem z nią romans.

- O ile mi wiadomo, pojechała za panem do Wiednia? Czy nadal pan się z nią tam widywał?

- Tak - odrzekł Dorfrichter po krótkim wahaniu.

- Chociaż był już pan zaręczony? O ile mnie pamięć nie myli, wziął pan ślub wkrótce po przybyciu do Wiednia Klary Brassay?

- Tak jest.

- Widywał się pan z Klarą po ślubie?

- Nie.

- Dlaczego?

- Bo już nie żyła - odrzekł krótko, tracąc nieco równowagę. W miarę jako rosło zdenerwowanie Dorfrichtera, Kunze odzyskiwał spokój, jak gdyby siedzieli po obu końcach huśtawki.

- Kiedy zmarła i z jakiej przyczyny?

- Koło pierwszego października, 1907 roku, na atak serca.

- Skąd pan to wie?

- Tak podano w świadectwie zgonu.

- Namówił pan dziewczynę na przyjazd do Wiednia, chociaż szykował się pan do ślubu z Marianną Gruber. Klara Brassay zmarła w dwa tygodnie po przyjeździe, a pogrzeb jej odbył się na trzy dni przed pana ślubem. Bardzo pomyślny w czasie układ wydarzeń. Powiedziałbym, że...

- Przede wszystkim nie prosiłem, by za mną jechała. Wyjeżdżając z Kecskemét powiedziałem jej, że między nami wszystko skończone. Wyglądało na to, że się z tym pogodziła, aż tu nagle zjawiała się w Wiedniu i zaczęła urządzać mi sceny.

- Jak mniemam, była protegowaną starego Hodossy i... -  
Protegowaną? - wtrącił gwałtownie Dorfrichter. - Była jego dziwką!

- Otóż to: była jego dziwką! A jednak nawiązał pan z nią romans  
i doprowadził do tego, że porzuciła starca. Nie czuł się pan za to  
odpowiedzialny?

- Nie. Była dorosła, wiedziała, co robi. Szczerze mówiąc nie  
pojmuję, dlaczego pan mnie gani. Gdyby podobne rzeczy miały  
wzbudzać wyrzuty sumienia, cały oficerski korpus powinien dawno już  
przywdziać zgrzebne szaty i posypać głowy popiołem.

- Mam tu zeznanie osoby, która rozmawiała z panną Brassay,  
krótko przez jej śmiercią. Klara powiedziała, że jej przyjaciel, to znaczy  
pan, zaopatrzył ją w proszki nasenne. Czy tak było?

- Nie.

- Właścicielka pensjonatu oświadczyła, że pan się zajął  
pogrzebem - dodał Kunze. - Dlaczego właśnie pan?

- Ponieważ byłem jedyną znaną jej osobą w Wiedniu.

- Miała rodzinę. Żyli jej rodzice. Próbował pan skontaktować się  
z nimi?

- Nie.

- Dlaczego?

- Nie uważałem tego za swój obowiązek.

- Wydaje mi się, że było panu bardzo spieszno ją pochować.  
Czy wydano nakaz przeprowadzenia sekcji zwłok?

- Nie.

- Dlaczego?

Dorfrichter wydobył z kieszeni chusteczkę i stał z czoła drobne krople potu.

- Nie było po temu potrzeby. Lekarz ustalił przyczynę śmierci i wydał świadectwo zgonu.

Kunze pochylił się i spojrzał Dorfrichterowi prosto w oczy.

- Mogę spytać, czy jest pan osobiście przekonany, że istotnie zmarła na atak serca?

- Nie miałem powodów, aby w to wątpić.

- Mogła umrzeć z innej przyczyny. Zażywając nadmierną ilość proszków nasennych, których jej pan dostarczył.

Porucznik odwrócił wzrok. Zwinął nerwowo chusteczkę w kulkę. Nagłym ruchem wsadził ją do kieszeni, jak gdyby pozbywał się jakiegoś niewygodnego dla siebie dowodu. Zwrócił ponownie wzrok na kapitana, który patrzył na niego wyczekująco.

- Tak, mogła też umrzeć z innego powodu - powiedział, na powrót spokojny i pewny siebie. - Od nadmiernej dawki proszków nasennych, które dał jej ktoś inny. - Uśmiechnął się. - Mogła przekłuć serce szpilką od kapelusza albo tak wstrzymać oddech, aż się udusiła z braku tlenu. Skąd ja mógłbym to wiedzieć, skoro nie wiedział tego lekarz?

- Nie sądzi pan, że mogła popełnić samobójstwo? Mówiła kiedy, że to zrobi?

- Naturalnie. Samobójstwo! To jej ulubiony sposób szantażu.

- Dlaczego użył pan słowa: szantaż? Czy była w stanie panu zaszkodzić?

Dorfrichter spojrział na kapitana z niedowierzaniem.

- Doprawdy, panie kapitanie - powiedział tonem, jakim się przemawia do niezbyt bystrego dziecka. - Niech pan zechce mnie zrozumieć. Szykowałem się do ślubu, kiedy zjawiała się nagle dziewczyna, z którą się parę razy przespałem, i zaczęła wysuwać wobec mnie najróżniejsze żądania. Wiele mnie kosztowało wysiłku, żeby jej przemówić do rozsądku i nakłonić do wyjazdu z Wiednia. Kiedy sądziłem, że cała sprawa została już definitywnie załatwiona, zamiast wyjechać, dziewczyna nagle umiera. Mogłem odwołać ślub, ale i tak nie przywróciłbym Klarze życia. Jedyne, co mogłem zrobić, to sprawić jej przyzwoity pogrzeb i mieć nadzieję, że moja narzeczona o niczym się nie dowie. - Ależ z pana cyniczny drań!

- Czy chce pan, bym zaczął tu ronić krokodylowe łzy? Byłby to jawny dowód, że nie doceniam pana inteligencji. Nie poczuwałem się do odpowiedzialności wobec Klary. To bardzo nieuczciwe mieć pretensje do mężczyzny za to, że przestał kochać jakąś kobietę. A jeśli się jeszcze przyzna do tego otwarcie, to się go uważa za drania. Niektórzy mężczyźni są takimi tchórzami, że dają się wpędzić w dożywotnią niewolę, tylko dlatego, że kocha ich jakaś kobieta. Wolę, by mnie nazywano draniem, ale być wolnym.

- Zależy, jak daleko gotów jest pan posunąć się w obronie swej wolności - odpowiedział Kunze.

- Co pan przez to rozumie?

- Pan dobrze wie, co. Zgładził pan Klarę Brassay. Otruł pan ją, wbił szpilkę od kapelusza w serce, czy też udusił?

- Pan chyba żartuje? - Dorfrichter roześmiał się.
- Proszę nie udawać naiwnego - powiedział Kunze.
- Rozumiem. Otrułem Madera, próbowałem otruć dziewięciu innych oficerów, a także i Klarę.
- Zrobił pan to czy nie? Oburzony Dorfrichter pokręcił głową.
- Oczywiście, że nie! Ani Klary, ani Madera! Nikogo!
- W porządku - odparł uprzejmie Kunze. - Dokona się ekshumacji. Na szczęście medycyna sądowa poczyniła ogromne postępy. Można już teraz wykryć przyczynę zgonu nawet w parę lat po pogrzebie. - Obrócił się do Stoklaski i rzekł: - Odprowadzić porucznika do celi.

Dorfrichter podniósł się i stał spoglądając na widoczne przez okno dachy kamienic.

- Mówiłem już panu, że groziła samobójstwem. Już w Kecskemét miewała dziwne nastroje. Jednego dnia była pełna wigoru, a następnego zanosila się od płaczu. Być może zażyła truciznę, ale ja nie miałem z tym nic wspólnego.

Kunze nic na to nie odpowiedział. Był zadowolony z przebiegu rozmowy. Z początku obawiał się, że wątpliwości, jakie żywił, będą mu przeszkodą w prowadzeniu przesłuchania, ale okazało się inaczej. Czuł się teraz swobodniejszy niż na początku, kiedy zaczynał śledztwo. Długo i wytrwale tropił, aż zdobycz znalazła się w zasięgu strzału. Był przekonany, że Klara Brassay zmarła na skutek otrucia i że Peter Dorfrichter maczał w tym palce. Zatelefonował do inspektora

Weinbergera i poprosił go o przeprowadzenie ekshumacji ciała oraz sekcji zwłok Klary Brassay.

W tym samym czasie wysłano dwóch agentów na Węgry do miasteczka, gdzie wielebny Brassay troszczył się o potrzeby duchowe trzódki swych wiernych, by go wypytać o rzeczy osobiste córki pozostawione w pensjonacie pani Kralik.

Róża wróciła z Grazu któregoś dnia pod wieczór. Kiedy Kunze zjawił się w domu, zdążyła już przebrać się w najstrojniejszy szlafroczek. Nie wiedziała, że Kunze nie cierpi podobnych ubiorów, ponieważ rzadko kiedy robił uwagi na temat jej garderoby. Gdyby go zapytała, co sądzi o jej nowym stroju, odpowiedziałby niezmiennie, że jej w tym do twarzy, choćby nawet był innego zdania.

- Wuj Paul zapisał wszystko mnie - powiedziała,

ledwie tylko Kunze wszedł do domu. - To znaczy, prawie wszystko, bo trzeba będzie jednak wypłacić jego gospodyni dziesięć tysięcy koron w gotówce. Podejrzewam, że oddał jej także część akcji. Nie wykluczone, że je sobie wprost przywłaszczyła. Nie będę już robić o to kwestii, głównie dlatego, żeby nie wstrzymywać toku spraw. Adwokat jest zdania, że uda mu się załatwić wszystko w dwa miesiące. Dzisiaj mamy dwudziesty grudnia, więc do końca lutego byłoby już po wszystkim. Możemy zatem planować ślub na marzec. Czyż może być stosowniejsza pora niż idy marcowe?

- Dlaczego idy marcowe?

- Bo to jakby wprost idealny dzień,



- Ale nie dla Cezara. Zarzuciła mu ręce na szyję.

- Nie jesteś szczęśliwy?

Nie czuł się wcale szczęśliwy, ani z powodu projektów małżeńskich, ani mocnego uścisku, którym go otoczyła. Szlafroczek zsunął się jej z pulchnego ramienia i przyszły mu na myśl oskubane z piór tuczone węgierskie gęsi wiszące na straganie, który mijał po drodze do domu. Odsunął ją delikatnie. Pulchność jej ciała budziła w nim wyraźną tęsknotę do szczupłych, silnych ramion, smukłych nóg, cienkich sprawnych palców i mocno sklepionego torsu pod napięta, chłodną skórą.

Słyszał, jak powiedziała:

- Nie wyglądasz na szczęśliwego - a jej wielkie, błękitne oczy wydawały się pełne wyrzutu.

- Jestem trochę zmęczony - skłamał całując ją lekko w czoło.

Zastanawiał się, co porucznik Dorfrichter zrobiłby na jego miejscu. Pewnie wyszedłby z mieszkania, żeby już nigdy tu nie powrócić, nie zważając na wymowę tych błękitnych oczu. Zdawał sobie sprawę, że nadeszła właśnie odpowiednia chwila, by zerwać całkowicie łączące go z Różą więzy, bo inaczej skaże siebie, jak to określił Dorfrichter, na dożywotnią niewolę. Uważał Dorfrichtera za drania, bo miał odwagę rzucić dziewczynę, której nie kochał, a siebie za coś lepszego, bo zdecydował się pozostać przy niekochanej kobiecie. Stwierdził nagle z goryczą, że Dorfrichter, który postąpił świadomie i odważnie, jest nikczemnikiem, on zaś powodowany zwykłą słabością - uosobieniem szlachetności, za co będzie przykuty na resztę życia do

Róży, tylko dlatego, że ona go kocha. Już od samego początku ich romansu miłość kojarzyła mu się ze zgłodniałą, zachłanną ośmiornicą przygarniającą go do miękkiego tułowia pełnego ssawek, on zaś tymczasem nie robił najmniejszego wysiłku, by uciec, jako że nie czuł się już dostatecznie młody. „Pragnienie, aby być kochanym - pomyślał - jest to szaleństwo właściwe młodości. Dojrzałość zaczyna się od odkrycia, że kochać jest znacznie trudniej, niż być kochanym, i tylko nieliczni mężczyźni mają odwagę przyznać się w duchu do tego i wolą oszukiwać siebie nazywając miłością płytkie zainteresowanie, być może nawet pociąg seksualny”.

- Irma i Alfred są zachwyceni - powiedziała Róża.

- Czym, mianowicie? - spytał Kunze z roztargnieniem, a następnie przypomniał sobie, że mowa jest o siostrze i szwagrze Róży.

Spojrzała na niego z niepokojem.

- Tym, że chcemy się pobrać.

„Więc już im powiedziała” - pomyślał Kunze.

- To ładnie z ich strony - mruknął.

- Ufam, że władze wojskowe nie wysuną żadnych zastrzeżeń - powiedziała Róża. - Mieszkanie jest na nazwisko Alfreda. Mogą jednak wpaść na to, że tu mieszkam. Nie sądzisz więc, że to dobry pomysł, abym zamieszkała u Inny i Alfreda do dnia ślubu?

- Może lepiej, żeby ja się wyniósł - powiedział Kunze, traktując to jako żart. Nagle pomysł ten bardzo przypadł mu do przekonania. - To naprawdę dobra myśl. Zamieszkać gdzieś w pobliżu,

jako sublokator. Nie musi to być coś nadzwyczajnego. Dwa pokoje albo jeden duży z łazienką i osobnym wejściem.

- Gdzie się będziesz stołował?

- Śniadanie mogę jadać w kawiarni, po drodze do biura, a na kolację przychodzić tutaj. W końcu to tylko kwestia paru tygodni.

Określenie „kwestia paru tygodni” podziałało widać na Różę uspokajająco, bo powiedziała, że zacznie szukać odpowiedniego mieszkania. Kiedy pokojówka zawiadomiła, że kolacja już podana, spostrzegł, że stół zastawiony jest najlepszą miśnieńską porcelaną Róży, a w srebrnym kubku chłodzi się butelka szampana.

- Z jakiej to okazji? - spytał, by się z Różą podroczyć. Od chwili gdy postanowili, że się wyprowadzi - trochę mu się zrobiło weselej, chociaż nie spodziewał się, że uda mu się uciec od małżeństwa, bo od tego wyroku nie było apelacji. Niemniej, przeprowadzka do nowego mieszkania była odmianą w jego obecnym życiu i prawdziwym błogosławieństwem.

Po obiedzie słuchali muzyki z gramofonu. Muzyka zawsze wprawiała Różę w romantyczny nastrój, a kiedy po raz drugi puściła płytę z walcem z „Wesołej wdówki”, Kunze podniósł się i wymawiając się zmęczeniem po bardzo ciężkim dniu, życzył jej dobrej nocy. Po jego wyjściu zaczęła, aż skończy się płyta, a następnie też poszła się położyć, zabierając ze sobą niemal pełną butelkę szampana.

Detektywi powrócili z Węgier, a inspektor Weinberger odwiedził Kunzego w sądzie wojskowym, by poinformować go o wynikach poszukiwań. Przez ostatnie dwa dni wiedeńskie gazety

wypisywały sensacyjne historie na temat życia i śmierci Klary Brassay. Przedsiębiorczy reporterzy rozmawiali z krewnymi Klary, dyrektorem teatru w Kecskemét, jej byłymi koleżankami, portierką z Grand Hotelu i z panią Kralik. Jeden zwariowany młody reporter próbował nawet przeprowadzić wywiad z seniorem Hodossy, ale został dosłownie wyrzucony za drzwi przez pewnego Senegalczyka, który był masażystą starszego pana.

- Mój człowiek bardzo się natrudził, aby wy dostać jakieś informacje od wielebnego Brassaya - rzekł inspektor do Kunza. - Ojciec stwierdził, że zerwał wszelkie kontakty z córką, odkąd uciekła z domu i wstąpiła do teatru. Żona była za to bardziej chętna do rozmowy. Powiedziała detektywom, że raz jeden pojechała do Kecskemétu za Klarą i próbowała zabrać ją do domu, ale kiedy córka zapaliła w jej obecności papierosa, zrozumiała jasno, że Klara skazana jest na zgubę i nie ma już dla niej zbawienia. Odeszła bez słowa i nigdy się już do córki nie odezwała. Na pewno wierzy, że Klara skończyła marnie, bo ją Bóg pokarał za te papierosy.

- Typowa kalwińska mentalność - zauważył Kunze.

- Mamy ważniejszą informację, także od matki. W wieku lat sześciu Klara przechodziła szkarlatynę, która bardzo osłabiła jej serce. Kiedy dorosła, wydawało się, że dolegliwość minęła. W świadectwie zgonu podano niewydolność serca jako przyczynę śmierci, co wydaje się być zgodne z oświadczeniem matki.

Wyniki sekcji zwłok znalazły się na biurku Kunzego następnego dnia. Klarę Brassay pochowano przed dwoma przeszło laty, toteż patolodzy nie byli w stanie ustalić dokładnie przyczyny zgonu. Stwierdzili jednak z całą pewnością, że jej nie uduszono ani nie otruto, że nie odniosła też żadnych obrażeń cielesnych. Wynik badań toksykologicznych był negatywny, a medyczne orzeczenie brzmiało: „zgon z przyczyn naturalnych”.

Kunze był sam w kancelarii, kiedy posłaniec inspektora Weinbergera doręczył mu zapieczętowaną kopertę. Pierwszym jego odruchem było wezwać Dorfrichtera i powiedzieć mu o tym raporcie. Po czym przypomniał sobie, jak Dorfrichter stracił raz jeden panowanie nad sobą, kiedy właśnie omawiana była możliwość śmierci Klary Brassay w wyniku otrucia. Dziewczyna groziła, że odbierze sobie życie, a kiedy znaleziono ją martwą, Dorfrichter zapewne uznał, że spełniła swą groźbę. Zorganizował szybki i cichy pogrzeb, żeby uniknąć skandalu, na który nie mógł sobie w żadnym wypadku pozwolić mając nadzieję na wejście do Sztabu Generalnego.

Gdyby sekcja zwłok dziewczyny wykazała truciznę, nikt nie uwierzyłby w jego niewinność, z czego Dorfrichter dobrze zdawał sobie sprawę i myśl ta prawdopodobnie nie dawała mu spać po nocach. Kunze postanowił nie zawiadamiać więźnia o raporcie. Jeśli się chce złamać człowieka, nie ma lepszej metody, niż wpędzić go w bezsenność.

Zastanawiał się też nad skutkiem, jaki wieści z gazet mogły wyrzucić na Mariannie Dorfrichter. Krótco przed ślubem mąż jej

nawiązał namiętny romans z aktorką. Prawdopodobnie nigdy nie powiedział jej o istnieniu Klary Brassay, podobnie jak nigdy nie przyznał się do wysłania owych dziesięciu listów. Na pewno wieść o romansie zraniła jej dumę i musiała podważyć zaufanie do męża. Zamknięty w celi wojskowego więzienia Dorfrichter miał mnóstwo czasu, aby rozmyślać nad tym, jak na to zareaguje żona. Nie miał żadnego sposobu, by rozwiać jej wątpliwości, pozyskać ją sobie na nowo, jeśli się od niego odsunęła. Jeszcze jeden ciężar do brzemienia, które go przygniatało. Jeszcze jeden cierń wbity w ciało, który nie pozwalał mu zasnąć głębokim, mocnym snem.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Kunze nie widział się z generałem Wenclem od czasu sławetnego przyjęcia. Kiedy otrzymał rozkaz stawienia się w kancelarii generała, wiedział, że nie będzie to przyjacielska pogawędka.

- Już ponad miesiąc upłynął - zaczął Wencel bez żadnych wstępów - odkąd prowadzi pan sprawę i od trzynastego listopada trzyma oficera o nienaganej reputacji w areszcie. Dzisiaj mamy już dwudziesty trzeci grudnia, a pan jeszcze nie zdołał przedstawić nam przekonywających dowodów przeciwko oskarżonemu ani spowodować przyznania się jego do winy. Usiłował pan nawet zrobić ze śmierci jakiejś nieszczęsnej chórzystki brudną sprawę o morderstwo. Ale to spaliło na panewce. Jak długo mamy jeszcze czekać na ostateczny wynik śledztwa?

- Za pozwoleniem, panie generale. To nie ja zrobiłem wrzawę wokół śmierci młodej kobiety. Zrobiła to prasa. Nawiasem mówiąc nie była to jakaś chórzystka, lecz aktorka.

- Cóż to za różnica, u diabła?! - odpowiedział Wencel ponuro, po czym dodał: - W jaki sposób zamierza pan prowadzić dalej sprawę?

- Tak samo jak do tej pory: przesłuchując świadków, szukając dodatkowych poszlak.

- Dodatkowych? O ile mi wiadomo, nie ma pan żadnej!

Kimże milczał.

- Nie uważa pan za wskazane, byśmy zwolnili tego człowieka? - spytał generał.

- Oczywiście, że nie.

- Cóż, u licha, niech pan prowadzi dalej śledztwo. Może pan odejść - powiedział generał bardzo nieuprzejmym tonem, ale Kunze wcale się tym nie przejął. Był już przy drzwiach, kiedy go Wencel zatrzymał. - Wczoraj wezwano mnie do Belwederu. Jego Wysokość, arcyksiążę Franciszek Ferdynand, wyraził niezadowolenie ze sposobu, w jaki prowadzimy tę sprawę - oświadczył, a ponieważ Kunze nie kwapił się z odpowiedzią, generał dodał: - Mówię o tym dlatego, bo ufam, że zrobi to na panu wrażenie.

Kunze stał dalej przy drzwiach.

- Widać jednak nie zrobiło - mruknął Wencel.

- Co, mianowicie, panie generale?

- Wrażenia na panu!

- Ani trochę i jeśli arcyksiążę zostanie jutro cesarzem, będzie mógł zwolnić Dorfrichtera, a nawet przypiąć mu medal. Ale dzisiaj cesarzem jest Franciszek Józef.

- Doktor Goldschmiedt widział się z baronem von Schönaich. Stara się, żeby Ministerstwo Wojny przekazało sprawę władzom cywilnym.

Najwyraźniej Wencel zamierzał podawać wiadomości małymi dawkami

- Mówił mi na przyjęciu u pana, że będzie się o to starał - rzekł Kunze.

- Co mu pan na to odpowiedział?



- Żeby oszczędził sobie trudu. Ministerstwo i tak przedłoży sprawę cesarzowi.

- Jeśli mam być szczery, nie jest do pana życzliwie usposobiony.

- Minister Schönaich?

- Nie, doktor Goldschmiedt.

- Tego się mogłem spodziewać. Zresztą wcale nie pragnę być zaliczanym do jego przyjaciół.

Wencel otworzył księgę z aktami leżącą na biurku i zaczął wodzić palcem po tekście, dając tym samym znak, że audiencja jest skończona.

- To byłoby wszystko, kapitanie - rzekł i dodał: -

Życzę Wesołych Świąt!

- Wesołych Świąt dla pana, panie generale, i pani Wencel - odpowiedział Kunze tonem nadspodziewanie wesołym i spieszenie opuścił pokój.

Zastał u siebie w kancelarii czekających Heinricha i Stoklaskę i z wyrazu ich twarzy poznał, że mają dla niego nowiny.

- Znaleźli tego człowieka! - oznajmił Stoklaska. Zwykle bardzo dokładny i rzeczowy w relacjach był teraz tak przejęty, że nie panował nad słowami.

- Jakiego człowieka?

- Szeregowca! - odrzekł Heinrich.

- Ordynansa, który chciał kupić cyjanek u Ritzbergera w Linzu!  
- dorzucił Stoklaska.

Wreszcie Kunze pojął, o co im chodzi.

- Ciekawe! Może mi teraz któryś z was powie, jak się to stało.

Kiedy przesłuchano już wszystkich szeregowców z garnizonu w Linzu, rozciągnięto poszukiwania na całą monarchię. Wypytywano każdego żołnierza przeniesionego z Linzu do innego garnizonu. W końcu odnaleziono owego żołnierza w Zagrzebiu. Z całą gotowością potwierdził fakty podane przez Ritzbergera. Po cyjanek wysłał go pewien porucznik, u którego służył wtedy jako ordynans. Kiedy powtórzył porucznikowi, iż aptekarz żąda zezwolenia, porucznik rozżościł się i powiedział, co Ritzberger może zrobić ze swoim cyjankiem. W parę dni później zarówno oficer, jak ordynans otrzymali rozkaz przeniesienia; szeregowiec zameldował się niebawem w 17 pułku piechoty w Zagrzebiu, porucznik zaś w 28 pułku w Nagykanizsa.

Kunze zatelefonował do dowództwa pułku prosząc o przesłuchanie podporucznika Xaviera Vaniniego w związku z usiłowaniami zakupu cyjanku. Jeszcze tego samego popołudnia otrzymał telegram z odpowiedzią, która rozwiała zagadkową poszlakę związaną z Ritzbergerem. Cyjanek potrzebny był Vaniniemu, zapaloniemu amatorowi sztuki fotograficznej, do wywoływania zdjęć. Kiedy Ritzberger odmówił ordynansowi sprzedaży cyjanku, Vanini właśnie pakował się do odjazdu. Wkrótce po przybyciu dwunastego listopada do Nagykanizsa otrzymał wymagane zezwolenie z Miejskiego Urzędu Zdrowia i nabył ów chemiczny środek u miejscowego aptekarza. Kunze przeczytał telegram po raz drugi. - Znów wracamy do miejsca, skąd wystartowaliśmy miesiąc temu - stwierdził Kunze, ale po chwilowym zastanowieniu poprosił, aby mu dostarczono wszystkie dostępne

informacje o Vaninim: dane personalne, charakterystykę przebiegu służby, fotografię, wszystko. Zabębnił nerwowo palcami o blat biurka, a następnie zwrócił się do Stoklaski: - Wolałbym tego nie robić, ale muszę prosić cię, byś pojechał do Linzu. Jeśli się nie mylę, najbliższy pociąg odchodzi o piątej. Będziesz miał wieczór i rano następnego dnia na zebranie wszystkich dokumentów oraz informacji. Jeśli złapiesz pociąg odjeżdżający z Linzu wczesnym popołudniem, zdążysz zapalić świeczki na choince w domu. - Nie patrzył w stronę Stoklaski. Okrucieństwem było wysłać takiego światowego młodzieńca poza Wiedeń w przeddzień Bożego Narodzenia i, na wypadek gdyby porucznik zrobił skwaszoną minę, Kunze wołał tego nie widzieć.

Z ulgą przyjął fakt, że Stoklaska nie zakwestionował rozkazu. Jako zapalony czytelnik powieści kryminalnych był prawdopodobnie uradowany perspektywą wyprawy jakby w stylu Sherlocka Holmesa. Poza tym, zerwał właśnie z dziewczyną i był całkiem wolny, bez żadnych określonych planów, na okres świąt.

Gmach sądu opustoszał, gdyż większość pracowników nie powróciła już z obiadowej przerwy do pracy. Kunze podszedł do okna i spoglądał w dół na ruchliwą Hernalser Gürtel. Śnieg padał przez cały dzień, a meteorolodzy obiecywali Boże Narodzenie na biało. Kochał Wiedeń o każdej porze roku, ale najbardziej w śnieżne wigilijne wieczory, kiedy miasto stawało się jakby pełną ciszy katedrą o sklepieniu z mrocznego nieba. Nie mógł pojąć, jak można obchodzić taki wieczór wśród wulgarnej muzyki i hałaśliwej zabawy, jak na

przykład w Paryżu. Według Kunzego był to czas rodzinnych spotkań, obdarowywania się prezentami, a nade wszystko wieczór spokoju.

Teraz, o piątej po południu, Wiedeń roił się od ludzi spieszących się, by zdążyć do domu, nim ustanie komunikacja miejska, od dzieci wychodzących z opery po tradycyjnym przedstawieniu popołudniowym „Jasia i Małgosi”. Coraz to rozlegał się rumor spuszcanych nad wejściami sklepowymi żaluzji, słychać było szuranie mioteł zamiatających chodniki ze śniegu, brzęk dzwonek u sań, a czasami dwudziestowieczny sygnał trąbek samochodowych, zakłócających dziewiętnastowieczną atmosferę miasta.

Stoklaska powrócił z teczką pełną dokumentów. Całe życie nieznanego im Xaviera Vanini widniało przed nimi na biurku Kunzego. Nie było w tym życiu nic godnego szczególnej uwagi. Z różnorodnych zaświadczeń i opinii wyłaniała się postać przeciętnego oficera liniowego, urodzonego przed dwudziestu siedmiu laty w Trieście, wyznania rzymsko-katolickiego, kawalera, który uczęszczał do szkół w Fiume, skończył Akademię Wojenną w Wiener Neustadt, odbywał kolejno służbę w Grazu, Lwowie, Sarajewie, Linzu i na koniec w Nagykanizsa.

- Sarajewo od stycznia 1907 do listopada 1908 - powiedział Kunze. - Dorfrichter był w Sarajewie od października 1907 do maja 1909. Obydwaj służyli w 18 brygadzie piechoty. Prawdopodobnie znali się. Obu przeniesiono do 14 brygady piechoty w Linzu. - Przeczytał uważnie najnowsze dane z opinii służbowej o Vaninim: „Nadaje się do służby liniowej, choć wykazuje słabą inicjatywę, niewskazane

powierzenie mu samodzielnych patroli, działa skuteczniej pod kontrolą”.

- Nie sądzę, by go uważano za wysoko kwalifikowanego oficera - zauważył Stoklaska. - Lubiany, szczególnie przez kolegów, lecz nie traktowany zbyt poważnie. Pije dużo, ale ma mocną głowę. Zapewne jest w długach po uszy i w rękach lichwiarzy, ale jakoś brnie przez to wszystko z pomocą kolegów.

- Miał jakieś powiązania z Dorfrichterem?

- Nic specjalnego. Poza służbą obracali się w odmiennym towarzystwie. Vanini wśród młodszych i mniej wstrzemięźliwych, Dorfrichter wśród elity. Dorfrichter był kandydatem do Sztabu Generalnego i musiał uważać na każdy swój krok. Vanini był przeciętnym oficerem, co też ma swoje dobre strony.

- Oczywiście, że nie mogło być między nimi zmowy! Nie łączyła ich przyjaźń, a zgładzenie nawet całego Sztabu Generalnego nie pomogłoby Vaniniemu w karierze. Jeszcze jedna ślepa uliczka. Przepraszam, że trudziłem cię niepotrzebnie - tłumaczył się Kunze.

- Nie szkodzi - odrzekł Stoklaska z uśmiechem. - Lubię jeździć pociągiem. Raz na lotnisku w Strobl nad Wolfgangsee, jako pięcioletni berbecę, wśliznąłem się do wąskotorowej, kolejki, która objeżdża jezioro i rodzice musieli jechać aż do Ischl, aby mnie odebrać. Poza

tym miałem wczoraj możliwość zjedzenia dobrej kolacji w hotelu Herrenhaus. Przy okazji rozmowna stara pokojówka wygadała się, że widziała raz w hotelu Dorfrichtera. Z tonu jej słów wynikało, że był najwyraźniej zamieszany w jakiś skandal.

Kunze przypomniał sobie nagle minę głównego kelnera i portiera, kiedy zapytał ich o porucznika.

- Co ci dokładnie powiedziała? - spytał.

- Nic szczególnego. Narobiła mi. apetytu, a potem zamilkła. Nawet za pięć koron nie chciała nic więcej powiedzieć.

- Trzeba jej było dać dziesięć - odrzekł Kunze. Zapisał spieszenie w leżącym na biurku notatniku:

„Zobaczyć się z inspektorem Weinbergerem w sprawie Herrenhaus”.

- Znacie porucznika Petera Dorfrichtera? - zapytał Kunze szeregowca, który siedział przed nim sztywno na brzegu krzesła.

Boka spojrział na kapitana wzrokiem śniętej ryby. Kunze poprosił go, by usiadł, co wydało się Boce podejrzane. Czuł się znacznie pewniejszy w obecności oficerów, którzy zachowywali się zwyczajnie, czyli jak normalni dranie. Pamiętał też swe poprzednie spotkanie z kapitanem, więc miał się na baczności.

- Melduję posłusznie, panie kapitanie, że znałem porucznika Petera Dorfrichtera.

- Dobrze go znałeś?

Boka rozważał dokładnie wszystkie możliwe konsekwencje swej odpowiedzi.

- Melduję posłusznie, panie kapitanie, że słyszałem, jak ludzie mówili, że to ten oficer przysłał truciznę kapitanowi Maderowi.

- Co ci wiadomo o stosunkach łączących kapitana Madera z tym porucznikiem?

- Melduję posłusznie, że nie rozumiem, o co mnie pan pyta.

Kunze pochylił się w krześle, jakby chciał skrócić wszelki dystans dzielący go od Węgra.

- Słuchaj, Boka, chciałbym się dowiedzieć, czy porucznik Dorfrichter czuł jakąś urazę do twego kapitana? - Kunze mówił powoli, akcentując każdą sylabę. - Trudno uwierzyć, aby jakiś oficer chciał zgładzić kolegę, ale jeśli to zrobił, musiał mieć po temu poważny powód. Służyłeś u kapitana Madera cztery lata i...

- Pięć - wtrącił Boka. W głosie jego brzmiała duma i przez krótki moment w oczach pojawiło się wzruszenie.

Nie umknęło to uwadze kapitana,

- Obaj chcemy tego samego. Znaleźć sprawcę zbrodni. Toteż zastanów się dobrze. Czy twój kapitan nie pobił się kiedyś z porucznikiem Dorfrichterem albo pokłócił po pijanemu lub na trzeźwo o jakąś kobietę czy pieniądze.

Boka pokręcił wolno głową, przesunął się do tyłu, żeby rozsiaść się wygodniej w krześle. Odkrycie, że wiedział znacznie więcej od kapitana Kunze, dawało mu przewagę nad pytającym.

- Posłusznie melduję - mówił, ostrożnie cedząc słowa - że porucznik nie mógł mieć żadnej urazy. Powinien być nawet wdzięczny kapitanowi Maderowi.

- Wdzięczny? Za co?

- Bo mu uratował życie!

Parę minut minęło, nim Kunze pojął niemczyzną Boki i zrozumiał, kto kogo uratował. Kiedy wyjaśnili podstawowe fakty, poprosił Bokę, by mu opowiedział historię ocalenia ze wszystkimi szczegółami.

- Melduję posłusznie, że porucznik Dorfrichter wszedł do wody, a wtedy przysła duża fala i zwała go z nóg. Zaczął krzyczeć, więc kapitan Mader skoczył do wody i go wyratował.

- Do licha, Boka. Mów trochę dokładniej. Do jakiej wody? Czy to była rzeka, czy jezioro? Gdzie się to wszystko stało i kiedy?

- W Castelnuovo, panie kapitanie, w czerwcu 1904. Pod koniec pierwszego roku Akademii Wojennej wszyscy, którzy zdali egzaminy, wyjechali do Castelnuovo nad Adriatyk, by odbyć kurs pływania, żeglowania i nawigacji. Szkolenie było ostre i wymagało ogromnego wysiłku oraz energii. Oceniano indywidualne postępy, a ocenę wpisywano do wykazu sprawności.

Pewnego ciepłego wieczora Mader i Dorfrichter w towarzystwie trzech innych poruczników postanowili urządzać zabawę na plaży. Tyle przynajmniej zdołał Kunze zrozumieć z nieskładnej relacji Boki.

- Zabrali ze sobą panienki - ciągnął Boka - kosz jedzenia i dziesięć butelek szampana w skrzynce z lodem. Z ordynansów wzięli tylko mnie. Było jeszcze całkiem widno, kiedy tam przyszliśmy, ale kiedy zrobiło się już ciemno, rozpałem dla nich ognisko. Trzech oficerów poszło z pannami do domków plażowych i tylko kapitan Mader i porucznik zostali przy ognisku. Ułożyłem się na piasku niedaleko od nich. Popijaliśmy szampana, kapitan dał mi nawet całą



butelkę, taki był z niego człowiek. Potem porucznik wstał i pobiegł do wody. Słyszałem, jak kapitan wołał za nim, aby uważał, bo porucznik Dorfrichter nie był przyzwyczajony do picia, a tego wieczora wypił ponad swoją normę. Powiedział, że chce się ochłodzić, i już za chwilę wołał o pomoc. Kapitan był w ubraniu, tylko że bez bluzy, ale mimo to pobiegł ratować porucznika. Taki to był z niego człowiek. Zawsze pomagał innym. Raz wszedł na dach trzypiętrowej kamienicy w Krakowie, żeby

ratować kota swej gospodyni, który wylazł przez lufcik na strychu.

- Wróćmy do tego, co było w Castelnuovo - przerwał Kunze.

- Dobrze, panie kapitanie. Otóż kapitan Mader nie mógł z początku odnaleźć porucznika Dorfrichtera w ciemnościach. Tak jak już mówiłem, zmyła go fala, a gdy się cofnęła, to zagarnęła ze sobą. W końcu udało się kapitanowi wyciągnąć porucznika z morza. Kaszlał i pluł, jak go trzymaliśmy głową w dół, żeby wytrząsnąć z niego wodę. Tamci trzej oficerowie usłyszeli krzyk i przybiegli zobaczyć, co się stało, ale kapitan Mader powiedział im, że porucznik tak tylko sobie żartował, więc mu uwierzyli i poszli robić dalej swoje z tymi pannami w domkach plażowych. Porucznik Dorfrichter długo nie mógł przyjść do siebie, ale w końcu stanął na nogi.

- Jeśli kapitan powiedział, że porucznik żartuje, to skąd mogłeś wiedzieć, że tak nie jest?

- Melduję posłusznie, że porucznik Dorfrichter był w wodzie nieprzytomny ze strachu. Kwiczał jak zarzynane prosię. Słyszałem też,

jak prosił kapitana, aby nie mówił nikomu, że się mało nie utopił. Kapitan dał słowo, że nie powie i nie powiedział.

- Ale ty to zrobiłeś?

- Co zrobiłem?

- Rozgadałeś o tym?

- Nie. To nie byłoby w porządku, skoro kapitan Mader dał słowo. Mnie też to tyczyło.

- Czy kapitan Mader i porucznik Dorfrichter nadal się kolegowali po tym, co zaszło na plaży? Byli ze sobą w kontakcie?

- Nie wiem. Kapitan Mader i ja nie stacjonowaliśmy w tym samym garnizonie, co porucznik.

- Pamiętasz nazwiska tamtych trzech oficerów, którzy byli wtedy na plaży?

Boka szukał usilnie w pamięci.

- Jeden to porucznik Gabriel, ten, co później ożenił się z córką majora von Campanini i wystąpił z wojska. Ten drugi był z 14 pułku dragonów, gdzie wszyscy oficerowie chodzą gładko wygoleni. Nie pamiętam jego nazwiska. Jakiś baron, ale Żyd. Nazwiska trzeciego nie znam. Podobno zastrzelił się tego samego lata w Innsbrucku.

- Widocznie chodzi o Hoffera - powiedział Kunze do Stoklaski.

- Tak, o niego! - przytaknęła Boka. - To nie do wiary, że odebrał sobie życie. Wyglądał na takiego, co choćby spadł z konia w obecności cesarza, to by wstał i jeszcze się uśmiechnął.

Kunze nie widział Dorfrichtera od czasu, gdy przesłuchiwał go w więzieniu w związku ze śmiercią Klary Brassay. Jeśli spodziewał się,

że zastanie go w nastroju przygnębienia, bardzo się mylił. Dorfrichter, który zjawił się pod eskortą profosa Tuttmana i uzbrojonego strażnika, miał promienny wzrok i zaróżowione policzki. Wyglądał na najbardziej wypoczętego człowieka w armii austro-węgierskiej.

- Czyżby znowu jakieś złe wieści? - spytał wesoło, kiedy strażnicy wyszli z pokoje.

- Nie takie znów złe. Dowiedziałem się właśnie, że kapitan Mader wyciągnął kiedyś pana z Adriatyku. Czemu nigdy nie wspominał pan o tym?

Dorfrichter spochmurniał. - Nie było potrzeby - odparł z irytacją. - Pan już wie, że jestem kiepskim jeźdźcem, a teraz jeszcze, że nie umiem dobrze pływać.

- Do diabła, Dorfrichter! - wybuchnął Kunze. - Nie interesuje mnie pańska sprawność fizyczna. Chcę wiedzieć, czy zabił pan Richarda Madera, tego, który wyciągnął pana z morza?

- Już mówiłem, że nie. Ale pan nie chce mi wierzyć. Stale wyciąga pan na jaw zdarzenia, które nie mają nic wspólnego z tą sprawą. Powiedziałem panu, że nie zabiłem Klary Brassay, ale pan nakazał ją ekshumować, zarządził sekcję zwłok i co panu z tego przyszło? Byłoby prościej i taniej, gdyby mi pan od razu uwierzył na słowo.

„Wie, że nie znaleźliśmy trucizny - pomyślał Kunze. - Ktoś musiał mu donieść o wynikach sekcji, dlatego poczuł ulgę, bo przecież nie wykrzesałby sam z siebie takiego optymizmu i spokoju. Sześć tygodni ścisłego odosobnienia powinno zostawić na nim jakiś ślad, poza tym przestał pytać o żonę i dziecko. Poprzednio ciągle o nich

myślał. Czy nie zastanawia go, jak zareagowała żona na wieść o jego romansie z Klarą Brassay? Zapewne zdał sobie sprawę, że wiadomość przeniknęła już do gazet. Czyżby porozumiewał się z żoną? Nie byłby to pierwszy wypadek potajemnych kontaktów aresztanta z ludźmi spoza więzienia”.

Kunze wrócił do sedna sprawy.

- Jestem zdumiony, poruczniku. Pańska próżność zdaje się przewyższać instynkt samozachowawczy. Jeżeli Mader naprawdę uratował pana od utonięcia, to trzeba być potworem, aby nastawać na jego życie. Ciągłe jeszcze nie mogę uwierzyć, że jest pan do tego zdolny.

- Szczerze mówiąc doszedłem już do takiego stanu, że przestało mnie obchodzić, w co pan wierzy. Wolałbym jednak, aby nie próbował pan rozwiązywać sprawy wróżąc z mojej ręki. Znajdźcie świadka, który widział, jak wrzucałem te przeklęte listy, albo sam sprzedał mi truciznę! Ale nie znajdziecie, bo taki w ogóle nie istnieje.

- Być może. A może już go znaleźliśmy?

- Wobec tego sprowadźcie go tu i postawcie mnie przed sąd doraźny. Niech już raz będzie koniec z tym wszystkim! Jak długo zamierzacie bawić się ze mną w kota i myszkę? Kunze wstał i zrobił krok w stronę Dorfrichtera.

- Czy Mader wyciągnął pana z wody, czy nie?

- To nie pana sprawa, u licha! - zawołał Dorfrichter. - Niech go pan wydobędzie z grobu i sam zapyta.

Kunze zbladł.

- Na dzisiaj już wystarczy!

Rozgniewanym głosem wezwał strażników i nakazał wyprowadzić Dorfrichtera do przyległej poczekalni. Miał tam zaczekać, aż przyczłapie zdyszany wspinaniem się po schodach profos Tuttman i odprowadzi go do celi.

- Drań, nie spytał nawet o żonę - powiedział Kunze do Stoklaski. - Czuję, że musiał dostać od niej wiadomość. Niewykluczone, że się komunikują. - Zapalił papierosa, ale mimo starań nie zdołał opanować drżenia dłoni, w której trzymał zapalną. - Nie dałbym głowy, czy doktor Goldschmiedt nie przykłada do tego ręki. Próbował już przenieść sprawę do sądu cywilnego, ale mu się to nie udało. Teraz znów będzie próbował coś zdziałać. Nie należy do tych, co się łatwo poddają. - Kunze czuł na sobie spojrzenia współpracowników. Dorfrichter nie był jedynym aresztantem, który zachowywał się niegodnie podczas przesłuchania. Jednakże nigdy dotąd nie widzieli, aby kapitan stracił panowanie nad sobą.

Po drodze do domu Kunze wstąpił do urzędu żandarmerii, żeby powiedzieć inspektorowi Weinbergerowi o swym podejrzeniu i spowodować, by nad Marianną Dorfrichter rozciągnięto policyjny nadzór. Począwszy od następnego ranka mieszkanie Gruberów miało być pilnie obserwowane, a każda osoba odwiedzająca Mariannę dyskretnie sprawdzona.

- A tak przy okazji... I tak musiałbym pójść jutro

do pana - rzekł inspektor Weinberger. - Po naszej rozmowie przez telefon w sprawie hotelu Herrenhaus skontaktowałem się z policją

w Linzu. Przesłuchano portierkę, i głównego kelnera, ale żadne z nich nie chciało sobie przypomnieć o jakimkolwiek incydencie związanym z Dorfrichterem. Nagle wczoraj otrzymałem list od pewnego detektywa z oddziału w Linzu. Pisze, iż ma istotne informacje, które mogłyby nas zainteresować. Przyjechałby do Wiednia, ale jego szef chce, abyśmy opłacili kosztą podróży. Odpowiedziałem telegraficznie, że się zgadzamy, więc będzie tu jutro z rana.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Detektyw ów, Johann Schiff, pochodził z Tyrolu i wyglądał tak, jakby w ogóle nigdy nie opuszczał gór, by przyjąć pracę w mieście. Był ubrany w ciemnozielony wełniany strój ze srebrnymi guzikami, ciężkie buty i filuterny kapelusz z kozią kitką. Miał zarumienioną od wiatru i słońca twarz gajowego, chociaż jej barwa mogła także pochodzić od słońca kryjącego się w karafce. Przełożony Schiffa określił go jako wzór inteligencji i rzetelności.

- Zeszłej jesieni wybrałem się w interesach do Wiednia i wracałem dwudziestego pierwszego września do Linzu statkiem - mówił Kunzemu. - Było wyjątkowo ciepło jak na tę porę roku. Dunaj jest zazwyczaj spokojny, ale zawsze znajdzie się parę osób, które dostają mdłości na sam widok fal, co się właśnie przydarzyło pewnej dziewczynie nazwiskiem Mitzi Haverda. Mam dwie córki i kiedy zobaczyłem, że robi się zielona na twarzy i podchodzi do bariery, poprosiłem szypra o kieliszek wódki, podałem dziewczynie i nakłoniłem, aby wypła. Potem namówiłem ją, by się wyciągnęła na pokładzie. Niebawem poczuła się lepiej i wyjawiała, że jedzie do Linzu w odpowiedzi na ogłoszenie o pracy. Pewne małżeństwo zamieściło anons w wiedeńskiej gazecie, że poszukuje odpowiedniej służącej. Posłała im referencje oraz fotografię, na co otrzymała od pana domu wiadomość, że wyjdzie po nią osobiście na przystań. Dziewczyna była niezwykle ładna i zdziwiło mnie, dlaczego nie chcieli, aby przyszła wprost pod ich adres. Mieliśmy już kilka wypadków „białego

niewolnictwa”: zwabiano dziewczęta do pokoju hotelowego, usypiano narkotykiem i wywożono statkami do burdeli na Bliskim Wschodzie. Zacząłem więc coś podejrzewać. Przykazałem dziewczynie, by jechała tam, gdzie ją ten mężczyzna zabierze. Ja zaś udam się za nimi i przystąpię do akcji w odpowiednim momencie. - Detektyw odetchnął głęboko. - Stało się tak, jak przypuszczałem. Pan domu napisał w liście, cytuję: „trzymaj różę w swych ślicznych ustach”, koniec cytatu, co także brzmiało dosyć dziwnie. Dziewczyna kupiła różę w Wiedniu poprzedniego wieczora, ale róża ta już nieco przywiędła, kiedy Mitzi wysiadła na brzeg trzymając ją w zębach. Ludzie przyglądali się temu ze zdziwieniem, ale kwiat spełnił swe zadanie, gdyż momentalnie podszedł do dziewczyny jakiś młodzieniec, ujął ją pod rękę i pomógł wsiąść do wynajętej zawczasu dorożki. Dziewczyna obejrzała się, żeby sprawdzić, czy idę za nią, ja zaś dałem jej znak, żeby się nie martwiła. Słyszałem, jak podawał adres dorożkarzowi. Jechali do Herrenhaus, co umocniło mnie w podejrzeniach. W hotelu szedłem za nimi aż do hallu. Widocznie też zawczasu wynajął pokój, gdyż poprowadził dziewczynę od razu na górę. Oczekałem, aż dojdą do połowy schodów, podążyłem za nimi i dostrzegłem, jak weszli do pokoju na drugim piętrze, Zauważył mnie główny kelner i dał znać detektywowi i zarządzającemu. Sądziłi, iż złapali hotelowego złodzieja, ale się im wylegitymowałem i wyjawilem cel mej wizyty.

Zachowywali się tak, jakby nigdy żaden mężczyzna nie bywał tam z kobietą, bo zagroziłoby to dobrej sławie tej wiekowej landary. Chcieli, bym sprawę przekazał w ich ręce, ale się uparłem, żeby



wspólnie przerwać tamtej parze sam na sam. Drzwi były zamknięte na klucz, ale wpuszczono nas bez trudności do środka. Nasza para siedziała przy stole, na którym stał tort migdałowy i butelka słodkiego wina. Młodzieniec oburzył się na mnie, ale kiedy poprosiłem, aby udał się ze mną na posterunek policji, to się trochę zreflektował. Przedstawił się jako porucznik Dorfrichter. Przyznał się do zwabienia dziewczyny do hotelu pod fałszywym pretekstem. Miał jednak na celu tylko „niewinną przygodę”, pod warunkiem, że dziewczyna będzie miała na to ochotę. Linz jest miastem garnizonowym, nie traktujemy takich eskapad młodych oficerów zbyt poważnie, toteż byłem skłonny puścić w niepamięć całą sprawę, jeśli dowództwo pułku potwierdzi jego tożsamość. Poszliśmy więc do dowództwa, które znajduje się o parę kroków od hotelu, a tam dyżurny oficer istotnie potwierdził tożsamość porucznika.

- Czy powiedział pan w dowództwie pułku, w jakim celu chce go pan zidentyfikować? - spytał Kunze.

- Tak. Miałem nadzieję, że mu porządnie zmyją głowę.

- Rzeczywiście to zrobili?

- Skądże! Dyżurny oficer potraktował rzecz całą jako pierwszorzędny żart. Nawet przyobiecał porucznikowi, że nie powie o tym żonie. Stąd dowiedziałem się, że Dorfrichter jest żonaty.

- Czy przypadkiem zapamiętał pan nazwisko tego dyżurnego oficera?

- Tak, proszę pana - odpowiedział detektyw i wyciągnął notes. Spojrzał do środka i podał: - To był podporucznik Xavier Vanini.

Zanotowałem je, ponieważ nie spodobał mi się jego stosunek do tej sprawy. Powiedziałem już panu, że mam dwie córki i nie byłoby mi do śmiechu, gdyby jakiś młodzieniec zwabił którąś z nich do hotelu.

- Vanini - przez chwilę Kunze zastanawiał się, w jakich okolicznościach słyszał już to nazwisko. Nagle przypomniał sobie, że ordynans tego oficera chciał kupić cyjanek u Ritzbergera. Nie było nic nadzwyczajnego w tym, że nazwisko to znów wypłynęło. Ktoś musiał mieć dyżur w dowództwie, mógł to być każdy spośród podporuczników pułku piechoty. Tego wieczora dyżur przypadł Vaniniemu, co może być czystym zbiegiem okoliczności.

- Co pan zrobił z dziewczyną? - spytał Kunze detektywa.

- Kazałem jej zaczekać w hallu. Kiedy skończyłem sprawę na posterunku, zaprowadziłem ją na stację, kupiłem bilet trzeciej klasy i umieściłem w pociągu jadącym do Wiednia. Sądziłem, że widzę ją pierwszy i ostatni raz. Może pan wyobrazić sobie moje zdumienie, kiedy w tydzień później natknąłem się na nią przypadkowo na ulicy. Z początku starała się wyprowadzić mnie w pole. Powiedziała, że jest w Linzu przejazdem, ale kiedy zagroziłem aresztowaniem za włóczęgostwo, załamała się i wyznała mi, iż mieszka z porucznikiem Dorfrichterem na Waldecku. To jedno z naszych przedmieść.

- Mieszka z nim? Czyż on nie przebywał w domu?

- Wynajął dla niej prywatnie pokój i odwiedzał ją codziennie. Czasami zostawał też na noc. Ostrzegłem ją, żeby wyniosła się z miasta w ciągu doby, bo w przeciwnym razie aresztuję ją za uprawianie

prostytucji. Napędziłem jej tym strachu i być może także przestraszyłem porucznika, bo na drugi dzień wyjechała.

- Czy kontaktował się pan z porucznikiem?

- Nie, proszę pana. Mamy rozkaz okazywać takt i wyrozumiałość, gdy idzie o oficerów, szczególnie gorąckrwistych młodych paniczów. Służba w armii w czasie pokoju jest dość nużąca. Muszą więc się od czasu do czasu wyszumieć. Ale szkoda było tej dziewczyny, córki uczciwych, bogobojnych ludzi pracy. W takim wypadku staramy się jak można, na wszystkie sposoby, przemówić takiej dziewczynie do rozumu.

Kunze patrzył w zamyśleniu na Schiffa, strażnika prawa w mieście liczącym sześćdziesiąt pięć tysięcy mieszkańców, człowieka o niemal biblijnym podejściu do swych obowiązków i beztróskim braku szacunku dla praw i zaleceń, jeśli okazywały się mało przydatne, przepychającego się przez życie z trudem, lecz zwycięsko, podobnie jak jego zwierzchnicy i cała austriacka biurokracja. W imię tego młodym oficerom wolno było wyszumieć się dla dobra kraju, ale w imię tego samego dobra dziewczęta niższych warstw trzymało się krótko i surowo.

- Niech sprowadzą Dorfrichtera - polecił Kunze Stoklasce. Kiedy porucznik wyszedł z pokoju, żeby przekazać polecenie profosowi Tuttmanowi, Kunze zwrócił się do detektywa:

- Chciałbym, aby się pan dobrze przyjrzał porucznikowi Dorfrichterowi. Spytam, czy rozpoznaje pan w nim młodzieńca, którego zastał pan w towarzystwie dziewczyny w jednym z pokoiów hotelu Herrenhaus w Linzu, dwudziestego pierwszego września. Jeśli to ten

sam, wystarczy, jak pan tylko lekko skinie głową. To jest na razie wszystko, czego chcemy. Potem porucznik Heinrich zaprowadzi pana do okienka płatnika, gdzie odbierze pan należność za przejazd i fatywę. Bardzo dziękujemy za przybycie i udzielenie nam cennych informacji.

Kiedy czekali na przyjście Dorfrichtera, Kunze udawał, że ślęczy nad dokumentami leżącymi na biurku. Starał się skupić uwagę na papierach, ale bez skutku. Perspektywa zetknięcia się z Dorfrichterem budziła w nim nerwowe napięcie. Jak zawsze bał się i pragnął tego zarazem. Wyczekiwał z niecierpliwością każdego spotkania spodziewając się cudu i za każdym razem czuł się znużony i zawiedziony. Nie potrafił już dalej oszukiwać siebie, że niecierpliwie czeka tylko na to, by Dorfrichter przyznał się do winy. Oczywiście pragnął tego równie mocno, ale chciał też, by się zdarzyło coś więcej, by runął jakiś mur, nawiązała się nić porozumienia, wyciągnęła się dłoń i padło jakieś słowo. Zwykle dumą napawał go fakt, że potrafi całe życie panować nad swymi uczuciami, ale oto nagle, u progu dojrzałego życia, dotknęła go jakby infekcja, której rozwoju nie sposób było powstrzymać ni lekami, ni kuracją. W chwilach gdy powracał spokój, czuł wyraźnie, że choroba ta, niczym atak gorączki, musi niebawem minąć wobec braku nadziei i szansy na jakiegokolwiek porozumienie między nimi. Ale wśród wszystkich tych dni i nocy tylko chwile spędzone z Dorfrichterem miały jakieś znaczenie. Były to istne wysepki radości życia pośród płynącej jałowo i bez sensu rzeki czasu.

Jak zwykle, Dorfrichter wszedł do pokoju z profosem Tuttmanem u boku i uzbrojonym w bagnet strażnikiem w tyle za nimi.

Porucznik pochwycił wzrok detektywa Schiffa i znieruchomiał na progu. Rzucił Kunzemu wrogie spojrzenie, a potem stanął w postawie na baczność. Stoklaska i Heinrich podnieśli się z miejsc i odsalutowali, Kunze skinął głową. W obecności Dorfrichtera doznał uczucia, jak gdyby nagle zabrakło w powietrzu tlenu tak, że z trudem mógł oddychać.

Jednocześnie wyczuł instynktownie, jak Dorfrichter drgnął z przerażenia na widok Schiffa, co było dla kapitana bardziej wymownym dowodem, niż pojawienie się jakichś dodatkowych świadków. Kunze zwolnił eskortę. - Panie Schiff - rzekł do detektywa - proszę się przyjrzeć porucznikowi i powiedzieć, czy go pan kiedykolwiek widział?

Schiff nie spuszczał wzroku z Dorfrichtera od momentu, gdy porucznik pojawił się w pokoju.

- Tak, już widziałem tego porucznika.

- Czy to ten sam zaobserwowany przez pana mężczyzna, który spotkał się z dziewczyną nazwiskiem Mitzi Haverda w Linzu na rzecznej przystani dwudziestego pierwszego września i którego zastaliście z nią, w godzinę później, sam na sam w jednym z pokoi hotelu Herrenhaus w Linzu?

- Tak jest, to ten sam.

- Dziękuję. Może pan już odejść.

Detektyw skłonił się sztywno. Kunze i Stoklaska podali mu rękę na pożegnanie, a Heinrich wyprowadził go z pokoju. Będąc na progu

Schiff rzucił jeszcze pożegnalne spojrzenie w stronę Dorfrichtera, który całkowicie to zignorował.

Kiedy za detektywem i Heinrichem zamknęły się drzwi, Dorfrichter zwrócił się do kapitana z wyrzutem:

- Po co, u licha, pan to zrobił? Spałem z tą dziewczyną, to prawda. Ale czy to dowodzi, że zabiłem Madera?

Drwiący ton głosu zaskoczył kapitana, gdyż raczej przystoi równym sobie kolegom, nie zaś podejrzanemu, który zwracał się do sędziego. Kunzego bardziej to zbiło z tropu niż jakikolwiek przejaw wrogości.

- Do diabła, Dorfrichter, zwabił pan naiwną dziewczynę pod fałszywym pretekstem do Linzu i zaprowadził wprost do hotelu, po to, żeby ją uwieść?

- A po co idzie się z dziewczyną do hotelu? Żeby grać z nią w karty? Temu staremu szpiclowi tylko tak się zdawało, że pod fałszywym pretekstem zwabiłem ją do Linzu. To nie była osoba, która miałaby ochotę ciężko pracować. W odpowiedzi na nasze ogłoszenie uprzedziła od razu, że nie nadaje się do żadnej ciężkiej pracy jak mycie okien lub szorowanie podłóg i że cały czas służyła jako gospodyni tylko u kawalerów lub wdowców. Dlatego żona moja natychmiast z niej zrezygnowała. Była wówczas już w szóstym miesiącu, ja zaś, na polecenie lekarza, prawie od samego początku ciąży trzymałem się od niej z daleka. Dziewczyna sądząc z załączonej fotografii wydała mi się diabelnie ładna, toteż pomyślałem sobie, że skorzystam z okazji, i napisałem do niej. Przyjechała i wcale się nie opierała, gdy ją wiozłem

do hotelu. Gawędziliśmy miło, kiedy wpadł nagle ten detektyw i zaciągnął mnie na posterunek policji, a potem do dowództwa pułku. Kiedy wsadził ją do pociągu, sądziłem, że to już koniec z tą sprawą. Nazajutrz dostałem od niej list z przeprosinami za kłopot, który mi sprawiła, i propozycję ponownego przyjazdu do Linzu. Zgodziłem się, każdy by to zrobił na moim miejscu, toteż przyjechała. Resztę już pan zna. Nie jestem wbrew pozorom aż takim łajdakiem. Nawiasem mówiąc nie była już dziewicą, toteż może być pan spokojny, że nie stała się jej żadna krzywda.

Kunze nieoczekiwanie dla siebie parsknął śmiechem.

- Ależ z pana nicpoń, Dorfrichter.

Widział, że nie sposób było oprzeć się owemu zuchwałemu czarowi, który sprawiał, że nawet cyniczna pewność siebie Dorfrichtera była wprost zniewalająca. Kunze przyjrzał mu się dłuższą chwilę badawczo i stwierdził oto, że ma przed sobą niezwykle urodziwego młodzieńca o jasnej i delikatnej karnacji anioła z płócien Tiepolo'ego, o pięknych i mądrych oczach myśliwskiego psa i pełnych ustach hiszpańskich Burbonów.

- Czy żona pana wie o Mitzi Haverda? - spytał Kunze.

Piękna twarz porucznika lekko przybladła.

- Oczywiście, że nie. Mogę pana o coś spytać?

- Proszę bardzo.

- Czy jest pan żonaty?

Kunze spieszył się nieco tak postawionym pytaniem.

- Oczywiście, że nie.

- Tak właśnie sądziłem - Dorfrichter rzekł z ironicznym uśmiechem. - Gdyby pan był żonaty, to by wiedział, że niewierność małżeńska jest drobnym wykroczeniem, dopóki nie dowie się o tym żona. Wówczas staje się ciężką zbrodnią, za którą, w najlepszym wypadku, grozi dożywotnie więzienie. - Umilkł na chwilę. - Ufam, że prasa nie wywęszy tej historii z Mitzi Haverdą. Żona moja wiele już przeszła: ciążą, poród i moje aresztowanie. Wątpię jednak, czy potrafi zrozumieć, jak mało mnie ta dziewczyna obchodziła. Do diabła, przecież nie muszę tłumaczyć się przed panem, jako mężczyzną, ale kobiety nie potrafią takich rzeczy zrozumieć. Zwłaszcza moja żona. Będzie się czuła dotknięta do żywego, a jest już i tak dość nieszczęśliwa. Każdy człowiek ma własną granicę wytrzymałości na cierpienie.

- Powinien był pan pamiętać o tym we wrześniu.

- Na miłość boską, kapitanie. Wtedy, we wrześniu, życie wyglądało zupełnie inaczej. Byliśmy zwykłą parą małżeńską, a nie zerem taniej sensacji jak teraz. Nigdy przedtem nie oszukiwałem żony i nie miałem zamiaru robić tego w przyszłości. Skąd mogłem wiedzieć, że za parę miesięcy każdy najdrobniejszy fakt z mego życia będzie znany każdemu, od Salzburga po Mostar! - Porucznik westchnął głęboko. - Przecież może pan zapobiec przedostaniu się wiadomości na zewnątrz? Proszę bardzo o nie podawanie wiadomości o moich związkach z Haverdą do prasy. Wyłącznie ze względu na moją żonę, żeby oszczędzić jej wstrząsu.



Po raz pierwszy w ciągu całego śledztwa Dorfrichter przejawiał własną wrażliwość. Jak każdy człowiek miał swą piętą achillesową: była nią kobieta z nieprzyzwoicie wydętym brzuchem i twarzą anioła. Kunze nie widział jej od momentu urzędowej wizyty w mieszkaniu Gruberów, ale taką ją właśnie zapamiętał. I właśnie taką samą musiał ją zapamiętać Dorfrichter. „Czym go tak opanowała? - zastanawiał się Kunze. - Nie była to fascynacja seksualna, bo nie byłby zdolny do uprawiania miłości z Mitzi Haverdą z zapalczywością i swobodą kocura. Ani rozumem czy też inteligencją, bo nie robiła wrażenia szczególnie bystrej. Nie z racji urodzenia syna, ponieważ zawsze sprawiał wrażenie, że go bardziej obchodzi żona niż dziecko. W każdym razie uczucie do niej było, jak się zdaje, najmocniejszym czynnikiem pozwalającym mu zachować równowagę psychiczną podczas tak długotrwałego śledztwa”.

- Nie mogę panu niczego obiecać - rzekł Kunze. - Zawsze jakichś paru reporterów waruje przed gmachem. Mogą nie rozpoznać detektywa Schiffa, ale jeśli poznają, to z pewnością wywęszą, w jakiej sprawie tu przybył.

Dorfrichter zasepił się.

- Taki z niego uczciwy drań, że z ochotą wszystko im rozpowie.

- Nie jestem w stanie temu zaradzić. Osobiście przekazuję informacje reporterom w minimalnych ilościach. Z tego powodu stałem się obiektem ataków prasy i krytyki w Parlamencie, za mój, jak to nazwali, „brak współpracy”. Nie ma pan pojęcia, jakimi obrzucano mnie wyzwiskami.

Dorfrichter rzucił w jego stronę chytre spojrzenie.

- Są po mojej stronie. - I nie powiedział tego w formie pytania, ale stwierdził jako fakt.

Kunze pokiwał głową.

- Tak, na to wygląda.

- Ucieszą się, kiedy w końcu będzie mnie pan musiał uwolnić - rzekł porucznik, uśmiechając się złośliwie. - Co oczywiście opóźni pański awans na majora.

„Nie robię tego ze względu na awans” - chciał tu odpowiedzieć Kunze, ale się powstrzymał. Jakże tu tłumaczyć się z motywów przed człowiekiem, który był gotów zgładzić dziesięciu kolegów, właśnie z powodu awansu. „Czy naprawdę był do tego zdolny? - zastanowił się raptem kapitan. - Czy tylko on, Emil Kunze, jest jedyną osobą, która uparcie wierzy w winą Dorfrichtera? Każdy, kto miał styczność z tym śledztwem, przeżywał od czasu do czasu wątpliwości co do winy porucznika. Można było wyczytać to z oczu Stoklaski i Heinricha przy kilku okazjach”. Patrzył na twarz Dorfrichtera, uśmiechając się do niego zza biurka, i żałował gorzko, że nie potrafi czytać w myślach ukrytych za tym gładkim czołem. W epoce, kiedy człowiek potrafi już badać dno oceanów i strefy atmosfery, najbardziej nieprzeniknioną dziedziną pozostaje nadal umysł drugiego człowieka.

- Uparty z pana człowiek, Dorfrichter - zauważył Kunze. - Nie chce się pan jednak przyznać do przegranej.

- Prędzej wolałbym stracić jedną lub obie ręce niż przegrać. Mam wielki szacunek dla pana wybitnego umysłu, ale odnoszę wrażenie, iż kieruje się pan przestarzałymi już przesłankami. Wyznaje

pan pogląd Josepha de Maistre, który powiada, iż „przegraną jest ta bitwa, o której myśli się, że się ją już przegrało, ponieważ bitwy w sensie fizycznym przegrać nie można”. Usiłuje pan złamać moje morale trzymając mnie w ścisłym odosobnieniu, nękając upiorami z przeszłości, z jakimiś błahymi romansami włącznie. Taka metoda walki była może skuteczna w epoce Napoleona, ale nie w dzisiejszych czasach, kiedy Skoda konstruuje moździerz kaliber 305, a Krupp działo kaliber 420. Jeśli więc chce pan mnie pokonać, proszę wytoczyć największą armatę: dowieść, że posiadałem cyjanek i odbiłem na hektografie ulotki, i że to wszystko wysłałem pocztą. Bez tego nie ma pan najmniejszej szansy przeciwko mnie. - Zamilkł. - Teraz, skoro wyjaśniliśmy sobie wszystko, pozwoli pan, że usiądę?

- Naturalnie - zgodził się kapitan, speszony tym, że pozwolił więźniowi stać przez cały ten czas. Wyjął papierośnicę.

- Zapali pan?

Dorfrichter skorzystał z propozycji, po czym Kunze podsunął papierośnicę Stoklasce, który potarł zapałkę i przypalił nią wszystkie trzy papierosy.

- To podobno przynosi pecha, kiedy się jedną zapałką przypala trzy papierosy - zauważył Dorfrichter. - Ale jeśli tak nawet jest, mnie to już nie grozi. Jestem na samym dnie. Jedyne wyjście to odbić się w górę.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Olbrzymi, krzepki mężczyzna od południa stał w pełnej przeciągów bramie, kiedy to przejął służbę po koledze. Dochodziła już prawie czwarta, nogi przemarzły mu dawno na kość, toteż aż go kusiło, by wymknąć się do knajpki na rogu. Wykoncypował sobie, że mógłby, będąc w środku, obserwować zza szyby kamienicę znajdującą się po drugiej stronie ulicy. Bał się jednak przeoczyć ową niewiastę. Śledził ją poprzedniego dnia i sporo się natrudził, by za nią nadażyć. Była niczym łoś: chyża, przebiegła i stapiająca się z otoczeniem. Omal jej nie stracił z oczu na Franz-Josephs-Kai, a potem znów na Schottenring.

Ciągle jeszcze rozważał w duchu, czy aby nie wychylić duszkiem szklaneczki wina, kiedy owa niewiasta wynurzyła się z mrocznej czeluści bramy. W zamglonym zmierzchu wyglądała bardziej jeszcze niepozornie, niż mu się przedtem zdawało. Zapisał w notesie, że ma metr dwadzieścia pięć wzrostu, ale teraz wyglądała na jeszcze mniejszą. Kiedy na polecenie inspektora Weinbergera próbował opisać jej wygląd, nie wiedział, czy ma ją określić jako niezmiernie niską kobietę, czy dość rosnącą karlicę. Miała na sobie szare, zimowe palto z karakułowym kołnierzem, podobnie jak poprzedniego dnia, i mufkę z tego samego futra. Przypominała wyglądem dziewczynkę przebraną dla zabawy za dorosłą kobietę.

Tym razem też szła w kierunku nabrzeża, przystanąła jednak na chwilę i rozejrzała się dokoła. „Czyżby miała się na bacności? - zastanawiał się detektyw. - Albo może dostrzegła, że ją ktoś śledzi?

Widać nie, skoro idzie równym krokiem, nie oglądając się za siebie”. Począł, aż się znalazła w p5ł drogi do najbliższej przecznicy, mimo że utrudniało to śledzenie. Kobieta skręciła w Turkstrasse, co go upewniło, że idzie do mieszkania Gruberów. Na Deutschmeister Platz, zamiast iść za nią, obrócił się na prawo i ruszył biegiem wzdłuż jednego z kanałów Dunaju. Sapiąc i dysząc pędził po Grünertograsse i dotarł do bramy domu Gruberów, na pół minuty przed przybyciem owej kobiety. Stojąc w bramie obejrzał się i dostrzegł sylwetkę kolegi w cieniu łukowatego sklepienia po drugiej stronie. Pilnie obserwował klatkę schodową, lecz natychmiast odwrócił uwagę, gdy posłyszał odgłos drobnych kroków na kamiennych stopniach. Ciężki oddech detektywa odbijał się echem pod niskim sklepieniem klatki schodowej. W momencie gdy niewiasta przechodziła obok niego, wyciągnął potężną rękę i chwycił ją za ramię. Przez gruby rękaw jej palta czuł kruchość kości, delikatnej niczym skrzydło ptaka. Kobieta znieruchomiła na moment ze zdumienia, po czym wrzasnęła jakieś wściekłe przekleństwo i usiłowała mu się wyrwać.

- Jestem z policji, pani Pausch - wysapał. - Aresztuję panią.

W tym samym czasie przybiegł po schodach kolega. - Masz ją? - spytał. Chwycił niewiastę za drugie ramię i poczęli ciągnąć ją w dół ku wejściu, gdzie było dużo widniej.

- Nie macie prawa tego robić! - krzyczała. - Nie jesteśmy w Rosji. Jestem porządną kobietą i pełnoprawną obywatelką. Zapłacicie mi za to! Są jeszcze sądy w tym kraju. Pójdę nawet do samego cesarza!

- Kiedy on jest bardzo zajęty, pani Pausch - wymamrotał detektyw. Często zdumiewał go tupet ludzi. Łapie się kieszonkowca na gorącym uczynku, a ten już zaraz krzyczy o cesarzu. - Niech mi pani odda ten list.

- Jaki list? - spytała.

- Wiadomo jaki! Jeśli mi go pani nie odda dobrowolnie, będę musiał panią zrewidować.

- Wpierw trzeba mieć na to zezwolenie!

- Proszę bardzo! - I rosty detektyw pokazał jej dokument w świetle latarni, wydany w kancelarii prokuratora tego samego dnia z rana. Był wypisany równym kaligraficznym pismem i jego autentyczność nie budziła wątpliwości.

Niewiasta przeczytała go ze zmarszczonym czołem.

- W porządku - rzekła. - Oddam wam list. Tylko nie tutaj. Wsadziłam go za stanik. - Jej butne spojrzenie odebrało im odwagę na odebranie listu siłą.

- Mam dla pana wiadomość - rozległ się w słuchawce głos inspektora Weinbergera. - Intuicja pana nie zawiodła. Dorfrichter kontaktuje się z żoną. I to od dłuższego czasu. Przyłapaliśmy gołębicę z listem.

- Gołębicę? - spytał z niedowierzaniem Kunze.

- Tak, pewną niewiastę.

- Kim ona jest?

- Krawcowa z zawodu, nazywa się Zofia Pausch.

- Nigdy o takiej nie słyszałem.

- Tak też sądziłem - odrzekł inspektor. - Jest u mnie w biurze.

Wolałbym nie mówić na ten temat przez telefon. Zechciałby pan może wpaść do mnie tutaj po południu?

Kunze zerknął na zegarek stojący na biurku.

- Naturalnie. Nawet zaraz.

Na pierwszy rzut oka skulona postać w zniszczonym skórzanym fotelu kancelarii Weinbergera wyglądała na dziecko. Kiedy uniosła głowę, światło lampy ujawniło pergaminowożółtą cerę, pooraną głębokimi zmarszczkami starości. Jedynie oczy były żywe, ciemne i błyszczące, jak u złapanej w pułapkę myszy. Pod szarym zimowym paltem miała na sobie zieloną wełnianą suknię, a na nogach sznurowane dwukolorowe buciki. Stopy siedzącej ledwie sięgały podłogi.

Weinberger podniósł się, by przywitać Kunzego. Ucisnęli sobie ręce.

- Oto kapitan Kunze - powiedział inspektor do kobiety. - To bardzo zacny człowiek. Proszę rozmawiać z nim szczerze i uczciwie, a on już postara się, aby kara nie była zbyt surowa.

- Nie dbam o to. Może mnie nawet rozstrzelać. - Miała piskliwy głos ulicznika. - Martwię się tylko o mego brata. Co się z nim stanie? - Ześliznęła się z fotela i stanęła przed kapitanem zaczepna jak bojowy kogut.

Kunze spojrział na Weinbergera ze zdziwieniem.

- Kim jest jej brat? Inspektor skrzywił się z niezadowolenia.

- To jest właśnie sprawa, o której nie chciałem mówić przez telefon. Jest siostrą profosa Tuttmana.

Kunze aż zaniemówił z wrażenia i wpatrywał się nieruchomo w inspektora.

- Coś podobnego! - powiedział w końcu, gdy zdumienie jego zmieniło się w gniew, ale nie potrafiłby powiedzieć, kto go tak rozzłościł: Tuttman, Dorfrichter czy ta dziwaczna, drobna kobieta.

- Czy on zwariował? - rzekł Kunze do kobiety. - Po co to robił? Dla pieniędzy? Kto go przekupił? Pani Dorfrichter? Doktor Goldschmiedt?

- Nikt go nie przekupywał! - wykrzyknęła w odpowiedzi. - Za nic w świecie nie dałby się przekupić. Pan może o tym nie wie, bo on nie jest oficerem, a pan nie zadał nigdy sobie trudu, aby się przekonać, co to za człowiek. Panowie zwracają uwagę tylko na mundur, ale nigdy na człowieka, który go nosi.

Zalał ich istny potok słów. Starali się obaj go powstrzymać, ale bez skutku. W końcu inspektor Weinberger straciwszy cierpliwość wrzasnął tak głośno, że Kunzemu wydało się, że w oknach wylecą szyby.

- Zamknąć gębę, do diabła! Proszę mówić całą prawdę, kiedy pan kapitan zapyta, bo inaczej brat będzie siedział do końca życia za kratami!

- Nie dam się zastraszyć, panie inspektorze - odrzekła patrząc drwiąco. - Nikt nie gnije za kratami w obecnych czasach. No, dobrze! - zwróciła się do kapitana. - Co pan chce wiedzieć?



- Kto was najął?

- Nikt mnie nie najął. Zrobiłam to z własnej woli.

- Nie wierzę.

- Spodziewałam się tego. Nie należy pan do osób, które rozumieją kogoś takiego jak ja.

- Trzymajmy się faktów, do licha - warknął inspektor Weinberger.

- Dobrze. Oto fakty. Zobaczyłam tę biedaczkę na fotografii w gazecie, a potem przeczytałam, że właśnie urodziła dziecko, a brat ciągle mi opowiadał, jakim uprzejmym panem jest porucznik Dorfrichter. Nigdy jeszcze nie miał takiego dobrego więźnia. Toteż jednego wieczora powiedziałam do brata, który jest kawalerem, a ja mu prowadzę dom: „Johann, musimy pomóc tym nieszczęsnym ludziom. To nasz chrześcijański obowiązek”. Brat z początku odmówił, ale że nie przestawałam nalegać, więc zgodził się w końcu porozmawiać z porucznikiem. Tymczasem ja poszłam do pani Dorfrichter. Bardzo długo musiałam ją nakłaniać, żeby mi zaufała.

„Niech pani mnie wypróbuje, co to pani szkodzi?” - powiedziałam do niej. Napisała parę słów na karteczce, którą dałam memu bratu, a on oddał to porucznikowi. Brat wsunął mu też papier i ołówek pod poduszkę. Potem znów zaniósłam jego list do pani Dorfrichter. W życiu nie widziałam równie pięknego charakteru pisma. Każda linijka była jak sznureczek pereł.

- Jak dawno już to trwa? - spytał Kunze.

- Dwa tygodnie. Niech mi pan wierzy, mój brat nigdy by tego nie zrobił, gdyby to nie wypadło na Boże Narodzenie. To nieludzkie trzymać niewinnego człowieka w zamknięciu, jak dzikie zwierzę, nawet bez świątecznych życzeń od rodziny.

- Skąd wiecie, że jest niewinny? - Cała opowieść była dość niezwykła, ale Kunze jakoś bez wahania w nią uwierzył.

- Sam brat tak mówił. Ludzie też tak uważają. Każdy tak sądzi.

Kunze wiedział o tym od dawna. Codziennie przychodziły do niego pocztą anonimy, niekiedy błagalne, czasem obraźliwe, a także pełne pogroźek. Część z nich mogli napisać krewni lub przyjaciele Dorfrichtera, ale nie wszystkie. Fotografie zamieszczone w gazetach ukazywały młodego oficera, uśmiechającego się niewinnie do obiektywu kamery. Wyglądał tak niegroźnie i emanował taką dobrocią i wdziękiem, że kobiety wycinały jego fotografie i przypinały na ścianie obok zdjęć ulubionych aktorów. Przy osobistych z nim kontaktach ów wdzięk był jeszcze bardziej zniewalający. Inaczej profos Tuttman nie narażałby swego stanowiska dla Dorfrichtera.

- Twierdzicie więc, że żadne z was nie brało pieniędzy od Dorfrichterów?

- Tak jest - odpowiedziała prostując się.

- Proponowali może jakąś zapłatę?

- Pani Dorfrichter, ale ja odmówiłam.

- Jaka szlachetność - Kunze pokręcił głową. Rzucił na wpeł rozbawione i na wpeł gniewne spojrzenie w stronę inspektora. - Co dalej? - spytał.

Weinberger wręczył kapitanowi złożoną kartkę papieru.

- Oto list, który znaleźliśmy przy niej. Obie strony arkusza wypełnione były jednolitym, pięknym pismem. Litery istotnie wyglądały niczym sznurek pereł. Kunze przeczytał pobieżnie treść. Wyrażała męskie wyznanie głębokiego i nie wygasającego uczucia do kobiety. Zdziwiło Kunzega, iż człowiek o tak wybitnym umyśle jak Dorfrichter, używa banalnych i nieco górnolotnych frazesów niczym zadurzony na śmierć sztubak. „Najwidoczniej - pomyślał Kunze - miłość ma bardzo ubogi słownik, poza tym namiętność innego człowieka wydaje nam się śmieszna, dopóki nas samych nie ogarnie przemożne uczucie do jakiejś istoty i na własnej skórze nie przekonamy się, ile to sprawia bólu”. Treść listu tchnęła ufnością w pomyślnie zakończenie sprawy, jeśli tylko Marianna będzie stać przy nim. Był niewinną ofiarą nieprzychylnych mu okoliczności, ale na pewno walkę wygra dzięki jej miłości.

Inspektor Weinberger odprawił panią Pausch pod eskortą z pokoju.

- Nie zazdrozczę panu - powiedział do kapitana. - Służę w policji trzydzieści pięć lat i nie spotkałem się jeszcze z równie męczącą sprawą, właśnie dla prowadzącego śledztwo. Kunze dalej nie spuszczał oczu z listu.

- Uważa pan, że Dorfrichter jest niewinny? Czy miał pan kiedykolwiek jakieś wątpliwości?

Weinberger zastanawiał się chwilę.

- Trudno mi powiedzieć. Czasami, tak. Oczywiście nie jestem z nim w tak bliskim kontakcie jak pan, Fakt, że oczarował

prostodusznego profosa Tuttmana, mało mnie wzrusza. Najbardziej czarującym człowiekiem, z jakim zetknąłem się podczas mej służby, był pewien aferzysta, tak miły kompan, że z bólem serca przekazywałem go w ręce sędziego. Miał niejedno na sumieniu, ale wolałbym już jego zaprosić do siebie na kolację niż sędziego. To jest właśnie niebezpieczne w naszym zawodzie, że przestępca czasem bardziej nas frapuje niż uczciwy człowiek, głównie dlatego, że ma ciekawą osobowość. Jest w nim coś zagadkowego i pociągającego, czego pozbawiony jest na ogół uczciwy obywatel.

Weinberger odniósł wrażenie, że Kunze wcale go nie słucha. Wyglądało, że boryka się w myślach z jakimś problemem, toteż inspektor zamilkł, żeby mu w tym nie przeszkadzać.

- Chciałbym, jeśli pan wyrazi zgodę, inspektorze, aby Dorfrichterowie dalej pisywali do siebie listy - odezwał się wreszcie kapitan.

Weinberger skinął potakująco głową.

- Dobrze. Tylko jak to załatwić?

- Nie sądzę, aby pani Pausch chciała z nami współpracować. Nie sposób dojść do ładu z tymi idealistami. Niech ich szlag trafi!

- Na nią nie liczę. Wolałbym, by mi przydzielono jakąś funkcjonariuszkę z policji. Mogłaby nosić listy Dorfrichtera do żony pod pretekstem, że Zofia Pausch obłożnie zachorowała.

- Każę dziś jeszcze aresztować profosa Tuttmana, ale nie podczas pełnienia służby. Zaczekam, aż przyjdzie do domu. Musi to być jednak zachowane w tajemnicy, zwłaszcza przed prasą. Mani tu

kogoś na miejsce Tuttmana, na kim można całkowicie polegać. Powie Dorfrichterowi, że Tuttman też zachorował. Miejmy nadzieję, że więzień niczego się nie domyśli.

- Co pan spodziewa się przez to zyskać?

- Cierpliwości! Jeszcze nie skończyłem. Chcę, aby pan podał wszystkie szczegóły o Mitzi Haverda do prasy.

Inspektor rzucił w stronę kapitana domyślne spojrzenie.

- Kiedy? - spytał.

- Im wcześniej, tym lepiej.

- Zdecydował się pan złamać Dorfrichtera, co?

- Tak.

- Sądzi pan, że sztuczka się uda?

- Mam nadzieję. To zrani jego żonę, która być może nawet odwróci się od niego. Tego się on właśnie obawia, bo inaczej nie prosiłby mnie, abym nie nadawał tej sprawie rozgłosu.

Nazajutrz „Neue Freie Presse” wydrukowała relację o Mitzi Haverda. Tego ranka Marianna Dorfrichter obudziła się dość późno. Od czasu aresztowania męża sen był dla niej jedyną ucieczką od lęków dnia codziennego. Dwa razy budziła się w nocy, by nakarmić dziecko, i zaraz potem natychmiast zapadała w sen. Johann Ludwig, ochrzczony poprzedniego dnia, otrzymał imię Johann po dziadku ze strony ojca, a Ludwig po dziadku ze strony matki, a było to wyjątkowo dobre dziecko. Marianna bała się z początku, iż wstrząsy, które przeżyła przed porodem, odbiją się na niemowlęciu, ale tak się nie stało.

Nie doznawała też, co dziwne, radości, jaką daje macierzyństwo, a którą przeżywają na ogół wszystkie młode matki. Z trudem uświadamiała sobie fakt, że to jej własne dziecko, za które będzie odpowiedzialna do końca życia lub co najmniej do czasu, aż dorośnie. Przyszłość też ją napawała przerażeniem, chociaż chwile czarnej rozpacz, kiedy podejrzewała, że nie będzie końca rozłące z mężem, zdarzały się już rzadziej, od czasu kiedy zaczęła ją odwiedzać pani Pausch. W każdym razie wiedziała, że Peter nadal ją kocha. Przedtem często wyobrażała go sobie, jak siedzi w straszliwej celi, skazany na udrukę samotności, gdzie czuje się opuszczony przez wszystkich i coraz to bardziej rozgoryczony na świat. Listy jego, chociaż podziały na nią uspokajająco, jednocześnie sprawiły, że zaczęła rozpaczliwie za nim tęsknić. Śniła po nocach, budziła się z ciałem gorącym od pożądania. To także ją przerażało, ponieważ sądziła, że tylko mężczyźni mają prawo odczuwać cielesne żądze, a kobiety stworzone są po to, by te żądze zaspokajać, ale nie czerpać z miłosnego aktu przyjemność.

Pomimo bezgranicznej miłości do Petera, wchodziła do hotelowego pokoju w Baden koło Wiednia, gdzie mieli spędzać noc poślubną, drżąc z niepokoju, niczym owieczka przeznaczona na ofiarę. Nie wiedziała dokładnie, co ją spotka, prócz tego, że ją Peter posiadzie i skaleczy. Matka wyprawiła ją z domu udzielając spieszenie paru tajemniczych rad, że kobiecie może ten akt być niemiły, a jednak zachodzi się od tego w ciążę i niech lepiej zawsze stara się być schludna, ponieważ mężczyźni łatwo tracą panowanie nad sobą w ciem-

nościach, niech nigdy nie dopuści do tego, by mężczyzna wyczuł, że nudzi ją współżycie, bo to z kolei może go urazić.

Posiadł ją i zadał jej ból owej nocy i przez jakiś czas żyła w oszołomieniu. Przeniesienie z piedestału na materac odbyło się nazbyt szybko. Nigdy przedtem nie widziała mężczyzny w białej, siusiąjącego do nocnika stojącego pod łóżkiem. Ścisnęła mocno powieki, zatykała palcami uszy i spoglądała na Petera dopiero wtedy, gdy był całkiem ubrany w mundur szamerowany złotem z błyszczącymi guzikami. Nawet wtedy wydawał jej się jednak całkiem obcym człowiekiem i nie potrafiła wykrzesać z siebie odrobiny dawnej do niego miłości. Odrętwiała i z uczuciem pustki w sercu myślała na przemian to o samobójstwie, to znów o wstąpieniu do klasztoru. Nagle wszystko uległo zmianie. Nawet pamięta jasno moment, kiedy ta niewytłumaczalna zmiana nastąpiła. Wybierali się na spacer. Peter zszedł na dół i miał tam na nią zaczekać na ulicy. Wychodząc z drzwi hotelu dostrzegła smukłą, piękną sylwetkę Petera na tle jesiennego żywopłotu i pożądanie ogarnęło ją niczym potężna fala przyływu. Miała uczucie, że się jakby na jakiś czas rozstali, a kiedy prawie przygotowana była, że go utraci, powrócił nagle zdrów i cały. Podbiegła do niego i wzięła go pod ramię. Ciało, które napawało ją taką odrazą, stało się jej równie bliskie jak własne. Nigdy mu nie mówiła o udrękach tych pierwszych dni. On sam zaś zbyt był pochłonięty szczęściem, żeby cokolwiek spostrzec, a gdyby nawet dostrzegł, uznałby to za naturalną reakcję dziewczęcą wywołaną utratą dziewictwa. Był doświadczonym kochankiem i kiedy szok, który Marianna z początku przeżyła, minął,

wiedział, jak obudzić w niej kobietę. Wielbiła go niezmiennie przez wszystkie dni spędzone razem, a ich pieszczoty uważała za sam szczyt miłosnego szczęścia. Kupując meble, wybrali spokojny komplet sypialny z dwoma łózkami, ale Marianna wolała sypiać z nim w jego łóżku. Zazdrosna o spędzany przez męża czas z innymi, sprawiła, że się odsunął od grona kolegów z kawalerskich czasów, unikał karcianych spotkań i czysto męskich przyjęć. Jej ciąża spowodowała pierwszą przerwę w szczęśliwym ich pożyciu. Na początku piątego miesiąca, było to pod koniec lipca, Marianna zaczęła krwawić i doktor zalecił całkowite wstrzymanie się od małżeńskiego współżycia, więc odtąd sypiali już osobno. Zaczęła nienawidzić ciąży, uważając swą rozdętą figurę za coś nieprzyzwoitego. Peter był zawsze jednakowo dobry i kochający. Zapewniał ją, że przerwa w ich pożyciu jest niczym w porównaniu z cudownym darem, jakim jest ich własne dziecko. Wierzyła mu, bo chciała w to wierzyć, ale jednocześnie nasłuchiwała czujnie, czy w głosie jego nie pojawiła się czasem jakaś szorstka nuta, i pilnie obserwowała jego twarz, kiedy wracał do domu. Godziny służby męża jakby się wydłużyły, być może dlatego, że przeniesiono go z Sarajewa do Linzu dopiero przed dwoma miesiącami; wiedziała zresztą, że każdy garnizon ma inne wymagania wobec oficerów. Niecierpliwie liczyła dni dzielące ją od porodu, ale nim ta chwila nadeszła, cały jej świat runął.

Tego styczniowego poranka spojrzała na zegarek stojący na nocnej szafce. Wskazywał pięć minut po dziesiątej. Johann spał i w mieszkaniu panowała cisza. Matka była w sklepie na dole, służąca zaś



wyszła na targ. Marianna wstała, narzuciła na siebie różowy flanelowy szlafroczek oraz nowe pantofle, które otrzymała od siostry Tildy na gwiazdkę, i poszła po gazetę. Od tego rozpoczynała każdy ranek. Kryła bowiem w sercu nadzieję, że pewnego dnia przeczyta wiadomość o uwolnieniu Petera. Kiedy doktor Goldschmiedt podjął się prowadzenia sprawy, była przez krótki czas bardzo dobrej myśli, ale w miarę upływu czasu przeżywała gorzkie rozczarowanie. Mimo to, wierzyła w adwokata i w ostateczne uwolnienie męża.

Nie znalazła jednak gazety na stole w jadalni, co wydało się dziwne, ponieważ matka zawsze zostawiała ją na kredensie. Mariannę ogarnęła złość na służącą, która zapewne gdzieś ją zapodziała przy sprzątaniu pokoju. Zaczęła właśnie szukać gazety w kuchni, kiedy pojawiła się objuczona koszykami dziewczyna. Gdy otwierała kuchenne drzwi, podmuch lodowatego, mroźnego, styczniowego wiatru owionął Mariannę.

- Gdzie poranna gazeta? - spytała.

- Skąd ja mogę wiedzieć? - wzruszyła ramionami dziewczyna.

Postawiła koszyki, pochuchała na ręce, odwróciła się od Marianny i zabrała się do rozpakowywania.

- Zejdź na róg i kup.

Dziewczyna nie odwracała się.

- Teraz?

- Tak, teraz!

- Na miejscu pani nie czytałabym dziś gazety - powiedziała, a w głosie jej zabrzmiała nuta złościwości.

Mariannie pociemniało w oczach. W gazecie były złe nowiny, dlatego matka ją schowała. „Peter przyznał się do winy” - przemknęła jej myśl. Natychmiast skarciła się za to, jednak myśl ta nie dała się wyrugować.

- Przynieś natychmiast gazetę!

Dziewczyna wzruszyła ramionami, rzuciła w stronę Marianny niechętnie spojrzenie i wybiegła z kuchni trzaskając drzwiami.

Minał kwadrans, zanim wróciła. Marianna czekała na nią w kuchni. Usiadła bezwładnie na stołku i ukryła twarz w dłoniach. Podniosła głowę, kiedy usłyszała, że służąca wraca.

- Co tak długo? - zapytała zmartwiałym głosem. Dziewczyna rzuciła zwiniętą gazetą.

- Dowie się pani, jak to przeczyta. Musiałam biec aż do kiosku na Schottenring. W tutejszej trafice nie było już ani jednej - powiedziała nie spuszczając oczu z Marianny, jakby czekała, jak się ona zachowa.

Marianna wzięła do ręki egzemplarz „Presse” i wyszła z kuchni. W zaciszu swego pokoju rozpostarła gazetę na łóżku. Znalazła relacje o Mitzi Haverda na początku trzeciej strony. „Presse” wywiązała się z zadania niesłychanie solidnie. Przeprowadzono wywiad z Mitzi i z detektywem Schiffem. Relację napisano tak, jak gdyby sama informacja pochodziła od policji w Linzu i została potwierdzona przez kancelarię sędziego śledczego kapitana Kunze.

Marianna musiała trzykrotnie przeczytać jej treść, zanim jasno pojęła, o co chodzi. Pamiętała, że Mitzi

Haverda zgłosiła się do nich we wrześnie, gdy zamieścili ogłoszenie szukając pomocy do dziecka. Pamiętała nawet jej fotografię: dorodnej, ubranej w śliczny ludowy strój dziewczyny z upiętym w koronę warkoczem w stylu cesarzowej Elżbiety. Widać instykt ostrzegł Mariannę, bo z miejsca sprzeciwiła się przyjęciu jej do pracy. Oddała fotografię Peterowi, aby ją odesłał dziewczynie. Zamiast to zrobić, napisał do tej flądry, żeby przyjechała do Linzu, po czym została jego kochanką. Tymczasem ona sama stawała się coraz to bardziej ociężała i brzydła od ciąży. Nigdy już więcej nie uwierzy w żadne jego słowo. Udawał zakochanego, a tymczasem wymykał się, żeby sypiać z tą wstrętną suczką, która zażądała czterdziestu koron miesięcznie, zastrzegając, że nie będzie szorować podłóg ani myć okien.

Tak ją to zabolalo, że z trudem łapała oddech. Dziecko zbudziło się i zaczęło krzyczeć, ile sił w płucach. Marianna zerwała się z łóżka. Postanowiła odebrać sobie i dziecku życie, wyskakując z okna z malcem w ramionach. Już była przy kołysce i sięgała po niego, kiedy odczuła bezsens tego zamiaru, lęk, że się maleńka główka roztrzaska o chodnik, a ją śmierć ominie. Znieruchomiały ręce, dłonie opadły, wtuliła więc twarz w strojną poduszkę dziecka, wyhaftowaną w niezapominajki, którą dostała w prezencie od siostry Tildy. Czowała wokół siebie pustkę śmierci. Pewien etap życia zamknął się bezpowrotnie i nie widziała sensu, by toczyło się dalej. Przeznaczeniem człowieka jest być albo słońcem, albo jego satelitą. Jej przypadła w życiu rola satelity, ale jej słońce zgorzało na popiół i teraz skazana jest na samotne krążenie

wśród pustki. Dziwne, ale czuła za to gniew na siebie, nie zaś na Petera, jakby to ona popełniła jakiś nieczny czyn. Zapragnęła ukarać się, zadać sobie ból, wykrwawić się w karze za jakąś nieokreśloną zbrodnię, która na niej ciąży. Rozejrzała się jak szalona po pokoju; wzrok jej padł na ostre nożyczki leżące obok na wpeł gotowej koszulki dziecka.

Z dzikim okrucieństwem wbiła je sobie w nadgarstek. Ból był ostry, krew trysnęła z przeciętej żyły. Marianna krzyknęła i runęła na podłogę.

Kiedy się ocknęła, spostrzegła, że krwawienie ustało, szlafrok się tylko poplamiał i parę kropli krwi kapnęło na dywan. Uprała szlafrok w łazience, a dłoń zabandażowała chusteczką. Plam na kwiecistym dywanie nie było widać. Wielka to zaleta perskich dywanów, że potrafią wchłaniać kurz całych stuleci i nie tracić nic ze swej urody. „Szkoda - myślała - że tak nie bywa z ludźmi”.

Zadzwonił dzwonek, słyszała, jak służąca otwiera drzwi i jakiś nieznanym głosem pyta o panią Dorfrichter. Zanim jeszcze służąca przysłała ją zawiadomić, Marianna już wkroczyła do korytarza.

Ujrzała kobietę w średnim wieku, ubraną w znoszony tweedowy kostium, która trzymała w ręku sporą torebkę.

- Czy pani Dorfrichter? - spytała. Marianna kiwnęła potakująco głową.

- Przychodzę od pani Pausch. Brat jej ciężko zachorował, doktor stwierdził zapalenie płuc, więc musiała zostać w domu, żeby się nim zająć - tu rzuciła spojrzenie w stronę służącej i dodała: - Czy mogę pomówić z panią na osobności?

Marianna zaprowadziła ją do jadalni. Kiedy zamknęły się drzwi, kobieta wręczyła jej złożoną kartkę papieru.

- Od pani męża. Dał to wczoraj profosowi Tuttmanowi. -  
Dostrzegła chustkę na przegubie Marianny, rana musiała się widocznie otworzyć, bo pokazała się jasnoczerwona plama.

- Co się stało w rękę?

- Nic - odrzekła pani Dorfrichter szorstkim i surowym tonem. Rozwinęła kartkę i przeczytała zapewnienia o dozgonnej miłości. Uparte spojrzenie kobiety zaczęło ją nagle irytować.

- Pani Pausch mówiła, że brat jej doręczy pani list do porucznika przez swego człowieka - powiedziała kobieta.

- Odpowiedzi nie będzie - rzekła krótko Marianna.

- Co należy powiedzieć porucznikowi, kiedy zapyta, dlaczego nie ma odpowiedzi?

Przybyła coraz mniej podobała się Mariannie. Maleńka pani Pausch emanowała wprost serdecznością i troską, natomiast znajoma jej była tylko w jakiś bezosobowy, zimny sposób wścibska.

- To, co mówiłam: odpowiedzi nie będzie! Kobieta wzruszyła ramionami.

- Proszę też powtórzyć profosowi Tuttmanowi, żeby się od tej pory nie fatygował z doręczaniem wiadomości od porucznika.

- Dobrze, powiem.

Zapadła na chwilę nieprzyjemna cisza.

- Wobec tego mogę już chyba iść - powiedziała kobieta i skierowała się ku drzwiom.

- Proszę zaczekać chwilę! - zawołała do niej Marianna. - Zmieniłam zamiar.

Poszła do swego pokoju, tymi samymi nożyczkami wycięła relację z „Presse” i szybko dopisała na marginesie: „Między nami skończone. Nie chcę Cię więcej widzieć ani słyszeć o Tobie”. Wsunęła wycinek do koperty i wręczyła przybyłej.

- Proszę przekazać to porucznikowi.

W tejże chwili uświadomiła sobie, że zachowała się wprost niegrzecznie wobec osoby, która przecież wyświadcza jej przysługę, więc dodała spiesznie:

- Dziękuję za pomoc. Jestem bardzo wdzięczna i chciałabym to jakoś pani wynagrodzić.

Przyszło jej na myśl, że znajoma pani Pausch na pewno spodziewa się datku lub co najmniej zwrotu za przejazd.

- Chciałabym zwrócić koszty i... - głos Marianny załamał się.

Kobieta pokręciła energicznie głową.

- Jakie tam wydatki. Rada jestem, że mogłam się pani przysłużyć. Do widzenia.

Jak zwykle Kunze zjawił się w kancelarii pierwszy. Stało się to niemal nawykem ostatnimi laty. Lubił mieć pół godziny wyłącznie dla siebie, aby przeczytać spokojnie poranne gazety bez słuchania uwag Róży na temat bieżących wydarzeń. Od drugiego stycznia przeniósł się do innego mieszkania, które mu wyszukała w pobliskim sąsiedztwie, przy Traungasse, niemniej w dalszym ciągu zjawił się w pracy przed

czasem. Stwierdził, iż osiągnął już wiek, kiedy wszelka zmiana trybu życia staje się męcząca.

Mieszkanie należało do dwóch leciwych starych panien, z których jedna nosiła nazwisko Baldauf, a druga Knoll. Łączące je obie stosunki były dla niego tajemnicą, głównie dlatego, że nigdy nie zadał sobie trudu, by się o to wywiedzieć. Wielki, narożny pokój przeznaczył na gabinet, a na sypialnię znacznie mniejszy, w którym stało łóżko, szafa i umywalka. Pokój kąpielowy mieścił się po drugiej stronie korytarza. Po latach spędzonych pod jednym dachem z Różą, poczuł się winny, że mu tak przyjemnie jest w ciszy i spokoju kawalerskiego mieszkania.

Tego ranka napłynęły ze świata wieści przygnębiające. Bałkany ogarnął niepokój. W Serbii rozgorzały na nowo nastroje wojenne, po krótkim okresie spokoju spowodowanego rezygnacją księcia Jerzego z roszczeń do tronu. Na Krecie Grecy postanowili wybrać sami deputowanych do Parlamentu, który to akt z pewnością doprowadzi do konfliktu z Turcją. Włochy ponowiły zainteresowanie Tripolisem. Kursowały pogłoski, że prowadzą potajemnie rokowania z Francją i Anglią, proponując zerwanie stosunków z Centralnymi Mocarstwami w zamian za poparcie ze strony Ententy włoskich roszczeń w północnej Afryce. Nie było już dodatkowych relacji na temat Mitzi Haverda. Szacowna „Neue Freie Presse” najwidoczniej pozostawiła dalsze eksploatowanie tych sensacyjnych wiadomości bulwarowym pisemkom.

Późnym rankiem Stoklaska wręczył kapitanowi raport z Kliniki Weterynaryjnej Uniwersytetu Wiedeńskiego. Troll, jak było napisane w raporcie, uparcie odmawiał przyjmowania proszku na robaki, nawet jeśli podawano mu w wilgotnym opłatku, aż trzeba było lek w kapsułce wciskać mu głęboko w gardziel. Zatem porucznik Dorfrichter mówił prawdę. Z drugiej znów strony stwierdzono w klinice, że pies nie ma wcale robaków i nigdy ich przedtem nie miał.

- Nawiasem mówiąc - rzekł Stoklaska - ordynans, który przyniósł raport, powiada, że w klinice chcą zlikwidować tego psa, zaraz po otrzymaniu potwierdzenia, że uznał pan ich diagnozę za wystarczającą.

Kunze zajęty czytaniem raportu połowicznie tylko słuchał, co mówi Stoklaska. Nagle uświadomił sobie, co to „zlikwidować psa” oznacza.

- Dlaczego? Kto powiedział, że im wolno go zlikwidować?! - wykrzyknął nienaturalnie ostrym głosem.

Zdziwiony Stoklaska wybałuszył na niego oczy.

- Nie wiem, Emilu. Tak właśnie mówił ordynans.

- Zatelefonuj do tych przeklętych głupców. Powiedz im, że nie życzę sobie, aby zabijali, robili wiwisekcje lub jakąkolwiek krzywdę zwierzętom, które dostają w swoje ręce. - A po chwili dodał: - Zresztą, kto im w ogóle zezwolił na uśmiercenie tego psa? Stoklaska połączył się telefonicznie z kliniką.

- Otrzymali zgodę rodziny - wyjaśnił po odłożeniu słuchawki. - Uniwersytet wysłał list do pani Dorfrichter, która odpisała, że w



obecnym położeniu nie może trzymać psa, i prosi, by znaleźli jakieś dobre miejsce dla niego, co nie leży w ogóle w ich możliwości. Poza tym mówili, że pies za dużo je, zajmuje zbyt wiele miejsca, dlatego muszą się go pozbyć.

- Nie może go trzymać w domu? Dziwka! - wymknęło się Kunzemu, nim zdołał opanować gwałtowną złość, jaka go ogarnęła na Mariannę Dorfrichter. Niemniej zauważył zdumione spojrzenia Stoklaski i Heinricha.

- Nie wiedziałem, że z ciebie taki miłośnik zwierząt - rzekł Stoklaska i parsknął śmiechem. Ta niewinna uwaga nie była Kunzemu w smak. Udając, że jej nie dosłyszał, rzucił krótko: - Powiedz tym skurczybykom, żeby odesłali psa tutaj! - Uśmiech Stoklaski pomógł mu odzyskać poczucie humoru. - Co w tym złego? Dorfrichter wytresował go na psa obronnego, więc może z powodzeniem wstąpić do wojska. Ma więcej rozumu niż niejeden znany mi porucznik!

Trolla dostarczono do biura jeszcze tego samego popołudnia. Był wychudzony, miał zmierzwioną sierść, podkulony ogon i strzygł niespokojnie uszami. Kiedy zobaczył Kunzego, zaczął krążyć coraz bliżej wokół kapitana wydając krótkie, ostre szczeknięcia, a na koniec padł mu u stóp.

- Niestety, Emilu, on cię już nie odstąpi - zauważył Stoklaska. - Chyba, że pozwolisz więźniowi, by ci odebrał tego psa.

- Niedoczekanie twoje - wymamrotał Kunze, przyznając w duchu, że zachowanie psa pochlebiło mu.

Pozostał tylko problem, co dalej z nim robić. Nie będzie łatwo znaleźć przyzwoitych ludzi, którzy go przygarną. Toteż nie miał innego wyjścia, jak wziąć psa ze sobą do domu. Spodziewał się oporów ze strony panien Baldauf i Knolle, ale z uczuciem ulgi stwierdził, że nie mają nic przeciwko temu, by trzymał Trolla. Róża natomiast okazała znacznie mniej zrozumienia.

- Tym razem się nie zgadzam! - Przywitała go, gdy zjawił się w mieszkaniu z Trollem na smyczy. Spodziewała się, że przyjdzie na kolację, ale nie z Trollem. - Mam nadzieję, że nie będziesz przyprowadzał go za każdym razem. Linieje, jak ci wiadomo. Służąca trzy dni straciła na czyszczenie dywanów po tamtej jego bytności.

Kunze uśmiechnął się kwaśno.

- Ty także porządnie liniejesz. Zawsze znajduję twe włosy na mojej bluzie. Ale nigdy nie robię z tego kwestii

- Nie ma w tym nic zabawnego - powiedziała urażonym głosem.  
- Ostatecznie możesz trzymać to psisko u siebie w mieszkaniu. Chociaż nie pojmuję, dlaczego ludzie trzymają w domu zwierzęta. Papugi, to jeszcze rozumiem. Przynajmniej mówią. Ale psy?

- Być może właśnie dlatego - odpowiedział jej Kunze.

Profos, który przyszedł na miejsce Tuttmana, był znacznie młodszy, miał sympatyczną, okrągłą jak księżyc twarz, krótko przystrzyżone blond włosy i imponujące wąsiska w stylu cesarza Wilhelma. Wezwano go wraz z kobietą w tweedowym kostiumie do kancelarii Kunzego. Kobieta nazywała się Paula Heinz i była na liście

pracowników żandarmerii. Opowiedziała szczegółowo o spotkaniu z Marianną Dorfrichter obojętnym tonem postronnego obserwatora.

- Jak porucznik Dorfrichter zareagował na list żony? - spytał Kunze profosa.

- Był wściekły jak szerszeń. Nie na żonę, ale na artykuł w gazecie. Dwa razy go czytał, a potem podarł stronicę na kawałki. Słyszałem po wyjściu z celi, jak miota się, ciska przedmiotami i klnie. Za pozwoleniem, panie kapitanie, jeśli się nie mylę, to głównie klął na pana.

- Nie mylicie się - odrzekł Kunze.

- Cały wczorajszy dzień był w paskudnym nastroju - mówił dalej profos. - Prawie nie tknął kolacji. Przysłał po mnie zaraz z samego rana i podał mi ten list.

Wręczył kartkę Kunzemu. Była zapisana z obu stron. W porównaniu z poprzednim listem linijki były nierówne, niektóre słowa przekreślone, brak było znaków przestankowych albo też stawiane były na chybił trafił, jakby piszący bardzo się spieszył albo pisał w nerwowym napięciu. Donosił, iż romans z Haverdą wymyśliła i rozdmuchała prasa oraz błagał żonę, żeby mu uwierzyła i trwała przy nim, bo bez jej miłości nie będzie dla niego ratunku.

Kunze czytał list z mieszanymi uczuciami: śmieszyła go treść a jednocześnie budziła politowanie. Raz jeszcze zadziwił się, jak mógł człowiek, pokroju Dorfrichtera, dać się tak bez reszty i ślepo opanować bezdennie głupiemu kobieciątku. Zareagowała na relacje prasy o Mitzi

Haverda tak właśnie, jak tego spodziewał się Kunze. Czy to nie dostateczny dowód, że należycie ocenił Mariannę Dorfrichter?

- Jeśli porucznik spyta o tę kartkę - rzekł Kunze do profosa - powiedzcie, żeście wręczyli ją pani Pausch. Proszę mu nic więcej nie mówić. Jeśli da wam następne listy, doręczyć je mnie.

- Kiedy mam się spotkać z panią Dorfrichter? - spytała Paula Heinz.

- To już niepotrzebne. Przynajmniej na razie. Bardzo nam pani pomogła, panno Heinz. Powtórzę inspektorowi Weinbergerowi, jak dobrze wywiązała się pani z powierzonego jej zadania.

Kunze odprawił tych dwoje i zabrał się do pracy nad sprawą, która go absorbowała już od paru dni, mianowicie przeglądał starannie wszystkie fotografie, dokumenty oraz korespondencję zabraną z mieszkania Dorfrichtera. Skupił się nad dokumentami z roku 1908 i 1909, szukając jakiegoś znaku, poszlaki, wskazówki, którą mógł uprzednio przeoczyć.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Zanim Petera Dorfrichtera przeniesiono do Linzu, był on wcielony do 13 brygady w Sarajewie, gdzie prowadził ćwiczenia z taktyki artyleryjskiej. Wywiązał się z tego w sposób znakomity, jak to podkreślił w raporcie służbowym jego dowódca, marszałek polny, baron von Weigl. Kunze przeczytał raport i zżymał się w duchu, że armia marnuje taki talent na ćwiczenia polowe. Trudno się więc dziwić, że rozczarowanie i bezsilność pchają potem człowieka do szaleńczego czynu.

Kunze zdawał sobie sprawę, że jakakolwiek wyrozumiałość wobec Dorfrichtera z jego strony jest uczuciem bardzo niebezpiecznym. Zaciemnia ostrość widzenia, toteż lepiej zdusić ją w sobie, bo niechybnie skończy się na tym, że wyszpera jakiś dowód przemawiający na korzyść oskarżonego, a następnie doprowadzi do jego uwolnienia. Nie wolno mu było do tego dopuścić. Nie może pozwolić sobie na to, żeby utracić w sposób tak niechlubny dar bezstronnego widzenia, idąc za przykładem takich głupców jak profos Tuttman i sentymentalna pani Pausch.

Nie przestawał więc węszyć i dociekać. Przeczytał ponownie listy, które Dorfrichter pisał do Marianny z Sarajewa latem 1908 roku, kiedy przebywała w Wiedniu z wizytą u matki. Gdy za pierwszym razem przeglądał owe listy, złościły go i rozpraszały ciągłe aluzje do minionych lub przyszłych małżeńskich intymności miłosnych tej pary.

Można by sądzić z tego, że Dorfrichter uważał fakt, że Marianna dzieli z nim łożę, za szczytowe osiągnięcie swego życia.

Tu i ówdzie natykał się Kunze na bardziej prozaiczne informacje o ludziach, z którymi miał do czynienia Dorfrichter, o miejscach, w których przebywał. Imię Xaviera przewijało się dosyć często.

„Gościłem wczoraj wieczorem u siebie kolegów, graliśmy w karty, ale nie obawiaj się, nie według stawek Xaviera”.

Lub znowu: „Spędziłem wieczór z Xavierem. Jest bardzo przygnębiony, zdaje się, że jest w kłopotach, jak zwykle”.

Albo: „Martwię się o Xaviera. Jest w bardzo złej formie. Pije dużo. Nie staje rano do raportu, pozwala swemu sierżantowi dokonywać inspekcji”.

A w parę tygodni później: „Miałś rację co do Xaviera. Ale jak ja mogę odwrócić się od człowieka, który idzie na dno?”

Xavier, Xavier, Xavier!

Xavierem był oczywiście Xavier Vanini. Przyjaźnili się blisko w Sarajewie, ale nie w Linzu, co nie było samo w sobie takie dziwne. Przyjaźnie rzadko kiedy trwają wiecznie. Młodzieńcy oddalają się od siebie, z chwilą gdy osiągną dojrzałość. Vanini sprawiał wrażenie niezrównoważonego i mało inteligentnego oficera, na pewno nie był tej klasy co Dorfrichter. Być może pokłócili się albo niewykluczone, że Dorfrichter zastosował się do rady Marianny, która najwyraźniej nie aprobowała Vaniniego. Jednakże Vanini był jedynym spośród dawnych i obecnych przyjaciół Dorfrichtera, który miał dostęp do cyjanku.

Kunze zastanawiał się, czy nie powinien zawezwać Dorfrichtera na przesłuchanie, ale natychmiast poniechał tego zamiaru. Ciągle jeszcze nie miał dostatecznego dowodu. Znowu Dorfrichter roześmiałby mu się w twarz. Być może nawet zrobiłby awanturę. Jest zapewne w kiepskim nastroju z powodu opublikowania przez prasę historii o Mitzi Haverda. W jakąż beznadziejną wrzęginię są pogoń po ciernistej, krętej drodze, która wiedzie od dwóch kapsułek z cyjankiem do szubienicy!

Kapitan dalej wczytywał się w korespondencję Dorfrichtera i znalazł nazwisko o szczególnym znaczeniu: Landsberg-Lövy, kapitan baron, który był jednym z adresatów ulotki Charlesa Francisa. Fakt, że służył w Sarajewie, nie był nowiną dla Kunzego. W ciągu minionych tygodni przebadano prywatne życie i karierę zawodową każdego z adresatów oraz prześledzono dokładnie ich powiązania z Dorfrichterem. Landsberg-Lövy, syn niebywale bogatego przemysłowca pochodzenia żydowskiego, jak wielu jego ziomków wstąpił do wojska podczas słonecznych lat austriackiego liberalizmu, przypadających na sam koniec zeszłego stulecia. Armia była wówczas niczym przybrana matka o wielkim sercu, przygarniała bowiem do siebie ludzi bez względu na wyznanie, narodowość, klasę społeczną i stan majątkowy. Bogaty Żyd miał taką samą szansę osiągnięcia zaszczytów, jak ubogi szlachcic. Z nastaniem nowego stulecia groźba zmian zawisła w powietrzu. Franciszek Ferdynand był jawnym antysemitą, a jego wstąpienie na tron położyłoby zapewne kres wszelkim liberalnym tendencjom. Tymczasem jednak Franciszek Józef był ciągle jeszcze ogromnie

żywotny, a wraz z nim trwała nadal austriacka tradycja światłej tolerancji.

Kunze znalazł wśród papierów Dorfrichtera dwa krótkie listy pisane na eleganckim papierze z wytłoczonym herbem Lövy'ego. W jednym z nich baron wyrażał zaniepokojenie z powodu niemoralnego postępku „X”, ale obiecał sprawę przemyśleć dogłębnie, zanim podejmie jakieś pochopne kroki. W drugim liście pisał, że bardziej współczuje pewnemu „X”, niż się na niego oburza, i zgadza się na propozycje „drogiego Petera”, żeby się spotkać i znaleźć takie wyjście z sytuacji, które zadowoliliby wszystkich zainteresowanych. Tym „X” mógł być każdy, czemuż więc nie Xavier Vanini?

Oba listy wskazywały na wzajemne powiązania trzech osób: podejrzanego o otrucie cyjankiem, niedoszłą ofiarę oraz mężczyzny, który miał dostęp do cyjanku. Bardzo znamieny trójką.

Kunze zastanawiał się, dlaczego Dorfrichter, tak metodyczny człowiek, uznał oba te listy za warte przechowywania. Czy spotkanie, o którym była mowa w drugim liście, kiedykolwiek się odbyło? A jeśli tak, jakie było owo wyjście z sytuacji mające zadowolić wszystkich zainteresowanych?

Po odbyciu półrocznej służby w Pradze baron Landsberg-Lövy ponownie stacjonował w Sarajewie, wcielony jako oficer sztabowy do 13 dywizji. Przebywał na urlopie, kiedy nadeszła na jego adres przesyłka Charlesa Francisa. Kiedy baron powrócił do jednostki, Richard Mader już nie żył, a do wszystkich garnizonów rozesłano ostrzeżenie. Okoliczności, być może, ocaliły życie barona, chociaż był



on nazbyt wyrafinowany duchowo, by mogły go skusić kapsułki obiecujące „efekt nadspodziewany!” Z kolei Kunze przypomniał sobie, że podobnym człowiekiem był też Mader, który jednak uległ pokusie.

Kunze napisał do Landsberga-Lövy krótki list pytając go, gdzie i kiedy mogliby się spotkać w Wiedniu, a jeśli to byłoby dla niego niewygodne, to w Sarajewie.

Drugiego lutego sąd wojskowy rozpatrywał sprawę profosa Tuttmana. Uznano go winnym i skazano na trzy lata pobytu w wojskowym więzieniu w Mollersdorf. Sprawa jego siostry odbyła się przed sądem cywilnym, który ją skazał na sześć miesięcy więzienia.

Kunze był przygnębiony wyrokiem wydanym na Tuttmana. Ze swej strony zrobił wszystko, co w jego mocy, aby pomóc temu człowiekowi, ponieważ wolał strażnika więziennego o ludzkim sercu, od surowego służbisty, ale generał Wencel wydał rozkaz, żeby Tuttmana dla przykładu specjalnie surowo ukarać, i niedawno promowany na to stanowisko sędzia śledczy Szabó ściśle ów rozkaz wypełnił.

Nieszczęsny, gnębiony astmą, poczciwy Tuttman. Kunze żywił nadzieję, że Tuttman nie będzie się czuł w więzieniu najgorzej. W gruncie rzeczy spędził w jednym z nich pół swego życia, toteż naprawdę nie miało to już istotnego znaczenia, po której stronie krat się przebywa.

Kapitan zastanawiał się, co pchnęło Tuttmana do tego, aby ryzykować dla Petera Dorfrichtera utratę posady. Czyżby strażnik czuł, podobnie jak on, równie gwałtowny pociąg ku porucznikowi? Fakt, że Tuttman jest kawalerem, też wiele tłumaczył. Ludzie z tej warstwy

rzadko kiedy pozostają w bezzennym stanie, gdyby jednak Tuttman objawiał jakieś homoseksualne skłonności, na pewno dałoby się to spostrzec, zwłaszcza na stanowisku, jakie zajmował. Może w pokoju dyżurnym nie było tajemnicą to, o czym na trzecim piętrze sędziowie nie mieli pojęcia? Biedny stary Tuttman, wszystko jedno jak lubieżne kierowały nim uczucia, zbyt surową poniósł karę po trzydziestu latach wiernej służby. Jeszcze jedna ofiara złego uroku, który najwyraźniej emanował z Dorfrichtera.

Kiedy eks-profosa Tuttmana przewieziono do Mollesdorfu, Kunze zatelefonował do naczelnika więzienia, żeby wstawić się za więźniem. Uspokoił się słysząc, że Tuttmanowi przyznano pewne przywileje ze względu na jego długoletnią służbę w więziennictwie.

Ledwie kapitan odłożył słuchawkę, znów telefon zadzwonił.

Rozpoznał głos inspektora Weinbergera.

- Mam dla pana nowiny. Proszę zgadnąć, kto wczoraj wieczorem wsiadł na Dworcu Zachodnim do nicejskiego sleepingu?

- Nie mam najmniejszego pojęcia.

- Doktor Goldschmiedt.

- Co to za nowina? Czyż Lazurowe Wybrzeże nie jest jego ulubionym terenem łowów? Słyszałem, że ma własne łoże, włącznie z osobistą pościelą w Hotel de Paris w Monte Carlo.

- Tak, zgadza się. Przejął te fanaberie od wielkich książąt rosyjskich. Ale tym razem zabrał ze sobą damę do tego łoża. Widocznie postanowił uniezależnić się od miejscowej dostawy.

- To ciekawe. Teraz chce pan pewnie, bym zapytał, kim jest ta dama? Niech pan przyjmie, że zadałem takie pytanie.

- Marianna Dorfrichter.

Ręka Emila Kunze zacisnęła się na słuchawce.

- Niech to diabli! Na pewno się pan nie myli?

- Nie. Śledziliśmy ją nawet po aresztowaniu pani Pausch. W ciągu minionego tygodnia doktor Goldschmiedt odwiedzał ją co najmniej raz dziennie. Następnie zeszłego wieczora podjechał pod dom wynajętą limuzyną, poszedł na górę i powrócił z panią Dorfrichter, niosąc neseser, chociaż nie sądzę, by w życiu dźwigał cokolwiek. Nasz człowiek miał dość oleju w głowie, żeby powiadomić telefonicznie wszystkie dworce i kiedy automobil dotarł do Dworca Zachodniego, policjanci, którzy byli tam na służbie, już czekali w pogotowiu. Doktor Goldschmiedt przewidująco polecił urzędnikowi, by przeprowadził jego i damę do pociągu przez salę bagażową, ale nie daliśmy się mu przechytrzyć.

- Jakoś nie mogę uwierzyć w to, że wyjechała. A co z dzieckiem?

- Jakiś czas temu jej matka wynajęła mamkę.

- Nieszczęsny bękart - powiedział Kunze.

- Dziecko?!

- Nie, Dorfrichter. Nie pozostawiliśmy mu nawet odrobiny moralnego wsparcia.

- Zdaje się, że to był twój pomysł. Kunze zignorował tę drwinę.

- A jeśli, choć to prawie niemożliwe, okaże się, iż” jest niewinny, to dokąd pójdzie? - zastanowił się kapitan. - Nie wróci do żony. Tacy jak on nie wybaczą.

- Niewinny? - powtórzył z powątpiewaniem inspektor. - Chyba taka możliwość nigdy nie przyszła ci do głowy?

- Naturalnie, że tak - odparł Kunze, pragnąc zakończyć już rozmowę. - Nie potrafię przecież czytać w ludzkich myślach. Trudno mieć absolutną pewność co do winy tego człowieka, kiedy wszystko, co mam, to ledwie strzępy nikłych dowodów.

- Diabelnie ciężka sprawa - przytaknął uprzejmie Weinberger. - Nie zazdroszczę ci. Pani Dorfrichter najwyraźniej przestała już dzielić twoje wątpliwości. Musiała widocznie podjąć ostateczną decyzję, bo inaczej nie wyruszyłyby w podróż z naszym przyjacielem, Goldschmiedtem.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Jaskrawe lutowe słońce oświetlało zimnym blaskiem olbrzymią, szklaną kopułę mediolańskiego dworca. Marianna Dorfrichter stała na korytarzu wagonu sypialnego i obserwowała ruch na peronie. Przypomniła jej barwny obrazek z kalejdoskopu, gdzie kolorowe szkiełka układają się za każdym obrotem w inny wzór, a jednak w jakiś sposób podobny do poprzedniego. Tu czyjaś matka macha dłonią za odjeżdżającym pociągiem, jakaś rodzina wita przybyłą osobę, para zakochanych żegna się czule, tu dwaj chłopcy gonią się nawzajem w gęstej ciżbie, tam jakiś sztubak dźwiga ciężką walizę, pasażerowie wołają na tragarzy, którzy z kolei podają głośno swoje numery, sprzedawcy zachwalają towary, a mali gazeciarze wykrzykują treść gazetowych nagłówków, tak jakby obwieszczali nadejście Sądnego Dnia.

„Taka jest więc ta Italia” - pomyślała Marianna. Peter obiecał zawieźć ją do Wenecji i Rzymu następnego lata. Miały to być pierwsze wakacje spędzone razem. Istotnie przyjechała do Włoch, ale nie z Peterem. Ilekroć nocą budziło ją dudnienie pociągu, zastanawiała się, czy nie wysiąść. Postanowiła zaczekać do Mediolanu, gdzie miał być dłuższy postój, dlatego, że ich wagon przełączano do pociągu jadącego w kierunku Marsylii. Kiedy do wyruszenia w dalszą drogę pozostała już tylko jedna minuta, Marianna dalej nie potrafiła podjąć decyzji.

Doktor Goldschmiedt przyszedł ją odwiedzić w wiedeńskim mieszkaniu matki zaraz po przeczytaniu relacji o Mitzi Haverda w

„Neue Freie Presse”. Z początku nie chciała się z nim widzieć, ale nalegał, by go przyjęła, potem była nawet zadowolona, że się zgodziła na jego wizytę. Był pełen współczucia i działał na nią kojąco, w przeciwieństwie do matki, która starała się przekonać córkę, że postępek Petera to rzecz normalna i że tak postępują najlepsi nawet mężowie. Pani Gruber uważała córkę za istotę głupią i egocentryczną, natomiast Paul Goldschmiedt w pełni, jak się zdaje, rozumiał, jak głęboko czuła się dotknięta. Nie pamiętała dokładnie, kiedy po raz pierwszy napomknął o Riwierze. Zastrzegł się wyraźnie, że nie będzie stawiał, w zamian za zaproszenie, jakichkolwiek żądań i warunków, nie wymagał też od niej, by czyniła cokolwiek wbrew swej woli. Jest bogaty, a do czego służą pieniądze jak nie do niesienia pomocy przyjaciołom. Był zdania, że Mariannie należy się po wszystkich tych przeżyciach jakaś odmiana, dla poratowania zdrowia, w imię własnego dobra i dobra dziecka.

Zdawała sobie sprawę, że prowadzą ze sobą grę, wołała jednak nie zastanawiać się nad tym, że nie zna reguł tej gry ani też nie wie, jak się ona zakończy.

Rozległ się głos gwizdka, wagon zakołysał się w momencie, gdy zaczęły obracać się koła. Opuszczali Mediolan. Marianna ubrana była w palto i miała wystarczającą ilość pieniędzy w portmonetce na opłacenie biletu do Wiednia, a jednak nie ruszyła się z miejsca. Niebawem, jakby wyczuwając powagę chwili, doktor Goldschmiedt wyłonił się ze swego przedziału. W sposób taktowny trzymał się z daleka podczas minionej

nocy, ale zdziwił się najwyraźniej, zastawszy ją na korytarzu, ubraną w palto.

- Przyszedłem właśnie zobaczyć, czy się pani już obudziła, a jeśli tak, to żeby zamówić dla nas śniadanie.

Przyznała, że jest głodna, więc poszli do wagonu restauracyjnego. Jadała już przedtem w pociągach, gdzie obsługa była dobra i jedzenie przyzwoite, ale nie mogło się to równać z tym, czego doznawała obecnie. Podróżowanie z Paulem Goldschmiedtem przywodziło na myśl dobrze wyreżyserowaną sztukę: aktorzy grali gładko swoje role, wchodzili i wychodzili we właściwej kolejności i czasie.

W Nicei czekały na nich dwa auta, gromadka lokajów i osobnik w sztuczkowych spodniach i w czarnym surducie, który wyglądał równie nobliwie, jakby był samym burmistrzem.

Zamieszkali w specjalnie dla nich wynajętej od francuskiego arystokraty willi, żeby umknąć, jak to doktor Goldschmiedt określił, psom gończym prasy. Willa ta znajdowała się w Èze, pół godziny jazdy od Nicei krętą drogą, wijącą się równolegle do kapryśnie powykręcanej linii wybrzeża. Umówili się, że Marianna zarejestruje się na policji (zgodnie z prawem obowiązującym każdego obcokrajowca, jeśli nawet zamieszkał w prywatnym domu) pod przybranym nazwiskiem, jako Albina Brammer, panna, katoliczka, austriackiej narodowości, urodzona w 1886 roku, w Bad Gastein. Nie spytała doktora, czy Albina jest prawdziwą postacią, czy tylko wytworem wyobraźni.

Z niecierpliwością oczekiwała tej przejażdżki, ale z chwilą kiedy wyjechała z Nicei, była zbyt znużona, by się rozglądać dokoła. Musiała najwidoczniej zapaść w drzemkę, bo pierwszy drogowskaz, jaki spostrzegła, wskazywał, że są już w Èze. Samochód sunął drogą przy torach kolejowych, za którymi teren łagodnie opadał ku morzu. Przejechali obok stacji i zatrzymali się przed ozdobną zieloną bramą z napisem Èze les Oeillets, zrobionym z ukośnych ozdobnych liter, umieszczonych na łuku wieńczącym bramę. Lokaj otworzył furte, weszli do tarasowało położonego parku, przeszli obok piętrowego budynku wozowni i kilku innych pomniejszych zabudowań, i zatrzymali się przed bocznym wejściem do różowej willi, zbudowanej w stylu śródziemnomorskim na szerokim występie skalnym wznoszącym się nad plażą.

Kiedy Marianna weszła na balkon, widok aż ją oszołomił. Nie wiedziała, że świat może być piękny: niebo zlewało się z morzem, a kształty półwyspu Cap Ferrat spowijała mgielka naciągającego wieczoru. Fiolet zmienił się w ciemną szarość, gwiazdy i światła odległych domostw rozbłysły prawie w jednej chwili, jak gdyby zapalone tą samą ręką.

*Partir, c'est un peu mourir* - był to jeden z niewielu francuskich zwrotów, które знаła. „Ale to nieprawda” - stwierdziła. Odejść to nie znaczy umrzeć, ale urodzić się na nowo. Nie była już tą samą osobą, która opuściła brzydkie mieszkanie Gruberów dwadzieścia cztery godziny temu. Nie była już Marianną Dorfrichter ani nawet Albina Brammer. Stała się na powrót młodą dziewczyną, która opatulona



kocem, przy otwartym oknie obserwowała dymy, unoszące się z kominów po drugiej stronie ulicy i dopatrywała się w ich nikłych konturach to sylwetek królów i pałaców, to egzotycznych kwiatów.

- Prawda, jaki cudowny widok? - Usłyszała za sobą głos Goldschmiedta.

Podszedł do balustrady i położył dłoń na ramieniu Marianny. - Szkoda byłoby nigdy tego nie zobaczyć.

- Oczywiście - potaknęła głową. Ale czar chwili prysnął i była znów Marianną Dorfrichter.

Samo rozpakowywanie rzeczy peszyło ją i bawiło. Zajęła się tym stara pokojówka o wyglądzie owdowiałej księżnej na wygnaniu. Marianna zastanawiała się, co ta kobieta myśli o jej skromnych sukienkach i bieliźnie, zrobionych przez *fräulein* Elbę, która co dwa lata szyla pani Gruber i jej córkom wszystko, począwszy od pościelowej bielizny, po balowe suknie. Jej barchanowe majtki z pewnością wyglądały niestosownie na półkach wspaniałej *armoire*, której wnętrze wyłożone było pikowanym jedwabiem w kolorze kardynalskiej purpury.

Francuszczyzna Marianny była uboga, ale to nie miało znaczenia, gdyż pokojówka nieomal odgadywała jej życzenia, nawet te, których Marianna nie była w pełni świadoma. Garderobę jej wyjęto i wyprasowano, oczyszczono pantofle. Najpierw zjawił się fryzjer, by ułożyć Mariannie włosy, potem zaś pokojówka, by jej pomóc w ubraniu się do obiadu. Mariannę to złościło, ale trwała w przekonaniu, że takie są obyczaje tego domu.

Była wdzięczna Goldschmiedtowi za okazywaną cierpliwość i taktowne pozostawienie jej w spokoju. Zajmowali osobne sypialnie na piętrze, do każdej przylegała łazienka i niewielki salonik. Nigdy jeszcze Marianna nie miała łazienki do swej wyłącznej dyspozycji, i to wyłożonej marmurem i z wanną rozmiarów sadzawki. Zastanawiała się, ile kosztuje wynajęcie takiej willi na dwa tygodnie, prawdopodobnie znacznie więcej niż wynosiło komorne za ich mieszkanie w Linzu za cały rok.

Kolację zjedli w Negresco. Z początku Marianna czuła się bezradna i przygnieciona ogromem tej sławetnej nicejskiej restauracji i jej pogańskim niemal przepychem, toteż dla dodania sobie otuchy wsunęła rękę pod ramię doktora Goldschmiedta. Gdy tylko weszli do sali jadalnej, zaraz ich dostrzegł *maître d'hôtel*. Przywitał doktora Goldschmiedta z dyskretną wylewnością, poprowadził ich do zarezerwowanego stolika, i tak go zaprezentował doktorowi, jak gdyby to była forteca, którą bronił przed atakiem wroga ryzykując życiem i zdrowiem.

Kiedy usiedli, Marianna zdobyła się na odwagę, aby się dokoła rozejrzeć. Przez moment poczuła się wprost zaskoczona. Widok wspaniale ubranych i obwieszonych klejnotami kobiet sprawił, iż Marianna zawstydziała się swej skromnej wieczorowej sukni z surowego jedwabiu, szytej przez pannę Elbę. Goldschmiedt widocznie odgadł jej myśli, gdyż wyciągnął rękę i lekko poklepał ją po dłoni.

- Jest pani najpiękniejszą kobietą na tej sali - rzekł do Marianny.

- Każda z nich zamieniłaby się chętnie z panią na twarz i figurę.

- Jakież one są eleganckie!

- Są tylko dobrze ubrane. Nie byłoby ich tutaj, gdyby nie potrafiły się dobrze ubrać. Jest to tylko kwestia pieniędzy.

- Ależ widziałam kobiety, które miały mnóstwo pieniędzy, a nigdy nie wyglądały elegancko, żeby nie wiem co na siebie włożyły.

- Właśnie! Żony oficerów w kochanym Wiedniu. Kolacja musiała być widocznie zamówiona na długo przedtem, bo niebawem pojawiła się gromadka kelnerów, by podać *hors d'oeuvre*.

Goldschmiedt rzucił szacujące spojrzenie i skinął aprobowująco.

- Uwielbiam ten hotel - rzekł do Marianny. - Nicea i Riwiera są wynikiem wspólnych starań i jak najlepszych chęci Boga i człowieka: nowy, bardziej wymyślny Rajski Ogród, który już ma swe węże. Niech pani spojrzy na tego mężczyznę w kącie. W średnim wieku, siwiejący. Jest z kobietą w zielonej sukni, z pękiem piór we włosach. To największy handlarz bronią na świecie. Gdyby mu to było na rękę, wojna między Francją a Niemcami wybuchłaby już nawet jutro. Jeślibym teraz wstał i go zastrzelił, stałbym się większym dobroczyńcą ludzkości niż Marcom i Paul Ehrlich razem wzięci. - Goldschmiedt uśmiechnął się. - Jaka szkoda, że jestem takim tchórzem. Marianna zmarszczyła brwi.

- Wojna jest nieunikniona, prawda? Przecież to jedyna rzecz, która ocali monarchię od przemienienia się w drugorzędne mocarstwo.

- Cytuje pani pogląd męża?

Krew napłynęła Mariannie do twarzy.

- Tak, do pewnego stopnia.

- Oczywiście, że ich, wojskowych, aż swędzi do tego ręka: wprowadzić w czyn swoje cenne teorie. Nie spoczną, dopóki nie zniszczą tego całego piękna i uroku, który pani tutaj widzi. Nic nie pozostanie z ludzi, budynków, nawet palm na Promenadę des Anglais! - dodał po chwili. - Czy sobie pani wyobraża, czego potrafi dokonać pocisk z dwudziestodwucentymetrowego działa w hotelu? Ale zmienmy lepiej temat. Cieszę się, że jest pani tutaj i że mogę ją zaprowadzić do moich ulubionych lokali i odkryć je na nowo pani oczyma. To dla mnie wielkie szczęście, moja miła.

Była to najlepsza kolacja, jaką jadła w życiu. Nie śmiała pytać, co ma na talerzu, żywiąc jedynie nadzieję, że nie są to wyszukane przysmaki, jak małże, krewetki czy żabie udka, rzadko podawane na Hahngasse. Każdemu daniu towarzyszyło odpowiednie wino i pod koniec kolacji Marianne ogarnął miły, beztroski nastrój. Goldschmied jadł mało i prawie nic nie pił, tylko spoglądał na jej twarz z głębokim skupieniem kolekcjonera sztuki, który kupił piękny obraz i zastanawia się, czy wart jest tej ceny. Z początku czuła onieśmienie, ale kiedy sala zamieniła się w jakąś nierealną, piękną i tęczowo barwną klatkę, twarz jego też się rozplynęła zasłonięta w połowie przez czerwone goździki na stole.

- Pani jest na pewno zmęczona. Sądzę, że lepiej będzie, jak stąd pójdziemy.

Wydawało jej się, że jego głos dobiega do niej gdzieś z bardzo daleka. Podniósł się, by do niej podejść, a wtedy nagle jak spod ziemi

wyrośli kelnerzy i odsunęli jej krzesło. Nie pamięta momentu, kiedy wstała.

- Idziemy? - w głosie Goldschmiedta brzmiała nuta zniecierpliwienia.

Sala zawirowała jej przed oczyma i przez chwilę bała się, że nie zdoła pokonać przerażającej odległości między stołem a wyjściem. Zrobiła krok i z ulgą stwierdziła, że potrafi jednak chodzić. Uwolniwszy ramię z mocnego uścisku Goldschmiedta, posuwała się między stolikami czując spojrzenia ludzi, ale już się nie peszyła, wiedziała bowiem, że przyglądają się jej, ponieważ jest piękna.

Zdumiała się na widok czekającej na nią w sypialni pokojówki, ale nie protestowała, kiedy ta pomagała jej się rozebrać i wziąć uprzednio przygotowaną już kąpiel, a potem ubrała Mariannę w wygrzany szlafrok z tkaniny frote, z wprawą zawodowej pielęgniarki.

Jedwabna nocna koszula i peniuar leżały już przygotowane na łóżku. Marianna nigdy przedtem nie widziała tych rzeczy, ale zaakceptowała je jako ozdoby swego nowego wcielenia.

Następną rzeczą, którą zapamiętała, był piękny atlasowy szlafrok sięgający podłogi, butelka szampana chłodzącego się w srebrnym kubelku z lodem, doktor Goldschmidt rozlewający szampan do kryształowych kieliszków o krótkich nóżkach. Doktor popijał go z wolna, małymi łykami, Marianna zaś wychyliła do dna jednym łakomym haustem.

Potem naga leżała w łóżku. Gdzieś w pokoju paliła się lampa, ale tak nikłym światłem, że mogło ono padać z oświetlonego domu na

odległym cyplu Cap Ferrat albo z pokładu przepływającego w oddali statku.

Czuła, jak ją obejmują czyjeś ramiona, delikatny dotyk palców i warg wędrujących po jej ciele działał na nią usypiająco. Głos pytał, czy pieszczoty sprawiają jej przyjemność, a ona odpowiedziała, że tak, i to ogromną. Nie mogła przecież w żaden sposób nakazać, żeby przestał i pozwolił jej zasnąć. Byłoby to wprost nietaktem.

Spała do późnego rana i zbudziła się rozbita wewnątrz, z dokuczliwym bólem głowy. Tabletki, które zaaplikował jej doktor Goldschmiedt, uciszyły ból. Zasiedli do śniadania w pokoju na piętrze; ona w swym nowym negliżu, a on w wymyślnym szlafroku. Parę minut po jedenastej siedzieli już w samochodzie wiozącym ich do Nicei.

Wiał ostry wiatr, ale niebo było równie niebieskie jak na pocztówkach wyłożonych na wystawie sklepu z pamiątkami przy Rue de France. Z jakąż ochotą kupiłaby kilka i wysłała bliskim do Wiednia, ale skądinąd wiedziała, że tego robić nie powinna. Próbowала uświadomić sobie dlaczego, ale nie mogła. Chociaż ból głowy ustąpił, miała nadal wrażenie, jakby myśli z trudem przenikały przez mulistą masę, która zasnęła jej mózg.

Kiedy przechodzili obok sklepu z wytworną bielizną, doktor Goldschmiedt ujął Mariannę za ramię.

- Wejdźmy kupić coś ładnego dla malca - powiedział wiodąc ją ku wejściu.

Spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Jakiego malca? - spytała. Ze sposobu, w jaki zmarszczył czoło, wywnioskowała, że pytanie musiało być wprost niedorzeczne.

- Dla pani dziecka! Dla kogóż by innego?

- Oczywiście dla mego dziecka. Dla kogóż by innego. - Uśmiechnęła się posłusznie, żeby nie rozgniewać Paula Goldschmiedta.

Szcześnie, doktor zajął się osobiście robieniem zakupów w sklepie, wyjaśniając, że chodzi o ubranka dla dwumiesięcznego chłopca. Wybrał prześliczne i bardzo drogie, toteż Marianna podziękowała mu za nie wylewnie.

Na tarasie u Ruhla Marianna udawała, że obserwuje przechodniów, gdy tymczasem rozpaczliwie próbowała rozproszyc mgłę spowijającą jej umysł. Z wolna uświadomiła sobie, że niedawno urodziła dziecko, a jej mąż, Peter, przebywa w więzieniu, oskarżony o straszliwe morderstwo, ale jednocześnie miała wrażenie, że nie jest on tak naprawdę jej mężem. Współczuła ogromnie owej kobiecie, która ma męża w więzieniu, ale wołała o niej więcej nie myśleć, bo to jej psuło całą *joie de vivre* (jeszcze jedno wyrażenie, jakie znała po francusku).

Tego dnia Paul obdarował Mariannę kosztownymi prezentami, potem zjedli obiad w maleńkiej restauracji na Starym Mieście, zamawiając, jego zdaniem, najlepszą *bouillabaisse* na Lazurowym Wybrzeżu. Następnie pojechali do eleganckiej willi przy bulwarze Wiktora Hugo, oddzielonej od ulicy ogrodzeniem z kutego żelaza, za którym znajdował się jeszcze niewielki dziedziniec. Tam windą dostali się na pierwsze piętro do Salonu Mody, gdzie Goldschmiedt zamówił dla Marianny kilka kreacji, które miano dostarczyć w ciągu czterech

dni. Marianna zmierzyła też śliczny wieczorowy płaszcz, ozdobiony gronostajami, który leżał na niej znakomicie, toteż doktor Goldschmiedt nakłonił zarządzającą, by go sprzedała, mimo iż był to właściwie model. Zapakowano płaszcz starannie w bibułkę i odniesiono do auta czekającego na dole.

Kiedy wrócili do willi, Goldschmiedt poprosił pokojówkę, by zasunęła story w jego pokoju i przygotowała łóżko, po czym odbył miłosny seans z Marianną, raz jeszcze upewniając się, czy jego pieszczoty na pewno sprawiają Mariannie przyjemność. Pomyślała sobie wtedy, że jeśli ma tak być dalej, będzie zmuszona wypijać parę kieliszków, zanim pójdzie z nim do łóżka.

Później, we własnej już sypialni zapadła w drzemkę, z której obudziła ją pokojówka i pomogła się jej ubrać do kolacji. Zaraz potem zajęła się Marianną fryzjerka, a kiedy obie wyszły, zjawił się doktor Goldschmiedt pytając, czy Marianna gotowa jest już do wyjścia. Powiedziała, że tak i wyszli na schody.

- Nie włożyłaś na siebie nowego płaszcza? - zauważył doktor.

Spojrzała na niego zdziwiona.

- Jakiego płaszcza?

- Tego, który dzisiaj kupiliśmy - powiedział i znów się nachmurzył.

- Oczywiście! Płaszcz!

Wróciła do pokoju, płaszcz z przepięknym gronostajowym kołnierzem wisiał w szafie, zachwycając swą elegancją.



- Jakież piękny! - powiedziała, gdy podawał jej okrycie. - Zdaje się, że ci nawet nie podziękowałam za niego - dodała z uśmiechem.

- Już mi dziękowałeś. Chodźmy!

Uśmiech zgasł na twarzy Paula Goldschmiedta, który całą drogę do Monte Carlo był wyraźnie pochłonięty myślami.

Kolację jedli w Hotel de Paris, gdzie *maître d'hôtel* wyraził swoje ubolewanie, że *le docteur* nie zatrzymał się u nich tym razem.

Doktor Goldschmiedt pokazał Mariannie dyskretnie pewne dostojne osobistości: siedzieli tam przy osobnych stołach dwaj arcyksiężęta w otoczeniu swej świty, a ogromnie wytworny i młodo wyglądający król Portugalii, Manuel, jadł kolację w towarzystwie obwieszonych klejnotami dam i panów ubranych we fraki. Sama atmosfera otoczenia, bardziej jeszcze oszałamiająca i podniosła niż w Negresco, sprawiła, że Marianna poczuła się raptem tak, jakby całe życie bywała w restauracjach, gdzie jadali królowie i arcyksiężęta.

Zasnęła w drodze do domu, a doktor obudził ją, kiedy już dotarli do Èze les Oeillets. Weszli na taras, ponieważ Goldschmiedt chciał jej pokazać morze w świetle księżyca. Podziwiała grzecznie widok, nie mając odwagi zapytać, jak się tu znaleźli i co robią w miejscu, gdzie wszystko jest takie lśniące i mgliste zarazem, jak gdyby znajdowali się pod wodą. W chwilę później, kiedy wchodziła po schodach do sypialni, świat zawirował jej przed oczyma, co jeszcze bardziej wzmogło rosnący w niej niepokój. Poczowała się zagubiona, toteż wyciągnęła skwapliwie rękę, by uchwycić się ramienia mężczyzny idącego obok

niej po to, aby się wesprzeć, ale też by się upewnić, że przebywa nadal w świecie żywych.

- Troszkę za dużo wypiliśmy, prawda? - spytał szorstkim i karcącym tonem.

Nazajutrz pojechali do Nicei na przymiarke w salonie. Przymilna, ubrana na czarno, sprzedawczyni zapytała Mariannę z szacunkiem o nazwisko.

- Madame Dorfrichter - odpowiedziała Marianna z ulgą, że jednak pamięta. Kiedy pochwyciła gniewne spojrzenie doktora, uświadomiła sobie, że popełniła *faux pas* (jeszcze jeden znany jej zwrot we francuskim).

- Madame Brammer - poprawił ją, ale widząc zdumione spojrzenie sprzedawczyni pojął, że stało się to, czego się obawiał.

- Chcesz ściągnąć tu na nas całą francuską prasę? - spytał Mariannę, kiedy wyszli z salonu.

Pokręciła przecząco głową.

- Na Boga, skądże znowu!

Słowo „prasa” przypomniało jej nagle postacie ludzi w płaszczach, wsparte o latarnie na Hahngasse w Wiedniu, czekające, by ją dopaść w momencie, kiedy wychodziła z mieszkania matki.

- Wobec tego zechciej łaskawie zapamiętać, że nazywasz się tutaj madame Brammer!

- Dobrze - odpowiedziała potulnie. Nie chciała bowiem rozgniewać Paula, jedyne łącnika z otaczającą rzeczywistością.

Jakże trafiłaby na powrót do domu, gdyby zniknął i pozostawił ją samą i bezradną w tej niesamowicie pięknej próżni.

- Na pewno będę pamiętać - powtórzyła gorliwie.

- Mam nadzieję - wymruczał, po czym uśmiechnął się i delikatnie pogładził ją po twarzy.

Reporterzy dopadli ich nazajutrz, gdy popijali apéritif na tarasie u Ruhla.

Marianna obudziła się późno tego rana, niespokojna i przygnębiona. Wiatr ustał, morze zaś było spokojne i ciche.

Właśnie po raz pierwszy tego dnia ucieszył ją widok tłumów przesuwających się obok tarasu Ruhla oraz wdzięczna parada powozów i limuzyn na szerokiej wstędze obramowanej palmami promenady ciągnącej się wzdłuż łukowato położonej zatoki hen, daleko, aż po wyglądający na chmurę mglisty zarys półwyspu. Wówczas to właśnie jakiś niski mężczyzna o twarzy foksteriera zatrzymał się przy ich stole i zagadnął Mariannę w płynnej wiedeńskiej niemczyźnie.

- Dzień dobry, pani Dorfrichter. Słyszałem, że pani jest tutaj, i nie mogłem przepuścić okazji, aby się z panią nie przywitać.

Z tonu jego słów można by wnosić, że są znajomymi, ale Marianna nie mogła sobie przypomnieć, czy go kiedykolwiek przedtem widziała.

- Dzień dobry - odrzekła i domyśliła się widząc nieprzyjazną minę Goldschmiedta, że znowu zrobiła coś niestosownego.

- Mylisz się, młodzieńcze - warknął doktor na nieznanego. -  
To nie jest pani Dorfrichter.

Wtedy to przypomniała sobie jego zalecenie.

- Myli się pan - dodała siląc się również na stanowczość. -  
Jestem madame... - ale nie mogła sobie za nic przypomnieć nazwiska.

Młodzieniec uśmiechnął się złośliwie.

- Jest pani na pewno madame Dorfrichter. A pan jest jej  
adwokatem, doktorem Goldschmiedtem. Czy mogę się przedstawić?  
Reinhard Lothar, do usług. - Wydobył legitymację prasową, która  
potwierdziła jego tożsamość przedstawiciela prasy bulwarowej.

- Do diabła, niech się pan wynosi - zasyczał Goldschmiedt - bo  
zawołałam kelnera, który pana stąd usunie.

Zamiast odejść, młodzieniec przysunął sobie krzesło i usiadł.

- Dobrze pan wie, że lepiej ze mną nie zaczynać, skoro pana tu  
odnalazłem. Chciałbym porozmawiać teraz z panią Dorfrichter, bo w  
przeciwnym razie i tak przekażę telegraficznie wiadomości do Wiednia,  
fantazując, ile się da. Czy pani miło spędza tu czas? - zwrócił się do  
Marianny.

- Bardzo. - Zerknęła w stronę Goldschmiedta, jakby szukając  
pomocy, ale twarz doktora przypominała maskę, tak była nieruchoma i  
obojętna.

- Doktor Goldschmiedt, jak wiadomo, bardzo się troszczy o  
klientów - ciągnął reporter. - Czy mąż wie, że spędza pani z doktorem  
wakacje?

- Ja nie... - zaczęła Marianna, ale Goldschmiedt podniósł się nagle i rzucił parę banknotów na stolik,

- Chodźmy - powiedział do Marianny. Reporter zagroził im drogę:

- Chwileczkę, proszę pana. Nie można przerywać damie w pół słowa. Co pani chciała mi powiedzieć?

- Że ja nie mam męża - wyszeptała przerażona. Goldschmiedt chwycił ją za rękę i zaczął odciągać. Reporter nie odstępował ich ani na krok.

- Ale ma go pani! Z całą pewnością! Pławi się tu pani w słońcu Riwiery, a on gnije w Wiedniu, w ponurej celi.

Słowa te wbiły się w jej świadomość z ostrością włóczni. Wyrwała się Goldschmiedtowi i stanęła twarzą w twarz przed reporterem.

- Skądże znowu! Jego cela jest jasna i ma duże okno. Tak mówił kapitan Kunze doktorowi Goldschmiedtowi. On nie...

Chciała powiedzieć, że kapitan Kunze nie kłamie, bo jest przede wszystkim oficerem, ale Goldschmiedt jeszcze raz ścisnął jej ramię i burknął niegrzecznie: - Trzymaj język za zębami!

Auto czekało na nich od strony ulicy Alberta I, szofer już siedział przy kierownicy, a lokaj obserwował taras u Ruhla, czekając na znak dany przez doktora Goldschmiedta. Kiedy Marianna z doktorem pojawili się na chodniku, z nie odstępującym ich ani na krok reporterem, auto podjeżdżało właśnie do narożnika. Lokaj otworzył drzwi i pomógł im wsiąść.

- Do licha, ruszać natychmiast! - wykrzyknął Goldschmiedt. Szofer natychmiast ruszył. Lokaj stojący na stopniu przywarł do klamki. Przez moment wydawało się, że reporter być może dołączy się do niego, ale młodzieniec najwyraźniej rozmyślił się i pozostał na chodniku, uśmiechając się głupio, kiedy odjeżdżali.

- Dokąd, proszę pana? - spytał szofer, który nie śmiał zatrzymać się, by wpuścić lokaja do środka.

- Prosto przed siebie! - wykrzyknął Goldschmiedt i odwrócił się do Marianny. - Czy ty zwariowała? Czy naprawdę musiałaś rozmawiać z tym draniem?

Marianna drżąc cała kuliła się daleko w rogu, nie spuszczać oczu z lokaja.

- On spadnie - szepnęła.

- Nie martw się o niego! Co, u diabła, skłoniło cię, aby rozmawiać o celi!

Popatrzyła na niego pustymi oczyma.

- O jakiej celi?

- Twego męża!

- Jakiego męża?

- Co się z tobą dzieje? Nie jesteś czasem chora? - spytał zaniepokojony Goldschmiedt i zaczął walić w szybę oddzielającą ich od szofera.

- Stać. Podjechać do krawężnika. Stać!

Auto zatrzymało się, lokaj wszedł do środka, a Marianna westchnęła z uczuciem ulgi.

- Mógł spaść i roztrzaskać głowę - szepnęła. Goldschmiedt patrzył na nią badawczo.

- Pamiętasz, co powiedziałaś temu człowiekowi?

- Jakiemu człowiekowi?

- Temu reporterowi?

- To był reporter?

- Mówiłem ci, byś z nikim nie wdawała się w rozmowę.

- Zapomniałam - odrzekła Marianna. Czowała się straszliwie zmęczona i roztrzęsiona. - Chcę wracać do domu.

- Do Èze?

- Èze?

- Żarty sobie stroisz, czy... - zastukał ponownie w szybę. - Z powrotem do Èze - rozkazał szoferowi głosem ochryłym z przejęcia.

Następnego dnia odjechali do Wiednia. Tymczasem Marianna Dorfrichter popadła w stan całkowitej apatii, przerywanej od czasu do czasu chwilami ożywienia.

Przyjęła decyzję wyjazdu nie okazując żalu, ale zmartwiła się widząc, jak ładują jej walizki do samochodu.

- Zostaję - oznajmiła Goldschmiedtowi. - Podoba mi się tutaj. Nie chcę stąd nigdzie wyjeżdżać!

- Nie chcesz wrócić do dziecka? - spytał.

- Jakiego dziecka?

Aż spocił się z przerażenia i krople potu spływały mu z czoła.

- Urodziłaś dziecko dwa miesiące temu. - Starał się mówić do niej łagodnym tonem, z zawodowym współczuciem obrońcy niesprawiedliwie oskarżonych.

Z uśmiechem pokręciła głową.

- Ktoś cię widocznie wprowadził w błąd. Nigdy nie miałam dziecka.

Podróż powrotna upłynęła spokojnie. Doktor Goldschmiedt niepotrzebnie się lękał, gdyż Marianna była cały czas serdeczna i potulna. Wsiedli w Baden koło Wiednia, żeby uniknąć reporterów, którzy na pewno urządzili na nich zasadzkę na Dworcu Zachodnim.

Reinhard Lothar spełnił swą groźbę i wysłał swe relacje do gazety, które wydrukowano w specjalnym wydaniu pod płomiennym tytułem: „Miłosne spotkanie na Lazurowym Wybrzeżu”.

Kiedy pociąg zatrzymał się w Salzburgu, doktor Goldschmiedt kupił gazetę i natychmiast zadepeszował do kancelarii, by wysłano na ich spotkanie wynajętą limuzynę. Jego Daimler bowiem znany był w Wiedniu i mógł sprowadzić za sobą tę sforę psów gończych na dworzec w Baden,

Pojechali prosto na Hahngasse. Kiedy Marianna rozpoznała dom, nie chciała z początku wsiąść z auta. Dzień był ponury i przejmująco zimny, słońce kryło się za szarymi chmurami, a gryząca mgła wypełniała płuca i utrudniała oddech. Choć policzki aż paliły Mariannę, drżała jednak z zimna całą drogę z Baden.



Goldschmiedt podejrzewał, że wyniknie z tego wysoka gorączka, ale postanowił najpierw odwiedzić Mariannę do matki, a potem dopiero poczynić wszelkie konieczne zabiegi.

- Niestety, Marianna nie czuje się dobrze - powiedział ostrożnie do pani Gruber, którą spiesznie wezwano ze sklepu. - To nic niepokojącego. Taki stan często objawia się po porodzie.

Oczy pani Gruber pełne były wyrzutu. Kiedy Marianna powiedziała matce o zaproszeniu adwokata, ta gwałtownie sprzeciwiła się temu wyjazdowi. Pokłóciły się, a Marianna, chociaż zawsze czuła i posłuszna, wyjechała z doktorem Goldschmiedtem samowolnie, w czasie, kiedy matka była z wizytą u znajomych.

- Co pan zrobił z moim dzieckiem? - spytała pani Gruber.

Goldschmiedt pragnął za wszelką cenę zakończyć rozmowę i pożegnać się, ale wiedział, że nagłym odejściem przysporzy sobie tylko kłopotów.

- Nikt jej nic złego nie zrobił - odparł krótko. - Jest wyczerpana. W gruncie rzeczy to nawet szczęśliwie się złożyło, że była ze mną, kiedy to wystąpiło.

- Co wystąpiło?

- Objawy psychicznego zaburzenia.

- Niech pan da spokój tym uczonym słowom! Chce pan powiedzieć, że sfiksowała?

- Uchowaj Boże! Skądże znowu, pani Gruber! Mówię tylko, że jest wyczerpana. Tyle musiała znieść! Po kilku tygodniach odpoczynku w sanatorium znów wróci do siebie. Proszę położyć ją do łóżka i zostać

przy niej. Skontaktuję się z moim przyjacielem, doktorem Josefem Breuerem, cudownym człowiekiem. Odniósł wielkie sukcesy w podobnych przypadkach. Zapewne słyszała pani o nim. Jest asystentem doktora Freuda.

Najwyraźniej nie zrobiło to wrażenia na pani Gruber.

- Nigdy nie słyszałam ani o jednym, ani o drugim - odpowiedziała chłodno.

- Poproszę go, by skonsultował się z profesorem Hainem i razem zdecydują o odpowiedniej kuracji.

- Wykorzystał pan moją córkę. Ładny mi obrońca! Doktor Goldschmiedt opanował wybuch gniewu.

- Proszę się nie martwić. Wszystko będzie dobrze. Wezmę na siebie wszelkie koszty...

Wyciągnął rękę, by poklepać panią Gruber po ramieniu, ale zatrzymał dłoń w pół drogi, jak gdyby zląkł się, że pani Gruber może go ugryźć. Serdecznie machnął dłonią i szybko wyszedł z mieszkania.

Podczas tej rozmowy Marianna siedziała układnie jak wzorowa uczennica, na krześle o prostym oparciu.

Johann wraz z niańką zajmowali dawną sypialnię Marianny. Czasami donośny płacz dziecka dochodził zza ściany, ale Marianna jakby tego nie słyszała. Leżała na łóżku ze wzrokiem wbitym w sufit, badawczo oglądając każdą rysę i plamę na tynku.

Pani Gruber siadywała w fotelu przy jej łóżku i obserwowała najmłodszą i najpiękniejszą z córek, w której tyle pokładała nadziei. Ileż to godzin poświęciła doglądając jej, gdy przechodziła szkarlatynę,

dyfteryt i gruźlicę, aby teraz utracić ją z przyczyny jeszcze bardziej niszczącej choroby.

- *Mein Sorgenkind* - wyszeptwała. - Moje nieszczęsne dziecko.

- Czy porucznik Dorfrichter coś mówił? Odezwał się może? Chociaż słowem? - zapytał Kunze profosa o wąsach w stylu cesarza Wilhelma.

- Ani jednym słowem, panie kapitanie. Podałem mu tę gazetę. Wziął, rzucił okiem, podszedł do okna i tam pozostał. Stał odwrócony tyłem. Jednak widziałem jego twarz w szybie. Wyglądała normalnie. Tak jak zawsze.

- Co mu powiedziałaś, podając gazetę?

- Że powinien coś w niej przeczytać, bo go to może zaciekawić.

Nie pamiętam dokładnie. Byłem bardzo zakłopotany, proszę pana.

- Naprawdę?

Profos zrobił głęboki oddech.

- Tak. Wiedziałem, że go to zaboli. Siedzi przecież w celi. Nie może się ani upić, ani zlać tej przeklętej baby.

- To byłoby wszystko - rzekł Kunze uprzejmie, ale kiedy profos był już w drzwiach, zawołał do niego: - Proszę mi przyprowadzić porucznika Dorfrichtera na przesłuchanie.

Profos odwrócił się.

- Chce pan go przesłuchać teraz?

- Oczywiście, że teraz, do licha! - odrzekł Kunze podniesionym głosem.

- Rozkaz, panie kapitanie. - Profos zasalutował sztywno i wyszedł z kancelarii.

Kunze wstał i zaczął spacerować po pokoju oczekując przyływu szarpiącego nerwy napięcia, które pojawiało się przed każdym takim spotkaniem. Było to jakieś trwożne wyczekiwanie połączone z tęsknym pragnieniem, by stał się cud, a jednocześnie strach przed nie wiadomo czym! To pragnął zmiążdżyć Dorfrichtera, zniszczyć go z kretesem, to znów czekał z nadzieją na gest lub słowa pojednania, albo przyjazne spojrzenie z jego strony.

„Więc to jest miłość - myślał Kunze - słowo tak lekko i nieodpowiedzialnie używane przez młodych, a jednocześnie stan ducha, pożądanie zmieszane z udręką, które pchnęło Medeę do zabicia swych dzieci, Antoniusza do zdrady Rzymu, Ofelię do szaleństwa. Jakże to okrutne ze strony losu, że obarczył tym uczuciem wojskowego prokuratora na progu jego dojrzałego wieku, kiedy zaczynał już odczuwać bezpieczny spokój wobec porywów młodości”.

Od strony drzwi dobiegł go odgłos kroków. Kunze celowo zaniechał wezwania porucznika Stoklaski jako świadka i Heinricha w charakterze protokolanta, których obecność na wszystkich przesłuchaniach była konieczna. Zamierzał wezwać ich dopiero po paru minutach spędzonych sam na sam z Dorfrichterem.

Trzech ludzi: więzień, profos i strażnik weszli do pokoju. Kunze odgadł z wyrazu twarzy profosa, że zauważył nieobecność dwóch poruczników i wyciągnął już z tego własne wnioski. Na pewno

pomyślał sobie, że Kunze chce zastosować jakieś nowe tricki, żeby zgłębić więźnia.

„Do diabła, co to takiego jest w Dorfrichterze, że tak pozyskuje sobie każdego - zastanawiał się Kunze. - Jeszcze parę dni, a następny profos zacznie przemycać listy, jeśli już teraz tego nie robi”.

Wreszcie byli sami. Kiedy Kunze odkomenderowywał przybyłą eskortę, Dorfrichter milczał. Stał na środku kancelarii nieruchomo, ze skamieniałą twarzą.

- Spoczniej - powiedział Kunze starając się usilnie, by głos jego brzmiał naturalnie. - Usiądź, Peter.

Po raz pierwszy zwrócił się do porucznika po imieniu. Jeśli spodziewał się wywołać tym klimat przyjaźni, to czekał go zawód.

- Ty draniu! - mruknął niewyraźnie Dorfrichter. Wyzwisko to nie zdziwiło Kunzego. Podświadomie spodziewał się tego i zastanawiał się potem, czy aby nie po to właśnie urządził to spotkanie bez świadków.

- Mógłbym cię skazać za to na chleb i wodę - podkreślił.

- Czemu pan tego nie robi? Może byłoby to źdźbłem słomy, które łamie grzbiet wielbłąda.

- Do licha, poruczniku! Niech pan zrozumie, że nie jestem katem. Puszczę pana wolno zaraz, jak tylko się przekonam, że jest pan niewinny.

- Tak! Ale zanim to się stanie, zniszczy pan moje małżeństwo, karierę zawodową, mnie samego jako człowieka i oficera. - Wziął głęboki oddech. - Podał pan do prasy tę historię z Haverdą. Chciał pan

skłócić mnie z żoną i to się panu udało. A potem dopilnował pan, żebym się z kolei dowiedział o romansie mojej żony.

- Co przez to rozumiesz? Dorfrichter podszedł bliżej.

- Przyłapał pan profosa Tuttmana i kazał go pan aresztować. Po czym wsadził swego kapusia na to miejsce. Jak ostatni głupiec przekazałem mu list do żony. Gotów jestem ręczyć własnym życiem, że go nigdy jej nie doręczył, że tkwi gdzieś wsunięty w stertę papierów na pana biurku. Następnie kazał mu pan podsunąć mi dziś rano tę plotę. Co pan chciał przez to osiągnąć? Nikczemny potwór z pana! Dobrze, niech mnie pan powiesi, jeśli pan tak tego pragnie. Ale nie dobija mnie tak po trochu.

- Niech się pan weźmie w garść, poruczniku. Są obelgi, które skłonny jestem wysłuchać od pana, ale do pewnych granic.

- Nie wysłuchałby pan nawet jednej, gdyby nie czuł się pan tak cholernie winny.

- Winny? Czego?

- Sam mnie pan zmusza, żebym to panu powiedział prosto w oczy. Pan jest zbrodźcą, kapitanie, cholernym sadystą. Torturuje mnie pan, bo to mu sprawia przyjemność. Pan nie chce, aby sprawiedliwości stało się zadość. Bo gównie obchodzi pana sprawiedliwość. Wszystko, co pan chce, to zobaczyć mnie u swoich stóp, żebym się płaszczyl i lizał panu buty.

- Dostyc tego! - krzyknął Kunze waląc z wściekłości pięścią w biurko. - Jeszcze jedno słowo, a będziesz gnął w więzieniu do końca życia! - wykrzyknął.

Poczuł morderczą nienawiść do tego człowieka. Gdyby miał pod ręką broń, wypaliłby bez wahania między te zuchwałe, nazbyt dużo widzące oczy. Gwałtowny wybuch gniewu sprawił, że zakręciło mu się przez moment w głowie i musiał uchwycić się krzesła. Pierwszy raz w życiu przeżywał coś tak mocno. Co za przerażająca chwila! Puścił krzesło, podszedł do okna i odwrócił się od Dorfrichtera. - Pan nie jest chyba przy zdrowych zmysłach? - rzekł.

Słyszał, jak porucznik poruszył się za nim.

- Przekazał pan do prasy historię z Haverdą, po to aby rozbić moje małżeństwo, prawda?

Kunze dalej pragnął zranić boleśnie tego człowieka.

- Być może tylko czekała na pretekst, żeby pana porzucić.

Kiedy zwrócił twarz w stronę więźnia, udreka malująca się w oczach porucznika stopiła gorycz, jaką czuł kapitan, który zapragnął z kolei pocieszyć i ułagodzić Dorfrichtera.

- Nie trzeba tego wszystkiego tak brać do serca. Nie tylko ona, ale żadna kobieta nią jest tego warta - dodał niezręcznie.

Dorfrichter, który dotąd patrzył pustym wzrokiem w przestrzeń, utkwiał wzrok w twarzy Kunzego.

- Mówił mi pan, że jest nieżonaty.

- Tak, nie jestem.

- To skąd pan może wiedzieć, co one są warte? - Czekał chwilę na odpowiedź, po czym zaczął mówić dalej: - Dlaczego kazał pan profosowi podsunąć mi tę gazetę?

Kunze odwrócił się.

- Ja tu jestem od prowadzenia śledztwa, poruczniku!

- To niech pan pyta, u licha!

- To pan wysłał te prospekty, prawda? Dorfrichter wybuchnął śmiechem.

- Chryste! To już zaczyna przypominać dziecianną grę w zgadywanki. Tylko że to się wszystko jeszcze powinno rymować. Mogę udzielić panu rady, kapitanie? Niech pan złoży rezygnację z prowadzenia tej sprawy. Miał pan dotąd nikłą możliwość wygrania jej, ale od tej pory nie ma pan już w ogóle żadnej szansy.

Kunze nacisnął dzwonek przy biurku.

- Chcę, aby porucznik wrócił do celi - rzekł do wchodzącego dyżurnego sierżanta. - Może pan poczekać na profosa w przyległym pokoju - powiedział do Dorfrichtera.

- Czy to nie będzie wbrew regulaminowi? - zapytał porucznik z sarkastycznym uśmiechem. - Mógłbym przecież spróbować ucieczki.

Kunze poczuł, jak jego ciało robi się ciężkie niczym ołów.

- To był rozkaz, sierżancie - powiedział niskim, martwym głosem.



## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Troll przyzwyczał się wdrapywać na okienny parapet w gabinecie, skąd mógł obserwować ulicę i rozpoznawał kapitana Kunze, kiedy ten wylaniał się zza rogu Traungasse wracając z biura do domu. Kapitan zadzierał do góry głowę, a widok dużego, kudłatego łba sprawiał, że przyspieszał kroku. W chwili gdy wkładał klucz do frontowego zamka, pies był już w korytarzu i witał swego pana gwałtownym machaniem ogona i niskim gardłowym warczeniem, który nieznamomi ludzie brali za przejaw wrogości. Ale Kunze wiedział, że to swoisty sposób wyrażania psiej tęsknoty. Potem szli do sypialni, gdzie kapitan zmieniał trzewiki na stare buty i bez względu na to, czy świeciło słońce, czy padał deszcz, szli razem do miejskiego parku. Kunze spuszczał Trolla ze smyczy, a pies biegał jak oszalały tam i z powrotem po zwirowanych alejkach. Tablica nakazywała właścicielom trzymać psy na smyczy, ale tego przestrzegali tylko cywile. Dozorcy parku, wszyscy co do jednego wojenni weterani, uważali, że pies kapitana stoi wyżej od wszystkich cywilów, zatem zarządzenie owo wcale go nie dotyczy. Po skończonych harcach szli do małej restauracji przy Weihburggasse na prosty, ale dobry obiad, z wyjątkiem niedzieli, kiedy to jedli południowy posiłek u Róży. Starła się usilnie skłonić Kunzego, by wszystkie posiłki jadał u niej, ale kapitan odmówił. Ciągle robiła kwestie o psa. Kunze nie miał ochoty zostawiać Trolla w domu, toteż kompromisowo przystali na wspólne obiady w niedzielę.

Pewnego piątku Róża odwiedziła Kunzego w jego kancelarii, aby mu powiedzieć, że adwokat uporządkował już sprawę testamentu jej wuja i że za parę dni otrzyma spadek. Oświadczyła o tym wszystkim Kunzemu poważnym tonem przewodniczącego ławy przysięgłych, przynajmniej tak się to kapitanowi wydało. Chciała, by ją odwiedził jeszcze tego wieczora, więc właśnie szli z Trollem na Zaunergasse. Kapitan po to, by omówić małżeńskie plany, a pies, by się zaszyć w kącie salonu, gdzie mu podesłano stary worek po kartoflach.

Kapitan był nieco zdziwiony, że zastał u Róży jej adwokata, starego przyjaciela rodziny, a także jej siostrę z mężem, a wszyscy aż płonęli z emocji. W oczach Róży było przy tym tyle prostej, dziecinnej radości, która także udzieliła się Kunzemu. Rezygnacja z wolności wydała mu się drobnym poświęceniem w porównaniu ze szczęściem, jakie to małżeństwo stanowiło dla Róży. Była mu bezgranicznie oddana, o czym dobrze wiedział, i kochała go prawdziwie i szczerze jak nikt na świecie. Uświadomił sobie nie bez przykrości, że nigdy nie był absolutnie pewny uczuć swej matki, nie mogąc stwierdzić, ile w nich było miłości, a ile zwykłego poczucia obowiązku wobec syna.

Postanowiono, że Kunze natychmiast przedłoży w korpusie prośbę o zezwolenie dowódcy na zawarcie małżeństwa. Przyszła panna młoda cieszyła się nieskazitelną opinią, miała odpowiednią pozycję społeczną, a także była w stanie złożyć wymaganą kaucję małżeńską, toteż nie spodziewając się jakichkolwiek komplikacji mogli swobodnie planować, że wezmą ślub w marcu. Po pewnym zastanowieniu wybrali piąty dzień miesiąca.

Wizyta u Róży przeciągnęła się do późna w nocy. Wypito kilka butelek szampana i w końcu wszyscy, nie wyłączając kucharki i pokojówki, byli w doskonałych humorach. Nawet Troll miał używanie. Róża nakarmiła go kawałkami gęszej wątróbki i rostbefu, najwyraźniej z zamiarem nawiązania z psem serdeczniejszej więzi. Dała do zrozumienia Kunzemu, iż nie ma nic przeciwko temu, by pozostali z Trollem na noc, ale kapitan z uwagi na ich narzeczeński status czuł, że byłoby rzeczą stosowną, gdyby wyszedł od Róży razem z gośćmi.

Nastrój zadowolenia przetrwał w nim aż do następnego rana. Po przyjeździe do kancelarii znalazł na biurku listowną odpowiedź kapitana barona Landsberg-Lövy. Baron przeproszał za zwłokę w korespondencji, przebywał bowiem w tym czasie na inspekcji baz w Bośni i otrzymał pismo Kunzego dopiero po powrocie do swojej jednostki. Jest do dyspozycji kapitana w każdej chwili w Sarajewie, ale jeśli sprawa nie jest nader pilna, może mu zaoszczędzić podróży, gdyż zjawi się w Wiedniu dwudziestego piątego lutego. Kunze oddepeszował natychmiast, że podany termin bardzo mu odpowiada, a potem zasiadł przy biurku i zaczął układać pismo do dowódcy korpusu z prośbą o pozwolenie na zawarcie małżeństwa.

Kapitan Landsberg-Lövy, żyłasty, ciemnowłosy mężczyzna z haczykowatym nosem i profilem asyryjskiego wojownika, odznaczał się powściągliwą złośliwością dobrze wytresowanego pinczera. Jego chuda postać poruszała się z gracją, a także z pewną ostrożnością, jakby nieustannie czyhała na niego w pobliżu jakaś zasadzka. Chociaż miał

nieskazitelne maniery, jednak było coś drażniącego i upokarzającego w jego grzeczności. Stały za nim siła i bogactwo przemysłowej potęgi, o czym nikomu nie pozwalał zapominać.

Zjawił się w biurze Kunzego nader punktualnie. Chociaż nie znali się przedtem, ich powitanie było swobodne i serdeczne zgodnie z niemal plemiennymi obyczajami Austro-Węgierskiego Korpusu Oficerskiego, a że obydwa w randze kapitanów, zwracali się do siebie per ty.

- Mam nadzieję, że nie uważasz tego spotkania za wymuszone - zagadnął Kunze. - Otóż wpadły mi w ręce twoje dwa listy pisane do Petera Dorfrichtera: jeden z dziewiętnastego sierpnia, a drugi z pierwszego września 1908 roku. Znalazłem je w papierach porucznika. Byłbym wielce rad, gdybyś zechciał mi powiedzieć dokładnie, jakiej dotyczyły one sprawy.

Wpatrywał się badawczo w barona i odgadł z lekkiego skurczu mięśni na jego twarzy, iż baron niechętnie przyjął prośbę kapitana. Kunze podał Landsbergowi-Lövy oba listy. Baron włożył monokl do lewego oka i przejrzał uważnie listy. Następnie odłożył je na biurko. Monokl wypadł mu z oka i kołysał się chwilę na czarnym sznureczku.

- Niestety, nie mogę powiedzieć nic ponad to, co tu jest napisane - odpowiedział z chłodną stanowczością.

- Nie przypominasz więc sobie, kim jest ów X i dlaczego byłeś przerażony jego moralnym upadkiem? Czym to byłeś zawstydzony bardziej niż dotknięty i jakiej sprawy owo spotkanie z Dorfrichterem dotyczyło?

- Powtarzam ci, Emilu, że nie mogę ci nic więcej powiedzieć.

- Dlaczego?

- Wolałbym tego nie wyjaśniać.

- Mój drogi, prowadzimy śledztwo w sprawie kryminalnej, Mógłbym zmusić cię rozkazem do współpracy, ale wolałbym, abyś to zrobił dobrowolnie. Czy ten tajemniczy X nie jest czasem porucznikiem Xavierem Vaninim?

- Tak, to Vanini - odrzekł baron po chwili zastanowienia.

- Co miałeś na myśli pisząc o „upadku”? Landsberg-Lövy poderwał się nerwowo.

- Badasz przecież Dorfrichtera. Zapewniam cię, że sprawa w tych ustach dotyczyła wyłącznie Vaniniego i mojej osoby. Dorfrichter był tylko kimś w rodzaju mediatora.

- Dlaczego właśnie nie kto inny, a Peter Dorfrichter?

- Nie pytaj mnie, proszę. Tak zdecydował Vanini albo może Dorfrichter sam zgłosił się na ochotnika. Wiem tylko, że zjawił się u mnie w sprawie Vaniniego. Przypuszczam, że byli bliskimi przyjaciółmi.

- Dlaczego nie chcesz ujawnić treści tej ważnej rozmowy? Bo taka się odbyła, prawda? - nalegał Kunze.

Baron znużony opadł na krzesło.

- Tak. W pewnym sensie. Dotyczyła honoru pewnego człowieka. Załatwiliśmy tę sprawę, a ja dałem słowo, że o tym zapomną. I zapomniałem.

Kunze wziął parę listów ze stosu leżących przed nim dokumentów i rozłożył je przed sobą. Czytał już je wszystkie tyle razy, że mógł wyrecytować ich treść z pamięci.

- Dorfrichter pisał je do żony latem 1908 roku - wyjaśnił baronowi. - Nazwisko Vaniniego powtarza się w nich dosyć często. Jak się zdaje, młodzieniec ten był stale w finansowych tarapatkach. Pił i zaniedbywał obowiązki. W jednym z listów, z datą trzeciego września, Dorfrichter wspomina, że jest zmuszony pomóc Vaniniemu w załatwieniu jakiejś nieprzyjemnej sprawy, ty zaś w drugim swym liście, pisanym o dwa dni wcześniej, wyrażasz właśnie zgodę na spotkanie się z Dorfrichterem w tej sprawie.

- Dlaczego mnie o to pytasz? Czemu nie Dorfrichtera lub Vaniniego?

Kunze nie zrażał się jednak postawą barona.

- Zapytam, ale we właściwym czasie. A teraz drugie niewinne pytanie: czy rozmowa między tobą a Dorfrichterem odbyła się w życzliwej atmosferze? Bez żadnych zgrzytów?

- Żadnych. Byliśmy w doskonałych stosunkach. Bardzo miły chłop z tego Dorfrichtera! Szczerze mówiąc, nigdy nie uwierzę, że to on rozesłał te przekłete prospekty. Co za nędzny żart! W dodatku w bardzo złym guście. Musisz widać mieć jakieś dowody przeciw niemu, bo przecież nie trzymałbyś Dorfrichtera w areszcie. Jestem przekonany, że nie masz racji. Po co, na przykład, wysłał mnie tę truciznę? Byliśmy ze sobą w jak najlepszych stosunkach. W dodatku znał mnie dobrze i

wiedział, że nie jestem z tych, co zażywają patentowane leki. Gdyby mi coś dolegało, poszedłbym do lekarza.

Kunze doczekał cierpliwie, aż baron skończy, i kiwnął potakująco głową.

- Być może Dorfrichter nie jest Charlesem Francisem. Mimo to musimy zbadać każdą poszlakę. Wróćmy jednak do spotkania w Sarajewie. Dorfrichter zjawił się u ciebie zapewne dlatego, że Vanini popadł w jakieś straszne tarapaty? Domyślam się, że przyczyną były pieniądze. Mówiłeś, że chodzi o jego honor, z czego wnioskuję, że popełnił jakiś? kompromitujący czyn. Nie powiesz mi, bo to mogłoby mu jeszcze i teraz zaszkodzić grożąc usunięciem z wojska albo nawet aresztowaniem. Zgodziłeś się zapewne anulować jakiś dług, za co do końca życia będzie się czuł zobowiązany wobec ciebie. Jest jednak trzecia osoba, która wie o tym: Dorfrichter. Bez względu na to, jakie oddał

w tej sprawie usługi, Vanini jest mu również zobowiązany.

- Zgodnie z twoim rozumowaniem - rzekł Landsberg-Lövy, uśmiechając się złośliwie - to właśnie Vanini miał powody, by mi przysłać truciznę.

- Kto wie, czy nie masz racji - odrzekł Kunze i popadł w milczenie. Vanini przyznał się sam do posiadania cyjanku. Stacjonował w Linzu, gdzie również zakupiono owe pudełeczka i papier listowy. Zgodnie jednak z informacją przesłaną z pułku, Vanini zgłosił się do służby w Nagykanizsa dwunastego listopada, dokąd przyjechał poprzedniego wieczora. To oznacza, że nie mógł być w Wiedniu

czternastego listopada i wrzucić prospekty do skrzynki pocztowej przy Mariahilferstrasse. Mógł to jednak zrobić za niego ktoś inny. Ale po co? Dlaczego chciał wysłać na tamten świat dziesięciu oficerów Sztabu Generalnego, spośród których znał tylko osobiście barona Landsberg-Lövy i najwyżej kilku jeszcze. Przecież nie mógł żywić urazy do nieznajomych osób. Chyba że, jak niektórzy oficerowie liniowi, nienawidził całego Korpusu Sztabu Generalnego. Może był psychicznie chory? Dobry Boże! Gdybyż to Vanini był winowajcą, a nie Dorfrichter.

- Nie powiem, żebyś mi wiele pomógł - powiedział do Landsberga-Lövy. - Zapominasz, jak się zdaje, że jest to śledztwo w sprawie kryminalnej, a nie średniowieczny turniej. Wasz przekłety kodeks honorowy jedynie krępuje wymierzania sprawiedliwości.

Baron podniósł się.

- Niestety, nic na to nie poradzę - odrzekł sztywno. - Czy to wszystko, o czym chciałeś porozmawiać?

- W tej chwili, tak. Być może, będę musiał ponownie zobaczyć się z tobą po odbyciu rozmowy z zamieszanymi w tę sprawę ludźmi.

Baron stuknął obcasami.

- Jestem do usług.

Potem, jak został sam, Kunze zastanawiał się, czy Vanini nie działał jako współnik zbrodni, a nawet jako jej sprawca. Bardzo nikła to była możliwość, lecz nie należało jej lekceważyć. Tym razem nie zleci już nikomu zbierania informacji, ale jeśli to będzie konieczne, sam pojedzie do Nagykanizsa.



Ktoś zapukał i nim jeszcze Kunze zdołał odpowiedzieć, otworzyły się drzwi i wpadł Stoklaska. Był bardzo przejęty i machał kartką papieru.

- Znalaziono kapitana Tytusa Dugonicza w. jego mieszkaniu na Himmelfortgasse poważnie zranionego strzałem z rewolweru.

Do mieszkania zajmowanego przez Dugonicza wchodziło się bezpośrednio z klatki schodowej. Mieściło się ono w starej kamienicy, która zajmowała przestrzeń od Himmelfortgasse do Ballgasse i posiadała wyjście na jedną i drugą ulicę. Można też było opuścić mieszkanie przez kuchenne schody, co było bardzo dogodne ze strategicznego punktu widzenia dla Dugonicza, który także z tego wyjścia normalnie korzystał. Jeśli jakiś zazdrosny mąż dzwonił do frontowych drzwi, żona tegoż mogła bezpiecznie wysłiznąć się przez kuchnię, zbiec po schodach na Ballgasse, wziąć dorożkę i być w domu na długo przed powrotem męża.

Kiedy Kunze zjawił się w mieszkaniu, zastał przy łóżku Dugonicza dozorcę domu i jakiegoś cywila w koszuli z podwiniętymi rękawami, który, jak się później okazało, był lekarzem położnikiem, mieszkającym na drugim piętrze tej samej kamienicy. Wkrótce zjawił się lekarz pułkowy, doktor Ruppert, co sprawiło, że jakby powtórzyła się znów znajoma sytuacja przy łóżku Madera, z tą jednak różnicą, że tym razem ofiara była pełna życia i miotała na cały głos wściekle przekleństwa. Dugonicz leżał w dość dziwacznej pozycji na prawym boku, był półnagi, jedynie w narzuconej na ramiona koszuli. Kula trafiła w

*pectineus* i wyszła z tyłu przez *vastus lateralis*, naruszając po drodze kość udową. Taką przynajmniej diagnozę podał lekarz położnik, ale doktor Ruppert, mając jak zwykle w pogardzie diagnozy cywilnych lekarzy, nie chciał tego potwierdzić.

Dugonicz odczuwał ostry ból, nadal krwawił, chociaż kula szczęśliwie ominęła główną arterię. Strzelanina miała miejsce w salonie, urządzonym na kształt namiotu arabskiego szejka: były tu wschodnie kobierce, ałasowe draperie, wiszące tureckie szable oraz kolekcja antycznych pistoletów w szklanych kloszach. Widać było plamy krwi na ścianie i wielką jej kałużę na podłodze, gdzie widocznie leżał Dugonicz, zanim go przeniesiono na łóżko.

- Właśnie wróciłem do domu od połogu - relacjonował lekarz - kiedy zadzwonił telefon. Jakaś kobieta prosiła mnie o zejście do mieszkania numer 2, gdzie rzekomo miałem być potrzebny, po czym odwiesiła słuchawkę. Z początku myślałem, że mi ktoś płała figła, niemniej na dół zszedłem. Drzwi były otwarte, zastałem rannego kapitana na podłodze. Miał na sobie jedwabny szlafrok, który pan widzi tu na krześle. I nic więcej. Udało mi się zatamować krwawienie, po czym wezwałem stróża, by mi pomógł zanieść kapitana na łóżko. Moja żona tymczasem zadzwoniła na policję. Nawiasem mówiąc, nie miałem pojęcia, że jest oficerem. Widziałem go parę razy, jak wchodził lub wychodził z domu, ale zawsze po cywilnemu.

Chodzenie po cywilnemu było zabronione regulaminem, ale Kunze w pełni rozumiał, że mężczyzna w drodze na miłosną schadzkę wolał nie wyróżniać się spośród otoczenia.

Jeszcze dotąd tkwił Kunzemu jasno w pamięci cały ten obraz, a także mieszkanie, które wyglądało mniej więcej tak, jak w groszowych powieściach detektywistycznych opisuje się zwykle tak zwane „gniazdka miłości”. To tutaj Dugonicz spotykał się ze swymi przyjaciółkami, których różnorodność oraz ilość były stale przedmiotem plotek w mieście. Zdradzony mąż albo też porzucona kochanka strzeliła zapewne na chybił trafił w Dugonicza. Miejsce, gdzie go zraniono, wskazywało, że oddano strzał nie po to, aby kapitana zabić, lecz żeby mu uniemożliwić na przyszłość w ogóle wszelkie flirty. Szczęściem, ten ktoś, mężczyzna czy kobieta, nie był najlepszym strzelcem.

Kiedy czekali na przyjazd ambulansu, Kunze usiłował wypytać Dugonicza, ale ból i wściekłość sprawiły, że ranny mówił bez związku. Powtarzał tylko „suka”, ale kiedy Kunze pytał go, jak się ona nazywa, odpowiadał takim stekiem przekleństw, że zapędziłby w kozie róg nawet sierżanta musztry.

Tego jeszcze dnia, nieco później, ta sama komisja, która zgromadziła się przed trzema miesiącami, aby przeprowadzić śledztwo w sprawie zamordowania Richarda Madera, odbyła spotkanie z szefem policji Brezovskym w siedzibie Prezydium.

- Usiłowano dokonać zamachu na życie drugiego człowieka z listy Charlesa Francisa - powiedział im generał Wencel. - Jestem pewien, że kapitan Kunze powie nam, że nie widzi żadnego związku między zabójstwem Madera a oddaniem strażów do Dugonicza.

Kunze skinął potakująco głową.

- Bo istotnie nie widzę, panie generale, dopóki nie odbędzie rozmowy z kapitanem Dugoniczem.

Komisja obradowała już ponad godzinę. Położnik i stróż zostali wezwani w charakterze świadków.

- Jak ten kobiecy głos brzmiał dla pana? - spytał generał Wencel lekarza położnika. - Czy miała cudzoziemski akcent?

- Nie, panie generale, wiedeński.

- Czy to była osoba z warstwy robotniczej?

- Nie, proszę pana. Najwyraźniej dama z wyższych sfer.

- Czy nie przypomina pan sobie, co powiedziała? Jakich dokładnie użyła słów?

- Powiedziała: „Mam nadzieję, że trafiłam go w ja-ja”.

Pokój zaległa przez chwilę dziwna cisza. Wąsy inspektora Weinbergera drgały niebezpiecznie.

- Utrzymuje pan, doktorze, iż mimo wulgarnego wyrażenia, była to osoba z wyższej sfery?

- Oczywiście, proszę pana, kulturalna i wytworna.

Prosto z Prezydium Kunze udał się do szpitala garnizonowego, ale go nie wpuszczono do pokoju Dugonicza. Kapitanowi operowano nogę, nastawiono złamaną kość udową i był nadal jeszcze pod wpływem narkozy.

Następnego dnia udało mu się wreszcie zobaczyć Dugonicza. Kapitan był blady, miał sine kręgi pod oczyma, ale był w odrobinę weselszym nastroju niż poprzedniego dnia.

- Jak się czujesz?

- Jak ostatni dureń.

- Kim ona jest?

- Jaka ona?

- Dama, która strzelała do ciebie. Brwi Dugonicza uniosły się.

- Kto powiedział, że to była kobieta?

- Ty sam. Nie nazywałbyś mężczyzny „suką”. To nie w twoim stylu.

Dugonicz zachował milczenie.

- No, mówże, kim ona jest? - nalegał Kunze.

- Powiedzmy, że czyściłem rewolwer, który wypalił.

- Do diabła, Dugonicz, przestań być taki rycerski.

Jakże tu prowadzić śledztwo w jakiejś paskudnej sprawie, skoro wy wszyscy zamieniacie się w rycerzy zakutych w lśniącą zbroję, głuchych i niemych. Dlaczego tak mi wszystko utrudniacie?

- Sam sobie przysparzasz trudności. No dobrze. Otóż pewna rozwścieczona dama usiłowała odstrzelić mi jądra. Jest to sprawa między nią a mną. Dlatego lepiej nie wtrącaj się do tego. To moją nogę zakuli w ten przekłety gips! Armia będzie się musiała obyć beze mnie, aż się noga wyleczy. Udawajmy, że spadłem z narowistego konia.

Kunze westchnął.

- Dugonicz, generał Wencel popadł w manię, wierzy głęboko, że ten, co do ciebie strzelał, otruł przedtem Richarda Madera. To zapewne polityczny morderca: Serb, Rosjanin, Czech lub Węgier. Do diabła, że też on nigdy nie zgodzi się z poglądem, że tylko oficer armii austriackiej mógł być owym Charlesem Francisem.

Dugonicz dostał ataku śmiechu, „który wstrząsał całym jego ciałem, powodując ból zranionego miejsca. Natychmiast rozległy się więc jęk i przekleństwa.

- Powiedz temu staremu opojowi, żeby nie wtykał nosa w moje sprawy. Bo może się okazać, że wsadził go w swoje własne gówno.

Kunze kiwnął głową.

- Rozumiem. - Teraz już wiedział, kim jest owa dama: Lili Wencel. Był zdumiony, że mu to wcześniej nie przyszło do głowy.

- Co ty tam rozumiesz! - odrzekł Dugonicz ze złością. - To znaczy, mam na myśli, że...

- Wiem, co miałeś na myśli - powiedział mu nagle Kunze. - Jeśli chcesz wiedzieć, to znaleźliśmy kulę. Wystrzelono ją z rewolweru kaliber 22, najprawdopodobniej browninga. Czy należał do ciebie!

- Nie, Ona przeniosła własną, pukawkę.

- Co się z nim stało?

- Skąd mogę wiedzieć? Krwawiłem śmiertelnie. - Tu uśmiechnął się złośliwie. - Jedno jest pewne. Ma jednak diabelne poczucie humoru. Najpierw próbowała mnie wykastrować, a potem wezwała lekarza położnika. Ten pocziwiec przyszedł zaopatrzony w kleszcze i temu podobne narzędzia. Pewnie teraz śmieje się ze mnie cały Wiedeń. - Po chwili milczenia mówił dalej: - Lepiej zrób coś z generałem. Niewykluczone, że będzie chciał się na mnie zemścić, bo naraziłem na szwank jego honor, a że jest lepszym strzelcem niż żona, dokończy dzieła.

Kunze parsknął śmiechem.

- Generał nie ma poczucia humoru. Będzie celował w twoją głowę. Dlatego jedynym rozwiązaniem jest wersja wypadku. Choćby nawet była mało prawdopodobna. Czyściłeś pistolet, który wypalił. To mu da do zrozumienia, że jesteś dyskretny. Osłaniasz reputację jakiejś damy. Zna cię dostatecznie dobrze, więc nie posądzi, iż osłaniasz jakiegoś rosyjskiego szpiega.

- Co powie na to reszta komisji?

- O to się nie martw. Nie odniosłem wczoraj wrażenia, że im zależy na śledztwie. Widocznie mieli już jasny pogląd na całą tę sprawę. W każdym razie nie są tak przekonani co do nieskazitelności Korpusu Oficerskiego jak Wencel,

Generała Wencła znów wezwano do Belwederu, gdzie otrzymał reprimendę. Arcyksiążę Franciszek Ferdynand dowiedział się z gazet, iż strzelano do Dugonicza, i był rozwścieczony na dowództwo korpusu, że nie zachowano tej sprawy w tajemnicy przed prasą. Tym razem podzielał pogląd Kunzego, że była to bez wątpienia afery na tle miłosnym. Uznał ten incydent za niesmaczny i szkodzący reputacji Sztabu Generalnego i postawił jasno sprawę, że kiedy zostanie cesarzem, nie będzie dla Dugonicza miejsca w szeregach armii. Następnie zażądał, z właściwą sobie logiką, że skoro sprawę wywleczono na światło dzienne, wszystkie szczegóły mają być ujawnione przed opinią publiczną, aby położyć kres plotkom i domysłom.

- Pozwolę sobie nie zgodzić się z Jego Cesarską Mością - zaprotestował Kunze, gdy mu powtórzono rozkaz arcyksięcia. - Kapitan Dugonicz twierdzi, że strzał był przypadkowy i że on sam go spowodował.

- Niech pan nie będzie osłem - mruknął Wencel. - Dobrze pan wie, że to wierutne kłamstwo.

- Niewykluczone, panie generale. Dlaczego jednak taki człowiek honoru jak kapitan kłamie? Właśnie z pobudek honorowych. Bywał pan z nim częściej w towarzyskich kontaktach ode mnie i dobrze zna pan sfery, w jakich się Dugonicz obraca. Jeśli kobieta, o którą chodzi, jest właśnie damą z towarzystwa? Żoną wysoce szacownego człowieka? Czy nie spowoduje to dalszych reperkusji? - odparł Kunze mrużąc podejrzliwie oczy.

Wencel rzucił mu długie, porozumiewawcze spojrzenie.

- Co pan dokładnie wie na ten temat? - zapytał ostro.

- To, co mówiłem, panie generale

- Czy broń się znalazła?

- Jeszcze nie. Ta osoba mogła ją zabrać ze sobą.

- A kula?

- Wystrzelona z rewolweru kaliber 22.

- Czy policja znalazła może świadków, którzy widzieli tę osobę wchodzącą albo wychodzącą z mieszkania Dugonicza?

- Nie znalazła, panie generale. Jestem w stałym kontakcie z inspektorem Weinbergerem, który obiecał powiadomić mnie



natychmiast, gdyby napłynęły jakieś wiadomości w tej sprawie. Jak dotąd, nie ma żadnych.

- Co za przeklęta nieudolność! Bardzo się pan myli sądząc, że zadowolę mnie takie prowadzenie sprawy! Każda pomyłka będzie pana drogo kosztować. Proszę mnie jednak powiadomić, jeśli nadejdą jakieś wieści! - ryknął Wencel, a potem dodał opryskliwie: - Jest pan wolny. Może pan odejść.

Kapitan Kunze odnalazł rewolwer w fałdach ciężkiej adamaszkowej draperii, która tworzyła jakby turecki namiot w salonie Dugonicza. Policjanci przeszukujący uprzednio mieszkanie przeoczyli widać to miejsce. Kunze zajrzał tam, by się upewnić, czy nie zapodziała się czasem jakaś chusteczka albo szalik, co mogłoby zdradzić tożsamość damy. Ku swemu zdumieniu znalazł rewolwer, istne cacko z wygrawerowanym z boku napisem: „Z okazji urodzin od kochającego męża, Karla”.

Upewniwszy się, że Wencel przebywa w budynku sądu, Kunze udał się do najbliższego urzędu pocztowego i stamtąd zatelefonował do mieszkania generała, prosząc do telefonu panią Wencel.

- Mówi kapitan Kunze - rzekł do niej, chociaż po drugiej stronie linii zaległa nagle cisza. - Przepraszam, że niepokoją, ale mam u siebie pewien przedmiot należący do pani i chciałbym go zwrócić bez wywoływania niepotrzebnego zamieszania.

W słuchawce cisza trwała parę sekund, po czym usłyszał wypowiedziane szeptem:

- Po co?

- Dla dobra zainteresowanych stron.

- Kochany z pana człowiek! - wygruchała. Potem doleciał go urwany dźwięk ni to płaczu, ni to śmiechu.

- Stawiam jednak pewien warunek - powiedział. - Proszę obiecać, że zaprzestanie pani od tej pory ćwiczeń na żywych obiektach.

- Obiecuję - szepnęła. - Taką rzecz można popełnić tylko raz.

- Więc mam pani słowo. Lepiej jednak będzie, jeśli odbierze pani ten drobiazg. Nie godzi się wyrzucać urodzinowych prezentów.

Umówili się na spotkanie przy bramie parku Schönbrunn, w pobliżu domu Wenclów. Lili przyprowadzi z sobą białego szpica, jako alibi, na wypadek, gdyby ktoś ją zobaczył. Kunze zaś będzie miał przy sobie Trolla z tej samej przyczyny.

- Nie muszę zapewniać, jak bardzo jestem panu wdzięczna - wyznała, kiedy ustalili już porę spotkania. Po czym spytała: - Jak się on miewa?

- Znośnie, jak na taki stan rzeczy. Nogę ma w gipsie, ale lekarze są dobrej myśli.

- Bardzo jest na mnie wściekły?

- Dostyc. Ale to przecież zrozumiałe, prawda?

Spotkali się o szarym zimowym zmierzchu pod nagimi drzewami, niczym dwoje psich przyjaciół, dzielnie znoszących mgłę przenikającą zimnem do szpiku kości. Nikogo nie było w pobliżu. W oddali jakaś opatulona ciepło kobieta prowadziła po zwarzonym mrozem trawniku dwa drżące z zimna foksteriery. Kiedy Troll obwąchiwał filuterną suczkę, z niebieską wstążką na obroży, Kunze witając się z

Lili Wencel wsunął jej do ręki rewolwer, który zaraz powędrował do kieszeni jej fokowego futra.

- Ogromnie panu dziękuję. Proszę mu powiedzieć, że go bardzo za to przepraszani Potaknął głową.

- Dobrze, powiem.

- Żałuję, że spudłowałam - dodała śmiejąc się. Potem wzięła szpica na smycz i odciągnęła od Trolla.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Porucznik Xavier Vanini przechadzał się dróżką, biegnącą górą, nad torem kolejowym. Coś go nieustannie ciągnęło w to miejsce w dni przeklętych katzenjammerów. Czuł się mniej przygnębiony widząc, że jakieś pociągi odjeżdżają jednak z tej miejsciny i że nie jest całkowicie i nieodwracalnie odcięty od reszty świata.

Wiał zimny wiatr i porucznik drżał cały, co nie było dla niego nowiną, bo już od zeszłej jesieni nękały go nieustannie dreszcze. Zadarł głowę j. spojrzął z nienawiścią na ponure lutowe niebo. Od paru dni temperatura utrzymywała się powyżej zera i śnieg sprzed tygodnia zamienił się w breję. Rozciągał się przed nim węgierski krajobraz: płaska bezludna przestrzeń z nagimi drzewami i płatami szarobrazowych pól. Przyszedł mu na myśl widok słonecznego Quarnero i zatęsknił za nim aż do bólu.

Urodził się w Trieście. Kiedy miał trzy lata, ojca, który był urzędnikiem celnym, przeniesiono do Fiume. Chłopiec wychowywał się w portowym mieście, dość ruchliwym, więc nie narzekał na nudę, ale też dość spokojnym, gdzie nie czyhało na niego żadne większe niebezpieczeństwo. Latem i zimą Vanini spędzał cały wolny czas nad brzegiem morza, dokąd przybijały rybackie łodzie, kursujące między licznymi staromodnymi uzdrowiskami stateczki przybrzeżnej żegluga albo niekiedy dalekomorskie frachtowce z załogą składającą się z najróżniejszych typów ludzkich: od olbrzymich jasnowłosych Skandynawów po filigranowych Malajczyków.

Kiedy Xavier miał trzynaście lat, odumarł go ojciec. Następnego lata matka poznała spędzającego urlop w Abbacji emerytowanego pułkownika piechoty z Grazu i wyszła za niego za mąż. Pułkownik nie aprobował chłopca, który potrafił kłać w dziesięciu językach z syjamskim włącznie, wolał małże wydlubane scyzorykiem spod morskich skał od wiedeńskich sznycli i miał rozgwiadzę wytatuowaną w czerwono-niebiesko-zielonym kolorach na lewym barku.

Pułkownik uznał, że jedynym sposobem uratowania dla społeczeństwa takiego rozwydrzonego młodziana będzie surowy rygor wojskowej szkoły i Xaviera posłano do Akademii Wojennej w Wiener Neustadt. Xavier nie był wzorowym elewem, ale zdołał jakoś dosłużyć się stopnia podporucznika, ponieważ był z gruntu dobrym synem i chciał sprawić przyjemność matce.

Gdy się jest człowiekiem wewnątrznie rozdartym, zwykle szuka się sposobu, by uciec od wszelkich udręk z tego faktu wynikających. Vanini pił, uprawiał hazard i zadawał się z kobietami lekkiego autoramentu. Nie mógł nigdy związać końca z końcem i zawsze znajdował się o krok od finansowego i moralnego bankructwa. Łatwo było młodemu i przystojnemu oficerowi popaść w długi, bo jeśli wszystko inne zawiodło, lichwiarze zawsze mogli liczyć, że się bogato ożeni. Vanini płacił niezmiernie wysokie odsetki, toteż każdy nowy garnizon był dla niego oazą wytchnienia: stare długi i groźby były już hen, daleko, a tymczasem nowe źródła pożyczek stały otworem. Była to niebezpieczna i wciągająca gra. Nie wiedział, jak długo potrafi utrzymać się na

powierzchni. Wcześniej czy później będzie musiał albo opuścić armię, albo zadowolić się brzydką córką bogatego ojca.

Przebywał w Nagykanizsa od dwunastego listopada i doszedł już do punktu, z którego nie ma odwrotu. Dawni wierzyciele zjednoczyli się i zmówili przeciwko niemu, toteż niewiele udało mu się pożyczyć w Nagykanizsa. W przyptywie rozpaczyny napisał do ojczyma, który zamiast przekazu pieniężnego przysłał mu w odpowiedzi czterostronicowy list z upomnieniami.

Pod nim dudnił pociąg sunąc parowem gdzieś hen na zachód. Na wagonie sypialnym widniał napis: Budapeszt-Zagrzeb-Triest. Była czwarta po południu. Dręczył go coraz dotkliwiej nastrój beznadziejności. Czemu nie ma dość charakteru, by się wydostać z tego dna egzystencji, zanim nie pograży się całkowicie w bagnie! Jakże okropnie brzmiały mu w uszach obcojęzyczne nazwy: Graz, Wiener Neustadt, Sarajewo, Linz, Nagykanizsa. Co on, przeklęty makaroniarz, tu robi? Cóż z tego, że jest oficerem i szlachcicem, kiedy zmuszają go, by chodził po linie.

Zjadł dwie parówki i wypił karafkę wina w kawiarni na rynku. Wino poprawiło mu nastrój, toteż po drodze do domu wstąpił do winiarni na jeszcze jedną karafkę.

Wynajmował umeblowany pokój w domu niedaleko rynku. Za domem znajdowało się spore podwórko z kępą gołych o tej porze bzów, za którymi stały niczym już nie osłonięte trzy ustępy. Vanini miał nie tylko wyłączne prawo do korzystania z pierwszego, ale i własny do niego klucz, który często gdzieś zapodziewał. Będąc już blisko domu

spozrzegł ku swemu zdziwieniu, że w jego pokoju pali się światło, a u drzwi stoi na straży dwóch żołnierzy z bagnetami na karabinach. Zatrzymał się oniemiały. - Co u diabła... Żołnierze poderwali się na baczność, zachowując jednak milczenie. Vanini otworzył drzwi i wkroczył do pokoju. Jakiś mężczyzna w mundurze kapitana z dystynkcjami Korpusu Sądowniczego siedział na szkaradnej, obitej tkaniną kanapie. Podniósł się z wolna i zrobił krok w jego stronę.

- Porucznik Xavier Vanini?

Vanini przyglądał mu się zdumiony i mrugał oczyma.

- Tak jest - odpowiedział. Był tak zaskoczony, że ani nie zasalutował, ani nie podał swego nazwiska w sposób przepisowy.

- Kapitan Emil Kunze, sędzia śledczy sądu wojskowego z wiedeńskiego garnizonu.

Żar z kaflowego pieca i wino sprawiły, że Vaniniemu zakręciło się w głowie.

- Jest pan aresztowany, poruczniku - powiedział kapitan spokojnym tonem.

Parę sekund minęło, nim Vanini pojął znaczenie tych słów.

- Jak to?! Na jakiej podstawie? - spytał.

- Na razie będzie to areszt prewencyjny, chyba że wypłynie w tej sprawie coś poważniejszego. Mam nadzieję, że nie.

Kunze stał naprzeciw smagłego mężczyzny średniego wzrostu, o jedwabistych czarnych włosach i piwnych oczach. Młodzieńczy Vanini nie wyglądał na swe dwadzieścia siedem lat i był w danej chwili lekko podchmielony, co nie uszło uwagi kapitana.

Zdobycie nakazu aresztowania Vaniniego było, z czego Kunze dobrze zdawał sobie sprawę, bardzo śmiałym posunięciem. Generał Wencel z początku odmawiał zgody, ustępując dopiero wtedy, kiedy Kunze przyrzekł, że nie będzie trzymał porucznika dłużej w areszcie niż dobę, i zwolni go, jeśli nic poważniejszego w tej sprawie nie wypłynie.

Podczas jazdy fiakrem do koszar Vanini usiłował nawiązać rozmowę z kapitanem, ale spotkał się jedynie z lodowatym milczeniem.

W niewielkiej kancelarii światło z wiszącej lampy padało na Vaniniego, gdy tymczasem Kunze siedział za biurkiem pogrążony w mroku.

- Zeszłego roku, w grudniu, przepytywany był pan przez dowództwo pułku w związku z usiłowaniem kupna cyjanku potasu w aptece Ritzbergera w Linzu. Posłał pan do tej apteki ordynansa, ale mu odmówiono sprzedaży. Chciałby pan może uzupełnić czymś uprzednio złożone zeznanie?

Vanini słuchał z szeroko otwartymi oczyma. W głowie już mu się trochę przejaśniło, za to serce biło tak mocno, iż się bał, że kapitan może usłyszeć dudnienie. „Znowu ten przekłety cyjanek” - pomyślał zastanawiając się, gdzie się znajduje zastawiona na niego pułapka.

- Nie rozumiem, o czym pan chciałby usłyszeć - odrzekł ostrożnie.

- Pan dobrze wie, o czym - warknął Kunze. Szczerze zdziwione spojrzenie młodego oficera sprawiło, że Kunze począł się zastanawiać, czy nie idzie fałszywym tropem.

- Co pan zrobił z tym cyjankiem?



- Z jakim cyjankiem, panie kapitanie? Mój ordynans wcale go nie dostał.

Kunze wyciągnął kartkę papieru z kieszeni i pochylił się ku kręgowi światła padającego z lampy.

- Chodzi o dwie pałeczki cyjanku, które nabył pan w garnizonowej aptece w Sarajewie, piętnastego sierpnia 1908 roku. Do jakiego celu był panu potrzebny?

Vanini zamrugał parokrotnie, jakby go oślepiło światło.

- Piętnastego sierpnia 1908 roku? Już wiem. kupiłem cyjanek, bo miałem zamiar robić zdjęcia na przyjęciu ogrodowym u generała von Weigla z okazji urodzin cesarza.

- I zrobił pan te zdjęcia?

- Nie.

- Dlaczego?

- Nie pamiętam.

- Wobec tego nie zużył pan tego cyjanku?

- Tak. Ale potem. Na inne fotografie.

- Robione w Sarajewie?

- Tak.

- Miał pan ciemnię w swojej kwaterze w Sarajewie?

- Nie. Używałem ciemni, która była w innej jednostce.

- Owszem, zajmował się pan fotografią na początku pańskiej służby w Sarajewie - podkreślił Kunze. - Ale niebawem stracił pan zainteresowanie.

- Tu zmuszony jestem nie zgodzić się z panem. Do tej pory posiadam sprzęt i...

- Ale nie fotografował pan już więcej w Sarajewie?

Policzki Vaniniego płonęły. Szarpał nerwowo palcami sztywny i wysoki kołnierz bluzy.

- Czy dlatego pan mnie aresztował? - zapytał ochryplym głosem.

- Że przestałem zajmować się fotografią?

Przez chwilę jedynym dźwiękiem w pokoju był trzask ognia w pękatym żelaznym piecu.

- Przestałem zajmować się wieloma rzeczami w Sarajewie - ciągnął Vanini żalonym tonem niesłusznie skarconego dziecka. - Przestałem grywać w tenisa, chodzić na wyścigi, a nawet uganiać się za kobietami. Aby zapełnić pustkę, zacząłem zaglądać do butelki z pewnym osiemdziesięcioprocentowym produktem tutejszego wyrobu.

Kunze utkwiał oczy w zarumienionej twarzy młodzieńca.

- Jeśli pan pozwoli, odświeżę pańską pamięć. Dwudziestego pierwszego lipca, 1908 roku, właściciel lombardu nazwiskiem Abraham Herrlich pożyczył panu dwieście koron, biorąc pod zastaw pański sprzęt fotograficzny. Kwit zastawny nigdy nie został mu zwrócony, co świadczy niezbicie o tym, że przestał się pan interesować fotografią.

Vanini potarł czoło obiema dłońmi, jak gdyby chciał w ten sposób uśmierzyć ból głowy.

- Czy mam rację, Vanini?

- Tak.

Spojrzał z urazą w oku, zacisnął szczęki zawstydzony, że go przyłapano na kłamstwie.

Kunze przyjechał do Nagykanizsa dobrze przygotowany. Odbył kilka rozmów telefonicznych z Sarajewem, rozmawiał z personelem laboratorium fotograficznego w dowództwie dywizjonu, a potem udał się pociągiem do Linzu i przebadał tam ponad tuzin osób.

- Z tego wniosek, że nie miał już pan ani aparatu, ani sprzętu fotograficznego, kiedy pan nabył dwie laski cyjanku w garnizonowej aptece w Sarajewie?

- Tak.

- Do czego potrzebny był panu cyjanek?

- Już mówiłem. Chciałem porobić fotografie na przyjęciu ogrodowym.

- Ale przecież nie miał pan już swego sprzętu?

- Miałem nadzieję go odzyskać. Niestety, nie udało się.

- Wobec tego, co pan zrobił z cyjankiem?

- Prawdopodobnie wyrzuciłem.

- Więc pan nie wie?

Krople potu wystąpiły na czoło młodego oficera.

- Naprawdę nie. Wątpię, czy ktokolwiek może wiedzieć? To było tak dawno,

Kunze wstrzymał oddech. Czyżby pościg za dziką kaczką nie zamieniał się czasem w polowanie na tygrysa? Może znalazł się na tropie prowadzącym do rozwiązania zagadki Charlesa Francisa? Czy

ten niejasny domysł sprzed paru dni nie stanie się kluczem do celu Dorfrichtera? Czyżby to Vanini, a nie Dorfrichter był sprawcą?

- Nie przepada pan zbyt za wojskiem, prawda? Młodzieniec rzucił ku niemu zdumione spojrzenie.

- W jakim sensie „nie przepadam”? Jako obywatel czy jako oficer? Nie rozumiem, o co panu chodzi?

- Kiedy stacjonował pan w Linzu, niejednokrotnie wypowiadał pan nieprzychylnie uwagi pod adresem kolegów ze Sztabu Generalnego w szczególności z oficerskiego korpusu.

- Możliwe. Nie jestem świętym, który wszystkich miłuje.

Robiło się późno i Kunze zaczął odczuwać zmęczenie. Miał za sobą długą podróż pociągiem i parę godzin czekania w mieszkaniu Vaniniego na chwiejącej się kanapie z połamanymi sprężynami. Nadszedł czas, by dobyć największy atut.

- Z jakiego to powodu odczuwa pan taką niechęć do sztabowych oficerów?

Vanini wyprostował się w krześle. Spuścił powieki, jak gdyby chciał ukryć oczy przed przenikliwym spojrzeniem kapitana.

- Jeśli pan chce wiedzieć - rzekł przeraźliwie wysokim głosem - to pułki liniowe nie za bardzo kochają ciemnozielonych sztabowców. Jeśli o mnie chodzi, to mi się chce rzygać na ich widok.

„Ponosi go włoski temperament - pomyślał Kunze. - Zdradzi go lekkomyślność i fanfaronada”,

- Czy to możliwe, Vanini, że nafaszerował pan dwadzieścia kapsułek cyjankiem i wysłał je do nowo promowanych oficerów?

Wino wypite wczesnym wieczorem i ciepło z brzuchatego, żelaznego pieca przyhamowały nieco proces myślowy porucznika, ale nie szybkość reakcji. Vanini poderwał się jak oparzony.

- Nie, nie! - krzyknął, po czym zdrętwiał z przerażenia wlepiając wzrok w Kunzego. - Więc dlatego mnie pan aresztował? To czyste szaleństwo! Nie mam nic wspólnego z tymi cholernymi kapsułkami!

- Jednak wie pan najwyraźniej o ich istnieniu!

- Oczywiście że tak. Czytuję gazety, tak jak wszyscy. Chce pan wszystko zwalić na mnie, tylko dlatego, że kupiłem o dwie laski cyjanku więcej niż w zeszłym roku. Nie ma tak wielkiego więzienia, żeby trzymać tam każdego, kto to robi. Czy innych też pan aresztuje?

- Nie. Tylko pana jednego.

- Dlaczego mnie? Dlaczego wybrał pan mnie?! - krzyczał Vanini. - Protestuję! Żądam, aby mnie pan natychmiast uwolnił!

- Nie wcześniej, aż pan się przyzna, co zrobił z cyjankiem.

Vanini opadł ponownie na krzesło.

- Po co miałbym zabijać aż tylu ludzi? Kiedy ja ich nawet nie znałem.

Kunze przeczekał chwilę, po czym wytoczył najcięższe działo:

- Odbylem rozmowę z kapitanem Landsberg-Lövy przed wyjazdem z Wiednia.

Vanini spurpurowiał na twarzy.

- Ten przeklęty Żyd! Wiedziałem, że nie utrzyma języka za zębami!

Kunzego zaczęły ogarniać wątpliwości

Protest ze strony tego młodego oficera był za bardzo szczery. Mógł być rozdarty wewnętrznie, nieszczęsnym, a nawet rozczarowanym głęboko człowiekiem, ale z pewnością nie zwyrodniałym zabójcą. Xavierowi Vanini brakowało przebiegłości i okrucieństwa, które cechuje szaleńców. Był człowiekiem o przeciętnej inteligencji, słabego charakteru, bez szczególnych uzdolnień, co najwyżej pomocnik, ale nie motor diabolicznej zbrodni.

- Spokojnie, Vanini To nie Landsberg-Lövy tak pana urządził. To było całkiem inaczej - wtrącił ostrożnie Kunze.

- Dał słowo, że nie wygada!

Potwierdziły się domysły kapitana. Konflikt dotyczył spraw pieniężnych, prawdopodobnie długu, który Vanini zaciągnął u barona.

- Skąd pan wie, że to on wygadał?

- Bo któż inny by mógł? - odparł Vanini - Peter Dorfrichter.

- To niemożliwe - zaprotestował młody oficer. - Co by mu z tego przyszło? To nie on!

- Byliście obydwaj w bardzo bliskiej przyjaźni w Sarajewie.

- Tak, proszę pana - potwierdził porucznik - Dumny jestem z takiego przyjaciela.

- Czy aż tak dumny, żeby go kryć?

- Nie wiem, o co panu chodzi.

Kunze odmówił odpowiedzi, cofnął się w obszar cienia, aby czekać na następne posunięcie Vaniniego. Żał mu było tego młodzieńca. „Co za piekielny człowiek z tego Dorfrichtera - myślał. - Ile jeszcze egzystencji ludzkich ma zamiar zrujnować?”. Porucznik

Vanini nie był ideałem oficera, ale Kunze nie widział nic specjalnie chwalebne w tym, że się jest ideałem oficera. Z pewnością byli nim: generał Wencel, kapitan Moll i prawdopodobnie kapitan Landsberg-Lövy, który musiał być szczególnie poprawny dlatego, że był Żydem. Co ich tak wszystkich, nie wyłączając Gerstena, Hedry'ego, Hodossy'ego oraz Dugonicza, a nawet Dorfrichtera, ciągnęło do armii, niczym ómy do migocącego światła?

- Wyleją pana z wojska - powiedział Kunze, kiedy porucznik trwał w milczeniu. - Proszę lepiej powiedzieć mi wszystko do końca, bo inaczej wsadzę pana za kraty i będę trzymał tam do końca życia. Niech mi pan powie: dostarczył pan cyjanku porucznikowi Peterowi Dorfrichterowi? - Nie. - Młody oficer był najwyraźniej bliski łez.

- Niech pan posłucha, Vanini. Do tej pory cała sprawa rozgrywała się między nami i może tak pozostać, jeżeli tylko wykaże pan chęć współdziałania. Zgładzono człowieka w okrutny i tchórzliwy sposób. Podejrzewamy pewnego osobnika. Jest nim pana przyjaciel, Dorfrichter. Wiele osób pragnie, by Dorfrichter uniknął stryczka, po pierwsze, dlatego, że jest wyjątkowo utalentowany, po drugie, że skazanie go rzuci niechlubny cień na armię. Moje osobiste o tym zdanie nie ma tu znaczenia. Przydzielono mi prowadzenie śledztwa w tej sprawie i staram się właśnie to robić. Nie widzę żadnego celu w przewlekaniu śledztwa. Dorfrichter jest albo niewinny i w takim razie musi być uwolniony, albo winny i powinien ponieść konsekwencję. Nie uratuje go pan trwając dalej w milczeniu. Sprawy zaszły zbyt daleko.

Może pan jednak ocalić jeszcze swój honor i karierę zawodową, jeśli mi pan wyzna wszystko do końca.

Vanini utkwiał swe ciemne oczy południowca w twarzy Kunzego. Nie było w nich krzty ciepła.

- Nie mam nic do powiedzenia - odparł.

- Proponuję panu układ, Vanini. Wszyscy musimy w tym życiu wchodzić w układy, jeśli chcemy przetrwać.

- Nie bardzo mi zależy na przetrwaniu - odpowiedział Vanini ponuro. - Nie na takich warunkach, w każdym razie.

Kunze spojrział na Vaniniego uważnie, po czym postanowił energicznie przycisnąć go do muru.

- Niech pan przestanie odgrywać szlachetnego rycerza. Jest pan oszustem i fałszerzem uprawiającym swój proceder za osłoną munduru. Proponuję, byśmy się po dobremu dogadali. Dostarczył pan porucznikowi Dorfrichterowi cyjanku potasu?

- Nie dostarczyłem - odparł Vanini niemal szeptem. - To znaczy nie dałem mu, on sam go wziął.

Trzy miesiące czekał kapitan Kunze na tę chwilę. To z utęsknieniem, to z lękiem. Na przemian. Do tej pory wina Dorfrichtera była jedynie śmiałą hipotezą, opartą na niepowiązanych ze sobą okrucach informacji i faktów, takich jak: papier listowy, dostępny w sprzedaży tylko w Linzu, pudełeczka użyte jako koszyczek do szycia, opinia eksperta grafologii, skrzynka pocztowa przy Mariahilferstrasse, pociąg, który przybył na Zachodni Dworzec w Wiedniu o szóstej rano,



oraz pies, który nie chciał połykać proszków przeciw robakom bez kapsułek z opłatkami.

- Co to znaczy, że on sam wziął?

- Byłem w kłopotach z powodu tego skryptu dłużnego - wyszeptał Vanini. - Nie było innego wyjścia. Do wygaśnięcia terminu pozostało zaledwie pięć dni. Kiedy Dorfrichter wykrył całą tę sprawę, obiecał, że porozmawia z Landsbergiem-Lövy.

Skrypt dłużny był czymś znacznie poważniejszym w skutkach niż dług honorowy, szczególnie jeśli Vanini podpisał go nazwiskiem kolegi. Niezapłacony dług honorowy spychał człowieka poza nawias środowiska, natomiast sfalszowanie podpisu groziło więzieniem.

- Sfalszował pan podpis Landsberga-Lövy, prawda?

Vanini wzruszył ramionami.

- Lichwiarz żądał dobrego zabezpieczenia pożyczki; moja osoba nie liczyła się wcale.

- Jak można było zrobić takie głupstwo?

- Miałem nadzieję na spadek po ciotce, która właśnie zmarła - stwierdził Vanini. - Ale okazało się, że zapisała cały swój majątek na kościół.

- Zatem Dorfrichter z własnej woli zaproponował, że pomówi z Landsbergiem-Lövy o wykupieniu skryptu?

- Tak jest. Ku mojemu najwyższemu zdumieniu udało mi się skłonić Landsberga-Lövy do wybulenia dwóch tysięcy koron.

- A w zamian Dorfrichter zażądał cyjanku?

- Skądże znowu! Niczego nie żądał w zamian. Zabrał cyjanek, bo... - Vanini wydobyl chustkę, by otrzeć twarz. - Wziął także mój służbowy rewolwer, nawet buteleczkę aspiryny, którą miałem. Byłem w fatalnym stanie psychicznym. Nie miałem zamiaru czekać, aż porozmawia z Landsbergiem-Lövy. Czyż takiemu Żydowi chciałoby się mnie ratować? Tak myślałem. Nie wyglądał na człowieka o miękkim sercu. Dziwiłem się nieraz, co taki bogaty bubek może robić w wojsku? Nie chciałem wcale, żeby Dorfrichter z nim rozmawiał. Byłem gotów raczej palnąć sobie w łeb, niż całować tyłek...

- Uważał pan, że Dorfrichter zabrał cyjanek, żeby uniemożliwić panu popełnienie samobójstwa?

- Tak jest, panie kapitanie.

- Czy istotnie mówił pan, że to zrobi?

- Tego nie wiem, panie kapitanie. Byłem przeważnie cały czas pijany. Czułem się okropnie w Sarajewie. Miasto było przesycone nienawiścią: Bośniacy nienawidzili Turków, Turcy nienawidzili Austriaków, Austriacy Serbów, a Serbowie zionęli niechęcią do każdej z tych nacji z osobna, wszyscy razem natomiast nienawidzili sefardyjskich Żydów. Kiedy się szło ulicą Mutevelic, zdawało się, że powietrze jest aż gęste od tej nienawiści. Nie było żadnego życia towarzyskiego. Mieszkańcy miasta, wszystko jedno chrześcijanie czy mahometanie, żyli przy zamkniętych i zaryglowanych drzwiach. Niemożliwością było wprost nawiązać rozmowę z którąkolwiek z niewiast, z wyjątkiem żon wojskowych lub miejscowych dziwek. W żadnym razie nigdy bym sam dobrowolnie nie wybrał kariery wojsko-

wej, panie kapitanie. Być może, byłoby lepiej dla wszystkich, gdyby mnie wywalili z wojska,

Kunze, niczym starszy i mądrzejszy brat, odczuł litość wobec porucznika. Widział wielu podobnych do Vaniniego chłopców poubieranych w mundury, starających się wykazać, że do nich dorosli

- Postaram się zrobić wszystko co w mej mocy, aby pana oszczędzić - obiecał kapitan. - Ale musi pan współdziałać ze mną i odpowiadać na wszystkie pytania uczciwie.

- Tak jest, panie kapitanie - potaknął głową Vanini.

- Dorfrichter wziął od pana dwie laski cyjanku. Czy prosił go pan kiedykolwiek, by je zwrócił?

- Oczywiście.

- Kiedy to było?

- Przed moim wyjazdem do Nagykanizsa. Otrzymałem rozkaz przeniesienia drugiego, a w nowym pułku miałem zameldować się dwunastego listopada. Byłem w bardzo zażyłych stosunkach z pewną damą w Linzu i chciałem zrobić jej fotografię na pamiątkę. Pożyczyłem aparat, a kiedy Ritzberger odmówił sprzedania cyjanku memu ordynansowi, spytałem Dorfrichtera, czy ma jeszcze u siebie dwie laski cyjanku, które wziął ode mnie w Sarajewie.

- Co on na to odpowiedział?

- Że ich nie ma, bo już je dawno wyrzucił. - Dał pan temu wiarę?

- Oczywiście. Bo na co byłby mu cyjanek potrzebny? - Czy kiedy przeczytał pan w gazecie o ulotkach

Charlesa Francisa i aresztowaniu Dorfrichtera, nie przyszło panu do głowy, że to się ze sobą w jakiś sposób łączy?

- Oczywiście, że tak - odpowiedział niechętnie Vanini.

- Dlaczego nie przyszedł pan od razu zameldować o tym? - zapytał Kunze, chociaż znał już z góry odpowiedź.

- Wtedy bowiem wyszłyby na jaw historia ze skrytem dłużnym. Śledziłem całą tę sprawę bardzo dokładnie. Czytałem każdą wzmiankę o niej w gazetach. Wiedziałem, że główną przeszkodą w śledztwie jest brak dowodu, iż Dorfrichter posiadał cyjanek. Gdybym dostarczył wam informacji, on mógłby w odwet opowiedzieć wam o aferze z Landsbergiem-Lövy. Poza tym, niech mi pan wierzy, chciałem go jako bliskiego przyjaciela osłonić, a nie doprowadzić przed pluton egzekucyjny.

- Nie przed pluton, ale pod szubienicę - poprawił Kunze. - Zostanie powieszony.

- To wszystko moja wina - przyznał Vanini. - Po co wysyłałem ordynansa do apteki Ritzbergera! Na diabła mi były potrzebne fotografie tej kobiety! Tej wielkiej, tłustej krowy. Gdyby mi się chociaż podobała!

## **ROZDZIAŁ PIĘTNASTY**

Był to jeden z tych czarodziejskich dni, kiedy z błękitniejących w oddali lasów powiało na wiedeńskim Ringu wiosną. Niebo było nadal zasnuwane przeredzonymi tu i ówdzie chmurami. Miastem przepłynęła fala pachnącego miodem powietrza pomieszanego z zapa-

chem ubiegłorocznych jesiennych liści, stanowiąc jakby uroczystą zapowiedź rychłego nadejścia pory kwitnienia. Podziałała ona na ludzi jak odurzający lek. Poczęło się więcej dzieci i popełniono więcej samobójstw niż o jakiegokolwiek innej porze roku.

Kunze przybył do Wiednia razem z Vaninim poprzedniego wieczora. Chociaż wobec porucznika uchylono już nakaz aresztowania, kapitan nakazał mu pozostać w budynku sądu do rana w jednym z nie używanych pokoi biurowych.

Rankiem Vanini złożył pod przysięgą zeznanie jako świadek w obecności poruczników Stoklaski i Heinricha. Zarówno sprawa skryptu dłużnego, jak sfałszowania podpisu Landsberga-Lövy zostały w protokole zeznań pominięte. Następnie Kunze kazał przyprowadzić Dorfrichtera. Kunze nie widział się z nim od czasu ich pełnej jadu rozmowy owego dnia, kiedy porucznikowi podsunęto gazetę z relacją o eskapadzie jego żony na Riwierę. Profosa z wąsami w stylu cesarza Wilhelma zastąpiono teraz surowszym i starszym funkcjonariuszem, któremu nakazano obserwować Dorfrichtera i zdawać codziennie raport o jego zachowaniu. Niewiele miał on jednak do zameldowania. Więzień zachował nadal zwyczaj spacerowania po celi przy otwartym oknie, prowadzenia nie kończących się monologów i gimnastykowania się wieczorem. Starał się być schludny i czysty i odnosił się do strażników z łagodną obojętnością.

Kiedy go wprowadzono, Stoklaska i Heinrich siedzieli na swoich miejscach, Kunze za biurkiem, a Vanini usadowił się na krześle w odległym kącie pokoju, Profos u boku więźnia i strażnik w tyle o

krok za nimi zbliżyli się do biurka Kunzego, stanęli w pozycji na baczność i zaszalutowali w sztywny, urzędowy sposób; następnie profos zameldował o dostarczeniu więźnia głosem zbyt donośnym jak na rozmiary kancelarii. Kunze przyjął meldunek, zwolnił profosa i strażnika. Więzień zaś stał tymczasem sztywno, ze wzrokiem utkwionym w ścianę ponad głową kapitana. Być może wyczuł obecność czwartej osoby, chociaż stojąc na baczność miał ograniczone pole widzenia.

- Spocznij - powiedział Kunze.

Było nieco krzątający, kiedy Stoklaska, Heinrich i Vanini zasiedli ponownie w krzesłach.

- Proszę siadać, Dorfrichter - powiedział Kunze do porucznika.

Kiedy Dorfrichter odwrócił się, żeby przysunąć krzesło ustawione dla niego przed biurkiem, dostrzegł Xaviera Vanini. Wyciągnął ku niemu rękę, która zawisała w powietrzu, kiedy zmierzyl się spojrzeniem.

- No właśnie - powiedział i potem dorzucił: - Dobra! - Patrzył uporczywie w oczy Vaniniemu. W lewym kącie ust pojawił się ślad uśmiechu. Następnie rzucił w jego stronę powitalne: - Serwus.

- Serwus - odpowiedział niczym echo Vanini drżącym głosem.

- Proszę usiąść, Dorfrichter - powtórzył Kunze. Uniósł arkusz papieru zawierający zeznanie Vaniniego, złożone pod przysięgą, i zaczął czytać troszkę przez nos, typowym dla austriackich wyższych sfer tonem, który często sprawiał, że wyroki śmierci brzmiały jakby

intymnie i zachęcająco. Kiedy skończył, spojrzął na mężczyznę, który siedział na wprost niego w niezłomnym milczeniu.

- Ma pan jakieś uwagi, Dorfrichter? Więzień wzruszył ramionami.

- Porucznik Vanini jest, jak widać, obdarzony bardzo żywą wyobraźnią.

- Uważa pan, że mówi nieprawdę? Dorfrichter zaśmiał się.

- Nie pamiętam, bym kiedykolwiek brał od niego jakiś cyjanek.

- Wziął go pan od niego razem z rewolwerem i buteleczką aspiryny - wtrącił szorstko Kunze.

- Pamiętam, że wziąłem rewolwer i być może pożyczyłem parę aspiryn. Wyczyniał tak straszne rzeczy, że każdego mogły przyprawić o ból głowy. Ale wzmianka o cyjanku to czysty wymysł!

- Proszę podejść, poruczniku, i stanąć przed podejrzanym - zwrócił się Kunze do Vaniniego. Vanini podniósł się wolno i ociągając się podszedł do Dorfrichtera. Wargi mu drżały i nerwowo mrugał powiekami.

- Proszę powtórzyć podejrzanemu to, co powiedzieliście nam o cyjanku.

W oczach Vaniniego, kiedy spoglądał w twarz Dorfrichtera, malowały się rozpacz i prośba o przebaczenie.

- Kiedy szukałeś mego rewolweru, Peter, wyciągnąłeś szuflady komody, a w jednej z nich była aspiryna i w szklanym słoiku dwie laski cyjanku w firmowym opakowaniu. Powiedziałaś, że je zabierasz, na wszelki wypadek, bym nie popełnił żadnego głupstwa.

- Niczego takiego sobie nie przypominam - Dorfriechter spokojnie kręcił przecząco głową.

- To było na parę dni przed twoją rozmową z Landsbergiem-Lövy.

- Nie przypominam sobie też tego spotkania - odrzekł Dorfriechter. - Prosiłeś mnie, żebym nigdy nie... I dałem ci na to moje słowo.

- Jezu Chryste! - jęknął Vanini. - Przestań mnie tak dręczyć. Gdyby nie ty, nie byłoby mnie dzisiaj wśród żywych. Ja nie zapomniałem, że...

Kunze podniósł się i podszedł do nich.

- Jeszcze raz pytam, Vanini, czy potwierdzacie, że w drugiej połowie sierpnia 1908 roku porucznik Dorfriechter wziął od was dwie laski cyjanku potasu, których nigdy wam nie zwrócił?

- Tak, potwierdzam - odpowiedział żałosnym tonem Vanini.

- Słyszał pan, co powiedział porucznik - rzekł Kunze zwracając się do Dorfriechtera. - Złożył zeznania pod przysięgą. Czy nadal twierdzi pan, że Vanini mówi nieprawdę?

- Tak - odrzekł stanowczo Dorfriechter.

- Po co miałby kłamać? Jest pana przyjacielem.

- To pan mnie pyta? Nie ja wchodziłem z nim w układy, tylko pan.

Vanini pobladł, wargi skrzywiły mu się, jakby miał się lada chwila rozpłakać.



- Porucznik Vanini miał tylko jedno wyjście: powiedzieć prawdę - podkreślił Kunze. - Może mieć z pana powodu kłopoty. Powinien był zameldować o tym, że wziął pan od niego cyjanek trzy miesiące temu, zamiast czekać, aż my to odkryjemy. To już sąd wojskowy rozstrzygnie, czy przemilczenie tego faktu czyni go współwinnym.

- Przepraszam, Peter - wymamrotał Vanini - Bardzo cię za to przepraszam.

Twarz Dorfrichtera pozostała niewzruszona, kiedy wpatrywał się przez otwarte okna w wierzchołki dachów.

- Dam wam radę, Vanini - powiedział Kunze, kiedy Dorfrichter i dwaj porucznicy wyszli z pokoju. - Wystąpcie z armii, zanim będzie za późno, póki jeszcze nie splamiliście swego dobrego imienia. Jesteście jeszcze młodzi Nie będzie wam trudno znaleźć sobie miejsce w świecie cywilów. Wspomnieliście, że lubicie morze. Wstąpcie do marynarki handlowej. Tym razem udało wam się uratować cudem i dzięki dobroci kapitana Landsberg-Lövy. Następnym razem podrobicie na weksłu podpis jakiegoś kolegi, który nie będzie taki wspaniałomyślny jak baron. Puszczam was teraz wolno, ale będę obserwować. Jeden fałszywy krok z waszej strony, a wywalą was z armii, i to z hukiem.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Róża miała na sobie turkusową suknię z *crêpe de chine*, wykończoną czarną koronką, a we włosach strusie pióro przypięte brylantowym klipsem. Wyglądała olśniewająco. Bal u komendanta korpusu był jej pierwszym towarzyskim wystąpieniem u boku Kunzego, odkąd ogłosili oficjalnie swoje zaręczyny. Za życia zmarłego męża-ministra Róża obracała się w statecznych i ponurych kręgach wyższych urzędników państwowych. Armia była dla niej nowym światem i zdumiewało ją, a także napawało dumą, kiedy widziała, jakim szacunkiem i sympatią cieszy się jej narzeczony. Oficerowie wszystkich rang, jak również ludzie noszący znakomite nazwiska, szukali ich towarzystwa, życzyli szczęścia z taką serdecznością, że oczy Róży napępniały się łzami. Dotychczas uważała armię za instytucję rządzoną według surowych, często nieludzkich zasad, ale tego lutowego wieczoru przekonała się, że istnieje tajemna więź jednocząca ich wszystkich, przejawiająca się w dumie, całkowitym oddaniu i serdecznej solidarności. Ci nieznani ludzie w szamerowanych złotem uniformach byli towarzyszami Emila Kunzego, którzy dzielili z nim lata samotnego kawalerstwa. Była świadoma ich badawczych spojrzeń i miała nadzieję, że znajdzie u nich aprobatę jako przyszła żona wojskowego. Była więcej niż szczęśliwa, przepełniało ją niemal nabożne odczucie spełnienia marzeń: stanęła oto na szczycie góry Nebo, a przed nią rozciągała się Ziemia Obiecana.

Kunze żałował, że nie może dzielić z Różą tego nastroju, ale nie potrafił wyzbyć się obezwładniającego go uczucia beznadziejności. Dla niego widok z biblijnej góry Nebo przedstawiał się jako płaska pustynia bez drzew dających cień, pod które można się schronić. Odczuwał zmęczenie i jakieś dziwne wewnętrzne napięcie. Od czasu gdy Vanini złożył swe oświadczenie, kapitan Kunze często wracał myślami do okupacyjnej kampanii w Bośni w 1908, kiedy był członkiem sądu wojskowego, który skazał pewnego dnia na śmierć młodego żołnierza. Na obraz balowej sali nałożył się widok młodego ciała szarpanego uderzeniami kul, a potem upadającego niczym kupa szarozielonych gałąńców, na których rozlewały się powoli krwawe plamy, karmazynowe kwiaty. Niekiedy milcząca twarz z przewiązanymi opaską oczyma przemieniała się w twarz Petera Dorfrichtera.

Przy kolacji Kunzemu i Róży przypadło miejsce przy stole Wenclów. Liii sprawiała wrażenie znużonej i ogromnie przygaszonej. Miała na sobie skromną suknię i prawie żadnej biżuterii, jak gdyby to już była Środa Popielcowa. Generał wyglądał olśniewająco w galowym mundurze i był w równie olśniewającym nastroju. Szarmancki i pełen uwagi wobec Róży promieniał na wszystkie strony iskrząc radością jak naładowany prochem fajerwerk. Rozmowa przy stole dotyczyła wojny. Jeden z młodszych oficerów wspominał o artykule, który przeczytał w „Le Monde”. Było w nim napisane, że Niemcy postanowili jakoby odstąpić od Planu Schlieffena, zastępując go innym, polegającym na totalnym zaatakowaniu całej alzackiej granicy. Wszyscy uznali wzmiankę w „Le Monde” za czystą fantazję. Przypuszczano, że

Francuzi przygotowują się na gwałtowny atak z tej strony jedynie z pobudek prestiżowych. Ktoś spekulował na temat możliwości przyłączenia się Rosji do tego konfliktu, ale generał Wencel uważał, że Rosji będzie potrzeba dwudziestu lat, by podnieść się z klęski poniesionej z rąk Japończyków. Niestęchanie ważną sprawą było wyeliminowanie Serbii, zanim wielkie mocarstwa dostatecznie przygotują się do wojny. Rosja zobowiązała się do obrony Serbii, toteż przyszła kampania na Bałkanach musi być szybka i skuteczna, możliwie bez formalnego wypowiedzenia wojny. Podobna koncepcja wywołała zażarty sprzeciw ze strony generała-majora, który odparł gorąco, że ani Franciszek Józef, ani też Franciszek Ferdynand nigdy się na to nie zgodzą. Atak bez formalnego wypowiedzenia wojny byłby czymś niehonorowym i lekkomyślnym, co na pewno odbiłoby się negatywnie na morale całego oficerskiego Sztabu. Wojna winna rozpocząć się w sposób konwencjonalny: ultimatum, wypowiedzenie wojny i atak. Przez cały czas trwania tej gorącej dyskusji orkiestra grała walca z „Wesołej wdówki”.

- Zatańczmy - zaproponował Kunze Róży. - W przyszłym tygodniu wypada Środa Popielcowa, więc być może nie będzie okazji do tańca przez dłuższy czas.

Rozejrzał się po sali i stwierdził, że są najstarszą parą w tłumie gości. Twarze, krążące wokół nich, były świeże i promienne, suknie białe, jasnoniebieskie lub blad różowe, a na mundurach żadnych odznaczeń prócz dwóch insygniów na wysokich kołnierzach. Zastanawiał się, czy wśród tych młodzieńców znaleźliby się tacy, którzy

wyraziliby chęć zaatakowania Serbii z wypowiedzeniem wojny, tak jak pragnęli tego ich przełożeni, lub bez. Wizja koszarowego podwórza z powalonym szeregowcem ustąpiła miejsca innemu obrazowi: posępnej krainy wzdłuż bośniacko-serbskiej granicy, tłumem ludzkich postaci w zwartych szeregach, zbliżających się szereg za szeregiem ku rzędomi brzuchatych armat. Za każdym wystrzałem linia się załamuje, a ciała padają na ziemię jak podcięte kosą.

- Nad czym tak rozmyślasz? - spytała Róża.

- Nic ważnego - skłamał.

- Ale masz taką ponurą minę. Zmusił się do uśmiechu.

- Skądże znowu! Bawię się doskonale.

- Gratulacje, kapitanie. Wszyscy są oczarowani pana narzeczoną

- powiedział Kunzemu doktor Goldschmiedt.

Zatelefonował prosząc o spotkanie. Najprzód zaproponował obiad u Sachera, ale Kunze wykręcił się od zaproszenia mówiąc, że ma zobowiązania towarzyskie na parę dni naprzód, toteż obaj przystali na rozmowę w kancelarii Kunzego.

- Żona moja ma nadzieję - ciągnął doktor Goldschmiedt - że będziemy mogli poznać wkrótce panią von Siebert.

- Dziękuję, doktorze. Powiem o tym pani von Siebert. Na pewno bardzo to jej pochlebi.

Kunze nie pragnął żadnych kontaktów towarzyskich z Goldschmiedtami. Nigdy nie lubił doktora, a ostatnio czuł do niego

jeszcze większą odrazę, jak gdyby wyrządził mu osobiście afront, przyprawiając rogi Dorfrichterowi.

Goldschmiedt zjawił się w kancelarii Kunzego punktualnie, emanując czarem osobistym i dobrą wolą. Jego paplanina ciągnęła się w nieskończoność. Było całkiem jasne, że ta wizyta ma inny cel, niż pogratulowanie Kunzemu wyboru przyszłej żony, ale zbliżał się do sprawy aż nadto powoli. Kunze, który stracił już cierpliwość, wykorzystał moment, kiedy Goldschmiedt łapał oddech między jedną a drugą anegdotą, i szybko rzucił pytanie:

- Czym mogę panu służyć, doktorze?

Sprawił tym, że z twarzy doktora zniknęła radosna pewność siebie.

- Przychodzę tu w imieniu pani Dorfrichter. Jak panu wiadomo, jestem jej pełnomocnikiem. Pani Dorfrichter zamierza rozwieść się ze swym mężem.

Zaskoczony tym i ogarnięty dziwnym poczuciem winy, Kunze zapytał:

- Co ją skłoniło do takiej decyzji?

- Jest to w istocie decyzja całej rodziny - odpowiedział doktor Goldschmiedt. Poczul się nieswojo i unikał wzroku Kunzego. - Pani Gruber sprzedaje sklep i chce wyjechać z kraju, zabierając ze sobą córkę wraz z wnuczkiem. Ma zamężną siostrę w Murnau, niewielkim mieście niedaleko Monachium, i chce tam właśnie osiaść.

Kunze spoglądał na Goldschmiedta, istną karykaturę starzejącego się dandysa, swego współnika w pogwałceniu Petera

Dorfrichtera, i czuł, że powinien cieszyć się z takiego obrotu sprawy. W gruncie rzeczy żal mu się zrobiło, że nie może zawrócić czasu do momentu, kiedy ekspert od grafologii po raz pierwszy wymienił nazwisko Dorfrichtera w archiwum Akademii Wojennej.

- Niestety, nie możemy pozwolić- pani Dorfrichter na opuszczenie kraju. W każdym razie dopóki śledztwo jest w toku. Mogą nam jeszcze być potrzebne jej zeznania.

- W tym stanie, w jakim się teraz znajduje, nie będzie z niej wielkiej korzyści - stwierdził adwokat. Kiedy dostrzegł uniesione ze zdziwienia brwi, wyjaśnił: - Pani Dorfrichter cierpi na rozstrój nerwowy i przebywa w sanatorium doktora Breuera.

O tym już było kapitanowi wiadomo, jednakże spędzenie paru tygodni w modnym sanatorium nie zawsze oznacza, że pacjent jest chory.

- Dobrze, zawiadomię porucznika Dorfrichtera o życzeniu jego żony. Wydaje mi się, że zgodzi się na rozwód, toteż nie będzie miał pan żadnych trudności Dam panu znać, jak przyjął tę wiadomość.

Natychmiast po wyjściu doktora Goldschmiedta Kunze udał się z sądu do skrzydła budynku, gdzie mieściło się więzienie. Nie był u Dorfrichtera w celi od czasu, kiedy przekazał mu wiadomość o narodzinach syna. Kilka razy podczas długiego marszu korytarzami, a także w górę i w dół po schodach, czuł nieprzepartą ochotę, by zawrócić i odbyć to spotkanie we własnej kancelarii, gdzie się czułby fizycznie i psychicznie znacznie pewniejszy. Trudno było przewidzieć, czy w zaciszu celi pozostanie przy roli sędziego, czy też weźmie w nim

góre poczucie człowieczeństwa. Ciążyły mu bez przerwy wyrzuty sumienia. Rozwahał, czy nie lepiej byłoby posłać Stoklasę do Dorfrichtera z wiadomością, a samemu przyjść, kiedy cios będzie już zadany. Wydawało się to najrozsądniejszym wyjściem. Ostatecznie był sędzią, Dorfrichter zaś więźniem.

Dwóch ludzi, strażników, grało w dyżurce w dwadzieścia jeden, przy stole w kącie. Poderwali się jak spłoszone kuropatwy na widok kapitana. Normalna procedura wymagałaby wzywania profosa, czego Kunze celowo zaniechał. Strażnicy stali sztywno na baczność i przyglądali mu się z głupimi minami. W pokoju było straszliwie gorąco od żelaznego pieca, czuć było potem i tanim tytoniem.

Poprosił o klucz do celi numer 6, nakazując strażnikom pozostać za drzwiami. Spełnili rozkaz, a jeśli ich nawet to zdziwiło, nie dali po sobie poznać. Defraudant z celi numer 1 dostał już wyrok i przeniesiono go do więzienia wojskowego w Mollersdorf, jego zaś miejsce zajął pewien podporucznik, który zabił w pojedynku kolegę oficera. W celi numer 3 przebywał młody; dragon oskarżony o zachowanie niegodne oficera, gdyż będąc w stanie nietrzeźwym, poprowadził on swój oddział kawalerii do ataku na siedzibę policji we Lwowie.

Peter Dorfrichter leżał wyciągnięty na łóżku, ze skrzyżowanymi pod głową ramionami i wzrokiem wbitym w sufit. Najwidoczniej sądził, że to strażnik wszedł do celi, a odwrócił się dopiero wówczas, gdy posłyszał głos Kunzego. Zamrugał nerwowo powiekami, jakby nie dowierzając własnym oczom.



- Mam panu coś do powiedzenia, Dorfrichter. Porucznik usiadł, spuszczać nogi z krawędzi łóżka.

- W czasie poprzedniej tu wizyty zawiadomił mnie pan, że zostałem ojcem. O co chodzi tym razem? Coś równie ważnego?

Jak zwykle jego drwiący ton rozdrażnił kapitana.

- To już będzie zależało od pana. Żona chce rozwodu.

Słowa już padły, nie było to nawet trudne. Wrogi uśmiech na twarzy więźnia bardzo był Kunzemu pomocny.

- Naprawdę tego chce? - Dorfrichter zmarszczył czoło. - Rozwodu? Mogę się na to nie zgodzić. Czy muszę?

- Może pan bronić sprawy albo odpowiedzieć zarzutem oskarżycielowi. Nie pytałem jej adwokata, jak zamierza prowadzić sprawę, ale w tej materii prawdopodobnie zaskarży pana o zdradę małżeńską.

Na dźwięk słów „jej adwokat” porucznik drgnął.

- Czy dalej reprezentuje ją ten człowiek?

- W tej chwili tak, ale sądzę, że kiedy dojdzie do sprawy, będzie miała innego adwokata. - „Byłoby to wręcz groteskowe, gdyby Goldschmiedt musiał nazwać Dorfrichtera cudzołożcą” - pomyślał Kunze.

Kapitan usiadł na krześle. Dorfrichter ujął głowę w dłonie i siedział skulony na brzegu łóżka. Nie zawrzał z wściekłości, jak się tego Kunze spodziewał. Wieści oszołomiły porucznika, ale nie wywołały w nim gniewu.

- Dlaczego? - spojrzał pytającym wzrokiem na kapitana. Po raz pierwszy w oczach jego nie było wrogości. - Co się jej stało? To niepodobne do Marianny!

Kunze czuł się dziwnie zawiedziony reakcją Dorfrichtera.

- Skąd mogę wiedzieć? Pan ją lepiej zna. Raptowność, z jaką Dorfrichter poderwał się z łóżka, zaniepokoiła go.

- Muszę z nią pomówić - rzekł Dorfrichter zdecydowanym tonem. - Bez tego nie mogę podjąć decyzji. Nic mnie to nie obchodzi, czy to jest zgodne z regulaminem. Jestem nadal jej mężem, a ona moją żoną. A to jest sprawa, która tylko nas dwojga ściśle dotyczy. Nie można jej załatwić przez pośredników czy adwokatów.

- A co będzie, jeśli ona nie zechce się z panem zobaczyć?

- Wtedy będę bronił się przed rozwodem. Znajdę na to sposoby. Mam prawo do tego, żeby mnie bronił cywilny adwokat, jak zwykłego obywatela. - Podszedł do siedzącego kapitana i spojrzał mu w oczy. - Pan mi spotkanie załatwi, prawda? To mi się od pana należy!

Kapitan wstał. Stali blisko siebie, niemal dotykając jeden drugiego. Czuł, jak ciemne, rozumne oczy porucznika niemal przeszywają go na wskroś. Kunze doznał bolesnego pragnienia, by otoczyć ramionami Dorfrichtera i wyrazić, co on dla niego znaczy, szczerze i bez lęku. Wyciągnął ręce i opuścił je wolno. Opanował się, nie dlatego, że mógłby takim gestem przekreślić całą swą przyszłość, ale dlatego, że zdał sobie sprawę, iż stojący przed nim mężczyzna tylko na to czeka, ciesząc się z góry z odniesionego zwycięstwa.

Kunze wycofał się w stronę okna, poza strefę iście magnetycznej siły przyciągania Dorfrichtera.

- Postaram się - odpowiedział, kiedy już czuł, że dostatecznie panuje nad swym głosem. - Nie mogę panu niczego obiecać. Ale ze swej strony zgadzam się, aby takie spotkanie się odbyło.

Nie patrząc na Dorfrichtera ruszył ku wyjściu. Fala podniecenia w jego ciele jeszcze całkiem nie opadła, ale dłonie już mu nie drżały, kiedy naciskał klamkę. - Dam panu znać - powiedział. Usłyszał, jak Dorfrichter stuknął obcasami i wymamrotał:

- Dziękuję panu.

Kunze szybko zatrzasnął drzwi i przekręcił klucz w zamku.

Spotkanie odbyło się w wietrzny, rzeński wieczór, na początku marca. Najpierw doktor Breuer był przeciwny temu, ale zmienił zdanie po rozmowie z panią Gruber. Zgodził się z tym, że dopóki Marianna nie wyjedzie z Wiednia, nie ma szans na jej powrót do normalnego życia, więc im szybciej nastąpi orzeczenie o rozwodzie, tym lepiej.

W zdrowiu Marianny nastąpiła zdecydowana poprawa. Nadal trwała w apatii, ale była już nieco pogodniejsza, a niekiedy nawet wesoła. Pani Gruber odwiedzała ją regularnie, czasem przynosiła ze sobą niemowlę. Mariannę wyraźnie cieszył widok dziecka, ale nigdy nie pytała o pozostawionego w domu synka, ilekroć pani Gruber przychodziła sama.

Decyzja władz wojskowych zezwalająca Dorfrichterowi na zobaczenie się z żoną wydana została przez kancelarię dowódcy garnizonu wiedeńskiego, barona Versbach von Hadauer, dopiero po

dwugodzinnej naradzie, na której obecny był kapitan Kunze, generał Wencel i radca Stukart z Dowództwa Żandarmerii. Zanim osiągnięto porozumienie, dowódca skonsultował się telefonicznie z ministrem wojny, von Schönaichem, i otrzymał jego zgodę.

Postanowiono, że spotkanie małżeństwa Dorfrichterów odbędzie się w późnych godzinach wieczornych, głównie po to, by uniknąć rozgłosu w prasie. Od czasu złożenia zeznań przez Vaniniego, nikt już nie wątpił, ani w ministerstwie, ani w dowództwie korpusu, w winę Dorfrichtera. Kunze odebrał serdeczne gratulacje zarówno od generała, jak i radcy Stukarta z powodu wzorowego poprowadzenia śledztwa.

Marianna Dorfrichter zjawiała się w asyście doktora Johanna Frazera, adwokata z firmy prawniczej doktora Goldschmiedta, oraz pielęgniarki z sanatorium. Podjechali w zamkniętym fiakrze do bocznego wejścia sądu wojskowego, skąd porucznik Stoklaska zaprowadził ich po schodach na górę. Pielęgniarka pozostała w przyległym pokoju, gdy tymczasem młodego adwokata i Mariannę wprowadzono do kancelarii Kunzego.

Na pierwszy rzut oka kapitan nie mógł dopatrzeć się żadnych objawów choroby u Marianny. Była ubrana w swój stary, ciemnopopielaty kostium o spódnicy dłuższej, niż nakazywała moda, pieśniowy kapelusz w kolorze bordo i do tego mufkę z kretów. Włosy miała starannie upięte z wyjątkiem paru rozrzuconych przez wiatr loków. Poruszała się ze spokojną godnością, przywodząc Kunzemu na myśl łabędzia sunącego po jeziorze. Ostatnio, kiedy ją widział, była w bardzo zaawansowanej ciąży i w porównaniu z tamtym okresem

wydawała się teraz niemal eteryczną istotą. Adwokat, nieświadom tego, że Kunze znał już Mariannę od dawna, spieszenie dokonał prezentacji. Z uśmiechem podała rękę, mówiąc iż rada jest, że go znów widzi. Potem przyjęła ofiarowane jej krzesło i usiadła spokojnie przysłuchując się wymuszonej i zdawkowej rozmowie między adwokatem i kapitanem, którą prowadzili oczekując na przybycie więźnia.

Kunze wydał rozkaz profosowi, by doprowadził porucznika Dorfrichtera do drzwi kancelarii i pozwolił mu wejść samemu. Gdy Dorfrichter wkroczył do pokoju, światło z żyrandola odbiło się jaskrawym blaskiem w nasadzonym na karabin bagnecie strażnika. Kiedy skrzypnęły drzwi, Marianna odwróciła głowę, ale nie dała poznać po sobie, czy dostrzegła bagnet, uśmiechnęła się tylko lekko na widok męża. Dorfrichter zrobił parę kroków do przodu, stanął w postawie na bacność i zaszalutował kapitanowi. Robił wrażenie spokojnego, jednakże przygryzł dolną wargę, by ukryć jej drżenie. Odpowiedział na pozdrowienie adwokata szybkim kiwnięciem głowy, nie spuszczać ani na chwilę wzroku z żony.

- Dobry wieczór, Marianno - rzekł do niej łagodnie.

Zmarszczyła czoło i skrzyżowała ręce na brzuchu.

- Przestań mi się przyglądać! - krzyknęła. - Wyglądam okropnie!

Obiecałeś nie patrzeć na mnie, póki nie urodzę dziecka.

Dorfrichter jakby oniemiał. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, poruszył wargami, ale nie mógł dobyć głosu. Pokręcił głową jakby niedowierzając własnym uszom i skierował zaleknione i pytające spojrzenie w stronę Kunzego. Kapitan odpowiedział mu kiwnięciem

głowy, doktor Frazer zaś przerwał ciszę głosem zbyt donośnym, jak na szczupłe pomieszczenie, jakim była kancelaria.

- Poruczniku, muszę przestrzec pana, że stwarzanie z pana strony trudności może jedynie przedłużyć sprawy proceduralne, ale z pewnością nie przeszkodzi mej klientce w odzyskaniu wolności - zaterkotał.

Dorfrichter wytrzeszczył na niego oczy.

- Milczeć, proszę! - warknął, a ton jego głosu sprawił, że młody adwokat zawrzał z oburzenia.

- Szanowny panie... - odezwał się, ale natychmiast zamilkł, kiedy zobaczył wyraz twarzy porucznika.

Dorfrichter podszedł do Marianny, wziął ją za rękę i przytulił łagodnie i ostrożnie do siebie.

- Już urodziłaś je, Marianno. Nie pamiętasz? - rzekł i dotknął podbródka żony unosząc jej twarz ku górze i przypatrywał się badawczo, jak gdyby próbując znaleźć jakiś sposób porozumienia.

Uśmiechnęła się do niego i potrząsnęła głową.

- Wiesz, kim jestem, Marianno?

- Oczywiście, że wiem - odpowiedziała śmiejąc się, po czym odepchnęła go od siebie.

- Gniewasz się na mnie? - spytał. Pokręciła przecząco głową.

- Chyba nie - powiedziała z powątpiewaniem. Nagle jakby się zmieszała, ukryła twarz w dłoniach, ale kiedy je opuściła, w oczach miała łzy.

- Musi pan zrozumieć, że pańska żona jest pacjentką w sanatorium doktora Breuera - powiedział adwokat Frazer.

- Proszę nas zostawić samych! Wiem dobrze, o co chodzi. Niech pan da nam teraz spokój! - zwrócił się do Kunzego podniesionym głosem. - Niech mu pan powie, żeby sobie poszedł do diabła!

Młodzieniec zachnął się z gniewu.

- Może pan równie dobrze zaczekać na zewnątrz, doktorze Frazer - wmieszał się Kunze - ja tu zostanę, więc nie ryzykuje pan niczym, spełniając prośbę porucznika.

- To nie była prośba, ale rozkaz! - Adwokat wahał się chwilę, potem zrobił naburmuszoną minę i wyszedł majestatycznie z kancelarii.

- Marianno - spytał Dorfrichter - czy ty wiesz, gdzie jesteśmy?

Uśmiechnęła się jakby przez łyzy i wzruszyła ramionami.

- Czy poznajesz kapitana?

- Oczywiście, że tak! - odrzekła nieco poirytowanym tonem. - Przecież już to mówiłam, prawda?

- Czy wiesz, po co się tu spotkaliśmy? Wyglądało na to, że pytanie do niej nie dotarło.

- Jestem zmęczona - powiedziała cicho. - Czy doktora Breuera dziś nie będzie? Zawsze zjawia się o tej porze.

Dorfrichter poprowadził ją do kanapy w kącie, na której usiedli.

- Posłuchaj mnie, Marianno. Wydarzyły się rzeczy trudne do wytłumaczenia, ale musisz pamiętać o tym, że kocham cię bardzo mocno i nigdy nie chciałem cię skrzywdzić. Nadal jesteś najdroższą dla mnie istotą, jedyną na świecie. Słyszysz mnie, Marianno?

Patrzyła na niego z takim wyrazem twarzy, jak się słucha dźwięków odległej muzyki Uniosła dłoń i dotknęła policzka męża.

- Powinieneś się ostrzec - zauważyła i przytulając się mocniej do męża powiedziała jasnym, ożywionym tonem: - Dziecko miało czarne włosy po urodzeniu, ale mu wyszły, a teraz wyrosły nowe, jasne, prawie białe.

- Widzisz, przecież mówiłem, że urodziłaś dziecko - powiedział Dorfrichter tonem pełnym nadziei i perswazji, ale przebłysk jasności rozumowania u Marianny zgasł już niczym spadająca gwiazda.

Kunze siedział za biurkiem odwrócony plecami do Dorfrichterów i pragnął położyć kres tej bolesnej rozmowie. Jakże dobrze znał skrępowanie i wyrzuty sumienia i był po raz pierwszy pełen głębokiej i szczerzej litości dla tej kobiety.

Zrobiła się niespokojna, ponownie spytała o doktora Breuera. Przypominała Kunzemu uczestniczącą w przyjęciu dla dorosłych dobrze ułożoną dziewczynkę, którą już tak znużyło towarzystwo starszych, że nie chce za nic zostać nawet chwilę dłużej. Było jasne, że Dorfrichter przemawia do martwej wewnętrznie istoty, która niegdyś była jego żoną.

- Uważam, panie kapitanie, że należałoby chyba odesłać ją z powrotem do sanatorium - powiedział Dorfrichter. - To przekracza zupełnie jej siły.

- Wezwę doktora Frazera - odrzekł Kunze i wyszedł z pokoju, umożliwiając porucznikowi pożegnanie się z żoną w samotności.



Kiedy wrócił, spostrzegł, że dalej siedzą na kanapie, Dorfrichter otoczył żonę ramieniem, ona zaś oparła mu głowę na piersi. Wydawała się teraz całkiem już spokojna, a na twarzy jej malowało się uczucie cichej radości. Widocznie dawniej nieraz tak siadywała, czując pod policzkiem materiał jego bluzy, wdychając zapach mydła, tytoniu i czystego ciała, tego wyjątkowego i jedyne go na świecie mężczyzny, poruszające w niej uczucia, których niepodobna było zbudzić ani prośbą, ani perswazją.

„Najwyraźniej nie poznała męża - pomyślał Kunze - jedynie dotknięcie jego ręki, uścisk ramion, bliskość ciała, tak jakby przypomniała sobie melodię, gdy tymczasem słowa na dobre wypadły z pamięci”.

Kiedy zjawiła się pielęgniarka, żeby zabrać Mariannę, ta nie chciała się w ogóle ruszyć. Dopiero, kiedy upomniano ją, że doktor Breuer będzie się gniewał, dała się posłusznie odciągnąć z objęć męża.

Kunze nie zaprosił adwokata do kancelarii, powiedział mu, że sam omówi sprawę rozwodu z Dorfrichterem i powiadomi go telefonicznie o jej wyniku. Odprowadził Mariannę do przyległej poczekalni, chociaż świadomie ryzykował pozostawienie więźnia czas jakiś bez nadzoru. Wydawało się Kunzemu istnym okrucieństwem nie pozwolić więźniowi na spędzenie choćby paru minut w samotności. Kiedy Marianna Dorfrichter przekroczyła próg korytarza, odwróciła się do kapitana i patrząc na niego zimno i przytomnie, rzekła:

- Wiem, kim pan jest. Nigdy bym tu nie przyszła, gdybym wiedziała, że pan tu będzie.

Kunze zastał Dorfrichtera siedzącego dalej na kanapie, z łokciami i dłońmi podpierającymi brodę. Pogrążony głęboko w myślach nie usłyszał, jak kapitan powrócił, toteż na odgłos odsuwanego od biurka krzesła zerwał się na równe nogi tak niespodziewanie, że aż stracił popielniczkę, którą Kunze zaraz podniósł z podłogi.

Dorfrichter dostrzegł rysę na alabastrowej popielniczce, będącej pamiątką z Wenecji.

- Przepraszam pana - rzekł. - Nie wygląda mi to na urzędowy przedmiot. Pewnie to jest jakiś prezent?

- Bynajmniej. Kupiłem ją podczas ostatniej bytności w Wenecji. Nic straconego! Kupię następną, kiedy znów tam pojadę. Zawsze istnieje taka możliwość.

Nagle uświadomił sobie, że dla człowieka, z którym rozmawia, nie istnieje możliwość wyjazdu ani do Wenecji, ani gdzie indziej.

- Powiedziałem adwokatowi, że zastanowi się pan nad rozwodem i powiadomi mnie o swej decyzji. Niech się pan dobrze namyśli. Nikt pana do niczego nie zmusi.

- Już powzięłem decyzję - odrzekł Dorfrichter. - Zgadzam się na rozwód. Powinna go dostać. Im wcześniej, tym lepiej.

Miał głębokie cienie pod oczami i po raz pierwszy z twarzy jego zniknął ów blask młodości, który czynił ją tak pociągającą. Coś starczego pojawiło się w rysach porucznika w ciągu tych paru godzin,

Kunze pragnął serdecznie powiedzieć Dorfrichterowi, jak bardzo im dwojgu współczuje, ale wydawało mu się, że nie jest to właściwy moment po temu.

- Chce pan, bym przekazał tę decyzję doktorowi Frazerowi jutro rano, czy mam poczekać jeszcze parę dni?

- Proszę nie czekać, panie kapitanie. Nie zmienię już postanowienia.

- Mówiono mi, że doktor Breuer jest pełen optymizmu. Uważa, że całkowite wyzdrowienie żony pana jest tylko kwestią czasu. To niezmiernie rzadki przypadek, by młoda kobieta doznała załamania psychicznego tuż po urodzeniu dziecka. Widać przyczyniły się do tego także aresztowanie pana i związane z tym przeżycia.

- Nic nie zmieni mej decyzji - rzucił krótko Dorfrichter z odcieniem zniecierpliwienia, - Nawet jeśli wyzdrowieje jutro lub jeśli mi sama powie, że nie chce rozwodu, to ja chcę, żeby go miała. Jej matka słusznie uważa, że powinny wyjechać z kraju i osiąść tam, gdzie ich nikt nie zna. Marianna jest za młoda, żeby dać się pogrzebać pod ruinami tego, co niegdyś było naszym wspólnym życiem. - A po chwili dodał: - Dziękuję w każdym razie panu za okazaną przychylność.

To było coś nowego: pierwsze „dziękuję”, które zabrzmiało tak, jakby delikwent miał chęć wywiesić białą flagę na znak, że się poddaje. Ktoś inny na miejscu Kunzego zawołałby jak najszybciej świadków oraz protokolanta i wzięłby więźnia w krzyżowy ogień pytań. Kunze już sięgał do dzwonka, żeby wezwać dyżurnego sierżanta, ale zaraz poniechał zamiaru. Nie potrafił zdobyć się na zadanie ciosu człowiekowi, który stał właśnie na wprost niego.

- Może pan już chyba odejść - powiedział podając Dorfrichterowi papierosa. - Pora, żeby pan odpoczął.

Tego samego wieczora zatelefonował do Kunzego doktor Klein, dyżurny lekarz w Ministerstwie Wojny poinformował, że Dorfrichter po raz pierwszy od chwili uwięzienia poprosił o środek nasenny Kunze wyrazu na to zgodę i namyślał się, czy nie byłoby słuszne, żeby sam zażył taki proszek.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Dzień ślubu kapitana Kunze wypadł we wtorek. Przez długi czas wydawało się, że piąty marca nigdy nie nadejdzie. Termin był równie odległy i niegroźny jak Wezuwiusz pod Neapolem, dymiący obłoczkiem dymu, a w zasadzie zupełnie beczynny. Wreszcie ów znamieny dzień nadszedł i nie było już odwrotu. Wdział galowy mundur, nowe białe rękawiczki glassé i o jedenastej rano wsiadł do wynajętego fiakra wraz z Hansem von Gerstenem, swym drużbą. Był z Różą w magistracie poprzedniego dnia po południu, toteż prawnie stanowili już małżeństwo. Teraz zaś jechali do kościoła świętego Michała, by uświęcić ten związek także przed Bogiem.

- Jesteś bardzo spokojny - zauważył Gersten ze śmiechem. - Ale pewnie masz stracha, co?,

- Nie, tak tylko zamyśliłem się.

Zastanawiał się właśnie, jakie będzie to ich małżeńskie życie i co mu da w zamian, a czego pozbawi. Sypiał już przedtem z Różą, więc nie to było powodem, aby się pobrać. A może po to, żeby być razem, mówić „my” zamiast „ja”, oglądać jeszcze jedną twarz w łazienkowym lustrze z rana, mieć czyjaś dłoń do potrzymania w godzinie śmierci, po to, aby kochać kogoś i hołubić. Ale czy naprawdę kocha Różę? Czy miłość nie jest najbardziej nadużywanym wyrazem w słowniku? Na pewno nie przez młodych. Ci posiadają zdolność kochana. Usiłował na powrót, jako blisko czterdziestoletni mężczyzna, odtworzyć własne odczucia z czasów, kiedy miał lat dwadzieścia. Potrafił wówczas

kochaś łatwo i bezkrytycznie: matkę, najstarszego z Hartmannów, nauczycieli i kolegów. Jakże wówczas pragnął, by go ktoś pokochał, i żył tą nadzieją. Dzięki ponad wiek rozwiniętej dyscyplinie wewnętrznej potrafił zagłuszyć owo pragnienie nawet przed samym sobą, choć tliło się ono w nim i nurtowało głęboko. Wydawało mu się wtedy, że tylko odwzajemniona miłość potrafi obudzić w nim radość życia. Bez niej pozostałby na zawsze bezdusznym, nijakim tworem. Teraz w wieku trzydziestu ośmiu lat inaczej patrzył na siebie. Miał już ukształtowaną osobowość, był światem dla samego siebie. Znalazł swoje miejsce w życiu, nauczył się żyć samotnie, wystarczać samemu sobie i nie pragnął już czyjejś miłości. Z biegiem lat wygasła w nim wrogość i złość, stał się wyrozumiały, i na swój sposób odrobinę cyniczny. Potrafił z łatwością zdobywać się na życzliwość, dobroć i uczynność, ale bez odczuwania jakiegoś głębszego osobistego zadowolenia, bo nie potrafił przepoić tego ową tajemniczą ingrediencją, jaką jest miłość. Czy aby naprawdę kocha Różę? - zastanawiał się nieraz. - Czy odczuwa serdeczną tkliwość, kiedy patrzy na nią? Czy tęskni, kiedy nie ma jej w pobliżu? Stanowczo nie. Znosił ją tylko w taki sam sposób, w jaki znosił resztę ludzi. Jednak mimo to był zdolny do czułości. Wzbierała w nim, ilekroć gładził kudłaty łeb Trolla, doznawał jej na widok przybitego nieszczęściem Dorfrichtera, gdy ten siedział na twardej, urzędowej kanapie w jego kancelarii. W wieku trzydziestu ośmiu lat, będąc jednym z miliarda ludzi zamieszkujących ziemię, Emil Kunze darzył uczuciem, które nazwać by można miłością, tylko dwie istoty: mordercę i psa Trolla.

Czy postępował uczciwie wobec siebie samego i wobec Róży? Wobec Róży na pewno, wobec siebie samego - nie. Fakt, że poślubiła mężczyznę, który jej nie kocha, nie miał znaczenia. Poślubiła człowieka, którego kochała ślepo i bezgranicznie, a żadna kobieta nie może pragnąć niczego więcej. Brzemień tego małżeństwa miał dźwigać on. Zaakceptował jej miłość, a ponieważ nie mógł się odwzajemnić tym samym, spłaci więc dług cierpliwością, taktem i troskliwością. Z lenistwa i słabości dopuścił do tego, by jej miłość tak wybujała, że aż groziła mu unicestwieniem. Mężczyzna z charakterem byłby dawno wycofał się z tej sprawy. Peter Dorfrichter nigdy nie poślubiłby Róży von Siebert.

Świece w kościele migotały słabo, kiedy Róża podeszła do nawy kościelnej wsparta na ramieniu swego szwagra. Miała na sobie wiosenny beżowy kostium i odpowiedni kapelusz o szerokim rondzie przybrany czarną wstążką. Jediną myślą, jaka przebiegła Kunzemu przez głowę w tak uroczystym momencie, było, że Róża na pewno śmiertelnie się przeziębi w tym lodowatym przeciągu. Niewiarygodne są te kobiety, wolą być modne niż żywe. Dla nich początkiem wiosny nie było topnienie śniegu, lecz chwila, kiedy projektanci mody demonstrowali swe fasony.

Ślubu udzielał im wielebny Olden, przyjaciel rodziny i spowiednik Siebertów. Róża sprawiała wrażenie zmęczonej i zdenerwowanej, szła do ołtarza sztucznie jakoś uśmiechnięta, z oczami utkwionymi gdzieś przed siebie. Kunze nie pojmował, czemu kobiety muszą wypełniać dni poprzedzające ślub najbardziej wyczerpującymi

czynnościami. Oczywiście składali obowiązkowe towarzyskie wizyty kolegom i zwierzchnikom, i niebywale licznemu gronu przyjaciół Róży. Szczęściem żadna z wizyt nie trwała dłużej niż przyjęte konwenansem dziesięć minut; często zaś pozostawiali tylko swoje bilety wizytowe, kiedy nie zastali w domu gospodarzy. Niemniej było to nużące i pochłaniało mnóstwo czasu. W dodatku Róża uparła się, żeby sprawić sobie całkowitą wyprawę, od bielizny osobistej do pościelowej włącznie, co Kunze uznał za całkiem niepojęte, skoro od dwóch lat spiali wygodnie razem na starych prześcieradłach.

Jednocześnie toczyły się wtłoczone między towarzyskie wizyty a przymiarki u krawcowej przygotowania do ślubu i weselnego przyjęcia oraz narady z wielebnym Oldenem i głównym kelnerem z restauracji Sachera, a nawet okropną panią Sacherową. Kunze odmówił brania w nich udziału, wołał bowiem stonowaną, skromną i cichą uroczystość. W drodze kompromisu zgodzili się na eleganckie *déjeuner* w jednej z prywatnych jadalni hotelu.

Podczas ceremonii Kunze czuł się bardziej osobą postronną niż uczestnikiem. Nie był człowiekiem religijnym, niemniej jednak lubił kościelne obrzędy, ich symbolikę i barokowy przepych. Tym razem jednakże przesłodzony, ton kazania wielebnego Oldena i wyświechtane frazesy wzbudziły w nim sprzeciw. Oboje z Różą nie byli przecież dwojgiem młodych niewiniątek, lecz dorosłymi ludźmi, do których należało przemawiać stosownym do ich dojrzałości i wieku tonem. Rzuciwszy spojrzenie w stronę Róży zdumiał się, widząc, z jakim oczarowaniem słucha tego wszystkiego, mając łyzy w oczach. Zaraz



przeprził w duchu Oldena, który najwyraźniej okazał się lepszym znawcą duszy kobiecej od niego.

*Dejeuner* u Sachera okazało się wielce przyjemną imprezą. Ze strony Kunzego brali w nim udział generał Wencel z żoną, porucznicy Stoklaska i Heinrich, stary generał Hartmann z żoną i córką Paulą oraz Hans von Gersten. Reszta gości wywodziła się z kręgu towarzyskiego Róży. Obie grupy zadziwiająco dobrze dopasowały się do siebie. Toasty były krótkie i dowcipne.

A i wszyscy, z nowożeńcami włącznie, bawili się doskonale. Parę kieliszków szampana rozładowało napięcie Róży, nie zostało już ani śladu ckliwej starej panny, jaka się w niej objawiła u świętego Michała. Wielebny pozbył się swego miodopłynnego namaszczenia razem z ornatem i opowiadał teraz Liii Wencel dość ryzykowne anegdoty. W oczach Kunzego odpokutował tym samym swe wystąpienie w kościele.

Na prośbę Kunzego udzielono mu tygodniowego urlopu, który razem z Różą mieli zamiar spędzić w hotelu Bauer Grunwald w Wenecji. Wolałby jechać do Wenecji później, kiedy pogoda się już ustali, ale Róży bardzo zależało na odbyciu podróży poślubnej. Wychodziła za mąż i pragnęła, by się to wszystko odbyło w przyjęty zwyczajem sposób: z błogosławieństwem wielebnego Oldena, ucztą weselną u Sachera, podróżą nad Adriatyk pociągiem, z nocą poślubną w przedziale sleepingu. Nie miał dla niej żadnego znaczenia fakt, że przeszła już raz przez ten rytuał dwadzieścia lat temu.

Od Sachera Kunze zawiózł oblubienicę do jej mieszkania, a sam udał się na Traungasse, żeby zabrać stamtąd swoje rzeczy. Kiedy się tam zjawił, okazało się, że panna Baldauf oczekuje na niego z wiadomością.

- Wzywają pana w pilnej sprawie do kancelarii w sądzie - obwieściła. - Telefonowali już do Sachera, ale okazało się, że pan już wyszedł. Proszą pana o skomunikowanie się z nimi. - Telefon był ciągle jeszcze kapryśnym środkiem łączności i Kunze zmarnował parę minut, zanim połączył się z dyżurnym sierżantem.

- Wiem, że dzisiaj dzień pana ślubu - powiedział przepraszająco dyżurny sierżant - ale nakazał nam pan, byśmy go natychmiast powiadomili, w razie gdyby...

Kunze przerwał mu niecierpliwie: - Co się stało?

- Porucznik Dorfrichter chce się z panem widzieć. Profos Koller mówi, że nigdy jeszcze nie widział porucznika w takim stanie. Wezwał już doktora Kleina, by go zbadał, ale to nic nie pomogło.

- Dobrze, sierżancie. Przyjadę za dziesięć minut.

Była czwarta po południu. Pociąg do Wenecji miał zgodnie z rozkładem odjechać o szóstej. Kunze postanowił pójść wprost do wojskowego więzienia, dowiedzieć się, czego Dorfrichter od niego chce, a potem podjąć decyzję o przesunięciu terminu podróży. Nie chciał martwić Róży, póki to nie będzie absolutnie konieczne. Poprosił pannę Baldauf, aby odesłała jego walizki na Zaunergasse, i napisał kartkę do Róży zawiadamiając ją, że wróci na czas, kiedy trzeba będzie jechać na dworzec.

Jazda na Hernalsel Gürtel ciągnęła się w nieskończoność. Nie znalazł fiakra na postoju, dopiero aż na Einspanner z pijanym woźnicą i koniem, który był poważnie chory na dychawicę. Wreszcie o wpół do piątej dotarli do więzienia i Kunze udał się wprost do celi porucznika. Profos, jak również doktor Klein czekali na kapitana w pokoju dyżurnego. Kunze poprosił o klucz od celi.

- Może byśmy jednak z panem poszli? - zaproponował profos. - Porucznik jest najwyraźniej w kiepskim stanie ducha. Strażnicy mówili, że nie kładł się w ogóle spać tej nocy, tylko miotał się po celi jak zwierzę w klatce. Widziałem niejednego, jak się załamywał. Za pozwoleniem, panie kapitanie, ja bym nie chodził sam do tej celi.

Doktor Klein przytaknął.

- Zaryzykuję - odrzekł Kunze. Irytowała go troskliwość profosa. - Zadzwońię do was, jeśli będziecie mi potrzebni, Koller.

Koller poszedł za Kunzem, by mu otworzyć drzwi celi, a potem wrócił pośpiesznie do pokoju dyżurnego.

Dorfrichter, stojący przy oknie, nie wyglądał na człowieka, który jest bliski ataku szału, a chociaż był blady i miał głębokie cienie pod oczami, robił wrażenie opanowanego i nawet pogodnego.

- Więc zjawił się pan, mimo wszystko - powiedział. - Najprzód Koller nie chciał się zgodzić na zawiadomienie pana. Wyszukiwał najrozmaitsze preteksty: że pana nie można zastać, że pan wyjechał, że choruje, a na domiar wszystkiego, że pan bierze dziś ślub.

- Naprawdę brałem - potwierdził Kunze. Dorfrichter obrzucił go kpiącym spojrzeniem.

- Tam, do diabła! Ale jednak pan przyszedł. Doceniam to. Muszę zrzucić z siebie to wszystko. Nie wytrzymałbym następnej doby.

- Mianowicie, co? - spytał kapitan. Dorfrichter zrobił taką minę, że Kunze uznał swe pytanie za absurdalne.

- Moje... właściwie nie wiem, jak to nazwać. Moje wyznanie. Tak, to będzie odpowiednie słowo. - Utracił cały spokój, a na twarzy jego malowała się desperacja. Usiadł na pryczy i oparł się o ścianę. - Nigdy nie przypuszczałem, że do tego dojdzie. Proszę się nie łudzić, że to pan się do tego przyczynił. Nie pan to spowodował, mimo znakomicie prowadzonego śledztwa, ale splot wydarzeń i spotkanie z żoną. Nie umiem pogodzić się ze wszystkim w tej przeklętej celi. Żadnych książek, nic do czytania, brak pióra i papieru, nikogo, z kim można by porozmawiać, nic lepszego do roboty jak tylko siedzieć beczynn timer cały dzień i gapić się w ten przekłęty sufit albo przez to cholerne okno. Hiszpańska inkwizycja była już bardziej ludzka. Śruba do zgniatania kciuków lub rama do naciągania stawów była moim zdaniem przynajmniej jakimś urozmaiceniem. Ale to nie kończące się wyczekiwanie między przesłuchaniami. Po co, u diabła, aż takie śledztwo?! Już pierwszego dnia miał pan dostatecznie jawny dowód, aby mnie skazać na dwadzieścia lat więzienia. Lecz pan jest przeklętym perfekcjonistą! Dopiero pluton egzekucyjny jest w stanie pana zadowolić. Kunze poczuł nagły smak żółci w ustach.

- Niech pan nie liczy na pluton egzekucyjny - wtrącił krótko. - Najpewniej będzie to pętla.

Z trudem przełknął ślinę, usiłując opanować falę mdłości, która go zwykle ogarniała na widok bezczelności Dorfrichtera. Po czym znacznie już spokojniejszym tonem powiedział:

- Przejdźmy do rzeczy! Czy przyznaje się pan do wysłania dziesięciu przesyłek, zawierających po dwie kapsułki z cyjankiem, do dziesięciu pana kolegów z Akademii Wojennej, dnia czternastego listopada ubiegłego roku?

Dorfrichter skinął potakująco głową:

- Tak!

Kunze wiedział, że powinien być dumny, triumfujący i zadowolony, ale tak nie było. Jedyne, co czuł w tym momencie, to ciężkie jak ołów znużenie. Zadzwoił na profosa Kollera, który zjawił się niebawem.

- Proszę przyprowadzić porucznika do mojej kancelarii - rozkazał Kunze. - Także porucznika Stoklaskę i Heinricha. Pewnie nie będzie ich w domu, więc proszę ich odszukać. Mają stawić się bez względu na to, w jakim znajdują się stanie.

Wyszedł z celi nie spojrzawszy na Dorfrichtera i udał się do gmachu sądu. Była godzina piąta. Nerwowo pokręcił korbką telefonu i nakazał operatorowi, by go połączył z numerem Róży. Telefon odebrała kucharka.

- Dzięki Bogu, panie kapitanie - wysapała do słuchawki - tak żeśmy się martwiły. Gdzie pan jest? Pani Kunze boi się, że pan się spóźni na pociąg.

- Daj mi panią do telefonu - nakazał ostro. Chciał za wszelką cenę pomówić z Różą, zanim przyprowadzą Dorfrichtera.

Usłyszał w słuchawce zaniepokojony głos Róży.

- Stało się coś złego? Gdzie jesteś?

- Pewnie cię zmartwię, Rózo, ale nie ma na to rady. Nie możemy dziś wyjechać.

- Dlaczego?

- Telefonuję z kancelarii. Zaszły pewne okoliczności. Muszę tu zostać.

- Ach, Emilu! - Wiedział, że płacze. - Tak się cieszyłam na tę... podróż. Postaraj się coś zrobić! To nie jest fair, Emilu...

Czuł, jak go zalewa fala gniewu i rzekł podniesionym głosem:

- Zrozum, Rózo. Przestałaś już być wdową po radcy Siebercie. Jesteś teraz żoną wojskowego. A żony oficerów wiedzą, że służba jest na pierwszym miejscu. Jeśli nie potrafią z tym się pogodzić, nie powinny być żonami oficerów. Więc przestań płakać, idź do biura podróży, każ im odwołać rezerwację i zwrócić pieniądze.

- Czy to znaczy, że my w ogóle nie wyjedziemy? - wyszeptwała.

- Kiedyś w końcu pojedziemy. Nie wiem jeszcze kiedy. Zobaczymy...

- Ależ, Emilu, co powiedzą nasi znajomi? Wszyscy są pewni, że szykujemy się już do wyjazdu.

- Powiedz im, że tak nie jest. Zresztą, co to ich obchodzi! - westchnął głęboko. - Zechciej zrozumieć, Rózo. Po prostu tak się stało.

- To ma związek z Dorfrichterem, prawda?

- Powiem ci, jak wrócę do domu.

- Czy w takim razie ktoś inny nie mógłby cię zastąpić? Jestem pewna, że gdybyś porozmawiał z generałem Wenclem, na pewno wyznaczyłby Stoklasę. On jest przy tej sprawie od samego początku.

Kunze zaczynał tracić cierpliwość.

- Muszę zająć się tą sprawą osobiście. Ponieważ taka jest moja wola. Ponieważ sam tego chcę.

- Och - wyszeptała tylko w odpowiedzi.

Rozległo się pukanie do drzwi i dyżurny sierżant wszedł, aby zameldować, że więzień jest już w poczekalni.

- Nie mogę teraz rozmawiać, Rózo - powiedział Kunze. - Zrób, co ci kazałem.

Odwiesił słuchawkę i zwrócił się do sierżanta:

- Proszę, wprowadźcie więźnia!

Dorfrichter wszedł do kancelarii w asyście profosa i strażnika. Zrobił przepisowe trzy kroki do przodu, po czym wszyscy trzej zatrzymali się i stanęli w postawie na baczność. Kunze zastanawiał się, ile to już razy podobna pantomima odbyła się w jego kancelarii i jaka była różnica między minionymi a obecną okazją. Był strażnik, może nie zawsze ten sam, ale z takim samym zimnym spojrzeniem i niezmiennie ostrym bagnetem. Zmieniła się tylko osoba profosa. Stary, pucołowaty Tuttman miał astmę i skore do współczucia serce, Koller zaś nie miał ani jednego, ani drugiego. Był sprawny i nieugięty. Natomiast więzień zmienił się w sposób zdumiewający. Był to inny człowiek w tym samym ciele. Opuściła go wola walki i wygaś opór.

Kunze zwolnił strażnika oraz profosa i prosił Dorfrichtera, by usiadł.

- Musimy poczekać na Stoklasę i Heinricha - wyjaśnił. - Cokolwiek powie pan tu przed ich przybyciem, pozostanie między nami.

- Nie ma nic takiego, czego nie mógłbym powiedzieć w ich obecności. Prócz, być może, jednej rzeczy: że wcale tego nie żałuję.

- Czego pan nie żałuje?

- Tych przesyłek z cyjankiem, nawet Madera. Zrobiłbym to samo po raz drugi, tylko znacznie sprytniej - powiedział poważnie, ale z głębokim smutkiem. - Ze względu na żonę. Zniszczyłem ją i to jest straszne! Nie powinienem był dać się złapać.

Kunze spojrział z niedowierzaniem na piękną twarz porucznika.

- Pan chyba postradał zmysły!

- Skądże! Jestem absolutnie zdrow. Ma pan przecież w swej kartotece raporty aż trzech psychiatrów.

- Nie poczuwa się pan w ogóle do winy? Dorfrichter pokręcił przecząco głową.

- Absolutnie!

Kunze czuł zdumienie i zawiść zarazem. Człowiek, któremu nie znana jest udręka wyrzutów sumienia, Adam, który spożył zakazany owoc rozkoszując się nim do ostatniego kęsa.

- Zabił pan człowieka i próbował zgłodzić dziewięciu innych. Jakże zdoła się pan z tego wytłumaczyć?



- Naturalnie, że zdołam. Być może nie przed panem, bo celowo pozostaje pan głuchy na moje racje, ale przed sobą samym.

- Dałby Bóg, bym zdołał pana zrozumieć. Pan jest z pewnością szaleńcem.

- Spróbuję wyłożyć panu moje racje - odrzekł cierpliwie Dorfrichter. Wstał i zaczął chodzić po pokoju. - Pozwoli pan, że cofnę się do minionego listopada, kiedy to ogłoszono w „Gazette” listę awansów. Mojego nazwiska tam nie było. Miałem pozostać oficerem liniowym i w razie wybuchu wojny dowodzić jedną kompanią liczącą dwustu żołnierzy, gdy tymczasem jako oficer sztabowy miałbym pod swymi rozkazami tysiące ludzi. Weźmy na przykład Madera, którego przydzielono do wydziału depech i szyfrów. Czasy, kiedy dowodzący generał obserwował przebieg bitwy przez lornetkę, ze szczytu wzgórza, już minęły. Mader miałby za zadanie siedzieć w biurze z dala od frontu i utrzymywać łączność ze swymi ludźmi przy pomocy telegrafu i telefonu. Los całego korpusu armii stawał się zależny od umiejętności oficera sztabowego, któremu podlega telegraf. Zdarzyło mi się spotkać Madera przypadkiem, kiedy byłem na urlopie w Wiedniu. Byliśmy obydwaj lekko wstawieni i wdaliśmy się w dyskusję. Taki bardzo przyjacielski spór na tematy wojskowe. Mader był ogromnie inteligentny, świetnie wyszkolony, ale poglądy miał zeszlowieczne. Nasz wydział telegrafu nie był gruntownie unowocześniony od czasu Königgratza. Obsadzony takimi jak Mader ludźmi doczekałby się modernizacji wtedy, kiedy byłoby już na to za późno. Chodzi mi mianowicie o to, że celem wojny jest zgładzić maksymalną ilość sił

nieprzyjaciela, oszczędzając przy tym maksymalną liczbę własnych żołnierzy. Jeśli powierzy się takim jak Mader oficerom kierowanie najbardziej istotnymi operacjami, to w konsekwencji straci się więcej własnych ludzi niż nieprzyjaciół.

- Kiedy pomyślę o Maderze, widzę jego zakrwawione ręce - rzekł Kunze spokojnym tonem. - Jego poglądy na temat techniki prowadzenia wojny nie były tak postępowe jak pana, ale nie zasłużył sobie na taką śmierć.

Dorfrichter obrzucił go trzeźwym spojrzeniem.

- Sądziłem, że chce pan wysłuchać motywów mego postępowania, nie zaś obrony, bo nie mam zamiaru się bronić. Byłoby to całkiem bezcelowe, bo i tak powieszają mnie lub rozstrzelają, chociaż jestem głęboko przekonany, że w interesie kraju powinienem być wcielony do Sztabu Generalnego zamiast jednego z dziewięciu promowanych oficerów. Nie jestem głupcem, by przedstawiać to jako okoliczność łagodzącą. Żaden sąd tego nie uzna, a już najmniej sąd wojskowy. Więc szkoda słów. Lepiej pomówmy o pogodzie. - Usiadł ciężko na krzesło. - Czy pan naprawdę dziś się ożenił? - spytał.

Nagła zmiana tematu zbiła z tropu Kunzego.

- Tak, istotnie.

- W takim razie należą się panu gratulacje. Nie jestem wprawdzie obecnie zwolennikiem małżeństwa. Dla porządnego człowieka to prawdziwy dopust boży - stwierdził i dodał z uśmiechem - dla złego człowieka też. Pani Kunze nie będzie zapewne do mnie

przychylnie nastawiona, bo na pewno wybrałem niewłaściwy dzień, aby absorbować pana swoją osobą.

Kunze zachował milczenie. Od wielu miesięcy wyczekiwał z niecierpliwością dnia, kiedy porucznik wyrzeknie magiczne słowa: „zrobiłem to!” Wreszcie się doczekał, ale słowa te nie rozwiązały niczego poza sprawą przesyłek Charlesa Francisa, która nagle straciła jakby na ważności.

Byli sami, chyba ostatni raz w życiu. Odpowiednia chwila, by załatwić między sobą sprawy, które powinny zostać załatwione. Kunze rozpaczliwie pragnął wyciągnąć rękę do tego człowieka, ale stał między nimi jakiś niewidzialny mur. Przyznając się do winy Peter Dorfrichter wydał na siebie wyrok. Stał już na progu śmierci, gdy tymczasem jemu przeznaczone było żyć dalej.

- Przekłęty głupcze! - krzyknął w gniewie Kunze. Chciał uderzyć więźnia, stłuc go pięściami, pokrwawić jego bladą, nieskalaną twarz. - Nie przyszło ci do głowy, że cię przyłapią? Zdawało ci się, zarozumiałcze, że przechytrzysz władze, całą armię. Już pierwszego dnia, kiedy mi przekazano tę sprawę, domyśliłem się, że to musisz być ty, którego pominięto w awansie. Wystarczyło wyciągnąć kilka dysertacji z archiwum Akademii Wojennej i dać je ekspertom od grafologii. Nie jestem geniuszem, ale zwykłym tylko sadownikiem. Geniuszem jesteś ty! O, do diabła! - poczuł dojmujący, tępy ból pod lewą skronią z jednoczesną falą mdłości: zapowiedź migreny.

Dorfrichter patrzył na kapitana zakłopotany, a jednocześnie dziwnie poruszony.

- Przepraszam - powiedział i zaraz szybko poprawił się. - Proszę o wybaczenie nie za mój postępek, bo jak już mówiłem zrobiłbym to samo po raz drugi, ale za to, że zrujnowałem życie: Mariannie, Vaniniemu, Friedrichowi Gabrielowi, Annie i panu...

- Mnie?

- Wiem, że pan żałuje, iż mu przydzielono tę sprawę. Bardzo wątpliwa to przyjemność. Jest pan zbyt przyzwoitym człowiekiem i nie zasłużył na coś tak parszywego jak to.

Przejmujący ból rozsadzał Kunzemu głowę.

- Myli się pan - odpowiedział Kunze. - Za nic nie dałbym jej sobie odebrać, za nic bym się jej nie wyrzekł. Wcale nie dlatego, że wygrana jest po mojej stronie. Ale czemuś, na Boga, przyznał się do winy?! - wybuchnął Kunze. - A skoro się już przyznałeś, to czemu nie wcześniej?

Porucznik ukrył twarz w dłoniach.

- Przyznałem się do winy, ponieważ chciałem skończyć z tym wszystkim. Sfuszerowałem tę przekłątą sprawę! - Podniósł do góry głowę. - Przepraszam, że przysporzyłem panu tyle trosk. - Uśmiechnął się. - Zepsułem nawet panu dzień ślubu.

Stoklaska i Heinrich wpadli do kancelarii promieniejąc jeszcze poweselną euforią. Trzymali się nieźle na nogach, chociaż niektóre sylaby wypowiedane przez Heinricha brzmiały nieco bełkotliwie. Po skończonym weselnym przyjęciu ucztowali dalej w kawiarni Sachera, gdzie ich odnalazła jedna z ekip wysłanych na poszukiwanie przez

profosa Kollera. Powodowani taktem ukryli zdziwienie widząc kapitana siedzącego za biurkiem zamiast w sleepingu mknącym do Wenecji.

Kiedy zajęli swe miejsca, Kunze zaczął systematyczne przesłuchiwanie oskarżonego.

- Kiedy pomysł otrucia nasunął się panu po raz pierwszy?

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Był to jeden z takich dni, kiedy nic nie dzieje się tak jak należy. Pogoda się popsowała i ulewa rozmyła błoto pozostałe z poprzednich deszczów. Porucznik Dorfrichter musiał stawić się w koszarach o niezwykle wczesnej porze, by o szóstej dokonać apelu swojej kompanii. Zazwyczaj zlecał to podległemu sierżantowi, chyba że ten wybierał się na przepustkę do Wiednia, spędzając tam czas wesoło, jak za dawnych lat. Po inspekcji kompania pomaszerowała na pole ćwiczeń, Dorfrichter zaś udał się do kancelarii, by pozłatwiać urzędowe sprawy. Wpadł po drodze do garnizonowego szpitala, by odwiedzić pewnego sierżanta, któremu koła polowej kuchni zmiażdżyły lewą stopę. W przeciwieństwie do innych oficerów pułku, porucznik Dorfrichter ogromnie dbał o utrzymanie dobrych stosunków z podległymi mu poborowymi, jak również z zawodowymi wojskowymi, co mu dawało sporo zadowolenia. Jego kompania sprawiała się wzorowo, a wypadki niesubordynacji lub dezercji należały do rzadkości. Porucznik czuł jakąś bliską więź ze swymi ludźmi, nawet ze świeżo wcielonymi rekrutami, przeważnie wyrostkami z gór, mało rozgarniętymi, cuchnącymi potem i nawozem wieśniakami. Cieszył się ogromnie widząc ich przemienionych z hordy potulnych bydła w schludnych, czujnych i bystrych żołnierzy. Szkolenie rekrutów nie było właściwie tym, czego pragnął, ale bez względu na powierzone mu funkcje, zawsze dążył do tego, żeby być lepszym od innych. Zapracowywał się marząc jednocześnie o odpoczynku; nikt, kto go obserwował, jak gładko i

swobodnie spełnia wszelkie obowiązki, nie dostrzegał, ile go to kosztowało wysiłku. Tymczasem wielu z jego kolegów oficerów dało się opanować lenistwu, opuszczali się w obowiązkach, obojętniejąc na wszystko. Czy brakło im jego ambicji, jego silnej woli i dumy, czy też rzeczywiście byli tacy, za jakich ich uważał: słabi, tępi, leniwi i godni pogardy.

Zabawił dobre dziesięć minut przy rannym sierżancie, po czym zajrzał do szeregowca, który wracał do zdrowia po operacji ślepej кишки. Żołnierz ten pochodził z Salzburga, z jego rodzinnego miasta, i w jego wyobrażeniu porucznik Dorfrichter stał zaraz po Ojcu, Synu i Duchu Świętym. Uwielbienie w oczach chłopaka bawiło Dorfrichtera i pochlebiało mu. Prostota i naiwność zawsze go niezmiennie poruszały, dlatego tak bardzo przepadał za zwierzętami. Kiedy był jeszcze małym chłopcem, ubłagał matkę, by podała na obiad pieczoną cielęcinę zamiast prosięcia, którym się dotąd bawił i którego hodował przez trzy lata, dopóki podrośnięty wieprzek nie zginął pod kołami pierwszego samochodu, jaki się pojawił na ulicach Salzburga. Mieszkańcy miasta nadal jeszcze pamiętają ich obu, zwłaszcza wieprzka. Było to jedyne przyuczone do życia w mieszkaniu prosię.

Ze szpitala poszedł Dorfrichter do dowództwa pułku po egzemplarz „Gazette” zawierający listę awansów, ogłoszoną na dzień pierwszy listopada. Celowo zwlekał z odebraniem dziennika, jakby przewidując, że czeka go rozczarowanie. Już w maju, kiedy przysłano go do Linzu i wcielono do pułku liniowego, krążyły pogłoski, że Conrad von Hötzendorf postanowił zredukować liczbę absolwentów

Akademii Wojennej, typowanych do Sztabu Generalnego. Aż do roku 1909 trzydziestu z najlepszymi lokatami absolwentów wcielano corocznie do Sztabu Generalnego po odbyciu czterech lat służby w rozmaitych garnizonach. Dorfrichter zajmował osiemnaste miejsce na liście lokat i zanim nie dotarły do niego pogłoski o decyzji Conrada von Hötendorfa, nie miał doprawdy czego się obawiać.

Fatalną dla siebie wieść znalazł na drugiej stronie. Lista promocji zawierała nazwiska tylko piętnastu absolwentów Akademii Wojennej z rocznika 1905, których promowano do rangi kapitana i wcielono na stałe do Sztabu Generalnego.

Czytał nazwiska: 1. Ahrens, 2. Einthofen, 3. Schönhals, 4. Gersten, 5. Widder, 6. Hohenstein, 7. Dugonicz, 8. Mader, 9. Landsberg-Lövy, 10. Hrasko, 11. Trautmannsdorf, 12. Moll, 13. Messemer, 14. Oblonsky, 15. Hodossy.

Z początku ogarnęła go paraliżująca niechęć do wszystkiego, potem zaś poczuł się jak człowiek, który po morderczym wysiłku wspiął się na wierzchołek góry i nagle spostrzegł, że wybrał niewłaściwy szczyt.

Gdyby był sam w pokoju, dałby upust wściekłości klnąc, ile się da, ale czuł lub tak mu się wydawało, skierowane na siebie spojrzenia. Jak zawsze snuto przecież przed listopadowymi awansami spekulacje. Inni oficerowie z pułku: kapitanowie, którzy mieli nadzieję zostać majorami, majorzy, którzy pragnęli zostać podpułkownikami, też doznali rozczarowania. Odkąd generał Conrad von Hötendorf został



mianowany szefem sztabu i postanowił podnieść poziom Korpusu Oficerskiego, wiele wojskowych karier padło ofiarą jego manii ulepszania.

Wsadził egzemplarz „Gazette” do kieszeni palta i ruszył na Romerstrasse. Wiedział, że zastanie żonę w domu, ponieważ rzadko wychodziła, odkąd ciąża jej stała się widoczna. Miał jeszcze do przejścia dwa domy dzielące go do celu kiedy posłyszał szczenie Trolla. Pies zawsze rozpoznawał Jego kroki, alarmując Mariannę. Kiedy wchodził po schodach do mieszkania, Marianna stała już zawsze w otwartych drzwiach razem z Trollem.

Witała się z nim zdyszana i pełna ulgi, jak gdyby obawiała się, że nigdy nie wróci. Obejmowała go jak żadna dotąd kobieta z żarliwością uwolnionej z okowów Andromedy. Często zastanawiał się, jaką to ma nad nim moc. Nie była skończoną pięknoscią, uroda stanowiła tylko część jej powabu. To właśnie jej absolutne oddanie wobec niego tak go zniewalało. Nie była osobną postacią, ale częścią jego samego, skazaną na zagładę, gdyby ją kiedykolwiek opuścił.

- Mam nadzieję, że ci się życie w Linzu podoba - powiedział do żony.

Rzuciła mu zdziwione spojrzenie.

- Naturalnie, że tak.

- To dobrze, ponieważ pozostaniemy tu przez dłuższy czas - rzekł, po czym wyjaśnił Mariannie, że go pominięto przy awansach.

- Wiem, że jesteś strasznie zawiedziony - odpowiedziała, całując go. - Nic nie szkodzi, że tu zostaniemy. Bardzo lubię to mieszkanie. Mój prawdziwy dom. Byłoby ci bardzo ciężko teraz, kiedy się urodzi

dziecko. Wiesz, jak niewielką masz ze mnie pomoc. Miałbyś wtedy strasznie dużo roboty.

Nie miał nic przeciwko pracy. Kiedy brakuje pieniędzy, a nie ma się ochoty z czegokolwiek zrezygnować, trzeba być majstrem do wszystkiego: elektrykiem, hydraulikiem, ślusarzem, malarzem i tapicerem.

Od maja ciągle coś reperował w mieszkaniu, w końcu przestał, nie mając pewności, czy go nie przeniosą. Teraz już wiedział.

Psychiczne odrętwienie wywołane szokiem ustąpiło miejsca furii. Żaden spośród piętnastu szczęściarzy nie dorównywał kwalifikacjami porucznikowi Dorfrichterowi. Przewyższali go być może w sporcie lub konnej jeździe, ale jeśli generałowi Conradowi zależało jedynie na fizycznej sprawności sztabowych oficerów, to po co trzymano ich przez dwa lata w takim nerwy szarpiącym młynie, jakim była Akademia Wojenna. Dorfrichter miał celujące stopnie z większości przedmiotów, a ponadto potrafił mówić, czytać i pisać w sześciu językach! Oczywiście, że spadał z konia dużo więcej razy niż księżę Hohenstein czy ułan Oblonsky. Ale najbliższej wojny nie będzie się prowadzić przy pomocy ataków kawalerii w rodzaju szarży Lekkiej Brygady.

Zamęt w głowie stawał się nie do zniesienia. Sądził, że pomoże mu, jak się weźmie do jakiejś pracy, ale na próżno. Postanowił wyjść z domu zabierając ze sobą Trolla na spacer. Po drodze zatrzymała ich żona właściciela domu, która mieszkała na parterze.

- Proszę uważać na psa - ostrzegła - jakiś drań porozrzucił zatrute mięso w sąsiedztwie. Słyszałam, że kilka zwierząt zdechło od tego.

- Złapano już sprawcę? - spytał Dorfrichter.

- Oczywiście, że nie. To niemożliwe. Nikt go nie złapał na gorącym uczynku, więc jak mu to można udowodnić?

Kiedy po spacerze wrócił do domu, czuł, jak w nim dalej rośnie gniew.

Posłał służącą po karafkę wina i wypił dwa kieliszki przed obiadem, a resztę przy posiłku. Marianna siedziała przy obiedzie milcząca, jakby zdawała sobie sprawę, że nie ma takich słów, którymi dałoby się pocieszyć męża.

Po obiedzie zabrał się do wykańczania półek, które własnoręcznie wykonał. Potrzebny mu był papier ścierny, więc sięgnął do szafki i nagle wzrok jego padł na szklany słoik z dwiema pałeczkami cyjanku. Nie wyrzucił ich wówczas w Sarajewie przez czyste przeoczenie. Ordynans, który pakował mu rzeczy, włożył słoik do skrzynki, a w Linzu sama już Marianna zajęła się wypakowywaniem. Nie wiedząc, co słoik zawiera, umieściła go na półce w schowku, do którego drzwi były stale zamknięte na klucz. Trucizna tkwiła sobie zwyczajnie pomiędzy puszkami z farbą, pudełkami gwoździ i naczyniami z klejem.

Dorfrichter, jak zahipnotyzowany, wpatrywał się w pałeczki cyjanku i tak oto zrodził się zamysł. Formował się z wolna, nabierał realnych kształtów, aż wreszcie dojrzał do urzeczywistnienia. Był tak

zuchwały, że oparł się zwycięsko wszelkim skrupułom, rozterce i nakazom honoru.

- Tak, panie kapitanie. To był właśnie ten moment - powiedział Dorfrichter do Kunzego. - Od tamtej chwili nie miałem wątpliwości, że urzeczywistnię swój zamiar.

- Był już więc pomysł i trucizna. Ale co skłoniło pana, by porobić kapsułki, doręczyć reklamowe ulotki i przesać truciznę pocztą wybranym oficerom.

Dorfrichter wzruszył ramionami.

- To był jedyny sposób gwarantujący najmniejsze ryzyko osobiste. Przecież nie mogłem zaprosić ich na obiad i podać cyjanek w rosole z kurczęcia.

Istotnie, łajdak, który rozrzucił zatrute mięso w sąsiedztwie, miał ułatwione zadanie. Mógł liczyć na głód wycieńczonych bezpańskich zwierząt. Czymże jednak można by skusić sytych i żyjących w dostatku mężczyzn. Czekoladkami? Trunkiem? Nazbyt skomplikowany i ryzykowny sposób. A nuż poczęstują innych, kobiety, dzieci, kolegów?

Pomysł z nadziewanymi trucizną kapsułkami przyszedł mu do głowy pewnego ranka, kiedy czytając „Neue Freie Presse” znalazł co najmniej dziesięć różnych ogłoszeń reklamujących lekarstwa. Dwanaście tysięcy lekarzy polecało Sanatogen, środek, który wzmacniał i dostarczał odżywczych substancji organizmowi, których nie ma w większości naturalnych produktów. Fabrykanci Kola-Dultzu dowodzili, że jest to napój wzmacniający i pobudzający ogólne funkcje

mózgu i system nerwowy. Obiecywano każdemu czytelnikowi, który prześle swe nazwisko i adres, reklamową próbkę tego cudownego środka. Tenże sam szczęśliwy czytelnik miał też prawo do bezpłatnej próbki Bokalinu, innego znakomitego leku wzmacniającego.

Jakby samo przeznaczenie wskazywało Dorfrichterowi sposób działania, bo w parę dni później otrzymał prospekt reklamujący eliksir na nerwy, pod nazwą Miracithin. Zgodnie z treścią, pigułki, których sześć załączono w papierowej torebce, gwarantowały złagodzenie objawów zaburzeń płciowych. Dla eksperymentu Dorfrichter zażywał je przez dwa dni po jedzeniu, chociaż wcale mu to nie było potrzebne. Kiedy połknął pierwszą dawkę, ogarnął go paniczny strach. Jeśli jakiś nieznany wróg wpadł na taki sam pomysł, co on? A jeśli umrze od tego? Zrobiło mu się słabo. Nie wiedział, czy ze strachu, czy na skutek zażycia pigułki Pobiegl do łazienki, żeby zmusić siebie do torsi, ale odzyskał spokój, kiedy się znalazł przy drzwiach łazienki. Zawstydził się tego, że uległ panice, co poczytywał sobie za słabość nie do wybaczenia.

Ciągle jeszcze niesprecyzowany plan trzeba było przeprowadzić bez zwłoki, bo a nuż generał Conrad znów zmieni zasady selekcji absolwentów. Nie można było nigdy być pewnym posunięć generała Conrada.

Dorfrichter podobnie jak większość ludzi niewiele wiedział o skutkach działania najrozmaitszych trucizn. Cyjanek potasu był bez wątpienia jedną z najbardziej skutecznych trucizn powodujących szybką i pewną śmierć. Nie mógł jednak ryzykować kupna medycznych

podręczników, a nawet pożyczania ich. Musiał więc zadowolić się wiadomościami z encyklopedii. Już jedna dziesiąta grama stanowiła śmiertelną dawkę, a on posiadał ilość wystarczającą do wytrucia całego Sztabu Generalnego z Conradem von Hötzendorfem włącznie. Przypomniawszy sobie, iż przed paroma miesiącami leczył Trolla lekarstwem na robaki, podawanym w wafelowych kapsułkach, których sporo jeszcze pozostało w domowej apteczce.

Pewnego wieczora, kiedy Marianna i Alojzka poszły już spać, wyjął pałeczki cyjanku ze spiżarni i rozpakował jedną z nich. Ku jego zdumieniu skruszyła mu się pod palcami, prawdopodobnie dlatego, iż leżała w szklanym słoiku dłuższy czas. W każdym razie posługiwanie się trucizną okazało się mniej skomplikowane, niżby to mogło się wydawać.

Wtedy zaczął się zastanawiać, kogo należałoby zgładzić. Najprzód uznał, że będzie to pięciu oficerów, ale liczba nie gwarantowała osiągnięcia zamierzonego celu. Skąd bowiem mógł mieć pewność, że trzech na pięciu odczuwa potrzebę dodatkowej podniety seksualnej. Niektórzy ludzie są urodzonymi lekomanami, a niektórzy nie. Trzech na sześciu? Siedmiu? Ośmiu? Dziewięciu? Dziesięciu?

- Dlaczego właśnie ta dziesiątka? - pragnął wiedzieć Kunze. - Czemu wybrał pan tych ludzi spośród szesnastu, a właściwie osiemnastu, jeśli wliczać Hedry'ego. Na jakiej zasadzie dokonał pan wyboru?

Dorfrichter spojrzawszy na kapitana po łobuzersku.

- Więc to pana tak cały czas nurtuje? Mój stosunek do tych osób. Pragnie pan znaleźć klucz do całej sprawy w moim osobistym nastawieniu do tych ludzi.

- Czyżby pozostawił pan wybór przypadkowi?

- Niezupełnie. Niestety, ciągle pan nie pojmuję, iż nie jestem wcale jakimś pospolitym mordercą. Uznałem, że zaszła pomyłka i los wyznaczył mnie, bym ją naprawił. Być może jest to zarozumiałstwo z mej strony, ale oceniłem wartość tych ludzi już o wiele wcześniej, i w ten sposób dokonałem wyboru.

Nie było to taką zupełną prawdą, w każdym razie nie w stosunku do każdej z tych „zbędnych” osób. Leżąc bezsenne w nocy zastanawiał się nad każdym z piętnastu nazwisk wymienionych na liście awansów, powtarzając je bezgłośnie jak imiona świętych w litanii: Ahrens, Einthofen, Schönhals, Gersten, Widder, Hohenstein, Dugonicz, Mader, Landsberg-Lövy, Hrasko, Trautmannsdorf, Moll, Messemer, Oblonsky, Hodossy... Wywoływał w pamięci twarz każdego z nich, przypominał sobie ich dziwactwa, ważył w myślach ich kwalifikacje. Wybierał tych, którzy dojrzeli do przejścia w „stan spoczynku”, będący w tym wypadku synonimem śmierci.

Numer jeden. Ahrens. Syn wojskowego krawca. Pracowity, zdolny i rzetelny oficer. W Sztapie Generalnym potrzebni byli ludzie tacy jak on i jak Einthofen czy Schönhals. Odznaczeni się cechami, które predysponowały ich do podejmowania ogromu odpowiedzialności. Gersten? Dobry chłop, ale pacyfista. Pod koniec studiów w Akademii omawiali raz w klasie znaczenie Włoch jako

sprzymierzeńca. Ahrens, podobnie jak cała grupa zwolenników wojny, uważał, że na wypadek konfliktu zbrojnego, Włochy, jako sprzymierzony z monarchią kraj, będą zdecydowanie bardziej ciężarem niż skuteczną pomocą, obojętnym partnerem, który stoi na boku z nożem wymierzonym w plecy monarchii. Najśluszniejszą więc rzeczą byłoby spowodować atak przez zaskoczenie i unieszkodliwić w ten sposób włoskiego sojusznika. Gerstena oburzyło to w najwyższym stopniu. Nie wierzył w agresję prewencyjną, zwłaszcza przeciwko sprzymierzonemu państwu nazywając tę koncepcję zbrodniczą i niemoralną. W ten sposób Gersten w oczach Dorfrichtera sam wydał na siebie wyrok. Zbędny!

Widder należał do tej samej kategorii co Ahrens - był pożyteczny i ambitny. Książę Hohenstein? Czy dano by mu szóste miejsce na liście, gdyby nie był księciem? Niewątpliwie pierwszy z nich wszystkich zostanie generałem, będzie dowodził dywizją, chociaż jego uzdolnienia i zainteresowania kwalifikują go idealnie do objęcia profesury na jakimś prowincjonalnym uniwersytecie. Obsadzanie czołowych stanowisk w armii arcyksięciami było dosyć ryzykowne. Armia może się z powodzeniem obejść bez nich, jak i też bez pomniejszych książąt.

Książę Hohenstein został więc też uznany za zbędnego. Podobnie jak wybitnie inteligentny i utalentowany baron Landsberg-Lövy, jako że dla takich estetów nie powinno być miejsca w Sztapie Generalnym. Ani też dla frankofilów. Idealny oficer sztabowy musi pozostać obojętny na wszystko, co wykracza poza strefę jego



działalności zawodowej. Landsberg-Lövy na pewno raczej powiódłby na stracenie swój pułk, niż wystrzelił z armaty na przykład w katedrę w Rheims. W dodatku jest Żydem. Nawet w erze liberalizmu niektóre z oddziałów oponowały przeciwko dowódcom żydowskiego pochodzenia. Zbędny!

Następnym był Moll. Chociaż z pewnością nie zaliczał się do frankofilów, był jednak Prusakiem i zostałby na pewno idealnym oficerem liniowym. Moll nie jest jednak odważnym i ślepo posłusznym oficerem sztabowym w armii Kajzera, ale w armii cesarza Franciszka Józefa. Między obiema armiami istniała olbrzymia różnica. Austriaków uczono myśleć, gdy tymczasem Niemcom było to zabronione, a Moll należał do tych, którzy nie myślą. Jako urodzony hipochondryk, stale zażywający tabletki od bólu głowy, syropy od kaszlu i różne leki, zapewne nie omieszką spróbować darmowej próbki patentowanego leku. Zbędny!

Oblonsky. Wysoki chudy Polak, świetny jeździec. Podobnie jak większość ułanów nadawał się wybornie na artystę w cyrku, gdzie zapewne czekałaby go wielka sława. Był szarmancki, niczym osiemnastowieczny rycerz, ale jego wiara w skuteczność ataków kawaleryjskich czyniła go zbędnym!

Hodossy. Typowy Węgier, tak jak Oblonsky był typowym Polakiem. Jeszcze jeden osiemnastowieczny rycerz. Armia mogła z pewnością obejść się bez niego równie dobrze, jak bez reszty Węgrów. W 1848 roku podnieśli przecież bunt przeciwko Franciszkowi Józefowi. Kto może gwarantować, że będą chcieli dla niego walczyć w 1910 i

później? Z każdym Węgrem są tylko same kłopoty, nawet z tak zacnym chłopem jak Hodossy, dlatego jest też zbędny!

Brakowało mu jeszcze czterech osób. Dla względów bezpieczeństwa zmuszony był dodać jednego spośród pominiętych awansem oficerów, umieszczonego dużo niżej na liście lokat, żeby zmylić władze śledcze zmuszając je do szukania sprawcy pomiędzy absolwentami o wyższych lokatach.

Porucznik von Hedry zajmował na liście lokat miejsce dziewiętnaste. Jeszcze jeden Węgier, ale innego pokroju niż Hodossy. Lekkoduch, zawadiaka, miłośnik koni i kobiet. Maruder w białych rękawiczkach glassé. Najlepszy szermierz w grupie. Nikt nie ważył się mu wchodzić w drogę, chyba że chciał stracić ucho albo czubek nosa. Nie znał co to strach, należał do tego typu oficerów, którzy zawsze pierwsi wyskoczą z ukrycia i poprowadzą pluton wprost na ogień zaporowy wroga, by otrzymać pośmiertnie Krzyż Zasługi. Ten to jest już z pewnością zbędny!

Dugonicz! Dotąd jeszcze miał wyraźnie przed oczyma jego wysoką, chudą postać. Przywodził na myśl jastrzębia. Krążyło wiele zabawnych anegdot o jego śmiałych wyczynach w sypialni. Kiedy wszyscy byli wprost przybici wkuwaniem do egzaminów, ćwiczeniem się w jeździe konnej i lekcjami języka, Dugonicz zawsze potrafił znaleźć czas na zabawę. Jakże łatwo to przychodziło temu bogatemu serbskiemu sukinsynowi, który wychował się w siodle, a drogę do sukcesu miał wybrukowaną złotem ojca. Zbędny!

Zastanawiał się, czy osiem prospektów wystarczy, bo tylu miał adresatów włączając Hedry'ego, którego zagłada miała jedynie wartość taktyczną. Zdarzyło się Dorfrichterowi, że kiedy odtwarzał nazwiska z pamięci, dwukrotnie opuścił Messemera, widać miał trudności z przypomnieniem sobie tej postaci. Człowiek o silniejszej osobowości nie byłby tak całkowicie wyśliznął się z pamięci w ciągu czterech krótkich lat, toteż nie stanie się armii krzywda, jeśli się będzie musiała obejść bez Messemera!

Ustalając liczbę od razu uznał Richarda Madera za jednego ze zbędnych. Wprawdzie Mader ocalił mu życie, ale i był świadkiem najbardziej upokarzającego momentu w życiu Dorfrichtera. Przez wiele miesięcy po zdarzeniu na plaży w Castelnuovo dręczył go stale powtarzający się sen: tonie, a Mader pękając ze śmiechu stoi o krok na brzegu morza, huśtając się na piętach i nie rusza się ani o cal. Im głośniej Dorfrichter krzyczał, tym głośniej śmiał się Mader, aż się oba głosy stopiły w jeden rozdzierający uszy krzyk, od którego się budził. Po ukończeniu Akademii Wojennej odbywali obaj służbę w różnych garnizonach i parokrotnie spotkali się przypadkiem. Za każdym razem starał się unikać Madera i czuł się nieswój i przerażony, jeśli mu się to nie udało. Trzej pozostali, którzy brali udział w pikniku, to Landsberg-Lövy, Hoffer i Gabriel. Hoffer uprzejmie zastrzelił się sam, a Gabriel wystąpił z armii. Landsberg-Lövy nigdy nie dał poznać po sobie, kiedy spotykali się w Sarajewie, że wie cokolwiek o tamtym wydarzeniu, mimo to nazwisko jego znalazło się na liście zbytecznych.

- Czy nie posunął się pan za daleko wybierając na ofiarę Madera, który przecież ocalił panu życie? - wybuchnął gniewnie Kunze.

- Przyznałem się do wysłania mu trucizny. Czy to nie wystarczy?

- Jeśli mam być szczerzy, to jest pan dla mnie zagadką. Trudno mi uwierzyć, że zaplanował pan morderstwo z niemal naukową precyzją. To dla mnie wprost niewiarygodne. Był pan wyjątkowo niechętnie nastawiony do kawalerii. Czy fakt, że większość ludzi z pana listy to oficerowie kawalerii, nie wypływał z pana osobistej do nich awersji?

Dorfrichter wsparł się o tył krzesła przymykając oczy. Kawaleria! Ujrzał siebie maszerującego na czele żołnierzy drogą wiodącą z Linzu do Sommerau. Słońce prażyło niemiłosiernie. Był zlany potem, a stopy miał niczym świeżo amputowane kikuty, otarte i krwawiące od niewygodnych butów noszonych w piechocie. Nagle na horyzoncie pojawił się żółtawy obłok, który rósł w miarę zbliżania się, aż się wreszcie okazało, że to szwadron huzarów stacjonujących w Enns. Przegalopowali obok plutonu, a kopyta koni wzbijały w powietrze tumany pyłu. Czuł, jak mu pył osiada na zalanej potem twarzy, i słyszał, jak żołnierze miotają sprośne wyzwiska pod adresem jeźdźców.

- Piechota nie kocha zbyt wiele kawalerii - przyznał - ale to nie miało wpływu na mój wybór.

- A co z Hodossym? Czy afera z Klarą Brassay nie była powodem, który wpłynął na pana decyzję?

- Nie sędę. Wybrałem Hodossy'ego ze względów politycznych. Mówiłem już panu przedtem, że nie ufam Węgom służącym w naszej armii.

- A Landsberg-Lövy? Użyty przez pana cyjanek należał do Vaniniego. Landsberg-Lövy zaś wiedział o pana zażyłości z Vaninim.

- Pewno spyta pan zaraz, czemu nie posłałem trucizny Vaniniemu?

- Właśnie, dlaczego?

- Nie spodziewałem się, że mnie wyda. Był przyjacielem, któremu ufałem. Jak Cezar Brutusowi.

Dorfrichter widywał się z Vaninim w Linzu niezbyt często. Mając nadzieję na wcielenie do Sztabu Generalnego musiał być ostrożny w doborze towarzystwa. W Sarajewie mógł Vanini liczyć na wyrozumiałość starszych rangą kolegów wobec jego wyczynów, bo był to dość marny garnizon, ale w Linzu niczym się już nie dało usprawiedliwić jego postępów, toteż uznano go za człowieka bez przyszłości.

- Przed wyjazdem z Linzu Vanini prosił pana o zwrot cyjanku, a pan odpowiedział, że go już nie ma. Sądzi pan, że w to uwierzył? - spytał Kunze.

- Nigdy nie dałem mu najmniejszego powodu, by wąpił w moje słowa.

- Jak to się stało, że miał pan tak wielki wpływ na Vaniniego?

- Nie wywierałem na niego żadnego wpływu. Byliśmy przyjaciółmi.

- Proszę mi teraz powiedzieć, jakim sposobem udało się panu odbić tekst ulotek.

- Ósmego listopada miałem nocną służbę w koszarach - odrzekł Dorfrichter. - Wiadomo mi było, że w jednym z pomieszczeń biurowych stoi urządzenie wyposażone w hektograf, nieużywane od czasu letnich manewrów. Klucz od tego pomieszczenia wisiał w pokoju dyżurnego sierżanta. Wysłałem więc sierżanta, by sprawdził stan magazynów, sam wzięłem klucz i odbiłem dziesięć ulotek.

- Bez niczyjej fachowej pomocy?

- Nie, sam jeden, panie kapitanie - odrzekł Dorfrichter.

Składając prośbę o urlop, jako cel podróży wymienił Salzburg, chociaż wiedział, że uda się do Wiednia. Z pewnością nikt go w pociągu nie zauważy, a tymczasem według rejestrów pułkowych znajdować się będzie w odległości trzystu kilometrów od stolicy w decydującym momencie wysłania prospektów pocztą.

Ale wieczorem trzynastego listopada sprawy nie potoczyły się znów tak gładko, bowiem pewien major z pułku Dorfrichtera wsiadł również do tego samego pociągu. Zsalutowali sobie nawzajem i Dorfrichter nie miał wątpliwości, że major zapamiętał to spotkanie. Miał też przy sobie Trolla, który był znany w całym garnizonie. Zdecydował się na zabranie psa w ostatniej niemal chwili. Kiedy wychodził z domu, przyszło mu na myśl, że Troll nie będzie bezpieczny

w Linzu, jeśli pozostanie sam z Alojzką, która nienawidziła go za to, że zostawiał wszędzie sierść i wycierał pysk o dywan w saloniku.

Pociąg przybył do Wiednia punktualnie o szóstej trzydzieści. Z początku Dorfrichter zamierzał wysłać przesyłki ze stacji, potem zaniechał tej myśli. Po drugiej stronie ulicy była otwarta piekarnia, usadził więc Trolla pod drzwiami i nakazał mu czekać. Nie chciał ryzykować, by go widziano przy skrzynce na listy z tak dużym, kudłatym psem.

Przesyłki istotnie wrzucił do skrzynki przy Mariahilferstrasse, jak założono w śledztwie. Potem zabrał

Trolla i wsiadł do tramwaju jadącego do Dziewiątej Dzielnicy, gdzie mieszkała teściowa.

- Żona mówiła, że spędził pan resztę ranka na zabawie z dziećmi jej siostry - wtrącił Kunze,

- Tak jest, panie kapitanie. - Jak pan mógł?

- Co jak mogłem?

- Do diabła! Dorfrichter! Przecież skazał pan właśnie na śmierć dziesięć osób! Nie czuł się pan nieswojo wobec dzieci, które pana zapewne kochały i darzyły zaufaniem?

Dorfrichter wybuchnął ostrym śmiechem,

- Nieswojo? Czy panu nie przyszło choć przez chwilę na myśl, że być może zaaprobowałyby to, co zrobiłem? Nie ma bardziej okrutnych bestii niż małe dzieci!

- Jeszcze jedno pytanie - rzekł Kunze. Odwracając się do Heinricha poprosił, by ten nie protokółował odpowiedzi. - Odczuwał

pan w związku z tym choć odrobinę skruchy? Już mi pan kiedyś wspominał, że nie, ale ja zupełnie nie mogę w to uwierzyć. Nie jest pan dzikusiem, ale człowiekiem cywilizowanym i chrześcijaninem. Okazywał pan jednocześnie ciepłe uczucie wobec żony, kolegów lub psa. Jak to się dzieje, że litość nie miała do pana dostępu?

Dorfrichter tarł czoło w zamyśleniu. Oczy miał utkwione w twarzy kapitana, jakby starał się przeniknąć go do głębi, nim udzieli odpowiedzi.

- Jestem zawodowym wojskowym - odpowiedział na koniec. - Szkolonym w sztuce zabijania. Podczas studiów specjalizowałem się w mordowaniu. Mimo zaszczytnej pozycji mego zawodu jestem w istocie najemnym żołdakiem. Czymś w rodzaju gladiatora. Kiedy cesarz da mi znak wskazując kciukiem ku ziemi, zabiję własnego brata.

- Ale nie było żadnego znaku od cesarza?

- Nie. Ale gdyby znak ten uczynił, to bym rozkaz wykonał. Moi koledzy oficerowie także postąpiliby tak samo. Na przykład, kiedy padł na mnie ledwie nikły cień podejrzenia, rozumie pan, jeden z mych najlepszych kolegów w Linzu zostawił mi swój służbowy pistolet w otwartej szufladzie, bym mógł sobie palnąć w łeb. Ten sam przyjacielski gest zrobił w moją stronę generał Wencel. Tak zazwyczaj postępuje się z ludźmi, którzy nie mogą spłacić honorowego długu lub przez jakiś bezmyślny postępek zblamowali siebie lub armię. Weźmy dla przykładu pojedynki. Upije się ktoś, zrobi nieopatrnie uwagę, a już w dwa dni później albo on sam, albo obrażony partner ginie w obecności czterech spokojnie to aprobujących sekundantów. Z chwilą



kiedy człowiek wkłada na siebie mundur oficera, przeznaczeniem jego będzie zabijać lub polec samemu. Gdyby jutro wybuchła wojna, pięć z całego grona typowanych przeze mnie „ofiar” poległoby już w najbliższym roku. Miałem zamiar jedynie „skrócić” im okres oczekiwania w przedśmionku śmierci - a przy tym skróciłem i sobie.

- Szalenciec z pana - rzekł Kunze kręcąc głową.

- Już mi to pan mówił. Skąd zresztą może pan to rozumieć? Nigdy pan nie był gladiatorem.

Kunze wydobyl zegarek, by sprawdzić czas. Dziesięć po dziesiątej. Byli już w biurze przeszło pięć godzin. Obaj współpracownicy Kunzego, szczególnie protokolant Heinrich, byli najwyraźniej straszliwie znużeni. Zostało jednak jeszcze parę szczegółów do wyjaśnienia. Kunze zadzwonił na dyżurnego sierżanta i poprosił go o dostarczenie jakiegoś jedzenia i paru butelek piwa.

Podczas minionych miesięcy Kunze, który nie miał zwyczaju oddawać się marzeniom, często próbował wyobrazić sobie, w jakich okolicznościach i pod wpływem jakiego nastroju Peter Dorfrichter przyzna się w końcu do winy. Był skłonny przypuszczać, że odbędzie się to w dramatycznej scenerii, wśród łez i wzburzonych uczuć, nie zaś podczas posiłku, późnym wieczorem, w jego kancelarii, wśród woni gorących parówek, piwa i świeżo tartego chrzanu. Wszyscy byli bardzo głodni; Dorfrichter nie miał nic w ustach od południa, inni zaś od weselnego śniadania. Wszyscy czterej, jak to Kunzemu przyszło na myśl, wyglądali na grających w karty partnerów, którzy odpoczywają między robami brydża czy taroka, z tym, że Dorfrichter sprawiał

wrażenie wygrywającego, a Kunze wydawał się sobie ciężko przegrany. Było już po północy, kiedy skończono protokółować oświadczenie Dorfrichtera, w którym przyznał się do winy, i przedłożono mu je do podpisu.

- Jakie to dziwne - rzekł więzień patrząc na stalówkę. - Posłałem takie pudełko identycznych stalówek porucznikowi Dielmannowi, co było jednym z błędów - powiedział z gorzkim uśmiechem do Kunzego.

- Nie popełnił pan ich wiele.

- Niedużo, ale za to poważnych. Powinienem był wysłać prospekt nie tylko do Hedry'ego, ale także i na własny adres. Sądziłem jednak, że lepiej nie ściągać na siebie uwagi i na wszelki wypadek nie ujawniać się. Zrezygnowałem też z odręcznego pisma przy adresach, sądziłem bowiem, że bezpieczniej będzie używać pisma technicznego. Pomyliłem się. Przede wszystkim błędnie przewidziałem reakcję władz wojskowych. Spodziewałem się, że wstrzymają śledztwo, z chwilą gdy tylko podejrzenie padnie na oficera.

- Nie był pan tak znów daleki od prawdy - mruknął Kunze.

- Nadal trwam w przekonaniu, że źle się stało, że mnie wykryto. Armia nic nie zyska na tym, że dostanę wyrok. Wprost przeciwnie. Zaszkodzi to nieposzlakowanej opinii całego Korpusu Oficerskiego. Zwłaszcza w momencie, kiedy jego prestiż ma teraz aż takie ogólnonarodowe znaczenie.

„Wszystko to zaczyna z wolna graniczyć z absurdem - pomyślał Kunze. - Przestępca dyskutuje o popełnionej zbrodni z sędziami, w tonie zwykłej, swobodnej pogawędki. Niczym w komedii Schnitzlera.

W żadnym innym kraju i w żadnym innym gronie ludzi podobna rozmowa nie mogłaby mieć miejsca, z wyjątkiem grona oficerów armii Franciszka Józefa. Do idealnego jej obrazu braknie jeszcze tylko orkiestry cygańskiej, która przygrywałaby pod oknami kancelarii”.

Noc, która miała być poślubną, przespał kapitan Kunze w wynajętym mieszkaniu przy Traungasse. Wyszedł z budynku sądu wojskowego parę minut po pierwszej w nocy. Wiedział, że Róża go oczekuje, ale że dzień był zbyt długi i męczący, zapragnął zostać sam ze swymi myślami. Ślub brany w rozświetlonym blaskiem świec kościele wydał mu się nieprawdopodobnie odległym w czasie i przestrzeni wydarzeniem, gdyż najbliższym był mu teraz człowiek, który właśnie podpisał na siebie wyrok śmierci.

Zatelefonował do Róży z rana informując ją, że ich podróż trzeba będzie odłożyć na czas nieograniczony. Usłyszał w słuchawce tylko ciche westchnienie bez słowa komentarza i uznał, że już weszła całkowicie w rolę żony oficera.

Generał Wencel przyjął raport o przyznaniu się Dorfrichtera do winy z mieszanymi uczuciami. Pogratił Kunzemu serdecznie, klepiąc go po ramieniu, ale że kapitan dobrze znał generała, nie uszedł jego uwagi cień niepokoju przezierający spośród słów aprobaty. Generał współczuł Kunzemu, że musiał przerwać podróż poślubną, ale kapitan dobrze wiedział, że nie to gnębiło generała.

- Lepiej będzie, jeśli przekażę tę wiadomość arcyksięciu Franciszkowi Ferdynandowi osobiście - powiedział odprowadzając

Kunzego do drzwi. - Jego Wysokość zawsze okazywał wielkie zainteresowanie tą sprawą i jestem pewien, że będzie chciał udzielić nam swych poleceń.

- Nie rozumiem, jakich poleceń mógłby nam udzielić, skoro obowiązuje nas ustalony porządek proceduralny w prowadzeniu sprawy.

- Niewykluczone, że ma jakieś koncepcje - rzekł niepewnie generał. - Zawsze ma. Przebywa teraz w Konopiszcie i nie ma się go co spodziewać w Wiedniu przed końcem miesiąca. Trzeba się więc dowiedzieć o godziny odjazdu pociągów i połączenia kolejowe. Wsiądziemy w Beneschau, a stamtąd pojedziemy bryczką. Powinniśmy zjawić się w konopisztańskim zamku albo tuż przed dwunastą, albo o czwartej po południu, Arcyksiążę ma bowiem zwyczaj ucinać drzemkę po obiedzie.

Kunze zasepił się.

- Powiedział pan „my”, generale?

- Oczywiście! Bo chcę, aby mi pan towarzyszył. Przecież pan prowadzi sprawę i może udzielić bardziej szczegółowej relacji niż ja. Kiedy już ustalimy porę naszego tam przybycia, zadeszuję do pułkownika Bardolffa, adiutanta Jego Wysokości, by potwierdził nasze przybycie.

Kunze nigdy jeszcze nie zetknął się osobiście z arcyksięciem i wcale tego nie pragnął. Nie wierzył w możliwość robienia kariery przez wkradanie się w łaski następcy tronu, ponieważ wiedział, jak bardzo ulotna i złudna jest przychyłość dostojnych osobistości, zwłaszcza że Franciszek Ferdynand znany był ze swego wielce kapryśnego

usposobienia. Powszechnie uważano, że przyczyną jego nastrojów jest głębokie uczucie zawodu, ponieważ będąc następcą tronu od dwudziestu lat gryzł niecierpliwie wędzidło, ograniczając się z konieczności do spełniania błahych funkcji reprezentacyjnych, gdy tymczasem osiemdziesięciolatek cały czas siedział na tronie wytrwale i bezwzględnie, jak by był swym własnym posągiem, wykutym w twardej skale.

Chociaż władze wojskowe postanowiły trzymać w tajemnicy fakt przyznania się Dorfrichtera do winy, w jakiś jednak sposób wiadomość o tym dotarła do reportera z socjalistycznego „Arbeiterzeitung”. W tym samym czasie, kiedy chłopcy roznoszący gazety wybiegu na miasto z egzemplarzami nadzwyczajnego wydania, generał Wencel otrzymał od pułkownika Bardolffa odpowiedź, że arcyksiążę przyjmie ich za dwa dni, punktualnie o dwunastej w południe.

- Pojedźmy lepiej pociągiem jutro po południu i przenocujmy w Beneschau. Mówiono mi, że okolice Konopisztu nawiedziła wielka powódź i niewykluczone, że będziemy musieli dostać się do zamku okrężną drogą - powiedział Wencel do Kunzego.

Generał był wściekły, ponieważ w mieście aż wrzało od sensacji na wieść o przyznaniu się Dorfrichtera do winy i miał za złe Kunzemu, że dopuścił do ujawnienia tajemnicy. Pewny, że rozgniewa to księcia, lękał się spotkania z nim w Konopiszcie. Franciszek Ferdynand nie wybaczwał, jeśli nowiny, zamiast do niego, dotarły wcześniej do wiadomości ogółu.

Kunze, kiedy już uporał się pomyślnie z niezadowoleniem Wencla, musiał teraz wyjaśnić sprawę z Różą. Tej nocy, po raz pierwszy od ich ślubu, spał w jej mieszkaniu przy Zaunergasse. Odbył też pierwsza w swym małżeńskim stanie batalię. Róża nalegała, by dzielił z nią szerokie podwójne łóżko w jej sypialni, ale Kunze stanowczo zastrzegł się, że będzie nadal sypiał w wydzielonym pokoju, który zajmował przedtem jako lokator. Róża rozplakała się czyniąc mu gorzkie wyrzuty, Kunze zaś, tak jak zapewne wielu mężów w podobnej jak on sytuacji, przekonał się za późno, że potulna i nie wymagająca kochanka, niekoniecznie staje się potulną i nie wymagającą żoną. Przespał jednak noc w swym starym wąskim łóżku z Trollem wyciągniętym na jedwabnej kołdrze w nogach.

Kiedy rano szedł przez poczekalnię do swej kancelarii, jakiś mężczyzna podniósł się z ławki stojącej pod ścianą. Twarz wydawała się Kunzemu znajoma, lecz nie mógł przypomnieć sobie nazwiska mężczyzny. Nie wiadomo dlaczego ponury nastrój Kunzega jeszcze się bardziej pogłębił na widok tego człowieka.

Przybyły podszedł do Kunza i rzekł:

- Mógłbym z panem zamienić parę słów?

- Friedrich Gabriel! - zawołał Kunze dziwiąc się, czemu od razu nie rozpoznał przybyłego.

- Tak, to ja - odrzekł Gabriel schylając się lekko w ukłonie i stukając obcasami.

- Czym mogę służyć? - spytał Kunze szorstko, choć nie leżało to w jego intencji.

- Chciałbym pomówić z panem parę chwil na osobności, kapitanie.

Gabriel ubrany był schludnie, jego nieco znoszony czarny garnitur był świeżo odprasowany, koszula śnieżnobiała i starannie wyczyszczone buty. W twarzy jego nie było widać śladu gniewu czy niechęci. Chociaż postarzał się nieco od czasu, gdy się ostatnio widzieli, jego sposób bycia, mimo cywilnego ubrania, ponad wszelką wątpliwość znamionował wojskowego.

- Naturalnie, proszę wejść do środka - rzekł Kunze otwierając drzwi do swej kancelarii. Zderzyli się lekko na progu, bo jeden chciał przepuścić drugiego. Gdy znaleźli się w środku, Kunze wskazał przybyłemu krzesło i poczęstował papierosem.

- Jak się panu wiedzie, Gabriel? - spytał.

- Świetnie, dziękuję - odrzekł sztywno Gabriel Ani słowa skargi czy wyrzekań. Jednak rezerwa, jaką okazywał, zaniepokoiła Kunzego.

- Słyszałem, że zrezygnował pan z pracy na poczcie. Widocznie znalazł pan jakąś odpowiedniejszą posadę.

„Wygląda na to, jakbym mu się niepotrzebnie narzucił z przysługami” - pomyślał kapitan Kunze i skarcił siebie w myślach.

- W pewnym sensie, tak. Pracuję w Hadersdorf, około pół godziny drogi stąd, w wielkiej mleczarskiej farmie. Jako buchalter, nadzorca i zaufany człowiek. Niezła posada. Mam całkowitą swobodę, przyzwoite mieszkanie i życzliwych ludzi. Niemniej... - tu zamilkł, jakby szukał odpowiednich słów. - Właściwie to przyszedłem, żeby się z panem zobaczyć i prosić o pomoc. Chciałbym wrócić do armii

Kunzego aż przykuło do miejsca. Wlepił wzrok w Gabriela.

- Wrócić? - spytał i ledwie się powstrzymał, żeby nie dodać: „Po tym, co pana spotkało?”

- Wczoraj wieczorem przeczytałem w gazecie, że porucznik Dorfrichter przyznał się do winy. To oczyszcza mnie całkowicie z podejrzeń o udział w tej sprawie. Wystąpiłem z armii z nieskazitelną opinią i taką zachowałem jako cywil. Chciałbym prosić pana o poparcie, kapitanie, kiedy złożę podanie o przywrócenie mnie ponownie do czynnej służby.

- Oczywiście, poprę w miarę mych możliwości - odrzekł Kunze.

- Ile tylko będę mógł. Proszę nie odpowiadać, jeśli uzna pan to pytanie za zbyt osobiste, ale co skłoniło pana do takiej decyzji?

- Wprost przeciwnie, panie kapitanie, jestem wdzięczny za okazane zainteresowanie. Chcę wrócić do armii, bo tam jest moje miejsce. Byłem cywilem cztery lata, a czułem się tak, jakbym był na wygnaniu. Od dziesiątego do dwudziestego szóstego roku życia chodziłem w mundurze i żyłem wśród ludzi w mundurach, mówiłem ich językiem, wypełniałem ich rozkazy przestrzegając ustalonych przez armię wzorców.

- I dalej chce je pan przestrzegać, choć się z panem tak obeszli?

- Słowa protestu mimo woli wymknęły się z ust Kunzemu, wbrew postanowieniu, że nie będzie wracał do przeszłości.

- Wychowano mnie po to, bym przestrzegał, nie zaś aprobował. Dlatego pewnie nie pasuję do życia w cywilu. Trzeba tu stale tylko osądzać, co jest złe, a co dobre, a jeśli człowiek stara się tego unikać, to



go mają za nic. Może mnie pan nazwać tchórzem, kapitanie, ale zmęczyło mnie życie odpowiedzialnego za wszystko człowieka. O ileż to będzie prostsze, jeśli powrócę znów do czasów młodości i nie będę musiał ani myśleć, ani osądzać, ani ulepszać. Wszystko to za mnie zrobią inni. Czy wyrażam się jasno?

- I tak, i nie - odrzekł Kunze.

Później, tego samego dnia, dzieląc z generałem Wenclem zarezerwowany przedział w pociągu jadącym do Pragi, Kunze poruszył w rozmowie sprawę Gabriela, Wencel uniósł ze zdziwienia brwi.

- Ten człowiek jest chyba niespełna rozumu! Dla takich jak on nie ma miejsca w armii.

- Co pan rozumie mówiąc „dla takich jak on”? - spytał Kunze podrażniony.

- Był wmieszany w skandal.

- Jaki znów skandal, panie generale? Został niesłusznie oskarżony i aresztowany, a żonę jego doprowadzono do tego, że popełniła samobójstwo.

Generał wyprostował się w ławce, uznał, że ton głosu kapitana jest zbyt ostry, ale postanowił nie zwracać uwagi na taki brak respektu.

- Żona jego sypiała z niejednym, prawda? Przypuśćmy więc, że Gabriel znów wdzieje mundur i natknie się na Molla, Hohensteina albo Gerstena, którzy mu przyprawiali rogi. Czy potrafi udawać, że to go nie obchodzi, skoro wszyscy o tej sprawie wiedzą? Jako oficer jest

obowiązany wyzwać ich na pojedynek. Jeśli tego nie zrobi, będą go mieli za tchórza. Tak czy owak, rzuca to niepochlebne światło na armię.

Kunze całą siłą woli opanował się, by nie rzucić złośliwej uwagi o mężach, którym przyprawiono rogi. Generał zmienił temat i nazwisko Gabriela nie padło już więcej.

Przybyli do Beneschau późno w nocy i zatrzymali się w hotelu Pod Lwem, przybytku na pewno nie tej klasy co Ritz. Wencel posłał zawnazą ordynansa, by dopilnował, aby pokoje dla dwóch oficerów dokładnie sprzątnięto, łóżka posypano proszkiem na insekty, a pod nogi łóżek wstawiono miseczki napełnione naftą, by uniemożliwić dalszą egzystencję nocnym intruzom. Zamówiono też na dzień naprzód fiakra, który miał odwieźć dwóch panów oficerów do konopiszańskiego zamku.

Potwierdziły się informacje Wencła. Okolicę w pobliżu rezydencji arcyksięcia nawiedziła powódź. Nagła odwilż w górach zmieniła strumyk płynący doliną w rwącą rzekę. Zamek zbudowany na wzniesieniu w niczym nie ucierpiał, ale większa część parku stała nadal pod wodą. Wszystkich żołnierzy z lokalnych posterunków wojskowych zatrudniono przy reperacji dróg, mostów, a także zbieraniu ryb, które spłynęły do okolicznych gospodarstw ze sztucznego jeziora w zamkowym parku. Wyszukiwanie tłustych szczupaków i karpí trzepocących się w błocie zalanych pól wydawało się nikłą rekompensatą dla ofiar powodzi. Ledwo jednak donieśli ryby do domu i zapalili ogień pod kuchnią, już ich dopadli żołnierze domagając się zwrotu ryb na rozkaz arcyksięcia. Zwieziono całe wozy śniętych ryb, które zrzuciono

do zamkowego kompostowego dołu, by zgniły pod warstwami trawy i by służyły potem jako nawóz pod ogrodowe róże. Jak się Kunze dowiedział od usługującego im przy śniadaniu kelnera, akcja ta nie przysporzyła osobie księcia popularności wśród jego dobrych Czechów, którzy zresztą wcale za nim nie przepadali.

Jazda do Konopisztu przez rozmokłe drogi i powalone mosty wśród zimnych podmuchów marcowego wiatru zabrała kilka godzin.

Generał Wencel był już kiedyś w zamku i kiedy weszli na teren, wskazywał co ciekawsze miejsca swemu towarzyszowi podróży.

- To prywatne muzeum Jego Wysokości - rzekł wskazując na piętrowy kwadratowy budynek zabezpieczony przed powodzią workami z piaskiem.

- Nie wiedziałem, że jest miłośnikiem sztuki.

- Znowu nie tak bardzo. Zbiera jedynie rzeźby i malowidła przedstawiające świętego Jerzego, zabójcę smoka. Podobno utożsamia się z jego osobą.

- Istotnie - zauważył Kunze. - Przypominam sobie, że parę lat temu było sporo szumu w kołach artystycznych, kiedy arcyksiążę nabył dzieło starego mistrza wyobrażające świętego Jerzego i polecił jakiemuś dyletantowi przemalować oblicze upodabniając je do swoich rysów.

Generał Wencel zeszytniał i rzucił w stronę Kunzego karcące spojrzenie.

- Nie przypominam sobie tego - powiedział krótko.

Przybyli do zamku pół godziny za wcześnie i czekali w kancelarii pułkownika Bardolffa, aż wybije dwunasta. Było im to bardzo na rękę, bo musieli mieć trochę czasu, aby odtając z zimna.

W samo południe, punktualnie o dwunastej, wprowadzono ich do gabinetu arcyksięcia, wąskiego, długiego pomieszczenia, gdzie trzeba było przejść przez całą jego długość, aby dotrzeć do osoby siedzącej za biurkiem. Stanęli wyprężeni w postawie na bacność. Franciszek Ferdynand uniósł się nieco w fotelu podając rękę najpierw generałowi Wencłowi, a potem Kunzemu.

- Dziękuję za przybycie, panowie - przemówił do nich matowym, jednostajnym głosem. - Proszę siadać. Pan także, Bardolff - zwrócił się do pułkownika.

Nikt się nie odzywał przez parę minut, podczas gdy arcyksiążę spoglądał w sufit, sennie wpatrując się w zawity deseń fryzu. Był wysokim i tęgim mężczyzną o całkowicie niewojskowej posturze, a że trzymał się niedbale, dostrzegało się od razu jego aż nadto zaokrąglone ramiona i wydatny brzuch. Miał banalną twarz o podwójnym podbródku, gęstych sumiastych wąsach i zimnym spojrzeniu. Nie było w niej nic majestatycznego i nikt chyba spośród koronowanych głów nie miał równie pospolitej fizjonomii. Kunzemu przyszło na myśl, że czapka kucharza lub hotelowego portiera lepiej by już pasowała do tej głowy.

- Dowiedziałem się z gazet, że porucznik Dorfrichter przyznał się do winy - odezwał się wreszcie arcyksiążę. - Bardzo to niefortunna sprawa. - Nie zwracał się do nikogo z przybyłych, ale najwyraźniej

przemawiał do fryzu na suficie. - Niedobrze, że o takich sprawach trzeba się dowiadywać z gazet.

Spojrzenie jego przesunęło się wreszcie z sufitu na generała Wencła.

- Szkoda, że nie dał mi pan znać o tym, zanim przekazał pan tę wiadomość pismakom z prasy.

- Niestety, Wasza Wysokość, wiadomość w niewytłumaczony sposób przeniknęła do prasy. Nie mogliśmy temu zapobiec - wyjaśnił generał. - Prawie niemożliwością jest w obecnych czasach utrzymanie czegoś w tajemnicy przed prasą.

Arcyksiążę wstał. Trzej oficerowie poderwali się natychmiast na równe nogi. Przechodząc obok wielkiego porcelanowego pieca z majoliki arcyksiążę przytknął dłoń do kafla.

- Prasa? - rzekł. - To liberalno-żydowskie bagno. Zależy im wyłącznie na zdeprecjonowaniu monarchii. Trzeba im ukrócić cugli i nałożyć kaganiec, póki nie jest za późno. Niestety, musimy jeszcze z tym poczekać. Ale nie sposób tak siedzieć beczynn timer patrzeć, jak wszystko schodzi na psy. - Odwrócił się i stanął przed Wenclem i Kunzem. - To przyznanie się do winy musi być odwołane.

Generał Wencel zamrugął nerwowo, po czym spojrzał na Kunzego, jak gdyby chciał się upewnić, czy dobrze słyszy. Kapitan wpatrywał się w arcyksięcia zaciekawionym i lekko rozbawionym wzrokiem. Kiedy stało się jasne, że generał Wencel woli nie udzielać odpowiedzi, zabrał głos Kunze.

- Za pozwoleniem Jego Wysokości - powiedział - nie bardzo wiem, czy można to w ogóle zrobić. I jak to przeprowadzić?

- Bardzo prosto, kapitanie - odpowiedział arcyksiążę i aż poczerwieniał. - Przyznał się do winy pod presją, w stanie zakłócenia umysłu albo pod wpływem hipnozy. Po prostu odzyska równowagę umysłu i wycofa przyznanie się do winy.

- Ależ, Wasza Wysokość. To nie nastąpiło pod wpływem presji czy hipnozy. On przyznał się do winy będąc w pełni władz umysłowych.

- Wiem, wiem - odpowiedział nerwowo arcyksiążę. - To nie ma nic do rzeczy.

- Jego Wysokość ma na myśli - próbował wyjaśnić pułkownik Bardolff - iż można by wykorzystać którąś z jego propozycji, gdy będziecie dawać do prasy wiadomość o odwołaniu. Kunze wolał udawać, że jest tumanem.

- O jakim odwołaniu, pułkowniku? Co będzie, jeśli porucznik Dorfrichter nie będzie miał ochoty wycofać niczego?

- To go pan zmusi! - warknął arcyksiążę.

- W jaki sposób?

- Już pan będzie wiedział jak. Przecież zmusił go pan, by się przyznał, prawda?

- Nie, Wasza Wysokość. Wyszedł na jaw dowód przeciw niemu. Ostatni i najważniejszy: zabranie cyjanku koledze, co sprawiło, że Dorfrichter uświadomił sobie, iż dalsze zapieranie się jest bezcelowe.

Poza tym śledztwo wyczerpało go do reszty. Zdawał sobie sprawę, że nawet bez przyznania się do winy zostanie uznany za winnego.

- A co będzie, jeśli okaże się niewinny?

- Ależ on jest winny, Wasza Wysokość. Nie ma co do tego najmniejszej wątpliwości.

Arcyksiążę podszedł do Kunzego i stanął tak blisko, że się niemal dotykali.

- Nalegam, by ten człowiek odwołał przyznanie się do winy. Nie dopuszczę do najłżejszej nawet skazy na moim Korpusie Oficerskim. Nie pozwolę!

Kunze spojrział prosto w wielkie, jasnoniebieskie oczy arcyksięcia. Był nieco niższy wzrostem od Franciszka Ferdynanda, ale zgarbiona postura arcyksięcia niwelowała różnicę.

„To nie jest jeszcze twój Korpus Oficerski” - pomyślał.

- Za pozwoleniem Jego Wysokości. Skaza już istnieje. Od śmierci kapitana Madera. Niczym nie da się usunąć - rzekł.

Arcyksiążę podszedł z kolei do generała Wencła.

- Kapitan najwyraźniej nie pojmuje, o co mi chodzi. A pan?

Wencel wyprężył się w postawie na baczność.

- Tak jest, Wasza Wysokość! Franciszek Ferdynand wrzucił ramionami.

- Zatem nie widzę powodu do dalszej dyskusji. Jak wypadła podróż?

- Bardzo przyjemnie - odparł skwapliwie Wencel.

- Czy drogi do Beneschau są nadal pod wodą?

- Niektóre. Nasz woźnica musiał zrobić parę objazdów - i zaraz dodał skwapliwie, chcąc upewnić arcyksięcia, że jest zachwycony jego zaprosinami: - Co za piękny kraj! Wprost niezwykły. A jakie cudowne powietrze! Dosłownie aż przywraca siły.

„Szczególnie jeśli człowiek nie zamarznie przedtem na śmierć” - pomyślał kwaśno Kunze.

Mimo iż początkowo arcyksiążę był niezadowolony z niechętnego nastawienia do sprawy kapitana Kunze, zaprosił jednak obu przybyłych na obiad.

Podano go w rodzinnej jadalni. Przy stole honory gospodyni czyniła księżna Hohenberg, z domu księżna Chotek, morganatyczna małżonka arcyksięcia.

Była urodziwą, zgrabną kobietą o bardzo pięknie toczonych kształtach i chłodnej, pełnej wzdarty godności zdetronizowanej królowej. W jej zachowaniu się względem gości i prawdopodobnie wszystkich ludzi kryła się pełna napięcia czujność. Odkąd przed dziesięciu laty wyszła za mąż, żyła wśród ludzi, którzy albo życzyli jej upadku, albo czekali, kiedy takowy nastąpi. Ilekroć spojrzała na nową twarz, czy było to oblicze monarchy, czy prostaka, z miejsca dopatrywała się niechęci ukrytej pod maską obojętności. Kiedyś była wesołą miłą dziewczyną, ale teraz w wieku lat czterdziestu dwóch, mając za małżonka najlepszą partię w Monarchii, była zgorzkniałą wygnanką, miotającą się na skrawku ziemi niczyjej, między własnym światem, który utraciła na zawsze, a zamkniętym dla niej, jak sądziła, ostatecznie, światem małżonka. Konopisz był jedynym miejscem,



gdzie czuła się jak w domu. Tu była matką trojga dzieci i żoną człowieka, którego uwielbiała. Ale wystarczyło, że zrobiła krok poza swoją pustelnię, stawiała twarzą w twarz wobec okrutnych i upokarzających nakazów hiszpańskiej etykiety, która wydawała się być stworzona po to, aby przypominać księżnej o jej niskim pochodzeniu.

Do stołu zasiadło dziewięć osób: arcyksiążę, księżna, pułkownik Bardolff, kapelan zamkowy, dama do towarzystwa księżnej, adiutant arcyksięcia, generał Wencel, kapitan Kunze i jeszcze jeden zaproszony gość: Linton, botanik z Anglii.

Kapelan, zamiast odmówić krótką modlitwę, jak to było w powszechnym zwyczaju, wygłosił długie i zawile kazanie. Arcyksiążę i księżna siedzieli nieruchomo, z przymkniętymi oczami, jak gdyby w transie, z wyrazem pełnej uniesienia egzaltacji na twarzach.

„Wielkie nieba - pomyślał Kunze. - Akurat muszą rozmawiać z Bogiem, gdy właśnie pora na obiad, kiedy smaczna gorąca zupa stygnie w talerzach”.

Modlitwa dobiegła wreszcie końca, wszyscy się przeżegnali z wyjątkiem Anglika, który, jak Kunze się domyślił, był zapewne protestantem. Gospodarz i gospodyni także powrócili do rzeczywistości doczesnego świata.

Ze względu na pana Lintona rozmowę prowadzono po angielsku, którym to językiem arcyksiążę władał źle, za to księżna dość biegle. Botanika zaproszono do Konopisztu, by dopomógł arcyksięciu w spełnieniu jego życiowej ambicji: wyhodowaniu czarnej róży.

- Zeszłego lata prawie się nam udało - poinformowała ich księżna. - Skrzyżowaliśmy *Rosa rugosa* z *Rosa canina* i jeden z krzewów miał czarne jak węgiel pąki, ale kiedy rozwinęły się wewnętrzne płatki, miały już kolor ciemnofioletowy.

- Piękne, ale Jeszcze me czarne - dorzucił arcyksiążę.

- Zdaje się, że istnieje jakiś przesąd, związany z czarną różą - wtrąciła dama do towarzystwa, starszawa czeska hrabina.

Arcyksiążę zasepił się, zmarszczył brwi, a księżna przytknąwszy palec do ust nakazała jej milczenie. Ale hrabina widać tego nie spostrzegła, ponieważ mówiła dalej niefrasobliwie:

- Już sobie przypomniałam - zaczęła. - Rozkwitająca czarna róża wróży rychłe zabójstwo lub śmierć.

- Wprost niesłychane: co za niedorzeczne bzdury! - warknął do niej po niemiecku arcyksiążę. - Na przyszłość proszę powstrzymać się od powtarzania podobnych głupstw, hrabino!

Arcyksiążę był już bez humoru do końca obiadu i całą swą niechęć skupił na kapitanie Kunze.

- Czy to prawda, że podczas pierwszego przesłuchania wręczył pan porucznikowi Dorfrichterowi pistolety sugerując, by sam sobie wymierzył karę?

Pytanie to w pierwszej chwili sprawiło kapitana w osłupienie.

- Niestety, Wasza Wysokość, nie przypominam sobie takiego faktu - odezwał się w końcu.

Arcyksiążę zignorował zaprzeczenie.

- Gdyby się wtedy zastrzelił, umarłby bez ostatniego namaszczenia. Zdumiewa mnie, że pan chciał brać na siebie odpowiedzialność za skazanie chrześcijańskiej duszy na wieczne potępienie.

- Wasza Wysokość, ależ ja nie wręczałem porucznikowi Dorfrichterowi pistoletu ani też nie proponowałem, by się zastrzelił,

- Ale z miejsca uznał go pan winnym?

- Opierając się na raporcie eksperta od grafologii, Wasza Wysokość.

- Umyślił pan zbudować na jego winie całą swą karierę.

- Z całą pewnością nie, Wasza Wysokość. Żaden wojskowy sędzia śledczy nie chciałby nigdy robić kariery kosztem niewinnego człowieka.

- Był wartościowym oficerem, prawda?

- Istotnie. Bardzo zdolnym. Byłby z niego świetny oficer sztabowy. Jest to strata dla armii, że go nie wcielono do Korpusu Sztabu Generalnego.

- Czy w wypadku wojny byłby pomocny dla armii?

- Niewątpliwie, Wasza Wysokość.

Podano pieczyście i Franciszek Ferdynand przez chwilę skupił swą uwagę na jedzeniu. Nagle, ni stąd ni zowąd, zwrócił się do botanika.

- Co sądzą w pańskim kraju na temat wojny?

- Jakiej wojny, Wasza Wysokość? - spytał botanik najwyraźniej zaskoczony.

- Przyszłej. Powiedzmy między Anglią a Niemcami.

- Nie wydaje mi się, by istniała taka możliwość. Tak ludzie chyba na ogół sądzą. Po co mielibyśmy walczyć z Niemcami?

- Gdyby jednak wybuchła wojna między Niemcami a Francją?

- Nas by to przecież nie dotyczyło, prawda?

- Minimalnie - potwierdził Franciszek Ferdynand. Mr. Linton zrobił głęboki oddech.

- Czy wolno mi zapytać o coś Waszą Wysokość?

- Proszę bardzo.

- Czy Wasza Wysokość spodziewa się wybuchu wojny między mocarstwami w najbliższej przyszłości?

Arcyksiążę zastanawiał się nad tym przez chwilę.

- Tak - odrzekł. - Jest nieunikniona, co więcej, jest konieczna. Europa jest jak człowiek, któremu dokuczają wrzody. Jednym z nich, najbardziej dokuczliwym, jest liberalizm. Wszystkie te wrzody należy koniecznie przeciąć, bo inaczej przenikną do krwioobiegu i sprawią, że ciało zacznie gnić już za życia.

- Ale żeby wybuchła wojna, musi istnieć po temu przyczyna!

- Zawsze zdarzyć się może jakiś incydent albo konflikt, sam w sobie mało znaczący, który strona zdecydowana wszcząć wojnę może rozdmuchać i wykorzystać, jeśli uzna, że czas i okoliczności są po temu odpowiednie.

Mr. Linton nie miał już więcej pytań i wpatrywał się w swój talerz w niemym oszołomieniu. Do końca obiadu poruszano już tematy

bliskie zainteresowaniom botanika, jak możliwość hodowli jabłek bez robaków i dorodnych roślin pokojowych.

Wencel i Kunze odjechali wkrótce po obiedzie.

- W jaki sposób zamierza pan skłonić Dorfrichtera, by odwołał przyznanie się do winy? - spytał generał Kunzego, kiedy bryczka wyjechała poza teren zamku.

- W ogóle nie zamierzam tego robić.

- Jak to?! - wykrzyknął Wencel podniesionym głosem.

- Skłaniać go, by odwołał przyznanie się do winy? Byłaby to jawna kpina ze sprawiedliwości, panie generale.

Wencel przeżuwał odpowiedź Kunzego przez jakiś czas.

- Słyszeliście, u licha, co powiedział arcyksiążę? On chce, byśmy tego człowieka uwolnili.

- Wiem.

- Nie da się po prostu zignorować jego życzenia! Jutro może już być cesarzem.

- Racja, panie generale: jutro może, ale nie jest nim dziś.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Kapitan Kunze nastawił budzik na szóstą w swym mieszkaniu na Zaunergasse, ale zbudził się na długo, zanim zadzwonił. Wstał, otworzył okno, zrobił parę głębokich oddechów. Wczesny poranny wiatr wydał mu się muśnięciem szorstkiej ręki na policzku. Zapowiedź wczesnego lata niosła się od porośłych winoroślą wzgórz Grinzingu. Niebawem zielone wieńce pojawią się u wejściowych drzwi przysadzistych chałupek, na znak, że ich właściciele gotowi już są sprzedawać młode wino. Zjawią się wnet stoły i ławy na cienistych podwórzach, a kręte uliczki Grinzingu roić się wprost będą od tłumów przybyłych z Wiednia, zwłaszcza w niedzielę. Przyjadą tu trzeźwi, odjadą podchmieleni, a w tramwajach kursujących stąd do śródmieścia rozlegną się dźwięki harmonijek, powietrze zaś ciężkie będzie od oddechów nasiąkniętych alkoholem.

Przechodząc korytarzem wyjął gazetę ze skrzynki na listy. Pogrzeb Edwarda VII miał się odbyć następnego dnia, a relacje o przygotowaniach do uroczystości pogrzebowych dominowały wśród wiadomości, przesłaniając na szczęście doniesienia o rozprawie nad Dorfrichterem, mającej się odbyć przed sądem wojskowym. Franciszek Ferdynand już parę dni temu wyjechał do Londynu, żeby reprezentować cesarza. Dziewięć koronowanych głów, między innymi Kajzer, cała świta książąt i ówczesny prezydent Stanów Zjednoczonych,

Theodore Roosevelt, mieli towarzyszyć trumnie konno lub w powozach. Odczytując w gazecie anegdoty o zmarłym, jego

powiedzonka, a także plotki o nim, przydające zapewne wyrazistości i barwy podobnym wydarzeniom, Kunze miał uczucie, że najbardziej żywą osobą spośród całego zgromadzenia, był człowiek, którego miano pogrzebać. Czuł osobiście wiele sympatii dla tego jowialnego, tęgiego monarchy. Śmierć jego odciągnęła arcyksięcia z Wiednia na czas, kiedy jego obecność poważnie skomplikowałaby sprawy.

Był ciekaw, jak się Peter Dorfrichter czuje w ten wonny majowy ranek. Od czasu podróży do Konopisztu dwa razy rozmawiał z porucznikiem. Raz, kiedy Dorfrichter podpisywał zgodę na rozwód, i ponownie, kiedy wręczył więźniowi listę wytypowanych oficerów, którzy mieli zasiadać w trybunale podczas rozprawy. Odwiedził Dorfrichtera w jego celi wciąż niezdecydowany, czy ma proponować mu odwołanie przyznania się do winy, czy nie. Z trudem opierał się pokusie. Obraz młodego żołnierza, straconego podczas egzekucji w Sarajewie powracał w myślach Kunzego z niepokojącym uporem, na przemian z obrazem idącego Ringiem porucznika, brzęczącego ostrogami, w czako włożonym lekko na bakier, cieszącego się wolnością i powrotem do życia. Jedno właściwie dobrane słowo mogłoby zmienić zbrozonego krwią trupa w radosnego światowca. Nie byłoby to wcale takie trudne do przeprowadzenia. Wszakże otrzymał nakaz dokonania takiej transformacji. Niemniej, kiedy wkroczył do celi, czuł, że nie wykona rozkazu arcyksięcia.

Zastał porucznika pogrążonego w czytaniu świeżo wydanej rozprawy E. K. Nodine'a „Prawda o Port Arturze”. Od czasu gdy Dorfrichter przyznał się do winy, zaczął dostawać książki do czytania,

pozwolono mu pisać i przyjmować wizyty najbliższe] rodziny. Mariana Dorfrichter po powrocie z sanatorium przebywała w mieszkaniu matki, ale nie uczyniła najmniejszej próby, by zobaczyć się z mężem.

Dorfrichter wydawał się odprężony, pełen spokoju i życzliwości. Zniknęła jego cierpkość, złośliwość, nawet jego wygląd się zmienił, zaniechał bowiem uprawiania gimnastyki. Natomiast czytał zachłannie i pracował nad rozprawą o wpływie najnowszych wynalazków i odkryć z dziedziny metalurgii, chemii i biologii na nowoczesną sztukę wojenną. Praca, która krzepiła go na duchu, żłobiła głębokie kręgi pod jego oczyma. Wychudły i blade wydał się Kunzemu podobny do dziewiętnastowiecznego poety: wytwornego romantyka z piętnem śmierci na twarzy.

Ostatnia wizyta Kunzego w celi Dorfrichtera trwała ponad godzinę. Mógł już wyjść po dziesięciu minutach, jako że więzień nie przejawiał żadnego zainteresowania ludźmi, którzy mieli go sądzić. Został jednak po prostu dlatego, że nie potrafił zmusić się do wyjścia. Kochał tego człowieka. Budził w nim czułość sposób, w jaki unosił powieki, kiedy go zaciekawiał jakiś temat, ruchy jego szczupłych dłoni, o długich palcach, sposób, w jaki zakładał nogę na nogę. Doszedł już do tego, że przestał się wstydzić. Czy było grzechem uczucie tak całkowicie pozbawione cielesnego pożądania, dające dojmującą świadomość istnienia, ale jednocześnie przejmujące do głębi wielkim smutkiem?

Rozmawiali przede wszystkim na tematy wiążące się z pracą porucznika. Po czterech miesiącach całkowitej izolacji czytanie było dla



Dorfrichtera niczym woda dla człowieka umierającego na pustyni z pragnienia. Zawsze czynny umysł porucznika przywodził teraz na myśl roziskrzony fajerwerk. Miał nadzieję zakończyć prócz obecnej pracy także rozprawę na temat obronnego wykorzystania łuski podczas walk w okopach, która to praca mogła być przydatna w sytuacji, kiedy ofensywa stanie w martwym punkcie na skutek oporu wroga, co mogło się z łatwością zdarzyć na froncie rosyjskim. Czuł, że największym niebezpieczeństwem w wojnie z Rosją byłaby otwarta zwycięska kampania, która wessałaby austro-węgierskie siły w rozmokłą stepową pustać, by je potem zaskoczyć zdradziecko bezlitosną zimą. Jedynym rozwiązaniem była, jego zdaniem, stopniowa penetracja w głąb kraju, niewielkimi etapami przy rozbudowywaniu systemu obrony jednocześnie z atakiem.

Kunze nie bardzo interesował się taktyką wojenną, przysłuchiwał się nie tyle tematowi, co melodii głosu Dorfrichtera, zachwycającego aż do upojenia w jakiś nieuchwytny sposób. Głos ten zamilknie już niebawem, smukłe ciało pogrzebią w ziemi, a jemu przyjdzie żyć dalej ze świadomością, że jednym słowem mógł ocalić skazanego.

Kiedy profos przyszedł zapytać, czy ma podać obiad porucznikowi, Kunze pojął, że czas już odejść. Odprawiając go do drzwi Dorfrichter położył na moment dłoń na ramieniu Kunzego. Jeszcze w późniejszych latach, ilekroć kapitan wspominał tę chwilę, miał nadal w pamięci delikatność tego dotyku.

Był oto dzień dziewiętnasty maja. O szóstej trzydzieści Kunze ubrany w galowy mundur, w pasie i czako szedł do budynku sądu wojskowego. Ulice były zadziwiająco ożywione, mimo wczesnej pory. Nagłe ocieplenie wywabiło ludzi z dusznych mieszkań, toteż rozsiedli się na parkowych ławkach, wystawiając twarze na słońce, niemal w religijnej ekstazie.

Na rozprawę wybrano niewielką salę na piętrze, udaremniając osobom nieupoważnionym wstęp do niej, jak również i na korytarz łączący salę rozpraw ze skrzydłem budynku, gdzie za ciężkimi żelaznymi drzwiami mieściło się więzienie. Gromady reporterów stały już przed wejściem do budynku, a także spory tłum tłoczył się na mostku nad Hernalser Gürtel, skąd roztaczał się bezpośredni widok na salę rozpraw. Można jeszcze było widzieć salę z balkonu po przeciwnej stronie ulicy. Stali tam ludzie stłoczeni jak sardynki i kapitan zaniepokoił się nawet, czy poręcz okaże się dostatecznie mocna, by tłum ten utrzymać.

Punktualnie o ósmej dwóch trębaczy postawionych! przed drzwiami sali rozpraw odtrąbiło sygnał, a członkowie trybunału wydelegowani przez barona von Hadauera, dowódcę wiedeńskiego garnizonu, wkroczyli do sali na czele z pułkownikiem Sztabu Generalnego, który miał przewodniczyć rozprawie. Za nimi szedł Kunze, dwóch kapitanów, porucznik i dwóch podporuczników, a każdy z nich w galowym mundurze i czako. Podeszli do długiego stołu, wokół którego stało osiem krzesel. Jedno z najwyższym oparciem ustawiono na podwyższeniu. Na nim to właśnie siadł pułkownik, po lewej jego

ręce usadowił się Kunze i dalej według rangi, systematycznie po obu stronach kapitan, potem porucznik oraz podporucznik. Wszystko przypominało uroczystą pantomimę przy akompaniamencie brzęku ostróg i szurania krzeseł o podłogę. Rzędy ławek poniżej ziały pustką, bowiem publiczności nie dopuszczono w ogóle do rozprawy.

Następny sygnał trębaczy był dla głównego profosa, Kollera, znakiem do wprowadzenia oskarżonego. Pojawiła się trójka: więzień, profos i strażnik. Zatrzymali się w przepisowym miejscu. Strażnik pozostał na posterunku za drzwiami, profos zrobił obrót i odmaszerował, a Peter Dorfrichter wkroczył samotnie do sali obrad.

Miał na sobie mundur swego pułku, oraz czapkę; był jednak bez szabli. Sprawiał wrażenie spokojnego, tylko policzki miał zaróżowione, jak gdyby trawiła go gorączka. Minął przepierzenie oddzielające stół sędziowski od ławek dla publiczności, stanął przed pułkownikiem w postawie na baczność *i* zasalutował. Członkowie trybunału wojskowego powstali przyjmując jego salut uprzejmym skinieniem głowy. Usiedli ponownie, kiedy pułkownik wymruczał krótko: „spocznij” w stronę Dorfrichtera.

- Poruczniku Peterze Dorfrichter! - przemówił pułkownik. - Czy został pan już powiadomiony o składzie osobowym trybunału, nazwiskach jego członków oraz z którego pochodzą oni pułku?

- Zostałem powiadomiony, panie pułkowniku, o składzie trybunału - odpowiedział oskarżony rozdzielając sylaby niczym automat.

- Czy ma pan jakieś zastrzeżenia do poszczególnych członków lub całości trybunału?

Dorfrichter przyjrzał się uważnie po kolei ośmiu twarzom patrzącym na niego tępo zza długiego stołu, a kiedy napotkał wzrok Kunzego, zatrzymał na chwilę spojrzenie. Ponurą zaciętość w jego twarzy rozjaśnił cień uśmiechu, dziwnie zabarwionego drwiną, kojarzącego się z Maksem i Morycem, dwoma psotnikami z książek Wilhelma Buscha.

- Melduję posłusznie, panie pułkowniku, że nie mam zastrzeżeń do nikogo z członków trybunału - wyterkotał w odpowiedzi Dorfrichter przepisowym wojskowym *staccato*.

Pułkownik wydał lekkie westchnienie ulgi. Obrócił się w stronę oficerów, którzy powstali jak na komendę. Wyznaczony na protokolanta porucznik Heinrich wystąpił naprzód, by dokonać zaprzysiężenia trybunału wojskowego.

Oficerowie zasiedli ponownie na swych miejscach, prócz kapitana Kunze, który wziął w ręce teczkę leżącą na stosie równo ułożonych na stole dokumentów i stojąc zaczął czytać akt oskarżenia. Podał opis przestępstwa, przedstawił dowody i przytoczył w dosłownym brzmieniu słowa, którymi oskarżony przyznał się do winy.

Dorfrichter przysłuchiwał się temu z uprzejmym zniecierpliwieniem człowieka, który słucha wesołej historyjki i wie, że w zanadrzu ma jeszcze lepszą. Po pewnym czasie pułkownik polecił Kunzemu, by usiadł, tym samym zezwalając usiąść oskarżonemu. Dorfrichter jednak podziękował mu za tę uprzejmość i poprosił, by mu

pozwolono stać, na co pułkownik wyraził zgodę, nie bez zdumionego zmarszczenia brwi.

- Poruczniku Dorfrichter, czy potwierdza pan swe przyznanie się do winy, złożone przed prokuratorem wojskowym kapitanem Kunze, w dniu piątego marca 1910 roku? - spytał pułkownik.

- Za pozwoleniem, panie pułkowniku, odmawiam niniejszym potwierdzenia mojego oświadczenia złożonego prokuratorowi kapitanowi Kunze piątego marca 1910 roku - odpowiedział Dorfrichter, powoli akcentując każdą sylabę.

Kunze pierwszy zrozumiał w pełni znaczenie tych słów.

Pułkownik zamrugał powiekami, monokl wypadł mu z lewego oka, a pozostałych sześciu oficerów, w błyszczących galowych mundurach, siedziało nieruchomo, niczym figury z wosku.

- Do diabła, poruczniku! - wybuchnął pułkownik. - Czy to oznacza, że zmienia pan treść apelacji?

- Za pozwoleniem, panie pułkowniku, chcę prosić o uznanie mnie za niewinnego - oświadczył głośno Dorfrichter.

- Odwołuje pan przyznanie się do winy? Z jakiego powodu?

Dorfrichter spojrział pułkownikowi prosto w oczy.

- Cofam przyznanie się do winy, ponieważ uczyniłem to pod presją, w stanie zakłócenia równowagi umysłu - odpowiedział.

Kunze odchylił głowę i przymknął oczy. Samo sformułowanie słów było mu znajome. Jednakże czegoś brakowało. Skupiwszy się na moment, odtworzył brakujący zwrot. Dorfrichter opuścił słowa: „pod wpływem hipnozy”. Pułkownik założył na powrót monokl.

- Czy ma pan zamiar złożyć jakieś dodatkowe oświadczenie w tej sprawie?

- Za pozwoleniem, panie pułkowniku, oświadczam niniejszym, że nie jestem winny wysuniętego przeciwko mnie oskarżenia. Nie wysyłałem dziesięciu przesyłek zawierających ulotkę i dwie kapsułki cyjanku do mych kolegów, nie miałem nic wspólnego z jego sprawcą, czy też sprawcami, i o popełnionym przestępstwie dowiedziałem się dopiero z prasy.

- Jednak przyznał się pan do winy i to z własnej woli?

Dorfrichter pokręcił z wolna głową, nie spuszczać wzroku z przewodniczącego.

- Nadmieniam, panowie, że przyznałem się do winy pod wpływem presji oraz w stanie całkowitego psychicznego i emocjonalnego załamania.

Pułkownik spojrzał pytająco na kapitana Kunze, który mu na to odpowiedział ironicznym rozłożeniem rąk.

Ustanowiona za panowania Marii Teresy procedura prawna dla sądów wojskowych wymagała w danej chwili, by oskarżony podpisał protokół, po czym opuścił salę na czas ferowania wyroku i powrócił do niej pod koniec rozprawy dla wysłuchania ostatecznego werdyktu. Wszyscy członkowie trybunału wojskowego byli w pełni świadomi absurdalności niniejszej ustawy, ale nie byli w mocy zmienić jej ani nawet zaprotestować. Ta sama ustawa, która oddawała obronę i oskarżenie w ręce jednego człowieka: sędziego śledczego i prokuratora zarazem, wymagała, by oskarżony był nieobecny w czasie, gdy kwestia

jego winy lub niewinności referowana będzie siedmiu oficerom, którzy wraz z sędzią śledczym, teraz sprawującym funkcję członka trybunału, zdecydują o dalszym losie oskarżonego.

Porucznik Heinrich skończył pisać protokół z porannego posiedzenia w śmiertelnej ciszy, po czym wstał wręczając go kapitanowi Kunze, który podszedł do oskarżonego.

- Poruczniku Dorfrichter, proszę łaskawie przeczytać ten dokument.

- Jak pan sobie życzy - odpowiedział chłodno Dorfrichter.

Sięgnął po papier, unikając wzroku Kunzego. Szybko przejrzał stronicę, potem zwrócił pismo kapitanowi.

- Czy uznaje pan treść protokołu za zgodną z faktami? - spytał Kunze.

- Uznaję, że jest zgodny z faktami, panie kapitanie.

- Czy wobec tego zechce go pan podpisać? Podeszli do stołu kancelisty, Kunze wziął pióro, umoczył w atramencie i podał je oskarżonemu. Dłonie ich spotkały się, gdy Dorfrichter odbierał pióro z rąk kapitana. Kunze stwierdził, że dłoń porucznika była chłodna i mokra.

- Dziękuję panu - wymamrotał Dorfrichter i szybko złożył swój podpis. Kiedy się wyprostował, spojrzeli sobie wreszcie prosto w oczy, jak spoglądają na siebie kat i ofiara. Wówczas to kapitan powodowany litością pierwszy odwrócił głowę.

Pułkownik polecił oskarżonemu opuścić salę. Jakby za dotknięciem różdżki pojawił się profos, a strażnik z bagnetem na

karabinie ruszył ze swego posterunku sprzed otwartych drzwi. Pozostawienie otwartych drzwi na pusty korytarz było symbolicznym aktem czyniącym zadość ustawie, która wymagała, by rozprawy odbywały się publicznie.

Dorfrichter zasalutował szarmancko, zrobił ożywioną minę i przyłączył się do czekającej na niego eskorty.

Trybunał słuchał oddalających się w całkowitej ciszy odgłosów ich kroków.

Kapitan Kunze poprosił wówczas przewodniczącego, by udzielił zgody na przerwę w obradach i ponowne zebranie się o trzeciej po południu, tłumacząc, iż niespodziewana apelacja oskarżonego o uznanie go niewinnym, zmusza go do przemyślenia na nowo całej strategii rozprawy. Pułkownik przystał na tę propozycję, po czym Kunze udał się do swej kancelarii i natychmiast przystąpił do pracy. Zaklął głośno, gdy przypomniał sobie, jak się czuł zadowolony i pewny siebie wiedząc o nieobecności Franciszka Ferdynanda w Wiedniu. Nigdy by mu nie przyszło do głowy, że wytworna ręka arcyksięcia misternie zdołała przetasować karty jeszcze przed opuszczeniem kraju. Kiedy w gorączkowym pośpiechu dopadł akt sprawy, uświadomił sobie naraz, że w cztery godziny będzie musiał skorygować pracę, której wykonanie zajęło mu dwa miesiące. Gdyby Stoklaska nie zamówił dwóch parówek i szklanki wina dla niego z pobliskiej kawiarni, byłby tak siedział bez jedzenia przez cały dzień.

- Znalazłem klucz do tej zagadki - oświadczył Stoklaska, gdy Kunze jadł w pośpiechu. - Pamiętasz, jak dwa tygodnie temu Wencel



poszedł odwiedzić Dorfrichtera w celi? Nie przybył sam. Był z nim pułkownik Bardolff.

Widelec wypadł Kunzemu z rąk i wylądował na talerzu.

- Skąd wiesz, że to był pułkownik Bardolff?

- Jeden ze strażników służył w jego pułku i rozpoznał go. W 15 dragonów.

- Niech to diabli wezmą! - zaklął serdecznie Kunze pod adresem generała Wencla i wylądowawszy złość wziął na powrót widelec do ręki. - Czułem, że coś podobnego musiało mieć miejsce. Niech Bóg ma w opiece ten kraj, gdy arcyksiążę zostanie cesarzem. Ma upór osła. I rozum też.

Całe popołudnie, aż do końca tygodnia, potem znów od poniedziałku do środy, zasiadał Kunze przed obliczem trybunału i odczytywał na głos wyniki pół roku trwającego śledztwa. Głos jego dudnił i brzęczał w uszach siedmiu mężczyzn, doprowadzając ich do odrętwiającej senności. Kunze starał się ożywić swój głos, by ich wyrwać z senności, oni zaś też starali się słuchać go pilnie, ale mimo obopólnych wysiłków podbródki ich raz po raz opadały na szamerowane złotem piersi i z rozchylonych ust dolatywało chrapanie. Nie było możliwości wprowadzenia zmian w metodach prowadzenia rozprawy bez całkowitego zniesienia ustaw z 1768 roku, dotyczących procedury sądów wojskowych. Czytając raport strona po stronie Kunze zastanawiał się, o ile bardziej sędziowie drugiej połowy osiemnastego wieku byli wytrzymalsi i energiczniejsi od swych następców z 1910 roku.

Niedziela była dniem upragnionego odpoczynku zarówno dla trybunału, jak i kapitana Kunze. Jeszcze nim nadszedł sobotni wieczór, stracił całkowicie głos i mógł czytać tylko ochryłym szeptem. Ku rozczarowaniu Róży i Trolla siedział w gabinecie przez cały dzień i pracował. Późnym popołudniem odbył dla ułagodzenia ich mały spacer, który mu przywrócił łaski u Trolla, ale nie u żony. Poszła razem z nimi, ale nie przestawała gderać.

W jakimś momencie gderanie jej przebrało już miarę.

- Na miłość boską, Róžo! - wybuchnął Kunze. - Nie byłaś przecież naiwnym dziewczątkiem, kiedy braliśmy ślub? Żyłaś ze mną całe lata i miałaś masę czasu, żeby mnie dobrze poznać. Po co wychodziłaś za mnie, skoro byłem takim nieczułym, zimnym draniem? Dlatego nie wmawiaj we mnie, że cię oszukałem.

- Nigdy nie masz dla mnie czasu. Nawet przestałaś już ze mną rozmawiać - powiedziała, a w oczach jej pojawiły się łzy.

- Jakże tu z tobą rozmawiać, skoro jedyny temat, jaki ci odpowiada, to że się co do mnie rozczarowałaś!

- To nie jest prawda - odrzekła. - Tyle razy pytałam cię o sprawy w sądzie! Weźmy dla przykładu obecną rozprawę. Nie mówisz o niej ani słowa. Uważasz, że mnie nie interesuje twoja praca?

- O czym byś chciała się dowiedzieć?

- Na przykład, jaki jest Peter Dorfrichter? Ludzie mnie wciąż pytają, a ja nie mogę im nic odpowiedzieć.

- Dlaczego pytają właśnie c i e b i e?

- Wiedzą, że ją prowadzisz. Tak mało piszą o tym w gazetach, więc ludzie są ciekawi.

- Być może dlatego właśnie o niczym ci nie mówię. Żebyś nie rozpowiadała o niej tym wszystkim ciekawskim.

- Jeżeli nie życzysz sobie, to nie będę mówiła. Przez chwilę szli w milczeniu. Kwitły bzy, a wokoło aż bieleło od strokrotek. Troll nie zważając na zakaz deptania trawników urządził pościgi za gołębiami.

- Jaki on jest?

- Kto mianowicie?

- Peter Dorfrichter.

Kunze przystanął i w pół obrócony spojrzał jej w twarz.

- Jest zdolny, odważny, uparty, z fantazją, ale całkowicie bez skrupułów. Taki, co siłą przedarłby się przez falangi rzymskich legionistów, aby zdjąć z krzyża Chrystusa, i raz jeszcze i to znacznie dokładniej i mocniej przybić go do drzewa, tak aby już nigdy nie powstał z martwych. Zdaniem Dorfrichtera dobrym pacyfistą jest tylko pacyfista nieżywy, a wymawianie słów „pokój na ziemi” powinno być karane śmiercią.

Róża zmarszczyła posępnie brwi.

- Wolałabym, byś nie mówił bluźnierstw, bo mnie to przeraża.

Rozprawa zaczęła się na nowo w poniedziałek o ósmej. Kunze przeczytał resztę materiałów. Podczas rannych godzin we wtorek poinformował trybunał, co wojskowy kodeks karny przewiduje ustawowo jako karę za popełnienie takiego właśnie przestępstwa.

Wreszcie kapitan Kunze mógł odłożyć na bok dokumenty prawne piętrzące się na jego biurku i zacząć naradę, podczas której omówiono zebrany materiał dowodowy. Oceny tegoż materiału dokonał kapitan Kunze. Mówił płynnie, z rzadka tylko zaglądając do notatek. Po czterech dniach niewypowiedzianej nudy jego elokwencja i jasność rozumowania wyrwały członków trybunału z uśpienia i wszyscy jak jeden mąż przysłuchiwali się Kunzemu z zainteresowaniem i uwagą.

Kapitan opisał charakter oskarżonego, środowisko, z którego się wywodził, dzieciństwo, lata szkolne, postępy w Akademii Wojennej i przebieg służby. Opisał Dorfrichtera jako wyjątkowo zdolnego i predysponowanego do osiągnięcia szybkich sukcesów w wybranej dziedzinie. Wyraził żal, że przy typowaniu kandydatów do Sztabu Generalnego pominięto człowieka o tak wybitnej umysłowości i oddaniu, przez co armia wiele straciła. Jego zdaniem wina leżała w systemie selekcji, która stawia fizyczną sprawność nad biegłość umysłową; koncepcja ta bowiem jest wręcz już przeżytkiem *t* odległej przeszłości, kiedy to o bitwie decydowała walka wręcz. Nowoczesna sztuka wojenna wymaga oficerów takich jak Dorfrichter, nie wojaków, lecz ludzi o umysłach elastycznych, zdolnych do ścisłego myślenia, wybiegających myślą w przyszłość, którzy potrafią dotrzymać kroku wielkim wynalazkom nowego stulecia.

Po scharakteryzowaniu w nader pozytywny i życzliwy sposób osoby oskarżonego, Kunze omówił motywy i psychiczne procesy, które doprowadziły Dorfrichtera do popełnienia zbrodni. Chociaż oskarżony apelował o uznanie go niewinnym, Kunze parokrotnie podkreślił winę

oskarżonego. Jego przyznanie się do popełnionego czynu było prawdą, wycofanie się czystym kłamstwem. Nawet bez tego przyznania się, dowody poszlakowe były dostatecznie mocne, by uzyskać wyrok skazujący. Jest to człowiek chorobliwie egocentryczny, obłądny fanatyk, którego wybitne zdolności sprzęgnięte są z ścią napoleońską ambicją i wiarą, że normy moralne ustanowione dla zwykłych ludzi wcale go nie obowiązują. Fakt, iż nie był w stanie zrozumieć, że popełnił czyn występny, nie uwalnia go wcale od winy. W środę rano, po rozważeniu okoliczności łagodzących, takich jak poczucie krzywdy i rozgoryczenie, które powodowały Dorfrichterem, oraz obciążająca go straszliwie bolesna śmierć, na którą skazał dziesięciu kolegów, między innymi i tego, który ocalił mu życie, Kunze opowiedział się za wyrokiem skazującym. Brak oczywistego dowodu i prośba oskarżonego o uznanie go niewinnym, unieważniająca z prawnego punktu widzenia jego uprzednie przyznanie się do winy, wykluczały na mocy paragrafu 212 Wojskowego Kodeksu Karnego karę śmierci, jak również karę dożywotniego więzienia. Mając jednak na względzie mocne dowody poszlakowe, kapitan Kunze poprosił trybunał o uznanie Dorfrichtera winnym i skazanie go na dwadzieścia lat ciężkiego więzienia w wojskowym zakładzie karnym.

Dwadzieścia lat w którejkolwiek z istnych kazamat, jakimi były więzienia monarchii, równało się niemal wyrokowi śmierci, o czym Kunze dobrze wiedział. Wiadomo było, że nawet najmocniejszy fizycznie więzień popadał w nieuleczalną chorobę lub rozstrój nerwowy. Wystarczyło pięć lat, by zmienić zdrowego młodzieńca w

ludzki wrak. Nawet jeśli mu darowano część kary, nigdy nie odzyskiwał w pełni sił, zresztą umorzenie kary należało do rzadkości, toteż skazani w większości albo odsiadawali pełny wyrok, albo opuszczali cele owinięci śmiertelnym całunem w zbitej z desek trumnie. Kunze próbował wyobrazić sobie, jak za dwadzieścia lat będzie wyglądał Dorfrichter: tknięty paraliżem, przedwcześnie postarzały czy zżarty gruźlicą i na wpół żywy? Szarpały nim na przemian to pragnienie, by trybunał pominął jego zalecenia i uniewinnił Dorfrichtera, to znów, by go okazał na karę śmierci. Śmierć szeregowca z Sarajewa, który w porywie gniewu podniósł rękę na dowodzącego oficera i został rozstrzelany, a także wszystkie inne egzekucje dokonane jako przykładowa kara w imię cesarza-króla i dla dobra ojczyzny - uznać by wtedy należało za pospolite zbrodnie, gdyby istotnie Peter Dorfrichter został przez trybunał uniewinniony. Kunze nie miał wątpliwości, że niektórym członkom trybunału dano już do zrozumienia, że wyrok uniewinniający ucieszyłby Franciszka Ferdynanda, zastanawiał się więc, jak się ów konflikt między służalczą a moralną prawością zakończy.

Przewodniczący rozprawie pułkownik spytał członków trybunału, czy w pełni pojmują istotny przedmiot rozprawy i czy może potrzebne im są jakieś dodatkowe informacje lub wyjaśnienia - na co w odpowiedzi jeden z podporuczników prosił kapitana Kunze o ponowne odczytanie zeznań szeregowca Boki dotyczących wydarzenia na plaży w Castelnuovo, a także oświadczenie samego oskarżonego związane z tym wydarzeniem i udział w nim kapitana Madera. Kunze spełnił jego

prośbę, wtedy z kolei pułkownik prosił o wyjaśnienie okoliczności zabrania porucznikowi Vaniniemu pałeczek cyjanku przez Dorfrichtera, toteż Kunze odczytał odpowiedni ustęp z akt sprawy.

Zaraz potem pułkownik ogłosił formalne badanie przedmiotu sprawy za zakończone, podziękował Kunzemu za wzorowe przeprowadzenie dochodzenia i wstępnej rozprawy oraz zapowiedział gotowość trybunału do starannego rozważenia wszystkich argumentów i orzeczenia wyroku.

Wojskowy Kodeks Karny ustawowo wymagał, by każdy z siedmiu członków pozostał teraz czas jakiś zamknięty w osobnym pomieszczeniu, by mógł w samotności zastanowić się głęboko, słuchając tylko głosu własnego sumienia, i podjąć własną niezależną decyzję. Wtedy dopiero mógł zapukać do drzwi, by oznajmić o tym fakcie strażnikowi, stojącemu pod drzwiami. Musiał jednakże pozostać w zamknięciu do chwili, aż reszta członków trybunału także poweźmie ostateczną decyzję.

Pięć minut po jedenastej siedmiu oficerów, pod wodzą pułkownika, pojawiło się na powrót w sali obrad. Znużony kapitan Kunze, który oczekiwał ich przeszło godzinę, przebiegł wzrokiem po twarzach tych ludzi. Teraz mieli oni rozstrzygnąć nie tylko o losie Dorfrichtera, lecz i jego własnym. Podczas, gdy tamci borykali się z werdyktem, on miał czas, by zastanowić się nad sobą. Wiedział, że musi znaleźć wyjście z labiryntu swoich własnych spraw i rozterek, ale przede wszystkim z miękkiego łóżka żony, pachnącego bzem i kwaś-

nym mlekiem. Musiał dojść nie tylko do ładu z samym sobą, ale i do tego, by zaakceptować siebie takim, jakim jest, i doznać uczucia ulgi.

Zająwszy miejsca przy stole, wszyscy członkowie trybunału czekali na dalsze instrukcje ze strony kapitana Kunze, który niebawem ujawnił im zasady procedury głosowania. Każdy członek trybunału, włącznie z nim samym, miał prawo do jednego głosu, z wyjątkiem przewodniczącego, który miał prawo do dwóch. Głosowanie zaczynało się od najniższego rangą oficera, który mógł swobodnie wypowiedzieć swój werdykt surowszy lub łagodniejszy od żądanego przez prokuratora, nie będąc zmuszonym ani tłumaczyć, ani usprawiedliwiać swej decyzji. Po nim głosowali następni rangą oficerowie; pułkownik jako przewodniczący na końcu, a po nim jako ostatni głosował już tylko prokurator wojskowy. Jeśli werdykty różniły się, grupowano je osobno zaczynając od łagodniejszych, a na najsurowszych kończąc, z tym że piąty w kolejności werdykt, zgodnie z zasadą, przyjmowano za ostateczny. Członkowie trybunału wojskowego zobowiązani byli przysięgą do trzymania na zawsze w tajemnicy treści poszczególnych werdyktów jak również stosunku głosów.

Na dany przez pułkownika znak wstał najmłodszy podporucznik i wyrzucił z siebie: „niewinny”, po czym opadł na krzesło i patrzył wyzywająco na rzędy pustych ławek, jakby z tej strony oczekując protestu. Głos o niewinnieniu sprawił, że zapadła śmiertelna cisza. W końcu kapitan skinął głową pułkownikowi, który z kolei obrócił się w stronę drugiego z podporuczników, który wstał i powiedział: „winny, dwadzieścia lat więzienia”. Następni rangą porucznicy także uznali



Dorfrichtera winnym, ustalając jednak dziesięć lat więzienia, jako dostateczną karę. Młody kapitan uniewinnił Dorfrichtera. Reszta trybunału zaakceptowała stanowisko Kunzego.

Były zatem dwa głosy uniewinniające, dwa proponujące dziesięć lat i sześć głosów opowiadających się za dwudziestoma latami więzienia, ostateczny więc wyrok brzmiał: „dwadzieścia lat więzienia w wojskowym zakładzie karnym”.

Kiedy wyrok już zapadł, Kunzemu w pierwszej chwili wydawało się, że rozprawa trwała nie sześć dni, lecz sześć lat i czuł, że powinien być zadowolony z końcowego wyniku. Było to nie tylko osobiste zwycięstwo, lecz także triumf sprawiedliwości nad siłami iscie makiawelicznymi. Straszliwa śmierć Richarda Madera została, jeśli nie w pełni, to co najmniej w pewnym stopniu pomszczona. Arcyksięcia nie udało się wpłynąć na trybunał wojskowy, tak jak nie udało mu się wyrzucić nacisku na Kunzego, by uniewinnił Dorfrichtera. Głosy opowiadające się za uniewinnieniem mogły być równie dobrze wynikiem interwencji arcyksięcia, ale nie miało celu i znaczenia zaprzętać sobie nimi głowę, skoro sprawiedliwość jako cnota tak chwalebnie zatriumfowała, chociaż tylko na pewien czas. Kunze zdawał sobie sprawę, że taka rzecz nie pójdzie w niepamięć. Wiedział, że z chwilą wstąpienia na tron, nowy cesarz skaże z kolei jego na pobyt w jakimś przez Boga zapomnianym garnizonie na rosyjskiej lub serbskiej granicy.

Przed ogłoszeniem wyroku, podpisany i opieczętowany ostateczny werdykt musiał być przedstawiony do akceptacji generałowi

Versbach von Hadauerowi z Drugiego Korpusu Armii. Jego przywilejem i prawem jako dowódcy korpusu wiedeńskiego było albo wyrok zatwierdzić, albo złagodzić go, lub darować karę. Kapitan jako najstarszy rangą wraz ze swym przybocznym oficerem poszli doręczyć dokument do dowództwa korpusu, z trudem torując sobie drogę przez roje reporterów i gapiów, którzy zgromadzili się przed budynkiem sądu wojkowego. Fakt, że dwaj członkowie trybunału opuścili salę obrad, oznaczał, że rozprawa się skończyła i pierwsze pogłoski o wyroku śmierci rozeszły się lotem błyskawicy. Dwaj oficerowie byli jeszcze ciągle w drodze do dowództwa, kiedy nadzwyczajne wydanie bulwarowej gazety zapowiadało wielkim nagłówkiem: „Dorfrichter musi umrzeć!” Wkrótce potem obiegała wiedeńskie kluby i kawiarnie wieść, jakoby z dobrze poinformowanego źródła, że podobno generał Versbach von Hadauer darował Dorfrichterowi karę. Przytaczano nawet rzekome słowa generała. W tym czasie niczego nie podejrzewający generał spożywał u Sachera lekki obiad składający się z młodej gęsiny, zielonego groszku i mizerii. Kiedy nagle jego adiutant zatelefonował bezpośrednio z dowództwa do hotelu, donosząc o nadejściu werdyktu w sprawie Dorfrichtera, von Hadauer dokończył spieszenie obiad i wrócił do swej kancelarii.

Werdykt zaopatrzonej w dopisek generała: „Wyrok zatwierdzam. Podać do publicznej wiadomości” powrócił do wojkowego sądu na krótko przed godziną piętnastą.

Kunze nie wychodził na obiad, lecz posłał po porcję gulaszu, który zjadł w swej kancelarii. Następnie udał się na salę rozpraw. Chcąc

oderwać myśli, wziął ze sobą Freuda „Trzy szkice o teorii seksualizmu”, ale nie był w stanie skupić się nad ich treścią. Jako laik i prawnik zarazem był wielkim admiratorem doktora Freuda i zazwyczaj oceniał jego teorie jako użyteczne i pouczające, ale tym razem cięte myśli uczonego nie miały dostępu do wzburzonego umysłu kapitana.

W gmachu sądu przebywał także przewodniczący rozprawie pułkownik, oczekując nadejścia werdyktu, który po niedługim czasie istotnie doręczono. Rozkaz „podać do wiadomości publicznej” spełniono przez symboliczne otwarcie drzwi na korytarz i okien sali rozpraw. Dwaj trębacze przy drzwiach odegrali sygnał obwieszczający o nadejściu oskarżonego w otoczeniu eskorty, powtarzając ów sygnał trzykrotnie, jak to było poprzednim razem, zanim Dorfrichter wszedł sam jeden do sali. Ubrany był jak poprzednio w mundur porucznika. Podeszedł miarowym równym krokiem na odległość dwóch metrów od trybunału i zatrzymał się na wprost przewodniczącego. Stał sztywno, z głową odchyloną w tył, patrzył przed siebie ponad posiwiałą czuprynę pułkownika, a nawet jeszcze ponad oprawioną w ramy fotografię cesarza. Wyraźnie panował nad nerwami, jedynie chorobliwa bladeńść zdradzała odczuwany przez niego lęk. Jednym szybkim gestem zdjął czapkę, wsadził ją pod lewe ramię i wyprężył się w postawie na baczność, pozdrawiając trybunał mechanicznym skinieniem głowy.

Na chwilę zapadła cisza, po czym pułkownik wstał, odsunął do tyłu krzesło, a reszta zebranych poszła za jego przykładem. Przewodniczący sięgnął po zapieczętowane akta, które zawierały wyrok, i wręczył je kapitanowi Kunze. Pułkownik dobył szabli, co było

znakiem dla trębaczy do dania sygnału. Posepny, uroczysty dźwięk trzykrotnie wypełnił salę rozpraw i korytarz, ulatując przez otwarte okna na zewnątrz, aby na koniec utonąć w ulicznej wrzawie. Słyszeli go, chociaż słabo, ludzie na balkonie po drugiej stronie ulicy, ale nie dotarł on do tłumu na wiadukcie.

Po sygnale trębaczy rozległy się werble doboszów. Przez cały ten czas Dorfrichter stał na baczność. Kunze odpieczętował akta, wydobyl luźne stronice i zaczął odczytywać ich treść głosem rozmyślnie jednostajnym i obojętnym.

- Trybunał wojskowy uznał oskarżonego Petera Dorfrichtera winnym i skazuje go na przebywanie w wojskowej instytucji karnej przez lat dwadzieścia.

Podczas odczytywania wyroku Dorfrichter nie spuszczał oczu z kapitana Kunze. Nie okazał żadnej reakcji słysząc wyrok, poruszył tylko lekko powiekami, a po jego twarzy przebiegł dostrzegalny skurcz. Kiedy głos trąbki obwieścił koniec ceremonii, Dorfrichter zasalutował sztywno, zrobił pokazowy zwrot w tył i wymaszerował z sali.

Zaraz potem rozległ się odgłos kroków trzech par nóg po kamiennej podłodze korytarza. Słysząc było także znajomy łoskot ciężkich żelaznych drzwi, które zamknęły się za więźniem i eskortą. Rozprawa była skończona.

Lista awansów ogłoszona w dniu pierwszym lipca w dzienniku „Gazette” głosiła, że w uznaniu za wybitne zasługi władze najwyższe wydały rozkaz promowania ze skutkiem natychmiastowym kapitana

Emila Kunze do rangi majora. Ponadto został on udekorowany srebrnym medalem, który nadawano wojskowym za wybitne zasługi w czasie pokoju. Dekoracja pociągała za sobą konieczność podziękowania osobiście za ten zaszczyt cesarzowi, podczas prywatnej audiencji, tym razem już nie o wczesnej godzinie porannej w Schönbrunnie, ale podczas uroczystego przyjęcia w Hofburgu.

Był to ogromny krok naprzód i wszyscy uważali, że przed majorem Kunze otwierają się teraz wspaniałe perspektywy na przyszłość w sądownictwie wojskowym. Najbardziej poruszona zaszczytem, który mu przypadł w udziale, była jego żona, najmniej zaś... sam Kunze.

Rola żony wysoce szanowanego prokuratora wojskowego, członka elity sfer wojskowych, zapraszanego na każde ważniejsze towarzyskie spotkanie, kompensowała Róży gorycze małżeństwa. Z tej właśnie przyczyny w ich życiu małżeńskim nastąpił pewien rodzaj odprężenia. Jak wszystkie małżeńskie pary przeżywali złe i dobre chwile, z tym że te dobre nie były naprawdę tak radosne, a złe nazbyt smutne.

Po rozprawie nastały dla Kunzego szczególnie trudne dni, kiedy nagle poczuł się straszliwie osamotniony. Przez pół roku jego życie toczyło się wokoło Petera Dorfrichtera, toteż Kunze zdawał sobie sprawę, że nic nie zdoła wypełnić pustki, którą tamten po sobie zostawił.

Po wyroku skazującym widział eks-porucznika tylko raz, pewnego lipcowego dnia, gdy ten odjeżdżał do więzienia w Mollesdorf.

Przyprowadzono go wówczas do kancelarii Kunzego w budynku sądu wojskowego. Na podróż ubrany był po cywilnemu w lichy skrojone szare ubranie, płaszcz nieprzemakalny i zielony kapelusz z kosią kitką. Oczekiwano przyjazdu bliskich krewnych, z którymi Dorfrichter miał się pożegnać, Kunze zaś musiał być z urzędu obecny przy tym spotkaniu. Ale czy krewni spóźniali się, czy też Dorfrichtera przyprowadzono za wcześnie, dość że przez pół godziny zdani zostali na własne towarzystwo, co było nieznośną udręką. Najpierw więzień odpowiadał na zdawkowe wypowiedzi Kunzego obojętnymi monosylabami, a potem nagle zaatakował go gradem gorzkich słów.

- Major Kunze to brzmi lepiej niż kapitan, prawda? Do tego zmierzał pan chytrze, skazując mnie na więzienie.

Przez krótką chwilę Kunze nie wiedział, co odpowiedzieć.

- Co to znaczy „zmierzał pan chytrze”? Wina pana była bezsporna.

- To nie ma nic do rzeczy! Gdyby nie pan, byłbym uniewinniony, m a j o r z e Kunze.

- Spokojnie, Dorfrichter. Obywaj dobrze wiemy, że pan był winien. Wprawdzie wycofał pan przyznanie się do winy, ale wiem aż nadto dobrze, co pana do tego skłoniło. Wiadomo mi, że będzie to mój ostatni awans w armii, nie chciałem bowiem spełnić życzenia pewnej postawionej wysoko osoby. Niech się więc pan nie łudzi. Nie jest pan ofiarą mych aspiracji. Nie jestem taki jak pan. Dla zaspokojenia ambicji nie zgładziłbym nawet kota, a co dopiero człowieka.

- Skazałby pan mnie na śmierć, gdybym nie odwołał swego przyznania się do winy?

- Chyba tak.

- Czy pragnął pan mojej śmierci, bo nie było innego sposobu, by mnie unicestwić?

Kunze omal go nie zapytał: jakie są inne sposoby unicestwienia.

- Charakter mego stosunku do pana był stosunkiem sędziego do oskarżonego. Niczym więcej. To przesądzało o tym, co mogłem, a czego nie mogłem zrobić dla pana.

- Jest pan tak cholernie prawy, że mi się chce rzygać! - krzyknął Dorfrichter. - Drań ze mnie to prawda, ale czym pan jest? Sam Jago nie poniżyłby się do takich sztuczek, jakie stosował pan, by mnie chwycić w potrzask.

- Tak jest, Dorfrichter - warknął Kunze. Uczucie klęski stepiło jednak nieco ostrość jego gniewu. - Bez względu na to, co pan o mnie sądzi, żal mi pana, toteż życzę szczęścia, jeśli jest ono możliwe w takich warunkach.

- Być może życzenie pana sprawdzi się rychlej, niż pan sądzi. Nie spędzę dwudziestu lat w Mollesdorfie, to pewne! Zwolnią mnie zaraz, jak tylko wybuchnie wojna.

Więc takie były warunki układu? Niezbyt wspaniałomyślne. Jakaż nędzna i chytra była owa propozycja, by uznać Dorfrichtera za niewinnego, a jakże charakterystyczna dla arcyksięcia!

- W takim razie nie życzę szczęścia - odrzekł na to Kunze. - Jak panu wiadomo, jestem bowiem zagorzałym pacyfistą.

Zgodnie z wyrokiem Dorfrichter miał przebyć pierwszy rok więzienia w całkowitej izolacji, pozbawiony wszelkich należnych mu przywilejów. Cella jego znajdowała się na piętrze, ale miała tak zapleśniałe ściany i maleńkie zakratowane okna, iż niczym nie różniła się od piwnicy. W dniu, kiedy go tu osadzono, wydano go też z armii, ale bez żadnych wojskowych ceremonii, zmieniając po prostu wojskową bluzę na prosty więzienny kaftan. Trzy razy w tygodniu wyprowadzano go na więzienne podwórze na krótki spacer, w samotności i pod bacznym okiem uzbrojonych strażników, a jeden dzień w tygodniu pozostawał o chlebie i wodzie, co było chyba lepsze niż codzienna więzienna strawa. Nie wolno mu było pisać, czytać ani zajmować się czymś, co przerwałoby monotonię dnia.

Po umieszczeniu Dorfrichtera w więzieniu w Mollesdorf major Kunze przez parę tygodni niejednokrotnie telefonował do komendanta więzienia wpytując o eks-porucznika. Nie dbał o to, czy niespotykane zainteresowanie skazanym zgorszy komendanta. Przestał się w ogóle przejmować wieloma rzeczami, między innymi stopniowym pogarszaniem się jego małżeńskich stosunków. Nabrał zwyczaju przychodzenia do domu na krótko przed wieczornym posiłkiem, a jeśli nie było gości lub nie wybierali się z Różą nigdzie z wizytą, szedł po kolacji do gabinetu i wychodził stamtąd dopiero następnego ranka. Jeśli rozmawiali z Różą, co nie zdarzało się często, to tylko na temat oziębienia się wzajemnych stosunków. Rozwód nie wchodził w rachubę, jako że Róża była gorliwą katoliczką. Nawet separacja była



dla niej nie do przyjęcia, miał jednak nadzieję, że w końcu żona skapituluje i pozostawi go w spokoju.

Bomba wybuchła pewnego pogodnego dnia pod koniec czerwca. Róża zazwyczaj budziła się później i nie jadła z nim śniadania, ale tego ranka zobaczył ją przy stole ubraną w najbardziej kokieteryjny peniuar, z twarzą upudrowaną i dyskretnie uróżowaną. Nalewała mu kawę i smarowała masłem kromki chleba.

- Mam ci coś do powiedzenia - zaczęła uroczystym, niemal tragicznym tonem. Kunzemu zaparło dech. Nie miał najmniejszej wątpliwości, że Róża wypowie magiczne słowo, które zwróci mu wolność. Zamiast tego oświadczyła, że spodziewa się dziecka.

Przez chwilę, długą jak nieskończoność, patrzył na nią oniemiały. Możliwość, że mogą mieć dziecko, nigdy nie przyszła mu do głowy. Róża miała trzydzieści osiem lat, on zaś trzydzieści dziewięć. O ile mu było wiadomo, nigdy nie była w ciąży, nawet za czasów swego poprzedniego małżeństwa, co więcej, parokrotnie czyniła aluzje na temat jakichś kobiecych nieprawidłowości, które uniemożliwiały jej macierzyństwo.

- Jak, u licha, tego dokonałaś?

- To nie ja. To ty! - odpowiedziała naburmuszona. Aż się roześmiał uświadamiając sobie, w przeciwieństwie do Róży, nedorzecznosc tego dialogu. Domyślił się, że dziecko ich poczęło się po wielkanocnym balu w dowództwie wiedeńskiego garnizonu. Bawili się aż do drugiej w nocy, a kiedy wrócili do domu, Róża przypomniała sobie o butelce szampana, która chłodziła się w szafce z lodem od dnia

ich ślubu. Obydwoje byli w niezwykle wesołym nastroju, przyjęcie okazało się znacznie przyjemniejsze od normalnie organizowanych przez armię. Wino jeszcze bardziej wzmogło ich już dostatecznie radosny stan ducha. Kunze przypomniał sobie, że spełnili akt miłosny od razu w salonie na wąskiej i twardej biedermajerowskiej kanapce.

- Chcesz urodzić dziecko w tym wieku? - spytał żonę, nadal lekko oszołomiony rewelacją.

Róża z miejsca wybuchnęła płaczem.

- Co przez to rozumiesz: w moim wieku? Nie mam jeszcze siedemdziesięciu lat, nawet jeśli ty nie bierzesz tego pod uwagę.

- Bądź rozsądna, Różo. Kiedy to dziecko skończy dwadzieścia lat, ty będziesz miała pięćdziesiąt dziewięć.

- To brzmi tak, jakbyś chciał, bym się go pozbyła - rzekła smutnym głosem. - Zgładziła je! O to ci chodzi, tak?

Stracił panowanie nad sobą.

- Do diabła! Ze wszystkiego robisz melodramat! Jak możesz obwiniać mnie o to, że jestem zaskoczony? Od jak dawna sama o tym wiesz?

- Od prawie sześciu tygodni, ale chciałam się upewnić, zanim ci powiem.

- Musisz pójść do lekarza.

- Już byłam wczoraj.

- Co ci powiedział?

- Że jestem od przeszło dwóch miesięcy w ciąży.

W końcu brutalny fakt przeniknął do jego świadomości. Będą mieli dziecko. Nie tylko dziecko Róży, ale też i jego. Sama myśl o tym przyprawiała go o zawrót głowy.

Ich małżeńskie stosunki niewiele się polepszyły w czasie jej ciąży. Jedno, co się zmieniło na lepsze, to że Róża przestała już skarżyć się na osamotnienie, jakby uznała dziecko, które nosiła w sobie, za wystarczające towarzystwo. Także jej stan dawał mu godziwą wymówkę, by stronić od łoża. Dodatkowa waga dodała jej jakby krowiej łagodności i nie uszło też uwadze Kunzega, że coś krowiego było w ruchach Róży, jej smutnych wymownych oczach i nieposkromionym apetycie. Czuła się w pełni szczęśliwa, o czym od czasu do czasu mówiła Kunzemu, co z kolei uwolniło go od poczucia winy, że jest takim złym mężem.

Rudolf Kunze, noszący imię najstarszego syna generała Hartmanna, urodził się jedenastego listopada 1910 roku. Major wrócił właśnie do domu z sądu, kiedy zdyszana kucharka powitała go wiadomością, że zaczął się poród. Akuszerkę wezwano znacznie wcześniej! lekarza położnika zaś spodziewano się lada chwila. Zdaniem kucharki obecność lekarza była zupełną przesadą, bo nie groziły tu żadne komplikacje, lecz Kunze upierał się przy tym, głównie ze względu na wiek Róży. Nie czuł się szczęśliwy z powodu tego błogosławionego wydarzenia, ale nigdy nie darowałby sobie, gdyby stało się coś złego.

Nic złego się nie stało. Syn ważył ponad cztery kilogramy, razem z matką zniósł wszystkie trudy porodu doskonale.

Kunze spędził godziny oczekiwania w gabinecie mając przy sobie Trolla. Później usiłował przypomnieć sobie, czym się wówczas zajmował. Miał lekkie podejrzenie, iż zapadł w sen, z którego wyrwało go triumfalne wołanie kucharki: „Chłopiec! Chłopiec!”

Pokazano mu czerwonobrazowego stworka, który rzekomo miał być jego synem. Popatrzył na niego z zaciekawieniem bywalca ZOO, oglądającego rzadkiego, egzotycznego płaza. Zastanowiło go, czemu nie odczuwa ciekawości ani wzruszenia i uznał z ciężkim sumieniem, że wyzbyty jest ojcowskich instynktów. Przypomniał sobie swoje pozbawione ojca dzieciństwo i żał mu się zrobiło, że biedny chłopczyzna skazany jest na taki sam los. Naturalnie przysiągł sobie spełniać świadomie wszystkie wynikiłe z ojcostwa zobowiązania i ukrywać jak najstaranniej przed dzieckiem oraz dla jego dobra, a także przed światem swą całkowitą obojętność.

Zmiana w jego nastawieniu do dziecka nastąpiła całkiem nieoczekiwanie, gdy Rudolf miał koło ośmiu miesięcy. Spełniając zwyczajową czynność, którą sam sobie narzucił, Kunze chodził co wieczór do dzieciennego pokoju, by spojrzeć na dziecko. Chłopiec w koszulce i w pieluszcze leżał w kołysce pochłonięty najwyraźniej obserwowaniem własnych palców u nóg. Było to zdrowe, silnie niemowlę, żywe i bardzo bystre jak na swój wiek. Kiedy usłyszał kroki ojca, poniechał zabawy z palcami i odwrócił się, żeby zobaczyć, kto nadchodzi. Kunze pochylając się nad kołyską zauważył nagle, jak dwie rączki wyciągają się ku niemu.

Ostrożnie podniósł dziecko, jak gdyby było równie delikatne jak kwiat, i zdumiał się widząc, jak silnie jest umięśniony. Rudolf objął ojca za szyję, bawił się guzikami munduru i gwiazdą na wysokim kołnierzu, gaworząc do siebie w jakiejś nieskładnej mowie. Kiedy zjawiła się Róża, by wykąpać dziecko, z trudem udało jej się oderwać malca od ojcowskiej piersi, a wtedy Rudolf tak się rozplakał, że nie można go było długo uspokoić. Jego oczy pełne łez wodziły za Kunzem tęsknie, gdziekolwiek ruszył się w pokoju.

- Kocha cię - oświadczyła Róża.

- Nie bądź śmieszna. To niemożliwe! Przecież ledwo mnie zna - wymamrotał Kunze. Pomyślał, że za żadne skarby nie da poznać Róży, jak bardzo jest tym poruszony.

- Wie, że jesteś jego ojcem - odrzekła stanowczo Róża.

- Skądże znowu! To tylko z powodu guzików i szamerowania.

Wszystkie dzieci przepadają za błyskotkami.

Tego dnia urządzali kolację dla grona przyjaciół. Zaprosili między innymi porucznika Stoklaskę. Kiedy się ten zjawił, major zaprowadził go prosto do dzieciennego pokoju. Zdumiony porucznik wyczuł jakąś niecierpliwą nutę

w głosie majora.

Rudolf leżał znowu w kołysce, wykąpany i przebrany. Czekał na jedzenie zabawiając się gaworzeniem do swego niedźwiadka.

- Podejdz do łóżeczka i powiedz coś do niego - polecił Kunze dziwnie stłumionym głosem.

Stoklaska rzucił w jego stronę zdumione spojrzenie, ale polecenie spełnił. Chłopiec przestał gaworzyć i spojrzał w górę wyczekująco. Stoklaska pochylił się nad kołyską.

- Hej, kolego, jak się dzisiaj mamy?

Chłopczyk spojrzał na niego szeroko otwartymi oczyma i milczał.

- Weź go na ręce - rozkazał Kunze stojąc przy drzwiach.

Porucznik wyciągnął ręce po dziecko.

- Mam nadzieję, że go nie upuszczę. Nie jestem żadną wykwalifikowaną niańką. - Rudolf odsunął się od wyciągniętych rąk i rozplakał się przestraszony. Stoklaska odwrócił się do Kunzego.

- Nie wygląda na to, żeby lubił, aby go brać na ręce.

- Wobec tego nie bierz - odrzekł nerwowo Kunze. Podszedł do kołyski i pochylił się nad nią. W późniejszych latach, ilekroć przypomniawszy sobie ten moment, traktował go jako zwrotny punkt swego życia, iście biblijny cud, coś na kształt gorejącego krzaka lub rozkwitającej laski Aarona. Łkanie małego Rudolfa nagle ustało, skrzywione kąciki jego ust ułożyły się w uśmiech. Malec usiadł, chwycił się poręczy kołyski i unióś się prawie wykrzykując ochoczo jakieś powitanie.

- Niech to licho - powiedział Kunze pełen zdumienia, kiedy brał synka na ręce. - On mnie zna!

- Dlaczegożby nie? - zaśmiał się Stoklaska. - Jesteś jego ojcem!

- Tak przypuszczam, ale nie byłem pewny, czy on wie - odpowiedział dobrotliwie Kunze.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Lato było piękne. Major wynajął dla rodziny willę na zboczu wzgórza z widokiem na jezioro w Strobl nad Wolfgsgngsee. Róża wraz z synem, kucharką i służącą wyjechali do Salzkammergut na początku czerwca, Kunze planował przyjechać do nich w sierpniu, by tam spędzić urlop.

Nie miał nic przeciwko przebywaniu samemu w domu. Pozostał mu do towarzystwa Troll, który posiwał już na pysku i nabrał dostojnej powagi. Ostatnio Kunze zaczął zabierać ze sobą Trolla do kancelarii, gdzie nikomu nie przeszkadzało to, że linieje, chociaż Róża w końcu pogodziła się z myślą, że jeśli chce mieć przy sobie męża, musi tolerować obecność psa.

W czerwcu owego roku Kunze ponownie prowadził życie kawalerskie. Jadał większość posiłków w restauracji przy Weihburggasse, a w pogodne wieczory zazwyczaj jechał tramwajem do Grinzingu. Czytał mnóstwo: Strinberga, Galsworthy'ego, Tomasza Manna, Werfla, D'Annunzia i odkrył też Prousta. W późniejszych latach, ilekroć wspominał ten pamiętny miesiąc, niezapomniany chociażby z tej racji, że był to ostatni spokojny miesiąc w życiu jego i całej generacji, przypominał sobie, jak siedział na cienistym podwórzu ze szklanicą chłodzonego wina, Trollem u stóp i jak mu pachnący jaśminem wiatr przewracał stronice otwartej książki. Parę późno wyklutych piskląt grzebało w trawie wokół niego, światło dnia gasło, wschodził księżyc, a gospodarz niósł z domu migocącą naftową lampę.



Ktoś w pobliżu brzdąkał na gitarze pieśń Leo Falli, na sąsiednim podwórzu jacyś muzycanci różni „Nad pięknym modrym Dunajem”, a z końca ulicy ktoś inny na ustnej harmonijce wygrywał melodię Offenbacha. Owe nie powiązane ze sobą melodie zlewały się w jeden radosny dźwięk, razem z szumem lip i stukotem kopyt dorożkarskich koni na bruku przed domem.

Pewnego wieczoru jakaś rodzina przy sąsiednim stole wypakowała koszyk z jedzeniem. Ukazały się grube płaty peklowanej w domu szynki, kiełbasa, salceson, masło, ciasto migdałowe i cudownie chrupiące kajzerki. Ludzie ci dostrzegli Kunzego, spokojnego majora siedzącego z książką nad pustym stołem. W końcu matka rodziny zdobyła się na odwagę pytając majora, czy nie poczyta jej tego za zarozumiałość, jeśli zaproponuje, by skosztował ich szynki. Major z ochotą przyłączył się do nich i ów wieczór stał się dla niego symbolem wszystkiego, co było dobre, cenne i szczęśliwe w Austrii. Niedługo potem ucichła muzyka, nie było już wypełnionych jedzeniem koszy, zniknął szacunek okazywany sobie wzajem mimo klasowych barier, zabrakło ojców i synów. Pozostały osamotnione kobiety w opustoszałych łóżkach, skończyły się wycieczki i niepotrzebne stały się kosze.

Na tym właśnie podwórzu dotarła do majora wieść o zamachu w Sarajewie. Przyjechał tu wprost z biura, Gersten i książę Hohenstein mieli dołączyć później. Zamierzali pojechać autem księcia na Kahlenberg, tam zjeść kolację na tarasie Schlosshotel, skąd rozciągał się widok na miasto. Umówili się na spotkanie o siódmej. Spóźniony o godzinę wpadł wzburzony Gersten z wieścią, która niczym trujący gaz

rozeszła się już po zakątkach Wiednia: Franciszek Ferdynand wraz z żoną zastrzeleni w Sarajewie!

Pierwszą reakcją Kunzego była myśl, czy nie sprowadzić rodziny do domu. - Wojna? - zapytał. Gersten pokręcił przecząco głową.

- Nie sędzę. Kto w monarchii miałby ochotę walczyć i umierać dla pomszczenia Franciszka Ferdynanda? *De mortuis nil nisi bene*, ale trzeba przyznać, wszyscy nienawidzili tego nędznego drania.

Kunzemu stanął przed oczyma obiad w Konopiszczu. Przypomniał sobie pytanie botanika z Anglii na temat mechanizmu wszczynania wojny i brutalnie cyniczna odpowiedź arcyksięcia: „Zawsze znajdzie się jakiś incydent sam w sobie mało znaczący, który strona zdecydowana wszcząć wojnę może rozdmuchać i wykorzystać...”

Teraz oto, z perspektywy minionego czasu, słowa te wydały się zdumiewająco prorocze.

- „Kto mieczem wojuje, od miecza ginie” - wymruczał Gersten. - Czy wiesz, że Franciszek Ferdynand używał manlicera o podwójnej lufie, specjalnie dla niego skonstruowanego, jak gdyby zwykły karabin nie był w stanie zadowolić jego manii zabijania? Zawsze przewracało mi się w żołądku od tych jego fotografii na tle gór upolowanych zwierząt i ptactwa.

„Dość ostro powiedziane, jak na zdobywcę srebrnego medalu olimpijskiego w strzelaniu do rzutków” - pomyślał Kunze.

- Mam tylko nadzieję, że pewni ludzie nie zrobią teraz z niego męczennika - powiedział smutno Kunze. - Nie zdziwiłbym się jednak, gdyby tak się stało. Każdy pretekst jest dla nich dobry.

Panika wywołana zabójstwem ucichła jednakże po paru dniach i Róża wraz z Rudolfem pozostali w Strobl. Jej listy były pogodne, ale też nie wolne od narzekania na pogodę, ponieważ padało za dużo; na służbę, bo się rozleniwiła, i na miejscowych kupców, gdyż zdzierali z letników.

Raptem, ni stąd, ni zowąd, Serbia wystąpiła z ultimatum i ogłoszono mobilizację. Kunze poprosił o dzień urlopu, wsiadł do pociągu idącego do Salzkammergut, żeby sprowadzić rodzinę do Wiednia.

Chociaż nie depešował do Róży, zastał ją spakowaną i gotową do odjazdu. Kobięca intuicja, jak to już nie raz doświadczył, napełniła go zdumieniem i nabożną czcią. Ta sama Róża, która dostawała hysterii z powodu opadniętego sufletu, była spokojna i skupiona w obliczu najbardziej poważnego w ich życiu momentu.

Nie było wątpliwości, że oto ich świat rozpada się w gruzy. Odwołano urlopy w armii i w marynarce i powołano wszystkich rezerwistów. Kraj przypominał kopiec mrówek rozrzucony łopata, wszystko było w ruchu, kolejki ludzi formowały się na stacjach kolejowych, w urzędach pocztowych, bankach, siedzibach policji, punktach rekrutacyjnych, piekarniach, u rzeźników i w sklepach spożywczych. Wystawanie w kolejkach, będące nakazem chwili, nigdy potem nie wyszło już z mody.

Kiedy Kunze usiłował zdobyć dorożkę, by przewieźć rodzinę do Ischl, skąd mogli uzyskać bezpośrednie połączenie kolejowe z Wiedniem, monarchia wypowiedziała wojnę Serbii. Kiedy przechodził w Stroblu obok składu z towarami mieszanymi, prawdopodobnie jedy- nego sklepu w mieście, gdzie był telefon, właśnie \v tym momencie jego właściciel pojawił się na progu, wyrzucił w górę ramiona i krzyknął: „Wojna! wojna!”

Kunze nigdy go nie zapomni - tego niskiego człowieka w samej koszuli, skórzanych spodniach i zielonych szelkach, stojącego w jasnym lipcowym słońcu, na tle witryny swego sklepu, zarzuconej kąpielowymi kostiumami, wędkami, słodyczami, pocztówkami, pac- kami na muchy i zabawkami - wszelkimi tymi akcesoriami wakacyjnej szczęśliwości - i wykrzykującego złowieszcze słowa.

Za żadne skarby nie udało się mu dostać ani fiakra, ani nawet chłopskiej furmanki, toteż zostawili bagaże pod opieką gospodyni i wsiedli do pociągu, który kursował między St. Gilgen a Ischl.

- Czy każą ci jechać na front? - spytała Róża.

- Nie wiem - odrzekł jej Kunze. - Mam nadzieję, że nie.

Nie miałby nic przeciwko walce, był nawet gotów iść na wojnę z innymi, natomiast sama myśl, że będzie musiał uczestniczyć jako prokurator wojskowy w sądach doraźnych, skazując hurtowo na karę śmierci dezertorów, szpiegów i partyzantów, napawała go prze- rażeniem. Prawo i moralne nakazy, obowiązujące w czasie pokoju, przestaną mieć znaczenie w czasie wojny. Bał się ogromnie dnia, kiedy

będzie zmuszony koordynować własne werdykty z literą nowych ustaw wojennych, bo nie miał w sobie nic z mentalności wojskowego bydlaka.

Pociąg do Ischl przypominał sześć puszek sardynek przyczepionych do astmatycznej dziecinnej lokomotywy.

- Nie mam czym oddychać, papa - skarżył się Rudolf, kiedy pięcioro ich: ojciec, matka, dziecko, kucharka i służąca wcisnęło się do przedziału. - Wracajmy do Strobl!

Chłopiec, który miał trzy i pół roku, potrafił wypowiedzieć dokładnie i wyraźnie wszystko, o czym miał ochotę zakomunikować dorosłym. Nie był ładnym dzieckiem; miał za wysokie czoło i zbyt szerokie usta, lecz odznaczał się bystrością, posiadał charakter i co najbardziej zdumiewało ojca, poczucie humoru. Cecha ta rozwiała drobne resztki oporu majora Kunze wobec tradycyjnie pojmowanego ojcostwa.

Droga ze Strobl do Ischl była koszmarem, a z Ischl do Wiednia czymś jeszcze gorszym. Wagony były przepelnione, podróż, która normalnie zajęłaby sześć godzin, trwała dziesięć, gdyż pociąg stawał na każdej stacji, by zwolnić tory dla transportów wojska. Sceny, które z biegiem lat spowszedniały aż do znudzenia, powtarzały się na każdym peronie: zapłakane stare i młode kobiety, odprawiające mężów poubieranych już niekiedy w mundury. Kontrast między ich niemal posagową rozpaczą a hałaśliwą wesołością, zwłaszcza świeżo upieczonych żołnierzy, nadawał takim scenom iście makabrycznej wymowy. Wybujały patriotyzm manifestowany był coraz dobitniej, w miarę jak zbliżali się do Wiednia. We wszystkich wagonach ozna-

czonych napisem: 6 koni, 40 ludzi - panował jednakowy nastrój, wszystko jedno, czy to był pułk Bośniaków, nadal w czerwonych fezach, czy węgierskich huzarów już w szarzielonych mundurach, czy też batalion Deutschmeister, będący elitą austriackiej piechoty. Mężczyźni przedzierzgnięci w chłopców wyruszali na cudowną wycieczkę do jakiegoś miejsca, gdzie nie było żadnych nużących obowiązków wieku dojrzałego.

Na stacjach brakowało żywności i wody, nawet do ubikacji nie można było się dostać z powodu ciągle narastającego w korytarzu tłumu podróżnych. Sprzedawcy, roznoszący jedzenie po stacjach, już dawno wyprzedali zapasy. Mały Rudolf z nadzwyczajnym spokojem siedział zwinięty na kolanach ojca. Kucharka, która miała dwóch synów w wieku poborowym, popłakiwała przez całą podróż.

Do Wiednia dotarli późnym wieczorem, ale nie wydawało się, by któryś z mieszkańców poszedł się położyć. Na Ringu, po chodnikach i jezdni przewalały się tłumy, wznosząc okrzyki i powiewając chorągiewkami, na których widniały podobizny Cesarza Franciszka Józefa, Kajzera i króla Włoch, Wiktora Emanuela. Ludzie zachowywali się tak, jak gdyby monarchia była już w stanie wojny z Rosją. Pogrożki pod adresem wroga przeplatały się z wiwatami na cześć starego cesarza, który nagle stał się wzorem mądrości i dobroci.

Słowo „wojna” wywarło na tłumie oszałamiający, podobny do działania haszyszu, skutek. Kiedy Kunze patrzył na mrowie pogodnych, rozradowanych, triumfujących twarzy, stwierdził, że ludzie ci

wyglądają bardziej na takich, co czczą ostateczne zwycięstwo, nie zaś wybuch wojny.

Ilećroć Kunze wracał myśłami do dni, które nastąpiły po jego powrocie ze Strobl, przypominał sobie, jak to czuł się niczym człowiek o zdrowych zmysłach wsadzony do szpitala dla umyśłowo chorych, pełnego szalejących furiatów. Wiedział, że ten obraz jest nieco przesadzony, ale nie był jedynym człowiekiem, którego cała ta atmosfera drażniła. Na dłuęo jeszcze przed wybuchem wojny stanowisko, jakie piastował, pozwalało mu wejrzeć w pewne zakulisowe intrygi polityczne, nigdy nie publikowane w prasie, które niepokoiły go i oburzały zarazem. Wersja uczestnictwa Serbii w zabójstwie arcyksięcia, którą podano dc publicznej wiadomości, była w ogromnym stopniu fikcją. Pogłoski o współudziale w tym Rosji nigdy nie zostały dostatecznie potwierdzone. Wielu czołowych polityków Centralnych Mocarstw sprzeciwiało się drastycznej akcji wobec Serbii, ale potem wyraziło zgodę na ultimatum jako wyjście kompromisowe. Zwolennicy wojny pod przewodnictwem Conrada von Hotzendorfa wystosowali ultimatum, które było w swej treści i charakterze obelęą i prowokacją zarazem wobec szanującego się narodu. Ku okropnemu rozczarowaniu kliki Hotzendorfa Serbia wyraziła zgodę, chociaż nie bez zastrzeżeń, aż na dziewięć z dziesięciu żądań.

W tym to momencie zapanowało na krótki czas ogólne uspokojenie - widocznie jakieś chłodniejsze umysły musiały wziąć górę. Rządy państw, a nawet sam Kajzer, wahały się między tendencjami pokojowymi a żądzą wojny.

Nieszczęściem zwolennicy pokoju nie byli dostatecznie agresywni, by przeciwstawić się zdecydowanemu dążeniu Austrii do wyrugowania raz na zawsze „południowo-słowiańskiego zagrożenia”. Austria zmobilizowała się i nagle czujne armie skupiły się na granicach Europy, gotowe uderzyć pierwsze, nie czekając, aż zrobi to nieprzyjaciel. Kiedy osiemdziesięcioletniego Franciszka Józefa nakłoniono do podpisania wypowiedzenia wojny, ostatnia szansa na pokój była stracona.

W kancelariach dostojników ze Sztabu Generalnego panował nastrój triumfu i dumy. Podniecenie na ulicach przycichło, aby ponownie rozpalić się 6 sierpnia, w dniu, kiedy Rosja wypowiedziała wojnę Austrii.

Do tej pory Francja, Belgia i Anglia także zmobilizowały swe siły zbrojne przeciwko Państwom Centralnym. Fakt, że Austria stała się wyspą w morzu wrogości, podziałał trzeźwiąco na wysokie dowództwo monarchii i Niemiec. Im głośniejsza i radośniejsza stawała się wrzawa na ulicach, tym gwałtowniej gasło ożywienie w ministerstwach wojny. Rycerska szarża jako wielka chwalebna przygoda zaczęła grzęznąć w miejscu, mimo starannie wypracowanych planów; nie tak łatwo było osiągnąć, jak się spodziewano, rozwinięcia w tyralierę milionowej armii. Skrzypiały koła, luzowały śruby, a czasami groziło nawet, że ustanie cała maszyna. Był to nowy rodzaj wojny, zwłaszcza dla Austrii, która takiej wojny jeszcze dotąd nie prowadziła: zawilej, brutalnej, pozbawionej logiki i lekceważącej odwieczny system - parcia siłą do przodu.



Najgorszym zaskoczeniem dla Austrii zarówno na wschodzie, jak i na zachodzie był uparty opór wroga. Oddawał bowiem strzały z zadziwiającą celnością.

Sierpień był dla Kunzego miesiącem pożegnań. Pozostawał dalej w sądzie wojskowym, gdy tymczasem prawie wszyscy koledzy z wiedeńskiego garnizonu i sporo najbliższych przyjaciół dostało rozkaz wyjazdu na poszczególne odcinki frontu.

Pewnego rana pod koniec sierpnia ktoś przyszedł go odwiedzić. Był to Friedrich Gabriel w polowym mundurze szeregowca rezerwy w drodze na rosyjski front, rzekomo, aby się pożegnać, ale w rzeczywistości, jak Kunze podejrzewał, by dolać goryczy do niepowodzenia, jakie spotkało majora, kiedyś w 1910 roku, gdy usiłował doprowadzić do rehabilitacji Gabriela.

Ostatnim razem widzieli się przed dwoma miesiącami, kiedy petycja Gabriela o umożliwienie mu wstąpienia na powrót do Korpusu Oficerskiego została definitywnie odrzucona. Mimo że nie należało to do jego służbowych obowiązków, Kunze podjął się dobrowolnie zakomunikować tę niepomyślną wiadomość Gabrielowi, by jakoś złagodzić nierozumną surowość owej decyzji. Ten przyjął odmowną odpowiedź spokojnie, nawet filozoficznie, mówiąc, że być może lepiej, że tak się stało, a teraz zjawił się przed majorem Kunze, z drwiącym uśmiechem na ustach, w fasowanym, źle uszytym mundurze.

- Kiedy mnie powołali, uprzedziłem ich, że będę zakałą armii - zaśmiał się. - Ale powiedziano mi, że jestem na mięso armatnie w sam raz.

Kunze nie posiadał się z oburzenia.

- To jest wprost nikczemne - wymamrotał gniewnie i podszedł do telefonu, by zadzwonić do kapitana Stolza, jednego z adiutantów w Ministerstwie Wojny.

Pół godziny później siedział naprzeciw kapitanowi w jego kancelarii, wspaniałej sali, gdzie sto pięćdziesiąt lat temu Maria Teresa przewodniczyła swej radzie wojennej.

- Odczuwacie dotkliwie brak wykwalifikowanych ludzi - wytknął Kunze kapitanowi - powierzacie całe oddziały żółtodziobom, którzy ledwo co przeszli kurs szkolenia oficerskiego, a jednocześnie robicie idiotyzmy degradujące doskonałego oficera do rangi szeregowca, zamiast posłać go tam, gdzie byłby niezastąpiony.

Kapitan Stolz, nienawykły do takiego łajania, wstał sztywno i nakazał urzędnikowi wydobyć wszystkie dokumenty dotyczące sprawy Gabriela.

- To zupełnie niepotrzebne - przerwał mu Kunze. - Mogę wyłuszczyć wam całą tę przekłętą sprawę w skrócie.

- Pamiętam ją dokładnie - rzekł Stolz. - Ten człowiek był zamieszany w jakiś skandal.

- Nie był zamieszany w żaden skandal - wybuchnął Kunze, a następnie zrelacjonował pokrótce kapitanowi wszystkie fakty. Kiedy wyszedł po godzinie, Friedrich Gabriel został przywrócony do rangi porucznika, wycofano go z jednostki jadącej na front i rozkazano mu stawić się w jego dawnym pułku Deutschmeisterów.

Gabriel czekał w kancelarii na powrót Kunzego.

- Mam dla pana dobre wieści - powiedział do niego Kunze, wręczając mu rozkaz. - Będzie pan miał wyryte na grobie: porucznik Fritz Gabriel, być może nawet kapitan, jeśli nie pogrzebią pana przedtem w jakiejś bezimiennej mogile.

Gabriel uśmiechnął się.

- Widać, że pan nie bardzo kocha wojnę.

- A pan kocha?

- Nie! Kocham wojsko, ale nienawidzę wojny. Na pewno mam bzika.

- W takim razie ja też.

- Nie uważam tak, panie majorze. Nie sędzę, aby pan kiedykolwiek lubił wojsko. Zawsze mnie zastanawiało, dlaczego pan wstąpił do armii.

- Mnie też to zastanawia, poruczniku - odrzekł z westchnieniem Kunze.

Pewnego dnia, w połowie października, zjawiała się na biurku Kunzege petycja Petera Dorfrichtera, który prosił o darowanie mu kary, by mógł, w razie gdyby mu jej udzielono, wrócić do szeregów cesarskiej armii, „by walczyć za Cesarza, ojczyznę i lepszą przyszłość syna”. Była zaadresowana do Cesarza, ale baron Bolfras, szef cesarskiej wojskowej kancelarii Cesarza, przesłał ją majorowi, oddając decyzję w jego ręce.

Kunze nie widział Dorfrichtera od czterech przeszło lat. Nie dlatego, że tego nie pragnął. Miał już za sobą okres psychicznej udręki, kiedy prześladowała go myśl, by uwolnić tego człowieka, znaleźć

prawny kruczek umożliwiającą apelację. Jednakże trzeźwość umysłu, którą początkowo uznał za objaw tchórzostwa, powstrzymała go, nim jeszcze podjął zdecydowane kroki. Z biegiem lat nieziszczone pragnienie przerodziło się w tępy ból skryty głęboko w świadomości Kunzego.

Teraz, kiedy petycja Dorfrichtera wypisana jego pięknym, kaligraficznym, po żołniersku starannym pismem, które go niegdyś zdradziło, leżała na biurku majora, Kunze przeżywał istne moralne udręki, nie mogąc się od paru dni zdobyć na powzięcie decyzji.

Od chwili wybuchu wojny wielu oficerom i rezerwistom odsiadującym karę więzienia darowano karę pod warunkiem, że pójdą na ochotnika walczyć na froncie. To, co było gestem łaski ze strony arcyksięcia przed czterema laty, stało się obecnie rzeczą powszechną. Jednakże major nie miał ochoty rozstrzygać problemu Dorfrichtera zwykłym „tak” lub „nie”. Doszedł do wniosku, że musi wpieryw porozmawiać z tym człowiekiem i przede wszystkim zobaczyć, czy zasługuje na to, by go zwolniono. Był jednak tak zapracowany, że nie starczyłoby mu już czasu na podróż do Mollersdorfu, toteż zarządził, by więźnia przywieziono do jego kancelarii w sądzie wojskowym.

Cztery lata pozostawiły ślad na Dorfrichterze. Z włosami teraz już przetkanymi siwizną, z zapadłymi policzkami, kredowoblady wyglądał jak bardzo nieudana fotografia w paszporcie, daleka od jakiegokolwiek podobieństwa. Miał głęboko zapadnięte oczy, okolone cienkimi liniami zmarszczek. Ubrany był w przyciasne cywilne ubranie,

w którym wyjeżdżał niegdyś z Wiednia, toteż nietrudno było stwierdzić, że przybrał na wadze.

Kiedy znaleźli się sami, Dorfrichter powiedział: - Jak to miło z pana strony, że mi pan pozwolił tu przybyć. Nawet krótka przejażdżka ze stacji była niczym piękny sen.

Pamiętając ich ostatnie spotkanie, Kunze był przygotowany na wrogość i obelgi. Łagodny głos Dorfrichtera wprowadził go w zdumienie. Zastanawiał się, czy to więzienie tak go zmieniło, czy była to tylko gra. Dawny Dorfrichter nigdy by się nie zdobył na taką układność. Był obcesowy, irytujący, egoistyczny, lecz nigdy układowy. Czyżby Mollersdorf złamało w nim charakter?

Zaoferował krzesło i papierosa więźniowi, który przyjął krzesło, ale podziękował za papierosa. Rzucił palenie, jak wyjaśnił, podczas rocznego ścisłego odosobnienia.

- Nie mogłem dopuścić, by rok minął bez żadnego osiągnięcia - dodał, a w jego uśmiechu pozostało pewne odbicie jego dawnej osobowości

Kunze obserwował go uważnie, a jednocześnie siebie samego też. Jakby się rozdwoił, jedna postać siedziała naprzeciwko przybyłego, a druga skryta w ciemnym kącie podsłuchiwała ich obu. Oczekiwał tego spotkania i z radością, i z niepokojem, a teraz był zakłopotany, kiedy się okazało, że nie może wykrzesać z siebie żadnego uczucia.

- Gdyby mi chociaż pozwolili czytać podczas pierwszego roku! Choćby gazety! Przygnębiała mnie świadomość, że nie wiem, co dzieje się na świecie - w głosie Dorfrichtera zabrzmiał jakiś żalony ton. -

Żadnych listów ani odwiedzin. Nawiasem mówiąc, rodzice moi nigdy nie przyjechali do Mollersdorfu. Szwagier był u mnie z krótką wizytą, w 1912 roku, i mówił, że ojciec nie może mi wybaczyć tego, że przyniosłem tyle wstydu, matka zaś uznała, że byłoby to dla niej przeżyciem ponad siły oglądać mnie w takich okolicznościach! To samo stwierdziła siostra. Czy wie pan, kto mi złożył wizytę w czasie pobytu w Austrii? Pani Gruber, moja była teściowa. Mieszka teraz w Bawarii razem z Marianną i dzieckiem. Słyszał pan zapewne, że się rozwiedliśmy. Zaraz po mojej rozprawie. Pani Gruber mówiła mi, że Marianna czuje się teraz o wiele lepiej. Powoli, ale wraca do zdrowia. Nie odwiedziła mnie nigdy, gdyż doktor by jej na to nie pozwolił. Obawiał się, że może to spowodować nawrót choroby. Nigdy bym się nie oburzał na nią, gdybym wiedział, że była już chora, kiedy wyjechała z tym sukinsynem. Pani Gruber mówiła mi, że nie widzieli go od czasu, kiedy Marianna załamała się nerwowo. Akt rozwodu doręczył mi ten sam adwokat, który przyprowadził ją do pana kancelarii. Nie pamiętani nazwiska.

- Doktor Frazer.

- Słusznie, Frazer - Dorfrichter milczał chwilę. - Pani Gruber zaproponowała nawet, że mi przyniesie malca, ale nie chciałem. Czułem, że będzie lepiej, jeśli go nie zobaczę. Nie chciałem też obejrzeć jego fotografii. Wolałem, by pozostał dla mnie czymś nierzeczywistym. Nie można przywiązać się do kogoś, kto nie istnieje. Oczywiście teraz wszystko się zmienia.

- A to dlaczego?

Dorfrichter rzucił w stronę Kunzego zakłopotane spojrzenie.

- Przed wojną nie istnieliśmy dla siebie nawzajem. Nie ma nic chwalebne w tym, że się jest synem skazanego, Ale teraz będzie wszystko inaczej. Przyjdzie dzień, kiedy będę mógł powiedzieć do niego: „Jestem twoim ojcem”, on zaś nie będzie musiał się mnie wstydzić.

Kunze przeniósł wzrok z twarzy Dorfrichtera na leżącą na stole petycję. „Głupiec, uważa za rzecz pewną, że go ulaskawia” - pomyślał i poczuł, jak mu sztywnieje kręgosłup.

- Podczas pierwszego roku - ciągnął dalej przybyły - ciężko mi było zachować równowagę umysłu. Wiedziałem, że może wybuchnie wojna, a ja nic o tym nie będę wiedział. Był tam strażnik, straszny drań, który mnie zadręczał. Powiedział, że wojna już wybuchła, ale mnie nie wolno było o tym zawiadamiać, bo chciano mnie dalej trzymać w więzieniu, jak kogoś niespełna rozumu. Raz nadmieniłem mu o obietnicy arcyksięcia i od tej pory przestał już znęcać się nade mną.

- Ma pan już nareszcie tę swoją wojnę! - odciął się Kunze.

Dorfrichter, pochłonięty rozmową, nie dosłyszał cierpkiego tonu w głosie Kunzego.

- W zeszłym tygodniu zakończyłem pisanie rozprawy na temat, jak Centralne Państwa powinny prowadzić wojnę. Zle się stało, że się tak długo z tym ociągały. Jest już październik. Niebawem drogi staną się całkiem nieprzejezdne. Czy słyszał pan może o pułkowniku Burstynie?

- Nie sądzę - odpowiedział Kunze nieco zakłopotany.

- Mogłem się tego spodziewać. Szukałem jego nazwiska w artykułach, ale nigdy nie znalazłem żadnej wzmianki. Pięć lat temu, kiedy go widziałem ostatni raz, powiedział mi o wynalazku, jakiego dokonał. Niebywała rzecz. Wymyślił opancerzony ciągnik karabinu maszynowego, który porusza się na gąsienicach. Bo widzi pan, kłopot z silnikiem spalinowym polega na tym, że maszyna taka może się poruszać tylko po utwardzonym gruncie. Takie właśnie koła na gąsienicach radykalnie rozwiązują ten problem. Burstyn mówił, że w Ministerstwie Wojny nikt jednak nie podzielał jego zdania, wobec tego postanowił zaoferować wynalazek Niemcom. Jeśli to uczynił, to i tak widać mu się nie poszczęściło, bo w przeciwnym razie bylibyśmy już coś o tym słyszeli. Dlaczego się tak dzieje, że nasza armia jest zawsze przygotowana, ale do minionej wojny?

- Przeciwnik też - odpalił Kunze. Zapal Dorfrichtera zadziwiał go, ale zarazem napawał niechęcią.

- Z całą pewnością straciliśmy szansę na szybkie zwycięstwo - podkreślił Dorfrichter. - Powinniśmy więc teraz skonsolidować się, utrzymać dotychczasowe pozycje i przygotować się do wiosny. Pierwszego wiosennego dnia przypuścić niebywały atak! Nie tylko na frontowe linie nieprzyjaciela, ale na zaplecze też. Okrażonym obecnie Państwom Centralnym grozi klęska, jeśli będą stosować dziewiętnastowieczne metody walki. Muszą uderzyć szybko i z całej siły. Obrócić w perzynę stolicę wroga, bombardując je z aeroplanów i zeppelinów. Muszą też zburzyć fabryki, stacje kolejowe, szpitale, kościoły! Żaden nieprzyjacielski żołnierz nie będzie chciał walczyć



dalej, kiedy usłyszy, że jego żonę i dzieci zabito w ich własnym domu. Jeden mocny cios, a wojna skończy się w tydzień!

Mówił zachrypłym, pełnym emocji szeptem. Kunze zastanawiał się, czy Dorfrichtera nie trawi czasami gorączka. Albo może istotnie postradał zmysły w zatęchłej celi Mollersdorfu. Ale jeśli nie jest on przy zdrowych zmysłach, to możliwe, że inni też, na przykład Schlieffen, Joffre, Conrad von Hotzendorf albo Kajzer. A może tylko sarn temat wojny czyni z Dorfrichtera takiego demona zniszczenia?

Jeśli chodzi o osobę Kunzego, to Dorfrichter wybrał najgorszy dzień, by gloryfikować wojnę. Przez ostatnie sześć tygodni ilość zabitych wśród jego przyjaciół i znajomych była wprost przerażająca. Nie tylko on sam, lecz miliony ludzi zaczęło zdawać sobie sprawę, że świat już nigdy nie będzie ten sam i że to, co było, nigdy nie wróci. Bał się spoglądać na listę poległych. Nie było jednak dnia, by nie natknął się na znajome nazwisko. Dostrzegał też, jak uczucia beznadziejności oraz obawy zaczynają przenikać do wojskowych urzędów, które zaledwie przed dwoma miesiącami rozbrzmiewały radością i entuzjazmem.

Starzy ludzie, jak sobie Kunze przypominał, zawsze otwierają najpierw gazety na stronie z nekrologami, by zobaczyć, który z ich rówieśników rozstał się z życiem poprzedniego dnia. Wiadomość o śmierci kogoś ze znajomych niekoniecznie napawa ich smutkiem, czasami wprost przeciwnie, przynosi mieszaninę zadowolenia i triumfu. Utracili przyjaciela, ale przeżyli go, co daje im poczucie, że coś osiągnęli. Ale kiedy się ma lat czterdzieści trzy, przedwczesna śmierć

towarzyszy wstrząsa tak samo, jak widok zamienionej w pustynię okolicy, kiedyś bujnie zielonej i pełnej zwierzyny.

Tytus Dugonicz padł w Galicji w jednym z ostatnich wielkich ataków kawalerii w tej wojnie; księżę Rudolf Hohenstein leżał pogrzebany w bezimiennym grobie gdzieś na przedmieściu Przemyśla, a baron Landsberg-Lövy, mianowany łącznikiem przy 5 Niemieckiej Armii w Ardenach, poległ na francuskiej ziemi, którą tak mocno ukochał.

Rankiem, w dniu, kiedy miała się odbyć rozmowa z Dorfrichterem, majora Kunze dotknęły boleśnie dwa ciosy: śmierć von Gerstena na bośniacko-serbskiej granicy i młodszego syna generała Hartmanna, na rosyjskim froncie, w bitwie na południe od Wisły. Stracić dwóch druhów z dzieciństwa, to prawie jakby samemu lec z nimi w grobie. Dopiero teraz uświadomił sobie, jak wiele znaczyli dla niego, zastępując mu rodzeństwo i bliskich krewnych, których nigdy nie miał.

- Niestety, pana teorie są nieco złudne, Dorfrichter - rzekł major do porucznika. - Nieprzyjaciel może przecież się odwzajemnić i rzucić bomby na nasze dzieci.

Dorfrichter wzruszył ramionami.

- Bez ryzyka niczego się nie wygrywa - rzekł. Kunze czuł, jak pot występuje mu pod ciasnym, wysokim kołnierzem munduru.

- Kapitan von Gersten poległ na serbskim froncie w zeszłym tygodniu - wyrzucił z siebie Kunze. Było to *non sequitur*, ale nie mógł się powstrzymać, by tego nie powiedzieć.

Dorfrichter obrzucił go zdziwionym spojrzeniem.

- Przepraszam, nie dosłyszałem?

- Dostałem wiadomość dziś rano, że kapitan von Gersten padł na serbsko-bośniackiej granicy - powtórzył Kunze. - Był w Drugiej Armii, miał powierzony dozór nad zakładaniem linii telefonicznych wokół Valjeva. Zapusczył się z technikami na teren nieprzyjaciela, czego nie musiał robić, i wpadli w zasadzkę; kiedy zwiad patrolowy dotarł na miejsce, Gersten już nie żył.

Po twarzy Dorfrichtera przemknął cień złośliwego uśmiechu.

- Służba ponad wszystko! Tak typowe dla Gerstena. O ile sobie dobrze przypominam, dyskutowaliśmy już kiedyś o tym kompleksie bohaterskości. Pytał mnie pan, czemu wybrałem tych dziesięciu, a nie Ahrensa czy Einthofena. Jestem pewien, że Ahrens nigdy nie dałby się zabić bez potrzeby. - Zamilkł, by nabrać oddechu. - Mogę zapewnić pana z całą stanowczością, że Gersten nie będzie jedynym poległym z owej dziesiątki.

Kunze pokiwał głową.

- Ma pan całkowitą rację.

Chwilę przedtem było mu gorąco, ale teraz poczuł dreszcze. - Muszę panu wyznać, że księżę Hohenstein i Landsberg-Lövy też polegli - dodał smutnym głosem. - Wojna ubiegła pana. Zgładził pan tylko jednego z dziesięciu, a wojna zabrała aż trzech. Jest pan teraz czternasty na liście. Gdyby me popełnił pan morderstwa, byłby pan teraz podlegał wcieleniu do Korpusu Generalnego.

Dorfrichter już był gotów dać mu na to odpowiedź, ale wyczuł intuicyjnie, że stąpa po niebezpiecznym gruncie, i spiesznie zmienił temat.

- Ufam, że udzieli pan zgody na moją pokorną prośbę o wysłanie mnie na front. Nie muszę przekonywać pana, że będę spełniać obowiązki, jak tylko potrafię najlepiej. Jak panu wiadomo, ja...

Major ciągle jeszcze nie był skory do rozmowy na temat darowania winy.

- Czy pan odczuwa kiedykolwiek jakieś wyrzuty sumienia? - spytał.

- Wyrzuty sumienia? - odezwał się Dorfrichter niezmiernie wysokim głosem. - Chodzi panu o tamte reklamowe prospekty?

- A o cóż by innego?

- Naturalnie, że tego żałowałem - odpowiedział Dorfrichter gładko, niemal skwapliwie. - I to ogromnie. Nigdy bym już więcej tak nie postąpił, jeśli chce pan wiedzieć, uległem chyba jakiejś aberracji. Naprawdę powinienem był prosić o uznanie mnie niewinnym z powodu niepoczytalności. Oczywiście zawsze wynajduje się okoliczności łagodzące dla własnych postępów, ja też znalazłem ich parę. Chociaż przyznaję, że istotnie przyczyniłem się do śmierci Richarda Madera.

- Może pan już śmiało przyznać się do tego. Nic już panu teraz nie grozi. Nie można dwa razy być skazanym za to samo przestępstwo.

- Mader zmarł siedemnastego października 1909 roku. Gdyby nie rozstał się z życiem wtedy, prawdopodobnie nie żyłby już w tej

chwili. Poległby w akcji jak Gersten i ksiązę. Więc czego właściwie go pozbawiłem?

- Pięciu lat życia! Pięciu wiosen, zim, lat i jesieni. A jesień bywa piękna, zwłaszcza tu w Austrii. No dobrze, Dorfrichter - rzekł Kunze wstając. - To byłoby wszystko na ten temat. Szkoda, że nie mogę powiedzieć panu, że jestem rad z tego spotkania, bo w tych okolicznościach nie byłaby to prawda.

Dorfrichter podniósł się także i po raz pierwszy wyglądał na strapionego.

- Czy to znaczy, że kara nie zostanie mi darowana, panie majorze?

- Ja tego nie powiedziałem. Będę musiał się jeszcze nad tym zastanowić...

- Co tu jest jeszcze do zastanawiania? - spytał butnie Dorfrichter. - Arcyksiązę zawarł ze mną układ. Mam jego przyrzeczenie. Gdyby nie to, nie mógłby pan mnie skazać na te cztery lata więzienia. Żeby nie miał tej obietnicy, to bym się chyba powiesił.

- Arcyksiązę nie żyje - odrzekł Kunze.

- Lecz żyje nadal pułkownik Bardolff. On wie o tym. Proszę go zapytać.

- Nie muszę. Wiedziałem o tej umowie, zanim ją jeszcze panu zaproponowano.

- Więc, na czym polega problem?

- Nie ma żadnego problemu, Dorfrichter.

- Jaka zatem jest pana decyzja?

Kunze obrzucił go długim karcącym spojrzeniem.

- Po co pytać, skoro jest panu dobrze wiadome? Wojsko jest wojskiem. Pańska petycja zostanie rozważona i o decyzji powiadomię pana we właściwym czasie, za pośrednictwem Kancelarii Wojskowej Jego Cesarskiej Mości. Niestety, tyle tylko mogę panu teraz odpowiedzieć.

Zadzwoił na profosa. Dorfrichter stał przygarbiony i śmiertelnie blady. Wodził wzrokiem za majorem, jakby rozważał, czy ma dać nura za drzwi, czy rzucić się na Kunzego. W momencie wejścia profosa pełna napięcia rozmowa w pokoju przemieniła się w spokojne, bez jakichkolwiek dramatycznych gestów pożegnanie.

Kunze obojętnie przyglądał się odejściu więźnia i wtedy dopiero uświadomił sobie, jak go to wszystko wyczerpało. Czuł się bliski omdlenia, a koszula pod mundurem mokra była od potu. Postanowił pójść do domu, wziąć gorącą kąpiel i przynajmniej do rana nie myśleć o Dorfrichterze.

Kiedy opuszczając kancelarię przechodził obok biurka, coś sprawiło, że się zatrzymał. Nie umiałby powiedzieć, co to być mogło: żaloszny głos trąbki z więziennego podwórza czy nazbyt jasny i wesoły jak na październikową porę promień zachodzącego słońca, który padł na petycję Dorfrichtera. Kunze spiesznie chwycił pióro, zanurzył w czeluści kałamarza i wypisał tylko trzy suche słowa pod ostatnią linijką petycji: *Odrzucam, major Kunze.*